

KATARZYNA BERENIKA

MISZCZUK

Ja, diablica

WAB 2010

*Mojemu Jankowi
Oraz wszystkim „Piotrusiom”
I tym którzy nimi są, ale o tym nie wiedzą...*

1

Stałam naprzeciwko prostego metalowego biurka. Na drzwiach z numerem 6, które właśnie minęłam, była tabliczka:

Dział zatrudnienia.

Siedzący przede mną osobnik wyglądał jak typowy urzędnik. Miał zapięty pod samą brodę kołnierzyk, krawat w szarą igielkę i czarny, niemodny garnitur. Wypisz, wymaluj pracownik skarbowki.

Niepewnie podeszłam do krzesła naprzeciwko niego.

– Proszę usiąść – usłyszałam polecenie. Posłusznie zajęłam miejsce.

Urzędnik nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, z rozmachem przybijał czerwone pieczętki do podań przed sobą, jak gdyby od tego zależało jego życie. Lekko przesunęłam się na krzesło, które okazało się piekielnie niewygodne.

– Proszę się nie wiercić – zwrócił mi uwagę, a ja zamarłam w połowie ruchu.

Z głośnym trzaskiem po raz ostatni uderzył pieczętką i zwrócił na mnie swoje czerwone tęczy.

Nie wyglądał jak typowy diabeł. Miał grube baranie rogi, wyrastające z ludzkich uszu, brunatną skórę i wystające z ust żółte kły. To musiał być jakiś demon niższej kategorii. Z całą pewnością nie diabeł.

Diabły były piękne.

– Nazwisko – warknął.

– Biankowska – wydusiłam, starając się usilnie nie patrzeć na niego z odrazą.

– Imię.

– Wiktoria.

– Zmarła.

– Eee... co?

– Kiedy zmarła – urzędnik był bardzo rozdrażniony. Chyba zauważył, że moje spojrzenie cały czas wędrowało do jego baranich rogów...

– Ach! Dzisiaj. – Zerknęłam na zegarek, który stanął w momencie mojej śmierci. – W nocy, o 1.43.

– Przyczyna. – Demon sprawnie wypełniał czerwonym piórem wszystkie wolne pola w formularzu przed sobą.

Zamyśliłam się. Niewiele pamiętałam...

Była noc, wracałam do domu po imprezie w Stodole. Ktoś wyszedł za mną z klubu. Śledził mnie. Potem gonił. Tuż przy Polach Mokotowskich złapał za ramię, zaczął szarpać. Krzyczałam. Ale nikt mnie nie usłyszał... Mężczyzna włókł mnie w stronę parku, między drzewa. Wyrwałam mu się, chciałam uciekać, ratować życie, ale on wyjął nóż. Błysk ostrza w świetle samotnej latarni.

– Nóż. – Widząc, że wymagał dokładniejszej odpowiedzi, dodałam: – Rany klute w brzuch...

Zaczęłam się zastanawiać. Dlaczego wyszłam sama z tego klubu? Nie mogłam sobie przypomnieć. Nigdy tak nie robiłam. Zawsze wracaliśmy całą grupą przyjaciół. Nie rozdzielaliśmy się. Dlaczego popełniłam takie głupstwo? I czemu na litość boską zaczęłam iść w stronę parku?! To zupełnie do mnie niepodobne.

– Rozumiem – mruknął. – Skierowana przez...?

Przed oczami stanął mi przystojny brunet, który pokłóciwszy się z jakimś wyniosłym blondynem, wysłał mnie tu po krótkim wyjaśnieniu, że umarłam i pójdę do Piekła, ale że jestem ładna, żeby marnować się na, jak to określił, „gorącym południu”. Za cholere nie zrozumiałam, o co mu chodziło... Azazel kazał mi tu przyjść...

Wszystko się zgadza. Proszę podpisać – podsunął mi dokument, a ja złożyłam swój podpis. – Dostanie pani ode mnie skierowanie. Następnie pójdzie pani do Przydziałów do pokoju 66. Tam otrzyma pani dalsze informacje.

– A...? – zaczęłam, ale mi przerwał:

– Drzwi są za panią. Dziękuję i życzę miłego dnia. – Posłał mi uśmiech, który nie dosięgnął jego oczu.

Miałam pewien kłopot z oderwaniem wzroku od tych jego paskudnych zębów, które ociekały śliną. Po prostu obrzydliwe!

W końcu opanowałam się, zaniknęłam usta, ścisnęłam kurczowo w dłoni podany świstek i wyszłam z pokoju.

Spojrzałam przed siebie. Przede mną były drzwi z tabliczką: Przydziały, i wielkim numerem 66. Przysięgłabym, że wcześniej ich tam nie było. Odwróciłam się. Dział Zatrudnienia, z którego właśnie wyszłam, przestał istnieć. Była za mną zwykła ściana. Spojrzałam najpierw w prawą stronę wąskiego korytarza, w którym stałam, a potem w lewą. Ciągnął się w obie strony bez końca.

A jedyne drzwi znajdowały się przede mną. Nie miałam wyboru. Mogłam wejść tylko tam. Chciało mi się płakać. Kompletnie pogubiłam się w tym, co się działo.

Umarłam...

Poszłam do Piekła...

A teraz jestem w jakimś Urzędzie!!!

Poczułam pod powiekami ciepłe łzy. Jeszcze nigdy nie czułam się taka zagubiona!

„Wdech i wydech. Pamiętaj, zawsze w tej kolejności. Nigdy dwa wdechy albo dwa wydechy z rzędu”, przypominałam sobie słowa mojej najlepszej przyjaciółki z dzieciństwa, Zuzy. To były oczywiście żarty, niemniej podniosły mnie teraz na duchu i pozwoliły się uspokoić.

Spojrzałam na drzwi i westchnęłam ciężko. W końcu nic gorszego niż śmierć spotkać mnie już nie może. Nie ma się czego bać. Chyba...

Zapukałam.

– Proszę – zza drzwi odezwał się znudzony głos.

Weszłam do środka. Spodziewałam się zastać tam kolejnego demona, jednak, ku mojemu zaskoczeniu, za biurkiem siedział przystojny chłopak. Na mój widok przerwał teatralne ziewnięcie.

– O! Nowa! – stwierdził.

Stałam niepewnie w progu, nie wiedząc, co powinnam zrobić.

– Wejdz – wykonał zapraszający gest.

– Przysłano mnie z pokoju 6 – powiedziałam i usiadłam naprzeciwko niego.

Miał kruczoczarne włosy, momentami wpadające w granat, które zaczesał do góry w niedbałego irokeza, duże usta i złote tęczęwki.

– Witaj, jestem Beleth – przedstawił się i uśmiechnął zachęcająco. – Mogę podanie?

Podalam mu je i zaczęłam błędzić wzrokiem po białych ścianach, na których wisiały tandetne akwarele. W kącie pokoju stała zasuszona paprotka. Gdyby wszyscy naokoło nie wmawiali mi, że jestem w Piekło, spokojnie pomyślałabym, że trafiłam do zwykłego urzędu.

– Jak z całą pewnością zauważyłaś, wszystkie urzędy świata wzorują wystrój wnętrz na nas. Wiesz, kto wymyślił podatki? – zapytał.

– No... ludzie?

– Nie. My! Widzę, że Dział dezinformacji naprawdę dobrze się spisuje – diabeł puścił do mnie oko.

Byłam pewna, że to diabeł. Był piękny.

– Tak, jestem diabłem – mruknął, odkładając moje podanie na bok. Zdziwiłam się. Skąd wiedział, o czym myślałam?

– Jesteś jeszcze na tyle ludzka, że z łatwością może ci czytać w myślach zwykły demon – wyjaśnił. – Po pewnym czasie, gdy się przystosujesz, twój umysł będzie zamknięty dla wszystkich. Nawet dla aniołów i diabłów.

Nagle zrozumiałam, czemu tamten urzędnik był taki niemiły. On po prostu słyszał, jak w myślach komentowałam fakt, że jest taki odrażający!!!

– Taaak – mruknął Beleth. – Mógł się na ciebie za to obrazić. Widzę, że Azazel niczego ci nie wyjaśnił. Ale się nie martw. Ja ci wszystko wytłumaczę. Umarłaś. W chwili, gdy to się stało, czas się dla ciebie zatrzymał – wskazał na zegarek na moim przegubie. – Teraz jesteś istotą wieczną. Czas już nie ma na ciebie wpływu. Gdy umarłaś, pojawiły się przy tobie dwie postacie: anioł i diabeł. Następnie rozpoczęły targ o twoją duszę. Wyliczały twoje dobre uczynki, ile grzechów głównych popełniłaś, ile przykazań złamałaś.

Przypomniałam sobie poranną scenę. Anioł wymieniał moje dobre uczynki. Kto by pomyślał, że podczas swojego krótkiego, dwudziestoletniego życia aż pięćdziesiąt cztery razy ustąpiłam starszkom miejsca w tramwaju!

Mimo wszystko moja komunikacyjna szlachetność nie zwyciężyła z nagminnie łamanym

drugim przykazaniem...

– Jak sama widzisz, Azazel wygrał i trafiłaś do nas – kontynuował Beleth. – Jednak tak się spodobałaś Azazelowi, że postanowił ominąć procedury. Tak na marginesie, to jakimś cudem właśnie on zawsze dostaje najładniejsze dziewczyny, ale cóż... Normalnie ktoś, kto tu trafia, staje się obywatelem Piekła. Taki osobnik wybiera sobie miejsce, gdzie chce zamieszkać, co robić i tak dalej. Nawiasem mówiąc, w Piekło nie jest źle. Nikogo nie smażymy, nie przypalamy, nie torturujemy. To propaganda tych tam – wskazał na sufit. – U nas po prostu jest cieplej ze względu na bliskość jądra Ziemi.

Jesteśmy dość głęboko. W Niebie jest podobnie. Wieczne wakacje. Jednak, jak już mówiłem, za bardzo się spodobałaś Azazelowi i staniesz się jedną z nas.

– Jak to?

Całkiem się w tym pogubiłam. Najpierw wmawia mi, że w Piekło jest luz i zabawa, a teraz jeszcze może mają wyrosnąć mi rogi?

– Bez przesady. Rogi? – zaśmiał się. – Masz obsesję na tym punkcie.

Beleth wyjął z kieszeni ozdobną srebrną papierośnicę. Wyciągnął ją w moją stronę, jednak pokręciłam przecząco głową. Pstryknął palcami. Jak zaczarowana, patrzyłam na mały płomyk, który pojawił się znikąd, a teraz błąkał się po jego opuszkach. Diabeł jak gdyby nigdy nic przyłożył płonący palec wskazujący do czubka papierosa i przypalił go. Chwilę później płomyk zniknął, a wszystkie palce Beletha były całe i zdrowe. Zaciągnął się i wypuścił w powietrze kilka kółek dymu.

– Właśnie o to mi chodzi – powiedział. – Będziesz pełnoprawną diablicą, będziesz miała moc. Jak wiesz, wszystkie anioły to mężczyźni. A jakkolwiek by na to patrzeć, diabły to też anioły, tylko stracone z Niebios. Tak więc diablice i anielice nie istnieją. Jednak Piekło jest znacznie bardziej postępowe od Nieba i zaczęliśmy rekrutację ponętnych śmiertelniczek.

Mówiąc to, mrugnął do mnie. Speszylałam się. Nigdy nie uważałam się za specjalnie urodziwą. Miałam za duży nos i usta, a moje włosy przypominały nastroszone ptasie pióra.

– Kochanie, jesteś diabelnie piękna – stwierdził Beleth. – Sądziś, że bierzemy na diablice kogo popadnie? Jest ostra selekcja. A ty masz wszystko, czego potrzebujemy. Jesteś piękna i ponętna – faceci na ciebie lecą. Jesteś inteligentna, a w tej pracy trzeba być pomysłowym, żeby przegadać anioła. Poza tym jesteś słodka, kiedy się denerwujesz. – Uśmiechnął się do mnie ciepło.

Jak na zawołanie się zaczerwieniłam. Oczywiście zaraz się za to przeklełam. Zaśmiał się serdecznie.

Przeklełam się jeszcze raz. No tak, przecież on doskonale słyszy moje myśli. Już niedługo – znowu się zaciągnął. Zakasłałam od dymu.

Czemu palisz? – zapytałam. – To niezdrowe. Zatrzymał się w pół ruchu zbity z tropu, a następnie zaczął nit; głośno śmiać.

Kochanie, jesteś najśłodsza osobą, jaką spotkałem – stwierdził rozbawiony. – Przecież jestem wieczny. Nie dostanę raka płuc, jak wy śmiertelnicy, i nie umrę. Tak samo jest z alkoholem. Samonaprawialna, wieczna wątroba, marzenie każdego alkoholika. Czy to nie

piękne?

– Eee... tak... Czyli czekaj. Zostanę diablicą, tak? Kiwnął głową, wbijając we mnie swoje złotawe oczy.

– Będę miała moc, tak?

Znowu kiwnął głową. Po jego ustach zaczął błąkać się uśmiech.

– I co dalej? Mam dla was pracować?

– Tak, będziesz robiła to samo, co Azazel. Rekrutowała nowych obywateli Piekła.

– Znaczą potępionych? – zakpiłam. Diabeł skrzywił się.

– To tak nieładnie brzmi. Obywatel Piekła jest wdzięczniejszym określeniem. Poza tym jest bardziej poprawne politycznie. Musisz zrozumieć różnice pomiędzy Piekłem a Niebem. Tu i tu jest fajnie i wszyscy są szczęśliwi. Tyle że w Piekło jest weselej. My mamy różnego rodzaju używki, sporty ekstremalne i inne zabawne rzeczy. Tu wszystko, no prawie wszystko, jest dozwolone. Za to w Niebie jest spokój, wyciszenie i wspólne śpiewanie. Nuuuudaaaa...

– Zaraz – przerwałam mu. – Czyli na to wychodzi, że wszystkich po śmierci czeka nagroda? A co z mordercami? Gwałcicielami?

– A to inna bajka. Oni przestają istnieć. Ich byt wewnętrzny, dusza, ka, rozum, czy jak tam zwał, znika. Sądziś, że chcemy mieć w Piekło takich degeneratów? – obruszył się. – To co to by było za Piekło? Musisz zrozumieć, że znajdujesz się teraz w miejscu wiecznej zabawy. Z mordercami czy psychopatami nie ma dobrej zabawy...

Siedziałam dość długo w milczeniu, układając sobie w głowie to, co usłyszałam.

– Czyli nie jestem zła i nie dlatego trafiłam do Piekła? – zapytałam w końcu.

– Kochanie...

– Wiki – przerwałam mu. – Mów mi Wiki, wszyscy mnie tak nazywają.

– Dobrze, Wiki. – Uśmiechnął się do mnie ciepło.

Gdybym go spotkała w normalnym życiu, od razu straciłabym dla niego głowę. Uśmiech na twarzy diabła znacznie się poszerzył. Cholera... usłyszał...

– Wiki, nie jesteś zła. No dobrze... kryształowa też nie jesteś, bo inaczej trafiłabyś do Nieba. Ale wierz mi, tu bardziej pasujesz. Sama powiedz: chciałabyś przez resztę wieczności śpiewać hymny? Przecież zwariować by można. Owszem, jest w tym ogromna dawka emocji, rodzaj swoistej ekstazy, przeżywania Jego obecności...

Diabeł rozmarzył się i na chwilę odpłynął gdzieś myślami. Odchrząknął, lekko zawstydzony tym przyływem ciepłych wspomnień. Klasnął w dłonie i otworzył segregator.

– Dobra, my tu gadu-gadu, a trzeba ci przydzielić wszystko, czego potrzebujesz. W końcu nie bez powodu zajmuję się przydziałami.

Chwilę kartkował zawartość segregatora.

– O! Jest – podał mi kartkę ze zdjęciem ślicznego domu w stylu hiszpańskim, z basenem i zadbanym ogrodem. – Proponuję ci ten dom. Blisko morza, na niewielkim wzniesieniu. Cicha okolica, ale do dobrych klubów jest dokładnie rzut beretem.

Jest jeszcze jeden plus, ja mieszkam niedaleko. – Uśmiechnął się drapieżnie. Nawet tego nie skomentowałam.

– Czyli, jak widzę, zgadzasz się. – W jego dłoni zmaterializowały się klucze. – Proszę, są do drzwi wejściowych. Ubrania znajdziesz w szafach. Co do twojego diabelskiego image'u, to proponuję, żebyś ubierała się w skóry, faceci będą schodzić na sam twój widok. A to – podał mi jakąś kartkę, którą przed chwilą wypełnił drobnym pismem czerwonym atramentem – skierowanie do pokoju 666, gdzie otrzymasz moc. Jutro jeden z naszych konsultantów pojawi się u ciebie, żeby wprowadzić cię w zawód diabła.

– OK. – Wzięłam wszystko i podniosłam się.

– Naprawdę bardzo miło było mi cię poznać. – Uśmiechnął się, a jego oczy zamigotały. – Do zobaczenia wkrótce.

– Cześć – odpowiedziałam.

Gdy zamknęły się za mną drzwi, odetchnęłam głęboko. To jakaś makabreska! Albo sen! Tak, to na pewno sen! Przecież to niemożliwe! Nie mogłam umrzeć. To na pewno jakiś koszmar. Zaraz się obudzę. Muszę się obudzić.

Poza tym co z Markiem, moim starszym bratem? Miałam tylko jego, bo nasi rodzice zmarli, jak byłam mała. Od tamtej pory mieszkaliśmy razem, a on się mną opiekował. Gdybym umarła, zostałby sam. Całkiem sam. To znaczy, pół roku temu się od niego wyprowadziłam, bo ma narzeczoną, z którą zamierzali się pobrać, ale przecież pewnie strasznie za mną tęsknił. Wiadomość o mojej śmierci musiała nim wstrząsnąć.

Znowu miałam ochotę się rozplakać; uczucie zagubienia, na chwilę przegnane przez rozgadanego Beletha, powróciło.

Atrament na skierowaniu wysechł. Czerwone litery robiły się coraz ciemniejsze. Miałam nadzieję, że to zwykły tusz, a nie krew...

Westchnęłam i spojrzałam na drzwi przed sobą. Niekończący się korytarz przypominał mi labirynt. Tylko Dawida Bowie w formie złego demona brakowało...

Wyciągnęłam rękę i zastukałam mocno...

Do drzwi z numerem 666.

2

– Proszę – odpowiedział mi gardłowy głos.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Na środku pokoju będzie stał ociekający krwią ołtarz z zabita owieczką? A może zobaczę płomienie piekielne i szatana rodem z ludowych opowiadań, dzierżącego w szponach widły?

Jednak srodze się zawiodłam, bo przede mną nie było niczego takiego. Weszłam do najnormalniej wyglądającego biura, niczym nieróżniącego się od poprzednich dwóch. Za metalowym, surowym biurkiem siedział zwykły demon w niemodnym garniturze. Jeszcze brzydszy od tego z pokoju 6.

W chwili, gdy to pomyślałam, demon zmrużył groźnie oczy.

Odruchowo odwróciłam się i zerknęłam na drzwi 66, które oczywiście zdążyły już zniknąć. Dlaczego tam siedział diabeł, skoro wszędzie były demony? Dawanie śmiertelnikom mocy było chyba poważniejszym zajęciem od przydzielania mieszkań. To w tym pokoju powinien znajdować się diabeł.

Podeszłam do biurka i położyłam skierowanie.

– Hm... mam dać ci moc – mruknął demon. – Człowiekowi... Znowu... Widać było, że nie miał na to najmniejszej ochoty.

– A ilu ludziom dano już moc? – zapytałam, siadając na niewygodnym krześle.

– Licząc z tobą, czterem kobietom... Z czego diabolic mamy aktualnie dwie. Ty będziesz tą drugą – powiedział, grzebiąc w szufladzie.

Na meblach, segregatorach i lampach leżała bardzo gruba warstwa kurzu. Tutaj także stała paprotka, która jednak w porównaniu z okazami z poprzednich biur była dosłownie w stanie mumifikacji...

Cztery diablice. Demon zbytnio się nie przepracowywał.

– A co z pozostałymi dwiema? – zapytałam.

– Zrezygnowały z mocy po wygaśnięciu kontraktu – odparł z wyraźną niechęcią. – Wolały zostać zwykłymi obywatelkami

Piekła.

Prychnął głośno z pogardą, przy okazji plując na blat. Najwyraźniej nie mógł zrozumieć ich decyzji.

– Kontrakt? – od razu podchwyciłam. – To jest jakiś kontrakt?

– Tak... W chwili, gdy w gabinecie numer 6 złożyłaś podpis na skierowaniu, kontrakt zaczął działać. Trwa sześćdziesiąt sześć lat od teraz.

– Jak to już trwa? Czemu nikt mi nie powiedział?! Jak to sześćdziesiąt sześć lat?! – Chwyciłam się kurczowo biurka.

– I właśnie dlatego nie lubię ludzi – rzekł demon bardziej do siebie niż do mnie. – Trzeba czytać mały druk na dokumentach, które się podpisuje. Poza tym masz przed sobą wieczność. Co cię kosztuje sześćdziesiąt sześć lat?! Właściwie miał rację... Niemniej nadal czułam się oszukana.

Położył przede mną jabłko i kilka identycznych kartek, na których było oświadczenie, że przyjąłam moc, i miejsce na podpis.

– Proszę – powiedział takim tonem, że wcale nie zabrzmiało to uprzejmie. – Sześć egzemplarzy deklaracji.

– Nie jestem głodna. – Przesunęłam jabłko na bok, szukając drobnego druku na jednej z kopii dokumentu.

Po kilku minutach bezskutecznego wpatrywania się w kartkę doszłam do wniosku, że albo był tak mały, że nie było go widać, albo go po prostu tam nie było. Na wszelki wypadek sprawdziłam jeszcze, czy kopie aby na pewno były kopiami. W końcu znajdowałam się w Piekło. Prawdopodobieństwo, że ktoś mnie tu oszuka, było ogromne.

– A moc? – zapytałam.

Demon wskazał na małe zielone jabłko, przypominające papierówkę.

– To jest moc? – Miałam ochotę się zaśmiać.

– Musisz je zjeść – wyjaśnił. – Jesteśmy tradycjonalistami.

Czekałam, aż wyśmieje mnie, że dałam się nabrać, ale on siedział poważny ze splecionymi dłońmi.

– Serio? – zapytałam jeszcze, biorąc jabłuszko do ręki.

Nie odpowiedział. Uznał najwyraźniej, że jest to poniżej jego godności. Gdy już miałam je ugryźć, mruknął:

– Podpis na sześciu kopiach proszę...

Podpisałam się czerwonym piórem w pustych miejscach i ugryzłam jabłko. Oczekiwałam jakiegoś prądu, który przebiegnie przez moje ciało, palenia w przelyku, mroczków przed oczami, jednak i tym razem się zawiodłam. Smakowało jak najzwyklejsze jabłko i nie wywołało żadnych skutków ubocznych. Po chwili został mi tylko ogryzek.

– I co teraz? – zapytałam.

– Wyrzuć go do kosza do utylizacji. Nie możemy dopuścić do tego, żebyś zatrzymała pestki i wyhodowała sobie własne drzewko mocy.

Posłusznie wrzuciłam ogryzek do podanego mi pojemnika.

– Gratuluję, stała się pani diabolicą – powiedział demon oschłym, służbowym tonem. – Po powrocie do przydzielonego domu znajdzie tam pani szczegółowe informacje, dotyczące postępowania z mocą, a także Regulamin Piekła.

– To co teraz ze mną będzie? – zapytałam bezradnie.

– Ma pani kilka dni na przystosowanie się do nowej sytuacji i umiejętności, a potem musi

pani zgodnie z umową przystąpić do pracy.

Patrzyłam na niego w napięciu. To musi być sen. Ja się na pewno zaraz obudzę. To tylko tragiczny sen.

– To nie jest sen. – Demon podał mi mały metalowy klucz z przewieszonym srebrnym łańcuszkiem.

Wzięłam go do ręki i przesunęłam palcem po misternych zdobieniach. Był żłobiony w drobne różyczki. Bardzo misterny.

Azazel też miał taki klucz, tylko bardziej toporny. Dosłownie wsadził go w ścianę i wyczarował drzwi, które doprowadziły mnie tutaj.

– Właśnie tak – mruknął. – Należy pomyśleć o miejscu docelowym. Skierować klucz na wolną powierzchnię płaską, najlepiej ścianę, na której zmieści się przejście, i płynnym ruchem zagłębić go w materii, jednocześnie przekręcając w prawo sześć razy. Niedługo mają podobno wejść jakieś unowocześnienia. Azazel zaciekle walczy, by powstały piloty jak do telewizora... – Demon prychnął pod nosem: – Jeszcze trochę i zamienimy się w ludzi.

To nie byłoby takie złe. Ludzie są ładniejsi... – pomyślałam. Demon zmrużył gniewnie oczy.

– Dopóki nie nauczysz się ukrywać swoich myśli, powinnaś w ogóle nie myśleć. Wyszłoby ci to na zdrowie... – warknął, znowu przechodząc na „ty”.

Zawstydzona spuściłam oczy.

– Teraz żegnam. Pomyśl o swoim domu, który Beleth ci zaproponował, i przekręć klucz.

Wstałam i na sztywnych nogach podeszłam do ściany. Zerknęłam na demona, który wpatrywał się w każdy mój ruch z niekłamanym zainteresowaniem.

– Czy gdybym nie dostała mocy, to klucz by zadziałał? – zapytałam.

– Nie.

– A jak nie zadziała mimo jabłka?

– Zadziała...

Pomyślałam intensywnie o małej willi nad brzegiem morza, z małymi cytrusami dookoła. Wyciągnęłam rękę i pchnęłam ją w stronę białej ściany. Ku mojemu zaskoczeniu, klucz wszedł w nią z lekkim oporem, zupełnie jakbym zagłębiała go w świeżo rozrobione ciasto. Jeszcze raz przywołałam w pamięci obraz domu i sześć razy przekręciłam klucz w prawo.

Ściana przed moimi oczami zaczęła falować i zmieniła kolor na ciemnowiśniowy. Chwilę później zobaczyłam przed sobą drewniane, stare drzwi. Mój klucz tkwił w ich zamku. Wyjęłam go i nacisnęłam na klamkę.

Po drugiej stronie znajdowała się mała brukowana ścieżka, otoczona falującymi na delikatnym wietrze egzotycznymi roślinami. Tuż za nią widziałam wejście prowadzące do mojego nowego domu.

Odwrociłam się i spojrzałam na demona, który nadal bacznie mnie obserwował.

– Witamy w Piekło – powiedział, uśmiechając się do mnie chyba po raz pierwszy całkowicie szczerze. Odwzajemniłam mimowolnie uśmiech i przeszłam na drugą stronę.

3

Ledwie stanęłam na kostce brukowej, drzwi za moimi plecami zaczęły się zamykać. Po chwili w powietrzu unosił się tylko błyszczący kontur, ślad ich obecności, jednak szybko znikł zdmuchnięty przez morski wiatr.

Wyciągnęłam rękę, lecz napotkałam pustkę. Nie było tutaj ściany. Drzwi zniknęły ostatecznie. Wąski chodnik prowadził od kutej bramy wejściowej do drzwi mojego nowego domu.

Z cichym świstem wypuściłam powietrze, które od dłuższej chwili mimowolnie wstrzymywałam. A więc jestem w Piekło.

Temu zdaniu uparcie przeczyło wszystko, co dostrzegałam dookoła siebie. Żywe kolory, malownicza zatoka, jakby wycięta z magazynu podróżniczego, świergot ptaków wśród drzew, lekka słona bryza.

W oddali widziałam inne rezydencje. W porównaniu z niektórymi budowlami mój kilkunastopokojowy dom wydawał się ledwie chatką... Każdy budynek różnił się od poprzedniego, jednak wszystkie idealnie komponowały się w ten spokojny i senny krajobraz egzotycznego kurortu.

Zawsze mogłam tylko pomarzyć o wycieczce w ciepłe kraje. A teraz? Zupełnie jakbym znalazła się na wybrzeżu słonecznej Grecji.

Ruszyłam powoli w stronę domu. Zacieniony ganek wręcz zapraszał, by przysiąść na chwilę na stylowej kanapie z bambusa i rozkoszować się tym pięknym dniem. Wewnątrz dom okazał się jeszcze wspanialszy. Orientalna stylistyka i umeblowanie sprawiały, że czułam się, jakbym się przeniosła w jedną z tysięcy i jednej baśni opowiadanych szeptem przez

Szeherazadę. Przesunęłam palcami po misternej, kwiecistej mozaice na jednej ze ścian.

Tak. Bardzo mi się tu podobało. Jeśli był to tylko sen, to na razie nie chciałam się z niego budzić.

Położyłam klucz na niskim stoliku zarzuconym grubymi księgami. Odczytałam na głos tytuły na grzbietach:

Regulamin Piekła tom I z VI, Zasady korzystania z mocy, Praca diabła – podstawy, Diabeł – powinność czy obowiązek?,

666 praw i zasad urzędnika piekielnego, Spis 666 restauracji i klubów Niższej Arkadii, Jak stać się ponętą i seksowną w godzinę.

Zaśmiałam się pod nosem. Podejrzywałam, że ostatnia pozycja to raczej drobny upominek powitalny od Beletha.

Za niskim szezlongiem znalazłam resztę okazałych rozmiarów tomów *Regulaminu Piekla* (każdy miał oczywiście 666 stron), a także kilka planów okolicy i poradników. Na razie jednak zostawiłam książki i ruszyłam na dalsze zwiedzanie domu, który okazał się ogromny. Wszystkie pomieszczenia były pełne światła wpadającego przez wysokie okna, zaopatrzone w drewniane okiennice.

Wkońcu dotarłam do głównej sypialni, w której stało ogromne łóżko z baldachimem. Leżała na nim satynowa burgundowa pościel i niezliczone kremowe poduszki. Jego rozmiary mogły sprawić, że w nocy, po ciemku, dwie osoby mogłyby mieć pewien problem ze znalezieniem siebie.

Przepastne szafy pełne były dobrej jakości ubrań. Wzięłam do ręki karminową suknię, której dekolt kończył się gdzieś w okolicach pępka.

– „Diablo gabana” – odczytałam na głos.

Spojrzałam na tył sukni, ale plecy były jeszcze bardziej wycięte. Tak więc to, co początkowo wzięłam za dekolt, chyba rzeczywiście musiało nim być. Beleth chyba śnił, jeżeli myślał, że ją kiedykolwiek włożę...

Przerzuciłam jeszcze kilka ubrań, przyglądając się metkom z nieznanymi markami. W końcu natrafiłam na bluzkę podpisaną M&S.

O! Marks & Spencer? Wreszcie coś ziemskiego i ludzkiego! Zerknęłam na drugą stronę metki. A jednak nie. Mefisto & Szatan...

Sypialnia była połączona z olbrzymią łazienką. Uśmiechnęłam się pod nosem. Skoro ten sen jeszcze trwa, to mogę go wykorzystać. Odkręciłam kurki w wannie i nalałam pachnącego czekoladą płynu do kąpieli.

Jedna ściana w sypialni była cała zbudowana z luster powiększających i pogłębiających całe pomieszczenie. Spojrzałam na siebie. Wyciągnięte na kolanach dżinsy, ubłocone adidas, czarna podkoszulka i potargane włosy. Doprawdy sam seksapil...

Zerknęłam na czerwoną sukienkę porzuconą na szerokim łóżku z baldachimem. Wzięłam ją do ręki. W końcu nic się nie stanie, jeśli ją przymierzę.

Przez następną godzinę, podczas której woda zdążyła wystygnąć, przymierzałam kolejne ubrania, odwieszając starannie te, które mi się podobają, a rzucając na ziemię takie, których nigdy nie włożyła.

Wieczorem, leżąc już w wannie, z maseczką na twarzy i odżywką na włosach, wertowałam *Jak stać się ponętą i seksowną w godzinę*. Nie była to może literatura najwyższych lotów, jednak uznałam, że *Regulamin Piekla* i pozycje dotyczące pracy diabła mogę spokojnie przeczytać później.

Przeciągnęłam się z zadowoleniem. Przyjemnie rozespana przewróciłam się na drugi bok. Na moją twarz padło ciepłe słońce. Mruknęłam pod nosem coś niezrozumiałego. Było mi tak

dobrze. Otworzyłam oczy.

Zobaczyłam wysokie uchylone drzwi, prowadzące na balkon. Biała, półprzezroczysta firanka haftowana w złote róże poruszała się delikatnie na ciepłym wietrze.

Gdzie ja jestem?

Zalała mnie fala wspomnień. Mężczyzna w parku. Nóż. Krew. Ból.

Złapałam się za brzuch i odwinęłam satynową pościel. Na moim brzuchu pod podkoszulkiem nie było najmniejszego śladu. Przesunęłam palcami po gładkiej skórze. Przez chwilę czułam jeszcze fantom dawnego bólu.

Ponownie się rozejrzałam. Zalana światłem, utrzymana w ciepłej tonacji sypialnia mojego nowego domu. W Piekło...

Po raz pierwszy od śmierci po moim policzku potoczyła się słona łza.

To nie sen. Ja umarłam... Ja naprawdę umarłam. Już nie mogłam wmawiać sobie, że to wyjątkowo rozbudowany sen, omam. To wszystko było prawdziwe.

Zacząłam bardzo tęsknić za bratem. Chciałam się do niego przytulić. Pomyślałam o koleżankach. Zuza była dla mnie niczym siostra. Co teraz? Właśnie szykują mój pogrzeb czy dopiero, zaniepokojeni moją nieobecnością, rozpoczęli poszukiwania mojego ciała?

Nie wiem, jak długo leżałam, płacząc. Zegarek na moim nadgarstku zatrzymał się w chwili mojej śmierci. Czas już dla mnie nie istniał.

W końcu wygonił mnie z łóżka głód. Nadal w piżamie, na którą wybrałam pierwszy lepszy podkoszulek i krótkie dresowe spodnie (satynowe koszulki z masą koronek jakoś mnie nie pociągały), zeszłam na dół.

W kuchni odkryłam, że lodówka i wszystkie szafki są puste. Owszem, znalazłam masę garnków, patelni i nowoczesnego sprzętu kuchennego, którego nie potrafiłabym obsługiwać nawet z instrukcją, jednak nie było nawet odrobiny jedzenia.

Zaraz, czy Jezus przypadkiem nie stworzył jedzenia z niczego? Skrzywiłam się. Nigdy nie byłam specjalnie religijna.

Będę musiała podciągnąć swoją wiedzę z zakresu Biblii i historii chrześcijaństwa, bo całkiem tu zginę.

Poszłam do salonu po książkę o korzystaniu z mocy. Powinnam wczoraj od niej zacząć lekturę, a nie od wybitnego dzieła

O tym, jak domowym sposobem zrobić maseczkę oczyszczającą z ogórka. W końcu i tak nie miałam ogórków...

Szybko znalazłam rozdział dotyczący jedzenia i tworzenia przedmiotów.

Ale zaraz? Miałam wskazać na coś palcem? A może zamachać łyżką jak Harry Potter różdżką?

Zdecydowałam się na palec. Wyciągnęłam go w stronę blatu kuchennego i pomyślałam o francuskim rogaliku. Tuż przed moimi oczami pojawił się znikąd. Ha!

Zadowolona z siebie ugryzłam rogalik. Smakował... no właśnie niczym nie smakował.

Wróciłam do książki. Aaa... musiałam pomyśleć o smaku, zapachu, konsystencji, zawartości odżywczej... Nie za dużo do myślenia? Aż jeść się odechciewa...

Spróbowałam. Tym razem dietetyczny rogalik francuski na bezkalorycznym maśle był przepyszny. Zjadłam aż trzy, oczywiście najpierw je powielając, żeby nie musieć myśleć o tym wszystkim jeszcze raz.

Książka o mocy była ciekawsza, niż wskazywałaby na to szara okładka i enigmatyczny tytuł. Po drodze do sypialni stworzyłam na stoliku w salonie kilka fotografii Marka i koleżanek, akwarelę z mojego pokoju na ścianie, rowerek gimnastyczny w kącie telewizor plazmowy z odtwarzaczem DVD, a także regał, na którym stanęły za jednym machnięciem palca w kolejności alfabetycznej wszystkie książki walające się koło szezlongu.

W chwili gdy siedziałam przy toalecie we właśnie stworzonej błękitnej sukience i eksperymentowałam z makijażem, ktoś sześć razy zastukał do drzwi...

Konsultant.

4

Zbiegłam po schodach i otworzyłam drzwi. Tuż za progiem, niedbale oparty o filar na ganku, stał Beleth. Na mój widok uśmiechnął się szeroko i spojrzał na mnie znad lustrzanych szkieł okularów przeciwsłonecznych.

– Kochanie – powiedział niskim, ciepłym głosem, przyprawiającym o gęsią skórkę. – Wyglądasz przepięknie.

Zaczerwieniłam się.

– Dzięki – mruknęłam. – Proszę, wejdz.

Beleth od razu pewnym krokiem wkroczył do salonu i zaczął się ciekawie rozglądać. Uśmiechnął się do mnie:

– Widzę, że cud stworzenia przychodzi ci bez trudu. Wzruszyłam ramionami. To nie było nic trudnego. Już nawet palca nie musiałam używać.

– Teraz jesteś konsultantem? Już nie pracujesz w przydziałach? – zapytałam. – Coś łatwo się przekwalifikowałeś.

– Powiedzmy, że Azazel był mi winny pewną przysługę i pomógł mi zmienić stanowisko. Specjalnie po to, bym mógł cię spotkać.

– Aha...

Patrzyłam na Beletha siedzącego w swobodnej pozie na szezlongu. Rozpięta pod szyją czarna koszula doskonałej jakości perfekcyjnie układała się na jego równie perfekcyjnym torsie. Spokojnie mógłby śpiewać stary polski przebój *Bo we mnie jest seks*. Czarne włosy zaczesał do góry, znowu układając je w niedbałego irokeza. Hebanowy wisior przypominający muzułmański różaniec zniknął pod koszulą.

Usiadłam naprzeciwko niego.

– O czym pomyślałam? – zapytałam.

– Nie mam pojęcia – powiedział, bawiąc się okularami. Jego spojrzenie bezwstydnie błędziło po moich nogach.

Poprawiłam sukienkę, zakrywając kolano.

– To znaczy, że mogę już spokojnie myśleć to, na co mam ochotę, i nikt mnie nie usłyszy? – upewniłam się.

– Chyba że będziesz chciała, żeby ktoś cię usłyszał.

– Jak to? – zdziwiłam się.

– Tak zwany wolny przekaz myślowy, po śmiertelnemu telepatia.

– Po „śmiertelnemu”? – zaśmiałam się.

– Tak mówimy w Niższej Arkadii.

Zmrużyłam oczy. „Dobrze ci w tej koszuli”, pomyślałam, intensywnie pchając tę myśl w stronę Beletha.

– Dziękuję. Mnie też ona bardzo się podoba. – Lekko skłonił głowę. – Szybko się uczysz.

– Bo uczę się od mistrza – palnęłam. W odpowiedzi zaśmiał się serdecznie. – No proszę. Czarować też już umiesz.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Beleth przyglądał mi się uważnie, lustrując bez żenady każdą część mojego ciała. Na jego ustach malował się delikatny, lubieżny uśmiech.

– A więc jesteś konsultantem – zagadnęłam, żeby jakoś przerwać ciszę.

– Tak – mruknął, przenosząc spojrzenie na moje oczy. – Krótko mówiąc, mam cię wprowadzić w życie Piekła. Wyjaśnić rzeczy, których nie znajdziesz w regulaminie, pokazać Niższą Arkadię, pomóc, gdy dostaniesz pierwsze zlecenie targu. Jestem tą osobą, która z radością sprawi także, że nie będziesz się czuła samotna.

To nie jest człowiek, musiałam o tym pamiętać. To diabeł, dlatego jest aż tak pociągający, piękny i seksowny. Z drugiej strony ja jestem diabolicą...

– Wyjaśnij mi to, że jestem diabolicą. Jestem kimś takim jak ty? – zapytałam.

Odłożył okulary na niski stolik.

– Nie. Nie jesteś taka jak ja. Musisz pamiętać, że urodziłaś się człowiekiem, masz ludzką duszę. Ja nie mam duszy. Nigdy nie miałem ciała. Jestem po prostu częścią Boga. Ty jesteś... – urwał, szukając najlepszego określenia. – No co najwyżej ćwiartką.

Ćwiartka Boga. Jak to dumnie brzmi...

Beleth uśmiechnął się lekko na widok mojej miny.

– To nie takie złe. Też należysz do Niego. Jesteś Jego częścią.

– Czyli tylko tym się od siebie różnię?

– Nie. – Zaśmiał się. – Można powiedzieć, że nie jesteśmy tym samym gatunkiem. Ja, tak jak inne anioły, powstałem z ognia. Ty z gliny. Gлина nigdy nie stanie się ogniem. Może się co najwyżej zwęglić...

Chciałam zaprotestować, ale mi przerwał:

– Tu nie chodzi o to, że są między nami jakieś morfologiczne różnice. Tu chodzi o zupełnie inną psychę. Jesteś człowiekiem. Jesteś dobra i zła, szlachetna i zawistna, mądra i głupia. Anioły nie są tak dwoiste, takie słabe. Owszem, zdarza nam się popadać w skrajności. Mamy swoje własne zdanie, także popełniamy błędy, kłamiemy, zazdrościmy, pożądamy. Posiadamy wszystkie wasze słabości, można nawet powiedzieć, że odczuwamy je silniej. Potrafimy jednak nad nimi panować, wykorzystywać je. Chociaż, oczywiście, i u nas znajdują się osobnicy, że tak powiem, nieprzystosowani do życia. Na ogół ludzkie problemy nas bawią. Dla nas nie ma szarości. Jest czerń i biel.

– Hm... coś jak choroba dwubiegunowa? Beletha, potocznie mówiąc, zatkało.

– Nie – w końcu wydusił. – Nie jesteśmy szaleńcami. My tylko czujemy... mocniej.

Musisz zrozumieć, że jest w nas więcej boskości niż we wszystkich ludziach razem wziętych. Wszystko, co robimy, ma cel.

Siedziałam w milczeniu, starając się jakoś to pojąć. Jednak nie było to łatwe. Do tej pory Piekło malowało mi się przed oczami jako kraina, którą władają przystojni szaleńcy, przekonani o swojej boskości. Niższa Arkadia miała wszystkie cechy ludzkiej monarchii...

Zdałam sobie sprawę, że jestem teraz diabolicą. Hej! Należałam do klasy rządzącej!

– Poza tym nie zapominaj, że tak samo jak inni, pamiętam początek świata, który znasz – kontynuował Beleth. – Ja widziałem, jak dopiero się rodził. Pomagałem w dziele jego stworzenia. Widziałem, jak potomkowie Adama popełniają błędy. Uczyłem się. Mojego doświadczenia nie porównasz z żadnym innym.

– Nic co ludzkie nie jest mi obce – wymruczałam.

– *Homo sum, nihil humani a me alienum esse puto* – przytaknął. – Tylko że ja nie jestem człowiekiem.

– Ile znasz języków?

– Wszystkie, które istnieją, i wszystkie, które zniknęły. Trochę przytłoczyła mnie ta masa informacji. Musiałam to sobie poukładać w głowie. Poza tym zrozumiałam wreszcie, że Beleth nie jest taki, na jakiego wygląda. To nie radosny podrywacz niemyślący o przyszłości, ale potężna istota, która po prostu przyjęła taką pozę, bo tak jej wygodnie.

– Zaczynasz rozumieć – stwierdził.

– Słyszysz moje myśli.

– To nietrudne, kiedy w środku krzyczysz. Aż tak wiele siły, by zachować swoje myśli dla siebie, nie posiadasz. Jednak nie musisz się mnie bać. Nie zrobię ci krzywdy.

Usilnie starałam się nie myśleć zbyt głośno, co było bardzo trudne. Znowu poczułam się zagubiona. Bardzo zagubiona.

– Mogę cię przytulić, jeśli chcesz – ochoczo zaproponował Beleth.

– Nie chcę.

W odpowiedzi kiwnął głową ze zrozumieniem. W jego oczach zobaczyłam łagodność.

– Masz wiele twarzy – zauważyłam.

– Taki zostałem stworzony.

Znowu siedzieliśmy w milczeniu. Beleth błędził spojrzeniem po wnętrzu mojego domu, dłużej zatrzymując się na rodzinnych zdjęciach.

– Kto był pierwszy? Adam czy Ewa?

Drgnął zaskoczony moim głosem. Spojrzał na mnie, na jego ustach błąkał się wesoły uśmiech.

– Pytasz serio?

– Tak – odparłam.

– Wy, ludzie, macie dziwne problemy – parsknął. – A czy to ważne, kto był pierwszy?

Wzruszyłam ramionami.

– Byłam ciekawa.

– Przyjrzyj się mi, Wiki. Wyglądam jak mężczyzna. Jestem stworzony na podobieństwo

Boga. Tak samo jak pierwszy człowiek... – W jego policzkach pojawiły się dołeczki, kiedy wesoło zaśmiał się z mojej miny. – Tak, wiem – w końcu wydusił. – Zawiodłem w ten sposób wszystkie feministki na świecie.

Skrzywiłam się. A teraz potężna istota jeszcze się ze mnie wyśmiewała. Urocze...

– A możecie mieć dzieci? – zapytałam. – Skoro macie taką samą budowę jak mężczyźni...

Beleth spowaźniał w jednej chwili. Przyglądał mi się w skupieniu. Z jego twarzy kompletnie nie dało się odgadnąć, o czym myślał.

– To tak zwane tabu... – powiedział.

– Czyli nie odpowiesz? – Nie.

– Skoro się boisz... Zaśmiał się serdecznie.

– Lubię cię, Wiktorio. Jak nikt potrafisz mnie rozbawić.

– Cieszę się... – prychnęłam.

– Skoro nie masz już więcej pytań, to może zrobimy sobie małą wycieczkę? – zaproponował. Zgodziłam się z ulgą. Miałam już dość tej rozmowy. Czułam, że Beleth się mną bawi.

Już wcześniej zauważyłam przed domem czerwone płaskie auto. Gdy wyszliśmy naganek, zapytałam, jaka to marka. Usłyszałam, że Lamborghini Diabło. Czemu mnie to nie zdziwiło?

Chwilę później mknęliśmy szybko wąskimi, krętymi uliczkami po zboczach tuż nad brzegiem morza. Miałam serce w gardle, ale nic nie powiedziałam. Powtarzałam tylko w myślach, że drugi raz nie umrę, gdy spadniemy w przepaść.

Nawet jeśli Beleth słyszał moje myśli, to kompletnie je ignorował, biorąc coraz ostrzejsze zakręty z jeszcze większą prędkością.

Musiałam przyznać, że Piekło było piękne. Przypominało mi malownicze greckie lub tureckie panoramy, jednak pozbawione dusznego, wilgotnego powietrza. Owszem, było ciepło, ale nie gorąco. Zapach słonego morza... Raj...

Gdy wjechaliśmy między budynki, Beleth zwolnił i zaczął opowiadać mi o ich mieszkańcach, a także całym mieście o wdzięcznej nazwie Los Diablos... Swoją nazwę wzięło stąd, że było to największe skupisko diabłów w całej Niższej Arkadii.

Opowiedział mi o powstaniu miasta osiem tysięcy lat temu. Początkowo była to mała nadmorska wioska założona przez kilku obywateli Piekła. Dopiero później stała się modna, teraz zaś zamieszkiwały ją najznamienitsze osobistości „gorącego południa”. W samym sercu dzisiaj już metropolii znajdowała się ogromna rezydencja samego Lucyfera.

Słynne ziemskie Los Angeles także zostało stworzone przez anioły. To odpowiednik piekielnego Los Diablos.

Beleth znowu wydał mi się bardzo ludzki. Śmiał się z moich nieudanych dowcipów, bezwstydnie ze mną flirtował, gdy spacerowaliśmy wolno po mieście, podziwiając widoki i stare domy, i gdy później wpadliśmy na obiad do maleńkiej restauracji.

– Czy w Piekło są pieniądze? – zapytałam, kończąc doskonale risotto.

– Nie – odparł. – U nas nie ma pieniędzy, zarobków, wynagrodzeń, podatków.

Zerknęłam na talerz i na sympatycznego Włocha, który przed chwilą podał nam własnoręcznie przyrządzone jedzenie, a teraz siedział przy barze i popijał herbatę, czytając

książkę. Ciszę w pustej restauracji przerywał tylko szum wentylatora wiszącego pod sufitem i brzęknięcia filiżanki Włocha.

– To jak mu... się odwdzięczymy? – zapytałam.

– Grzecznie dziękujemy i pochwalimy jego kuchnię, a potem wyjdziemy, żeby mógł posprzątać – odrzekł Beleth, wzruszając ramionami.

– I nie będzie miał nic przeciwko, że tak kompletnie za free nam ugotował?

– Ależ to jego hobby. – Mężczyzna zaśmiał się. – W Piekło każdy robi to, na co ma ochotę. On bardzo lubi gotować, ale nie odczuwa przyjemności, robiąc to tylko dla siebie. Dlatego gotuje dla innych. Tak samo inni uprawiają coś dla siebie i dla pozostałych, szyją, czeszą, uczą, piszą artykuły do gazet. To rodzaj spędzania wolnego czasu. Owszem, jest też sporo zmarłych, którzy nie robią nic. Jednak średnio po kilkuset latach objania się też biorą się w końcu do roboty i uczą się być dla innych. Nie tylko dla siebie.

– Utopia. Na Ziemi to by się nie udało – powiedziałam.

– Na Ziemi nie ma diabłów, które w razie potrzeby stworzą żywność, której brakuje – uświadomił mnie Beleth. – Poza tym śmiertelnicy chorują, umierają. Tu nikt nie choruje.

Przetarłam serwetką usta i spojrzałam przez dużą szybę wystawową na spokojną uliczkę, którą przejechało jakieś sportowe auto, a zaraz za nim mężczyzna ubrany w skóry, siedzący na oklep na koniu.

– Idziemy? – zapytałam.

– Jeszcze nie – odpowiedział. – Umówiłem cię tu dzisiaj z kimś, kto wyjaśni ci kilka spraw. Sądzę, że o wiele łatwiej będzie ci porozumieć się z nią niż ze mną.

W tym momencie do lokalu weszła szczupła kobieta o egzotycznych rysach. Miała czarne włosy do ramion, grzywkę i mocno umalowane oczy. Na jej szyi wśród innych ozdób wisiał na srebrnym łańcuchu klucz diabła.

– O, już jest... – Twarz Beletha w jednej chwili się rozjaśniła. Wstał i wyciągnął do niej rękę.

– Piękna jak zawsze. – Przytulił ją i pocałował w policzek.

– Oj, czarusiu... – Poklepała go po ramieniu i zerknęła na mnie.

Czułam na sobie jej taksujące spojrzenie, gdy przyglądała się krytycznie mojej sukience i fryzurze.

– To ta nowa? – bezceremonialnie zapytała Beletha.

– Tak, to Wiktoria... – wyciągnął w moją stronę dłoń. Kobieta przerwała mu:

– Wiktoria to dobre imię. Królewskie.

– Taaak – Beleth puścił do mnie oko. – Wiktorio, jest mi bardzo miło przedstawić ci... Kleopatę.

5

Chwilę później Beleth wyszedł, zostawiając mnie sam na sam... z dawno zmarłą królową Egiptu.

Przyglądałam się jej z zaciekawieniem. Miała dość spory nos (zupełnie jak na kreskówce z Asteriksem i Obeliksem!), ale była bardzo ładna. Egzotyczna uroda połączona z pewnością siebie, widoczną w każdym geście, skutecznie przyciągała uwagę.

– We wszystkich filmach o twoim życiu, które widziałam, grały cię znacznie brzydsze aktorki – wyznałam.

Kleopatra popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Ludzie w dwudziestym pierwszym wieku naprawdę są beznadziejni... Dziewczyno, czego w życiu dokonałaś? Tylko nie spiesz się z odpowiedzią.

Spojrzałam przez witrynę na małą uliczkę. Czego ja dokonałam? Hm... musiałam chwilę się zastanowić.

– Zdałam bardzo dobrze maturę, a za drugim razem zrobiłam prawo jazdy – odezwałam się po długiej ciszy. Kleopatra przerwała grę na gameboyu i zerknęła na mnie z tym samym pobłażliwym uśmiechem, co poprzednio.

– Dziewczyno... – westchnęła, odkładając elektroniczny gadżet na stół, i oparła wdzięcznie brodę na splecionych dłoniach.

– Gdy miałam siedemnaście lat, objęłam władzę nad Egiptem po śmierci mego ojca Ptolemeusza XII Auletasa. By móc władać moim umiłowanym krajem, musiałam poślubić mojego młodszego brata, dziesięcioletniego Ptolemeusza XIII. Nie cierpiałam gówniarza, ale nie miałam wyboru. Jego opiekunowie – zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu – usiłowali się mnie kilkakrotnie pozbyć, lecz im się to nie udało. Wgnano mnie, ale w Palestynie zebrałam wojsko i najechałam na Egipt. Potem przy pomocy mojego kochanego Cezara pozbyłam się i opiekunów, i ich marionetki, czyli głupiego Ptomcia. Po śmierci Cezara razem z moim synem Cezarionem zostaliśmy sami, znowu musieliśmy walczyć o to, by Egipt nie został podzielony i przekazany jakiemuś rzymskiemu namiestnikowi. Dopiero z moim mężem Markiem Antoniuszem doprowadziliśmy Egipt do rozkwitu. Niestety późniejsze zawieruchy i wewnętrzne konflikty w Rzymie zmusiły nas do ustąpienia. Antoniusz popełnił samobójstwo, a ja... no cóż... jako że umarłam kilka lat wcześniej w połogu, sfingowałam swoją śmierć, dając się ugryźć kobrze królewskiej, co na zawsze okryło mnie chwałą i uwielbieniem mego narodu.

Kleopatra promieniała, opowiadając mi historię swojego życia. Patrząc na nią, zrozumiałam, że nie jestem pierwszą (a nawet nie jestem w pierwszej setce...) osobą, która słucha tej skróconej biografii.

Westchnęła ciężko, oceniając mnie spojrzeniem swoich przenikliwych czarnych oczu.

– Trzeba będzie długo nad tobą popracować, by uczynić cię prawdziwą diabolicą...

Zaraz! Jak to umarła w połogu, a parę lat później sfingowała swoją śmierć? Coś mi tu nie pasowało.

– Jak to umarłaś w połogu? Popełniłaś samobójstwo z kobrą... Zrobiła pretensjonalną zdziwioną minę.

– O... to nikt ci tego nie wytłumaczył?

Czułam, że zaraz wybuchnę. Czyżby Beleth zapomniał mi powiedzieć o pewnym drobnym szczególe? Na przykład takim, że może nadal żyję?!

– Nie... – prawie warknęłam. – Czy ja jeszcze żyję? Mogę wrócić na Ziemię?

Teraz na pięknej twarzy Kleopatry malowało się tylko współczucie. Pocieszająco poklepała mnie po dłoni.

– Nie, Wiktorio... Ty nie żyjesz, nie możesz tam wrócić, by żyć...

Posmutniałam. A już myślałam, że może znowu zobaczę brata. Powiem mu, że ze mną wszystko w porządku. Na pewno się martwił. Nie mieszkaliśmy razem, ale często do siebie dzwoniliśmy. Wczoraj nie zadzwoniłam.

Czy już znaleźli moje ciało? Policja kazała mu rozpoznać moje szczątki? Przełknęłam głośno gulę w gardle. Jak mogły wyglądać moje zwłoki? Nie wiedziałam, co zrobił z nimi morderca. Poczułam mdłości.

– Wiktorio... Nie możesz tam wrócić, aby żyć, ale możesz tam wrócić, aby istnieć. – Kleopatra uśmiechnęła się radośnie. Czułam się, jakbym rozmawiała z żeńskim odpowiednikiem Beletha... Czy mówienie zagadkami to domena diabłów, na miłość boską?!

– Posłuchaj, podpisując kontrakt, stałaś się diabolicą. A diabły nie mają ciała – usiłowała mi wytłumaczyć sytuację. – To znaczy, że twoje ziemskie szczątki zamieniły się w popiół w tej samej chwili, w której skończyłaś pisać ostatnią literę swojego nazwiska na formularzu.

– Rozumiem. Czyli nikt nigdy nie znajdzie moich zwłok – odparłam.

No właśnie. Poza tym masz klucz diabła. A z nim możesz przedostać się wszędzie, do każdego wymiaru. Nie możesz I ylko podróżować w czasie. – Skrzywiła się. – To potrafią tylko prawdziwe męskie diabły. Umieją zabierać ze sobą pasażerów, ale nie chcą tego robić, bo im nie wolno. Myślałby kto... W kółko łamią boskie zasady, a zabrać mnie do krainy przodków to nie łaska. Teraz nawet nie mam po co pojawiać się w Egipcie. Panoszy się w nim ta brudna arabska hołota! A co z moją wiarą? Z prawdziwą wiarą w bogów egipskich? Zginęła zamieniona na Allacha.

– Poczekaj – przerwałam jej gderanie. – To znaczy, że mogę wrócić na Ziemię, będę całkowicie widzialna dla wszystkich i będę mogła udawać, że nadal żyję?

– Tak. – Wdzięcznie wzruszyła ramionami. – Ja tak zrobiłam. Otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia. Od razu pospieszyła z wyjaśnieniami:

– Niestety po ciężkim porodzie mojego najmłodszego syna Ptolemeusza Filadelfosa zmarłam z powodu zakażenia. Ale nie chciałam umierać. Po podpisaniu kontraktu dowiedziałam się, że mogę wrócić, i tak zrobiłam. Owszem, musiałam brać udział w targach o dusze, lecz dzięki temu, że byłam skuteczna, mogłam mieć sporo wolnego czasu, który spędzałam z Antoniuszem i dziećmi. No i nadal władałam tym krajem. A potem jeszcze to samobójstwo. Ależ to był akt polityczny! Dzisiejsi politycy nie potrafią zdobyć się na takie czyny. Ciepłe kluchy...

– No, ale ty i tak byłaś martwa. Tobie nie zależało, jak się drugi raz zabijałaś na niby – zauważyłam.

Kontynuowała, tak jakby nie usłyszała mojej uwagi:

– Ach, żałuję, że potem odeszłam w niebyt. Mogłam udać zmartwychwstanie! Wyobrażasz to sobie? Moi wrogowie musieliby mnie uznać jako wcielenie bogini Izydy za jedyną prawowitą władczynię krainy nad Nilem. Jakże żałuję, że wpadłam na ten wspaniały pomysł dopiero po stu latach, gdy już było za późno.

Zdałam sobie sprawę, że ktoś tu cierpiał na przerost ambicji.

– Kleopatra VII, wcielenie bogini Izydy. – Westchnęła z rozkoszą. – Ależ miałabym piękne inskrypcje na pomnikach! I zbudowałabym nowe świątynie! Jedną w Aleksandrii, a drugą w Karnaku! Moi ziomkowie oddawaliby mi hołd i wielbili me imię. Kleopatra VII, wcielenie bogini Izydy... ziemskie wcielenie bogini Izydy... wcielona bogini Izyda... stąpająca po ziemi bogini Izyda...

Odchrząknęłam głośno, przerywając jej litanie pochwalnych tytułów. Poważnie, faceci musieli lecieć na jej urodę, bo charakter miała odrobinę koszmarny...

– To co teraz? – zapytałam. – Mogę wrócić do domu, po klucz, który tam zostawiłam, i udać się na Ziemię, tak?

– Zostawiłaś klucz w domu? – znieruchomiała. – Zwariowałaś?!

Postanowiłam nie odpowiadać, bo najwyraźniej było to pytanie retoryczne.

– Musisz nosić go zawsze przy sobie! A jak ci go ktoś ukradnie?! Drugiego nie dostaniesz! – pouczyła mnie i wrzuciła gameboya do torebki. – Szybko! Idziemy do twojego domu!

– A kto miałby mi go ukraść? – zapytałam lekko zaniepokojona i też wstałam.

Kleopatra wsunęła swój klucz diabła w ścianę restauracji i spojrzała na mnie jak na kompletną idiotkę:

– Haaaalooooo, jesteśmy w Piekło... – oświeciła mnie i wskazała na sufit. – Ci dobrzy i prawi są piętro wyżej.

Wbrew jej przypuszczeniom w moim domu nie było nieproszonego gościa. Klucz leżał tam, gdzie go zostawiłam, czyli spokojnie pod poduszką na szezlongu. No, OK... tam, gdzie mi pewnie wypadł z kieszeni, co oburzona Kleopatra uznała za co najmniej obrazę majestatu.

Na szczęście pozbyłam się jej kilka minut później. Jej mentorskie wywody już mnie męczyły. Poza tym chciałam czym prędzej wrócić.

Wrócić na Ziemię.

Gdy wreszcie udało mi się wyprosić Kleo, mogłam wziąć swój klucz diabła i po przebraniu się w swoje stare ciuchy wejść w ścianę...

6

Weszłam do pokoju w maleńkiej kawalerce na Pradze. Lśniący prostokąt za moimi plecami zniknął tuż po tym, jak postawiłam obie stopy na parkiecie. Potoczyłam spojrzeniem po żółtych ścianach obwieszonych zdjęciami mojej rodziny i przyjaciół, po znajomych, starych meblach. Spojrzałam nawet z czułością na wypalone półkole na podłodze pośrodku pokoju, pamiątkę po ostatnich andrzejkowych wróżbach. BYŁAM W DOMU!

Miałam ochotę skakać wysoko w powietrze. Powiesiłam klucz na szyi i rzuciłam się na swoje łóżko. Mhm... byłam w domu. Znowu westchnęłam, rozkosznie wtulając się w poduszkę.

Zdałam sobie sprawę, że nie zadzwoniłam wczorajszego wieczoru do Marka. Na pewno bardzo się martwił! Kto wie? Może nawet zaczął mnie szukać.

Kurczę, ten zbój pewnie mnie okradł, albo moją komórkę ktoś po prostu znalazł i sobie zatrzymał. Pomyślałam o niej intensywnie.

Sebek przyglądał się srebrnemu cacku w swoich dłoniach. Przypalił skręta, przez co trochę zakręciło mu się w głowie.

Najnowszy samsung. Ale miał szczęście, że go znalazł. I to w trawie na Polach Mokotowskich! Musiał jeszcze tylko wyjąć z niego kartę poprzedniego właściciela, a raczej całkiem niezłej laski, biorąc pod uwagę zdjęcia zapisane w pamięci, i włożyć swoją.

Jeszcze raz obrócił w dłoniach aparat. Był super! Nie mógł się doczekać, kiedy ziomy go zobaczą.

Nagle srebrne cacko zamigotało i zniknęło. Pomiedzy jego palcami była tylko pustka. Przyglądał się swoim dłoniom zaskoczony.

– Kurde... – Spojrzał z dezaprobatą na skręta. – Co to za szajs...

Komórka zmaterializowała się w mojej dłoni. Uśmiechnęłam się pod nosem, gdy stwierdziłam, że z karty nie zniknęła nawet złotówka. Mój uśmiech trochę przygasł, gdy zobaczyłam sześć nieodebranych połączeń od Marka. Czym prędzej do niego oddzwoniłam.

– Wiki, gdzieś ty się do cholery podziewała?! – ryknął w słuchawkę.

– Też cię kocham i miło słyszeć mi twój głos... – wymruczałam.

– Wiesz, jak się martwiłem?! – dalej krzyczał. – Gdzie byłaś? Czemu nie odbierałaś? Co się stało?!

Skrzywiłam się. Teraz jeszcze musiałam kłamać. No, ale przecież nie mogłam mu powiedzieć: „Sorry, braciszku, ale kopnęłam w kalendarz, a Szatan nie pozwolił mi wcześniej zadzwonić”.

– Byłam na imprezie – powiedziałam potulnym głosem. – Nie słyszałam, jak dzwonisz, a potem całkiem zapomniałam oddzwonić. Dzisiaj przez cały dzień miałam prawdziwe urwanie głowy. Wiesz, na uczelni...

– Na imprezie? – znowu ryknął.

Marek zawsze bardzo się o mnie troszczył. Odkąd się niedawno wyprowadziłam, a on zamieszkał z narzeczoną, ciągle mnie kontrolował, martwiąc się, że sama nie dam sobie rady.

– Piłaś? Ktoś cię potem odprowadził do domu? Jakiś chłopak? Najlepiej duży? Wiesz, że mieszkasz w niebezpiecznej dzielnicy. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

– Spokojnie, kolega mnie odprowadził – skłamałam gładko.

– Jaki kolega?

– Spotykamy się od jakiegoś czasu – brnęłam dalej w moją małą mistyfikację. – Dzisiaj też idę z nim na randkę. Będę się za te oszustwa smażyć w Piekło. A nie... zaraz... ja już się w nim smażyć...

– Chcę go poznać – zażądał. – Skąd on jest? To warszawiak? Bo jak jest z innego miasta, to może cię wykorzystać, a potem wcale nie związać się z tobą na zawsze. Wróci tam, skąd przyjechał i...

– Marek... – przerwałam mu. – Czy ty za bardzo nie wybiegasz w przyszłość? Mam dwadzieścia lat... związać się z kimś na stałe zamierzam dopiero za jakiś czas, a o małżeństwie nawet jeszcze nie myślałam.

– O Boże, wy ze sobą śpicie? – W głosie Marka usłyszałam panikę.

I właśnie dlatego poczułam radość, gdy się od niego wyprowadziłam. Chociaż straszliwie za nim tęskniłam, a pusta kawalerka czasami mnie przytłaczała. No i nadal potrafiłam stracić głowę, gdy kran zaczynał cieknąć, gdzieś pękła uszczelka albo po ścianie chodził najzwyklejszy pająk. Niemniej uniemożliwienie mu inwigilowania mojego życia na każdym kroku dawało mi satysfakcję, która spokojnie rekompensowała te drobne niedogodności.

– Marek! – krzyknęłam. – Nie śpię z nikim! Raz się z nim spotkałam, a...

– Raz się z nim spotkałaś, a on już cię odprowadza do domu? – złapał mnie za słowo.

– Marek. Zaczynasz przesadzać. Westchnął ciężko i zaśmiał się pod nosem.

– Jeeezu. Zaczynam zachowywać się jak twój ojciec.

– Dokładnie, pojawiają się u ciebie wszystkie najgorsze cechy...

– No to słuchaj, mała, wujkiem zostać nie zamierzam na razie, wiesz o tym. Rozumiem, że potrzebujesz więcej swobody... przepraszam... ale naprawdę bardzo się o ciebie martwiłem i trochę puściły mi nerwy.

Jeszcze chwilę rozmawialiśmy. Kiedy wreszcie kliknęłam czerwoną słuchawkę na telefonie, westchnęłam z ulgą. Marek potrafił się rozkręcić z kazaniami.

Nagle komórka rozdzwoniła się w mojej dłoni.

– Cześć – powiedziałam do Zuzy, mojej najlepszej przyjaciółki.

Znałyśmy się od podstawówki i zawsze byłyśmy nierozłączne. Poszłyśmy nawet na te same studia.

– Kobieto, usiłuję się do ciebie dodzwonić od dwóch dni! Dzisiaj jest impreza u Tomka, idziesz z nami, słyszysz?

– Eee... – mruknęłam niechętnie. – Trochę mi się nie chce.

– Będzie Piotrek.

Te dwa jakże magiczne słowa podziałały na mnie jak redbull. Dosłownie wyfrunęłam z łóżka i zaczęłam przeglądać szafę w rozpaczliwej próbie znalezienia jakiegoś ekstraciucha. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam, że mogę go sobie po prostu stworzyć.

Ech... Piotr, Piotrek, Piotruś... moja wielka niespełniona miłość. Wysokibrunet, z niesfornymi czarnymi włosami, opadającymi na przenikliwe oczy. Mhm... i ten seksowny, jednodniowy zarost dookoła zmysłowych ust, po których tak często błąkał się ironiczny, odrobinę wszechwiedzący uśmiech.

Jeśli chodzi o wnętrze, nigdy tak naprawdę go nie rozgryzłam. Często milczący, zawsze ważył wszystkie słowa, nigdy nie paplał tak jak ja. Intrygował mnie.

Byłam w nim zakochana od kilku miesięcy. Najzabawniejsze, że wcześniej w ogóle nie zwracałam na niego uwagi. Piotruś był po prostu kumplem, z którym jeździłam autobusem, z którym się wygłupiałam, któremu mogłam o wszystkim powiedzieć.

Tak jakoś dostałam strzałą Amora po tyłku, zupełnie bez powodu, kiedy na jakiejś imprezie siedzieliśmy sami na balkonie i patrzyliśmy w gwiazdy. Rozmawialiśmy o niczym ważnym,

O naszych studiach. Po prostu siedział obok, paląc papierosa i patrząc przez sztachety na szare blokowisko na Żoliborzu, a ja poczułam, że mogłabym siedzieć tak obok niego przez wieczność.

Kurczę... a zawsze sobie powtarzałam: „nie bądź taką kretynką jak Bridget Jones”, a tu co? Jeszcze tylko dziesięć kilo nadwagi i będę mogła z nią konkurować o nagrodę największego pechowca życiowego.

Wsadziłam klucz w ścianę i szybko przeskoczyłam do swojego domu w Los Diablos. Postanowiłam ubrać się w ciuchy, które włożył mi do szafy Beleth. W końcu był facetem, wiedział, co jest sexy.

Rozrzuciłam wszystkie ubrania na łóżku i zaczęłam przykładać je do siebie przed olbrzymim lustrem. Spojrzałam krytycznie w swoje odbicie.

A może by tak...?

Nie.

A może...?

Przed oczami stanęła mi twarz Moniki. Wiedziałam z drugiej ręki, która wiedziała od jeszcze innej pomocnej ręki, że jakiś czas temu Piotrusiowi właśnie Monika się podobała.

Jeszcze raz spojrzałam w lustro. Musiałam wytoczyć cięższą artylerię, jeśli chciałam

powalić go na kolana swoim widokiem i wygrać z Moniką.

Zaraz... a czy teraz też muszę pomyśleć o konsystencji?! Pobiegłam na dół po książkę o używaniu mocy. Chwilę później wypowiedziałam w myśli życzenie. Zaśmiałam się głośno, patrząc na swoje odbicie.

– I tak oto miseczka B stała się C, by naród wybrany mógł się radować! – wykrzyknęłam.

Godzinę później, ładnie ubrana, umalowana i wyperfumowana przeszłam przez ścianę w pustym zaułku na warszawskim

Żoliborzu.

W zabałaganionym mieszkaniu Tomka była już prawie cała moja grupa ze studiów, plus grupy współlokatorów mojego kolegi, z innych uczelni. Podałam mu butelkę wódki i chipsy, które stworzyłam na klatce schodowej (zamiana wody w słabe wino była dobrym pomysłem, ale jakieś dwa tysiące lat temu).

Usiadłam obok koleżanek z drinkiem w dłoni i zaczęłam się rozglądać. Dostrzegłam Monikę, jak zwykle otoczoną wianuszkami facetów (jak ona to robi, ja się pytam?!), a w kącie pokoju Piotrusia z kumplami. Miał na sobie czerwony podkoszulek. Jest brunetem, więc było mu w nim bardzo do twarzy.

Czarny Piotruś – zupełnie jak w tej dziecięcej grze karcianej. Zaraz... czy tam się nie przegrywało, jak się wyciągnęło tę kartę z talii?

Westchnęłam.

– Ziemia do Wiki, ziemia do Wiki – Zuza ryknęła mi nad głową. – Nie rób takiej błogiej miny, bo ludzie będą się zastanawiać, co ty pijesz.

Dziewczyny spojrzały na mnie współczująco.

– Musisz dać sobie z nim spokój – stwierdziła Zuza.

– Rzuć go! – zaśmiała się Magda.

– Żeby go rzucić, musiałabym z nim chodzić – warknęłam.

– Uwaga, tłuczek na horyzoncie – powiedziała ostrzegawczo Kasia.

Jak na komendę wszystkie odwróciłyśmy głowy, błędząc spojrzeniami po ścianach.

Rzeczywiście... W naszą stronę zmierzał Paweł. Jeden z cudownych współlokatorów Tomka. Człowiek z gatunku

„spójrzcie na mnie – szyję mam szerszą od czoła!” Nie cierpiałam go. On zresztą mnie też, od kiedy zwróciłam mu uwagę, że jeszcze trochę sterydów i nie da rady wsadzić sobie tych króciutkich, napakowanych rączek do kieszeni.

To znaczy, szczerze mówiąc, jeśli chodzi o szczegóły, to powiedziałam mu, że nie da rady wziąć pewnej części ciała w dwie ręce, ale cóż...

O, Wiki. – Złośliwie się do mnie uśmiechnął. – Czyżby urosły ci cycki?

A i owszem – odparłam spokojnie i znacząco spojrzałam na jego krocze. – Za to tobie nic nie urosło. Chociaż zaraz... przecież tam nigdy niczego nie było.

Dziewczyny dookoła mnie zaczęły dusić się ze śmiechu, a Paweł stał wściekły, nie mogąc wymyślić żadnej kąśliwej riposty. Nie zdziwiło mnie to. Jego mózg, choćby pozbawiony alkoholu, zawsze działał wolniej od normalnego.

Miałam ochotę jeszcze coś mu powiedzieć, ale to by było jak dobijanie rannego. Nawet względem niego miałam pewne skrupuły.

Zuza pociągnęła mnie za ramię, żeby odejść, póki nie wybuchnie. Paweł naprawdę dorównywał inteligencją trzonkowi od młotka... Jakim cudem dostał się na polibudę i jeszcze go nie wywalili, chyba na zawsze pozostanie dla mnie zagadką.

Podeszliśmy do grupki, w której siedział Piotruś. – Cześć. – Usiadłam obok niego.

Kiwnął mi głową na powitanie i na tym się skończyło. Wrócił do przerwanej rozmowy. Włączyłam się do niej, jednak nie zmieniło to faktu, że dla niego nadal byłam fragmentem barwnego otoczenia.

Urocz...

Miałam głęboki dekolt, znakomicie dopasowane spodnie, ładnie wyglądałam... i nic. Owszem, rykoszet trafił w jego kumpli. Chwilę później Maciek przysunął się do mnie i zaczął ze mną rozmawiać.

Piotruś to albo facet ze stali, albo kompletnie mu się nie podobałam... Co było ze mną nie tak?

W końcu dałam sobie spokój i odeszłam do koleżanek. Za mną poszedł Maciek. Super, jeszcze chwila i znowu się wpakuję. Chyba najgorsze, co istnieje, to powiedzieć komuś, że nie jest się zainteresowanym. Sama nie chciałabym tego usłyszeć, więc przeważnie nie mam serca tego mówić... Przez co zadziwiająco często pakuję się niestety w sytuacje bez wyjścia i muszę iść z kimś na randkę.

Najwytrwalszy dzwonił trzy razy (średnio raz w tygodniu), ale też w końcu zrezygnował, kiedy wciąż mówiłam, że nie mam czasu.

Zuza wciąż mi powtarza, że uciekam, a księżęta z bajki nie będą mnie gonić wiecznie. Zawsze jej odpowiadam, że ani oni nie wyglądają na królewiczów, ani ja na księżniczkę, więc mogłaby mi z łaski swojej dać święty spokój.

Koło drugiej w nocy zagadnęłam Piotrusia, czy nie wraca do domu, tobym się zabrała razem z nim, żeby nie chodzić sama po ciemku. Miałam szansę chociaż w nocnym autobusie być z nim sam na sam. Owszem, szedł już do domu, ale razem z nim Maciek, z którym mieszkał.

Właśnie...

Rozmawiając o wszystkim i o niczym, jechaliśmy autobusem. Piotruś jak zwykle był miły, uprzejmy... i nic poza tym.

Wysiadłam na swoim przystanku i powlekłam się w stronę swojego bloku. Gdy tylko autobus zniknął za zakrętem, a wokół nie było żadnego człowieka, wsadziłam klucz w ścianę i wróciłam do swojego domu w Los Diablos.

Zdjęłam z siebie ciuchy i w samej bieliźnie rzuciłam się na łóżko. Byłam trochę wstawiona, poza tym rozżalona i musiałam to odespać.

– CZYŚ TY ZWARIOWAŁA?! – ktoś ryknął tuż nade mną. Przestraszona poderwałam głowę do góry. Obok mojego łóżka, na fotelu, w kompletnych ciemnościach siedział Beleth. Sięgnęłam po kołdrę i zasłoniłam się nią.

– Co ty tu robisz?! – teraz ja krzyknęłam. – Jak się tu dostałeś?!

– Wyobraź sobie, że przez ścianę...

Strasznie mnie to rozbawiło. Zaczęłam głośno chichotać i nie mogłam przestać. Oho! O jeden (albo cztery – rzecz do dyskusji) kieliszek wódki za dużo.

– No tak, diabełku – wybąkałam i położyłam głowę na poduszce, zamykając oczy. – Przez ścianę...

– Nie zasypiaj! – krzyknął Beleth i wyszarpnął mi poduszkę spod policzka.

– Ej! – zaprotestowałam słabo.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś? – warknął wściekły Beleth, gniotąc moją poduszkę.

Naprawdę był zły. Rozpięte trzy guziki u koszuli ukazywała trójkąt jego piersi. Na oliwkowej skórze znowu rysował się sznurek z nanizanymi hebanowymi paciorkami, przypominający odrobinę różaniec, chociaż mnie kojarzył się bardziej z muzułmańskim sznurem modlitewnym subha, składającym się z trzydziestu trzech koralików, lub indyjskim – mala.

Beleth był niesamowicie przystojny. Nie mogłam oderwać wzroku od jego klatki piersiowej. Zmierzwione włosy, tym razem nieulożone w misternego irokeza, opadały mu na czoło.

– Skup się na tym, co mówię, a nie na tym, jak wyglądam

– zagrzmiał, ale już spokojniej.

W jego oczach zobaczyłam błysk rozbawienia.

– Znowu podsłuchujesz moje myśli – mruknęłam zła, że mnie przejrzał.

– Jak jesteś pijana, to w ogóle ich nie pilnujesz – stwierdził już spokojny i usiadł na brzegu łóżka, oddając mi poduszkę. Zadowolona wsadziłam ją sobie z powrotem pod głowę.

– To oświeć mnie, co zrobiłam, bo pewnie nie będę mogła pójść spać, dopóki tego nie usłyszę...

– Wróciłaś na Ziemię i pokazałaś się ludziom – spoważniał.

– Nie wolno ci tego robić! Ty nie żyjesz!

– Ale Kleopatra powiedziała, że mogę tak zrobić – usiłowałam się bronić.

Jego oczy zabłyśły wściekłością.

– A więc to ona ci to powiedziała?! – krzyknął bardziej do siebie niż do mnie.

W myślach komentując zalety jego fizjonomii, patrzyłam, jak gotuje się ze złości. Ja naprawdę robiłam to mimowolnie. On po prostu był taki śliczny!

– Nie dość, że głośno myślisz, to jeszcze patrząc na twój uśmiech, można wszystko zgadnąć – wymruczał. Wzruszyłam ramionami zadowolona z siebie. A co mi tam!

– Posłuchaj – zaczął swój wywód Beleth. – Nie wolno ci wracać na Ziemię. Rozumiem, że tęsknisz za bliskimi, że chciałaś ich zapewnić, że wszystko jest dobrze, ale nie rób tego. Nikt nie może zobaczyć, jak czynisz cuda, jak przechodzisz przez ściany. Wtedy mogłabyś narobić niezłego zamieszania.

Wow, dobrze, że Beleth nie wiedział, że Kleopatra chciała po swojej śmierci

zmartwychwstać – wtedy by się dopiero wkurzył.

– Nie rób tego, proszę cię. Dla własnego dobra tego nie rób. Skrzywdzisz w ten sposób siebie. Nie jesteś już człowiekiem. Nie żyjesz. Nie możesz cofnąć czasu.

– Tak, tak. Wiem. Tylko diabły mogą cofać się w czasie. Diablice nie... To też mi powiedziała Kleopatra – dodałam szybko, zanim ryknął, skąd to wiem.

– Dobra, nieważne. – Potarł dłonią czoło. – Posłuchaj. Nie powinnaś wracać na Ziemię. Krzywdzisz siebie.

– Zaraz – mruknęłam. – Zdecyduj się. To w końcu mnie nie wolno tego robić i zламаłam jakiś przepis czy mogę to robić, ale jest to niewskazane?

– Nie ma reguły, która zakazywałaby ci to robić. Bycie diablicą jest jedyną możliwością, by można było wracać na

Ziemię... Jednak nie czyn tego, bo możesz narobić okropnego zamieszania.

– A więc będę ostrożna – machnęłam ręką. – *Sorry*, Beleth, ale nie zamierzam rezygnować z życia. Lubię je. A skoro jako diablica mam prawo do podróży na Ziemię, to będę podróżować tak długo, jak mi się podoba.

Siedział zły. Zło wręcz od niego promieniowało, jeżąc mi włoski na karku.

– Nie zmienisz zdania? – zapytał.

– Raczej nie. – Uśmiechnęłam się.

– W takim razie następnym razem jak pójdziesz na Ziemię, to weźmiesz mnie ze sobą – stwierdził.

Jeszcze czego...

Wstał i podszedł do ściany, ignorując moje protesty. Wyciągnął rękę ze złotym kluczem. Już miał wsunąć go w ścianę, ale zawahał się w ostatnim momencie.

– Aha – odwrócił się w moją stronę. – Jutro, a raczej dzisiaj rano, odwiedzi cię Śmierć. Pierwszy targ czeka cię niedługo. Następnie zniknął w lśniącym prostokącie. Oślepiąca, zamknęłam oczy. Nie zdołałam zobaczyć, jak wyglądały jego drzwi.

Śmierć... super! Jeszcze tylko jej brakowało, by była cała wesółą gromadką.

Ukołysana własnym śmiechem, zasnęłam od razu po przyłożeniu policzka do poduszki.

7

Równy o godzinie trzynastej zadzwonił dzwonek do drzwi. Zapewne spałabym znacznie dłużej, ale upierdliwy ktoś za drzwiami nie zdejmował palca z guzika. Przeklinając go głośno, zarzuciłam na siebie satynowy szlafrok i zbiegłam po schodach.

Przelotnie zerknęłam w lustro w sypialni i stwierdziłam, że wyglądam koszmarnie. Włosy sterczały mi we wszystkie strony, niezmyty makijaż lekko się rozmazał. Istna świeżość i radość o poranku...

Zamierzałam zdrowo wygarnąć temu gościowi przy drzwiach, który usiłował chyba przebić się palcem na wylot do środka domu.

Jednak kiedy otworzyłam drzwi, oniemiałam.

Przede mną stał niski człowiek w habitcie. Miał góra metr pięćdziesiąt wzrostu, może nawet metr czterdzieści. Długie rękawy zasłaniały jego dłonie, w których trzymał teczkę z napisem Top secret, a twarz była skryta w cieniu dużego kaptura. Nie byłam pewna, czy to kobieta, czy mężczyzna. Brązowy habit skutecznie tuszował sylwetkę.

– Diablica Wiktoria? – zapytał skrzekliwym głosem gość.

– No... – przytaknęłam. – A ty to...?

– Śmierć. Miło mi cię poznać.

Zorientowałam się, że stoję z otwartymi ustami. Zamknęłam je czym prędzej.

– Mnie ciebie też – mruknęłam i postanowiłam się pilnować, żeby nie wpatrywać się w nią z takim zdziwieniem. – A więc przyniosłaś mi... zlecenie.

Staralam się, żeby zabrzmiało to profesjonalnie.

– Tak. – Śmierć lekko skłoniła głowę i podała mi teczkę w taki sposób, że nie zobaczyłam jej dłoni.

– Dziękuję. Może chciałabyś się czegoś napić? – zaproponowałam uprzejmie, chociaż wcale nie miałam ochoty wpuszczać jej do swojego domu. – Dzisiaj jest strasznie ciepło, a ty jesteś w takiej długiej... sukience.

– Nie jestem kobietą – usłyszałam. Oj... szlag...

– Bardzo przepraszam – powiedziałam szybko. – Po prostu po polsku śmierć jest rodzaju żeńskiego, więc pomyślałam...

– Po angielsku jest męskiego – stwierdził mój gość. – Ale mężczyzną też nie jestem.

– Och... to kim jesteś? – zapytałam zbita z tropu.

– Jestem rodzaju nijakiego – poinformowała mnie z godnością.

– Nijakiego... – powtórzyłam.

Chociaż nie widziałam jej zakapturzonej twarzy, czułam, że się ze mnie śmieje.

– Perełko, a czy słyszałaś o tym, żeby śmierć się rozmnażała? – zapytała mnie. – Skoro się nie rozmnażam, to po co mi rodzaj?

Pokiwałam ze zrozumieniem głową, chociaż nic nie rozumiałam.

– Dostarczę klienta o wyznaczonej godzinie w wyznaczone miejsce – powiedziała zagadkowo Śmierć. – Do zobaczenia.

Odwróciła się do mnie plecami, a przed nią pojawiła się czarna dziura. Nie zauważyłam, żeby wyjmowała skądś klucz. Śmierć widocznie miała swoje sposoby transportu.

Już miałam zamknąć drzwi, kiedy dobiegł mnie jej głos:

– I postaraj się nie wyglądać na targu tak, jakbyś właśnie wstała z łóżka po ciężkiej balandze.

– OK! – odkrzyknęłam, patrząc na czarną dziurę, która wessała Śmierć.

Dobiegł mnie tylko głośny furkot jej habitu i już jej nie było. Czad! Też chcę przenieść czarną dziurę!

Usiadłam przy kuchennym stole i po stworzeniu solidnego śniadania (bezkalorycznego rzecz jasna – za życia o to nie dbałam, to chociaż po śmierci mogę) zasiadłam do czytania zawartości tajemniczej teczki.

Była tam mała książka zatytułowana Krótka biografia Stefana Żytomskiego. Krótka... dobre... miała ze trzysta stron! A także fotki uroczego dziadka i kartka z terminem: poniedziałek, 13 maja, godzina 15.45, rak. Czyli jutro. Miejsca spotkania ze Śmiercią nie podano. Zapytam o to Beletha.

Chyba najpierw będę musiała przeczytać książkę o zawodzie diabła. Jeszcze nawet jej nie tknęłam.

Czytałam do wieczora. Z tego, co zrozumiałam, powinnam nauczyć się wszystkich złych uczynków tego staruszka i przedstawić je w odpowiedzi aniołowi. Skrupulatnie notowałam, począwszy od kopnięcia psa, kiedy pan Stefan miał cztery latka, do złośliwego zatrzaśnięcia sąsiadce drzwi przed nosem razem z jej palcami jakiś tydzień temu.

Nagle, w sypialni, w której leżałam na łóżku, na ścianie obok pojawił się mieniący się prostokąt, który stał się złotymi, rzeźbionymi w hieroglify drzwiami. Jakoś bez problemu domyśliłam się, kto zaraz wparuje do pokoju...

Niemniej trzeba zaznaczyć, że sześć razy zapukała, zanim wtargnęła do środka, nawet nie czekając na moje „proszę”.

– A gdybym była goła? – zapytałam. – Albo przyłapałabyś mnie in flagranti?

Kleopatra prychnęła.

– Daj spokój... ciebie? Większej skromnisi nie widziałam. Taa...

– Ubieraj się! Porywam cię do klubu mojego przodka. Obowiązują stroje wieczorowe. Wszystko, co serwują Pod Głową Anubisa, jest egipskie. To jedyne takie miejsce w całym Piekle.

Zerknęłam na jej połyskującą złotem suknię. Z białego, plisowanego materiału, z

naszytymi koralikami z lapis-lazuli i złota. Jej naszyjnik wyglądał na piekielnie ciężki. Tak samo jak kolczyki i diadem z kobrą królewską.

Kleopatra bez pytania podeszła do mojej szafy i zaczęła przerzucać sukienki. Nie protestowałam. Wróciłam do lektury.

Rzuciła obok mnie czerwoną suknię z głębokim dekoltem.

– Nie ma mowy – mruknęłam.

– Właśnie, że jest! – warknęła. – Nawet nie wiesz, jakie mam przez ciebie kłopoty. Zrobiłam zdziwioną minę. O czym ona bredzi?

– Beleth zrobił mi prawdziwą awanturę, że powiedziałam ci o możliwości powrotu na Ziemię.

– A co ma do tego ta sukienka? – zapytałam.

– Skarbie, bardzo podobasz się Belethowi. On też będzie na tej imprezie. Będziesz wyglądać oszałamiająco i będziesz dla niego miła, dzięki czemu on trochę spuści z tonu i przestanie się na mnie wkurzać.

– Podobam mu się? – zdziwiłam się. – Myślałam, że on się tak zachowuje wobec każdej kobiety. Kleopatra, głośno wzdychając, usiadła obok mnie.

– Jak wiesz, diabłom nie wolno... hm... spółkować z kobietami. To zakazane.

– Beleth coś o tym wspominał – powiedziałam pozornie obojętnym tonem i wzięłam do ręki buty, które rzuciła obok mnie.

Kleo lubiła dużo mówić. Jak nie będę jej naciskać, to zapewne sama powie mi to, co mnie ciekawi.

– Ale ty nie jesteś już kobietą – kontynuowała, tak jak podejrzewałam. – Jesteś diabolicą. A to oznacza, że stałaś się celem dla mnóstwa diabłów. Też byłam takim celem, ale dałam wszystkim do zrozumienia, że nie mam zamiaru stać się ofiarą ich politycznych rozgrywek, więc już od przeszło tysiąca lat mam święty spokój.

– A dlaczego diabły nie mogą kochać kobiet? – zapytałam szczerze zainteresowana.

– Kochać mogą. Zakaz obejmuje uprawianie seksu i ewentualne posiadanie potomstwa.

– To oni mogą mieć dzieci? – wykrzyknęłam. – Tego Beleth nie chciał mi powiedzieć.

– Szczerze mówiąc, to się nie dziwię, po tym, co sam zrobił. No, ubieraj się. Poszłam z suknią do łazienki i krzyknęłam do niej:

– Opowiedz mi o Belecie.

– A potem znowu mi się dostanie, jak mu się wygadasz, co? Wychyliłam się.

– Przysięgam, że nie!

Kleopatra znowu wróciła do przeglądania zawartości mojej szafy.

– Jak wiesz... albo może nie wiesz... w końcu wy w dwudziestym pierwszym wieku nic nie wiecie... – zaczęła Kleopatra, kiedy ja wbijałam się w czerwoną suknię. – Potomkowie aniołów to tak zwani mocarze, giganci czy olbrzymi. Za czasów Noego był potop, by częściowo ich zniszczyć, a potem po prostu powstał zakaz. Musisz zrozumieć, że dzieci aniołów czy diabłów nie są prawdziwymi ludźmi, choć żyją tak jak ludzie. Są większe, silniejsze, agresywniejsze. Teraz już ich nie ma. Wyginęli.

– Ale co to ma do Beletha? – zapytałam, wychodząc w sukni. Czułam się, jakbym była w niej goła. Z powodu głębokich wycięć nie mogłam włożyć stanika. Dekolt, tak jak podejrzewałam, sięgał mi do pępka. Plecy były odsłonięte prawie całkowicie. No cóż... przynajmniej sięgała do ziemi...

– Przydałaby ci się jeszcze biżuteria. – Kleopatra uśmiechnęła się do mnie szeroko.

Posadziła mnie na łóżku i zaczęła tworzyć rozmaite komplety naszyjników i kolczyków. Każdy okazalszy i bardziej błyszczący od poprzedniego.

– A jak to jest związane z Belethem? – zapytałam jeszcze raz.

– A jak sądzisz? Dlaczego od jakichś trzech tysięcy dwustu lat siedzi zdegradowany w przydziałach?

– Ma dziecko?! – odwróciłam się do niej.

– Miał. Achilles zmarł bodajże w tysiąc sto osiemdziesiątym czwartym roku przed naszą erą pod Troją. Nie ma chyba już żadnych żyjących krewnych.

– Achilles był jego synem?! Ten Achilles? Ten?!

– Nie rozumiem, czym się tak podniecasz. Mityczni czy biblijni herosi byli w większości potomkami aniołów. Tacy ludzie się nie rodzą.

Wow... pomyślałam o Pudzianie. Nie... on jest człowiekiem. Półbóg nie reklamowałby piwa.

– To są gdzieś w Piekło albo w Niebie? – zapytałam.

– Nie. – Przyłożyła mi do piersi długi łańcuch z ciężkim rubinem, który zwieszał się pięknie między piersiami. – Idealny.

– To gdzie są? – drażyłam.

– Nie istnieją. Po prostu zniknęli tak jak wszystkie czarne dusze. – Wzruszyła ramionami. – Mówiłam ci, że byli silni i agresywni. Zabijali. Lubili zabijać. Byli szaleni. To była cena za ich siłę i moc. To wszystko działo się na długo przed moimi narodzinami, a jak wiesz, diabły są dość skryte, jeśli chodzi o tak zwane brudy rodzinne, więc dużo ci nie powiem.

Machnęła ręką i od razu moje włosy ułożyły się posłusznie w miękkie fale na ramionach. Uśmiechnęła się do mnie szeroko, zadowolona ze swoich zabiegów.

Możemy iść – oświadczyła i wsadziła swój klucz w ścianę. Poznasz mojego przodka Ramzesa II. Tylko się nie zdziw, ma rude włosy i jest bardzo czuły na tym punkcie. W sumie to mu się nie dziwię... kto by chciał mieć rude włosy?

Nie skomentowałam jej wynurzeń. Swój klucz zatknęłam za szeroką bransoletkę na nadgarstku. Dla pewności obwiązałam ją jeszcze łańcuszkiem.

– To pamiętaj. – Kleopatra zatrzymała się z dłonią na ogromnej klamce. – Masz być miła dla Beletha. Uśmiechaj się i zatańcz z nim ze dwa razy.

Po jej opowieści diabły przestały już wydawać mi się szaleńcami posiadającymi boską moc. Teraz wydawały mi się wygłodniałymi seksualnie szaleńcami posiadającymi boską moc...

Weszłam za nią w ścianę. Po drugiej stronie złożonych drzwi był przyciemniony klub. Mnóstwo osób chodziło w egipskich szatach. Kilku mężczyzn miało tylko ozdobne przepaski na biodrach.

Odprawiane ciekawskimi spojrzeniami, podeszłyśmy do stolika w narożniku, przy którym

w nonszalanckiej pozie siedział wyraźnie znudzony Beleth. Kruczoczarny irokez połyskiwał granatowo w przyciemnionym świetle, a krótko ścięte włosy po bokach wydawały się pochłaniać światło. Przy koszuli miał znowu kilka rozpiętych guzików.

Gdy tylko mnie zobaczył, jego oczy rozjaśniły się. Wstał, gdy siadałam.

– Wyglądasz wspaniale. – Pocałował mnie w rękę. – Jak ucieleśnienie pokusy.

Pilnował się, by bezczelnie nie zerkać mi za dekolt, jednak rozcięcie sukni wyraźnie go przyciągało.

– Ty też. – Puściłam do niego oko, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Zdawałam sobie sprawę z tego, jak wyglądam. Zanim wyszłyśmy, dokładnie przyjrzałam się sobie w lustrze. Karminowa suknia skutecznie zasłaniała to, co powinno być zasłonięte, jednocześnie dając łatwo się domyślić, co się pod nią znajduje. Ciężki rubin błyszczący między piersiami przyciągał spojrzenie. Kleopatra przeszła samą siebie, niemniej czułam się nieswojo w takim ubraniu.

Do naszego stolika podszedł mężczyzna w nakryciu głowy faraona. Spod przepaski wystawały mu rude włosy.

– Witaj, Kleopatro – przywitał naszą towarzyszkę. – Belecie...

– To Wiktoria – przedstawiła mnie. – Nowa diablica.

– Ach, diablica. – Uśmiechnął się chytrze.

Wręcz czułam, jak coś kombinuje i kalkuluje po cichu. Przyjrzałam mu się uważnie. Jego rodacy w starożytnym Egipcie musieli się nieźle naśmiewać z jego dość egzotycznej jak na tamten region, ryżej czupryny.

– Będiesz zawsze mile widziana w moim klubie – powiedział.

– Mnie też miło cię poznać – skłamałam.

– Poprosimy trzy ibisy – powiedziała Kleopatra, na co Ramzes II skłonił głowę i odszedł.

Wdałam się z Belethem w pogawędkę o moim nowym targu, w którym miał mi towarzyszyć. Przystojny diabeł wpatrywał mi się w oczy, zupełnie jakby chciał mnie przewiercić na wylot. Zrobiło mi się gorąco.

Podczas rozmowy Beleth przysunął się bliżej mnie i niedbale położył rękę na oparciu kanapy, tuż za moimi plecami. Czułam pulsujące od niej ciepło.

Po chwili podszedł do nas Ramzes II z trzema czerwonymi drinkami w wysokich szklankach. Pływały w nich poziomki.

– Poziomki? – zdziwiłam się. – One chyba nie rosną w Egipcie...

Kleopatra spojrzała na mnie z wyższością i powiedziała pewnym głosem:

– W Egipcie rośnie wszystko!

Wolałam nie wdawać się z nią w dyskusję. Jeszcze bym się dowiedziała, że kartofle, które przywieźli odkrywcy Ameryki Południowej, jednak też najpierw urosły w Egipcie...

Nagle gwar panujący w sali zatłoczonego już Pod Głową Anubisa przycichł. Przez niezwykle wystawne, dwuskrzydłowe drzwi wkroczyła na salę kobieta ubrana... w taką samą sukienkę jak Kleopatra.

– Hatszepsut – imię przybyłej Kleopatra wycodziła z nienawiścią.

Zerknęłam na Beletha, którego twarz od mojej dzieliło może piętnaście centymetrów. Nie zauważyłam, w którym momencie jeszcze bardziej się do mnie przysunął. Wzruszył ramionami i zaciekawiony śledził ruchy Hatszepsut, której twarz wykrzywiła się we wściekłym grymasie, gdy zobaczyła Kleo w takiej samej sukience. Ruszyła w naszą stronę.

– Wizerunek Izydy nie jest twoją własnością! – wykrzyknęła do Kleopatry. – Znowu musiałaś włożyć jej suknię ceremonialną?! Przecież ty nawet nie jesteś Egipcjanką!

Beleth pochylił się do mnie, odgarnął mi włosy na plecy i wyszeptał prosto do ucha:

– Powtarzają te samą klótnię prawie co tydzień... Hatszepsut rządziła Egiptem o wiele wcześniej przed Kleo i jako jedna z nielicznych kobiet nosiła tytuł faraona. Męski tytuł...

Włoski na karku podniosły mi się pod wpływem jego ciepłego oddechu. Mimowolnie wstrzymałam oddech. Od razu przeklęłam samą siebie za tę słabość do Beletha.

– Może nie jestem Egipcjanką z krwi, ale na pewno lepszą władczynią od ciebie! – wrzasnęła Kleopatra. – Nie musiałam udawać mężczyzny, żeby rządzić krajem!

– Ja przynajmniej byłam faraonem! – odparła oburzona Hatszepsut. – A ty? Grecka plebejka, która dorwała się do władzy!

– Ale ja przynajmniej władałam Egiptem jako kobieta. Nie musiałam przebierać się za faceta i odstawiać całej szopki „róbcie statuy bez biustu”!

– Ale to ja zbudowałam najwspanialsze świątynie!

– Ale to ja jeździłam na wyprawy wojenne! Podczas twoich rządów umocniła się koalicja!

– Ale to nie po moich rządach Egipt został całkowicie przejęty przez Rzym, a nasza wiara umarła!

Na sali zapadła cisza. Hatszepsut wytoczyła najcięższą artylerię. Dawni władcy Egiptu do dziś nie mogli znieść, że już nikt nie czci starych bogów, a także ich samych. Każdy z faraonów otrzymywał bowiem tytuł „wcielenia Horusa”, jednego z bogów panteonu egipskiego.

– Przecież ich wiara i tak nie była prawdziwa – szepnęłam do Beletha. – Nie ma bogów z głowami psów czy ptaków. Jest jeden Bóg, anioły i diabły.

– Od trzeciego tysiąclecia przed naszą erą nikt nie zdołał im jeszcze wytłumaczyć, że ich wiara nie jest prawdziwa. Tobie raczej też się to nie uda... – wymruczał.

Mówił o nich, jednak patrzył na mnie. Podziwiał zagłębienie tuż nad obojczykiem, łuk ramienia, cień rzucany przez brodę. Jego spojrzenie paliło skórę.

– Och, proszę – warknęła Kleopatra. – Idź pogadaj z Belfegorem. Macie wiele wspólnego.

Po drugiej stronie sali, typowo kobiecym gestem, pomachał do nas szczupły mężczyzna z długimi włosami, ubrany... w sukienkę z falbanami...

– A to...? – mruknęłam, ledwo wydobywając dźwięk z zachrypniętego gardła.

Usta Beletha prawie dotykały mojego ucha, przez co ledwo mogłam skupić się na jego słowach.

– To Belfegor, jeden z diabłów. Zanim zaczęliśmy rekrutować kobiety jako diabllice, kochany Belfegor zgodził się udawać kobietę, by w ten sposób kusić mężczyzn. Z początku wszyscy podziwialiśmy go za odwagę i poświęcenie. Potem Belfegorowi bardzo się spodobało być kobietą...

Pokiwałam głową i pochyliłam się w stronę stołu, sięgając po swojego drinka. Musiałam na chwilę odsunąć się od diabła. Przy nim, tak blisko jego ciała, nie mogłam myśleć, skupić się. Byłam na siebie zła za to, jak reagowałam na jego dotyk i spojrzenie.

Pociągnęłam duży łyk. Miałam dość mocną głowę. Nie groziło mi, że po jednym drinku zacznę chichotać jak kretynka i kleić się do Beletha.

Uch, był mocny! Spojrzałam zaskoczona na mojego towarzysza.

– Mają koło pięćdziesiąt procent – odparł i także się napił.

– Pięćdziesiąt procent? Rany, to chyba w większych dawkach można od tego umrzeć! Beleth zatrzymał szklanekę przy ustach. Spojrzał na mnie rozbawiony:

– Kochanie... ty już nie żyjesz... Bardziej nie można.

Po kolejnych kolejkach, których Ramzes II nam nie żałował, ramię Beletha obejmujące moje plecy przestało mi już przeszkadzać. Nawet wyciągnęłam go na parkiet. Szaleliśmy przez kilka godzin, bacznie śledzeni przez czujne spojrzenia innych diabłów. Kilka razy musiałam też zatańczyć z innymi. Nie potrafiłam odmówić.

W końcu, kiedy trochę za bardzo świat zaczął mi wirować, powiedziałam Belethowi, że chyba poszukam ściany.

– Już? – zapytał wyraźnie zawiedziony. Jego dłonie błądziły po moich nagich plecach.

– Tak, chciałabym jeszcze raz przejrzeć swoje notatki jutro rano, a po takiej imprezie mogę być trochę nie do życia. Poza tym okropnie kręci mi się w głowie. – Zaśmiałam się głośno.

– A może cię odwiozę samochodem? – zaproponował. – Dłużej będziemy razem.

– Chcesz prowadzić po pijaku? – zdziwiłam się.

Beleth znowu miał minę, jakbym powiedziała coś bardzo śmiesznego.

– Jestem diabłem, wciąż zapominasz o tym drobnym szczególe – poprowadził mnie w stronę wyjścia. Nie mogłam się powstrzymać – pomachałam Belfegorowi.

Posłał mi uśmiech, dzięki któremu poznałam stan jego ósemek, i wdzięcznie odmachął. Urocze!

Przed wejściem Pod Głową Anubisa, tuż obok nas, zmaterializowało się krwiście czerwone lamborghini Beletha.

Gdy jechaliśmy, opowiadałam mu o mojej liście grzechów pierwszego klienta, o odwiedzinach Śmierci, o mojej ziemskiej rodzinie, płynnie przeszłam nawet do wycięcia wyrostka, kiedy miałam siedemnaście lat. Jednak jemu to nie przeszkadzało, śmiał się i komentował moją historię.

Dojechaliśmy w jednym kawałku. Ani razu nie zarzuciło samochodem.

Beleth odprowadził mnie pod same drzwi. Oparł dłoń na framudze, zagrządzając mi drogę.

– Świetnie się dzisiaj bawiłem.

– Ja też. – Posłałam mu mój uśmiech nr 6 (może bez ósemek, ale z siódmkami na pewno).

Przysunął się bliżej. Delikatnie pogłaskał mnie po ramieniu. Miałam ochotę go pocałować, oj miałam. Był taki pociągający: wysoki, w czarnej koszuli idealnie leżącej na jego idealnej sylwetce, z lekkim uśmiechem na twarzy. Biła z niego męska energia zdobywcy.

Pochylił się i pocałował mnie. Zarzuciłam mu ręce na ramiona, a on objął mnie w pasie.

Jeszcze nikt wcześniej nie całował mnie z takim żarem, uczuciem.

Nikt...

Przed oczami zobaczyłam twarz Piotrusia. Jego pełne usta, czarne jak węgiel oczy, otoczone długimi rzęsami. Gdyby on mnie tak pragnął...

Odsunęłam się od Beletha. Spojrzałam w jego lekko zamglone oczy. Nie powinnam go całować.

– Chyba już pójdę – powiedziałam. – Dziękuję za miły wieczór. Do jutra.

Cmoknęłam go w policzek i przeszłam pod jego ramieniem. Dopiero kilka minut po zamknięciu za sobą drzwi usłyszałam, jak odpala silnik...

8

Beleth powiedział mi, że swoim zachowaniem, radami, opowieściami muszę przekonać zmarłego o tym, że on tak naprawdę chce i zawsze chciał iść do Piekła. Owszem, mogę być przegrana na samym początku, gdy trafi mi się ktoś, kto za życia był wcieleniem cnoty. Wtedy anioł tak mnie zakrzyczy dobrymi uczynkami, że nie dam rady wmówić klientowi, że jego przeznaczeniem jest dobrze bawić się w Piekło.

Jednak gdy życie zmarłego było... powiedzmy normalne, to wtedy można polemizować, jakie jest miejsce jego wiecznego odpoczynku. Wtedy to dusza może zdecydować, gdzie chce iść. Oczywiście każdy wtedy mówi, że chce iść do Nieba – taki stereotyp, że tam niby fajniej. O tym, że na dużych wysokościach może nie być za przyjemnie niskociśnieniowcom, jakoś nikt nigdy nie myśli...

Nie jest też tak, że petent mówi, że chce iść do Nieba i idzie tam. On musi naprawdę tego pragnąć. Trzeba to pragnienie w nim rozpałcić. Przeważnie wszyscy ludzie na targu mają taki mętlik w głowie, że nie ma w ogóle sensu ich pytać, nie potrafią pragnąć z całego serca.

Tak było ze mną. Anioł niby próbował mnie przekonać, ale Azazel go zakrzyczał, a ja byłam taka przestraszona, że idę do Piekła. Nie byłam w stanie myśleć.

Skoro moim pierwszym zleceniem był starszy pan, to postanowiłam się ubrać raczej w stonowane kolory, bez głębokich dekoltów. Nauczyło mnie tego doświadczenie. Osiemdziesięcioletni ochroniarz na mojej uczelni zawsze gromił mnie wzrokiem, ilekroć przechodziłam obok niego w mini.

Pięć minut przed godziną wyznaczonego targu ktoś zapukał do moich drzwi. Z długą na parę metrów listą grzechów pana Stanisława (nie próżnował przez całe życie) zbiegłam po schodach. W progu już czekał na mnie Beleth oparty niedbale o kolumnę na ganku. Uśmiechnął się na mój widok.

– Gotowa?

– Gotowa.

Wsunął swój klucz w ścianę obok mnie. Jeszcze nigdy nie widziałam jego drzwi. Kleopatra, a nawet Hatszepsut, miały złote wrota, określające ich epokę. Moje były zwykłe drewniane, o lekko wiśniowej barwie. A Beletha?

Przed nami zmaterializowały się białe podwójne drzwi z mnóstwem małych szybek w różnych kolorach. Z czymś mi się kojarzyły, ale nie mogłam sobie przypomnieć z czym.

– Ładne – powiedziałam.

Kiwnął głową i przepuścił mnie przed sobą.

Znaleźliśmy się w dziwnym miejscu. Pamiętałam je z chwili mojej śmierci. Było białe, przy ziemi unosiła się mleczna mgła. Nie było ścian ani sufitu. Wszystko było białe i nierealne. Zamazywało się przed oczami.

– Twoim przeciwnikiem będzie Muriel. Należy do chóru Panowań – poinformował mnie Beleth.

– A ty do jakiego chóru należysz? – zapytałam.

Nie wiedziałam, że oni mają jakieś chóry. Kurczę... ja się naprawdę musiałam doksztalić w tej kwestii.

– Potęgi... należałem do Potęg...

– No, gdzie ten anioł? – zapytałam, zmieniając chyba niezbyt miły Belethowi temat.

– Zaraz się pojawi – mruknął.

W chwili gdy to powiedział, naprzeciwko nas pojawiły się czarne, proste drzwi. Przeszedł przez nie wysoki, ubrany na biało mężczyzna. Tak samo jak Beleth był słusznej postury, tylko w odróżnieniu od niego jego twarz okalały półdługie blond włosy, idealnie podkreślające zarys kwadratowej szczęki. Spod grzywki poraziło mnie błękitne spojrzenie. Uśmiechnął się do mnie.

Matko Boska – on wygląda jak Brad Pitt!!!

Beleth miał minę, jakbym go czymś uderzyła, a anioł pochylił szybko głowę, bym nie zobaczyła uśmiechu na jego twarzy.

O cholera... znowu pomyślałam za głośno.

– Witaj, jestem Muriel – starał się być poważny, jednak widziałam, jak pod skrywanym uśmiechem drżą mu kąciki ust.

– Cześć, a ja jestem Wiki. – Uśmiechnęłam się do niego. I za głośno myślę...

Tego Muriel już nie zniósł, zaniósł się głośnym śmiechem, który odbił się echem w tym dziwnym świecie. Jego ciepły śmiech sprawił, że zrobiło mi się wesoło i byłam szczęśliwa. Oho, kolejne czary, Beleth też mnie czasem tym traktował.

Tyle że on używał niskiego, zmysłowego głosu, który otulał mnie niczym aksamit.

Na moje szczęście (i Muriela, bo Beleth wyglądał, jakby miał wybuchnąć) tuż obok nas powstał mały wir, który przeistoczył się w czarną dziurę. Przeszła przez nią Śmierć pod ramię z wystraszonym dziadkiem. Wszyscy od razu spowaźnieliśmy.

Muriel machnął ręką i z niczego powstało krzesło, na którym usiadł pan Stefan. Śmierć pomachała do mnie wesoło i stanęła za nim. Ciekawe po co? Biedak wyglądał, jakby drugi raz miał zamiar umrzeć, tylko tym razem na zawał serca... raczej nie wyglądał, jakby miał ochotę uciekać...

Posłałam mu miły, uspokajający uśmiech. Nie podzielał... Staruszek cały czas patrzył z nadzieją na Muriela, który wyczarował sobie skrzydła. Pozer...

– Panie Stefanie Żytomski – powiedział anioł. – Zmarł pan dzisiaj. Teraz ja i wysłanniczka Piekieł – wskazał na mnie – przeprowadzimy targ o pańską duszę. Od tego zależy, czy trafi pan na wieczny odpoczynek do Nieba, czy na potępienie do Piekła. Jednak

ostateczną decyzję podejmuje pan.

Miałam ochotę zaprotestować. Muriel tak nakreślił sprawę na samym początku, że już prawie nie miałam szans. Staruszek patrzył na mnie teraz z nieufnością.

– Panie Żytomski – odezwałam się szybko. – Wszyscy tutaj chcemy, by podjął pan najlepszą dla siebie decyzję i nie żałował jej przez wieczność, która, jak wszyscy wiemy, jest bardzo długa. Będzie pan musiał zdecydować po tym, jak oboje z Murielem przedstawimy niewątpliwe zalety swoich światów.

– Jasne – mruknął staruszek.

Przystąpiliśmy do dzieła. Ku mojemu zaskoczeniu Muriel zaczął z pamięci cytować wszystkie dobre uczynki Stefana Żytomskiego. Kurde... ja grzechy umiałam tylko ładnie przeczytać. Nie wiedziałam, że muszę się ich nauczyć!

Gdy skończył, spojrzał na mnie z zachętą.

Odchrząknęłam i wyciągnęłam z kieszeni kartkę, która rozwinęła się na parę metrów i upadła na ziemię aż pod stopy dziadka. Ucieszyłam się, że na samym początku swojej listy pogrupowałam sobie, które przykazania i ile razy złamał nieboszczyk.

Wymieniłam znacznie więcej grzechów niż Muriel dobrych uczynków. Ha! Staruszek spojrzał na anioła.

– Chcę iść do Nieba – powiedział pewnym głosem i zwrócił się do anioła: – Mogę, prawda?

– Ależ oczywiście – przytaknął Muriel. – Czekamy już tam na pana. Staruszek uśmiechnął się zadowolony z takiego obrotu spraw.

O nie! On tego pragnie! Nie zdołałam go przestraszyć ogromem jego grzechów! No, co to za człowiek?! W ogóle mu nie przeszkadza, że tyle nagrzeszył? To w dzisiejszych czasach nie ma już skruchy?

– Panie Żytomski – zaczęłam. – Zanim podejmie pan ostateczną decyzję, musi pan zrozumieć, co różni Niebo od Piekła. Tak naprawdę nic ich nie różni.

Wszyscy spojrzeli na mnie lekko zaskoczeni.

– W Piekle jest zdecydowanie lepszy klimat – zachwalałam. – Doskonały na leczenie schorzeń reumatycznych. Mamy wspaniale rozwiniętą sieć restauracji, barów, całą infrastrukturę. Z całą pewnością jest tam wielu pańskich kolegów...

– No jasne – prychnął staruszek. – Te diabły na pewno smażą się w ogniu piekielnym. Należy im się! Zbyszek do dzisiaj nie oddał mi pięćdziesięciu złotych, które przegrał ze mną w karty! A emeryturę dostawał wyższą ode mnie! Umarł, a nie oddał, stary przyk! Dobrze mu tak. A niech się smaży!

Muriel uśmiechnął się do mnie z wyższością i pogardą pewnego siebie zwycięzcy.

– Panie Żytomski, ale co na pana czeka w Niebie? – postanowiłam zacząć z innej strony. – Co pan tam będzie robił przez wieczność? Śpiewał Ave Maria? Można zwariować... Za to w Piekle jest bardzo dużo ładnych... eee... staruszek – mruknęłam do niego.

– Skarbie, ja umarłem na raka prostaty... – oświecił mnie pan Stefan.

Spojrzałam na Śmierć. Tego nie było w dokumentach! Był tylko rak! Śmierć wzruszyła bez troski ramionami.

– Podjąłem decyzję – powiedział uroczyście pan Żytomski. – Chcę iść do Nieba. Pragnę tego z całego serca. Przykro mi, skarbie. – Uśmiechnął się do mnie.

– Ale... – zaczęłam, jednak Beleth położył dłoń na moim ramieniu.

– Koniec targu – oświadczył. – Przegrałaś.

Spojrzałam na zadowolonego z siebie Muriela. Nie miał się z czego cieszyć. Tak naprawdę nic nie zrobił. Po prostu ładnie wyglądał z tymi skrzydełkami, dzięki czemu skusił mojego klienta. Skandal! Uścisnęłam mu dłoń na znak zakończenia targu. Gdy nasze ręce się dotknęły, zapłonęły blaskiem.

Muriel wziął pana Żytomskiego pod ramię i przeszedł z nim przez czarne drzwi. W nicości zostałaam tylko ja, Beleth i Śmierć.

– Nie było tak źle jak na pierwszy raz – zaskrzeczała Śmierć.

– Chociaż z tymi staruszkami to trochę nie trafiłaś.

Jej śmiech brzmiał jeszcze długo po tym, jak zniknęła w czarnej dziurze.

– Naprawdę było dobrze. – Beleth uśmiechnął się do mnie.

– Jeszcze trochę poćwiczysz i na pewno kogoś namówisz na Piekło albo tak zręcznie odczytasz grzechy i podważysz dobre uczynki, że zmarły nie będzie miał prawa decydować. Następnym razem ci się uda.

Następnym razem to przycisnę Śmierć do muru, żeby mi wyśpiewała dokładnie, na co petent umiera...

– No już, mała, nie łam się. – Przyjacielsko objął mnie ramieniem. – To był twój pierwszy raz. Następnym razem pójdzie ci lepiej.

– Kiedy będzie następny raz? – zapytałam.

– Śmierć przyjdzie do ciebie jutro z kolejnym zleceniem. Damy ci więcej czasu na przygotowanie się do niego. Westchnęłam ciężko. Teraz już będę musiała nauczyć się wszystkich grzechów. Durna biurokracja. Zupełnie jak gdyby odczytanie win nie wystarczało...

Otulała mnie ciemność. Zmysłowa, ciepła, bezpieczna. Pewnym krokiem szłam między drzewami. Nie wiedziałam, gdzie idę, nie wiedziałam po co. Czułam, że powinnam iść przed siebie. To nawet nie było przeczucie. To był przymus. Miałam jednak do niego pełne zaufanie. Wiedziałam, że to jest dobre.

Jeszcze głębiej w ciemność, gdzie nie dociera żaden błysk światła latarni. Tam, daleko. Przed siebie.

Potknęłam się. W jednej chwili naszły mnie wątpliwości. Co ja tu robię? Gdzie jestem? Gdzie ja idę?

Jednak rozterki zniknęły tak szybko, jak się pojawiły. Z uśmiechem na ustach znowu szłam przed siebie. Ku swojemu przeznaczeniu.

Nagle coś usłyszałam. Szelest, kroki, czyjś ciężki oddech. Nie przestraszyłam się. Nadal podążałam przed siebie. Pewna tego, że muszę iść. Nie mogłam skręcić, nie mogłam wrócić do przyjaciół, których zostawiłam. Nie pamiętałam gdzie i kiedy. To się teraz nie liczyło.

Musiałam iść przed siebie. Niczym więcej się nie przejmować.

Po prostu iść.

Z ciemności obok mnie wysunął się mężczyzna. Nie widziałam go dokładnie. Jego postać spowijała ciemność. Był wyższy ode mnie. Miał rozpięty czarny płaszcz. Poły wzdęte na wietrze przypominały ogromne skrzydła.

Jego oczy.

Po raz pierwszy poczułam strach.

Jego oczy były puste. Jasnoblękitne, wodniste, pozbawione wszelkich emocji. Wpatrzone we mnie z obojętnością. Błysk ostrza.

Próbowałam uciekać. Biegłam przed siebie. Gdzieś upadł mój telefon komórkowy, który usiłowałam wyciągnąć z kieszeni džinsów. Chciałam krzyknąć, ale z mojego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Mężczyzna biegł za mną. Doganiał.

Szarpnął mnie za ramię. Poczułam potworny ból, gdy dźgnął mnie nożem po raz pierwszy. Jednak bardziej przestraszył mnie jego obojętny, martwy wzrok. Zupełnie jakby nie był świadom tego, co robi.

Milczenie maszyny.

Złapałam go za poły płaszcza, on nadal kurczowo trzymał mnie za ramię, wbijając po raz kolejny ostrze. Czułam, jak krew spływa mi po skórze. Niczym para kochanków w tańcu śmierci staliśmy naprzeciwko siebie. Patrzyłam w te puste oczy, nie wiedząc, gdzie ani czemu jestem. Wiedziałam tylko, że umieram.

Osunęłam się na ziemię, padł na kolana obok mnie. Ciepła krew na zielonej trawie. Raz za razem zaczął wbijać nóż. Strzępkami świadomości zobaczyłam jeszcze, jak jego ciałem przed zadaniem kolejnego ciosu wstrząsnął szloch.

Zerwałam się gwałtownie z łóżka. Odgarnięta satynowa pościel zsunęła się z szelestem na podłogę.

„Gdzie ja jestem?!“ Chyba krzyknęłam to głośno.

Obejmując się za brzuch, rozejrzałam się dookoła. Sypialnia w Los Diablos. Zapaliłam światło i podeszłam do lustra. Zdjęłam podkoszulek.

Nie było śladu, nawet blizn. Jednak wciąż czułam ostry ból wkręcający mi się we wnętrności. Fantom tamtego wieczoru, tamtego cierpienia.

Nadal roztrzęsiona przeszłam przez cały dom, zapalając światła w każdym pokoju. Chciałam przegnać cień, udowodnić sobie, że nic mi już nie grozi, że nikt nie czyha w ciemności z nożem.

W końcu wróciłam do sypialni. Cała się trzęsłam. Na podkoszulek włożyłam jeszcze sweter, mimo to nie mogłam opanować dreszczy wstrząsających moim ciałem. Skuliłam się na łóżku.

Sen jednak nie nadchodził, a ja potrafiłam myśleć tylko o tych oczach. Pozbawionych uczuć, życia... woli?

Coś było nie tak. Moje wspomnienia nie układały się w spójną całość. Pamiętałam tamten wieczór jak przez mgłę. Czemu sama wyszłam? Fragmenty układanki nie pasowały do siebie. W końcu usnęłam przeświadczona, że moja śmierć była dziwna.

9

Następnego dnia o godzinie trzynastej czekałam już przy drzwiach. Wcześniej załatwiłam parę spraw na uczelni. Skoro udawałam, że żyję, to wypadałoby także udawać, że studiuję. Przez cały dzień skutecznie znajdowałam sobie najróżniejsze zajęcia, byleby tylko nie myśleć o wczorajszym śnie. O tych pustych oczach...

Gdy Śmierć zawisła na dzwonku, od razu jej otworzyłam.

– O, czekałaś – powiedziała zaskoczona. – Mam zlecenie.

– Domyślam się... – wysyczałam. – Wejdz do środka. Mam do ciebie kilka pytań. Musisz mi opowiedzieć o śmierci nowego klienta, żebym znowu nie popełniła takiej samej gafy...

– Chętnie napiję się herbaty...

To śmierć pije? Nie skomentowałam tego. Wskoczyła zwinnie na barowy stółek w kuchni, kiedy ja parzyłam zieloną herbatę w dzbanku.

– Może usiadzimy w jadalni? – zaproponowałam.

– Nie, tu mi się podoba – odparła.

Chwilę później przeglądałam dokumenty, które mi przyniosła, w poszukiwaniu daty i przyczyny zgonu, gdy ona spokojnie popijała herbatę. Robiła to tak sprytnie, że nie było widać jej twarzy.

– Czemu nie zdejmiesz kaptura? Nie jest ci ciepło? – zapytałam przebiegle.

– Nie, jest mi w sam raz – zaskrzeczała. – Ładnie u ciebie.

– Dzięki.

Niestety nie dała się złapać na mój drobny wybieg.

– Wiem, o co ci chodzi. Chcesz zobaczyć, jak wyglądam. – Zaśmiała się.

– Nie przeczę – odparłam.

– A więc patrz...

Zsunęła kaptur, pod którym... nie było nic. Ooo...

Nie miała głowy ani szyi. Brązowy habit otaczał nieistniejący kark, skrywając resztę ciała w mroku.

– Jesteś niewidzialna? – zapytałam.

– Nie. Poza tym niewidzialne, jeśli już. Zapominasz, że nie mam rodzaju. Nie, nie jestem niewidzialne. Po prostu mnie nie ma.

Wyciągnęłam rękę i machnęłam nią w powietrzu, w miejscu, w którym Śmierć powinna

mieć głowę. Nie napotkałam żadnego oporu. Pustka. Zwykle powietrze. Tam rzeczywiście nie było głowy! Śmierć... nie istniała.

Ooo... ale jak to? – Nie mogłam tego pojąć.

– Mnie tak naprawdę nie ma. – Z powrotem narzuciła kaptur na głowę.

Materiał przybrał kształt nieistniejącej czaszki. Wychyliłam się i zajrzałam pod stół. Nie widziałam stóp opartych o szczeble wysokiego stołka. Habit opierał się na nieistniejących kolanach, jednak nie było widać nóg ani butów. Śmierć widocznie nie korzystała z obuwia.

– Ale do mnie mówisz... – zauważyłam. – I pijesz moją herbatę...

Pochyliła głowę, jakby wpatrywała się w kubek. – Faktycznie. Piję twoją herbatę, jednak mnie tu nadal nie ma.

– Czyli jak zdejmiesz habit, to jesteś czy cię nie ma? – drażyłam dalej temat.

– Jestem, ale mnie nie ma. To przydatne, kiedy trzeba się do kogoś niepostrzeżenie podkraść. Niektórzy usiłują uciec Śmierci – powiedziała tonem, który wyraźnie sugerował niepoczytalność tych osób.

– A właśnie – podchwyciłam. – Bo legendy mówią, że można z tobą zagrać o życie. To prawda? Machnęła lekceważąco ręką.

– Tak, ale ja zawsze wygrywam. To znaczy, nie udało mi się tylko trzy razy... Jednak to i tak nieźle jak na tyle miliardów istnień, które stanęły u bram targu.

– A w jakie gry... eee... nie wiem, jak to powiedzieć, przegrałoś? – zapytałam z ciekawością.

To mogła być przydatna informacja. Może dam radę podpowiedzieć Markowi, jaką grę powinien zacząć trenować!

– Ech... nie ma się czym chwalić... Pewien informatyk miał umrzeć. No i zagraliśmy, kto napisze lepszy program. Następnie oba po sobie wypuściliśmy na rynek.

Programowanie jako gra...? To mógł wymyślić tylko informatyk...

– I co się stało?

– On napisał XP, a ja Vistę... Nie wiem dlaczego, ale nikt nie pokochał mojej Visty... No i trzeba było dać mu kolejne trzydzieści lat...

Zakrztusiłam się herbatą. Mój brat zawsze twierdził, że Vista to wymysł Szatana. No cóż... odrobinę się pomylił.

– Przykro mi – powiedziałam.

Śmierć pokiwała smutno głową. Widać po niej było, że nie mogła przeżyć, że informatyk wyrwał jej się z rąk.

– A dlaczego często przedstawiają cię z kosą? Jeszcze cię nie widziałam z kosą – dociekałam dalej.

Bardzo zainteresował mnie ten temat. Śmierć była... osobliwą postacią. Zupełnie niepowtarzalną i pełną sprzeczności. W sumie była całkiem sympatyczna.

– Nie wiem... – mruknęła. – Czasem chodzę z toporem, bo niektórzy nie chcą umrzeć od razu. Ale skąd im się wzięła ta kosa? Nie wiem...

Po tej krótkiej odpowiedzi nie byłam już taka pewna, czy ona aby jest sympatyczna, i zdecydowałam się nie zadawać jej więcej pytań. Nie chciałam wiedzieć, co ona robi z tym

toporem...

– O, teraz będzie wypadek motocyklowy – zmieniłam temat, wpatrując się w biografię nowego klienta. – Facet wjedzie pod ciężarówkę. O drugiej w noooocy? To my pracujemy w nocy?

Spojrzałam zde gustowana na Śmierć. Ta praca coraz mniej mi się podobała. Nie dość, że anioły mają ciągle przewagę ze względu na stereotypy, to na dodatek mam pracować w nocy? Lubię spać...

– Ludzie ciągle umierają – powiedziała obojętnie. Zerknęłam na nią.

– A teraz nie umierają? – zapytałam. – Masz czas tu ze mną siedzieć.

– Zawsze mogę się cofnąć w czasie – zaśmiała się.

Nagle mnie coś tknęło. Czemu nie było jej przy mnie, kiedy ja umierałam? Czemu nie poprowadziła mnie w nicość? Nie stała za moim krzesłem podczas targu? Wtedy w krainie mgły, gdzie istoty wieczne decydują o przyszłości zmarłego, jej nie było. Byliśmy tylko we trójkę. Ja nieznanymi mi anioł i diabeł Azazel.

– Czemu ja cię nie pamiętam z mojej śmierci? – zapytałam.

– Bo mnie tam nie było – odparła.

– Czemu? Nie jesteś przy wszystkich zgonach?

– Jestem przy każdej śmierci – powiedziała.

Była zła. Wyczuwałam wściekłość w jej skrzekliwym głosie. Odstawiła z głośnym stukiem kubek na kuchenny blat.

– Twoje śmierć była inna. Nie była zaplanowana. – Westchnęła i dołała sobie aromatycznego napoju z dzbanka.

Śmierć spokojnie popijała herbatę. Wydawała się zupełnie nieświadoma, jaką rewelacją mnie właśnie poczęstowała. Za to ja nie mogłam ruszyć się z miejsca.

Jak to moja śmierć była przypadkowa? Co to znaczy? Przecież oni wszystko mają dokładnie zaplanowane, a także katalogowane rok wcześniej. Na litość boską, przecież Piekło to pierwowzór skarbówki. Oni wiedzą wszystko!

– Jak to przypadek? – wydusiłam w końcu. – Wyjaśnij mi to!

– No przypadek. Nie wiedziałam, że umrzesz. Dowiedziałam się po herbacie – wskazała na kubek i zaskrzeczała szorstkim śmiechem setnie ubawiona z własnego dowcipu.

– Ale jesteś Śmiercią – wycodziłam – Jak możesz nie wiedzieć, że ktoś umrze.

– A..a zdarza się – westchnęła. – przeważnie wtedy kiedy nasi mieszają się do tego. Hitler miał dożyć dziewięćdziesiątki, a Rzesza miała zajmować całą Europę. No, ale Lucyfer stwierdził, że to przesada i że jak tylu ludzi umrze w czasie prześladowań w jednej chwili, to nie starczy nam personelu, żeby wszystkich obsłużyć, więc na Hitlera został wydany wyrok.

– Na mnie też ktoś wydał wyrok? – zapytałam po chwili milczenia.

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Dlatego to takie ciekawe.

– Taa.. Strasznie

Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu. Ciszę przerywało tylko siorbanie Śmierci.

Czemu zostałam zamordowana. To nie było zaplanowane, czyli dogorywanie od ran klutych

na Polach Mokotowskich, nie było moim przeznaczeniem. Poza tym nikt nie raczył poinformować o tym Śmierci. Poczulałam się oszukana.

– Jak mogę się dowiedzieć dlaczego umarłam? – zapytałam. – Ktoś to musi wiedzieć, prawda?

– Idź do działu zatrudnienia. Pokój nr 6. tam powinni mieć twoją biografię, w której będzie to napisane. Zeskoczyła ze stołka barowego na podłogę. – Dobra ja musze już iść. Dzisiaj trzęsienie ziemi we Włoszech. – jej zadowolony głos przyprawił mnie o dreszcze.

Odprowadziłam mojego małego gościa do drzwi. Śmierć poruszała się zupełnie bezgłośnie. Hmm. ..czyżby kolejny ewolucyjny dodatek do zawodu.

10

Przeszłam przez ścianę w jakiejś ciemnej bramie w Śródmieściu. Wystraszyłam małego burego kota z jednym rudym uchem, który z łoskotem wskoczył do kontenera na śmieci.

– Przepraszam, kiciu – krzyknęłam do niego, ale dobiegło mnie tylko gniewne furkotanie i szelest torebki foliowej.

W zeszłym tygodniu udało mi się skutecznie zahipnotyzować wykładowców, którzy byli przekonani, że uczestniczyłam we wszystkich wykładach i ćwiczeniach. Rano w ten sam sposób zaliczyłam prawie na maksymalną ilość punktów test z biologii.

Jednak teraz miałam mieć zajęcia z Piotrusiem, więc zależało mi, żeby na nie pójść. To znaczy, nie były to de facto zajęcia z nim. Po prostu kilka grup ma zajęcia na olbrzymiej sali mikroskopowej. Nie zmieniało to jednak faktu, że miałam okazję go zobaczyć. Wiem... to było żałosne. To całe idealizowanie go jako tego najpiękniejszego, najwspanialszego, najmądrzejszego. Tego jedyne. Tylko że... ja nic nie mogłam na to poradzić, że tak robiłam.

Wkroczyłam na salę, przechodząc obok jego krzesła.

– Cześć – uśmiechnęłam się do niego wesoło.

– O, hej – także lekko się uśmiechnął.

– Co tam u ciebie? – zapytałam, siadając na ławce i skutecznie ignorując wianuszek koleżanek, który zawsze go otaczał.

– A nic ciekawego. Na imprezie wczoraj byłem, nieprzytomny jestem.

– Aha... – kompletnie nie wiedziałam, co mam jeszcze powiedzieć, czy o coś pytać, czy milczeć i czekać, aż on się odezwie.

Nie odezwał się. Wpatrywał mi się tylko w oczy. Kompletnie nieprzytomny...

Czemu zawsze, ale to zawsze, jak z nim rozmawiam, mam wrażenie, że mu przeszkadzam?

– Dobra, idę do swoich. – Jeszcze raz się uśmiechnęłam.

Kiwnął mi głową, a ja odeszłam, starając się maksymalnie wyprostować plecy i, broń Boże, nie potknąć się na jego oczach. Kiedy usiadłam na swoim miejscu, zerknęłam na niego. Nie patrzył się mnie. Cholera jasna... ale ja jestem beznadziejna! Od razu się zgarbiłam przytłoczona świadomością klęski.

Jakiś czas temu poszliśmy na Starówkę. A raczej to ja go wyciągnęłam. On nigdy mnie nigdzie nie zaprosił, nic nie zaproponował. To ja zawsze wychodziłam z inicjatywą. Naprawdę trudno nie wyglądać na zdesperowaną i narzucającą się, gdy jedyną możliwością zobaczenia

kogoś jest zaproponowanie mu spotkania...

Jedna z wielu sercowych prawd wiary: nie narzucaj się. A jak można tego nie robić w takim wypadku, gdy ktoś jest tak niemrawy i asertywny?! To jak jedna z zasad ubraniowych: nie wkładaj mini i bluzki z głębokim dekoltem, bo będziesz wyglądać jak dziwka. Tego też nie da się przestrzegać – zwłaszcza jak się idzie na imprezę.

Wtedy na Starówce wywaliłam się na schodach. Niby normalne – w końcu ja na prostym w najwygodniejszych butach potrafię się potknąć. Na szczęście nie spaliłam cegły. Zaczęłam się głośno śmiać. To raczej on spanikował i podniósł mnie szybko. Mnie to bardzo ubawiło, było takie... w moim stylu. Mimo to wolałabym tego nie powtórzyć. Uroczą łamagą można być raz. Gorzej jak notorycznie.

Reszta trzygodzinnych zajęć minęła mi na dyskretnym zerkaniu na Piotrusia. Raz złapałam go na patrzeniu w moją stronę. Jednak tylko raz...

Całą grupą wyszliśmy z budynku. Podeszłam szybko do niego i zagadnęłam, czy jedzie do domu, to zabiorę się z nim. Jadąc autobusem, jak zwykle opowiadałam mu coś zabawnego. Śmiał się, brał udział w rozmowie, a ja oczywiście czułam się jak w niebie.

– Odprowadzę cię kawałek – zaskoczył mnie, wysiadając na moim przystanku. – Musisz dokończyć tę przerażającą historię.

Ucieszona, z jeszcze większą energią i dowcipem zakończyłam opowieść o tym, jak wywaliłam się, biegnąc za autobusem. Zawsze mówiłam mu o wszystkim. Tak chciałam podzielić się z nim swoimi opowieściami o Piekle. Jednak nie mogłam. Wzięłyby mnie za wariatkę...

Gdy doszliśmy do mojej klatki, coś żałośnie zamiauczało pod schodami. Spojrzeliśmy w tamtą stronę. Zwinięty w kulkę pod najniższym stopniem siedział mały bury kot z jednym rudym uchem. Zamarłam. Skąd on się tu wziął? Był przecież po drugiej stronie Wisły, w Śródmieściu!

To musiał być inny kot. Tamten nie dałby rady się tutaj dostać. Zresztą skąd miałby wiedzieć, gdzie mieszkam?

Kot przekreślił główkę w moją stronę i miauknął głośno, jakby mi oznajmiał, że wie o mnie wszystko.

– Ooo, jaki śliczny. – Piotruś ukucnął obok niego i pogłaskał go po małym, trójkątnym łebku.

Także ukucnęłam. Kot momentalnie wyskoczył ze swojej kryjówki i znalazł się na moich kolanach. Piotrek zaśmiał się głośno.

– Chyba wybrał cię na nową właścicielkę – stwierdził, nadal go głaszcząc. – Lubię koty. Są naprawdę miłe.

Piotruś zawsze bardzo mało mówił o sobie, o swoim domu. Wydawało się, że nie tęsknił za rodziną, odkąd przyjechał do Warszawy na studia, ale raz zdradził się, wzdychając smętnie za swoim kotem.

Kot wpatrywał się we mnie żółtymi ślepiami, przewiercając mnie na wylot. Poczułam się nieswojo.

– To może go przygarnę. – Uśmiechnęłam się trochę sztywno do Piotrusia i skłamałam: – Zawsze chciałam mieć kota.

Piotrek uśmiechnął się do mnie szeroko.

– To teraz będę cię często odwiedzał.

Wystarczyło tylko to jedno zdanie, by moje drobne kłamstewko zamieniło się w najprawdziwszą prawdę. Mocniej ścisnęłam kotka, żeby mi nie spróbował uciec. On po prostu musiał teraz ze mną zamieszkać. Nie miał wyboru.

– Dobra, ja się już zbieram, o szesnastej mam pociąg do domu, a jeszcze się nie spakowałem. – Piotruś westchnął ciężko, patrząc na zegarek.

Widać było po jego minie, że wolałby jeszcze posiedzieć ze mną i z kotem na schodach.

– Kiedy wrócisz? – zapytałam.

– Koło poniedziałku. Nie wiem jeszcze. Jadę do Gdańska do znajomych, a potem po drodze zatrzymam się w Malborku u rodziny. W końcu trzeba zaopatrzyć się w słoiki na cały miesiąc.

Pożegnaliśmy się i weszłam z kotkiem do mojej małej kawalerki. Postawiłam go na podłodze. Był brudny, trochę śmierdział i nadal przewiercał mnie spojrzeniem. Normalnie zachowywał się jak nawiedzony.

– To nie możesz być ty, prawda? – zapytałam go tak na wszelki wypadek, żeby samej sobie udowodnić, że to najzwyczajniejszy w świecie kot.

Nie zdziwiło mnie, że nie odpowiedział.

– Śmierdzisz – poinformowałam go i strzeliłam palcami.

W jednej chwili brudny brązowy kociak zrobił się czekoladowy, a jego uszko kremowo-rude. Zwierzak obwąchał swoją łapkę i spojrzał na mnie oskarżycielskim wzrokiem.

– Sorry – powiedziałam. – Ciesz się. Jesteś teraz czysty i odrobaczony, a ja nie złapię od ciebie toksoplazmozy.

Stworzyłam mu jeszcze miskę z karmą, wodą, kuwetę w łazience i kilka zabawek, żeby mi z braku rozrywki za szybko nie zniszczył firanek i mebli.

– Dobra, ja spadam do Piekła. – Włożyłam klucz w ścianę. – Chata jest twoja. Demoluj do woli.

Przechodząc przez drzwi, odwróciłam się w jego stronę. Nieufnie obwąchiwał miskę z karmą. No tak... biorąc pod uwagę jego poprzednie warunki, pewnie bardziej by go ucieszyła dwutygodniowa, kompletnie zepsuta ryba ze śmietnika.

Zamknęłam za sobą drzwi i przeszłam do salonu w Los Diablos. Pokój zalany był światłem wpadającym przez ogromne okna. Zupełnie inaczej niż w mojej małej, ciasnej kawalerce na Pradze. Rzuciłam kluczyk na stół przy szezlongu i zamarłam.

Dokładnie naprzeciwko mnie, na jednej z wielu haftowanych poduch, siedział bury kociak z rudym uchem...

– Beleth...? To ty sobie robisz ze mnie jaja? – Wyciągnęłam w jego stronę dłoń.

Kot spojrzał na mnie z naganą i pacnął w palec łapką. Następnie zeskoczył z szezlongu i z wysoko uniesionym ogonem zaczął spacerować po pokoju, obwąchując meble.

Wyprostowałam się. Kompletnie nie wiedziałam, co mam o tym myśleć. Najpierw zmaterializował się za mną na Pradze, a teraz poszedł do Piekła? Nie, no spoko – to bardzo urocze, że jest na tej planecie choć jedna istota, która bez wahania idzie za mną nawet do

Piekła, ale halo... coś tu jest nie tak.

O Boże! A może ja?!

– Czyja cię zabiłam wtedy, jak wpadłeś do kontenera? – wykrzyknęłam, biorąc go na rękę.

Wydawało mi się, że pokręcił głową.

– Czekaj. Jeżeli cię nie zabiłam, pokiwaj jeszcze raz głową na boki. Kociak ziewnął wyraźnie znudzony i pokiwał głową na boki.

– A teraz pokiwaj głową w dół i w górę, na znak, że rozumiesz każde słowo, które mówię. Kot posłusznie pokiwał łebkiem. Z wrażenia o mało go nie upuściłam.

Mam gadającego kota!!! No dobra, tylko rozumiejącego, co mówię, jednak potrafił się ze mną komunikować! Postawiłam go na podłodze. Wrócił do przerwanej wędrówki między meblami.

To chyba odrobinę nienormalne... Rozejrzałam się dookoła i pojęłam coś bardzo prostego. Jestem w Piekło – od tego nie ma chyba nic bardziej nienormalnego.

Kto się może znać na kotach...? Zamyśliłam się. Potrzebny był mi ekspert.

KLEOPATRA!!! – ryknęłam w myślach, mając nadzieję, że mój przekaz do niej dotrze. Nie byłam pewna, jak daleko mogą się nieść słowa za pomocą telepatii.

Nie czekałam długo. Chwilę później naprzeciwko mnie na ścianie pojawiły się kapiące od złota drzwi.

– Co się stało?! – Kleopatra wbiegła, z przekrzywioną koroną i tylko jednym umalowanym okiem. Byłam pełna podziwu, bo najwyraźniej przybiegła tu tak jak stała.

Wskazałam na małą puszystą kulkę u swoich stóp. Kleopatra podążyła spojrzeniem za moim palcem.

– O! Kociak! – wykrzyknęła radośnie i usiadła obok niego na podłodze. – Jaki śliczny! Mój cudowniutki, maleńkiutki.

Puci, puci, puci. – Potarła swoim nosem o jego nosek.

Patrzyłam na nią zdeglustowana. Nie ma to jak widok wielkiej królowej klęczącej na ziemi w sukni z trenem i gulgoczącej na widok małego kota, któremu właśnie włączył się jakiś wyjątkowo głośny moduł mruczenia...

– Kleo – przerwałam ich tete-á-tete. – Wiem, że jest cudny, ale posłuchaj... Opowiedziałam jej szybko, jak mały czworonóg mnie śledził.

– Koty – zaczęła tonem świadczącym o tym, jaka ona jest mądra, a ja głupia – to naturalni łącznicy pomiędzy światem żywych a umarłych. One widzą i czują znacznie więcej niż śmiertelnicy. W Egipcie czciliśmy koty jako wcielenie bogini Bastet.

Bądźmy szczerzy, a czego oni tam nie czcili?

– Na pewno go nie zabiłaś. On po prostu uznał, że jesteś ciekawa i że chce iść dalej przez swoje życie razem z tobą. Koty przynoszą szczęście, mogą wyczuć niebezpieczeństwo, powiedzą ci, gdy ktoś ma wobec ciebie złe zamiary. No... chyba że im na tobie nie zależy, to wtedy ci nie powiedzą... Mnie jeszcze nigdy nie wybrał żaden kot. – Skrzywiła się. – A może chciałbyś zamieszkać ze mną? – zwróciła się teraz do niego. – Jestem królową Egiptu.

Wyrwałam jej kociaka.

– Spadaj, jest mój.

Przyda mi się taki termofor wykrywający niebezpieczeństwo. No i Piotruś go lubi. Dla niego mogłabym przygarnąć nawet krowę.

Westchnęła ciężko, wstając.

– No trudno... – powiedziała i wyczarowała sobie drzwi. – Tylko pamiętaj, koty nienawidzą diabłów płci męskiej.

Kociak zamruczał mi na rękach, kiedy złote drzwi zniknęły i został po nich tylko migoczący zarys. Poglaskałam go pod bródką.

– Jak chcesz się nazywać? – zapytałam.

Wydało mi się, że przewrócił oczami, jakby próbował powiedzieć mi, że tak naprawdę nic go to nie obchodzi.

– To nazwę cię Behemot. Na cześć demonicznego kota z Mistrza i Małgorzaty. Chcesz?

Znowu poruszył głowę.

– A więc miło mi cię poznać, Behemocie. – Przytuliłam go, zupełnie niechcący włączając w nim znowu moduł głośno mruczący.

Z tego wszystkiego całkiem zapomniałam, że miałam się dowiedzieć, jak umarłam.

11

Szłam gdzieś z Piotrusiem. Ulica była zalana słońcem, on trzymał mnie za rękę. Pochylił się, by szeptnąć mi coś do ucha. – MIAU!!!

Wyrwana ze snu poderwałam głowę z poduszki. Tuż obok mnie siedział Behemot i miauczał przeraźliwie.

– Co...? – mruknęłam nieprzytomnie i zerknęłam na zegarek.

Była prawie druga. No tak... mój klient zaraz wpakuje się pod tira. Pięknie... czy oni nie mogą umierać o ludzkich godzinach? Przetarłam dłonią twarz.

– Wstaję – warknęłam do kota, który znowu zaczął na mnie miauczeć.

System informujący w przypadku niecnych zamiarów, termofor, a teraz jeszcze budzik. Ten kot nie jest normalny...

A ty na pewno ze mną nie idziesz – oświadczyłam mu, wbijając się w skórzany kostium.

Tym razem przygotowałam się do targu solidnie. Miałam kilka dni na opracowanie materiałów od Śmierci. Wykułam na pamięć wszystkie grzechy mojego klienta, a także ubrałam się odpowiednio.

Na ścianie naprzeciwko pojawiły się drzwi z przeszklonych, kolorowych szyb. Wszedł przez nie Beleth. Jednak on, inaczej niż Kleopatra, zapukał i poczekał, aż krzyknę „proszę”. Ona nigdy nie czekała.

– Witaj, kochanie. – Uśmiechnął się do mnie.

– Hej... – Wsunęłam na stopy długie botki na niebotycznym obcasie.

Behemot rozwalił się na mojej poduszce i zaczął mrużyć. Tak... specjalnie ci ją wygrzałam swoją twarzą, futrzaku...

– Och, kociak! – wykrzyknął zachwycony Beleth. – Jaki śliczny!

Usiadł obok niego i zaczął go głaskać, na co sierściuch z zadowoleniem mu pozwalał.

– Myślałam, że koty nienawidzą diabłów płci męskiej – powiedziałam.

– Mnie lubią – odparł Beleth. – To ja je wymyśliłem.

– Słucham? – zamarłam w pół ruchu.

Kot przełączył mrużenie na głośniejszy tryb, gdy dłoń Beletha zawędrowała do jego szyi.

– Podczas stworzenia świata Bóg pozwolił nam wymyślać różne istoty. Ja wymyśliłem koty.

– Diabeł rozsiadł się wygodnie na moim łóżku i przyglądał mi się uważnie.

Doskonale widziałam jego lubieżny uśmiech, gdy jego wzrok przesunął się od mojego

głębokiego dekoltu po obcisłe skórzane spodnie.

– Aha... spoko – mruknęłam i wepchnęłam na stopę botek. – A dlaczego one nie lubią innych diabłów?

– To nie był mój zamiar. Tchnąłem w nie za dużo mocy. Wymknęły się spod mojej kontroli. Koty to indywidualiści. Do niczego ich nie zmusisz. – Uśmiechnął się do mnie.

– Wiem... ten przyszedł tu za mną aż z Ziemi.

– Przyda ci się – stwierdził krótko i wstał. – Ostrzeże cię przed niebezpieczeństwem i złymi zamiarami innych. Gotowa?

– Gotowa.

Objął mnie ramieniem.

– A nie mówiłem, że powinnaś ubierać się w skóry, moja bogini seksu?

Zaśmiałam się tylko w odpowiedzi.

W miejscu poza czasem już czekał na nas Muriel. Nie wiedziałam, że ten targ znowu mam odbyć razem z nim. Po prostu super... Nie lubiłam go.

Kiwnął mi głową na powitanie i przecesał dłonią pszeniczne włosy. Jak zwykle miał kompletną pustkę na twarzy. Nie okazywał żadnych emocji. Jego spojrzenie momentalnie zawędrowało w dekolt mojego skózanego kostiumu, który raczej więcej pokazywał, niż ukrywał. Suwak obcisłej kurtki, pod którą miałam tylko biustonosz, zsunęłam poniżej mostka. Widać było koronkę stanika.

Beleth pochylił się w moją stronę i szepnął:

– Brawo. Wodzisz na pokuszenie nawet anioła. Zerknęłam na niego.

– Wolałabym ciebie.

– Ja już od dawna jestem pod twoim urokiem – wyznał z uśmiechem, obejmując mnie w pasie. Lekko zacisnął palce na moim biodrze.

I mam za swoje. Trzeba go było nie prowokować. Zaśmiałam się i odsunęłam.

W tej chwili między nami a Murielem pojawiła się czarna dziura, z której wyszła Śmierć, prowadząc młodego, zdezorientowanego chłopaka w skórzanej kurtce i wysokich butach. Na szczęście nie wyglądał na pokiereszowanego. Bałam się, że trafi tu prosto spod kół tira i będzie się lekko... no cóż... rozsypywał.

Uśmiechnęłam się do niego i otaksowałam go wzrokiem. Tak jak się spodziewałam, chłopak momentalnie stracił zainteresowanie panem ze skrzydełkami. Ha! Jeden lub do zera dla mnie.

Muriel przeszedł do rzeczy. Poinformował klienta, że umarł i trafił na miejsce targu. Następnie wymienił wszystkie dobre uczynki denata. Naprawdę aż mnie rozczuliło, że w piątej klasie podstawówki pożyczył koledze ściągę z geografii. Jednak skrzydlaty jakoś zapomniał dodać, że ta ściągą nawet nie była z tematu klasówki...

– Poza tym nasz zmarły jest dawcą organów. Ma szanse uratować czyjeś życie – oświadczył anioł pełnym wyższości tonem.

– Taa... – bąknęłam i zripostowałam szybko: – O ile sanitariusze zdołają zeskrobać jakąś część jego ciała spod kół ciężarówki.

Muriel rzucił mi złe spojrzenie, ale nie skomentował uwagi. Jak anioł będzie tak dalej zadzierał nosa, to się kiedyś przewróci, bo nie zauważy krawężnika...

Gdy skończył swoją wyliczankę, ja przedstawiłam swój spis. Powiedzenie wszystkiego (łącznie ze wspomnieniem, że nasz ulubieniec roznosił przez pewien czas kilka chorób wenerycznych) zajęło mi jakieś pół godziny. Sebastian Rebek cierpliwie słuchał i widać po nim było, że przeraża go przytłaczająca przewaga złych uczynków nad dobrymi.

Po wyliczance zerknęłam wyczekująco na Muriela. Rzucił mi zaskoczone spojrzenie, że bez walki oddaję mu głos.

– Teraz, Sebastianie – zwrócił się do chłopaka – musisz się zastanowić, gdzie chcesz pójść. Do Nieba czy do Piekła.

– Ooo... to ja mogę wybrać? – zmarły szczerze się zdziwił.

– Taa – mruknęłam znudzona i zaczęłam bawić się włosami.

– Zapewniam cię, że w Niebie poczujesz się spełniony. Zaslugujesz na Niebo – kusił go Muriel.

– Jak ślepy na okulary – prychnęłam i stuknęłam Beletha w ramię. Zaczęliśmy się śmiać.

Zdezorientowany Sebastian spojrzał na mnie.

– A ty nie namawiasz mnie na wybór Piekła? – zapytał. Rybka połknęła haczyk.

– A po co? – znowu się zaśmiałam. – Mamy w Piekło zatrzęsienie ludzi, ledwo można wbić się na imprezę. To oni – wskazałam na Muriela – muszą walczyć o każdą, nawet najbardziej beznadziejną duszyczkę.

– To nikt nie chce iść do Nieba? – nie mógł w to uwierzyć.

– Skarbie – posłałam mu swój najpiękniejszy uśmiech – nikogo nie podniecają wspólne śpiewy i trzymanie się za ręce. Każdy woli iść do nas. Wieczne lato, imprezy na plaży, drinki non stop.

– Imprezy na plaży? – podchwycił zachwycony Sebastian.

– Laski w bikini?

– W bikini i bez bikini. W końcu jak sądzisz, kto wymyślił plaże dla nudystów? Przecież nie oni...

Spojrzeliliśmy wszyscy na Muriela, który był ubrany od stóp do głów na biało. Pod sandałami (oczywiście „Jezuskami” z licznych rzemyków) miał nawet, niczym polski turysta z dowcipów, białe skarpetki. Anioł zaczerwienił się.

– Poza tym opaleniznę trzeba mieć równomierną – stwierdziłam z mocą, wracając do tematu plaż dla nudystów.

– Trzeba – gorliwie poparł mnie Sebastian.

– Tak więc wiesz... Mnie tam jest obojętne, gdzie pójdiesz.

– Wzruszyłam beztrosko ramionami. – Twój wybór, twoja wieczność. My na brak obywateli nie narzekamy. Do nas może przyjść każdy. Nawet najbardziej prawy i cnotliwy.

Sebastian pokiwał głową ze zrozumieniem, zupełnie jakby się poczuwał do pojęcia „cnotliwy”.

– Poza tym – wbiłam ostatnią szpilkę – w Niebie jest zimno. U nas klimat jak nad Morzem

Śródziemnym.

– Zimno? – wdrygnął się Sebastian.

Był przeuroczy. Wręcz zobaczyłam, jak w jego myślach pojawiły się dwa obrazy: śnieg i laski w bikini. Jeden niestety wykluczył drugi...

No przecież pomyśl – powiedziałam. – My jesteśmy blisko jądra Ziemi. Ciepło geotermalne i tak dalej. A oni? W chmurach. Przecież każdy wie, że im wyżej, tym zimniej. Poza tym spójrz na niego. Blondyn – zupełnie jakby urwał się ze Skandynawii. Mogę się założyć, że ma na chacie same meble z Ikei. Muriel był czerwony z wściekłości.

– To nieprawda! – wybuchnął.

– Nieprawda, że u nas cieplej czy że masz meble made by ikea? – zagadnęłam.

Muriel był tak wściekły, że nie zdołał mi nawet odpowiedzieć.

– Chcę iść do Pieła! – oświadczył zadowolony z siebie Sebastian, przerywając nasz spór. Wyciągnęłam dłoń w stronę Muriela.

– On tego pragnie z całego serca – powiedziałam. Sebastian spojrział przeprasząco na anioła.

– Stary, no sorry... ale wiesz... laski w bikini!

Pod Głową Anubisa było tłoczno jak zawsze, niezależnie od pory. Mój skórzany kostium wyróżniał się na tle wystawnych sukien i garniturów.

– Czego się napijesz? – zapytał Beleth.

Nie miałam ochoty na mocnego ibisa. Byłam bardzo zmęczona.

– Nie wiem – odrzekłam, zagłębiając się w poduchach na kanapie. Pokiwał głową. Chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– A co sądzisz o sex on the beach? – zapytał, opierając się obok mnie i patrząc mi głęboko w oczy.

Zamyśliłam się. Tak! Kiedyś próbowałam tego drinka. Bardzo słodki, malinowy. Smaczny.

– Tak – poparłam go. – Dobry pomysł!

Uśmiech Beletha znacznie się powiększył. Jego oczy błyszczały wesoło.

– Osobiście bardzo to lubię, chociaż teraz na plaży może być trochę zimno. W końcu wiesz, dopiero świta. Niemniej nikt nam nie będzie przeszkadzał...

Zdałam sobie sprawę, że zostałam wrobiona.

– Zaraz, zaraz! – Zamachałam rękami. – Ja myślałam, że mówimy o drinku!

– Jakim drinku? – udał oburzenie, jednak zobaczyłam śmiech w jego oczach.

– To ja poproszę ibisa – powiedziałam. Westchnął ciężko.

– To pewnie nie mam co liczyć, że pójdziemy na plażę? – zapytał.

– Nie – zaśmiałam się.

– Ja cię muszę kiedyś porządnie upić – stwierdził.

Jakieś pół godziny później Beleth siedział rozparty na kanapie obok mnie, błędząc znudzonym spojrzeniem po otaczających nas duszach. Zupełnie jak lew, pan i władca świata.

Bezmyślnie bawił się pasmem moich włosów.

Tak samo jak on obserwowałam ludzi, mieszając słomką drinka. Nie miałam nawet siły, żeby na niego warknąć, żeby zostawił moje włosy w spokoju.

Świętowaliśmy moją pierwszą zdobytą duszę, pierwszego potępionego. Byłam zmęczona, oczy mi się same zamykały, w głowie szumiało od poziomkowego ibisa. Jak widać, mój organizm został stworzony do snu o godzinie czwartej rano.

Nie rozmawialiśmy z Belethem – wiedział, że nie mam na to siły i nie próbował sztucznie podtrzymać konwersacji.

Odpowiadało mi to, wystarczało samo siedzenie w tym magicznym miejscu i tracenie czasu.

Pochyliłam się do przodu i oparłam o stół. Dłoń Beletha z mojego ramienia przeniosła się na talię.

Nagle naprzeciwko nas na ścianie pojawiły się ogromne czarne wrota. Podniosłam głowę, którą opierałam na łokciu, i spojrzałam na nie z zaciekawiona. Tak... groźnie... wyglądające drzwi widziałam tylko raz.

Były to drzwi Azazela. Diabła, który sprowadził mnie do Piekła.

Beleth, siedzący obok, wyprostował się gwałtownie. Ręka, która mnie obejmowała w pasie, zacisnęła się lekko. Popychając mocno drzwi, które rozwarły się na boki, na salę wkroczył dumnym krokiem Azazel. Powiódł spojrzeniem czarnych jak węgle oczu po sali. Czarne włosy, sięgające mu do łopatek, miał związane w gruby warkocz.

Uśmiechnął się i oblizał wargi, gdy nas zauważył. Usłyszałam, jak Beleth mruknął coś pod nosem niewyraźnie. Był zły.

– Ach, moja ulubienica! – Azazel przysunął sobie krzesło do naszego stolika i usiadł naprzeciwko mnie. – Co u ciebie słychać? Jak sobie radzisz, diablico?

– Witaj. – Uśmiechnęłam się. – A dobrze, radzę sobie. Dzisiaj wygrałam swój pierwszy targ! Azazel miał minę jak ojciec dumny ze swojej pociechy.

– Gratuluję, maleńka. To co, jesteś mi wdzięczna, że dałem ci moc? Nie wolałabyś być chyba zwykłą potępioną?

Azazel jako pierwszy spotkany przeze mnie diabeł nazwał obywateli Piekła potępionymi. No proszę, ktoś jeszcze poza mną jest niepoprawny politycznie?

– Tak. Gdyby nie to, nie mogłabym wracać na Ziemię. Naprawdę byłam mu za to wdzięczna. Gdybym tak po prostu umarła, już nigdy więcej nie spotkałabym Piotrka.

– Ach... – Azazel uśmiechnął się nieszczerze, zainteresowany moimi słowami. – A więc wracasz na Ziemię?

Beleth poruszył się obok mnie niespokojnie.

– Bardzo dobrze – pochwalił mnie Azazel i uśmiechnął się do Beletha. – Powinnaś brać to, czego życie nie zdążyło ci dać. Zwłaszcza że masz teraz takie możliwości. Możesz tyle działać, zmienić, zdobyć coś, co zwykłemu śmiertelnikowi nie jest przeznaczone...

Beleth odchrząknął, przerywając mu wywód. Przez chwilę mierzyli się bez słowa spojrzeniami.

Jego słowa mnie zaintrygowały. Widząc moje zainteresowanie, uśmiechnął się jeszcze

szerzej, a czarne bezdenne głębie jego oczu zalśniły złowieszczo.

– Pamiętaj, że jesteś teraz sama sobie panią – stwierdził. – Możesz robić to, na co masz ochotę. Do zobaczenia, moja ulubienico. Belecie – skłonił głowę mojemu pięknemu diabłu i wstał.

Zaaferowany Ramzes podbiegł do niego prawie w podskokach.

– Azazelu, już wychodzisz? Nie napijesz się czegoś?

– Nie – splawił go Azazel i wetknął w ścianę ogromny, topornie kuty z żelaza klucz.

Chwilę później zniknął za czarnymi wrotami.

Beleth ponownie się rozluźnił. To spotkanie było mu wybitnie nie w smak.

– Nie powinnaś mu ufać – powiedział, lekko mnie przytulając.

– Dlaczego? – zapytałam przekornie, chociaż doszłam do takich samych wniosków.

Azazel wyglądał, jakby cały czas coś planował, szacował, knuł. Jego oczy były cały czas w ruchu, sondowały, oceniały. Ten diabeł był ucieleśnieniem zła. Zerknęłam na marsową minę Beletha, z jaką przyglądał się ścianie, z której zniknęły drzwi Azazela. Beleth przy nim był... no cóż... jak szczeniaczek.

– Bo Azazelowi ogólnie nie można ufać. On wszystko robi w jednym celu.

– Jakim? – drażylałam dalej.

– Takim, który doprowadzi do spełnienia jego planów. Jak to mówicie wy, ludzie... niecnych planów.

Nie wnikałam już, o jakich niecnych planach mówił Beleth. Nie obchodziły mnie. Byłam zbyt zmęczona.

– Idziemy? – zapytałam. – Chcę się wyspać.

Beleth bez słowa wstał. Wyszliśmy na oświetlony pochodniami plac przed klubem. Czerwone lamborghini mojego diabła już na nas czekało. Beleth otworzył przede mną drzwi.

Podczas jazdy oczy same mi się zamykały. Beleth prawił mi komplementy, a ja odpowiadałam mu sennie. Nieraz ręka zawędrowała mu zamiast na drążek od skrzyni biegów na moje kolano, przez co siedziałam prawie na samych drzwiach.

Byleby tylko nie dawać mu pretekstu.

Pod moim domem otworzył mi drzwi samochodu. Chłodne powietrze trochę mnie orzeźwiło. Już nie chciało mi się tak spać. Odprowadził mnie pod same drzwi, jednak zatrzymał się i znowu zagroził mi drogę.

– Naprawdę pięknie dzisiaj wyglądasz – powiedział i zerknął mi w dekolt. Zaśmiałam się tylko i uśmiechnęłam w podzięcie za komplement.

– Tyle że ja na twoim miejscu rozpiąłbym ten suwak trochę bardziej – wskazał palcem na mój biust.

– Oj Beleth, Beleth – westchnęłam zmęczonym głosem.

– Kochanie – szepnął czule, delikatnie przesuując palcami po moim ramieniu i zbliżając się do mnie.

– Beleth... – powiedziałam teraz w ogóle nieczule, na co się skrzywił.

– Wiki, wcale nie jesteś spontaniczna – mruknął zawiedziony, gdy się odsunęłam.

– Spontaniczna to ja sobie mogę być, jak się przypadkiem potykam, biegnąc za autobusem. – Przewróciłam oczami.

– Czemu nie pozwalasz mi się uwieść? – zapytał z pretensją. – Dlaczego?

Pochylił się i lekko pocałował mnie w policzek. Jego usta wędrowały coraz niżej na szyję.

– Beleth – odepchnęłam go – daj mi spokój. I tak się z tobą nie prześpię.

Odsunął się naburmuszony.

– Dlaczego? Czego mi brak?

– Bo swój pierwszy raz chcę przeżyć, po pierwsze, z kimś, kto mnie kocha, po drugie, z kimś, komu na mnie zależy, i po trzecie, z kimś, kogo sama Kocham – wyjaśniłam mu. – A ty nie spełniasz tych kryteriów.

– A gdybym ci powiedział, że spełniam pierwsze dwa warunki? Wiesz, że to prawda, że to może być prawda – kusił zmysłowym głosem.

– Ale nie spełniasz trzeciego.

Złote oczy Beletha zabłysły w ciemnościach, zupełnie jakby rozświetlił je jakiś wewnętrzny ogień.

– A kto spełnia te trzy warunki? – zapytał cichym, pełnym emocji głosem. – Uważasz, że ten twój Piotr je spełnia? – Zaśmiał się. – Może trzeci, ale na pewno nie dwa pierwsze.

– Skąd o nim wiesz?! – wykrzyknęłam.

– Zapominasz, kim jestem.

– Trzymaj się od niego z daleka – warknęłam.

– Ależ oczywiście – odparł. – Nawet się do niego nie zbliżę. Tak jak on nie zbliży się do ciebie...

Jego słowa zabolowały. A zabolowały tym mocniej, że były prawdziwe.

12

Rankiem wściekła przeszłam przez ścianę do swojej kawalerki. Behemot przeskoczył szybko za mną, ledwo unikając przycięcia ogona drzwiami, co głośno skomentował rozdrażnionym prychnięciem. – Daj mi spokój! – krzyknęłam na niego. Zaskoczony, zatrzymał się w pół kroku z jedną łapką uniesioną do góry. Posłusznie usuwał mi się z drogi, gdy biegałam w szale po mieszkaniu, szukając torby i zeszytu, w którym piszę na zajęciach.

Nie dość, że wczoraj Beleth mnie rozzłościł, to jeszcze rano zadzwonił do mnie Marek z prośbą, a raczej rozkazem przyprowadzenia dzisiaj mojego chłopaka do nich na obiad. Moja zmyślona bajeczka na potrzeby nadopiekuńczego brata nabrała nagle realności. Skąd ja wytrzasnę chłopaka w dziesięć godzin, skoro od lat nie potrafię go spotkać?!

Nie chciałam, żeby Marek dowiedział się, że go okłamałam. Musiałam szybko znaleźć jakiegoś faceta, który będzie chciał udawać przed moją rodziną.

Postanowiłam poprosić o pomoc Piotrusia. Na pewno się zgodzi. Ta maskarada go pewnie rozbawi.

Wybiegłam przed dom, wyławiając z przepastnej torby kluczyki do samochodu. Dzisiaj zajęcia mieliśmy w kompleksie akademickim pod miastem. Postanowiłam tam podjechać swoim małym autkiem, które dostałam w spadku po Marku jakiś rok temu. Po drodze miałam zabrać Piotrusia. Jak zwykle pewnie będę sterczeć pod jego blokiem piętnaście minut, zanim zdąży zejść.

Usiadłam za kierownicą, przeklinając głośno wszystko, czego tak nienawidzę w swoim życiu- niezyciu. Zerknęłam na licznik benzyny. Pięknie.

Pstryknęłam palcami, a bak natychmiast się napełnił. Jeszcze tego mi brakowało, żeby powtórzyć sytuację sprzed kilku miesięcy.

Jechałam wtedy z Piotrusiem moim samochodem pod miasto do znajomych na działkę. Oczywiście nie zauważyłam, że nie mam paliwa. Na szczęście benzyna litościwie skończyła nam się jakieś pięćdziesiąt metrów od stacji benzynowej.

Dopchaliśmy tam moją corcę, a raczej to Piotruś pchał – ja byłam w białej spódnicy. Niemniej dawałam mu wskazówki, jak ma pchać.

Gdy stanęliśmy już pod stacją, Piotrek powiedział:

– Dobra, to się zrzucamy. Tylko po ile? – Spojrzał na mnie swoimi czarnymi oczami, w które mogłabym patrzeć bez końca. – Ja nie mam gotówki, tylko kartę.

– Już ci mówię – mruknęłam, grzebiąc w portmonetce.

Na samym dnie portfela znalazłam pięć złotych i dwadzieścia trzy grosze, a także łuskę karpia, plaster, dwie tabletki paracetamolu i kilka paragonów.

– To po ile się zrzucamy? – Piotruś ponowił pytanie. Spojrzałam na niego zakłopotana.

– Moje pięć złotych i twoja karta...? – zaproponowałam nieśmiało.

Na początku go zatkało, ale potem się śmiał. No i oczywiście zwróciłam mu za tamtą benzynę. Niemniej teraz wołałabym takiej sytuacji uniknąć.

Ostrożnie ruszyłam. Ponieważ dawno nie jeździłam, wyjeżdżając z parkingu, stuknęłam samochód za sobą. Zaczął wyć.

Kurde...

Machnęłam ręką. Pojazd zamilkł, a małe wgniecenie zniknęło. Jadąc powoli, przez co inne samochody mnie omijały, dotarłam pod blok Piotrka. Westchnęłam z ulgą. Naprawdę nie lubiłam jeździć samochodem. Miliard razy wołałam komunikację miejską. Można było nią jechać bezmyślnie i po prostu wegetować, podziwiając widok za oknem. W samochodzie nie było już tak miło. No i tylu rzeczy trzeba było pilnować: kierownica, pedały, skrzynia biegów, kierunkowskaz, lusterka. Ja się w tym czasami gubiłam.

Zresztą do dzisiaj nie opanowałam parkowania...

Po chwili do samochodu wsiadł Piotruś, popijając jogurt.

– Hej. – Uśmiechnął się i zapiął pas. Wiedział, jak jeździć. Zawsze zapinał pas.

Jak zwykle zaczęłam mówić. Na jego obecność reagowałam na dwa sposoby. Albo tak się stresowałam, że kompletnie nie wiedziałam, co powiedzieć, albo paplałam bez sensu. Dzisiaj paplałam...

– No i przez to Marek uważa, że mam chłopaka... – zakończyłam swoją opowieść. – Nie chciałbyś pójść dzisiaj ze mną do nich na obiad i poudawać mojego chłopaka?

Piotruś śmiał się głośno.

Chętnie, ale nie mogę. Jadę po południu do znajomych do Gdańska. Sorka. Westchnęłam zawiedziona. Co ja teraz zrobię?

– No nie mogę. Koleżanka ma dzisiaj urodziny – wyznał.

O mało co nie wdepnęłam hamulca, a jogurcik nie znalazł się na froncie jego koszuli zamiast w kubeczku. Musiał mnie częstować takimi rewelacjami, kiedy prowadzę?!

– Ale jakby co, to możesz powiedzieć, że dzisiaj nie mogę zaproponować.

– Nie... już powiedziałam, że cię... to znaczy mojego chłopaka przyprowadzę... – odparłam zniechęcona do niego i do całego świata.

– No cóż... sorka, ale nie mogę – powtórzył. – Ale na pewno uda ci się kogoś znaleźć.

Nie podzielałam jego optymizmu. Kompletnie nie wiedziałam, co zrobić. No cóż... najwyżej powiem Markowi, że „mój chłopak” jednak dzisiaj nie może. Tylko że już go zapewniłam, że z nim przyjdę. Znajac Marka, to jak będę się próbowała wykręcić, zaraz zaczniesz coś podejrzewać.

Po zajęciach nie wracałam razem z Piotrkiem. Kończyliśmy o innych godzinach. Weszłam do kawalerki i usiadłam na kanapie. Behemot przycupnął nieśmiało obok mnie i podsunął mi swoją

małą główkę do pogłaskania.

Pośrodku pokoju zmaterializowała się czarna dziura. Zerknęłam na zegarek. No tak... trzynasta.

Przez czarną dziurę przeszła Śmierć. Stała naprzeciwko nas. Behemot zaczął wściekle syczeć, a Śmierć zasłoniła się rękawem i odsunęła o kilka kroków.

– Masz kota?! – zaskrzeczała przerażona. Zaintrygowana, wzięłam kocurka na ręce, żeby nie rzucił się w ataku szалу na Śmierć. No proszę, czyżby ona miała wobec mnie złe zamiary, a Behemot to wyczuł?

– Nie lubisz kotów? – zapytałam nieufnie, podchodząc do niej bliżej.

Tak jak przypuszczałam, odsunęła się.

– Powiedzmy, że nie przepadam – warknęła, cały czas się cofając. – Koty wyczuwają śmierć, kataklizmy. Ostrzegają ludzi. Nie lubię ich.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. Coś w tym było. Śmierć rzuciła mi pod nogi teczkę z kolejnym zleceniem i wyczarowała czarną dziurę.

– Do zobaczenia następnym razem. – Wskoczyła w nicość tak szybko, że habit aż zafurkotał.

Pogłaskałam Behemota pod bródką. Zamruczał głośno. Podniosłam teczkę klienta i przeszłam do domu w Los Diablos. Tam kot natychmiast wyswobodził się z moich rąk i przez otwarte drzwi na taras pobiegł gonić ptaki. Usiadłam na leżaku nad basenem, wpatrując się w bezchmurne niebo.

Wyglądało na to, że będę musiała go o to poprosić... Ciekawe, czy się zgodzi?

Siedziałam sztywno obok „Bartka”, mojego chłopaka, a naprzeciwko miałam brata, który nie spuszczał spojrzenia z mężczyzny obok mnie. Jako diablica doskonale widziałam, jakie myśli kłębiły mu się w głowie. Oczywiście żadne pozytywne. Bartek ziewnął. Nudziło go to. Szczerze mówiąc, zdziwiłam się, że się zgodził. Myślałam, że po wczorajszej kłótni mnie oleje.

Beleth spojrzał na mojego brata, który cały czas go oceniał. Uśmiechnął się do niego. Marek nie odwzajemnił uśmiechu. Diabeł westchnął ciężko.

Kopnęłam go pod stołem. Odwrócił powoli głowę w moją stronę i podniósł pytająco brwi.

Na szczęście do pokoju weszła moja przyszła bratowa (termin ślubu ustalili na czerwiec) z miską jakiejś sałatki. Tym razem to ja westchnęłam. Ona w przeciwieństwie do mojego brata była normalna. Może teraz rozmowa jakoś się potoczy.

– Bartku, mam nadzieję, że będzie ci smakowało. – Uśmiechnęła się szeroko i nałożyła mu na talerz sałatki.

– Och tak – rozchmurzył się. – Uwielbiam dobrą kuchnię. Marek także lekko się rozluźnił. Jednak Beleth musiał to tymczasowe porozumienie oczywiście popsuć.

– Tak... lubię dobrą kuchnię, a także łazienki i sypialnie. Zwłaszcza sypialnie – kontynuował z niezmaconym spokojem.

Twarz mojego brata stężała w jednej chwili. Kopnęłam Beletha po raz kolejny.

– A nade wszystko kocham przedpokoje – zakończył, patrząc mi prosto w oczy. – Jakie to

szczęście, że nie robią mi się siniaki, czyż nie?

Narzeczona Marka, Natalia, uśmiechnęła się nieco sztucznie i napomknęła, że pogoda jest dzisiaj bardzo ładna. Podchwyciłam temat i gawędziłam z nią miło o tym w całkowicie neutralny sposób. Do rozmowy nie włączył się Beleth, który był zbyt zajęty błędzeniem wzrokiem po pokoju, ani Marek, który chyba usiłował zatłuc diabła samą siłą woli.

W końcu Natalia nie wytrzymała i syknęła na Marka:

– No odezwij się. Nieładnie tak zachowywać się przy gościu.

Marek niechętnie odwrócił wzrok od Beletha.

– Może opowiesz im ten dowcip o wężu? – zaproponowała Natalia i spojrzała na mnie błagalnie.

– Tak! – zawtórowałam jej. – Marek, opowiedz dowcip o wężu, jeszcze go nie słyszałam! Na pewno jest świetny!

Nawet Beleth spojrzał z ciekawością na mojego brata, który zrobił skromną minę (pozer jak zawsze) i zaczął opowiadać:

– A więc jest Eden. Ewa i Adam siedzą sobie nad potoczkiem, całutcy goli. Nagle Ewa słyszy głos. Odwraca się, a tam wąż siedzi pod krzaczkiem i coś do niej szepcze.

– Czy wąż może siedzieć? – przerwał Beleth.

– Bartek, zamknij się, proszę – syknęłam.

– No co? Chciałem się upewnić... – mruknął pod nosem Beleth, udając z lekka nieogarniętego. Nie zwracając na niego uwagi, uśmiechnęłam się przepaszająco do brata.

– Kontynuuj – powiedziałam.

Marek odchrząknął i gromiąc wzrokiem Beletha, zaczął dalej mówić:

– No więc Ewa podchodzi do niego i słucha, co do niej mówi. A wąż ją przekonuje: „no zjedz to jabłko, zjedz, jest bardzo dobre”. No to Ewa zjadła. W końcu to kobita była, no nie? – W tej chwili Natalia dała mu kuksańca między żebra. – W każdym razie Ewa zjadła to jabłko. Nagle niebo pociemniało i rozległ się donośny głos: „EWO!!! ZA KARĘ ZAPŁACISZ ZA TEN GRZECH BÓLEM I KRWIĄ!” A następnie Bóg wypędził Adama i Ewę z raju. Po pewnym czasie Ewa spotyka węża i mówi: „I widzisz, co narobiłeś? Teraz przez ciebie będę płacić za ten grzech bólem i krwią!” A wąż jej na to: „Ale, lalka, spokojnie. Ja wszystko załatwiłem. Wynegocjowałem ci to w wygodnych comiesięcznych ratach!”

Marek zaczął się głośno śmiać, Natalia i ja zawtórowaliśmy mu nieśmiało. Tylko Bartek nawet nie zmienił wyrazu twarzy.

– Nie należy śmiać się z Boga... – stwierdził kwaśnym tonem.

Marek natychmiast umilkł. Zrobił urażoną minę – nie był przyzwyczajony, że ktoś nie śmieje się z jego dowcipów.

– A więc mówisz, że skąd jesteś? – zapytał Beletha.

– Nie mówiłem – odparł diabeł, uśmiechając się uprzejmie. Jednak Marek nie stracił animuszu.

– To może powiesz?

– Bartek jest z Warszawy – szybko przejęłam pałeczkę. – Razem studiujemy. Na tym samym

roku.

Marek spojrzał na mnie nieufnie.

– A wyglądasz na starszego od małej. Beleth uniósł brwi.

– Małej? – zwrócił się do mnie. – No doprawdy... a wczoraj w nocy twierdziłaś, że jesteś pełnoletnia... Markowi po raz nie wiem już który oczy wyszły z orbit.

– On żartuje – powiedziałam szybko i znowu kopnęłam diabła pod stołem, na co zareagował tylko znudzonym westchnięciem. – Naprawdę jesteśmy w tym samym wieku.

Marek oparł dłonie o stół i zaczął niecierpliwie bębnić palcami o blat. Beleth spojrzał na niego i uśmiechnął się nieszczercze.

– Nie współzjemy ze sobą, jeśli o to ci chodzi – stwierdził. Dobrze wiedział, że to Marka interesuje. Jego myśli krzyczały wręcz o to do nas. Mój brat odprężył się nieco.

– Ale sądzę, że jak tylko Wiki się trochę upije... – ciągnął Bartek, uśmiechając się niewinnie.

Marek zaczerpnął głośno powietrza. Natalia wybuchnęła głośno śmiechem, klepiąc mojego brata po dłoni, która już zwinęła się w pięść.

– Ach, Bartku, jaki ty jesteś zabawny! – Jej śmiech brzmiał tak samo sztucznie jak mój. – Jak to dobrze, że Wiki znalazła sobie kogoś tak... sympatycznego!

Gdy Beleth odprowadził mnie potem do domu, miałam ochotę go zabić.

Specjalnie starał się wkurzyć mojego brata, robiąc z siebie kompletnego kretyna. Już mu miałam wygarnąć, kiedy powiedział cichym głosem:

– Masz dobrego brata. Troszczy się o ciebie.

Moja złość wyparowała w jednej chwili. Zrobiło mi się żal Beletha. On nie miał nikogo. Za to, że chciał mieć kogoś, został zdegradowany na trzy tysiące dwieście lat do przydziałów i pracy za biurkiem.

– Ale bywa upierdliwy – zauważyłam.

– Fakt – przyznał. – I ma beznadziejne poczucie humoru...

Tym razem nie zagroził mi przejścia do domu. Stał metr ode mnie z rękami założonymi za plecami. Zaskoczył mnie.

Westchnęłam ciężko. Też nie będę miała nikogo. A wszystko przez tego mordercę, który mnie napadł i zabił. Żal wyparował ze mnie w jednej chwili. Jego miejsce zajęła wściekłość. Powinien zapłacić za to, co zrobił. Pewnie chodził sobie teraz ulicami, ciesząc się wolnością. W końcu skoro moje zwłoki zniknęły, to nie było żadnego śladu przestępstwa.

– Dobranoc – mruknęłam do Beletha.

Kiwnął mi smętnie głową i wyczarował swoje kolorowe drzwi, przez które zaraz zniknął. Nawet nie pocałował mnie w policzek na do widzenia. No i dobrze.

13

Przez następne dwa dni nie poszłam na uczelnię. Nie chciało mi się. Włóczyłam się po Los Diablos, nie mogąc sobie nigdzie znaleźć miejsca. Do moich myśli wciąż zakradał się morderca. Usiłowałam sobie przypomnieć, jak on wyglądał, jaką miał barwę głosu, jakiego był wzrostu.

Popiłam łyk mocnej kawy w małej kafejce na zatłoczonym bulwarze nad plażą. Powoli zapadał zmierzch, kładąc długie cienie palm na chodniku. Tuż przed moim stolikiem przemaszerował jakiś macho w przepasce na biodrach, dzierżąc w dłoni długą dzidę. Zerknął na mnie znad gęstej brody i uśmiechnął się szeroko. Nie odwzajemniłam uśmiechu.

– Ach, robisz mu przykrość – ktoś szepnął mi do ucha. – Tak by chciał zdobyć nową kobietę. Poprzednia porzuciła go pewnie dla jakiegoś Robin Hooda w rajtuzach.

Spojrzałam na Azazela, który rozsiadł się obok na krześle.

– Ludzie jaskiniowi mnie nie interesują – powiedziałam.

– A diabły?

– Czyżby ktoś ci się na mnie poskarżył? Azazel roześmiał się serdecznie.

– Nie. Beleth jest moim kompanem, ale nie zwierza mi się. On chyba nigdy mi do końca nie zaufał. Dopiłam kawę i odsunęłam od siebie filiżankę.

– A istnieje ktoś, kto ci ufa?

– Sądzę, że taka osoba jeszcze się nie narodziła bądź nie została stworzona – odparł dumny z siebie.

Kelner podał mu kawę. Podziękowałam, gdy postawił przede mną ciastko z kremem. A co! Mogę zaszaleć raz na jakiś czas.

Azazel przyglądał mi się ciekawie, popijając swoją kawę. Uśmiechał się łakomie. Zdawałam sobie sprawę, że nie miał tej miny z powodu kremówki.

– Dziwnie na mnie patrzysz... – zauważyłam. Zaśmiał się głośno i poklepał ubawiony po kolanie.

– Już rozumiem, czemu Beleth chodzi taki sfrustrowany. Nie pozwalasz ze sobą nawet poflirtować.

Wzruszyłam ramionami. Nie mój problem.

– Co jesteś taka zła? – Przynurzył się bliżej.

Kilka włosów wysunęło mu się z warkocza, opadając na wysokie czoło. Przyjrzałam mu się krytycznie. Azazel tak jak wszystkie diabły był bardzo przystojny i męski. O ile Beleth ze

swoim szczerym uśmiechem i błyszczącymi, wesołymi oczami miał w sobie trochę chłopięcego uroku, to Azazel był tego czaru pozbawiony. Cyniczny uśmiech, przenikliwe spojrzenie spod zmrużonych powiek.

Wszystko było w nim czarne. Włosy, oczy, ubranie. Zapewne serce też.

– Nieważne... – mruknęłam.

– Mnie możesz powiedzieć – stwierdził. – W końcu to dzięki mnie tu jesteś. Zależy mi na twoim dobru.

Zerknęłam na niego niechętnie. Nie wierzyłam jego słowom. Niemniej chciałam z kimś o tym porozmawiać, ale nie wiedziałam z kim. Z Belethem byliśmy pokłóćeni, poza tym on uznałby to za głupotę. Za to Kleo mogłaby nie chcieć mi pomóc. Z nią nigdy nic nie wiadomo.

– Cały czas o nim myślę. – Westchnęłam. Azazel milcząco pokiwał głową. Upił łyk kawy.

– Mam ochotę go zabić, lecz wiem, że mi nie wolno. Poza tym chyba nie umiałam tego zrobić.

Diabeł lekko zbladł, ale nic nie mówił. Przełknął głośno kawę.

– Tak mnie złości to, co zrobił, jak się zachował. Wszystko mogłoby być inaczej. Moje życie mogłoby być inne. Mogłabym tyle osiągnąć.

Azazel nadal się nie odzywał. Lekko odsunął się ode mnie.

– Tak go nienawidzę!!! Chciałabym, by było jak dawniej. Nawet nie wiesz, jak za tym tęsknię.

– Wiesz... – zaczął Azazel, ważąc słowa. – Może po prostu mu powiedz, że nie chcesz się z nim całować... Beleth na pewno zrozumie. Po co go od razu zabijać?

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Co? Ja mówię o moim mordercy... – oświeciłam go.

– Aaa... – westchnął z ulgą diabeł. – To dobrze, bo w sumie lubię Beletha. Czasami straszna z niego ciota trzęsąca portkami, ale lubię go.

Przystojny diabeł uśmiechnął się szeroko. Wiatr bawił się kosmykami jego czarnych jak smoła włosów, rzucając mu je na twarz.

– Wasza przyjaźń jest dziwna – skwitowałam tylko.

– Z tym mordercą to, ja ci powiem, nie jest taki głupi pomysł – stwierdził, nie zwracając uwagi na mój komentarz. – Ja na twoim miejscu pewnie już dawno bym go zabił.

Siedział rozparty na krześle, błędząc spojrzeniem po ludziach mijających niespiesznie nasz stolik. Był jak czarna plama tuszu na tle pastelowego bulwaru. Jedyłą rzeczą, którą miał na sobie, a która nie była czarna, był mały indiański wisiołek z piórek na piersi i srebrne kółko w uchu przypominające mi piracką biżuterię.

Miał w sobie coś z Jacka Sparrowa. Ten spryt w oczach.

Ja nie umiem zabijać... – Westchnęłam smętnie. Rzucił mi szybkie spojrzenie.

Z jednej strony, a w sumie z co najmniej dwóch, to dobrze. Uwierz mi – mruknął i niespokojnie poruszył się na krześle. Niemniej zemsta jest słodka.

Wyobraziłam sobie, jak stoję nad swoim mordercą, a on płacze u moich stóp, błagając o przebaczenie i o życie. Miła wizja.

– W końcu, czy musisz go od razu zabijać? – kontynuował spokojnym głosem Azazel. – Możesz go przestraszyć albo zranić. A w każdym razie powinnaś zrobić coś, by nie mógł już skrzywdzić żadnej innej kobiety.

Spojrzałam na niego. Azazel miał rację. Przecież ten typ mógł jeszcze kogoś zabić! Nawet o tym nie pomyślałam! A może to seryjny morderca? Powinnam go powstrzymać! Palicho, że ja nie żyję, drugi raz nie umrę, ale przecież mógł jeszcze kogoś skrzywdzić. Możliwe, że ciężej niż mnie. Można powiedzieć, że ja się nawet dość dobrze teraz bawię. Inna osoba mogła to znacznie bardziej przeżyć.

– No, ale co ja ci będę mówił, co robić. – Uśmiechnął się do mnie wesoło. – Przecież sama wiesz, co jest dobre, a co złe. Każdy grzech domaga się kary. A tak wielki grzech jak morderstwo z całą pewnością... – urwał znacząco.

Skrzywiłam się. Nie umiałabym mu zrobić krzywdy. Nie jestem agresywna. A w każdym razie nie tak bardzo, żeby kogoś celowo skrzywdzić.

– Sądzisz, że powinnam się zemścić? – upewniłam się.

– Skarbie, ja nic nie sądzę. Nie mogę ci nic doradzić. – Mówił ciepło, jednak w jego oczach krył się chłód.

Zamyśliłam się. To fakt, należałoby go jakoś unieszkodliwić. Poza tym chciałam go przepytać, dlaczego mnie zamordował. Czemu akurat mnie? Może on mi to jakoś wyjaśni.

Spojrzałam na Azazela. Nie chciałam zwierzać mu się akurat z tej części mojego planu. Nie znałam jeszcze dobrze piekielnych zwyczajów. On mnie tu sprowadził, kto wie? Może by się jeszcze obraził, gdybym mu oświadczyła, że nie podoba mi się, że Śmierć nie była przy moim zgonie.

– Aha... – mruknęłam.

– Ale Kleopatra ma z tym pewne doświadczenie – podsunął mi życzliwie. – Sądzę, że to ją powinnaś zapytać o radę. Jakkolwiek by na to patrzeć, nasza diaboliczna zemściła się na wszystkich, którzy kiedykolwiek zrobili jej krzywdę.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Tak! Zwrócę się do niej po pomoc. Razem ustalimy jakiś plan.

– Dzięki, Azazelu – powiedziałam, wstając. – Pomogłeś mi.

– Kochanie, ja nic nie zrobiłem – zaprzeczył. – Pogawędziliśmy tylko chwilę o grzechach i możliwych rozwiązaniach.

– Dobra, nieważne. To ja uciekam. – Zerwałam się z krzesła. Pomachałam właścicielowi kawiarni i wsadziłam klucz w ścianę.

Gdy znikłam już po drugiej stronie, spojrzałam na Azazela. Patrzył na mnie drapieżnie, niczym wilk na swoją ofiarę. Beleth miał rację. On był dziwny...

– Kleo!!! – wrzasnęłam, wpadając do jej domu.

Nie czekałam, aż krzyknie „proszę”. Po co? Ona nie szanuje mojej godności osobistej, to ja nie muszę szanować jej...

Zresztą i tak specjalnie jej nie zaskoczyłam. Siedziała przy złotym biurku, porządkując jakieś

papiery.

Rozejrzałam się niepewnie po pomieszczeniu, które okazało się ogromną salą tronową. W kącie siedział nawet lampart w złotej obroży... W istocie niczego innego się nie spodziewałam.

– Och, witaj – pozdrowiła mnie, nawet nie patrząc w moją stronę. – Mam nowe zlecenie. Jutro umrze biskup z Francji. Będzie mój. Tylko muszę się trochę postarać. Nawet nigdy nie zerknął na zakonnicę. Beznadziejny przypadek... Westchnęłam rozczarowana. Była zajęta... Przy okazji, do drzwi puka się sześć razy – poinformowała innie.

Słucham?

No sześć razy. Zapukałaś dwa.

Czemu akurat sześć, a nie pięć? – nie mogłam tego zrozumieć.

Taki piekielny zwyczaj. – Wróciła do przeglądania papierów.

– A nie znajdziesz dla mnie chwili? – wyjęczałam, siadając naprzeciwko niej na złotym krześle.

W tym pomieszczeniu wszystko było złote albo marmurowe... Gdyby światło było ostrzejsze, można by chyba oślepnąć.

Zerknęła na mnie i ściągnęła brwi. Korona lekko zsunęła jej się z czoła.

– Jestem trochę zajęta... Nie przegrałam zlecenia od kilku tysięcy lat. Nie mogę sobie popsuć statystyk. Czego chcesz?

– Pamiętasz, jak mówiłam ci, na co umarłam? – zaczęłam szybko wyjaśniać. – Zamordował mnie jakiś typek w parku. Tak sobie myślę, że on może być niebezpieczny i powinnam coś zrobić, żeby nikogo więcej nie skrzywdził. Chciałam zapytać, czy mi pomożesz.

– Chcesz go zabić? – zapytała rzeczowo, odkładając na bok pióro.

– Nie... chyba tylko nastraszyć albo coś takiego. Skrzywiła się, wdzięcznie marszcząc zgrabny nosek.

– Szkoda... nie będzie zabawy.

Aż zaniemówiłam. Myślałam, że wyzwie mnie od wariatek, które niepotrzebnie grzebią w przeszłości, a ona... no cóż... wyglądała tak, jakby się cieszyła. Muszę zapamiętać na przyszłość, że lepiej jej nie wkurzać. Może się potem zemścić...

– Ale i tak będzie fajnie. Możemy go torturować... To kiedy idziemy? Zerknęłam w papiery leżące na biurku.

– A biskup jakiś tam? – zapytałam.

– Eee tam – parsknęła. – Jestem królową Egiptu. Nie ma na tej planecie człowieka, który nie zrobiłby dla mnie tego, czego ja chcę. Chodź, idziemy pobawić się twoim mordercą! – Klasnęła w dłonie. – Będzie zabawa. Mówię ci!

Wstała i długa półprzezroczysta suknia rozłożyła się na kafelkach. Pawie pióra odchodzące od długiego trenu zamiotły podłogę. Kilkukilogramowa biżuteria na szyi Kleopatry zamigotała oślepiająco w świetle lamp.

– Wiesz co? – powiedziałam. – Jest już co prawda ciemno, ale możesz się odrobinę wyróżniać z tłumu...

14

Morderca chyba wypatrzył mnie w Stodole. Na pewno wyszedł za mną z budynku, a potem ruszył w ciemność między parkowe drzewa. Nasze małe polowanie postanowiłyśmy zacząć właśnie od tego miejsca.

Zmusiłam Kleopatrze, żeby ubrała się normalnie. Miała być wabikiem na mordercę. Ja zmieniłam kolor włosów i rysy twarzy, żeby nie zostać przez niego rozpoznana, a Kleo robiła wokół siebie dużo zamieszania. Olbrzymi dekolt jej bluzki i wyzywający (u niej normalny) makijaż przyciągał wzrok hordy studentów.

Siedziałyśmy w klubie już kilka godzin. Znudziło mi się, ale uparłam się, że go dzisiaj spotkam. Miałam przecucie, że może nam się udać.

Do naszego stolika znowu podszedł jakiś chłopak.

– Hej, zatańczysz? – zapytał Kleo.

Przyjrzała mu się krytycznie, siorbiąc drinka przez słomkę.

– Eee... za chudy jesteś – stwierdziła.

Chłopak stał obok nas przez chwilę z głupią miną, nie wiedząc jak zareagować. Wzruszyłam ramionami, kiedy spojrzał na mnie, szukając pomocy. Odszedł do kolegów i coś im powiedział. Zaczęli się z niego śmiać. Biedaczek... No, ale cóż...

„Królowa Egiptu” gustuje raczej w napakowanych ciachach.

Ci studenci są beznadziejni – powiedziała. – Kiedyś to byli mężczyźni. Wysocy, mocno zbudowani, energiczni... A oni? wskazała palcem na grupkę chudzielców z trądzikiem, usiłujących wyrwać jakieś dziewczyny. – To jakiś wybryk ewolucji... kiedyś to takich eliminowało się po urodzeniu, jak cherlawi byli...

Było w was dużo empatii – wymruczałam.

Miała trochę racji. Studenci w większości wyglądali na astmatyków, którzy wyrwali się spod spódnicy mamusi. „Gdzie ci mężczyyyyyyyyyźni?” Widać już za czasów wokalistki Rinn zaczynało ich powoli brakować.

Do naszego stolika zbliżył się kolejny chłopak. Był niski, długie, mysie włosy związane w kucyk upodabniały go do dziewczyny. Wydawał się taki... delikatny.

Nieśmiało się do nas uśmiechnął i podniósł rękę. Zdażył tylko otworzyć usta...

– Zgubiłeś mamusię? – zapytała Kleo i znowu siorbnęła przez słomkę.

– Eee... – odparł, odwrócił się i odszedł.

Spojrzałam na tańczące pary. Płatannina ciał, wyginających się w rytm muzyki. Krótkie spódniczki, rozpięte koszule, kolorowe światła ślizgające się po sylwetkach tancerzy.

Oparłam się na łokciu. Potańczyłabym sobie. Nawet wiem, z kim bym sobie chętnie potańczyła.

– Widzisz mordercę? Nudno tu. Nie ma na kim oka zawiesić – odezwała się znużona Kleopatra, brutalnie wyrywając mnie z marzeń. Dokładnie mówiąc z nierealnych marzeń: Piotrek nie tańczył. Zapytany dlaczego, odpowiadał elokwentnie „bo nie”.

– Nie widzę. – Potoczyłam spojrzeniem po zatłoczonej sali. – Nie pamiętam dobrze, jak on wyglądał...

– Postaraj się sobie przypomnieć.

– Wyobraź sobie, że się staram...

Nagle moje spojrzenie przyciągnął wysoki mężczyzna w rogu klubu. Niechlujnie ubrany, z dwudniowym zarostem na twarzy. Ciekawe, jakim cudem bramkarze wpuścili go do środka. Rozglądał się niespokojnie po pomieszczeniu. Przed oczami stanęły mi obrazy: noc, chłód, kroki za plecami.

Te oczy. To te przerażająco puste oczy!

– To on – pokazałam palcem mężczyznę.

– Jesteś pewna? – zapytała Kleopatra.

– Tak – odparłam. – Jestem pewna.

Jeszcze raz mu się przyjrzałam. Wyblakłe spojrzenie znad brudnego zarostu. Obleśny uśmiech. To on! Byłam pewna!

Kleopatra wystawiła poza stół dłoń z wysoką szklanką, w której było jeszcze trochę tequili sunrise. Naczynie z głośnym brzękiem uderzyło o podłogę i rozprysło się na kawałki, pomarańczowy płyn oblał nam buty. Już miałam na nią nakrzyczeć, że zniszczyła mi pantofle, kiedy ona wykrzyknęła:

– Jesteś głupia!!! Dłużej tu nie zostaję! Wracam do domu!

– Ale... – zaczęłam.

– To co, że ty masz samochód! Wrócę na piechotę. A ty się do mnie nie odzywaj!!! – Kleopatra produkowała się dalej. – Trafię do siebie! Bez łaski!

Podrzuciła dumnie głowę i przeszła obok mnie, deptając szkło podszewkami swoich butów na wysokim obcasie. Równowagę zachowała bez problemu. Mistrzostwo!

Przy drzwiach przeszła obok niechlujka z zarostem. Zerknęła na niego z pogardą, mierząc go swoim czarnym spojrzeniem od stóp do głów. Mężczyzna odwrócił się za nią. Chwilę później ruszył jej śladem. Zaczął polowanie.

Dopiłam drinka dla animuszu i wstałam. Ja także ruszyłam na łowy.

Tak jak wcześniej się umówiliśmy, Kleopatra skierowała się w stronę kompletnej głuszy. Przeszła na drugą stronę szerokiej ulicy, minęła pub Zielona Gęś i weszła między drzewa. Morderca ufnie podążał za nią. Nie zastanowił się, po co młoił i kobieta samotnie włązi do ciemnego parku grubo po północy. Naiwniak bądź tępak.

Zmieniłam rysy twarzy i włosy na swoje. Teraz zależało mi na tym, żeby mnie rozpoznał.

Kleopatra szła, machając beztrąsko torebką. Morderca stąpał za nią cicho niczym kot. Nagle zatrzymała się i zaczęła grzebać w torebce. Wyjęła srebrną papierośnicę.

Morderca minął ją zupełnie tak, jakby wcale za nią nie szedł.

– Hej, masz ogień? – zaczęła go królowa.

– A co mi dasz w zamian? – Podszedł bliżej.

Teraz ona także dostrzegła szaleństwo w jego oczach. Uśmiechnęła się zaczepnie.

– A co byś chciał?

Podeszłam do niego od tyłu. Wszystkie wspomnienia w mojej głowie odżyły. Poczułam ból w okolicy żołądka, tam, gdzie mnie dźgnął.

– Ciebie – odparł chrapliwie.

– No to sorry... obejdę się bez ognia. – Królowa wzruszyła ramionami.

Błyskawicznie chwycił ją za ramię i szarpnął w swoją stronę.

– Jesteś tego taka pewna?

– Jest pewna – odparłam, wychodząc z cienia.

– Co... – zaczął, ale nagle zatrzymał na mnie spojrzenie. Gwałtownie puścił Kleo i odskoczył od niej. Wpatrywał się we mnie pełnymi szaleństwa oczami.

– To... to... – wybełkotał.

– Tak, kretynie, to ją zabiłeś – uczynnie pomogła mu Kleopatra.

Mężczyzna wpadł w panikę. Wodził przerażonym wzrokiem po mojej twarzy, sylwetce, ubraniu.

– To niemożliwe. Ty nie żyjesz! Zabiłem cię! Rozsypałaś się w proch na moich oczach!!! – wrzeszczał. Przypomniałam sobie, co powiedziała mi Kleo. Fakt. Po podpisaniu umowy moje doczesne szczątki musiały zniknąć.

Piekło jest porządne – zawsze po sobie sprząta.

Morderca rzucił się do ucieczki. Czarny, brudny płaszcz zaplątał mu się między nogi. Kleopatra wyciągnęła rękę w jego stronę. Mężczyzna uniósł się w powietrze. Zaczął krzyczeć.

– Och, zamknij się – mruknęłam i machnęłam dłonią. Ucichł w jednej chwili.

Spojrzałam na swoją rękę. Ta moc, siła, władza. To było coś niesamowitego!

Kleopatra przeniosła mężczyznę do największego drzewa i przykleiła do niego. W jaki sposób? Nie mam pojęcia. Niemniej morderca wisiał obok nas, przymocowany do pnia, i nie mógł się ruszać. Jego oczy szaleńczo biegały raz w moją stronę, raz w stronę Kleo.

– Wiesz, co zrobiłeś, ty prymitywie? – Królowa stuknęła go palcem w pierś. – Zabiłeś moją przyjaciółkę! Teraz otrzymasz za to karę. Prosto z Piekła.

Zaśmiała się demonicznie. Nawet mnie po plecach przebiegł dreszcz. Nie chciałabym być jej wrogiem. Ja także stanęłam naprzeciwko niego, żeby nie wypaść z roli.

– Dlaczego mnie zabiłeś? – zapytałam i machnęłam dłonią, zwracając mu głos.

Od razu zaczął wołać pomocy. Kleopatra sprawiła, by zamilkł.

– To bez sensu. Nie wyjawi ci tego. Poza tym spójrz na niego. To jakiś popapraniec – powiedziała szybko. – Nie ma sensu z nim rozmawiać. Załatwmy szybko to, po co przyszliśmy.

Przygryzłam wargę. Ale ja właśnie chciałam z nim porozmawiać. No trudno.

Spojrzałam na niego z pogardą i nienawiścią. Zabrał mi życie. Straciłam przez niego wszystko!

– Może jeszcze raz spróbujemy – powiedziałam. – Może coś powie...

– Na pewno nie. Za bardzo się boi. Zresztą i tak może skłamać.

No w sumie...

Co mu zrobimy? – zapytała Kleopatra. – Bo rozumiem, że nic chcesz go zabijać. A szkoda. Należałoby mu się. Zastanawiałam się przez chwilę. Działałam pod wpływem impulsu. Tak do końca nie wiedziałam, co chcę mu zrobić, i nawet, czy chcę mu w ogóle cokolwiek zrobić. To się odrobinę kłóciło z moim sumieniem.

– Zwróciłaś uwagę, że mordercami, pedofilami i gwałtocielami są zawsze mężczyźni? – zapytała moja towarzyszką, przyglądając mi się ciekawie jak nowemu znalezisku. – Coś jest nie tak z męską psychiką. Oni po prostu są nienormalni.

– Zdarzają się też normalni – pomyślałam o moim Piotrusiu.

– No tak, ale chodzi o sam fakt. Słyszałaś kiedyś, żeby kobieta napastowała dziecko? – prychnęła, z pogardą przyglądając się mordercy. – Za to faceci w kółko robią takie rzeczy. Od razu widać, kto bogom wyszedł lepiej. Mężczyzna może i powstał pierwszy, ale to kobiety są idealne, a nie te prototypy...

Nie skomentowałam jej feministycznych wynurzeń. Kleopatra miała skłonności do takich osądów. Już któryś raz musiałam wysłuchiwać, że kobiety stoją wyżej w ewolucji od mężczyzn.

Poza tym nie interesowali mnie inni zbrodniecy. Interesował mnie ten konkretny morderca.

– Nie wiem, co mu zrobić... – Westchnęłam z rezygnacją. Miałam pustkę w głowie.

Kleo klasnęła w dłonie, zwracając mordercy głos.

– Chciałeś ją zabić czy zgwałcić? – zapytała.

– Zgwałcić! – ryknął, najwyraźniej uznawszy, że to mniejsza zbrodnia. Królowa pstryknęła palcami, odbierając mu głos.

– Chciał cię zgwałcić – oznajmiła mi, chociaż doskonale słyszałam, co powiedział. – Wykastrujmy go! – Aż zatarła dłonie z uciechy.

Mężczyzna przyklejony do drzewa wybałuszył na nią oczy. Nie mógł krzyczeć, ale zaczął pisać. Chyba właśnie zdał sobie sprawę, że trzeba było powiedzieć: „zabić”.

– Tak! – wykrzyknęłam. – Nawet wyjdzie mu to na zdrowie. Będzie mógł się zatrudnić w operze, jak mu głosik się podwyższy.

– Neeeeeeeeeee. – Kleo podrapała się zamyślona po brodzie. – Ich trzeba było kastrować, jak byli mali, bo potem im wyrastały jakieś struny głosowe czy coś takiego... Nie wiem... nigdy nie lubiłam opery...

Zerknęłam na mordercę. Tak... Temu to chyba wyrosła tylko struna grzbietowa, bo kręgosłupa to on nie miał na pewno. Ryczał jak małe dziecko. No mięczak... wręcz krewetka...

– Dobra, nieważne – machnęłam ręką. – To najwyżej nie będzie śpiewał. Ważne, że nie skrzywdzi już żadnej kobiety. Kleopatra klasnęła w dłonie, jej oczy błysnęły w ciemnościach. Wybitnie bawiła ją cała sytuacja.

– Od czego zaczynamy? Trzeba mu ściągnąć spodnie! Jakby na jej słowa materiał w kroku

mężczyzny zrobił się mokry.

Kleopatra odsunęła się parę kroków z wyrazem niesmaku na twarzy.

– A feeee, posikał się. Ja go tam nie dotknę. – Wskazała palcem na jego krocze. – Tchórz!

Zaśmiałam się głośno. Biedna krwiożercza królowa. Ofiara w przyływie paniki popsowała jej zabawę.

– Dobra, wykastrowujemy go, używając mocy – powiedziałam.

– Ale sądzisz, że to załatwi sprawę? A jak jeszcze potem kogoś skrzywdzi?

– Możemy go wykastrować, a potem zamienić w warzywo. Bez wyższych emocji i zdolności myślenia chyba nikogo nie skrzywdzi – stwierdziła.

Spojrzałam na nią zgorszona. Ech... nie potrafiłam zrobić mu niczego złego. Owszem, miło było wyobrazić sobie, jak pełza u moich stóp, błagając o litość, ale czy naprawdę na tym mi zależało? Czy to było warte krzywdy innego człowieka?

Westchnęłam głośno. Nie mogę... nie potrafię go zabić ani okaleczyć. Już nawet teraz dręcą mnie wyrzuty sumienia... Masz taką minę, jakbyś chciała powiedzieć, że nic mu nie zrobimy – zauważyła sucho Kleopatra.

– Mam wyrzuty sumienia.

– Ale ja nie – stwierdziła i machnęła dłonią.

Facet zaczął piszczeć i rzucać całym ciałem, by się uwolnić.

– Co ty robisz?! – krzyknęłam.

– Już nic. – Wzruszyła ramionami. – Przedstawiam ci Pana Eunucha.

Spojrzałam na nią przerażona. Nie, ona nie mogła tego zrobić!

– Słuchaj, ty byś go zaraz wypuściła do domu i jeszcze pogładziła po główce, wmawiając, że to wszystko mu się przyśniło. Trochę konsekwencji, kobieto! On cię zabił! A wcześniej chciał cię zgwałcić, tylko wszystko spartaczył! Należało mu się. Nie umrze od tego. Po prostu nie ma jaj. – Zaśmiała się z własnego dowcipu.

Morderca pochlipywał cicho. Był cały czerwony na twarzy.

– A jeśli skrzywdzisz kiedyś jeszcze jakąś kobietę – Kleopatra stuknęła palcem w jego pierś unoszącą się w spazmatycznym oddechu – to ptaszka też stracisz. Pamiętaj.

Gdzieś za nami zatrzeszczała krótkofalówka. Usłyszałyśmy odgłos kroków dwóch osób. O nie!!! To straż miejska! Muszą się wałęsać po parku w środku nocy?! No żeby już nie można było w spokoju męczyć mordercy, bo tacy się muszą przyplątać...

A gdzie byliście, kiedy mnie mordowano?!

Mężczyzna przyklejony do drzewa zaczął głośno piszczeć i szarpać się. Wyczuł szansę na wolność.

Strażnicy, zaniepokojeni dziwnymi odgłosami, zaczęli biec w naszą stronę.

– Odwróć ich uwagę! – krzyknęła Kleopatra, podbiegając z kluczem diabła do najbliższego szerokiego drzewa, na którego pniu zmieściłyby się jej złote wrota.

Niby jak?! Nie wiedziałam, co mam zrobić. Patrzyłam bezradnie, jak dwóch umundurowanych mężczyzn wpadło na małą polankę, na której staliśmy.

Co ja mam robić?! Machnęłam dłonią i drzewo obok nich stanęło w ogniu. Przestraszeni

odskoczyli w tył.

– Chodź tu wreszcie!!! – niecierpliwie zawołała mnie Kleopatra.

Wbiegłam za nią przez złote wrota, zauważając jeszcze, jak strażnicy wpatrują się w nas przerażonymi oczami.

– To było subtelne – mruknęła Kleo. – Jak nie wiem co...

15

Następnego ranka na uczelni tematem dnia było przyklejenie mężczyzny do drzewa i podpalenie części Pól Mokotowskich.

Od mojej niefortunnej kuli ognia zajęło się sporo drzew, zanim straż pożarna przyjechała na miejsce...

Już chodziły niesamowite plotki o tym, że przestępcy mieli miotacz płomieni, klej niewiadomego pochodzenia (faceta do tej pory nie dało się oderwać od pnia), a także tak skutecznie zastraszyli „przylepca”, że nie chce mówić, kto mu to zrobił.

No dobra, przyznaję... zapomnieliśmy z Kleo cofnąć dwa zaklęcia, a poza tym ja narobiłam trochę zamieszania, ale żeby od razu wszyscy się tym tak interesowali?

Koło południa gruchnęła wieść, że mężczyzna jest wykastrowany. Akurat stałam z grupką przyjaciół na korytarzu, tuż obok Piotrusia, gdy podbiegł do nas Tomek z tą rewelacją.

– Hej, ale jak to możliwe, że on nie ma żadnego śladu, że kiedykolwiek miał jądra? Może jest wnętrzem? – zapytała Zuza.

– Kim? – zainteresowała się jakaś dziewczyna.

– No, wnętrzem. Znaczy, że jądra ma w środku zamiast na zewnątrz. Boże, czy ty programów przyrodniczych nie oglądasz. O ósmej rano w weekendy na Pulsie jest serial o weterynarzach. – Zuza spojrzała na nas. Wszyscy chyba mieliśmy tę samą minę, bo zapytała: – Wy też tego nie oglądacie?

Odwróciłam się, tłumiąc śmiech, Piotrek przygryzł wargę. Jedyne w Tomku nie było żadnej subtelności: Kobieto, pogięło cię...? Zuza zgarbiła się.

No, co... lubię ten serial... – mruknęła.

W necie napisali, że nie jest wnętrzem – powiedział Tomek i uśmiechnął się do nas zadowolony – On ich po prostu nie ma!

Wyglądał na tak ucieszonego, jakby miał zaraz ochotę dodać: „czy to nie cudowne?!”. Szlag... po co oni się tym tak podniecają? Odczułam jeszcze silniejsze wyrzuty sumienia.

– Nie sądzicie, że on jest za bardzo męski jak na kobietę? drażyla dalej Zuza, przekonana o słuszności swojej tezy. – Na pewno ma gdzieś te jądra. Inaczej nie miałby tylu drugorzędowych cech płciowych...

Rozgorzała dyskusja. Nawet Piotruś brał w niej żywy udział. Tylko ja się nie odzywałam. Zastanawiałam się, jak to naprawić, zanim Beleth się dowie. Właściwie dziwiło mnie, że

jeszcze się nie pojawił z krzykiem, że złamałam jakiś tam przepis.

– Coś się stało? – zapytał mnie po paru minutach Piotrek. – Tak milczysz. Nic ci nie jest?

– Nie, nic. – Uśmiechnęłam się do niego. – A zdjęli go już z tego drzewa?

– Tak, musieli obedrzeć korę – wyjaśnił mi Tomek. – O właśnie, ludzie, póki pamiętam.

Impreza u mnie! Dzisiaj wieczór!

Zdaliśmy kolejne kolokwium – należy się nam. Obecność obowiązkowa!

Nie mogłam się już doczekać tej imprezy. Czułam, że muszę się wyszaleć. Na chwilę zapomnieć o mordercy.

Idziesz? – zapytałam Piotrusia. No jasne!

Pod koniec dnia cisza ze strony Beletha zaczęła mnie niepokoić. Coś było nie tak. Weszłam do swojej kawalerki. Do domu wracałam dzisiaj z Piotrkim. Chciał poznać lepiej kota Behemota.

Gdy tylko wszedł do małego mieszkania, kociak podbiegł do niego w podskokach.

– Ale jesteś śliczny – Piotrek wziął futrzaka na ręce, a kot zaczął głośno mruczeć.

– Chcesz się czegoś napić, coś zjeść? – zapytałam, rzucając torbę na ziemię i wchodząc do małej kuchni. – Może zrobić ci herbaty?

– A możesz – powiedział, siadając na kanapie. Spojrzałam do szafki na rząd kolorowych pudełek.

– A jaką chcesz? Zwykła czarna, czarna z jaśminem, czarna z porzeczką, zwykła zielona, zielona z wanilią, zielona z brzoskwinia, zielona z cytryną, czerwona z truskawką i wanilią? – zaczęłam wymieniać wszystkie, jakie miałam.

– Eee... a mogę poprosić o wodę...? – zapytał niepewnie.

Roześmiałam się. Byłam fanatyczką herbaty. Ilekroć Piotruś był u mnie, nie mógł się na nic zdecydować. Zdecydowałam za niego i robiłam mu zwykłą zieloną herbatę. Sobie też.

Wymowałam kubki z szafki, kiedy ze ściany wysunęła się głowa Beletha. Przestraszona odskoczyłam i upuściłam kubek, który rozbił się na podłodze.

– Musimy później porozmawiać – powiedział i zniknął w chwili, gdy w drzwiach stanął Piotruś.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– Nie, nie – zaprzeczyłam szybko i schyliłam się, by pozbierać kawałki. – Wysunął mi się z ręki.

Spojrzałam na Piotrka do góry, przez co nieumiejętnie złapałam jakiś kawałek. Wbił mi się boleśnie w palec. Aj! – cofnęłam dłoń. Palec już zaczął krwawić. Pięknie. Pomogę ci – zaoferował się Piotruś i szybko posprzątał z podłogi.

Wsunęłam dłoń pod strumień zimnej wody. Palec nadal krwawił. Ranka była mała, ale głęboka. Sierota ze mnie. Jak zwykle zagapiłam się na coś, a tym razem na kogoś, i proszę... nowe uszkodzenie ciała gotowe.

– Podasz mi plaster? – poprosiłam. – W łazience na półce obok lustra leży opakowanie.

Gdzie ja, tam dużo opatrunków, wody utlenionej i plastrów. Byłam mistrzem, jeśli chodzi o autodestrukcyjną przypadkowość.

Piotruś stanął obok mnie i sprawnie założył mi plaster.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się do niego.

Wzruszył skromnie ramionami i wyszedł. Zerknęłam pod plaster. Ani śladu rany. Dobrze, że nie zniknęła na jego oczach.

Nie zdjęłam opatrunku, by nie wzbudzić jego podejrzeń.

Następne kilka godzin spędziliśmy, powtarzając materiał do kolejnego kolokwium. Często się tak uczyliśmy ostatnio. Zaliczenia mieliśmy mieć teraz seriami, więc nie było chwili wytchnienia. Siedzieliśmy obok siebie na kanapie. Ramię w ramię.

I nic! Nawet się do mnie nie przysunął, nie objął. A patrzyliśmy sobie głęboko w oczy nieraz... ech...

W końcu wieczorem wyszedł, żeby jeszcze coś zjeść i kupić alkohol na imprezę u Tomka. Gdy tylko sobie poszedł, na ścianie pojawiły się drzwi z kolorowych szkiełek.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co narobiłyście z Kleopatrami?! – ryknął na mnie Beleth.

– Przyznaję – mruknęłam. – Trochę namieszałyśmy.

– Trochę? TROCHE?! – pieklił się, chodząc w kółko. – Od rana siedziałem w Urzędzie, tłumaczyłem się przed Lucyferem! Nie rozumiesz, że ja cię powinienem pilnować, żebyś nie robiła takich głupstw?! Wyszedłem na niekompetentnego. Od samego rana wszystko naprawiam!

Słuchałam go, wbijając wzrok w podłogę. Nie byłam dumna z tego, co zrobiłyśmy. Nadal miałam okropne wyrzuty sumienia.

– Zaczął już mówić? – zapytałam, przerywając mu kolejną tyradę.

– Kto?

– Morderca – wyjaśniłam. – Jego też naprawiłeś?

– A co on mnie obchodzi? Skrzywdził cię. Należało mu się. Niemniej mogłyście to, do diabła, zrobić dyskretniej! Od dzisiaj nie ruszasz się na Ziemię beze mnie, słyszysz?

Nie miałam najmniejszego zamiaru nigdzie go ze sobą zabierać. Niańka się znalazła.

– Nie rób takiej miny. – Pogroził mi palcem. – Wiem, co ci chodzi po głowie! Słyszałem, jak z nim o tym rozmawiałaś – wskazał na drzwi, przez które wyszedł Piotruś. – Dzisiaj jest jakaś impreza i pójdę na nią z tobą!

– Nie ma mowy! – wykrzyknęłam.

Nie mogłam zabrać go ze sobą. Co by pomyślał Piotruś?! A jakby pomyślał, że Beleth jest moim facetem?! Już wolę w ogóle nie iść na tę imprezę.

Przypomniało mi się, jak bardzo miałam ochotę na nią iść. Poza tym powiedziałam już Piotrusiowi, że idę. Musiałam iść!

– Nie zgadzam się – oświadczyłam, biorąc się pod boki.

– Skarbie – posłał mi zimny uśmiech – ty nie masz wyboru. Nie!!! Co sobie pomyśli Piotruś?! Nie mogę iść z Belethem!!!

Diabeł zasłonił sobie uszy rękami i spojrzał na mnie urażony spod czarnej grzywki. Jego oczy zabłyśły ciepłym, żółtym światłem.

– Przestań krzyczeć, myśląc. Wszystko słyszę – warknął. – Wezmę ze sobą Kleopatę. Będzie udawała moją dziewczynę. Zadowolona?

Uspokoiliam się. Takie rozwiązanie w pełni mnie satysfakcjonowało. Musiałam jeszcze tylko zadzwonić do Tomka i zapytać, czy mogę wziąć dwójkę przyjaciół. Na pewno się zgodzi. Miał wyjątkowo łaskawych (bądź głuchych) sąsiadów. Potulnie znosili imprezy średnio raz w miesiącu.

Spotykamy się o dwudziestej – odparłam. – I powiedz Kleo, żeby ubrała się normalnie. Westchnął ciężko i wsunął w ścianę klucz diabła. Nadal patrzył na mnie urażony.

Wreszcie poznam twojego Piotrusia – zauważył.

Zanim zdołałam zareagować, zniknął. Lśniący kontur drzwi migotał jeszcze przez chwilę i też zniknął. Spojrzałam na Behemota, leżącego na kanapie.

– Gdyby miał jakieś złe zamiary wobec mnie albo Piotrusia, to byś mi powiedział, prawda? Jednak kot nawet na mnie nie spojrzał...

Przeszliśmy przez kolorowe drzwi Beletha na Żoliborzu. Spojrzałam na blok Tomka. To tutaj, na tym balkonie, trzecim od góry, czwartym z prawej zakochałam się w Piotrusiu. Nie wiadomo po co i jak...

Gdybym teraz mogła coś zmienić, tobym wtedy coś powiedziała, że mi się podoba, sama nie wiem. A może po prostu wcale nie wyszłabym na ten balkon? Życie byłoby prostsze.

– Muszę go w końcu poznać. – Kleopatra wzięła mnie pod ramię. – Przystojny jest?

Zerknęłam wściekła na Beletha. Powiedział jej!

– Mnie się podoba – mruknęłam wymijająco.

Był przystojny. Zwłaszcza dobrze mu było z jednodniowym zarostem. Co prawda moja najlepsza przyjaciółka, Zuza, uważała, że wygląda w nim obleśnie i w ogóle jest niesympatyczny.

Według mnie był bardzo sympatyczny. Dobrze... odrobinę wkurzający był ten jego indywidualizm, milczenie, zagadkowość, ale to był po prostu on. Nie widziałam wad, tylko zalety (Zuza twierdzi, że nieistniejące).

Weszliśmy do zatłoczonego już mieszkania. Od razu zauważyłam Piotrusia. Razem z Tomkiem mieszał różne alkohole w wysokich szklankach.

Gdy tylko Beleth przekroczył próg, jak na komendę wszystkie damskie spojrzenia odwróciły się w jego stronę.

Fakt, było na czym oko zawiesić. Jakiś metr dziewięćdziesiąt, doskonale wyrzeźbiona sylwetka, przystojna, odrobinę chłopcęca twarz ze szczerymi, złotymi oczami przykrytymi czarną grzywką niesfornych włosów, dzisiaj nieułożonych w irokeza. Beleth był bardzo przystojny.

Znowu zastanowiło mnie, dlaczego on mi się nie podobał. Owszem, pociągał mnie, i to bardzo. Jednak myślałam tylko o Piotrusiu.

Przedstawiłam moich diabolicznych znajomych. W pokoju rozległ się zbiorowy jęk

zawodu, gdy powiedziałam, że Bartek i Kleopatra są parą.

– Kleopatra? – zagadnęła ją Zuza. – Dość nietypowe imię.

– Królewskie – odparła.

Nie miała na sobie sukni z trenem ani drogiej biżuterii, jednak całą swoją postawą, każdym gestem wyróżniała się z tłumu studentek. Była w niej subtelna elegancja, szyk oraz odrobina egoizmu i wyższości. Kleopatra zdecydowanie przykuła uwagę wszystkich chłopców.

– Oni są za ładni, żeby byli prawdziwi – mruknęła do mnie Zuza, gdy odeszliśmy na bok. – Skąd ich znasz?

– Z pracy – odparłam.

– Ty pracujesz? – zdziwiła się. – Nic mi nie mówiłaś...

– A, od tygodnia. Dopiero zaczęłam, nie chciałam zapeszyć. To nic takiego, ale zawsze trochę grosza na ciuchy wpadnie do kieszeni – powiedziałam szybko. – Później ci opowiem.

Wcześniej ustaliliśmy, że na potrzeby moich znajomych będziemy mówić, że znamy się z pracy, gdzie wszyscy zajmujemy się doradztwem handlowym. Usiadłam na kanapie obok Piotrusia. On też nie spuszczał wzroku z Kleopatry.

– Są z Bartkiem zaręczeni – poinformowałam go.

Lekko stracił zainteresowanie, mimo to nadal zezował w jej głęboki dekolt.

– Ona ma kompleks królowny... – skwitowała zniesmaczona Zuza, kiedy Kleo zażądała czerwonego wina.

Na szczęście Beleth opanował sytuację, obwieszczając wszem wobec, że on takie przyniósł i zaraz jej da.

– Witaj, jestem Kleopatra – wyciągnęła dłoń do mojego Piotrusia, lustrując go wzrokiem od góry do dołu.

– Cześć – odparł i uściśnął jej dłoń.

Skrzywiła się. Zapewne oczekiwała, że pocałuje ją w rękę. Ech, nie te czasy, kobieto. Teraz jest dobrze, jak facet w ogóle się przywita... U mnie w liceum zawsze trzeba było ze wszystkimi pocałować się w policzek na powitanie – oczywiste przenoszenie zarazków. Za to na uczelni? Chyba to wybitnie warszawski zwyczaj, bo nikt tego nie robi. Faceci, owszem, witają się ze sobą uściskiem dłoni, ale z dziewczynami wcale. Często nawet nie mówią im cześć.

Zresztą tak samo zachowuje się Piotruś. Zawsze na wszelki wypadek staje co najmniej półtora metra ode mnie, żebym się tylko, broń Boże, nie wyciągnęła i nie pocałowała go w policzek. Nie rozumiem tego... Czyżby w jego rodzinnym Malborku chłopcy nie witali się z dziewczynami?

Kiedy Piotrek odszedł, Kleopatra pochyliła się w moją stronę, by podzielić się uwagami. Dopiąłam drinka, żeby jakoś to znieść...

– Studenci są koszmarni – oświadczyła.

Nie zdziwiło mnie to. Tę opinię słyszałam już w Stodole.

– Ten twój Piotruś... słuchaj... no może być. Ten zarost, czarne włosy, poza tym jest wysoki. Jest męski, przyznaję. Pod tym względem mi się podoba. Ale... takie trochę z niego ciepłe kluchy. Taki misio do poprzytulania – szeptała mi dalej na ucho. – Niemniej ciacho.

Chciałoby się go schrupać. Masz moje błogosławieństwo. Zaczęłam żałować, że już zdążyłam wypić całego drinka.

– Dziękuję, Kleo – odparłam. – Zawsze chciałam to usłyszeć.

– A teraz spójrz na tego – wskazała na Pawła. – Ten ma sylwetkę, mięśnie. Widać po nim testosteron.

Miałam ochotę zaśmiać się głośno. Tłuczek stał właśnie obok Zuzy i prezentował jej swoje bicepsy. Cały się nadał i zacisnął zęby, by jak najmocniej wyeksponować mięśnie. Współczułam Zuzie. Wyglądała, jakby miała umrzeć. Paweł skrzywił się jeszcze bardziej i wyglądał wybitnie nienormalnie.

Beleth usiadł obok mnie po drugiej stronie, zajmując miejsce zwolnione przez Piotrusia. Kurde... Wskazał na Pawła, który z wysiłku zrobił się czerwony na twarzy. Przypomniał mi się dowcip o trepanacji czaszki blondynki. Neurochirurdzy znaleźli w środku zamiast mózgu tylko sznurek biegnący w poprzek jamy. Gdy go przecięli, blondynce odpadły uszy. Paweł wyglądał tak, jakby miało mu coś pęknąć albo już pękło...

– Ty... czy on jest naćpany? – zapytał mnie Beleth.

– Nie, to jego zwyczajny wyraz twarzy – odparłam. Kleopatra obserwowała go bacznie.

– Tak, on jest całkiem, całkiem – skwitowała, oblizując usta.

– Kleo... on bierze sterydy, koks, co tylko chcesz, żeby tak wyglądać – wyjaśniłam jej. – Poza tym intelektualnie zatrzymał się chyba na poziomie pantofelka...

– Sterydy? – Skrzywiła swój zgrabny nosek. – Eee... czyli jest sztuczny? To nie, plastikowi faceci nie są fajni. Już mi się nie podoba.

Zaśmiałam się głośno.

– Nie to co nasz Beleth. – Pogłaskała go po umięśnionym ramieniu i puściła do mnie oko. – W stu procentach naturalny!

Skrzywiłam się na tę jawną reklamę.

– Może jeszcze biodegradowalny? – prychnęłam.

Kleopatra zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, co do niej mówię. Spróbowała wymówić słowo biodegradowalny, ale po trzech próbach dała sobie spokój i wróciła do obserwacji Pawła. Zmrużyła oczy. Czyżby ślepla?

Zerknęłam na Beletha, który nawet nie zareagował na nasze słowa. Nie słuchał nas. Czujnie śledził każdy ruch Piotrusia.

Nie spuszczał z niego wzroku.

– Przestań się na niego gapić – syknęłam.

Zwrócił na mnie swoje złote oczy, błyszczące wewnętrznym ogniem. Nie zobaczyłam w nich emocji. Jedyne pustkę.

– Nie rozumiem, co w nim widzisz – stwierdził.

– Nie wszystko da się zrozumieć – burknęłam.

– Zamień się ze mną miejscami – zażądała Kleopatra i wepchnęła się między mnie i Beletha.

Od razu zaczęła mu coś szeptać do ucha. Nie zwracałam na nich uwagi; obok mnie usiadł Piotruś i podał mi szklanekę z tajemniczą miksturą, którą właśnie wyprodukował Tomek.

– Na pomoc! – Zuza wyrosła przed nami jak spod ziemi i wpakowała mi się na kolana. Aż stęknęłam. – Jeszcze chwila w jego towarzystwie i pójdę się zabić!

Tuż za nią podążał niewzruszenie Paweł, gwałtownie gestykułując podczas opowiadania jakiejś historii. Stał nam nad głową.

– No i należę do tego supertajnego, sławnego stowarzyszenia. Mówię ci, ale niesamowite rzeczy tam robimy. Powinnaś się zapisać – kontynuował przemowę do lekko podpitej Zuzy, która miała go w najgłębszym poważaniu. – Niektóre obrzędy robimy nago.

Obleśny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Piotruś parsknął.

– Obrzędy nago? Co ty, człowieku, pieprzysz? Paweł, nie tracąc rezonu, zaczął od początku:

– Bo ja jestem w takim sławnym tajnym stowarzyszeniu...

– Czy słowa „sławne” i „tajne” się nie wykluczają? – przerwałam mu.

Zaczęliśmy się z Piotrkim śmiać. Paweł stał z głupią miną.

– No nie – stwierdził w końcu. – Bo ono jest i sławne, i tajne.

Spojrzałam na Pawła z politowaniem. Jak zwykle stał i szczyrzył się bezmyślnie, pewien swojej genialności. Skąd tacy ludzie się biorą?

– Paweł, jesteś bystry... – wykrzyknęłam, a Tłuczek poczerwieniał z zadowolenia – ...jak woda w kiblu – dokończyłam.

– Teraz on będzie cię nienawidził – mruknął do mnie Piotruś.

– Sądzę, że jakoś to przeżyję.

W tej chwili Paweł ze złością zrzucił moją torebkę z krzesła obok.

– Kretyn... – stwierdziłam.

– Kretynka! – wykrzyknął.

– Nie stać cię na nic oryginalniejszego?

Paweł milczał przez chwilę. Zuza chichotała histerycznie.

– Głupia kretynka!

Spojrzeliliśmy z Piotrkim po sobie. Piotruś zagryzł wargę, żeby się głośno nie roześmiać, bo to by jeszcze bardziej rozjuszyło Pawelka. Wpatrywaliśmy się w siebie znacznie dłużej niż zazwyczaj. Piotrek uśmiechnął się do mnie delikatnie.

Dokładnie przyglądał się mojej twarzy, jakby uczył się jej na pamięć. Ja natomiast miałam kłopoty z odwróceniem wzroku od jego pełnych ust.

Zuza wstała odrobinę chwiejnie z moich kolan, czym obudziła nas z tego osobliwego transu, i ruszyła żwawo w stronę kuchni. Chyba miała nadzieję, że jeśli zrobi to wystarczająco szybko, to zgubi Pawła. Myliła się. Ruszył jej śladem, znowu zaczynając mówić o swoim sławnym, tajnym stowarzyszeniu.

– Jego chyba w dzieciństwie ktoś upuścił – wymruczał Piotruś, dopijając drinka. – Przynieść ci jeszcze? Spojrzałam na pełną szklanekę, której nawet nie tknęłam. Barwa drinka trochę mnie odstraszała.

– Nie, dziękuję na razie – odparłam.

Piotruś wstał i także zniknął w kuchni, a ja zostałam na kanapie obok wciąż szepczących Kleo i Beletha. Trzeba im to przyznać. Nie wychodzili z roli narzeczonych nawet na chwilę.

16

Siedziałam w zatłoczonej sali mikroskopowej. Była wiosna, przez okna wpadały ciepłe promienie słońca. Wieloletni kurz unosił się w powietrzu. Dzisiaj mieliśmy tylko ogólną prelekcję. Dwie godziny z życia i do domu. Wykładowczynie jak zwykle traktowała nas jak stado kretynów i każdym swoim słowem i gestem usiłowała nam udowodnić, że jest od nas lepsza. Zadane pytania zawsze pomijała milczeniem, bądź zbywała nas, żebyśmy sobie sami przeczytali w domu z książki, bo przecież po to są książki. Nie trawiłam tej kobiety...

Kątem oka obserwowałam Piotrusia. Oparł się na łokciu. Oczy zamykały mu się coraz częściej, coraz dłużej się nie otwierały. Jak wykładowczynie go zauważy, to będzie miał przechłapanie.

Wysłałam w stronę kobiety rozkaz, by nie widziała Piotrka, gdy ten uśnie, by wydawało jej się, że pilnie słucha. Głowa mojego obiektu westchnień jakby na zawołanie opuściła się jeszcze niżej. Często spał na zajęciach. Miałam świetny widok na jego profil. Prosty nos, czarne nitki zarostu na śniadej cerze, błogi spokój śpiącego.

Westchnęłam. I po co mi to?

Bo on mi się podoba – musiałam sobie to przypomnieć.

Machinalnie bazgrałam po kartce, tworząc kolejny bohomaz. Jeszcze trochę i pomyślę, że jestem na Akademii Sztuk Pięknych...

Nagle kartka zaświeciła. Pojawiły się na niej litery, zupełnie jakby były wypalane. W powietrze uniósł się lekki swąd spalenizny i zapach siarki. Rozejrzałam się szybko, czy nikt nie zauważył. Pomachałam w powietrzu dłonią, by przegnać smród pogorzelska.

Na szczęście nikt mnie nie obserwował. Wszyscy równo wegetowali, patrząc bezmyślnie w przestrzeń. Z tej śpiączki wywołanej monologiem wykładowczynie mógł ich w tej chwili wyrwać jedynie slajd z napisem: „Koniec. Dziękuję za uwagę”.

To ja – Kleopatra. Muszę Ci powiedzieć coś ważnego. Natychmiast. To sprawa życia i śmierci. Chodzi o kogoś, kogo kochasz.

Przeżrana spojrzałam na Piotrusia. Jezus Maria! A może on ma guza mózgu i dlatego śpi?! Uspokoiliam się natychmiast.

Prawie wszyscy spali... guzy nie są zakaźne...

Pomyślałam o tym, że chcę być niewidzialna dla wykładowczynie. Powoli zgarnęłam swoje rzeczy do torby i na czworaka, za plecami kolegów zaczęłam wpełzać z sali. Ona mnie nie

widziała, ale oni mogliby się zdziwić, gdybym po prostu sobie wyszła. Ją mogłam zaalarmować tylko skrzypiącymi drzwiami.

Ludzie przebudzali się, gdy wędrowałam im po stopach, i patrzyli na mnie z podziwem, że mam odwagę uciekać w trakcie nudnych zajęć prowadzonych przez tę wiedźmę. No cóż... odwagę miałam tylko dlatego, że stałam się dla niej niewidzialna.

Wpełzłam pod stolik Piotrusia znajdujący się przy samych drzwiach. Także obudzony zajrzał pod stół i uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Wiki, rządzisz! – oświadczył mi.

Od razu zrobiło mi się cieplej na sercu.

Poklepałam go po kolanie na do widzenia i przeskoczyłam krótką odległość między stołem Piotrka a drzwiami. Schowałam się za załom ściany. Dopiero tutaj wstałam. Położyłam dłoń na kłamce.

Tak jak sądziłam, drzwi piekielnie zaskrzypiały, gdy się przez nie przemykałam.

– Co się dzieje? – usłyszałam zaniepokojony głos wykładowczyni wyrwanej z monotonii wykładu wygłaszanego niezmiennie tymi samymi słowami od dziesięcioleci.

– Ktoś do nas zajrzał. Nic się nie stało – usłyszałam głos Piotrusia.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Bronił mnie. Pobiełam do łazienki. Zamknęłam się w kabinie i wsunęłam klucz w ścianę, myśląc intensywnie o domu Kleopatry.

– Co się stało? – krzyknęłam, wpadając do wystawnej sali tronowej.

Na mój widok Kleopatra wstała ze złotego fotela na lamparcich nóżkach. Biała plisowana suknia rozłożyła się na posadzce. Kleo zaczerpnęła powietrza i zrobiła smutną minę.

– To straszne! – Załamała ręce.

Siedzący na żerdzi obok niej sokół zaskrzeczał cicho, wyrwany z drzemki.

– Po prostu nie wiem, jak ci o tym powiedzieć. – Przytuliła mnie, gdy do niej podbiegłam. – Nie wiem, jakich słów mam użyć.

– Dostałaś zlecenie na Marka?! – wykrzyknęłam. – Na jego narzeczoną?! NA PIOTRUSIA?!

– Nie! – Odsunęła mnie na długość ramion. – Po prostu Azazel powiedział mi coś strasznego!

Odetchnęłam z ulgą. Czyli nikt nie umrze. Od początku chodziło o nią. Zaraz, skąd Kleopatrze przyszło do głowy, że mogę ją kochać...?

– I tylko po to ściągasz mnie z zajęć? – zapytałam niechętnie. Nie obchodziło mnie, co ten intrygant powiedział. Pewnie skrytykował jej sukienkę czy koronę... Mogłabym teraz dalej siedzieć w sali mikroskopowej i podziwiać, jak Piotrek zapada w coraz głębszy sen...

– Posłuchaj! – Potrząsnęła mną. – Azazel mi powiedział, co Beleth mu powiedział. Znieruchomiałam. Chyba jednak nie usłyszę nic o sukienkach i biżuterii.

– Co Beleth powiedział? – zapytałam ostrożnie.

– Beleth powiedział Azazelowi, że zamierza zabić Piotrusia... – Jej słowa zawisły w powietrzu. Stałam jak skamieniała. Zabić Piotrusia? Ale po co? Dlaczego? Poza tym jak mógłby to zrobić?

Przypomniałam sobie, jak z pogardą mówił o moim mordercy i z jakim zdziwieniem zareagował na fakt, że chciałabym cofnąć krzywdę, którą mu wyrządziłam. W jego oczach

była wtedy pustka. Taką samą pustkę miał w nich wczoraj, gdy przyglądał się Piotrusiowi.

– Ale co to mu da?! – wykrzyknęłam, atakując przyjaciółkę. – Przecież to nie sprawi, że przestanę go kochać, a jego zacznę!

Na twarzy Kleopatry malowało się współczucie.

– To nie wszystko? – zgadłam. Pokiwała twierdząco głową.

– Chyba nie będzie go torturował?! – krzyknęłam wstrząśnięta.

– Nie. Chodzi o to, że gdy już go zabije... Wyśle go do Nieba. Zamarłam, zastanawiając się ciężko, o co chodzi. W końcu doszłam do wniosku, że z dwojga złego to chyba dobrze. Kleopatra, widząc moją minę, pokręciła głową.

– Wiki, jeśli Piotruś pójdzie do Nieba, to nigdy więcej się nie spotkacie... Ty nie masz wstępu do Arkadii, a jemu nie będzie wolno zejść do Piekła. Jako zwykły obywatel Nieba nie będzie mógł odwiedzać Ziemi, więc tam też się nie spotkacie. Beleth w ten sposób rozdzielił was na wieczność.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Buzowała we mnie wściekłość na Beletha. Jak on śmie? Jakim prawem chce mi zabrać ostatnią osobę, która sprawia, że czuję, że żyję?

Uśmiechnęłam się pod nosem, znajdując rozwiązanie. Było takie proste!

– Piotruś nie pójdzie do Nieba. Nie ma na to szans! Pije, pali, przeklina! To nie jest grzeczny chłopiec. Każdy diabeł da radę go przekabacić!

– Wiki – królowa pogłaskała mnie po ramieniu. – Nieważne, jaki ktoś jest. Nieważne, ile grzechów popełnił, ile przykazań złamał. Tak naprawdę wszystko zależy od diabła i anioła.

A nawet gdy pozwoli mu zdecydować, na pewno wybierze Niebo. Och nie! Ona ma rację. Co ja mam teraz zrobić?

– Kiedy? Czy Azazel powiedział ci, kiedy Beleth zamierza zabić Piotrusia?

– Dzisiaj.

Zamarłam. Właśnie skończyliśmy zajęcia. Musiałam natychmiast tam wrócić. Musiałam go chronić. Szybko! Wyrwałam się Kleopatrze, ignorując jej krzyki, i wepchnęłam klucz w ścianę.

– Poczekaj, ustalmy jakiś plan! Nie odchódź! – Usiłowała mnie zatrzymać, ale jej nie słuchałam.

Nie było czasu na ciche rozmyślanie. Beleth mógł uderzyć w każdym momencie. Na pewno nie zamierzał zabić Piotrusia bezpośrednio. Podejrzewam, że chciał sfingować wypadek, żeby wina, broń Boże, nie spadła na niego. Oczywiście nie byłam tego pewna.

Po prostu ja bym tak zrobiła na jego miejscu.

Wybiegłam z łazienki, gubiąc po drodze torbę. To nie było ważne. Nic teraz nie było ważne.

Sala mikroskopowa była już otwarta, wszyscy wyszli do domu. Biegłam przez opustoszały korytarz. Nigdzie nie widziałam ludzi z mojego roku. Muszę zdążyć! Muszę!

Pokonałam marmurowe schody, o mało z nich nie spadając. Odepchnęłam oburzonego ochroniarza, który usiłował usunąć mi się z drogi.

Przed budynkiem już prawie nikogo nie było. Przy przejściu dla pieszych zobaczyłam Piotrusia z kolegami. Ociągali się z rozejściem, rozmawiając o czymś wesoło.

Odetchnęłam z ulgą. Zdążyłam. Jeszcze żyje.

Nagle po drugiej stronie ulicy zauważyłam Beletha. Stał niedbale oparty o mur przedwojennego budynku. Wiatr targał jego włosami nad kamienną twarzą. Nie patrzył na mnie.

Nie patrzył nawet na Piotrusia. Wpatrywał się w kompletnym bezruchu w sygnalizację świetlną. Przeklęłam szpetnie, chociaż normalnie mi się to nie zdarzało.

Piotrek powiedział coś do swoich kolegów. Tamci wzruszyli ramionami. Wiatr doniósł do mnie strzępki ich rozmowy.

Żegnali się.

Światło na przejściu dla pieszych zmieniło się na czerwone. Zza zakrętu wyjechała rozpędzona ciężarówka dostawcza. Mrożonki pędziły do sklepów. Kierowca, widząc dla siebie zielone światło, jeszcze mocniej wcisnął pedał gazu.

Piotruś odwrócił się w stronę ulicy, chcąc przejść na drugą stronę. Beleth uśmiechnął się, a światło dla pieszych zabłysło trupią zielenią. Kierowca ciężarówki także miał zielone. Parł naprzód z dużą prędkością, by szybciej dojechać do celu.

Mój kochany Piotruś, nie rozglądając się na boki, pewnym krokiem wszedł na przejście dla pieszych...

17

Krzyknęłam i rzuciłam się biegiem w tamtą stronę. Odwrócił się, zauważając pędzący w jego stronę pojazd. Zaskoczony zatrzymał się na środku.

Wszystko działo się jak w zwolnionym filmie.

Kierowca ciężarówki wcisnął hamulec, jednak było już za późno. Potężny samochód siłą rozpędu pędził prosto na Piotrkę, który zamarł, nie mogąc się ruszyć.

W ostatniej chwili wskoczyłam na pasy i pchnęłam z całej siły Piotrusia. Ciężarówka odtrąciła mnie, przejeżdżając mi po nodze. Usłyszałam jeszcze głośny huk i trzask miażdżonych kości.

Zemdlałam z bólu.

– Wiki! WIKI!!! – nad moją głową ktoś krzyczał, powoli się budziłam.

Ból zniknął tak szybko, jak się pojawił. Czulałam tylko twardą jezdnię pod plecami.

Otworzyłam oczy. Nade mną pochylał się Piotruś.

Czyli żyje. Westchnęłam z ulgą. Uśmiechnęłam się do niego.

– Wiki! Słyszysz mnie?! Wiki!!! – Jego dłonie błędziły po mojej twarzy, rękach.

Usiadłam. Nawet nie zakreśliło mi się w głowie. Czulałam się pełna sił. Nic tak nie dodaje kopa jak potrącenie przez mroźonki.

– Słyszę – odparłam, patrząc na swoją nogę.

Była cała. Nie było na niej nawet najmniejszego śladu. Nogawka spodni zabrudziła się trochę w miejscu, gdzie przejechało po niej koło, ale na szczęście nie było krwi. Noga zdążyła się widocznie naprawić, zanim zalała ją krew. Zrobiło mi się odrobinę niedobrze na myśl o tym, że mogłabym stracić kończynę, gdyby nie to, że już nie żyję.

Nade mną pochylało się jeszcze kilkanaście osób, w tym przerażony kierowca ciężarówki.

– Przejechałem po niej, przejechałem po niej – pochlipywał.

– Nie przejechał pan mnie – powiedziałam i wstałam. – Widzi pan? Nic mi nie jest.

Piotruś zerwał się na równe nogi i schwycił mnie za ramię w obawie, że się przewrócę.

– Co robisz? Powinnaś leżeć! Zaraz przyjedzie karetka! Muszą cię zbadać. Możesz mieć jakieś obrażenia wewnętrzne. Nie zwróciłam na niego uwagi. Spojrzałam na miejsce, w którym stał Beleth. Nie było go już. Zniknął.

– Aleja się dobrze czuję – powiedziałam do Piotrka.

– Potrącił cię! – wyszeptał, patrząc mi prosto w oczy. – Musiał cię potrącić. Upadłaś

znacznie dalej ode mnie, pchnięta przez maskę. Jest na niej wgniecenie! Poza tym straciłaś przytomność!

Był przerażony. Cały czas nie przestawał mnie dotykać, jakby upewniał się, że na pewno istnieję i żyję.

– Tylko mnie musnął – burknęłam niechętnie.

W tym momencie w końcu ulicy rozległo się zawodzenie syreny ambulansu. Karetka podjechała obok nas z piskiem opon. Wyskoczyło z niej dwóch mężczyzn w czerwonych kurtkach.

– Gdzie ranna?! – krzyknął jeden z nich.

– Tutaj. – Piotruś pociągnął mnie w ich stronę, ignorując mój głośny sprzeciw.

Sanitariusze z karetki uparli się, że należy zabrać mnie do szpitala na dokładne badanie. Według nich mogłam być w szoku i dlatego nie czułam bólu. Konieczny był według nich rentgen czaszki i tomografia.

Nie miałam rozszerzonych, niereagujących na światło źrenic, przytomność straciłam tylko na chwilę, znikąd nie krwawiłam, ale się uparli. Tak samo jak Piotruś. Prawdę mówiąc, to im się nie dziwiłam. To było podejrzané, że nic mi nie było. Piotrek wpakował się ze mną do karetki, w której kazali mi się położyć. Obiecał mi szeptem, że nie zostawi mnie samej.

Już bez oporów usiadłam na leżance, a potem opadłam na twarde posłanie.

– Co za cyrk... – mruknęłam, kiedy przypinali mnie pasami. – Nic mi nie jest...

– Takie są przepisy, panienko – odparł ratownik.

Piotruś cały czas trzymał mnie za rękę, delikatnie ściskając palce. Odgarnął mi włosy z czoła i czule pogładził po policzku. A ja, cholera, byłam związana i nie mogłam się ruszyć!

– Uratowałaś mi życie. Dziękuję – szepnął mi do ucha, a następnie pocałował w policzek.

W jego oczach zobaczyłam czułość, jednak nie powiedział nic więcej. A „kocham cię” to gdzie, do diabła?!

– Nie ma sprawy – westchnęłam zawiedziona. – Też byś to dla mnie zrobił.

– Mogłem umrzeć. Tak po prostu mogłem umrzeć – mówił bardziej do siebie niż do mnie, patrząc teraz bezmyślnie w ścianę ambulansu. – Po prostu...

Romantyzm i czar przysły w jednej chwili. Tak... mogłeś umrzeć. Ja też! Halo!!! Trochę czułości jeszcze mi się należy!

Podobno umieram! Halo!

Aż miałam ochotę dostać jakichś drgawek i zacząć krwawić z oczu...

W szpitalu przebadali mnie od stóp do głów. Rentgen i tomografia oczywiście nic nie wykazały. Kto by się spodziewał...

– Odwiozę cię do domu – powiedział Piotruś, gdy wyszliśmy w końcu ze szpitala, bo nie zgodziłam się zostać na obserwację. Nie zgodziłam się też, żeby informowali o całym zajściu mego brata. Ze zdenerwowania jeszcze dostałby zawału...

Piotrek przez całą drogę dzielnie podtrzymywał rozmowę. Usiłował żartować, że przebywając w moim towarzystwie, zawsze można przeżyć jakieś przygody. Nie przeczę... Sądził, że jestem przestraszona i zmęczona. Mylił się. Byłam wściekła. Wściekła na Beletha.

Zamierzałam się z nim policzyć, gdy tylko go spotkam.

Kiedy dotarliśmy pod same drzwi na czwartym piętrze mojego bloku, Piotrek stanął niepewnie. Z wczesnego popołudnia zrobił się wieczór. Latarnie zaczęły się po kolei zapalać.

– Na pewno nie chcesz zadzwonić do swojego brata? – zapytał.

– A po co? – zdziwiłam się, wyjmując z kieszeni klucze.

– No bo jak w nocy zasłabniesz albo źle się poczujesz? – powiedział. – Nikogo przy tobie nie będzie. Ktoś powinien czuwać. Tak na wszelki wypadek.

Był uroczy. Zrobiło mi się przyjemniej. Może nie błysnął poprzednio romantyzmem i nie powiedział głośno, że zawsze kochał mnie nad życie, niemniej martwił się. To martwienie się jak na razie mnie satysfakcjonowało.

– Marek by się niepotrzebnie zdenerwował – stwierdziłam. – Nie mam zamiaru do niego dzwonić.

– Wiki – zaczął Piotruś. – Dzisiaj przeze mnie prawie umarłaś. Nie mogę cię tak zostawić. Lekarz kazał cię obserwować.

Wskazał dłonią na drzwi.

– Czyli chcesz u mnie nocować? – zapytałam, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Jeśli się zgodzisz.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć. Ja się nie zgodzę? Też coś.

– Dobrze – odparłam. – Martwisz się o mnie! Speszył się, ale nie puścił mojej dłoni.

– Tak – odparł po prostu.

– To chodź. – Nie mogłam przestać się uśmiechać. Weszliśmy do mojej małej kawalerki. Behemot wyszedł nam na powitanie. Piotruś schylił się i wziął go na ręce. Kociak od razu zaczął głośno mruczeć. Zostawiłam ich samych i weszłam do kuchni, krzycząc, że zrobię coś do jedzenia. Byłam bardzo głodna. Ostatni raz miałam coś w ustach rano.

Wstawiłam wodę na herbatę i zajrzałam do lodówki. Poza spleśniałym serem nic nie było. Machnęłam dłonią, a na stole obok mnie jak na zawołanie pojawiły się produkty do spaghetti bolognese. Wyciągnęłam patelnię i wrzuciłam na nią mielone mięso.

Behemot miauknął głośno. Chwilę później ocierał mi się o nogi w nadziei, że rzucę mu jakiś smakołyk. Za kotem do kuchni zawędrował Piotruś.

– Hej, nie rób sobie kłopotu – zaprotestował, ale mimo wszystko zajrzał ciekawy, co przygotowuję.

– Na pewno jesteś głodny. Zresztą ja też.

– To może jakoś ci pomogę – zaoferował się.

Przez następne kilka minut krzaliśmy się po mikroskopijnej kuchni, mającej może metr kwadratowy powierzchni do stania – resztę zajmowały szafki, kuchenka i zlew. Nieraz musieliśmy otrzeć się o siebie bądź wrywać sobie ze śmiechem łyżkę czy nóż. Żartowaliśmy, przedrzeźnialiśmy się. W którymś momencie Piotrek zanurzył palec w pomidorowym sosie i maznął mnie po nosie.

– Hej! – zaprotestowałam ze śmiechem i pogroziłam mu drewnianą łyżką.

Podniósł do góry dłonie w geście rozejmu. Wziął ściereczkę i delikatnie starł sos z mojego

nosa. Opuszkami palców pogładził mnie po policzku. Stałam bez ruchu zaskoczona tą nieoczekiwaną pieśczołą.

Makaron się przypalił.

Zjedliśmy, siedząc ramię w ramię na kanapie. Wygłupialiśmy się, nie mogąc złapać długich nitek spaghetti. Na laptopie włączyliśmy jakiś film. Nawet już nie wiem jaki. Interesował mnie bardziej Piotrek siedzący obok niż nieosiągalne gwiazdy z ekranu.

Byłam zmęczona, tak samo jak on. To był bardzo długi dzień. Za dużo wrażeń jak na jedną dobę.

Uparł się, że nie wolno mi się przemęczać, więc poszłam zmywać naczynia, kiedy on walczył z lekko zacinającą się wersalką. Nie było innego miejsca, gdzie mógłby spać, więc musiał położyć się obok mnie. Jakoś specjalnie mi to nie przeszkadzało.

– Masz pościel w pirackie czaszki? – Zaśmiał się, kiedy przebierałam się w piżamę w łazience. – Zajebista jest!

Piżamę miałam jeszcze lepszą. Czarne szorty i czarna luźna koszulka z olbrzymim kotkiem. Też bardzo mu się spodobała.

Spojrzałam na Piotrusia, który zdejmował dzinsy. Był potężnym facetem...

Położyliśmy się twarzą w twarz. Behemot prychnął niezadowolony na fotelu. Był zły, że chłopak zajął mu jego miejscówkę w moim łóżku.

Piotruś od razu po przyłożeniu głowy do poduszki zamknął oczy. Długie rzęsy rzucały cienie na jego policzki. Czarne igły jednodniowego zarostu były bardzo wyraźne. Powstrzymałam się, żeby nie pogłaskać go po twarzy, chociaż już wyciągnęłam rękę.

Westchnęłam. I co teraz? Idziemy tak spać? Nie przytuli mnie? Nic? Zero? Na litość boską, leżę obok niego w samej piżamie pod jedną pościelą. Jego twarz obok mojej, jego naga noga obok mojej, jego dłoń obok mojej...

Jego oddech pogłębił się. Piotrek zasnął. Tak po prostu zasnął.

Co jest ze mną nie tak?! W ogóle mu się nie podobam?! Jest sam na sam z dziewczyną w łóżku i nic? Kompletnie nic? Zachciało mi się płakać. Beleth nawet nie potrzebował takiej scenarii, żeby spróbować mnie uwieść. Jemu nawet tłum ludzi Pod Głową Anubisa nie przeszkadzał, żeby spróbować mnie obmacywać i składać niemoralne propozycje. Westchnęłam rozczarowana. Nawet mój kot się do mnie w nocy przytulał. Miał mózg wielkości piłki golfowej, a był bardziej domyślny.

Odwrociłam się do Piotrka plecami, wtulając twarz w poduszkę i powstrzymując łzy. Piotruś zaczął cicho pochrapywać. Rozumiem, byliśmy okropnie zmęczeni. Kończąc spaghetti, oboje powstrzymywaliśmy ziewanie, no ale mimo wszystko myślałam, że mnie chociaż przytuli.

Co jest ze mną nie tak?

Oczywiście nie usnęłam. Nawet na chwilę. Cały czas myślałam o nim, o tym, że leży tak blisko, a jest dalej, niż był kiedykolwiek. Przecież ja nie mogłam się do niego przytulić. Byłoby, że się narzucam.

A może nie?

Jednak nie odważyłam się, pomimo że miałam ogromną ochotę.

Przypomniało mi się, co kiedyś powiedział mi pewien chłopak. Zapytał, czy go kocham. Przestraszyłam się ogromnie. Nie kochałam go, nawet z nim nie chodziłam – kilka razy gdzieś razem wyszliśmy. Ale nie chciałam go krzywdzić. Powiedziałam mu, że jeszcze nie myślę o miłości. Jakiś miesiąc później znowu zapytał, czy go kocham. Byłam wtedy zła – trafił na bardzo niewłaściwy moment. Warknęłam na niego: „A ty znowu zaczynasz?!” Pamiętam dokładnie, powiedział mi wtedy, że jestem oschła.

Czy ja byłam oschła? Na pewno odrobinę sztywna, bo Piotruś straszliwie mnie stresował. Bałam się, że zrobię z siebie przy nim kretynekę. Jednak czy byłam oschła? Może o to chodziło? Może on też myślał, że jestem oschła i dlatego nawet nie próbował mnie poderwać?

Odwrociłam się znowu w jego stronę. Przez sen sprytnie wykorzystał moment, że zwinęłam się w kłębek tuż przy samej ścianie. Leżał teraz na plecach i zajmował jakieś trzy czwarte łóżka.

Westchnęłam i lekko go pchnęłam, żeby przesunął się i zrobił mi miejsce. Nie zdołałam przesunąć go nawet o milimetr.

Na chwilę jakby się przebudził, jednak jego oddech zaraz znowu zrobił się miarowy. Nie ruszył się. Nadal leżał nieruchomo.

Nienawidzę swojego życia... O przepraszam – nieżycia.

Znowu odwróciłam się na prawy bok, wpatrując się w ścianę. Nie mogłam usnąć.

Gdzieś nad ranem Piotruś przebudził się i odwrócił w moją stronę, opasując mnie ramieniem w talii. Uśmiechnęłam się pod nosem i poprawiłam sobie poduszkę. Zauważając mój ruch, zabrał rękę.

Szlag by to trafił. No po prostu szlag by to trafił...

18

Rano leżeliśmy w łóżku do dziewiątej. To znaczy ja leżałam. On spał... Przesunęłam palcami pod oczami, żeby zlikwidować cienie, pamiątkę po bezsennej nocy.

Byłam zła i rozżalona. Nawet mnie nie przytulił. Musiałam bardzo mu się nie podobać... Ciężko mi było znieść myśl, że najwyraźniej byłam według niego tak okropna.

Kiedy rano wyszedł, po trzykrotnym upewnieniu się, że dobrze się czuję, i przeprosinach, że usnął (zamierzał czuwać), przytuliłam Behemota i zaczęłam płakać. Zlizywał szorstkim języczkiem słone łzy z moich policzków. Potem przestał, po prostu wtulił małą główkę w moją szyję i cierpliwie znosił łzy, które skapywały mu na futerko. W końcu uspokoiliam się.

Odstawiłam kota na ziemię i otarłam twarz. Czas wziąć się w garść. Może Piotruś po prostu był bardzo zmęczony i dlatego od razu usnął? Tak, to na pewno było to. W końcu także byłam pioruńsko zmęczona.

Hm... niemniej nie usnęłam.

To dlatego, że ja za dużo myślę. O właśnie!

– Muszę iść nakrzyczeć na Beletha – powiedziałam do kociaka. – Nie wiadomo, kiedy znowu spróbuje zabić Piotrusia. Wsunęłam klucz w ścianę, myśląc intensywnie o moim diable. Gdy moje drzwi się pojawiły, zawahałam się. Powinnam zastukać. Tylko czy chciałam być delikatna? Trzasnęłam pięścią dwa razy w wiśniowe drewno.

– Proszę... – odpowiedział mi jego głos.

Nacisnęłam klamkę i wkroczyłam do pałacu rodem z Baśni tysiąca i jednej nocy. Duża sypialnia z orientalną stylistyką oślepiła niezliczoną ilością detali, rzeźbień, zdobień, ornamentów.

Okragłe łoże, zarzucone wzorzystymi poduchami, zapraszało, by się na nim położyć. Wnętrze nasuwało mi na myśl pilnie strzeżone tajemnice wschodnich haremów.

Przy dużym lustrze zobaczyłam Beletha. Stał na bosaka na marmurowej podłodze, ubrany tylko w szerokie, ciemno-zielone szarawary. Obwiązywał się w pasie szerokim materiałem.

Nie patrzył na mnie. Całkowicie skupiał się na przejrzystym paśmie materiału. Miałam świetny widok na jego silne, umięśnione plecy i tak samo pięknie wyrzeźbioną pierś, odbijającą się w lustrze. Oliwkową skórę na plecach szpeciły tylko dwie czarne, jakby przypalone, blizny na łopatkach.

Czarne, niesforne włosy leżały na pochylonym karku, opadały mu na czoło i policzki. Nie

widziałam jego oczu. Cholerny Aladyn się znalazł.

Podeszłam do niego. Poczekalam, aż raczył wreszcie odwrócić się w moją stronę, i gdy nasze oczy się spotkały, uderzyłam go z całej siły w twarz.

– Co ty sobie wyobrażałeś?! Co chciałeś osiągnąć?! – krzyczałam, bijąc pięściami w jego pierś. – Nienawidzę cię!

Znowu zaczęłam płakać. Nie wiem, czy płakałam dlatego, że Piotruś o mało nie umarł, czy dlatego, że kompletnie nie zwracał na mnie uwagi i w nocy nie uczynił żadnego ruchu w moją stronę.

Beleth stał jak skamieniały, ze spuszczoną głową i bez sprzeciwu znosił moje krzyki.

– Nienawidzę cię! – krzyknęłam i spojrzałam na niego, opierając dłonie o jego pierś. Beleth złapał mnie za nadgarstki i odsunął się ode mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Ty... – wydusił. – Twoje oczy, twoje tęczęwki...

– Nie zmieniaj tematu – warknęłam na niego, zaniepokojona przestraszonym na jego twarzy, zerknęłam w lustro. Moje oczy były takie, jak zwykle, ciemnobrązowe.

– Teraz wyglądają normalnie – tłumaczył się. – Musiało mi się wydawać... były mlecznobiałe. Przysięgam.

– O czym ty mówisz?! – Jeszcze raz spojrzałam w lustro. Moje oczy były takie jak zwykle. Jakie mlecznobiałe? O czym on mówił? Jedyne, co odbiegało od normy, to zaróżowione ze złości policzki.

– Nie zmieniaj tematu! – zawołałam, nie mogąc pojąć jego zachowania, i wyrwałam rękę z jego uścisku. – Ty...! Ty...!

Nienawidzę cię! – znowu zaczęłam.

W końcu opadłam z sił. Odeszłam od niego i usiadłam na drewnianej ławie przy łóżku. Schowałam twarz w dłoniach. Nie pamiętam, kiedy ostatnio było mi tak źle.

Diabeł bez słowa usiadł obok mnie. Spojrzałam na niego. Założył misternie haftowaną koszulę sięgającą aż do kolan.

– Przepraszam – powiedział, uparcie wpatrując mi się w oczy, jakby szukał tam jakiejś nieprawidłowości. – Nie chciałem cię skrzywdzić. Nie wiedziałem, że będziesz tak cierpieć. Chciałem po prostu go... usunąć. Sprawić, byś o nim zapomniała. Żebyś była tylko moja.

Jego złote oczy wydawały się szczerze. Tylko że był diabłem. Diabły nie potrafią być do końca szczerze.

– Nie rób tego nigdy więcej. Nie waż się zabierać mi rzeczy i osób, które kocham.

Pokiwał głową. Nie uwierzyłam mu, że nie spróbuje zrobić tego znowu. Już mu nie ufałam.

– Przysięgnij, że nie zrobisz mu krzywdy!

Siedział w milczeniu, wpatrując się przed siebie. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Obietnica nie chciała przejść mu przez gardło. W końcu na mnie spojrzał. Wpatrywałam się z uporem w puste złote tęczęwki.

Nagle przestraszyłam się, czego może zażądać w zamian za tę obietnicę. Nie chciałam mu niczego dawać. Zwłaszcza siebie.

– Nie chciałem cię skrzywdzić – powtórzył tylko.

– Ale skrzywdziłeś – szłam w zaparte, wykorzystując moment, że jeszcze nie wpadł na pomysł, by targować się o przysięgę. – I skrzywdzisz jeszcze bardziej, jeśli zrobisz mi coś złego.

Beleth znowu uciekł spojrzeniem przed siebie. Zastanawiał się nad czymś głęboko. Uśmiechnął się delikatnie. Zadrżałam. Nie był to miły uśmiech.

– Nie skrzywdzę go już nigdy więcej. Przysięgam. – Wyciągnął w moją stronę dłoń, zadowolony z siebie.

– Tak po prostu się zgadzasz? – zapytałam nieufnie. Wzruszył szerokimi ramionami.

– Zależy mi na tobie. Nie chcę cię ranić. A niestety raniąc go... zranię i ciebie – westchnął.

Wydawał się przybity, jednak w kącikach jego ust nadal błąkał się delikatny uśmiech. On coś wymyślił, coś planował. A ja nie mogłam na to nic poradzić.

– Ale czekaj... – Cofnęłam dłoń, którą wyciągnęłam w jego stronę. – Przysięgnij też, że nie poprosisz nikogo innego, by go skrzywdził.

– Przysięgam – odparł spokojnie.

Coś było nie tak. Za łatwo się zgodził. Nie poddał się. Wpadł po prostu na inny pomysł, sposób na obejście przysięgi. Jednak nie miałam wyboru. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Poczułam, jak w górę ramienia podchodzi ciepła fala, od której stanęły mi włoski na karku.

– Skąd w ogóle pomysł, żeby go zabijać? – zapytałam, zabierając dłoń.

Nie miałam ochoty dotykać go dłużej, niż musiałam. Nie po tym, co zrobił. Spojrzał na mnie lekko urażony.

– Przecież musiałeś wiedzieć, że cię za to znienawidzę. Skrzywił się i przeczesał dłonią włosy. Stanęły mu dęba.

Powstrzymałam odruch, by je poprawić.

– Ten pomysł... nie dość, że głupi, to jeszcze nie mój – powiedział. – Nie wiem, po co to zrobiłem. Teraz widzę, że to na nic by się nie zdało. Wybrałem najgorszą metodę...

Mówił o tym tak przedmiotowo, jakby mówił o kolorze ścian. Zmroził mnie ton jego głosu.

– A czyj to pomysł? – warknęłam.

– Azazela...

Odpowiedź mnie nie dziwiła. Wstrętny intrygant. Grunt to narobić zamieszania – taka była jego dewiza.

– A skąd się dowiedziałaś, że zamierzam go zabić? – zapytał mnie zaciekawiony.

W jego złotych oczach nie widziałam już pustki. Był znowu tym samym spokojnym Belethem, którego polubiłam na początku.

– Kleopatra mi powiedziała, że Azazel jej powiedział, że ty mu powiedziałaś o swoim genialnym pomysle... Beleth zmarszczył czoło i wyprostował się gwałtownie.

– To nie był mój pomysł! – powtórzył. – To on... – Zaśmiał się ubawiony. – No tak. W sumie to Azazel mi tego nie doradził. Mówił półsłówkami, potakiwał w odpowiednich momentach. Powiedział, że on by tak zrobił na moim miejscu.

Zaśmiał się jeszcze raz pełen podziwu dla Azazela.

– A to diabeł – klasnął w dłonie. – Chciałbym umieć tak manipulować.

Ja się nie śmiałam. Byłam wściekła. Na nich obu. Za to, że tak niefrasobliwie traktowali

czyjeś życie. Dla nich to była tylko zabawa, kolejna słowna potyczka. W końcu czymże jest człowiek? To tylko proch i pył... Już ja sobie porozmawiam z Azazelem!

– Co jesteś taka marudna? – zapytał Beleth. Rozjuszyło mnie to bezsensowne pytanie. Chyba kpił?!

– Pomijając fakt, że usiłowałeś zabić Piotrusia? – prychnęłam, a on z udawaną skruchą spuścił głowę.

Westchnęłam ciężko. Nie było sensu z nim dyskutować. Był przekonany o swojej racji, a decyzję o wyeliminowaniu Piotrka z mojego życia już podjął.

– No co ci jest? – Stuknął mnie po przyjacielsku ramieniem.

– Chyba nie podobam się Piotrusiowi...

Beleth na chwilę zamarł. Zamierzał się ze mną pojednać, ale nie sądził, że wyskoczę mu nagle z takim tekstem.

– Więc on też ci się nie podoba? – upewnił się po chwili.

– Podoba... – Westchnęłam. – I w tym tkwi problem. To jakaś wybitna patologia. Ja chyba jestem nienormalna.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę... – odparł zawiedziony.

– Nie podskakuj – warknęłam na niego i wstałam.

Beleth także od razu się podniósł. Galanteria i czar jak zawsze. To była jedna z rzeczy, która mnie w nim pociągała. Faceci w moim wieku tak się nie zachowywali. No cóż... najwyraźniej mężczyźni zaczynają się tak zachowywać, jak stuknie im miliard lat.

– Przepraszam – powiedział jeszcze raz. – Wybaczysz mi to kiedyś?

Zawahałam się. Już trzymałam klucz diabła w dłoni. Zaczęłam obracać go między palcami, podziwiając wyrzeźbione różyczki.

Czy mu wybaczę? Wieczność jest długa. Pewnie za jakiś czas znowu ulegnę jego czułym gestom i wiernym złotym oczom. Jednak teraz byłam na niego zła.

– Nie wiem.

Pokiwał smutno głową, jakby nie spodziewał się innej odpowiedzi.

Wsunęłam klucz w ścianę, myśląc intensywnie o Azazelu. Przede mną pojawiły się proste drzwi. Po raz ostatni odwróciłam się w stronę Beletha.

– Czemu jesteś tak dziwnie ubrany? – zapytałam, bo mnie to nurtowało.

Swoim ubiorem pasował do wystroju wnętrza, ale przecież nie chodził tak ubrany na co dzień.

– Zamierzałem cofnąć się dzisiaj do mojego ulubionego miejsca w czasie i przestrzeni – odparł.

– Wyglądasz jak Aladyn. Uśmiechnął się do mnie wesoło.

– Jesteś blisko. Poznaj trzynastego demona Goecji – pokłonił mi się.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz... – Westchnęłam. Zaśmiał się głośno.

– Jest nas siedemdziesięciu dwóch. Przystąpienie do nich było moją jedyną szansą na ucieczkę z Piekła raz na jakiś czas, po tym jak zostałem zdegradowany. Magowie mogli nas przyzywać na pomoc. Raz nawet wezwał mnie Salomon. Zgadnij, kto mu doradził, żeby przeciąć

dziecko na pół i w ten sposób poznać jego matkę? – Jego głos przepęłniała duma.

Przypomniało mi się, co mówiła mi Kleopatra na temat jego wyroku.

– Tak, wiem – powiedziałam. – Zostałeś skierowany do przydziałów za romans ze śmiertelniczką.

– Skąd wiesz?

– Nie zapominaj, kim jestem.

Zauważył, że go cytuję. Uśmiechnął się do mnie drapieźnie.

– Nigdy nie zapomnę. – Jeszcze raz skłonił przede mną głowę.

Pchnęłam drzwi i weszłam do ciemnego pokoju. Zatrzasnęłam je za sobą, a one zniknęły, oświetlając przez chwilę pomieszczenie. Usiłowałam coś dostrzec w ciemnościach, jednak nic nie widziałam.

Po plecach przebiegł mi dreszcz. Gdzie ja jestem? Nagle naprzeciwko mnie zapłonęło światło.

19

Krzyknęłam i odskoczyłam do tyłu, uderzając plecami w ścianę. Całe pomieszczenie rozświetlały promienie słońca, wpadające przez duże wykuszowe okna, obramowane ciężkimi zasłonami. Przede mną stał niski facet o wyraźnie latynoskich rysach, ubrany w staromodny strój lokaja. Miał nawet takie śmieszne czarne buty z kokardkami i białe podkolanówki. Tłuste, czarne włosy związał z tyłu głowy w krótki warkoczek.

Meble wypełniające, a raczej zagracaające spore pomieszczenie były bogato zdobione. Wyglądające na niewiarygodnie miękkie fotele stały na powyginanych nóżkach, dając ułudę lekkości. Obicie lekko błyszczało w słońcu. Było tyle niesamowitych szczegółów, że nie wiedziałam, na czym mam się skupić.

Niski mężczyzna przede mną odchrząknął znacząco. No tak, powinnam skupić się na nim.

– Kim jesteś? – zaatakowałam. – Szukam Azazela. To jego dom.

Albo mój klucz się psuje...

– Jestem Carlos – odparł. – Służę u pana Azazela. Jak mam panią zaanonsować? To się robiło śmieszne.

– Pani Diablica Wiktoria – powiedziałam rozbawiona. Mężczyzna zbladł lekko i spojrzał na mnie spłoszonym wzrokiem.

– Proszę poczekać, o pani. – Pokłonił mi się i szybkim krokiem ruszył w stronę drzwi. Dobiegły mnie jego ciche słowa wypowiedane po hiszpańsku:

– Święty Boże i Najświętsza Panienko, to diablica.

Facet dygotał. Bardzo go przestraszyłam. Aż poczułam wyrzuty sumienia. Niemniej tylko przez chwilę. Niepokojące – czyżbym już traciła sumienie?

Mamrotał szybko coś o przekłętą duszę i ogniu piekielnym. Doskonale rozumiałam jego słowa, mimo że wszystko mówił po hiszpańsku. Ja nie znam hiszpańskiego. Ledwo dukam po angielsku i rosyjsku.

Przypomniałam sobie wieżę Babel. Czyżby pomieszanie języków nie obejmowało diabolic? Miło, może wreszcie zacznę dostawać przyzwoite oceny z angielskiego na uczelni...

Usłyszałam podniesiony i zły głos Azazela, który jednak zamienił się w ociekającą słodyczą muzykę, gdy służący powiedział mu, że to ja go odwiedzam.

Chwilę później wparował do pomieszczenia ubrany niczym Ludwik któryś tam w wystawny strój rodem z osiemnastego wieku. Na twarzy miał białą maskę arlekina z samotną

czarną łzą przecinającą policzek.

Jezu święty... najpierw Beleth bawi się w Aladyna, a teraz Azazel w księżniczkę? Co to ma być? Dzień Świra?! Zdjął maskę, ukazując mi swoją przystojną twarz z zawadiackim uśmiechem.

– Kochanie – pocałował mnie w oba policzki – co cię do mnie sprowadza? Szczerze mówiąc, to wszystko tak mnie zajęło, że aż zapomniałam.

– Przyszłam ci wygarnąć, że namówiłeś Beletha, żeby zabił Piotrusia! Jediną osobę, którą... – zawahałam się.

– Kochasz...? – dokończył za mnie.

Nie odpowiedziałam. „Kochać” to mocne słowo. Bardzo mocne. Kochać można raz na całe życie. Czy ja chciałam go kochać? Czyja go kochałam?

Zakląłam w duchu. Gdybym go nie kochała, toby tak cholernie nie bolało, że on nic do mnie nie czuje.

– Tak – odparłam.

– Długo się zastanawiałś – zauważył, siadając w swobodnej pozie na fotelu. Jedną nogę przełożył przez podłokietnik i machał w powietrzu stopą obutą w czarny trzewik.

– Nic ci do tego – warknęłam. Zaśmiał się serdecznie.

– Usiądź, kochanie – wskazał fotel naprzeciwko siebie. Zająłam miejsce, jednak nie rozluźniłam się. Wszystko było we mnie napięte. Sztywne plecy nie pasowały do miękkich linii poduszek.

– Dlaczego? – zapytałam. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Chcesz szczerzej odpowiedzi czy takiej, która cię zadowoli?

Uśmiechał się drwiąco, machając stopą. Grał niczym królewski błazen.

– A to nie będzie ta sama? – zapytałam.

– Nie – odparł. – To będą dwie zupełnie inne.

– Więc chcę poznać obie.

Jego oczy zapłonęły wewnętrznym blaskiem. Był stuprocentowym diabłem, nie potrafiłby tego ukryć, nawet gdyby zechciał. W nim po prostu był mrok i zło. Nie umiał tego tak sprytnie ukryć jak Beleth.

– A więc zacznę od odpowiedzi, która cię zadowoli, dobrze? – Poczekał, aż kiwnę głową. – Beleth to mój najlepszy przyjaciel. Chciałem mu pomóc. Widziałem, że jest nieszczęśliwy, męczy się, że nie może sprawić, byś go pokochała. Postanowiłem więc poradzić mu, co mógłby zrobić, gdyby oczywiście zechciał.

– A on zechciał...

– Nic nie poradzę na to, że... tak cię kocha... Prychnęłam. To nie była miłość. To było czyste pożądanie.

Azazel nie skomentował mojej miny wyrażającej, delikatnie mówiąc, powątpiewanie. Tak samo jak ja zdawał sobie sprawę z pobudek kierujących Belethem. Chęć posiadania – nic więcej.

– A druga odpowiedź? – zapytałam.

– Lubię robić zamieszanie.

– I tyle? – aż nie mogłam w to uwierzyć.

– Tak. Posłuchaj, Wiktorio. Nie lubię harmonii i ładu. Gdybym lubił, nigdy nie wziąłbym udziału w rebelii tego nieudacznika Lucyfera. Tak samo jak nie lubię ładu, nie lubię ludzi. Życie twojego Piotrusia nic dla mnie nie znaczy. Jeden potępiony w te czy wewte. Co za różnica? To tylko proch i pył.

– Jesteś bezduszny. – Byłam wstrząśnięta.

– Trafiłaś w sedno, skarbie. – Jego uśmiech stał się drapieżny. – Ja nie mam duszy. Tak samo jak każdy diabeł czy anioł. Wszyscy zostaliśmy tacy stworzeni. Tak wspaniali i doskonali. A jakie zadanie nam przydzielono? Nam, synom ognia, podmuchowi Boga? Opiekowanie się ludźmi. Marnym pyłem. Cóż ma znaczyć dla mnie pył, kiedy ja jestem płomieniem?

Westchnęłam. Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, jak zareagować. Nie sądziłam, że jest w nim tyle nienawiści do ludzi.

– Pył – powiedziałam zaczepnie. – Ja jestem pyłem. Też mnie nienawidzisz?

Przez chwilę się nie odzywał. Przyglądał mi się tylko zaintrygowany. Chyba nie oczekiwał takiej odpowiedzi.

– Ty nie jesteś pyłem...

– Bo teraz dzięki tobie jestem diabolicą?

– Nigdy nie byłaś pyłem.

– Tak... Uroczy jesteś, prawiąc mi komplementy – wymruczałam, na co znowu zaczął się śmiać. – Nadal jestem na ciebie zła. Piotruś wiele dla mnie znaczy. Nie waż się nigdy więcej próbować go skrzywdzić!

– Dlaczego?

Teraz on mnie zaskoczył.

– Bo cię o to proszę.

Zapadła pomiędzy nami cisza. Wiedziałam, że mnie nie posłucha. Dla Azazela liczył się tylko on sam. Zaczęłam błędzić spojrzeniem po stylowych meblach. Nie mogłam przypomnieć sobie, z jakiej są epoki.

– To barok? – zapytałam.

– Wczesne rokoko. – Poglądził z czułością oparcie fotela. – Wtedy meble miały duszę.

Przypomniałam sobie wrota, które zawsze tworzył Azazel. Także nawiązywały do tej epoki swoimi bogatymi zdobieniami i mnogością szczegółów. Drzwi Beletha? Wykonane z niezliczonej ilości szybek, niczym turecka lampa. A moje? Zwykle wiśniowe, z litego drewna. Czyżby to znaczyło, że w swoim mieszkaniu powinnam mieć proste sosnowe meble? Straszne... co za brak stylu... !

Nagle ktoś zapukał cicho do drzwi. Azazel westchnął zły.

– Czego?! – warknął. Do pomieszczenia wsunął głowę przestraszony służący w liberii.

– Panie... Pedro już nie ma pomarańczy. Skończyły mu się. i Diabeł przewrócił oczami. Drażniło go to wszystko.

Pstryknął w powietrzu palcami.

– Już ma kolejną tonę. Może kontynuować – oświadczył, a przestraszony służący uciekł,

zostawiając nas samych.

– Pomarańcze? – zapytałam.

– Mój drugi podwładny, Pedro, obiera w piwnicy dla mnie pomarańcze. Już od tygodnia – odparł.

Wyobraziłam sobie, jak dużo musi to być pomarańczy.

– Po co ci ich tyle? – zdziwiłam się.

– Po nic. Ale Pedro ma na nie uczulenie.

– Więc go męczysz?!.

– A dlaczego by nie?

– Bo tak nie wolno!

– Kto tak powiedział? – zaciekawiony pochylił się w moją stronę na fotelu. Prychnęłam.

– Pomyślmy, bo to trudne pytanie. Może Bóg mówił coś miłości do bliźnich?

– Ale zdajesz sobie sprawę, że to dotyczy ludzi, a nie aniołów i diabłów?

Zamilkłam. Miał rację. Przecież te wszystkie zasady są stworzone dla śmiertelnych. Zerknęłam na Azazela, któremu daleko było do posiadania choćby krzty człowieczeństwa. Przypomniałam sobie Regulamin Piekła, w którym napisano, że jeden obywatel Piekła nie może wykorzystywać drugiego. On także wydany był jedynie dla ludzi. Było to napisane nawet na okładce.

– Jak widzisz, jestem kryty ze wszystkich stron – stwierdził z uśmiechem. – Nie robię nic złego.

– Ale to złe. Ty jesteś zły!

Uśmiechnął się do mnie wesoło, był to uśmiech wręcz chłopięcy. W jego policzkach pojawiły się drobne dołeczki.

– Nawet nie wiesz, jak mi pochlebiasz! – oświadczył zadowolonym głosem.

– To nie jest pochlebstwo. Zło nie jest czymś dobrym! To coś okropnego! Mierzi mnie to. Zmarszczył brwi. Nie spodobała mu się moja odpowiedź.

– Zastanów się, czym jest zło – poprosił. – Przywołaj sceny symbolizujące grozę prawdziwej niegodziwości. Co to jest?

Czy to dym i płomień buchające z wież World Trade Center, które sprawiły, że świat zatrzymał się w miejscu? Czy to stosy wynędzniałych ciał w nazistowskich obozach zagłady? A może tysiące szczerzących zęby czaszek na polach śmierci Pol Pota? Zamknij oczy i zastanów się, czym jest zło, a zobaczysz je.

Posłusznie zrobiłam to, co mi kazał, jednak nie dostrzegłam żadnego objawienia.

– Widzę tylko ciebie.

Skrzywił się nieznacznie i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Skarbie, ty masz na moim punkcie jakąś obsesję... Zaśmiałam się głośno, on także uśmiechnął się zawadiacko.

Podpuszczał mnie. Jak zwykle obracał wszystko w żart.

– Po co ci służący? – zapytałam. – Przecież sam mógłbyś stworzyć sobie te obrane pomarańcze.

– Mówiłem ci, że pomarańcze nie mają dla mnie znaczenia. A nie uważasz, że posiadanie służących jest fajne? Ludzie trzymają służbę od wieków, to dlaczego mnie nie wolno? – Wygodniej rozsiadł się na fotelu, niczym zadowolony z siebie kot.

– A czy w Piekło przypadkiem każdy nie jest wolny? Wątpię, żeby z własnej woli zgodzili się ci służyć. Przecież ich poniżasz, zmuszasz do wkładania kretyńskich ciuchów i obierania czegoś, na co mają uczulenie.

– Kretyńskich? – Poglądził dłonią mieniący się surdut. – Mnie się podobają... są stylowe.

No, na bal przebierańców nadają się przednio. Poza tym do niczego się nie nadają, ale nie chciałam go złościć swoimi opiniami.

– Wiesz, Wiktorio... wszystko się da załatwić. – Uśmiechnął się drapieżnie. – Któż się dopatrzy w rejestrach dwóch zabłąkanych duszyczek, kiedy codziennie umierają miliony? Poza tym to ja ich zabiłem.

Duma w głosie i samozachwyty zmroziły mi krew. Poczułam, jakby w salonie zrobiło się nagle bardzo zimno. Nie rozumiałam diabłów ani pobudek nimi kierujących. Nie chciałam rozumieć. Były tak nieludzkie.

– A to bardzo zabawna historia. – Po raz pierwszy usiadł normalnie, z obiema nogami na ziemi. – Uważam, że wykazałem się ogromną pomysłowością w zdobyciu tych dwóch kretynów. Opowiem ci.

Mimowolnie cofnęłam się, gdy się przysunął. Moje plecy wreszcie spotkały się z poduszkami fotela, które okazały się tak miękkie i wygodne, na jakie wyglądały.

– Właśnie – pochwalił mnie. – Rozsiądź się, a ja opowiem ci moją przygodę. Jakiś czas temu zainteresował mnie dość głośny w mediach fakt, że niektórzy ludzie sprzedają swoje organy za pieniądze. Międzynarodowe szajki złodziei organów czy też, jak sami się nazwali, przedsiębiorczy biznesmeni, którzy odkryli nowy rynek – zaczęły pojawiać się w coraz to nowych rejonach świata. Zaintrygowało mnie to. Nawet bardzo. Z początku zamierzałem jedynie zabawić się ich kosztem. Dopiero później wpadłem na pomysł, że oni mogą mi się przydać. Odpowiedziałem w Internecie na ogłoszenie, podając, że jestem bardzo biedny, mam żonę i siedmioro potomstwa i żeby zapewnić im byt, chętnie sprzedam swoją wątrobę i nerki. Podkreśliłem, że nigdy nie chorowałem na żadną chorobę wyniszczającą organizm i nie piłem alkoholu (bo nie miałem na niego pieniędzy). Bardzo szybko zgłosili się do mnie „biznesmeni”. Spotkałem się z nimi, jednak oczywiście musiałem trochę zmienić swój wizerunek. W końcu gdyby zobaczyli TO ciało – dodał z dumą – nie uwierzyliby, że jestem wynędzniałym biedakiem, za wszelką cenę pragnącym poświęcić się dla swojej rodziny.

Spotkaliśmy się na przedmieściach miasta Meksyk, w jednej z licznych dzielnic nędzy. Do dziś zastanawia mnie, jak naiwni mogli być. W końcu skąd biedak taki jak ja miałby dostęp do Internetu? No ale głupków się nie sieje, sami się rodzą... Ja niestety trafiłem na dwa wyjątkowo niewyrośnięte egzemplarze.

Na skrzyżowanie, na którym się umówiliśmy, podjechali drogim amerykańskim samochodem z przyciemnianymi szybami. Wsiadłem szybko do auta. Na tylnym siedzeniu siedział wysoki facet pełniący rolę goryla, który miał pilnować, żeby im nie uciekły drogocenne

nerki. Przede mną siedzieli oni: Pedro za kierownicą i Carlos bezmyślnie dłubiący scyzorykiem pod paznokciem.

– Zabieg przeprowadzimy dzisiaj – poinformował mnie Carlos. – Ja będę cię operował. Twoja rodzina dostanie pieniądze po operacji.

– Jaką mam pewność, że mnie nie oszukujecie? Może mnie zabijecie, zabierzecie organy, a moja rodzina nic nie dostanie – krzyknąłem.

– Przecież daliśmy ci zaliczkę – warknął Pedro, odwracając się w moją stronę, przez co o mało co nie wjechaliśmy w tył ciężarówki dostawczej wolno jadącej przed nami. – Zapłacimy resztę twojej brzydkiej żonie i brudnym bachorom.

Żeby nie wypaść z roli, obruszyłem się, że moja żona jest piękna. Widmo, które stworzyłem na ich potrzeby, było naprawdę odrażające. Gdybyś widziała ich miny, kiedy przedstawiłem im moją szanowną małżonkę i pocałowałem z czułością jej opryszczony policzek tuż nad bezzębnymi ustami.

„Klinika” okazała się małą willą w droższej dzielnicy. Wysokie ogrodzenie, a także zalesiona działka skutecznie chroniły budynek przed ciekawskimi oczami. Mężczyźni wprowadzili mnie do prowizorycznej sali operacyjnej, najpierw jednak kazali mi się wykapać. No tak... jeszcze by „doktor” Carlos pobrudził sobie paluszki pod paznokciami.

Nie mogłem się doczekać, kiedy położę się na stole operacyjnym. Czułem się jak dzieciak przed otwarciem prezentu.

Dośłownie nie mogłem się doczekać, kiedy krzyknę „niespodzianka!”

Goryl gdzieś zniknął. W pokoju oprócz mnie był tylko Carlos wkładający lateksowe rękawiczki i Pedro, który pilnował aparatury, do której mieli mnie podłączyć. Ach! A więc Pedro był anestezjologiem. Znowu po plecach przeszedł mi dreszcz oczekiwania. Zaraz mnie uspią i rozpoczną zabieg! Siłą woli powstrzymywałem się, żeby tylko się nie uśmiechać.

– Połóż się na stole – nakazał mi Carlos.

Posłusznie wykonałem polecenie. Zdjęli ze mnie prowizoryczne ubranie. Dotykałem naga skórą zimnego metalu stołu.

Biała lampa świeciła mi prosto w oczy. Przypomniało mi się, że miałem grać umierającego.

– Powiedzcie, proszę, Teresie, mojej żonie, że ją kocham – wykrzyknąłem, łapiąc Pedra za rękę, gdy podszedł do mnie z maską, przez którą miało płynąć do moich ust powietrze zmieszane ze środkiem usypiającym. – Błagam. Pocałuj ją ode mnie jeszcze raz. Powiedz, że ją kocham!!! – krzychałem coraz głośniejsze.

Anestezjolog skrzywił się z obrzydzeniem na myśl o mojej widmowej żonie i o tym, że miałby ją pocałować. Oczywiście nie zamierzał tego zrobić. Tak samo jak nie zamierzał zapłacić jej reszty pieniędzy za moje narządy.

Siłą przyłożył mi maskę do twarzy. Udałem, że zasypiam. Poczulem śmieszne mrowienie, kiedy wstrzyknął mi do żyły środek zwiotczający. W tym samym momencie Carlos mył jeszcze raz mój brzuch.

– Skalpel – zażądał, wyciągając dłoń w stronę Pedra.

Ten podał mu go, mamrocząc pod nosem, że wielki chirurg się znalazł, jakby sam nie mógł

sobie wziąć potrzebnego narzędzia.

Carlos sprawnie poprowadził cięcie przez środek mojego brzucha tuż nad pępkiem. Zachichotałem, bo bardzo mnie to połaskotało.

Lekarze spojrzeli po sobie zaniepokojeni.

– On na pewno śpi? – zapytał lekko przestraszony Carlos.

– Nie cykaj! Jasne, że śpi – warknął Pedro i mocniej podkręcił zawór ze środkiem usypiającym. – Wydawało nam się. Lekarz sprawnie poradził sobie z wydobyciem wątroby i nerek. Oczywiście poszło mu to tylko dlatego tak szybko, że kompletnie się nie starał. Na koniec zszył mi byle jak brzuch, żeby jelita nie wypadły podczas transportu moich zwłok w stronę placu budowy nowej dzielnicy willowej, gdzie miałem zostać zabetonowany w fundamentach jakiegoś domku jednorodzinny.

Moi kaci nagle mi się z kimś skojarzyli. Byli niczym starożytni Aztekowie, grzebiący przodków pod podłogą! Hm... a może to byli Inkowie? Nie mogłem sobie przypomnieć.

W tamtych czasach nie było mnie na Ziemi z pewnych... bardzo ważnych powodów osobistych.

Pedro odkręcił zawór i zdjął mi z twarzy maskę. Krew obficie wypływająca z moich naczyń krwionośnych zalewała brzuch. To takie dziwne mrowienie. Na szczęście od razu znikło, gdy wątroba i nerki pojawiły się z powrotem i wszystko się zrosło.

Mężczyźni zdjęli rękawiczki i delikatnie odstawili małe lodówki z narządami na stolik pod ścianą. Usiadłem. Stali do mnie tyłem.

Odchrząknąłem.

Nie zareagowali. Odchrząknąłem głośniej. Obejrzeni się. Carlosowi lodówka wyleciała z rąk.

– Przepraszam – powiedziałem. – Mogę iść do łazienki? Okropnie chce mi się sikać. Przy okazji, strasznie swędzi mnie w środku. To pewnie przez szwy?

Pedro rzucił się do wyjścia. Carlos nie. Złapał się kurczowo za pierś i upadł w drgawkach na ziemię.

Mówię ci, zawał pierwsza klasa. Objął prawą komorę i część przegrody. Ha! Poczuję dumę z własnej złośliwości.

Zdenerwował mnie tylko Pedro. Uciekł tak po prostu.

Na szczęście parę tygodni później wytropiłem go i zmobilizowałem do popełnienia samobójstwa.

20

Jeśli Azazel spodziewał się z mojej strony wybuchu śmiechu i pochwał jego poczucia humoru, to grubo się przeliczył. Siedziałam wstrząśnięta, nie wiedząc, co mam myśleć o jego niegodziwości i nienormalności. To, że Azazel był nienormalny, było pewne. Czy ktoś zdrowy na umyśle dopuściłby się czegoś takiego?

– Czad, no nie? – szczerzył się do mnie wesoło.

– Jasne – mruknęłam, jednak on nie wyczuł ironii.

– Wiedziałem, że ci się spodoba – odparł. – W końcu czy nie postąpiłaś podobnie ze swoim mordercą? Siedzi teraz w szpitalu psychiatrycznym, naszprycowany. Codziennie odwiedzają go niezliczeni specjaliści, którzy usiłują dociec, jakim cudem jest eunuchem, a on nie może nic powiedzieć. Zemsta doskonała!

Wyrzuty sumienia uderzyły we mnie ze zdwojoną siłą. Nie wiedziałam, że go czymś szprycują...

– Co tak posmutniałaś? Nie cieszysz się? – zdziwił się.

– Mam... wyrzuty sumienia.

– W sumie masz za co. – Spojrzał na mnie ostro. – Biedak strasznie cierpi.

Zaskoczył mnie. Oczekiwałam, że mnie wyśmieje. Zapewni, że nie zrobiłam nic złego. A on mnie potępiał! Czy on cierpi na chorobę dwubiegunową?!

– Co? Nie mam racji? Ja moich przynajmniej zabiłem, a twój przeżywa tam Piekło na Ziemi.

Kurczę. Miał rację. Powinam coś zrobić, jakoś to naprawić. Przecież nie mogę tego tak zostawić! Owszem, zabił mnie, owszem, może zabił jeszcze kogoś. Z całą pewnością zgwałcił inne. Jednak czy to ja powinnam go osądzać i karać?

Azazel kiwał smutno głową, zupełnie jakby słyszał moje myśli i mi przytakiwał.

– Co mam zrobić? – zapytałam.

– Gdybym ja był na twoim miejscu, to może spróbowałbym go zabić – zaproponował ochoczo. – Zawały serca są proste.

Wystarczy wyobrazić sobie, że jedna mała tętniczka mu pęka albo się zaciska.

Obruszyłam się. Nie mogłabym go zabić. Skąd w ogóle przyszedł mu do głowy ten pomysł?! O nie! Ja postaram się go jakoś naprawić. Może zwrócę mu głos?

Poza tym chciałam wiedzieć, dlaczego mnie zabił. Niewiele pamiętałam z tej nocy. Tamten sen bardzo mnie zaniepokoił. Do dziś nie wiedziałam, dlaczego wyszłam z klubu sama. Może

dosypał mi czegoś do drinka, a ja nie zauważyłam? Musiałam się tego dowiedzieć. No i dlaczego Śmierć twierdziła, że moje morderstwo nie było zaplanowane? Musiałam w końcu wybrać się do tego Urzędu...

Podjęłam decyzję. Odwiedzę go i postaram się przepytąć. Oświadczyłam to Azazelowi.

Diabeł skwitował krótko moje słowa: „dziwna jesteś”. Jednak uśmiechał się, zupełnie jakby moja odpowiedź mu pasowała i właśnie takiej się spodziewał.

– A czemu jesteś tak przebrany? – zapytałam, wstając.

– Chcesz zobaczyć? – zaproponował z drapieżnym uśmiechem.

Zerknęłam na ścianę. Chciałam już iść do mojego mordercy, a nie dalej tracić tu z nim czas. I tak wyjątkowo dużo go straciłam na słuchanie jego durnych historyjek. Teraz nie będę mogła spać, bo będą mnie nachodzić obrazy z jego operacji, kiedy na żywcą wycinali mu nerki i wątrobę.

– Dzisiaj spotykają się moi wyznawcy – powiedział, widząc, że się waham. – Mam własny kościół!!! A to fragment mojego boskiego imageu! Jestem bardzo dumny z tej sekty.

Jego entuzjazm wręcz porażał. Jak mały chłopiec na widok nowej zabawki... no doprawdy.

– Faaajnie... – odparłam powoli.

Ludzi psychicznych nie należy niepotrzebnie denerwować...

– Zabiorę cię na spotkanie. Jest dzisiaj. Dokładnie dziesięć minut temu się zaczęło – mówił podekscytowany. – Tylko musisz się przebrać.

Zerknęłam na spłowieły podkoszulek i dzinsy. A co jest z nimi nie tak? Spojrzałam na jego wystawny surdut zdobiony złotą nitką. Aha... to jest z nimi nie tak.

Klasnął w dłoń. Poczułam mocny ucisk klatki piersiowej i w jednej chwili otoczyły mnie zwoje materiału.

– Co to jest? – Nie mogłam oddychać.

– To jest gorset skarbie, część damskiej garderoby.

Wstałam. Piękna suknia rozłożyła się na dywanie. Delikatny materiał podtrzymywany mnóstwem drutów i halek mienił się w słońcu. Gorset niemożliwie mocno ściskający moje zębra sprawił, że miałam talię osy. Koronki, hafty, złocenia, tyle szczegółów! Spojrzałam w lustro, które stworzył przede mną.

To nie byłam ja.

Włosy upięte w misterny kok, perły na szyi, delikatny makijaż. Spojrzałam na białą maskę, która spoczywała w mojej dłoni. Po policzku płynęła jedna czarna łza.

– A maska jest po co? – zapytałam.

– Nie chcemy przecież zostać rozpoznani przez tych prymity... hm, wyznawców – odparł.

– Naprawdę pięknie wyglądasz.

– Dzięki. – Znowu zagapiłam się w lustro. Miał rację. Ta suknia idealnie do mnie pasowała. Azazel podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

– Chociaż w sumie ty i tak powinnaś stać się niewidzialna – skwitował.

– Niewidzialna? – zdziwiłam się. – Dlaczego? Wzruszył ramionami.

– Nie chcę, żeby moi wyznawcy cię zobaczyli. To ja jestem ich bogiem. Nie mam

zamiaru mieć bogini. Na razie. – Uśmiechnął się drapieżnie. – Ale jak się zdecyduję, to obiecuję, że dam ci znać.

– Skóro mam być niewidzialna, to po co kazałeś mi się przebrać w tę kieckę? – Spróbowałam westchnąć, ale gorset skutecznie mi na to nie pozwolił.

– Bo chciałem zobaczyć, jak będziesz wyglądała w takiej sukience.

Rozbroił mnie szczerością.

– To jak mam się stać niewidzialna? – zapytałam zniechęcona. Miałam już dość tej całej maskarady.

– Pomyśl o tym, że chcesz być od tej chwili dla wszystkich niewidzialna – odparł.

Pomyślałam o tym.

– Doskonale – pochwalił mnie.

Spojrzałam w lustro, w którym przed chwilą odbijała się moja sylwetka. Teraz nie było tam nikogo. Nie miałam odbicia.

– Ale ja chcę cię widzieć – powiedział, patrząc w przestrzeń nad moim prawym ramieniem.

– Pomyśl teraz, że pozwalasz mi się widzieć zawsze, nawet wtedy, gdy jesteś niewidzialna.

– A ty nie możesz zażyczyć sobie, żeby mnie widzieć, jak jestem niewidzialna? – zapytałam.

– Nie, twoje zaklęcie jest silniejsze. Wygra z moim. To ty musisz pozwolić mi zawsze się widzieć, nawet gdy jesteś niewidzialna – powtórzył jeszcze raz.

Wzruszyłam ramionami. Co mi za różnica? Wyklepałam formułkę, którą mi powiedział. Jego oczy napotkały mój wzrok. Widział mnie.

– Madame – wyciągnął do mnie dłoń.

Podeszliśmy razem do ściany, w którą wsunął swój klucz. Czarne wrota otworzyły się, ukazując naszym oczom ciemną piwnicę. Na jej środku stał szeroki stół ofiarny. Dookoła niego zebrało się około dziesięciu osób. Mężczyźni mieli na sobie tylko przepaski biodrowe, a kobiety krótkie sukienki. Poza tym wszyscy mieli na głowach... olbrzymie, wściekle różowe kaptury z dziurami na oczy.

Nie mogłam się powstrzymać. Parsknęłam śmiechem. Wyglądali tak irracjonalnie! Azazel spojrzał na mnie ostro.

„Nie odzywaj się na głos” – przesłał mi przekaz myślowy. „OK” – odparłam.

Diabeł uwielbiał poniżać innych. Wskazywał na to strój jego wiernych.

– Witajcie, moi drodzy! – Azazel zagrzemiał, wznosząc ręce do góry. – Oddajcie mi cześć!!!

Jego wyznawcy zaczęli recytować:

*Ty nad wszystkie anioły mądry i wspaniały,
Boże przez los zdradzony, pozbawiony chwały,
O Szatanie, mej nędzy długiej się ulituj!
O Ty, Książę wygnania, mimo wszystkie klęski
Niepokonany nigdy i zawsze zwycięski,
O Szatanie, mej nędzy długiej się ulituj!
Głuchych mroków podziemia wszechwiedzący królu,
Lekarzu dobrotliwy ludzkich trwogi bólu,*

O Szatanie, mej nędzy długiej się ulituj!...”

Spojrzałam na Azazela, który wręcz promieniał z zadowolenia. Jego wyznawcy skłonieni nisko mamrotali dalszą część litanii.

„Udajesz Szatana?” – zapytałam go.

Do tego tytułu prawo miał jedynie Lucyfer. Inne strącone z Niebios anioły były po prostu diabłami. Szatan był tylko jeden.

„Tak, podszywam się pod Lucyfera” – odparł mi w myślach.

„Po co?”

„Żeby... pozwól, że użyję jakże przeuroczej gwary zgromadzonych tu prymitywów... żeby Lucek miał przerąbane. – Zaśmiał się. – Prowadzenie wszelkich kościołów i sekt jest u nas surowo zabronione”.

„Nie lubisz go?” – zapytałam.

Zamyślił się zaskoczony. Chyba nigdy nie myślał o tym w takich kategoriach. Zerknął na mnie zza maski arlekina.

„No... z całą pewnością szanuję go za tę całą rewolucję i potępienie. Miał gość jaja, nie ma co. Niemniej on zupełnie nie zna się na prowadzeniu Piekła. Gdybym to ja był tu szefem...! Wszystko byłoby zdecydowanie lepsze”.

Nie skomentowałam tego. Znudzona monotonną modlitwą wiernych zaczęłam rozglądać się po pomieszczeniu. Na tablicy nad stołem rytualnym wisiał jakiś okrągły symbol. Dwa połączone ze sobą owale. Zaintrygował mnie. Z czymś mi się to kojarzyło, ale nie mogłam sobie uprzytomnić z czym.

„Co to jest?” – zapytałam Azazela i wskazałam dłonią na dziwny kształt.

„Naprawdę nie wiesz? – zdziwił się. – Nigdy ich nie widziałaś? Wiktorio... to są męskie jądra...”

„Och... eee... nie mam zbyt plastycznej wyobraźni – powiedziałam szybko na swoją obronę. – To po co tam wiszą te jądra?”

„Bo moja religia nazywa się Ruch Wyzwolenia Jąder”.

Gdyby nie to, że gorset uniemożliwiał mi jakiegokolwiek oddychanie, pewnie bym się zaśmiała. Azazel jednak był nienormalny...

„I co? Waszą dewizą jest »Stop prezerwatywom – wolność nasieniu«?” – zakpiłam.

„Nie całkiem. – Uśmiechnął się tajemniczo. – To znacznie... jakby to powiedzieć... głębsze... Znacznie głębsze”.

„Aha... rozumiem... głębsze. To może »Viagra dla wszystkich«?”

Westchnął ciężko, w ogóle nie śmiejąc się z moim zaczepkiem. Według mnie hasła, które mu wymyśliłam, były świetne.

Wyznawcy nadal monotennie deklamowali.

„Specjalnie dla mnie w tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym roku Charles Baudelaire napisał Litanią do Szatana – pochwalił się Azazel. – To był fajny gość, można było z nim pić absynt do białego rana”.

Jeden z mężczyzn w kapturze pochylił się w uwielbieniu jeszcze mocniej, przez co stracił

równowagę i się przewrócił. Przy okazji kaptur spadł mu z głowy.

„A ten to największy ciemniak, jakiego znalazłem – poinformował mnie z dumą Azazel. – W moim wyznaniu skupiam raczej ludzi dość tępych. Dzięki temu łatwiej nimi manipulować”.

Wpatrywałam się w Pawelka, który z powrotem szybko wsadzał na głowę obrzydliwy kaptur. A więc to jest ta jego supertajna, sławna organizacja! Tylko po co on się do niej zapisał? Wyznawcy skończyli intonację.

„A teraz będzie mała orgietka!” – Azazel aż zaklaskał w dłonie z uciechy.

Nie miałam ochoty tego oglądać, czym bardzo go zasmuciłam. Pożegnałam się z nim i na tyłach pomieszczenia wyczarowałam drzwi, przez które przeszłam do swojej kawalerki.

„Tylko nie zapomnij stać się z powrotem widzialna” – dobiegły mnie jeszcze myśli Azazela. Zrobiłam to, co mi kazał.

21

W swojej kawalerce od razu zniszczyłam suknię, która może i była piękna, jednak kompletnie nie do noszenia. Jak kiedyś kobiety mogły w czymś takim wytrzymać całymi dniami? Czyżby dawniej nie musiały oddychać? To pewnie dlatego w kółko mdlały...

Ledwie zdążyłam się ubrać, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Otworzyłam. Przedemną stał Piotruś z zakłopotaną miną.

– Nic ci nie jest? – zapytał od progu. Wyciągnął w moją stronę dłoń, ale cofnął ją.

Widzieliśmy się raptem kilka godzin temu, jednak ja miałam wrażenie, jakby od tego poranka, gdy obudził się u mojego boku, minęło bardzo dużo czasu. Piotrek ogolił się i przebrał. Przyjrzałam mu się uważnie. Zdecydowanie wolałam go z seksownym, jednodniowym zarostem.

– Dlaczego miałoby mi coś być? – zdziwiłam się. – Mówiłam przecież, że nic mi nie jest. Proszę wejść.

– Ja tylko na chwilę – odparł, mimo to wszedł do mieszkania. Behemot od razu zaczął mu się ocierać o nogi.

– Dzwoniłem do ciebie chyba z dziesięć razy, ale nie odbierałaś – powiedział Piotruś, patrząc na mnie z niepokojem.

Spojrzałam na komórkę, którą zostawiłam na stole. Nie zabierałam jej do Piekła. Tam nie było zasięgu...

– Przepraszam, ja... długo spałam... a potem wyszłam do sklepu – zaczęłam się płatać.

– Ale dobrze się czujesz? – upewnił się jeszcze raz.

– Tak, tak, dobrze. – Uśmiechnęłam się. Wyraźnie już uspokojony, odwzajemnił uśmiech.

– Dobra, to ja uciekam. Umówiłem się z Pawłem na mieście, ale oczywiście głupek nie przyszedł. A ma mojego pendrive'a. Jest mi potrzebny... Jadę do chłopaków do domu, może razem z Tomkiem go gdzieś znajdziemy.

– Na pewno coś ważnego wypadło Pawłowi – powiedziałam. Taka mała orgietka na przykład. Ważnych spraw nie można przekładać na inne terminy. „Bóg” mógłby się zdenerwować, w końcu ubrał się w surdut i w ogóle...

– Jasne, jemu coś wypadło – mruknął Piotruś. – Chyba mózg z czaszki...

Zaśmiałam się. Piotruś nigdy się nie złościł, nie krzyczał. Zawsze był prawdziwą oazą spokoju. Jedynie, gdy ktoś wybitnie zalał mu za skórę, Piotruś stawał się po prostu... no cóż...

mniej zadowolony. Niemniej nadal był w takim momencie spokojny. Czasami mnie to denerwowało. Z drugiej strony była to jedna z cech, która tak mnie w nim pociągała.

– Ale na pewno miał dobre chęci i chciał się spotkać. – Zaśmiałam się jeszcze raz.

– Taa... tylko wiesz, co jest wybrukowane dobrymi chęciami? Przypomniałam sobie Azazela. Tydzień temu zorganizował małą akcję protestacyjną pod rezydencją Lucyfera, domagając się zmiany nawierzchni dróg w Los Diablos. Według Azazela, wielkiego zwolennika wszelkich udogodnień, jazda samochodem wąskimi uliczkami wybrukowanymi kostką jest nie do wytrzymania.

– Och nie, już nie. Wczoraj wylali je betonem, bo... – ugryzłam się w język, zdając sobie sprawę z tego, co mówię.

Piotruś patrzył na mnie podejrzliwie, zupełnie jakby się obawiał, że mam jakiś spóźniony objaw po wczorajszym wypadku.

– Żart. – Zaśmiałam się słabo. Po moim chichocie zapadła cisza.

– No nieważne. – Piotruś pokręcił głową, gdy doszedł już do wniosku, że chyba jednak nic mi nie jest. – Ja uciekam razem z Tomkiem zrewidować pokój Pawła. Jak nie umrzemy od smrodu jego niepranych skarpetek, to może odzyskam dysk. Podszedł do drzwi.

– To do zobaczenia – powiedziałam.

Piotrek zrobił jakiś ruch w moją stronę, ale wycofał się do drzwi.

– Taa – mruknął. – Cze.

Zamknęłam za nim drzwi. Oparłam o nie głowę. O mało co bym się nie wygadała. Muszę wyraźnie rozdzielać to, co się dzieje w moim życiu-nieżyciu. Inaczej mogę wpędzić się w kłopoty.

Na ścianie obok pojawiła się czarna dziura. No kurczę... nie za dużo atrakcji jak na jeden dzień?!

Tak jak ostatnimi czasy do mojego pokoju wsunęła się tylko odziana w habit ręka i byle gdzie rzuciła teczkę. Śmierć wyraźnie mnie unikała, odkąd Behemot na dobre zadomowił się w moim życiu. Kto by ją podejrzewał o taką histerię? Jeden mały kot, a ona już dostaje białej gorączki.

Zastanowiłam się. Może warto by było kupić Markowi i Natalii kota?

Nie... wielu ludzi trzyma je w domach, a Śmierć i tak ich odwiedza i upomina się o ich dusze. Nie było szans, że w ten sposób zapewnię im nieśmiertelność. Gry odpadały, bo ona, a raczej ono, przeważnie wygrywa, koty też. Chyba się poddam...

– Dziękuję – prychnęłam w stronę znikającej dziury. Podniosłam kiczowatą teczkę z tandetnym napisem Top secret. W Piekło wszyscy sądzili, że posiadają niepowtarzalne poczucie humoru. Jasne, a ja jestem ukraińską księżniczką i gdzieś tam na dalekim stepie stoi mój zamek...

Usiadłam na kanapie i otworzyłam teczkę. Kot rozsiadł się obok mnie, podsuwając trójkątną główkę do pieszczot. Bezmyślnie podrapałam go za uchem, przerzucając dokumenty.

Jutro punktualnie o dziesiątej rano na zawał serca umrze pani Anna Kowalska. Pięknie... Spojrzałam na zegar ścienny. Wskazywał kilka minut po jedenastej wieczorem. Przede mną pracowita noc.

Postanowiłam zostać w kawalerce, a nie w domu w Los Diablos, na wypadek gdyby Piotruś miał ochotę jeszcze raz zadzwonić. Co oczywiście było równie prawdopodobne jak deszcz żab...

Uśmiechnęłam się sama do siebie. Bardzo się mną przejmował. Inaczej by nie przyszedł zobaczyć, czy umarłam. Chyba mu na mnie zależało!

Zrobiłam sobie mocnej kawy. Kofeina na mnie nie działała – wystarczyło, że się położyłam, a odpływałam w objęcia morfeusza. Niemniej sama świadomość, że ją wypiliśmy, trochę mnie stymulowała do utrzymania otwartych oczu. Mogłam sobie zwyczajnie ją stworzyć, jednak lubiłam robić herbatę i kawę sama. Przez to czułam się normalniej.

Włączyłam cichą muzykę, Dido zawodziła smutnym głosem o nieszczęśliwej miłości, Behemot mrucał na poduszce, a za oknem już dawno zapadł zmrok. Stworzyłam kilka świeczek, by dopełnić nastroj.

Uczenie się na pamięć grzechów przyszłej denatki było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę. Wolałabym pić teraz z kimś wino i patrzeć głęboko w oczy. Niemniej była to moja praca.

Narzekając pod nosem, położyłam się na brzuchu na wersalce i zaczęłam czytać biografie Anny Kowalskiej. To będzie moje szóste zlecenie. Jak na razie wygrałam już trzy. Nie szło mi jakoś specjalnie dobrze, niemniej nie byłam ostatnią sierotą.

Z każdą kolejną stroną książki przerażałam się coraz bardziej. Ona była... ona była... okropna!

Przewróciłam ostatnią stronę, na której była zapisana data i godzina zgonu. Spojrzałam na pogrążonego we śnie kota, chcąc podzielić się z nim moimi odczuciami wobec demonicznej staruszki.

Behemot leżał na grzbiecie, trzymając łapki w górze. Nie chciałam go budzić. Jutro będę miała ciężkie zadanie. Bardzo ciężkie.

Czy mogę sobie pozwolić na to, by przegrać? Beleth może nie zezłości się za bardzo. W końcu wciąż zdarza mi się przegrywać. Nie jestem niepokonaną Kleopatram, która potrafiła namówić na Piekło nawet jednego z papieży. Zresztą prawdopodobieństwo, że wygram, było minimalne.

Z myślą, że w Piekło na pewno nikt nie chce tej staruszki, położyłam głowę na poduszce i od razu zasnęłam.

22

Stałam w miejscu poza czasem. Białe kłęby mgły snuły mi się między nogami. Nie było jeszcze aniola, z którym miałam się targować. Beleth także się spóźniał.

Niepokoiliam się. Chciałam z nim porozmawiać, zanim pojawi się Śmierć i świętej pamięci Anna Kowalska. Podzielić się z nim swoimi obawami i niechęcią. Nie miałam ochoty przeprowadzać tego targu. Nie, żebym była jakimś homofobem czy czymś w tym stylu. Po prostu nie przepadałam za tym gatunkiem ludzi, jakiego przykładem była dzisiejsza denatka.

Obok mnie pojawiły się bogato rzeźbione, sosnowe drzwi. Przeszedł przez nie wysoki, ubrany na biało mężczyzna. Kasztanowe włosy niesfornymi loczkami opadały mu na zielone oczy.

– Witaj, jestem Uzjel – wyciągnął do mnie dłoń.

– Cześć. Wiktoria – uściśnęłam ją.

– Naprawdę miło mi cię poznać – powiedział anioł. – Jesteś pierwszą diabolicą, którą spotykam.

– Cieszę się. – Uśmiechnęłam się sztucznie.

Anioły reagowały na mnie różnie. Albo tak jak Muriel, z pogardą i wyższością, albo jak Uzjel, byli szczerze zainteresowani moją osobą i podziwiali fakt, że zwykła dziewczyna mogła stać się potężną diabolicą. Niemniej przeważały anioły takie jak Muriel...

W tej chwili obok nas pojawiła się czarna dziura. Przeszła przez nią Śmierć, prowadząc przed sobą słodko wyglądającą staruszkę. Kobieta miała grubą, workowatą sukienkę, okrywającą ją od szyi aż po kostki, oraz własnoręcznie wydziergany sweter. Na jej szyi wisiał krzyżyk i mała, złota podobizna Maryi. Srebrzyste włosy spięła w ciasny kok na czubku głowy. Przyglądała nam się z zaciekawieniem, nie przestając dziergać na drutach.

Po prostu uosobienie babci. Podejrzewałam ją wręcz, że zaraz wyjmie z kieszeni torebkę z własnoręcznie upieczonymi ciasteczkami.

Gdzie ten Beleth?!

– Zaczynamy? – zapytał Uzjel, uśmiechając się do mnie serdecznie.

– Jeszcze nie ma mojego konsultanta. – Bezradnie rozejrzałam się dookoła.

– Konsultanta? – zapytała staruszka, siadając na krześle, które stworzył dla niej anioł.

– Diablica Wiktoria jest nowa w Piekło – wyjaśnił jej Uzjel. – Dopóki nie nauczy się, jak ma pracować, musi jej pomagać diabeł.

Staruszka zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie ostro.

– Kobieta powinna być samowystarczalna. Nie powinnaś oczekiwać pomocy mężczyzn.

Aż otworzyłam usta ze zdziwienia. No spoko... W tym momencie na szczęście pojawiły się obok nas drzwi złożone z niezliczonej ilości szybek.

– Gdzieś się podziewał? – warknęłam na Beletha.

– Przepraszam – odparł. – Miałem coś do załatwienia na Ziemi. To jak? Zaczynamy?

Szarpnęłam go za ramię i odciągnęłam od zgromadzonych na kilka kroków.

– Beleth – szepnęłam. – Słuchaj, nie jestem pewna, czy my powinniśmy walczyć o tę duszę. Ta kobieta ma dość specyficzną przeszłość.

– A co? Była zła? To w sam raz dla nas.

– Nie. Posłuchaj. Ona była... ona była... to... to moherowy beret.

Beleth wpatrywał się we mnie ze zdziwieniem.

– No i...? – zapytał. – Ksenofob z ciebie wychodzi, wiesz?

– Wiem... – warknęłam. – To zapewne dlatego jestem w Piekło, a nie w Niebie.

Uciekł spojrzeniem gdzieś w bok.

– No, ale co z tego, że ona jest moherem? – zapytał.

– Umarła dzisiaj na zawał serca w czasie minipikiety pod Sejmem – powiedziałam szybko.

– Razem z koleżankami z osiedla chodziła z transparentami przeciwko in vitro i przeciwko aborcji.

– No i...? Pomijając fakt, że jest trochę niekonsekwentna, bo nie chce ani żeby dzieci tworzyć, ani żeby je usuwać.

– Beleth... – Ręce mi opadły. – Poza tym ona jest przeciwko antykoncepcji, to gorąca zwolenniczka feministek i w kółko się czegoś czepia. Będzie chciała nam poprzestawiać Piekło. Wyobrażasz sobie jej pikietę przeciwko bikini pod rezydencją Lucyfera? Czy on nie będzie na nas za to zły?

Piekło było dość rozrywkowym miejscem. Trafiały tutaj dusze, które chciały się bawić przez wieczność bądź dopiero dowiadywały się, że mają się bawić. Ja nie byłam pewna, czy miałam ochotę się bawić... Jednak nawet w porównaniu ze mną i moim dość rozbudowanym jak na piekielne standardy sumieniem, staruszka wybitnie nie pasowała do mieszkańców Niższej Arkadii.

Diabeł zerknął na nią, ale szybko wrócił do mnie spojrzeniem.

– Wiki. Ty masz tylko zdobyć jej duszę. Resztą się nie martw. Wiesz, jakie kłopoty były na początku z Joanną dArc? Teraz ja wpatrywałam się w niego zdziwiona.

– Ona trafiła do Piekła? A czy ona przypadkiem nie jest świętą? – zapytałam.

– Jest. – Zrobił minę. – Ale to ziemski tytuł. Szczerze, to ona chciała iść do Piekła, żeby móc je naprawić. Te jej pokazowe samozapłony pod Urzędem i rezydencją Szatana... szkoda słów... Na szczęście dała sobie już z tym spokój. Skarbie, ty masz tylko zdobyć duszę tej staruszki, jasne? No to do dzieła.

Westchnęłam ciężko. Podeszliśmy do reszty. Ujeli przyglądał nam się ciekawie, wyglądał, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. Za to staruszce wręcz przeciwnie.

– Co tak długo? – burknęła, nie przestając dziergać. Druty wybijały wściekły rytm.

– Musieliśmy coś omówić – przeprosiłam.

Zaskoczyło mnie, że użyłam takiego służalczego tonu. To nie ja powinnam być zastraszona i potulna.

Staruszka pokiwała z dezaprobatą głową i zacmokała gniewnie protezę.

Uzjel przejął pałeczkę. Opowiedział pani Kowalskiej, co się z nią stało i że będzie musiała podjąć decyzję, gdzie chce zostać skierowana po targu. Począł, aż kiwnę przyzwalająco głową, i zaczął wymieniać dobre uczynki. Główną taktyką anioła było pokazanie, że nasza zmarła jest osobą bardzo wierzącą, która codziennie rano chodzi na mszę, a raz na dwa dni do spowiedzi.

Aż jęknęłam, ksiądz w konfesjonale musiał się chyba zanudzić... ile można nagrzeszyć przez dwa dni? Beleth posłał mi znaczące spojrzenie. Postanowiłam już nie wydawać dziwnych dźwięków przy kolejnych rewelacjach anioła.

Nadeszła moja kolej. Nie byłam w stanie spojrzeć staruszce prosto w oczy. Przeważnie patrzę na zmarłych, dając im tym do zrozumienia, kto tu jest górą i kogo powinni szanować. Jednak ona gromiła mnie tak złym wzrokiem, że nie byłam w stanie.

Odwróciłam się w stronę Uzjela. Uśmiechał się do mnie życzliwie.

– Przykazania boże i kościelne nienaruszone – powiedziałam zrezygnowana. Ta kobieta nawet nigdy nie kleła... Zero kłamstw.

Beleth odchrząknął znacząco.

– Wiki, potakujesz aniołowi...

– Ach, tak. Przepraszam. – Skrzywiłam się. – Żaden z siedmiu grzechów głównych jakoś nienadużywany za często. Chociaż! W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku zjadła za dużo ciasta i było jej niedobrze. Na imieninach niejakej – musiałam wyjąć z kieszeni ściągę, na której to sobie zapisałam – Bożeny Zaskórnickiej.

Uzjel westchnął przeciągle.

– Nie liczy się – stwierdził. – Gdyby za łakomstwo każdy szedł do Piekła, to nikogo nie byłoby w Niebie.

– Czy mogę coś powiedzieć? – wtrąciła się staruszka. – Chciałabym coś powiedzieć. W sprawie tego ciasta. Anioł pokiwał głową przyzwalająco. Uśmiechał się łaskawie.

– Ja je zjadłam tylko dlatego, żeby się nie zmarnowało. Tak naprawdę wcale nie miałam na nie ochoty. W miejscu poza czasem nie można było kłamać. Mówiła prawdę. Szlag by to trafił...

– Poddaję się – ustąpiłam. – Poza wręcz paranoiczną obsesją do negowania wszystkiego, co podpowiada postępek i ewolucja, nie widzę w niej wad...

Belethowi opadły ręce. Uzjel uśmiechnął się zadowolony. Złote oczy mojego diabła przyglądały mi się z dezaprobatą. Przegrałam.

– Jak to? – zapytała staruszka. – Diablica nie będzie mnie kusić? Nie idę do Piekła? Anioł poklepał ją po ręce.

– Wszystko jest dobrze. Pójdzie pani do Nieba. Tam, gdzie pani miejsce, gdzie otrzyma pani należną nagrodę.

Zastanowiło mnie, jak jest w Niebie. Czy tak jak w Piekło, tylko że tam nie wolno pić i ogólnie źle się prowadzić? Przecież ta staruszka się tam zanudzi. Nie będzie nikogo, kogo mogłaby krytykować i usiłować nawrócić na boską ścieżkę mądrości.

Mimowolnie się uśmiechnęłam. To nie będzie dla niej nagroda.

Starsza kobieta skrzywiła się.

– Ale ja nie chcę iść do Nieba – oświadczyła.

Uzjelowi uśmiech spełził z twarzy, na moją wstąpiło przerażenie. Śmierć zachichotała skrzekliwie.

– Dlaczego? – zapytałam. – W Niebie na pewno są wszystkie pani koleżanki, ulubiony ksiądz, który kopnął w kalendarz przed półwieczem!

Beleth dźgnął mnie łokciem między żebra.

– Co robisz? – syknął. – Możesz wygrać!

– To nieważne – odparła staruszka uroczystym tonem. – Czuję, że moim powołaniem jest nieść słowo Boże w odmęty piekielne.

Aż jęknęłam. Jeszcze tylko niech, nie daj Boże, dogada się z Joanną dArc, to gotowe podpalić najlepsze kluby.

– Pani Kowalska. – Anioł ukucnął obok jej krzesła. – Proszę się zastanowić. Wieczność jest bardzo długa. Sumiennie pracowała pani na ziemi, szerząc dobro i prawdę.

Aż prychnęłam. Dobro i prawdę? Chyba ciemnotę...

Ja wierzyłam w to, czego mogłam dotknąć, poczuć. Dlatego ufałam nauce i postępowi. Przyznaję, trafiając do Piekła i nabierając nadprzyrodzonych zdolności, musiałam lekko zmienić swój światopogląd, jednak nadal uważałam, że nauce należy się pierwszeństwo. Tacy ludzie jak ona zatrzymywali postęp.

Staruszka kiwała głową, nieprzerwanie dziergając jakiś szaliczek na drutach. Klębek wełny trzymała w kieszeni.

– Zdaję sobie z tego sprawę, mój miły – odrzekła. – Jednak to nie koniec mojej drogi. Wierzę, że Bóg, tworząc mnie, miał większy plan. Chciał, by Piekło się nawróciło.

– Nie, nie, nie! – zaprotestowałam szybko. – Proszę mi wierzyć. On nie ma żadnego planu. Czysty przypadek.

Beleth nie wytrzymał. Zasłonił mi dłonią usta.

– Zapraszamy do Piekła. – Uśmiechnął się do niej. – Jest tam wiele potępionych dusz. Nie zawiedzie się pani.

– Chcę iść do Piekła. – Uśmiechnęła się do nas. Uzjel wyciągnął w moją stronę dłoń.

Targ zakończony.

Moherowe berety idą naprawiać Piekło. Jakie to szczęście, że chociaż fale radiowe ich ukochanej stacji tam nie docierają...

23

– Co ty zrobiłaś? – zapytał z wyrzutem Beleth, kiedy usiedliśmy na ganku mojego domu, na miękkich poduchach wiklinowych foteli.

– Wyobrażasz sobie, jak teraz będzie wyglądało Piekło? – zapytałam. – To już nie będzie miejsce wiecznego pijaństwa, zabawy i rozpusty.

– Dla ciebie to i tak nigdy nie było takie miejsce – wytknął mi urażony. – Chociaż proponowałem!

Zbyłam milczeniem jego uwagę. Nie miałam ochoty bawić się z nim w kolejne gierki. Trzymałam ręce na poręczach fotela. Wyciągnął dłoń, by mnie dotknąć, ale zabrałam rękę. Westchnął ciężko.

– Dlaczego nie chcesz ze mną być? – nie dawał za wygraną.

– Bo kłamiesz, mordujesz, a w każdym razie próbujesz mordować. Kto cię wie, co robiłeś kiedyś.

– No, zdarzało się mordować. – Poruszył się niespokojnie na fotelu obok i zerknął na mnie z niepokojem.

– Ja nikogo jeszcze nie zabiłam – odparłam z dumą.

Przypomniało mi się, że miałam odwiedzić mojego mordercę. Właściwie nie wiem, po co się w to bawiłam... Chciałam wiedzieć, dlaczego nie żyję. Ale czy warto było rozdrapywać stare rany? Już miałam powiedzieć o tym Belethowi, lecz zmieniłam zdanie. Nie ufałam mu tak bezgranicznie jak kiedyś.

Diabeł śmiał się ze mnie głośno.

– Z czego się śmiejesz? – zapytałam speszona.

– Powiedziałaś „jeszcze nie” – odparł wesoło. – To otwiera wiele możliwości.

Mimowolnie się uśmiechnęłam, ale szybko znowu spochmurniałam. Może i świat malowany farbami diabła był pociągający. Jednak nie dla mnie. Znowu położyłam ręce na podłokietnikach.

Westchnął ciężko i poklepał mnie po dłoni. Nigdy nie dawał za wygraną.

– Ale ja cię i tak lubię – rzekł, rysując palcem kółka na mojej dłoni.

Chociaż byłam na niego zła, wciąż urażona za próbę morderstwa Piotrusia, zrobiło mi się gorąco. Beleth wiedział, jak na mnie działa, i wciąż to wykorzystywał. Zaczynało mnie to denerwować.

– Rozluźnij się – powiedział.

– Przy tobie mam z tym pewne problemy.

Miałam ochotę wyrwać dłoń, a zarazem nie chciałam jej zabierać. Cały czas rysował kółka na mojej skórze. Delikatne muśnięcia mówiące więcej od słów.

– Zauważyłem. – Uśmiechnął się do mnie przekornie. Siedzieliśmy jeszcze jakiś czas, rozmawiając o jakichś głupotach, ale odsunęłam dłoń.

Gdy już wreszcie zniknął, przeniosłam się szybko do kawalerki. Musiałam się dowiedzieć, w którym szpitalu przetrzymywali mojego mordercę.

Na poszukiwaniach spędziłam resztę dnia. Internet nie chciał mi podać dokładnych informacji, hakerem też nie byłam. Musiałam pomagać sobie mocą, by przejść przez niektóre zabezpieczenia. Zapadł już zmierzch, gdy wreszcie wyłowiłam wszystkie potrzebne mi informacje.

Padła wiosenny deszcz. Latarnie oświetlały ulicę, lecz ich światło nie docierało do miejsca, w którym stałam. Zastanawiałam się, jak tam wejść. Mogłam po prostu przejść przez ścianę, ale nie wiadomo było, czy moje drzwi nie pojawią się tuż przed czyimś nosem.

Co prawda był to szpital psychiatryczny. Gdyby jednak zobaczył mnie lekarz czy pielęgniarka, to mogłabym narobić zamieszania. Wysoki, w stylu podpalenie Pól Mokotowskich, nie były mi już potrzebne.

Od frontu budynek otoczony był ogrodzeniem z cienkich metalowych sztachet. Na dziedzińcu stał wysoki kasztan. Już zaczynał kwitnąć. Znak nieuchronnych matur.

Bramy wjazdowej pilnował strażnik w małej przybudówce. Pomyślałam o tym, że chcę być niewidzialna.

Przeszłam obok niego, rozchlapując kałuże. Tylko one świadczyły o tym, że przeszłam przez całe podwórze.

Drzwi wejściowe nie były zamknięte. Szarpnęłam mocno ciężkie wrota. Wewnątrz było ciemno. Hol nikał w mroku. Godziny odwiedzin dawno się skończyły. Ośrodek, chcąc zapewnić podopiecznym względny spokój, kończył działalność koło dwudziestej. Drzwi prowadzące do przychodni zamknięto na głucho. Szukający pomocy, czy raczej kolorowych tabletek, pacjenci przyjdą dopiero rano.

Przeszłam przez hol, mijając zamkniętą informację. Z mojego płaszcza na wesołe, brzoskwińskie linoleum kapąła woda, znacząc trasę mej wędrówki.

Wbiegłam po schodach na pierwsze piętro. Znajdowała się tam dyżurka pielęgniarek. Weszłam na oddział. Wymagało to ode mnie posłużenia się mocą, bo drzwi były zamknięte, by nikt nie zdołał wyjść.

– Tak, a ja wtedy jej powiedziałam... – dobiegł mnie rozbawiony kobiecy głos. Podeszłam po cichu do miejsca, z którego dochodził.

Za zbrojoną szybą stało biurko. Centrum dowodzenia pielęgniarek. Dwie kobiety z nocnej zmiany popijały kawę i plotkowały o czymś zmęczonymi głosami. Spojrzałam na tablicę za ich plecami. Były tam rozpisane pokoje i nazwiska.

Mojego mordercę znalazłam w izolatce numer 6. Zastanawiający dobór cyfry... Klucze leżały na biurku przed kobietami w małym koszyczku.

W tej chwili gdzieś w korytarzu rozległ się ogłuszający krzyk.

Tęższa kobieta westchnęła rozdrażniona i podniosła się ze stęknieniem. Krzesło zaskrzypiało, zupełnie jakby się cieszyło, że obciążenie zniknęło.

– Chodź. Pewnie znowu trzeba uspokoić tego spod czwórki. Przysięgam, jak jeszcze raz mi powie, że Michael Jackson do niego przyszedł, to chyba dam mu podwójną dawkę leków...

Z korytarza rozległ się zawodzący głos. Pacjent krzychał: Love me tender!

– Nie... – zaśmiała się druga kobieta. – Tym razem przyszedł do niego Elvis.

– Już ja go pójdę tender kochać – warknęła ta pierwsza, nadal rozdrażniona.

Wyszły z dyżurki. Korzystając z tego, wsunęłam się do środka i wygrzebałam z kupki kluczy odpowiedni. Ruszyłam korytarzem.

Nagle zza załomu muru wysunął się strażnik, przestraszona wskoczyłam pod niski stolik obok krzesełek dla odwiedzających. Mnie by nie zobaczył, ale lecący swobodnie w powietrzu klucz mógłby wzbudzić jego niepotrzebny w tej chwili niepokój.

Gdy mnie minął, wysunęłam głowę spod blatu. Wyczołgałam się i aż stęknęłam, gdy wreszcie się wyprostowałam. Starość nie radość... Jaka starość? Ja już nigdy nie będę miała starości.

A wszystko przez niego.

Stałam pod drzwiami izolatki numer 6. Wsunęłam klucz w zamek.

W pokoju, do którego weszłam, było ciemno. Jedna żarówka pod sufitem mrugała co jakiś czas. W zakratowane okno wściekle uderzały krople deszczu. Rozpadało się na dobre.

Na wąskim łóżku siedział skulony mężczyzna. Jak zauważyłam, miał na sobie kaftan bezpieczeństwa. Nie patrzył na mnie. Siedział, patrząc pustym wzrokiem w okno, pewien, że do jego pokoju zajrzała pielęgniarka albo lekarz. Stałam się z powrotem widzialna.

– Witaj – odezwałam się, zamykając za sobą drzwi. Morderca szybko wykręcił głowę w moją stronę. Zaczął piszczeć przez nos.

– Tak, to ja. – Oparłam się plecami o ścianę naprzeciwko niego.

Mężczyzna wszedł na łóżko i wcisnął się w kąt. Zerknął na drzwi. Machnęłam dłonią. Zniknęły. W miejscu, w którym się znajdowały, pojawiła się biała ściana.

Zaczął piszczeć jeszcze bardziej.

– Uspokój się – powiedziałam cichym głosem. – Chcę tylko porozmawiać.

Pozwoliłam mu „pokrzyczeć” jeszcze kilkanaście minut. W końcu zabrakło mu sił, opadł na czworaka, jakby nagle zemdlał. Nic dziwnego. W końcu hiperwentylował od dłuższego czasu. I to na dodatek przez nos.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedziałam. – Chcę tylko porozmawiać. Zwrócę ci głos, jeśli obiecasz, że nie będziesz krzychał.

Patrzył na mnie szeroko wytrzeszczonymi oczami. Nie wierzył mi.

– Przysięgam, że zwrócę ci głos. Oddam ci go na zawsze. Chcę tylko rozmowy.

Poprzednio niczego się od niego nie dowiedziałam. Kleopatrze tak się spieszyło, żeby go wykastrować. Nie chciała, żebym z nim rozmawiała, żebym spróbowała wyciągnąć z niego jakieś informacje. Zastanowiło mnie to. Czemu tak jej zależało na pośpiechu?

Tak się zamyśliłam, że nie zauważyłam, że mężczyzna zaczął coś pomrukiwać. Kiwał do mnie głową.

– Zgadzasz się na rozmowę w zamian za głos? – upewniłam się. Pokiwał głową.

– Obiecujesz, że nie będziesz krzyczał? – dopytałam. Znowu gorliwie pokiwał, wpatrując się we mnie z nadzieją.

Pstryknęłam palcami.

Przyglądał mi się w napięciu. Nie wiedział, czy już odzyskał głos.

– Teraz powiedz mi... dlaczego mnie zabiłeś? Mężczyzna przyglądał mi się z obłędem w oczach. Te oczy, jasnoblękitne, wodniste, puste... Nie mogłam w nie patrzeć. Wbiłam wzrok w jego podbródek.

Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Spróbował jeszcze raz.

– Jakh... – wycharczał.

Uśmiechnął się radośnie, słysząc to. Kaszlnął.

– Ja żałuję – powiedział. Wzniosłam oczy do nieba.

– Nie obchodzi mnie, czy żałujesz – odparłam rozdrażniona. – Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś. Jak to się stało? Niewiele pamiętam z tamtej nocy. Żądam wyjaśnienia. Skulił się i wcisnął w kąt. Kiwał jednostajnie głową. Wprzód...

I w tył...

W przód...

I w tył...

Czekałam w napięciu.

– Ja też niewiele pamiętam – powiedział i znowu zakasłał. Jego głos od długiego nieużywania był chropawy i matowy.

– Poszedłem do Stodoły. Chciałem znaleźć jakąś gęś, która dałaby się wyciągnąć do parku...

– I co wtedy?! – przerwałam mu. – Zgwałciłbyś ją, bydlaku?!

Skulił się jeszcze bardziej, przerażony moim wybuchem złości. Znowu zaczął rytmicznie kiwać głową. To go uspokoiło. Pięknie... miałam mordercę, który nie dość, że był najwyraźniej psychiczny, to jeszcze miał chorobę sierocą!

– Tak – odpowiedział. – Zgwałciłbym ją...

– Dlaczego mnie zabiłeś? Też chciałeś mnie zgwałcić? – zapytałam.

– Nie. – Znowu zaczął się kiwać, patrząc pusto w przestrzeń. – To nie było tak. Nie chciałem cię zgwałcić. W ogóle cię nie chciałem. Byłaś za chuda, za szara, nie miałaś wyzywającego ubrania. Ja takie lubię.

Przeszedł po mnie dreszcz obrzydzenia. Cholerny psychopata.

Więc czemu za mną poszedłeś? Czego chciałeś? – drążyłam.

– Nie wiem...

Ręce mi opadły. To po co ja mu oddałam ten głos, skoro on nic nie potrafi mi powiedzieć?!

– Był tam mężczyzna... brunet...

Jego słowa podziały na mnie jak kubek zimnej wody.

– Wysoki, pił czystą, nie drinki. Był jakiś taki... mroczny... Podeszłam bliżej, ale zaczął się

trząść ze strachu i gwałtowniej kiwał głową.

Odsunęłam się z powrotem pod ścianę. Morderca powoli się uspokajał. Jak niewiele potrzeba, żeby zrobić z człowieka wrak. Wystarczy go wykastrować i zabrać mu głos. No proszę...

– Kto to był? – zapytałam.

– Nie wiem. Miał czarne włosy, był dziwny. Zaprosił mnie do picia, postawił drinka.

Rozmawiał ze mną.

– O czym?

– Nie wiem. – Spojrzał na mnie bezsilnie. – Nie pamiętam!

– A co pamiętasz?

Mężczyzna kiwał się przez chwilę. Żarówka zamigotała pod sufitem, gdy gdzieś niedaleko uderzył piorun. Deszcz wściekle siekł o szybę.

– Nóż... – powiedział tak cicho, że nie byłam pewna, czy się nie przesłyszałam.

– Nóż? – upewniłam się i mimowolnie dotknęłam brzucha. Nie miałam na skórze żadnego śladu po odniesionej ranie, jednak wciąż były takie noce, gdy budziłam się z krzykiem i tęnym bólem w okolicy żołądka.

– On dał mi nóż... – wyjaśnił cicho. – Ja nie robię krzywdy, nie ranie. Nie noszę ze sobą noża. Siłą powstrzymałam się przed komentarzem. Nienawidziłam go.

– Czemu go wzięłeś? – zapytałam.

– Nie wiem...

Zła odsunęłam się od ściany i zaczęłam chodzić w kółko.

Brunet, nóż, dziury w pamięci. Czułam, że któryś z diabłów maczał w tym palce. Beleth? Azazel? Tylko po co była im moja śmierć?

– Jak wyglądał ten brunet? – zapytałam.

– Wysoki...

– Miał włosy związane w kitkę czy irokeza? – drażylałam dalej. – Oczy czarne czy złote?

– Nie pamiętam. Chyba czarne... nie wiem, nie pamiętam... Spojrzałam na skulonego mężczyznę, który był teraz strzępkiem człowieka. Proch i pył. Dla nich to była zwykła zabawa.

– Czy on kazał ci mnie zabić? – zapytałam.

Przerażony mężczyzna wodził za mną spłoszonym spojrzeniem. Kiwnął głową.

Nie byłam pewna, czy kiwnął dlatego, że starał się uspokoić, czy że była to odpowiedź na moje pytanie.

– Kazał? – krzyknęłam. Wcisnął się w kąt.

– Mówił o tobie – powiedział szybko. – Kazał mi na ciebie patrzeć. Potem dał mi nóż. Nie pamiętam, co mówił! Naprawdę nie pamiętam! Nie wiem, czemu nie pamiętam.

To akurat rozumiałam. Ja też niewiele pamiętałam z tego wieczoru. To musiało mieć jakiś związek.

– A dlaczego wyszłam ze Stodoły? – zapytałam. – Nie pamiętam tego. Dosypałeś mi czegoś do drinka?

Jego spojrzenie po raz pierwszy było czyste. Przestał się kiwać. Zrobił na mnie tak

przeróżające wrażenie, że aż się odsunęłam o krok.

– Ja się do ciebie nie zbliżałem. Ten mężczyzna, brunet. On podszedł do ciebie. Powiedział ci coś na ucho i wyszłaś. Ja miałem iść za tobą. Zatrzymałam się w pół kroku.

Jak to podszedł do mnie i coś powiedział? Ukryłam twarz w dłoniach. Nie pamiętam niczego takiego! Nie pamiętam żadnego bruneta!

Mężczyzna wpatrywał się we mnie, znowu kiwając rytmicznie głową. Też nabrałam ochoty, żeby się pokiwać...

– Wyszłaś, a ja poszedłem za tobą. Potem wyjąłem nóż i dźgnąłem. I jeszcze raz... i jeszcze raz... A potem ty rozpadłaś się w pył, jak demon, jak wampir.

Nie chciałam go słuchać. Przywróciłam drzwi do izolatki. Jednak nie zamierzałam wychodzić z budynku tą drogą. Wyjęłam z kieszeni klucz diabła.

– Głos ci zwróciłam. Żegnaj! – Wsunęłam klucz w ścianę.

– Czekaj – krzyknął, zanim otworzyłam drzwi. – A moje...

– Ich nie odzyskasz. Ciesz się, że tylko je straciłeś. Kleopatra ostrzegła cię, co się stanie, jeśli jeszcze kiedyś skrzywdzisz jakąś kobietę.

Mężczyzna skulił się.

– Nóż, nóż, to nie był mój nóż – zaczął szeptać.

Za drzwiami znajdował się zalany deszczem dziedziniec przed szpitalem. Wysłałam prosto w ulewę. Nie chciałam jeszcze wracać do domu. Musiałam pomyśleć.

Gdy stanęłam w strugach wody, kontur drzwi rozmył się w powietrzu. Odwróciłam się i spojrzałam na budynek. W małym zakratowanym oknie zobaczyłam twarz przestraszonego mężczyzny, który powtarzał jedno słowo:

– Nóż, nóż, nóż...

24

Spałam tylko kilka godzin. Była sobota. Wieczorem miała się odbyć kolejna popijawa u Tomka, na którą oczywiście się wybierałam. Przez krótką chwilę zamyśliłam się nad tym, ile kasy muszą zbijać producenci alkoholu. Doszłam do wniosku, że chyba źle wybrałam zawód – przemysł alkoholowy był zdecydowanie bardziej dochodowy.

Podsunęłam Behemotowi otwartą puszkę kocięj karmy i wyszłam. Miauknął na mnie urażony. Odkąd go przygarnęłam, jeszcze nigdy nie jadł z puszki. Zawsze dostawał jedzenie na talerzyku. Kilka tygodni wygody i już zapomniał, że kiedyś wcinał ze smakiem popsutą rybę z kontenera na śmieci...

Włączyłam się bez celu po Warszawie, mijając nielicznych przechodniów. Było jeszcze wcześnie. Dziesiąta rano w sobotę? Większość młodzieży odsypiała piątkową noc. Usiadłam na murku na patelni, dołku metra, a po ludzku mówiąc (czyli nie po warszawsku) na placyku przy wejściu na stację Metro Centrum.

Przyglądałam się kolorowo ubranym ludziom. Tylko tutaj jak zwykle było tłoczno. Co kilka minut ze stacji wychodziły tłumy.

Jedna nitka metra. Europejska stolica się znalazła...

Zerknęłam na plac otoczony artystycznym graffiti. Pod wieczór pewnie przyjdzie indiański zespół, kilku chłopaczków tańczących break dance na brudnej tekturze i facet grający na krześle, udający, że to taka nowoczesna perkusja. Lubiłam to miejsce.

Zaczęłam nucić pod nosem piosenkę T.Love o Warszawie. Pomyślałam o Piotрку. O... do tego też mają odpowiedni fragment: „zielony Żoliborz, pieprzony Żoliborz”, zaśpiewałam prawie wesoło.

– Co robisz?

O mało nie zleciałam z murka.

Beleth! – wrzasnęłam. – Chcesz, żebym umarła na zawał?! Powstrzymał się przed odpowiedzią, która była dość oczywista.

Nudzę się – mruknęłam na odczepnego, bo nadal czekał na odpowiedź na swoje pytanie.

– Ponudzić się z tobą? – zaproponował z szerokim uśmiechem i nie czekając na odpowiedź, usiadł obok mnie.

Gwoli ścisłości usiadł bardzo blisko. Nie czułam żadnej potrzeby, żeby dotykać go nogą i biodrem, więc się odsunęłam.

Westchnął ciężko.

– Czy ty się po prostu nie możesz ucieszyć na mój widok? zapytał zniechęcony.

– Chcesz, żebym się cieszyła?

– Tak. – Uśmiechnął się szeroko i wyjaśnił: – No wiesz... miło by było, gdyby ktoś cieszył się na mój widok.

– Psa sobie kup, zapewniam, że będzie się cieszył...

– Co znowu masz taki podły nastrój?

Nie zamierzałam mu się zwierzać. Zwłaszcza że nie wiedziałam, który to brunet był wtedy w Stodole. Kto wydał na mnie wyrok. Kto tak naprawdę mnie zamordował, używając jako narzędzia tamtego ciemnego faceta.

– Co się stało? – zapytał jeszcze raz. W jego oczach zobaczyłam troskę.

– Ktoś zrobił ci krzywdę? Zamordować tego kogoś?

Nie wiedziałam, czy powiedział to serio, czy to tylko miał być żart, który mnie rozbawi. No cóż... nie rozbawił.

– Byłam u mojego mordercy – powiedziałam otwarcie. Poruszył się niespokojnie.

– Jak to u niego byłaś?! – zapytał rozdrażniony. – Spaliłaś coś przy okazji? Wysadziłaś w powietrze? A może jeszcze kogoś okaleczyłaś?!

– Wyobraź sobie, że nie.

– Po co u niego byłaś?

– Dowiedzieć się, dlaczego umarłam. – Pilnie przyglądałam się jego twarzy, ale nie zobaczyłam na niej jakichś gwałtów? nych emocji.

– A on co ci odpowiedział...? – zapytał ostrożnie.

– Ze nie pamięta. Beleth wypuścił powoli powietrze. Jedyne oznaka, że się zdenerwował. Coś mnie ukłuło w środku. Nie wiem dlaczego, ale chciałam wierzyć, że on nie jest w to zamieszany.

Jednak jego reakcja na moje słowa... Cholera jasna!

– Nie powinnaś tego drażnić – powiedział. – Tylko sprawiasz i sobie ból. A co się stało, to się nie odstanie. I tak nie żyjesz. Już miałam mu odpowiedzieć, że to moja śmierć i nie powinien się wtrącać, kiedy przez plac potoczył się krzyk: – WIKI!!! BARTEK!!!

Odwróciłam się w stronę mojego brata, Marka, który właśnie do nas podbiegał. Pięknie... dzwonię do niego codziennie. Czyja go jeszcze muszę spotykać?

– Cześć, co robicie? – Pocałował mnie w policzek i uścisnął dłoń Beletha.

– Nudzimy się – odparłam szybko.

Marek pokiwał głową, jakby nam nie wierzył. Następnie dokładnie przepytwał, jak idzie nam na studiach, co jadłam na śniadanie, co zamierzam jeść na obiad i tak dalej. Jego utworzony na moje potrzeby instynkt rodzicielski był bardzo silny.

Po paru minutach niezobowiązującej pogawędki Marek spojrzął na Beletha i zapytał:

– A wy nadal ze sobą chodzicie?

– Tak – ochoczo potwierdził diabeł i objął mnie ramieniem.

– Hm... – mruknął mój brat. – A tak w ogóle... Bartek... to studiujesz razem z Wiki, prawda?

– Tak.

– A robisz coś jeszcze? Pracujesz gdzieś? Czym konkretnie się zajmujesz? Diabeł spojrzał w górę, jakby głęboko nad czymś się zastanawiał.

Doradztwo handlowe, Bartek jest... – powiedziałam szybko, ale mi przerwał:

Obecnie zajmuję się głównie mobbingiem. Trochę mi nie wychodzi, sam wiesz, jak to jest. Trafiają się oporne sztuki. Poklepał mnie po ramieniu. Marek patrzył na nas podejrzliwie.

A tak naprawdę to roznosi ulotki pod Pałacem Kultury powiedziałam.

– Ulotki? – Diabeł spojrzał na mnie zgorzony. – Może jeszcze te z gołymi babami?

– Widzisz? – zwróciłam się do Marka. – Jest tą pracą tak umęczony, tak jej nienawidzi. To naprawdę źle wpływa na jego psychikę.

Mój brat miał minę, jakby obcował właśnie z dwójką ludzi myślących inaczej. Beleth, korzystając z tego, że mnie obejmuje, a ja nie mogę go odtrącić na oczach Marka, delikatnie masował moje ramię.

– Szczerze? – zaczął mój brat. – Szczerze, to ja nie chcę wnikać w waszą psychikę. W przyszłym tygodniu, mała, przychodzisz w sobotę do nas na obiad. Spadam. Trzymajcie się.

Krótki pocałunek w mój policzek, lekki uścisk dłoni z Belethem i już pobiegł w stronę stacji.

Zdałam sobie sprawę, że zapomniałam go zapytać, czy już nie muszę do niego dzwonić, skoro go dzisiaj widziałam. Zapewne musiałam zadzwonić... Odwróciłam się w stronę diabła.

– Ty robisz wszystko, żeby mi utrudnić życie, no nie?

– Uściślając... po pierwsze, ty nie żyjesz i wciąż o tym zapominasz, a po drugie... pragnę tylko twojego dobra.

Pochylił się w moją stronę i zaczął mnie całować po szyi. Zeskoczyłam z murku. Poprawiłam włosy i kołnierz skórzanej kurtki.

Spojrzałam na niego przez ramię.

– Mojego dobra? Jasne... – Wmieszałam się w tłum ludzi, zostawiając go samego.

Ubrałam się w czerwoną, luźną bluzkę, na którą narzuciłam lekką kurtkę i dopasowane dzinsy. Dwie butelki wina z niższej półki (a raczej z kartonu pod półką...), spritea i jakieś ciasteczka stworzyłam tuż pod drzwiami.

Weszłam do pełnego ludzi mieszkania Tomka. Naprawdę podziwiałam jego sąsiadów. To czwarta impreza w tym miesiącu.

– Wiki! – Tomek uśmiechnął się szeroko. Przepuszczając mnie w drzwiach, lekko się zatoczył. Zerknęłam na zegarek. Dopiero dziesiąta wieczorem.

Piotruś już był. Teraz ja zaczęłam się uśmiechać jak kompletna kretynka.

– Wiki! – Zuza szarpnęła mnie w bok, wciągając do łazienki, zanim zdołałam dojść do Piotrka.

– Hej, co się stało? – zapytałam.

Moja przyjaciółka w ogóle mnie nie słuchała. Trzasnęła drzwiami i zaciągnęła zasuwkę. Przyłożyła ucho do białej szyby. Jej paranoja zaczęła mnie niepokoić.

Usiadłam na brzegu wanny. Butelka stuknęła o kafelki. Syknęłam pewna, że ją stłukłam.

– W ogóle cię nie widuję – rzuciła Zuza. – A muszę z tobą porozmawiać. O czymś bardzo ważnym.

Opuściła deskę klozetową i na niej usiadła. Rozejrzałam się. Typowa męska łazienka. Kompletny bajzel, sterta dezodorantów, pianek do golenia, golarek, żeli do włosów. No i ogólnie mówiąc, lekki syf.

– Zakochałam się! – wyjęczała Zuza.

– W kim?! Czemu do mnie nie zadzwoniłaś?!

– Bo nie można się do ciebie dodzwonić, kretynko. Albo nie odbierasz, albo nie ma zasięgu. Gdzie ty się w ogóle podziewasz?

– Dużo pracuję – bąknęłam wymijająco.

– Z tym Bartkiem i Kleopatą?

– Tak.

– Oni nadal ze sobą chodzą? – Zadumała się. – W sumie to do siebie nie pasują... zresztą dla niej chyba nikt nie jest dość dobry.

Poza Cezarem i Markiem Antoniuszem, pomyślałam. Zuza odgarnęła na plecy brązowe włosy. Spojrzała na mnie wyczekująco.

– Nie, już nie – powiedziałam.

Zuza wpatrywała się we mnie przenikliwie. Wiedziałam, co chciała powiedzieć. To było widać po jej minie.

– Wiesz co... on cię wtedy strasznie obserwował. To znaczy gapił się też na innych. Nie wiem dlaczego, ale Piotrek bardzo go zainteresował. Tak czy owak sądzę, że ty mu wpadłaś w oko. Chyba mu się podobasz.

Hm... jakkolwiek by na to patrzeć, zainteresowanie Beletha moją osobą było dość spore.

– Tak, wiem... – mruknęłam niechętnie. – Trochę się do mnie ostatnio przyczepił.

– Ale Wiki. On jest uroczy. – Zuza uśmiechnęła się na samo wspomnienie. – I przystojny... taki niegrzeczny chłopiec. Aż chce się z nim pobawić!

Zamyśliłam się. Faktycznie coś w tym było. Beleth był wręcz facetem idealnym. Pomijając fakt, że facetem nie był, ale to drobiazg. Troszczył się o mnie, był czuły, interesował się mną, zabiegał, usiłował zdobyć. Inicjatywa wychodziła właśnie od niego. Ja mogłam po prostu być i dawać się adorować.

Przystojny, romantyczny, kuszący, zainteresowany. Same zalety.

To znaczy, oczywiście, istniało olbrzymie prawdopodobieństwo, że on maczał w jakiś sposób palce w zamordowaniu mnie.

Niemniej był uroczy.

– Ech, i jest taki przystojny. – Zuza westchnęła, jakby potwierdzając moje słowa.

Zdałam sobie sprawę, że wariuję. Beleth to podejrzany typek, który kłamie i morduje. Poza tym nie jest człowiekiem! Nie mógł mi się podobać! Po prostu nie mógł!

– To w kim się zakochałaś?! Nie mogę się już doczekać, kiedy mi powiesz! – krzyknęłam, zmieniając temat. Przyjaciółka gotowa była przeprowadzić mi autopsję serca, gdyby wyczuła, że Beleth chociaż odrobinę mi się podoba.

Zuza skrzywiła się okropnie.

– Co masz do picia? – zapytała.

Spojrzałam na reklamówkę, przez chwilę nie wiedząc, co mam odpowiedzieć.

– Wino – odrzekłam w końcu. – Białe. Sophia.

– Czyli takie, jakie lubię najbardziej. – Zuza uśmiechnęła się, ale zaraz posmutniała, patrząc na drzwi. – Musimy wyjść po korkociąg...

Bardzo nie chciała wyjść z łazienki. Nie wiedzieć czemu.

Sięgnęłam do kieszeni kurtki. Pomyślałam intensywnie i zaraz zacisnęłam palce na metalowym przedmiocie, którego wcześniej tam oczywiście nie było.

– Spokojnie – powiedziałam do niej. – Wzięłam na wszelki wypadek, jakby chłopcom się zgubił.

Zuza sprawnie odkorkowała butelkę. Ja nie umiałam używać korkociągu. Trochę techniki i już się człowiek gubi...

– Szkoda, że nie mamy szklanek czy kubków. – Pociągnęła z gwinta solidny łyk.

– Powiesz mi wreszcie? – ponagliłam.

Upiła jeszcze łyk i podała mi butelkę. Przełknęłam trochę półsłodkiego wina. Wino na studencką kieszeń. To byłoby podejrzané, gdybym przyszła z jakimś superdrogim trunkiem. Zresztą sophia była... Sophia była OK.

Butelka jeszcze chwilę krążyła między nami, zanim Zuza zdobyła się na odpowiedź.

– Paweł.

Aż się zachłysnęłam.

– Co?! – krzyknęłam. – Paweł?!

– Cii!!! – syknęła, patrząc na drzwi.

Na szczęście jeszcze nikt nie musiał za potrzebą. Usiłowała wyrwać mi butelkę, ale ja musiałam się teraz napić.

– Jak to Paweł? Taki przygłup?! – Nie mogłam w to uwierzyć. Zuza spuściła oczy.

– Tak jakoś wyszło. – Westchnęła. – Łaził za mną i łaził. W sumie nie jest taki zły. Oczywiście, o ile nie mówi o tym swoim supertajnym, sławnym stowarzyszeniu.

– Zuza, uważaj. – Wzięłam ją za rękę. – To jakaś sekta. Nie mieszaj się do tego.

– Wiem, wiem, nie jestem głupia. To znaczy jestem. Jeeeeezu, jakim cudem taki kompletny cham może mi się podobać? Taki gbur, egoista, myśli tylko o sobie.

Pociągnęłam łyk. Alkohol wypity na pusty żołądek dawał o sobie znać. Odrobinę kręciło mi się w głowie. Oddałam jej butelkę. Pierwsza, już opróżniona, turlała się po podłodze. Musiałam coś zjeść. Zaczęłam grzebać w reklamówce, usiłując wyciągnąć opakowanie herbatników.

– Nie wiem, Zuza... – Ugryzłam ciasteczko. – Ale jestem w tej samej sytuacji.

– No, ale wiesz... Piotrek jest w miarę normalny, a Paweł? – Uśmiechnęła się sama do siebie.

– Chociaż on też jest słodki. Spojrzałam na nią krzywo.

– Na swój sposób – dodała, widząc moją minę. – Jak to jest, że my się zakochujemy w tych niewłaściwych facetach?

– Bo tych właściwych nie ma.

– Właśnie, że są! A ten twój Bartek? Taki fajny facet, przystojny, zainteresowany i w

ogóle. Ja jakoś nie mogę spotkać żadnego normalnego... Chociaż w sumie nasz Tomek... nasz Tomek jest bardzo miły.

Nie przerywałam jej. Dalej w spokoju jadłam herbatniki. Zuza zrobiła szybki przegląd wszystkich chłopców, jakich znałyśmy. Beznadziejna sprawa.

– Coś jest z nami nie tak – stwierdziła na koniec. – Zawsze podobają nam się ci, którzy są w pewien sposób niedostępni.

– Paweł jest bardzo dostępny, przynajmniej dla ciebie – zakpiłam.

– No tak – przyznała mi rację. – Jednak często to się odbywa na zasadzie zakazanego owocu. Im ktoś trudniejszy do zdobycia, tym bardziej pociągający.

– A on wie, że ci się podoba? – zapytałam, zmieniając temat, bo przypomniał mi się Beleth i jego próby zdobycia mnie choćby na jedną noc.

– Żartujesz?! – wybuchnęła. – W życiu mu nie powiem! Nie chcę, żeby wiedział! Nie odważę się. Skąd ja to znam?

– To co, Zuza? Idziemy do ludzi?

Miałam nadzieję, że Piotruś jeszcze nie wyszedł...

– No dobrze... – odrzekła niepewnie. Dopięła drugą sophię.

Razem weszliśmy do salonu. Było jakieś pół godziny przed północą. Na środku pokoju kilka osób kołysało się w rytm jakiejś spokojnej melodii. Na kanapie z kolegami siedział Piotrek. Tuż obok niego było wolne miejsce.

Rozluźniona winem usiadłam tam.

– Cześć – ucieszył się na mój widok. – Dopiero przyszaś?

– Nie, jakieś dwie godziny temu.

Ściągnął brwi, zupełnie jakby ciężko się zastanawiał, dlaczego mnie nie widział.

– No Piotrek, kolejka – poganił go chłopcy. – Wiki, nalać ci?

– Nie, dzięki. – Na dzisiaj miałam już dość.

Patrzyłam, jak wszyscy, używając rozmaitych kubków i szklanek (student nigdy nie ma dość kieliszków – świetny prezent na każdą okazję), wypili wódkę.

– Gadałyśmy z Zuzią – wyjaśniłam Piotrkowi.

Jeszcze raz spojrzałam na studentów tańczących w rytm jakiejś smętnej, bardzo wolnej melodii. Idealna piosenka!

– Zatańczysz? – zapytałam Piotrusia, uśmiechając się zalotnie.

Gdyby nie winko, tobym się nie odważyła zapytać. Chociaż kto wie?

Piotrek również spojrzał na tańczących. Dla niego ta piosenka była chyba zbyt szybka. Wiedziałam, jaką odpowiedź usłyszę...

– Nieee... – mruknął.

Nie zawiodłam się. Jednak tak łatwo się nie poddamę. – To może chociaż potupujemy w miejscu? – zaproponowałam. Zaśmiał się serdecznie, jednak jego odpowiedź znowu była do przewidzenia.

– Nieee...

Boże, czy faceci nie rozumieją, że jak dziewczyna prosi do tańca takiego osobnika, który

ewidentnie nie umie tańczyć, to wcale nie znaczy, że ona ma ochotę z nim tańczyć? Tylko że chce się bezczelnie do niego poprzytulać?

Mężczyźni są tacy tępi...

– To może chociaż postoiemy naprzeciwko siebie?

– A nie możemy siedzieć? Zerknął na stolik, na którym jeden z chłopców właśnie polewał.

Tomek pogonił go z następną kolejką wódki. Przy tym tempie picia to chyba niedługo będziemy zmuszeni leżeć, bo on nawet nie da rady siedzieć...

Paweł przedfiladował obok nas, dumnie prężąc mięśnie w dopasowanym podkoszulku. Zerknęłam na Zuzę, która wpatrywała się w niego w niemym zachwycie zakochanego cielęcia. Okropność...

Po jakimś czasie przestałam liczyć kolejki, które wlewali w siebie chłopcy. Nie piłam już, ale przyciszona muzyka, cichy gwar rozmów sprawiły, że zrobiłam się senna. Wygodniej rozsiadłam się na kanapie, głowa opadła mi na ramię Piotrka, zapadłam w drzemkę.

Obudziło mnie delikatne stukanie w rękę.

25

– Wiki? Wiki, obudź się – szeptał cicho Piotruś. Otworzyłam oczy. Przetarłam je wierzchem dłoni.

– Co się...? – mruknęłam nieprzytomnie.

Zdałam sobie sprawę, że przez sen zagarnęłam sobie na własność sporą część ramienia Piotrka.

– Jest koło czwartej w nocy. – Piotruś wysunął spode mnie swoją zdrętwiałą rękę. Poruszył kilka razy palcami, by odzyskać w nich czucie. – Chciałbym iść do domu, tu nawet nie ma jak się położyć spać. Idziesz ze mną? Odprowadzę cię.

– Tak, tak – szybko pokiwałam głową, uszczęśliwiona propozycją.

Znalezienie kurtki, a potem włożenie jej i butów zajęło mi trochę czasu. O tej godzinie nawet moja szczątkowa koordynacja ruchowa zanikała kompletnie. Piotrek cierpliwie czekał oparty o drzwi, aż zdołam wsadzić na obie nogi botki na wysokim obcasie. Pożegnaliśmy się ze wszystkimi, którzy nie spali, i wyszliśmy.

Na zewnątrz uderzyło w nas chłodne wiosenne powietrze. Mocniej opatuliłam się kurtką. Była za cienka na tę pogodę. Gdy przeskakiwałam do Warszawy z Los Diablos, nie brałam pod uwagę, że będę wracać do domu przed świtem, gdy jest najzimniej.

Latarnie oświetlały kałuże na chodniku. Musiało niezłe padać, kiedy byliśmy na imprezie.

Nic nie mówiąc, szliśmy w stronę przystanku autobusowego z nadzieją złapania jakiegoś nocnego. Stojąca na środku ławka oczywiście była mokra, bo nie było nad nią kiczowatego, czerwonego daszka, obklejonego zazwyczaj ogłoszeniami o tanim kredycie czy kursach angielskiego.

– Długo będziemy czekać? – zapytałam.

Piotruś bez słowa podszedł do słupa. Sprawdził godzinę na komórce i świecąc sobie jej wyświetlaczem, usiłował się czegoś doczytać na pomazanym przez chuliganów rozkładzie jazdy.

Kompletnie nie dbając o pozory człowieczeństwa, machnęłam dłonią nad ławką, która zrobiła się w jednej chwili sucha. Sorry, nie zamierzałam moczyć spodni...

Piotrek podszedł do mnie.

– Będzie za piętnaście minut. – Spojrzał na ławkę i zdziwił się: – Sucha?

– Sucha.

Nie uwierzył mi. Przesunął po niej dłonią i zdziwiony usiadł.

– Widocznie wyschła. – Powiedziałam obojętnie.

Nie wnikał, jakim cudem się to stało. Siedzieliśmy ramię w ramię w milczeniu. Chciałam się odezwać, ale kompletnie nie miałam pomysłu, co mogłabym mówić. Nawet milczenie w towarzystwie Piotrka było dla mnie miłe, chociaż mimo że miałam ochotę coś powiedzieć. Cokolwiek.

– Fajna impreza – w końcu stwierdziłam inteligentnie, żeby jakoś przerwać ciszę.

– Mhm – mruknął. – Za dużo wypilem...

Machnęłam nogą nad kałużą rozlewającą się pod ławką. Było chłodno, już miałam dreszcze. Objęłam się ramionami.

– Zimno... – Teraz ja rzuciłam równie odkrywczą uwagę, co on poprzednio.

Jak widać oboje o czwartej nad ranem, po imprezie, nie byliśmy w nastroju do rozmów.

Bez słowa objął mnie ramieniem, przyciągając bliżej. Wtuliłam się w niego i oparłam czoło o jego szyję. Tak ładnie pachniał jakąś wodą kolońską. Oparł policzek o moje włosy.

Mimo to nadal drżałam. Piotrek odsunął się, zdjął kurtkę, zarzucił mi ją na ramiona i znowu mnie przytulił. Został w samym podkoszulku.

Zrobiło mi się głupio. Mnie przecież tak naprawdę nie było zimno. Już nigdy miało nie być mi zimno. To tylko moja psychika. Przecież nie umrę z wyziębienia. Nie dostanę nawet kataru. Za to on...

– Zmarzniesz – zauważyłam roztropnie, podnosząc głowę i patrząc mu prosto w oczy.

– Nie zmarznę – odparł.

Jakby na zaprzeczenie jego słowom z nieba zaczął padać drobny deszcz, znacząc okręgi na kałuży pod moimi stopami.

– Teraz na pewno zmarzniesz – stwierdziłam.

Uśmiechnął się lekko, cały czas przewiercając mnie wzrokiem. Nasze twarze dzieliło kilka centymetrów. Poczulałam, że brakuje mi tchu i robi się gorąco. Powietrze stało się jakby gęstsze.

– Nie zmarznę – powiedział schrypniętym głosem.

Przysunęliśmy się do siebie w tym samym momencie. Najpierw całowaliśmy się delikatnie, tylko lekko dotykając ustami.

Potem coraz mocniej, gwałtowniej. Wsunął mi rękę pod kurtkę, ja położyłam dłoń na jego piersi.

Rozpadało się na dobre. Deszcz spływał po naszych twarzach, przylepiał ubranie do skóry. Nasze oddechy zamieniły się w parę.

Staraliśmy się przysunąć się jeszcze bliżej, chociaż nie było to już możliwe. Żadne z nas nie było już zmarznięte.

Na początku denerwowałam się, gdzie mam położyć ręce, czy może nie robię czegoś źle. Po raz pierwszy w życiu tak się całowałam. I to właśnie z nim! Wszystko było takie nowe. Nie mogłam wymarzyć sobie piękniejszego pierwszego razu.

Potem przestałam się nad tym zastanawiać. Po prostu czułam, pożądałam. Już nie musiałam myśleć.

Gdzieś na końcu ulicy rozległ się ryk zdezelowanego autobusu. Klekot zawieszania,

brzęczenie zbyt luźno zamocowanych szyb, stukot zmęczonego silnika. To musiał być nasz nocny.

Piotruś odsunął się ode mnie i spojrzał w głąb ulicy. Też popatrzyłam tam nieprzytomnym wzrokiem. Przez deszcz i kałuże przedzierała się czerwono-żółta plama. Nasz autobus.

Piotruś wstał i zamachał ręką. Obok mnie zrobiło się tak pusto i zimno, kiedy zniknęło jego ramię i pierś... Też wstałam, przeskakując kałużę.

Autobus ochlapał nas, stając w głębokiej koleinie tuż przy krawężniku. Aż stęknął, zatrzymując się gwałtownie.

Piotrek przepuścił mnie przed sobą. Wspięłam się po stromych schodkach. Było tłoczno. Stanęliśmy przy samych drzwiach. Już mnie nie dotykał. Wzięłam go za rękę. Miał takie duże, silne dłonie.

Jechaliśmy w milczeniu, ciszę zakłócał tylko pijacki śmiech jakiegoś pasażera. Na kolejnych przystankach ludzie wysiadali, a wsiadali inni. Smutni bądź szczęśliwi, wszyscy tak samo zmęczeni.

Piotruś wcisnął przycisk nad drzwiami. Następnym przystankiem na żądanie miał być mój. Podczas wysiadania puścił moją dłoń. Gdy szliśmy potem ciemną, cichą ulicą, nie wyciągnął do mnie ręki. Rozczarowana westchnęłam i szczerzej otuliłam się jego kurtką.

Pachniała nim i deszczem.

Już przestało padać. Czasem tylko krople spadały na nas z mijanych drzew.

Doszliśmy pod klatkę mojego bloku. Stanęliśmy przy schodach. Z żalem zdjęłam z siebie jego kurtkę i oddałam mu. Miał na sobie mokry podkoszulek, który lepił mu się do ciała. Na pewno było mu zimno.

– Może wejdiesz i się wysuszysz? – zaproponowałam. Pokręcił przecząco głową.

– Będę już szedł.

Stał jak zwykle dobre półtora metra ode mnie, zupełnie jakby bał się stanąć bliżej. Pokonałam własne opory wynikające chyba z nieśmiałości. Podeszłam i pocałowałam go delikatnie w policzek.

– Dziękuję, że mnie odprowadziłeś. Zażenowany wzruszył lekko ramionami.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia.

– Cześć. – Uśmiechnęłam się.

Narzucił na siebie kurtkę i zszedł po schodach na ulicę. Ja ruszyłam do drzwi, wyjmując z kieszeni klucze.

Zanim wsunęłam klucz w zamek, zawahałam się. Gnana impulsem zeskoczyłam szybko po schodach i wyrzuciłam na ulicę, chcąc go zawołać.

Jednak on już był daleko. Skręcił w boczną uliczkę. Westchnęłam zawiedziona.

26

Spałam bardzo długo z kołdrą narzuconą na głowę, żeby światło mi nie przeszkadzało. Koło piętnastej obudziło mnie miauczenie Behemota. Był głodny i bardzo starał się to pokazać, chodząc mi po plecach i miauczając. Mruknęłam coś pod nosem i poruszyłam się, chcąc go zepchnąć. Głupi kot nie daje mi spać. Behemot wbił mi wszystkie pazury w plecy.

– AUU!!! – ryknęłam i zerwałam się.

Zadowolony z siebie kot rozsiadł się na mojej wygrzanej poduszce.

– Mały terrorysta – mruknęłam.

Wrzuciłam mu do miski trochę kocięj karmy i ruszyłam do łazienki, żeby wziąć prysznic. Woda na skórze przypomniła mi chłodny, wiosenny deszcz, który nas wczoraj w nocy zaskoczył. Oby tylko Piotruś się nie przeziębził. Dotknęłam opuszkami palców ust. Czy dla niego to coś znaczyło? Dla mnie znaczyło... i to wiele.

Owinęłam się w puchaty ręcznik i wyszłam z łazienki, żeby opowiedzieć Behemotowi, co mi się wczoraj przydarzyło. Może to oznaka wariactwa, ale ja zawsze opowiadałam mojemu kotu o wszystkim. Najciekawsze było to, że słuchał z uwagą.

O mało nie upuściłam ręcznika, kiedy weszłam do pokoju.

Na mojej wersalce siedział Beleth z moim kotem na kolanach.

– Mhm... skarbie wyglądasz uroczo – powiedział niskim głosem.

– Co tu robisz? – warknęłam.

Woda ściekała mi z mokrych włosów na dywan. Ręcznik nie zakrywał zbyt wiele. Zaczęłam cofać się w stronę łazienki.

– Pukałem, ale nie odpowiadałaś, więc wszedłem. Behemot powiedział mi, że bierzesz prysznic.

– On ci powiedział?

– Zapomniałaś, że to ja stworzyłem koty? – zapytał z uśmiechem. – Umiem z nimi rozmawiać. Nie wnikałam w szczegóły, może rzeczywiście potrafił z nimi rozmawiać...

– Powiedział też, że jeszcze nie jadłaś śniadania – dodał diabeł. – Porywam cię więc do Los Diablos na coś pysznego.

– Podryw na kota? Żałosne – prychnęłam, ale zaburczało mi głośno w brzuchu. – Poczekaj, muszę wysuszyć włosy. Oczywiście mogłam pstryknąć palcami i byłabym już sucha, pachnąca i ładnie ubrana. Ale nie zamierzałam mu niczego ułatwiać. Niech czeka.

– Mogę włączyć komputer? – krzyknął.

– Ta! – odkrzyknęłam i włączyłam suszarkę. Zmęczone odbicie wykrzywiło się do mnie na widok poskręcanych, skołtunionych włosów. Sama słodycz...

– Nie masz Diabło? – dobiegł mnie jeszcze jego oburzony głos, ale nie zwróciłam na niego uwagi.

Jakieś czterdzieści minut później wyszłam z łazienki. Doprowadziłam włosy z grubsza do ładu, ubrałam się i umalowałam.

Stałam nad Belethem, który nawet nie zauważył, że wyszłam. Leżał na mojej wersalce i z wściekłością uderzał w klawisze laptopa. Na ekranie jakaś blond lalczka waliła oszczepem potwora.

– Niosę za dużo ekwipunku – stwierdziła postać na ekranie.

– Co robisz? – zapytałam.

Beleth wreszcie oderwał spojrzenie od laptopa.

– Gram w Diabło – odrzekł z uśmiechem. – Świetna gra.

Nic nie odpowiedziałam, tylko podniosłam do góry brwi.

– To RPG. Wybierasz sobie jedną postać: Amazonkę, Barbarzyńcę, Nekromantę, Czarodziejkę czy jeszcze tam kogoś, i zabijasz potwory, które uciekły z Piekła. Za zabicie potwora dostajesz punkty doświadczenia i różne przedmioty. Świetna gra – powtórzył.

– A ty grasz Amazonką? – zapytałam. – Czemu nie jakimś facetem, na przykład Nekromantą? Diabeł spieszył się odrobinę.

– Bo... ona ma seksowny głos – Gwałtownie zamknął laptop. – Dobra, chodźmy już na to śniadanie, zanim zrobię z siebie jeszcze większego kretyna...

Po zjedzeniu obiadu w małej knajpce przy bulwarze nad morzem ruszyliśmy na spacer. Włączyliśmy się bez celu po mieście. Nie miałam ochoty wracać do kawalerki na Ziemi. Sztuczne słońce przyjemnie grzało skórę. Tam pewnie jak zwykle padało.

Na chwilę zapomniałam o wszystkich moich problemach. Jak zwykle dałam się przekonać Belethowi, że jest miłym, niewinnym diabełkiem, który pragnie jedynie mojego dobra. Pytanie tylko, który to miły diabełek mnie zamordował...

Siedzieliśmy właśnie na ławce, podziwiając zachód słońca. Ognista kula wyglądała, jakby tonęła w falach. Nadstawiłam uszu, ale nie słyszałam syku parującej wody. To tylko złudzenie optyczne.

Przypomniało mi się, że chciałam zapytać się Beletha, w jakich godzinach jest czynny Urząd.

– Wiesz, w jakich godzinach jest czynny Dział Zatrudnienia w pokoju 6? – zapytałam.

– Całą dobę – odrzekł. – Ale o północy zaczyna się trzynastominutowa przerwa. Po co ci to? Zawahałam się. Ile mogłam mu powiedzieć?

– Śmierć powiedziała, że mój zgon był przypadkowy i kompletnie niezaplanowany. Zamierzam wyciągnąć parę informacji z demona – odparłam. – Mój morderca mi nie pomógł, ale może urzędnik coś wie. Powinien mieć moją biografię. Tam na pewno będzie napisane, dlaczego zmarłam.

Beleth znieruchomiał. Przestał mrugać, jego klatka piersiowa już się nie poruszała. Nawet na

mnie nie spojrział.

– Coś się stało? – zapytałam.

– Nie, nic – odpowiedział pozornie beztruskim tonem i posłał mi spokojny uśmiech. – Po prostu coś mi się przypomniało. Demon na pewno ci pomoże.

– Taa – prychnęłam. – Zwłaszcza że mnie nienawidzi, bo głośno myślałam o tym, jaki jest brzydki...

Poklepał mnie po ramieniu, bez większego uczucia. Zdziwiło mnie to.

– Na pewno ci pomoże. W końcu tym się zajmuje. Ja muszę już iść. – Cmoknął mnie w policzek. – Do zobaczenia. Szybko wyczarował swoje kolorowe drzwi na murze opodal naszej ławki i zniknął. Zachowywał się podejrzanie. Wzruszyłam ramionami. Nie zamierzałam wnikać w jego zmienność nastrojów ani nawet usiłować zrozumieć jego głębokiej i porąbanej psychiki.

Zerknęłam na zegarek. Do północy zostały jakieś cztery godziny.

Musiałam jeszcze poczekać. W końcu nie zamierzałam odwiedzać biura w chwili, gdy za biurkiem będzie siedział urzędnik. Mogłam się założyć, że by mi nie pomógł.

Zamierzałam odwiedzić biuro i archiwum, gdy brzydał pójdzie zjeść, skorzystać z łazienki, straszyć gdzieś dzieci w ciemnym lesie czy robić cokolwiek innego, czym normalnie zajmują się demony.

Miałam tylko trzynaście minut. Przeszłam przez swoje wiśniowe drzwi do małego biura demona z rogami. Na szczęście śliniącego się urzędnika nie było widać. Tak jak powiedział Beleth, poszedł na przerwę.

Zapaliłam górne światło. Nic się tu nie zmieniło. Nadal było tak samo pusto i bezosobowo, a paprotka dokonywała swojego żywota na małej szafce.

No jak skarbówka...

Rozejrzałam się. Hm... Było tu tylko metalowe biurko, dwa krzesła i mała szafka na akta, niemająca nawet metra wysokości. Podeszłam do niej i otworzyłam wszystkie szuflady po kolei.

Jakoś specjalnie mnie nie zdziwiło, że w żadnej niczego nie znalazłam. Cholerne Piekło...

Podparłam się pod boki, patrząc krytycznie na szafkę. Na to musi być jakiś sposób. Przecież to niemożliwe, żeby w jednym miejscu trzymali biografie miliardów istnień ludzkich. Zwyczajnie to by się nigdzie nie zmieściło.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Chcę, żeby znajdowały się w tej szafce akta Wiktorii Biankowskiej! Szarpnęłam za górną szufladę. Ha! Nie ma to jak geniusz!

Rozsiadłam się na krzesło urzędnika ze swoimi dokumentami. Zaczęłam kartkować z ciekawości od początku książkę z moją biografią.

To było osobliwe doświadczenie czytać swoje życie widziane oczami kogoś innego. Mnie nigdy nie wydawało się złe, że w podstawówce kopnęłam kolegę za zagładanie mi pod sukienkę. Ani nie nazwałabym swoich odczuć wobec Piotrusia „młodzieńczym zauroczeniem bez przyszłości”. Urocze... doprawdy...

„Pierwsze wypowiedziane słowo: daj!!!” A Marek mi zawsze wmawiał, że pierwsze, co

powiedziałam, to „Małek”. A to zadufany w sobie, paskudny...

Moje narzekanie przerwało pojawienie się na ścianie naprzeciwko mnie konturu drzwi, który stawał się coraz bardziej rzeczywisty.

O cholera jasna!!! Zerwałam się z krzesła, wrzuciłam dokumenty do szafki i zatrzasnęłam szufladę. Klamka ogromnych czarnych wrót już się opuszczała. Nie miałam się gdzie schować, nie miałam czasu na wyczarowanie drzwi.

Szlag by to trafił!!! Co on tak wcześniej kończy tę przerwę?! Kurde, znalazł się pracuś, co wyrabia trzysta procent normy!

„Chcę być niewidzialna dla tych, którzy tu wejdą! Niech nie zauważą mojej obecności!” – pomyślałam szybko, przytulając się do ściany. Moje ręce zrobiły się kredowobiałe. Zdałam sobie sprawę, że przybrałam barwę ściany.

Czarne wrota otworzyły się po cichu. Do małego pokoju weszli... Azazel i Beleth. Obserwowałam ich skonsternowana. Co oni tu robią?!

– Szybko, zaraz ten kretyn wróci. Nawet nie zgasił światła. W ogóle nie dba o Piekło – szepnęła Azazel i podszedł do szafki na akta.

Diabeł bardzo się starał, by nie dotknąć niczego dłońmi. Krzesło demona pchnął biodrem, by zrobić więcej miejsca.

– Źle robimy – mruknął Beleth. Poczulałam, jak jego spojrzenie prześlizguje się po moim ciele, gdy nieufnie rozglądał się po kątach.

– Nie gładź – warknął na niego Azazel, niezgrabnie wyszarpując z szuflady dłonią zawiniętą w rękaw marynarki teczkę z moimi aktami.

Jednak także potoczył spojrzeniem po całym pomieszczeniu. Miałam wrażenie, że zatrzymał się na dłuższą chwilę na mnie. Zupełnie jakby patrzył mi prosto w oczy. Uśmiechnął się, ale zaraz zerknął w drugą stronę. Przecież nie mógł mnie zobaczyć.

– Nikogo nie ma – powiedział wesołym głosem. Beleth spojrzał na niego zaskoczony.

– Co tak nagle poweselałeś? – zapytał.

Azazel odchrząknął zakłopotany. Znowu miałam wrażenie, że na mnie spojrzał. A to przecież niemożliwe. Powiedziałam, że chcę być niewidzialna. Nie mógł mnie widzieć.

Przesunęłam się bliżej niego, nadal nie odrywając się od ściany. Na mojej piersi pojawił się zarys tandetnej akwareli, która wisiała za moimi plecami.

– Mam – powiedział Azazel, rzucając na biurko biografię i dokumenty przyjęcia. – Że też musiała zacząć węszyć. To wszystko przez Śmierć i jej długi jęzor. Jest. Zgon o 1.43. Dźgnięcie nożem.

Beleth stał metr od niego, zupełnie jakby nie chciał przykładać do tego ręki.

– Beleth! Weź się w garść! – krzyknął na niego Azazel. – Nie mamy czasu. Musimy to zmienić. Wiesz, jak nam się oberwie, jak wyjdzie na jaw, że to nie było zaplanowane?

– Mówiłem, że nie należy tego robić – stwierdził Beleth, podchodząc bliżej.

– Daruj sobie to kazanie. Obaj to zaplanowaliśmy. Potrzebowałem cię. Wiesz, że demon by mi w tym nie pomógł. Nie lubi mnie.

– Bo ciebie nikt nie lubi... – odparł kwaśno Beleth.

– Poza tobą.

– Ja miałem dług.

– Jasne – zachnął się Azazel. – Tak sobie to tłumacz. Przecież od setek tysięcy lat chronimy sobie nawzajem tyłki. Nie narzekaj. Dobrze jest. Miała być dobra zabawa. Ty chciałeś mieć diabolicę, a ja chciałem chaosu.

– I zniszczenia ludzkości? – mruknął ironicznie mój piękny diabeł.

Azazel zatrzymał się w połowie ruchu.

– A to nawet nie taki zły pomysł. – Wyszczrzył do niego zęby w drapieżnym uśmiechu. – Ale ta Wiki jest za prawa i za cnotliwa.

Ze złości aż odeszłam od ściany. W powietrzu musiało coś zamigotać, bo Beleth czujnie podniósł głowę i spojrzał wprost na mnie. Zamarłam. Uznał, że nic nie ma, bo wrócił spojrzeniem do dokumentów.

– Jesteś pewien, że tam trzeba coś zmieniać? – zapytał nieufnie Beleth, patrząc, jak Azazel dłonią kasuje spore fragmenty i zmienia je na nowe.

– Oczywiście.

– Ale nie powiedziałaś mi, że ona ma Iskłę Bożą! – Beleth wskazał palcem na jakąś linijkę, której podstępny diabeł jeszcze nie wykasował. – Dobrze wiesz, że wtedy nie pozwoliłbym ci jej zabić! Wiedziałaś o tym?!

Iskra Boża? O czym on mówi? Znowu spróbowałam podejść. Tym razem wolniej, żeby nie spowodować zawirowań powietrza.

– A ty dobrze wiesz, że bez Iskry mogłaby nie stać się diabolicą. Tak, miałem stuprocentową pewność. Poza tym dowiedziałem się o tym już, jak umierała. Było za późno, żeby to odkręcić.

– Azazel wyrwał mu dokumenty i machnął nad nimi dłonią.

– Nie sprawdziłeś tego wcześniej, kretynie? Zgubisz nas – grobowym głosem powiedział Beleth. – Ona raz...

– Co? – Azazel nadal machał dłonią nad biografią, kasując jej fragmenty.

– Wiki... Kiedy była na mnie zła, za próbę zabicia jej ziemskiej miłości... ona... ona prawie użyła Iskry. Azazel odwrócił się do niego gwałtownie. Jego dłoń zamarła nad kartkami.

Przypomniałam sobie, jak Beleth przerwał wtedy naszą kłótnię, twierdząc, że coś jest nie tak z moimi oczami.

– Żartujesz? – Uśmiechnął się zadowolony.

– Z czego rżysz? – warknął na niego Beleth. – Mogłem zginąć! Będziemy zgubieni!

– My już jesteśmy zgubieni i przeklęci, o ile nie zauważyłeś. Jesteśmy poddanymi Piekła. – Azazel zaśmiał się złośliwie.

– Więc bądź dobrym kumplem i złóż tu swoją pieczęć, zanim wróci skretyniały demon. Zostało nam mało czasu. Beleth także machnął dłonią nad dokumentami, które zaświeciły.

– Teraz wszystko jest dobrze – stwierdził Azazel. – Jest motyw, wcześniejsza obsesja, jej beztroska, a także palec przeznaczenia.

– Nie powinniśmy tego robić. – Beleth, kręcąc głową, cofnął się kilka kroków.

Azazel zmełł w ustach przekleństwo, wrzucając byle jak moje dokumenty do szafki na akta.

– Czyś ty zwariował?! – Potrząsnął nim. – Masz wyrzuty sumienia?! Obaj tego chcieliśmy. Już po wszystkim! Lucyfer nie może się o tym dowiedzieć. Wiesz, co by się wtedy ze mną stało, bracie. Nie zobaczyłbym Ziemi przez kolejne dziesięć tysięcy lat, a ty także szybko byś nie wyszedł z za biurka. Ciesz się tym, co masz.

– Ale... – zaczął Beleth.

Zły Azazel uderzył go w twarz.

– Ty kretynie – wycedził. – Aż tak ci na niej zależy? To kobieta! Proch i pył!

– Nigdy nim nie była, a ty to przede mną ukryłeś. Ona ma Iskrę!!! To nie jest proch i pył!

– Przecież ci mówię, że nawet tego nie zauważyłem. W sumie to nawet dobrze. To dlatego tak łatwo przyjęła moc. Powinieneś się cieszyć, że nie cierpiała przy tym. Normalny człowiek chorowałby przez tydzień. – Beztrąsco wzruszył ramionami i wsadził klucz w ścianę. – A teraz będziesz trzymał głowę na kłódkę. Inaczej wszystko się źle skończy, i to nie tylko dla nas dwóch. Chcesz ją chronić, to milcz.

Beleth milczał. Był wściekły. Powietrze falowało i iskrzyło dookoła niego drobnymi wyładowaniami elektrycznymi.

– Ale w sumie to z ciebie pierdoła... – stwierdził złośliwie Azazel. – Miałeś ją kontrolować, a nawet jej uwieść nie potrafisz. Miłość przysłania ci oczęta? Co z ciebie za diabeł?!

– Nie gorszy od ciebie – odparł Beleth. – Ja bym zauważył, że zabijam kogoś, kto może mnie zniszczyć.

– Oj tam... drobne niedopatrzenie – rzekł lekko.

Azazel, przechodząc obok włącznika światła, nacisnął go. W pokoju zrobiło się ciemno.

– Nawet nie zgasił światła, jak wychodził – zaczął gderać pod nosem. – W ogóle nie dba o Piekło. Gdybym to ja był tutaj Szatanem...

Dyskutując, przeszli szybko przez drzwi, które zaraz zniknęły. Odsunęłam się od ściany i stałam się na powrót widzialna.

Też musiałam uciekać, demon zaraz wróci.

No proszę, proszę... czyżby w mojej przypadkowej śmierci nie było jednak aż tyle przypadku, ile wszyscy mi wmawiali...? Poza tym wiedziałam już, który brunet był przy mojej agonii, który ją spowodował.

Azazel...

27

Następnego dnia z filmowym uśmiechem na ustach sześć razy (jak przepisy to przepisy...) zastukałam do drzwi pokoju numer 6. Odpowiedziało mi burknięcie, które przy dużej dawce dobrej woli – a na szczęście ją posiadam – można było uznać za „proszę”.

– Dzień dobry! – zawołałam wesoło od progu. Demon zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– To ty... – Z rozmachem przystawił czerwoną pieczętkę do dokumentu przed sobą.

– Tak, to ja. – Nadal uśmiechałam się jak na reklamie pasty do zębów. – Pomyślałam, że może wpadnę w odwiedzin.

Dłoń demona zamarła z pieczątką nad dokumentem. Spojrzał na mnie spod oka. Odłożył pieczętkę i splótł palce. Ślina skapywała mu z długich kłów, oderwałam od nich spojrzenie. Niestety grube baranie rogi, wyrastające mu z za uszu, znów przyciągnęły mój wzrok. Skupiłam się z całych sił, żeby patrzeć prosto w czerwone ślepia.

– Doprawdy...? – mruknął.

Dobra, może przegięłam odrobinę z tą chęcią pokazania, jaka jestem miła...

– Nooo, a tak szczerze to chciałabym się dowiedzieć, dlaczego umarłam. – Rozsiadłam się na niewygodnym krześle naprzeciwko niego.

Tym razem pilnowałam się, żeby się nie wiercić. Nie lubił tego.

W sumie nie wiedziałam, co osiągnę, zjawiając się tutaj. Dane w dokumentach i tak nie były już prawdziwe. Azazel i Beleth zadbali o to tej nocy. Jednak chciałam zobaczyć, jaką wersję ustalili.

– Po co?

Pytanie demona sprowadziło mnie na ziemię.

– Jak to po co? Nie wiem, czemu umarłam. Nie ma w tym żadnego sensu. Morderca pojawił się znikąd – paplałam, gestykulując gwałtownie.

– Wy, ludzie, za dużo myślicie o przeszłości. – Podeszedł do szafki na akta. – Nazwisko!

– Wiktoria Biankowska – grzecznie odpowiedziałam. Wyszarpnął moją teczkę i usiadł naprzeciwko mnie. Wyciągnęłam rękę, jednak demon demonstracyjnie odsunął ode mnie teczkę.

– Nie ma wglądu do własnych dokumentów!

Cofnęłam dłoń i cierpliwie czekałam, aż demon doczyta się, czemu umarłam.

– Tylko proszę ich nie opluć... – wymruczałam.

– Słucham? – demon zerknął na mnie.

Nie rozumiał, co powiedziałam, zaczytał się w moim życiu.

– Nic, nic – odpowiedziałam szybko. – Proszę przeczytać dokładnie. Nie chcę przegapić żadnego fragmentu.

Kiwnął głową i wrócił do lektury.

Strużka śliny opuszczała się coraz niżej. Jeszcze chwila i dotknie kartek. Mimowolnie się skrzywiłam. Co za ohyda! Nagle demon otarł ślinę rękawem garnituru w szarą jodełkę. Odetchnęłam z ulgą.

– Ooo! – wykrzyknął.

– Co?! – też krzyknęłam.

– Nic... – Wrócił do lektury. Ręce mi opadły.

– Nie możesz tak się emocjonować, a potem mówić „nic”.

Demon spojrzał na mnie krzywo, a następnie odezwał się niechętnie:

– Po prostu tu jest napisane, że masz Iskrę Bożą. Postarałam się zdziwić teatralnie.

– A co to znaczy? – zapytałam.

– To znaczy, że nie powinni byli dawać ci mocy diabolicznej. Jak zarząd się o tym dowie, to ktoś za to porządnie beknie.

– Ale co to jest ta Iskra?

– Nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji. Powinnaś zgłosić się do „Działu Zażaleń i Roszczeń”, pokój – Cztery – kolejna znacząca cyfra. Tym razem tak zwana Liczba Demona. Czy oni nie używają w Piekło normalnej numeracji?

Mruknęłam coś niewyraźnie w odpowiedzi. Durna biurokracja. Zamierzam wybrać się do tego pokoju numer 4!

Demon zamknął dość ciekawie w porównaniu z innymi biografiami. Ja nie miałam szczęścia tak jak inni przeżyć jeszcze kilkudziesięciu lat, które można by opisać. Nagle poczułam się oszukana. Nawet nie nagrzeżyłam jeszcze porządnie, a już trafiłam do Piekła. Skandal!

– Tu jest napisane, że twój morderca, Kamil Starogardzki, miał na twoim punkcie obsesję. Chodził za tobą od kilku miesięcy. Obserwował. Czaił się. Tej nieszczęśliwej nocy poszłaś do Stodoły z przyjaciółmi. Było ci smutno, bo jakiś Piotr nie chciał iść z wami. Kiedy okazało się, że ten Piotr już na pewno nie przyjdzie, wyszłaś sama ze Stodoły. Ten właśnie moment wykorzystał morderca. Zagonił cię w stronę parku, gdzie cię zabił. – Demon uśmiechnął się zadowolony. – I jak? Szczęśliwa?

Tym razem to ja spojrzałam na niego spod oka.

– To nie było tak – powiedziałam. – Piotrek nie mógł pójść z nami, bo dwa dni wcześniej pojechał do rodziny do Malborka, więc wcale na niego nie czekałam. Skoro nie czekałam, to nie mogłam siedzieć rozżalona, że nagle nie przyszedł, bo wiedziałam, że nie przyjdzie. Coś jest nie tak.

– Ale jest źle napisane – powtórzyłam.

– Niemożliwe. – Demon wpatrywał się w tekst z nadzieją, że sam się poprawi.

Czekałam, aż jakoś zareaguje: spróbuje to wyjaśnić albo naprawić, może kogoś zawoła.

Zamiast tego zamknął książeczkę.

- No cóż... widocznie to jakiś kazus – powiedział, pakując moje dokumenty do szafki.
- Zaraz, zaraz! – zaprotestowałam. – To co teraz?
- A co ma być? – Trzasnął szufladą.
- Nikt tego nie wyjaśni? – A po co?
- No bo coś jest nie tak...

Demon jeszcze raz wzruszył ramionami i wrócił do służbowego tonu:

– To nie jest moje zadanie. Jeśli ma pani jakieś wątpliwości, proszę zgłosić się do Działu zażaleń i roszczeń, pokój 4, bądź bezpośrednio umówić się na widzenie u Lucyfera. O wolne terminy można się dowiadywać w pokoju 6666, tam rezyduje sekretarka Szatana.

Westchnęłam znużona. Pięknie, po prostu pięknie...

– Co wy macie do tych szóstek? Nie znudzi wam się to? – powiedziałam ze złością. – Inne liczby też są ładne. Demon zacmokał pretensjonalnie, przez co naślinił na biurko. Do mnie na szczęście krople śliny nie doleciały.

– Sześć to cyfra szczęśliwa i doskonała. To liczba atomowa węgla, który jest budulcem wszystkiego co ziemskie, tyle jest też atomów węgla w glukozie, podstawowym pokarmie na Ziemi. Szóstka jest wszędzie. Na głębokości sześciu stóp grzebie się zmarłych, tyle strun ma gitara, szóstym znakiem zodiaku jest Panna, w buddyzmie to liczba paramit, niezbędnych do osiągnięcia niezwykłego stanu, jakim jest nirwana, tylu jest zawodników w drużynie siatkówki, tyle ramion ma Gwiazda Dawida, w tyle dni Bóg stworzył ziemię, a szóstego, jak wiesz, powstał Adam i Ewa. Na ziemi żyje teraz około 6,6 miliarda ludzi, a od stworzenia człowieka było ich około sześćdziesięciu miliardów. To naprawdę niesamowita cyfra. Z kolei liczba 666 to Liczba Bestii. Darzymy szóstki wielką miłością – zakończył swój długi wywód. Trudno nie zauważyć... Biurko znaczyła coraz większa ilość kropel śliny. Wolałam już nie pytać go, co oznacza czwórka. Jeszcze by mnie ubrudził w tym zachwycie.

Westchnęłam ciężko. Chcę się dowiedzieć, co to ta Iskra i czemu Beleth tak histeryzował, że mogłam go zabić! Diabła nie można przecież zabić. To istoty wieczne. Już zaczynam się w tym wszystkim gubić.

- Jeszcze czegoś... pani... oczekuje? – prychnął demon. – Mam dużo pracy!
- Nie, niczego.
- Drzwi są za panią – uprzejmie mi podpowiedział. Służbista...
- Wiem. – Wstałam.

– Do widzenia, życzę miłego dnia – urzędnik wypowiedział tę formułkę takim tonem, jakby właśnie życzył mi rychłej śmierci.

Już miałam wyjść, ale zatrzymałam się w drzwiach.

- Wiesz co? – warknęłam. Zmrużył oczy.
- Wasze krzesła są niewygodne! – krzyknęłam i trzasnęłam za sobą drzwiami.

No! Od razu mi lepiej!

Myślałam, że tak jak poprzednio, gdy tylko wyjdę, to naprzeciwno mnie pojawią się drzwi z numerem 4, jednak tak się nie stało. Naprzeciwno mnie była tylko biała ściana.

Przesunęłam po niej dłonią i dla pewności zastukałam. Bez dwóch zdań prawdziwa ściana. Brak głuchego pogłosu, nie była nawet z pustaków. Lity mur.

Spojrzałam w obie strony długiego korytarza. Na jednym jego krańcu zobaczyłam tłoczące się postacie. Ruszyłam w tamtym kierunku.

Były dalej, niż myślałam. Szłam i szłam otoczona białymi ścianami. Miałam wrażenie, że zbliżały się do siebie. Wyciągnęłam ramiona na boki. Stojąc na środku, ledwo dotykałam opuszkami palców ścian.

Kilkanaście metrów dalej mogłam już oprzeć całe dłonie. Po plecach przeszedł mi dreszcz paniki. Chociaż miałam stracha, po kolejnych dwudziestu metrach znowu wyciągnęłam ręce. Nie mogłam ich wyprostować, korytarz zrobił się tak klaustrofobicznie wąski.

Zatrzymałam się i wzięłam głęboki oddech. To złudzenie! Tak samo jak ocena odległości. To ma mnie tylko zniechęcić do zawracania głowy urzędnikom. To nie jest prawda.

Jeszcze raz wyciągnęłam ręce. Nie sięgałam nimi do ścian.

I o to chodzi!

Stojące w korytarzu postacie także przestały się już ode mnie oddalać. Podeszłam do nich. Ludzie, demony i dość dziwnie wyglądające potwory stały w dość chaotycznej kolejce, której początku nie było widać.

– Hm... – mruknęłam do demona stojącego na końcu kolejki. – A państwo czekają do...

– Pokój 4 – warknął, plując aż na przeciwną ścianę. Spojrzałam na moją białą spódnicę, po której spływały smużki żółtej substancji. Jak spotkam Lucyfera, to, na miłość boską, wymuszę na nim dla nich odpowiednią opiekę stomatologiczną! !! Pstryknęłam palcami, usuwając plamy.

Demon wpatrywał się we mnie z nabożną czcią.

– Długo się czeka? – zapytałam, usiłując dojrzeć przód kolejki.

– Jesteś diabolicą – szepnął tylko.

– Ile się czeka?! – powtórzyłam ze złością.

– Ja stoję już dwa miesiące – powiedział skruszony. Spojrzałam na niego. Czerwona skóra pokryta brodawkami i baranie, zakręcone rogi wystające znad uszu. Na odmianę żółte ślepie były wbite we mnie z podziwem.

– Ile??? – jęknęłam. – Nie mogę tyle czekać!

Ogromna kolejka skojarzyła mi się z ogonkami przed sklepami za czasów komuny. Bogu dzięki znałam te czasy tylko z obrazków i opowieści starszych. No tak... ustrój tu panujący nawet trochę przypomina komunę z tym ich: „bądźmy dla innych”, „po co nam pieniądze?” Paranoja...

– Jesteś diabolicą – stwierdził demon.

– Bystrzak z ciebie – odparłam, zastanawiając się gorączkowo, jak obejść kolejkę.

– To znaczy, że nie musisz czekać – powiedział, znowu siekąc śliną po mojej spódnicy, jednak tym razem mu to wybaczyłam. – Masz pierwszeństwo.

– Serio?

– Tak.

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się do niego.

Usunęłam plamy i zaczęłam się przepychać wąskim korytarzem.

– Z drogi! – krzyknęłam władcym głosem. – Diablica idzie!

Rozstępowali się przede mną, patrząc przestraszonym wzrokiem. Hm... czyżby diablice miały tak złą reputację w Piekło?

Ciekawe, kto za to odpowiadał? Pomyślałam o Kleopatrze. No tak... głupie pytanie.

Poczekalam, aż z pokoju numer 4 wyjdzie petent, i weszłam.

– Dzień dobry – powiedziałam do demona bliźniaczko podobnego do tego z pokoju numer 6. – Ja w sprawie źle spisanej biografii. Poza tym chcę się dowiedzieć, co oznacza pojęcie Iskra Boża.

– Dzień dobry. – Demon założył ręce. – A czy ma pani czerwone podanie?

– Jakże znowu czerwone podanie? – Nawet nie zdążyłam usiąść.

– Proszę iść do pokoju 44 po czerwone podanie, a następnie przyjść do mnie. Dopiero wtedy będziemy mogli zająć się pani biografiami i wyjaśnić kwestię Iskry.

Nawet nie wiedziałam, co mam mu odpowiedzieć. Po prostu wyszłam. Pokój 44 był niedaleko. Przed nim też tłoczyło się kilka osób, ale ominęłam zręcznie kolejkę. No proszę, nie tak nie otwiera drzwi jak koneksje.

– Ja po czerwone podanie – powiedziałam, przestępując próg.

– A pani zielone podanie? – zapytał demon w czarnym, żałobnym garniturze. – Bez tego nie mogę wydać czerwonego.

– A skąd...?

– Z pokoju 444.

– No bez jaj... – jęknęłam. – Nie może mi pan dać tego czerwonego po prostu? Jestem diablicą.

Jednak moje stanowisko nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia, nadal patrzył na mnie pustym wzrokiem.

– Zielone podanie, pokój 444 – powtórzył. To samo powtórzyło się w pokoju 444:

– A ma pani żółte podanie? Bez niego nie może pani otrzymać zielonego. Proszę iść do pokoju 4444.

– Poproszę białe podanie. Jak to pani nie ma? Nie mogę więc dać pani żółtego. Proszę iść do pokoju 44444.

– Aby otrzymać białe podanie, musi pani dostarczyć nam fioletowe. Pokój 444444.

– Przyszła pani bez różowego podania? To jak ja mam dać pani podanie fioletowe? Przykro mi, ale taki jest protokół, musimy się go trzymać. Różowe podanie otrzyma pani w pokoju 4444444.

Prośba o podanie w kolorze ecru w którymś z kolejnych pokoi, gdy skończyły się już normalne kolory, wyczerpała moją cierpliwość. Do diabła, ja nawet niezupełnie wiem, co to za kolor! Czy to odcień kremowego, alabastrowego, beżowego, perłowego, różowego, złamanej bieli, czy jeszcze jakiejś kości słoniowej?! Miałam tego wszystkiego serdecznie dość!

Wściekła wróciłam do pokoju numer 4.

– A możemy pominąć tę cholerną wyklejankę i powiesz mi wreszcie, co z tą Iskrą?! – warknęłam, opierając obie ręce na biurku i pochylając się nad demonem.

– Jeżeli chciałaby pani poskarżyć się w sprawie działania naszej jednostki, proszę złożyć

akwamarynowe podanie w sekretariacie Szatana. Pokój 6666.

Wyrwałam mu zielono-niebieską kartkę i wychodząc, trzasnęłam z furią drzwiami. Od razu powinnam była iść prosto do Lucyfera. Po co w ogóle zawracałam sobie głowę tą biurokracją?

Przed drzwiami pokoju 6666 nikt nie czekał. Weszłam do środka, gdy cichy głos pozwolił mi wejść.

Za biurkiem, w długiej sukni do ziemi, z głębokim dekoltem na płaskiej piersi siedział Belfegor. Przypomniałam sobie diabła transwestytę z mojej pierwszej wizyty Pod Głową Anubisa. A więc to on był sekretarką Lucyfera?

– Belfegor! – krzyknęłam jego imię ucieszona, że wreszcie widzę jakąś znajomą twarz, a nie rząd tak samo ciemnych pysków demonów.

– Ach, Wiktoria! – Wstał i pocałował mnie w oba policzki. – Nasza mała diablica! – gruchał dalej. – Co tam u ciebie słyhać, maleńka? Jak sobie radzisz?

Usiadłam na miękkim fotelu naprzeciwko niego. Aż się zdziwiłam. Pierwsze wygodne siedzenie w tym piekielnym Urzędzie!

Belfegor stworzył mały, pękaty dzbanuszek i dwie pasujące do niego filiżanki. Biała porcelana, ręcznie malowana w różo we kwiatki, wesoło błyskała w świetle jarzeniówek. Nalał aromatycznej herbaty i podał mi łyżeczkę.

– Najlepiej smakuje zamieszana sześć razy – poradził. Łamiąc konwenanse, zaczęłam w niej gwałtownie mieszać, znacznie przechodząc limit sześciu obrotów.

Opowiedziałam mu szybko o moich ostatnich zleceniach, a także o kłopotach z biografią i jakąś tajemniczą Iskrą Bożą, którą jakoby posiadam.

Gdy tylko powiedziałam o Iskrze, dłoń, którą delikatnie mieszał herbatę w filigranowej filiżance, zadrżała. Tak mocno stuknęła łyżeczką w krawędź, że chybottliwe naczynie przewróciło się. Herbata popłynęła po dokumentach. Jednak Belfegor nie rzucił się wcale, by to wycierać.

– Iskra? – powiedział cicho.

Machnęłam dłonią, osuszając papiery. Czerwony tusz, którym były wypełnione, już zaczął się rozplýwać.

– Aha – przytaknęłam. – Możesz powiedzieć mi o niej coś więcej? Diabeł zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie wolno mi mówić o takich rzeczach. Nie jestem upoważniony. Musisz porozmawiać z Lucyferem... Zerknęłam na drugą stronę pomieszczenia, gdzie nie było kolejnych drzwi, za to znajdowała się winda.

– No dobrze – odparłam. – To zaanonsujesz mnie jakoś?

– Skarbie. – Belfegor uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd wypowiedziałam słowo Iskra. – Szatan ma napięty grafik, w końcu piastuje bardzo ważne stanowisko. Nie może przyjąć cię tak od razu. Muszę zobaczyć, kiedy będzie miał wolny czas.

Westchnęłam ciężko. W sumie czego ja oczekiwałam? Że szef wszystkich szefów przyjmie mnie ot, tak sobie? Naiwniaczka ze mnie...

– Lucyfer ma czas... Hm... najbliższy wolny termin jest... – Belfegor zawiesił głos. – O szóstej sześć rano, szóstego czerwca...

– Co? – jęknęłam zawiedziona.

Zaraz, teraz był kwiecień. Skoro on miał czas w czerwcu, to musiałam czekać dwa miesiące. Zagryzłam wargę. Dwa miesiące to nie tak dużo.

– Mam czekać dwa miesiące? Nie dasz rady wcisnąć mnie wcześniej?

– Skarbie, ale nie dałaś mi dokończyć. Mogę zapisać cię najwcześniej na szóstą sześć rano, szóstego czerwca, ale dwa tysiące szesnastego roku.

Nawet nie miałam siły, żeby oburzyć się odpowiednio głośno. Po prostu oparłam czoło na biurku sekretarki Szatana. Ma czas, żeby się ze mną spotkać za sześć lat...

– Może mnie ktoś dobić? – jęknęłam.

– Skarbie, przecież ty już nie żyjesz – zauważył Belfegor, pocieszająco głaszcząc mnie po włosach.

28

Wolnym krokiem szłam korytarzem na uczelni. Tematem dnia wśród studentów było nagłe odzyskanie głosu przez tajemniczego mężczyznę z parku. Podobno twierdził, że sam Szatan go nachodzi. Sądzę, że wygłaszanie takich tekstów nie przyspieszy jego wyjścia ze szpitala psychiatrycznego. Mimo wszystko poczułam się mile polechtana, że uważa mnie za tak złą i straszną.

Boże... zamieniam się w Azazela! Stanowczo spędzałam za dużo czasu w jego towarzystwie! Tak się zamyśliłam, że minęłam Piotrusia siedzącego na ławce.

– Hej, Wiki – powiedział, gdy przechodziłam obok z nieobecny wyrazem twarzy. – Hm... Wiki? Wiki?

Zaskoczona przystanąłam i, wyrwana z transu, odwróciłam się w jego stronę.

– Och, cześć. – Podeszłam i pocałowałam go w policzek na powitanie.

Zrobił zdziwioną minę.

Dlaczego on się dziwi? Przecież przedwczoraj się całowaliśmy. Jego dłonie wtedy jak gdyby nigdy nic wędrowały mi pod kurtką. Powinien teraz uśmiechnąć się ciepło na mój widok, delikatnie nawiązać do tamtego wieczoru i najlepiej jeszcze raz pocałować.

Jeeeeeeezu!!! Jęknęłam w duchu, siadając na ławce obok niego. A może on był tak pijany, że nic nie pamięta z tamtej nocy?! Nie, no to już by była gruba przesada. Czyżby przeznaczenie mnie aż tak nienawidziło?!

– Czy... – zagaiłam, ale urwałam. Przyjrzał mi się uważnie. – Bo... – znowu urwałam, nie wiedząc, jakich słów użyć, żeby nie wyjść na kretynkę. Sama zaśmiałam się z własnej głupoty.

– Chcesz mi o czymś powiedzieć? – zapytał, wyjmując z torby drugie śniadanie.

Patrzyłam, jak wgryza się w kanapkę. Siedział spokojny, odprężony, może nawet rozbawiony. Na jego ustach błąkał się ten często irytujący, lekko pobłażliwy uśmiech.

– Chciałam powiedzieć, że... – W tym momencie zaczął dzwonić mój telefon komórkowy.

Cholera jasna!!!

Wyszarpnęłam z kieszeni srebrne pudełko wielkości puderniczki z mocnym postanowieniem utopienia go w pierwszej napotkanej toalecie.

Na wyświetlaczu nie było numeru dzwoniącego, tylko świecący na czerwono napis: TO JA KLEOPATRA. MUSZĘ POWIEDZIEĆ CI COŚ WAŻNEGO!!! SPRAWA ŻYCIA LUB ŚMIERCI!

Jak ona to robi, ja się pytam?

Piotruś zmarszczył brwi i wciągnął powietrze.

– Czy to zapach siarki? – Spojrzał na mój telefon.

– Nie, nie – odrzekłam szybko. – Może coś się w nim przepala...

Wściekła wepchnęłam telefon do kieszeni i wstałam.

– Słuchaj, muszę iść. To coś bardzo ważnego! – Pochyliłam się i cmoknęłam go w policzek.

– Do zobaczenia.

Gdy biegłam korytarzem, szukając jakiegoś ustronnego miejsca, wydawało mi się, że usłyszałam jego cichy głos:

– Ty zawsze masz coś ważnego...

Musiało mi się wydawać. On by tego nigdy nie powiedział.

Zamknęłam się w największej kabinie w damskiej łazience. Rzuciłam torbę na parapet koło zamalowanego na biało farbą olejną okna. Wsunęłam klucz w ścianę.

Bez pukania wparowałam do Kleopatry. Skoro mnie wzywała, to musiała wiedzieć, że się pojawię, więc nie widziałam sensu w pukaniu.

– Czego? – rzuciłam, przechodząc przez próg. – Tym razem on nie może usiłować go zabić! Obiecał mi, że tego nie zrobi! Kleo wstała ze złotego tronu, ale dramatyczny gest załamania rąk zamarł w połowie ruchu. Chyba wytrąciłam ją z roli swoim przemówieniem.

– A kto mówi o morderstwie? – zapytała zaskoczona. Usiadłam, wzdychając, na schodach obok jej tronu.

– O ile się nie mylę, to określenie „sprawa życia lub śmierci” właśnie tego dotyczy – powiedziałam.

Czyżby przerwała mi tak po prostu? A już prawie zapytałam Piotrka o poprzedni wieczór! Już prawie się odważyłam!

Kurde, już prawie udało mi się wydusić z siebie to pytanie!!!

Tak, zdaję sobie sprawę z tego, że „prawie robi wielką różnicę”... ale nic nie poradzę na to, że nie jestem osobą wylewną ani odważną. Przy Piotrku zaś... przy nim po prostu zawsze zachowywałam się jak idiotka.

Kleopatra usiadła obok mnie.

– Co się stało? – zapytała.

– Ty mnie o to pytasz? – zawołałam.

– Słuchaj, nikt nikogo nie chce zabić – Wzięła mnie za rękę. – Powiedz mi najpierw, co się stało. Widzę, że jesteś zła. I smutna...

Spojrzałam Kleo prosto w oczy. Nie byłam pewna, czy mam ochotę jej o czymkolwiek mówić. Wczoraj zadzwoniłam do Zuzy. Chyba przez dwie godziny piszczaliśmy z radości, że mnie pocałował, że wrreeeeszcie coś się dzieje. A tu się nagle okazuje, że chyba nic się jednak nie dzieje...

– Całowałam się z Piotrkim – powiedziałam. Oczywiście Kleopatry zamieniły się w spodki.

– Ooo... – ściągnęła brwi, ale zaraz się rozpogodziła. – Czekaj. Nie podobało ci się? Tak? Było okropnie? A Piotrek to palant?

Spojrzałam na nią krzywo. I z czego ona się cieszyła? – To aż przerażające, że tak ci zależy, żebym była z Belethem!

Nie mogłam usiedzieć w miejscu. Zaczęłam krążyć po sali tronowej. Od ozdobnej palmy w owalnej donicy, aż do klatki z tresowanym sokołem, który siedział w kapturze na małej główce.

Kilka razy zaczynałam, ale urywałam w połowie słowa. W końcu stanęłam naprzeciwko Kleo.

– To nie tak – powiedziałam. – Strasznie mi się podobało. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bym chciała jeszcze raz to przeżyć.

– W takim razie nic nie rozumiem.

– Po prostu on zachowuje się, jakby nic się nie stało. Jakby nic to dla niego nie znaczyło. Siedzi sobie z tym swoim uśmiechem na twarzy i jeszcze drga zaskoczony, jak go całuję w policzek na powitanie. Zupełnie jakby miał ochotę odskoczyć... – Ściszyłam głos, zanim powiedziałam to, czego obawiałam się najbardziej: – On chyba tego nie pamięta...

To by było najgorsze, bo oznaczałoby, że znowu jestem w punkcie wyjścia. Już wolałabym, żeby był nieczułym dupkiem i po prostu całował kogokolwiek. Wiedziałabym, na czym stoję. A tak? Znowu nic nie wiem.

Klęłam na czym świat stoi własną głupotą i niemoc. Zawsze dużo mówię, nie mam oporów, żeby pytać obcych o drogę czy prosić o pomoc. Potrafię powiedzieć prosto w oczy komuś, kogo nie lubię, że jest skończonym palantem. Jednak gdy mam naprzeciwko siebie Piotrka, zamieniam się w pensjonarkę z tanich powieści.

Kleopatra uniosła idealne brwi w kształcie delikatnych łuków.

– Byliśmy pijani – powiedziałam i przerwałam marsz w stronę palmy.

Zatrzymałam się wpatrzona w doniczkę. Jakie to niepraktyczne. Pewnie jak ją podlewa, to woda wycieka na marmurową posadzkę. Zerknęłam na kamień. Chyba ciężko go domyć.

– Oj, Wiki – królowa westchnęła. – Robisz z igły widły. To w końcu tylko facet. Oho... szykuje się kolejna feministyczna przemowa. Jak ja tego nie lubiłam!

– Słuchaj, ich nie obchodzi z kim, byleby... Tacy sami byli tysiące lat temu.

Ku mojemu zdziwieniu nie powiedziała nic więcej. Zapatrzyła się tylko gdzieś daleko, w swoje wspomnienia. Poza swoją „wielką biografią” nigdy nie mówiła o Cezarze i Marku Antoniuszu. Zdałam sobie sprawę, że żadnego z nich jeszcze nie spotkałam w Piekło, ani że Kleo o nich nigdy nie mówiła, oprócz wspomniania swojego ziemskiego życia.

– Wiesz... Azazel mi powiedział, że Beleth mu powiedział, że ma nowy plan, jak pozbyć się Piotrka z twojego życia – oświadczyła.

A więc jednak o to chodziło.

– Ale Beleth obiecał mi, że go nie skrzywdzi ani nie poprosi o to nikogo innego. Już nie może go zabić, bo złamie dane mi słowo – zaprotestowałam.

Na litość boską, chyba były jakieś konsekwencje złamania słowa? A może nie... Ludzie na co dzień nie mają z tym najmniejszych problemów, to dlaczego diabły miałyby mieć...?

– Tak jak mówiłam, nikt nie zamierza go zabijać. – Kleopatra westchnęła ciężko nad moją tępotą umysłową.

– To co chce mu zrobić? – krzyknęłam.

– Wymyślił trzy rozwiązania. Pierwsze to zorganizować mu jakąś piękną, rezolutną, wesołą dziewczynę. On się w niej zakocha i nie będzie się mógł już zakochać w tobie.

Poczułam przyływ paniki. A może on już ma dziewczynę i dlatego jest taki sztywny?! Nigdy wcześniej nawet nie brałam tego pod uwagę. Może kogoś kocha?!

– Jeśli to nie wypali, to Beleth zorganizuje mu niezwykle drogie stypendium na drugim końcu świata. Ostatecznie, będąc diabolicą, możesz pojechać odwiedzić go, dajmy na to w Japonii. Ale częściej niż raz w roku nie pojedziesz. No i jak mu wytłumaczysz, że zwykła studentka tak często bywa na drugim końcu świata? A raz w roku to za rzadko, żeby pokochać...

Ze złości zazgrzytałam zębami i aż sama się skrzywiłam na ten dźwięk. Niech szlag trafi Beletha! Niech szlag trafi to wszystko!!!

– A jaki ma trzeci plan? – zapytałam zdenerwowana.

– Spowodować wywalenie go z twojej uczelni, żeby został mu tylko powrót do małego, rodzinnego miasteczka – odparła z uśmiechem.

Znowu zaczęłam przemierzać krótki dystans pomiędzy doniczką a klatką. W jakiś sposób mnie to uspokajało.

– Na to Piotrek jest za mądry – stwierdziłam. – Nie wyrzucą go.

– Wyniki egzaminów łatwo sfalszować.

Ta sytuacja ją bawiła. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, kiedy opowiadała mi o niecnym planach pięknego diabła. Dziewczyna. Piękna dziewczyna. Rezolutna dziewczyna. Wesoła dziewczyna. Może ona już gdzieś tam jest? Szlag... to by wyjaśniało, dlaczego on nie zwraca na mnie uwagi.

Zrezygnowana usiadłam znowu obok Kleopatry. Nie miałam siły chodzić. Nie miałam siły nawet oddychać.

– Czy on już zaczął... realizować swój plan? – zapytałam. – Nie wiem. A co? Już ci przechodzi? – Kleopatra wręcz promieniała.

Ubodło mnie to, przyznaję. Przyzwyczaiałam się, że raczej zdobywam to, czego chcę. A teraz mi nie wychodziło. Nie wychodziło na całej linii.

– Piękna, rezolutna, wesoła – powtórzyłam jak mantrę. – A ja to niby co?

Kleopatra przygryzła wargę, żeby się nie odezwać. Jednak w końcu nie wytrzymała. Poklepała mnie pocieszająco po ramieniu i powiedziała:

– Wiesz, Wiki... nie obraż się, ale z ciebie to taka sierota...

29

Pchnięte przeze mnie z całej siły drzwi trzasnęły głośno o ścianę. Fragment misternej mozaiki odłupał się i upadł na podłogę, roztrzaskując się w pył. Nie zwróciłam na to uwagi, przeszłam po ocalałych szczątkach, wgniatając je w marmurową posadzkę.

– Wiki, co za miła niespodzianka. – Beleth poruszył się niespokojnie na krześle.

Naprzeciwko niego, nad partyjką szachów siedział Azazel, właśnie przesunął jedną ze swoich czarnych figur. Skoczka. Także przyglądał mi się z niepokojem.

– To ja może już pójdę – powiedział szybko i wstał.

– Siedź – warknęłam.

Świetlisty kontur za moimi plecami już zaczął blednąć. Za chwilę jedyną pamiątką po moich drzwiach, które otworzyłam z taką furią, będzie zniszczona mozaika.

Azazel posłusznie opadł z powrotem na zdobiony fotel i zapatrzył się na swoje paznokcie. W ogóle nie podnosił wzroku, wyraźnie zafascynowany swoimi palcami.

– Czy wy musicie psuć mi życie?! – krzyknęłam, biorąc się pod boki.

Beleth ponuro łypnął na mnie okiem. Odchrząknął i powiedział:

– Ty nie żyjesz...

Wciągnęłam głęboko powietrze.

– To nic nieznaczący szczegół!!! – ryknęłam. – I nie udawaj kretyna!!! Doskonale wiesz, o co mi chodzi!!!

Wstał i stanął naprzeciwko mnie.

– A czy ja go krzywdzę?! – teraz on wrzeszczał. – Czy ja go morduję?! Czy ja go torturuję?! Nie!!! On będzie nawet szczęśliwszy, jak wreszcie spotka swoją wielką miłość!!! Nie chcesz, żeby był szczęśliwy?

– CHCĘ!!!

– Więc czemu robisz wszystko, żeby nie był?!

– Wcale nie!!! – krzyknęłam, ale się zawahałam.

– Właśnie, że tak! – Beleth dalej uderzał w mój czuły punkt.

– Czy wy już... – Umilkłam.

Beleth zawahał się. Azazel przejął zręcznie pałeczkę.

– Ależ oczywiście – zapewnił mnie, kradnąc jedną z białych figur Beletha, gdy ten nie patrzył. – Jest już szczęśliwie zakochany. Zapewniam cię! To co teraz zrobisz?

Uśmiechał się chytrze.

Poczułam złość, zmarszczyłam czoło. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– To dziewczyna z Gdańska – powiedział usłużnie. – Dostajesz szału, co? Gdybym ja był tak wściekły, zaraz bym sobie wyobraził, że całe miasto eksploduje. Wielka kula ognia od Długiego Targu dymiąca aż do samego Edenu. Co ty na to? Widzisz to?

Beleth syknął na niego, żeby się zamknął.

– A w ogóle, czemu tylko Gdańsk miałby wybuchnąć? – Azazel zapytał sam siebie. – Niech diabli porwą całe Trójmiasto!!! No pomyśl o tym, Wiki. Wyobraź to sobie. Rozpal w sobie furię!

Beleth podszedł do niego i trzasnął go z całej siły pięścią w twarz. Azazel z rozbitym nosem upadł na turecki dywan, zalewając się krwią. Kilka szachowych figur (wszystkie białe) wypadło mu z kieszeni.

– Przestań, kretynie! – warknął na niego Beleth. – Chcesz, żeby zniszczyła miasta?! Zwariowałeś?!

Usiadłam na niskiej kanapie obok ich stołu. Zapadłam się w haftowane we wschodnie ornamenty poduszki. Czułam złość. Byłam wściekła. Ale poza tym... Poczułam, jak po policzku spływa mi łza. Było mi strasznie smutno! Rozpłakałam się. Jestem sama. Już zawsze będę sama. Piotruś mnie nie chce! Nie żyję! Moje życie było takie krótkie! Nigdy nie będę miała normalnej pracy, domu, dzieci. Już nie jestem człowiekiem.

Jednak to wszystko i tak było niczym wobec faktu, że Piotruś mnie NIE CHCE!!! Już nie płakałam. Ja ryczałam, zalewając się potokiem łez.

– Co? Ona płacze? – wybulgotał Azazel przez złamany nos. – Czemu ona płacze? Dlaczego nie jest wściekła? Czemu nic nie niszczy? Gdzie furia?

– Ciesz się, że w nią nie wpadła! – stwierdził Beleth i ukląkł u moich stóp. Płakałam, obcierając łzy rękawem bluzki.

– Maleńka, nie płacz. Przecież wiesz, że to zawsze było bez sensu. – Niezręcznie poklepał mnie po kolanie i podał wyczarowaną przez siebie chustkę.

– Wieceem – wychlipałam.

– I przecież wiesz, że on nigdy nic do ciebie nie czuł...

– Wieceem – jęknęłam jeszcze żałośniej.

– I przecież wiesz, że sama też go nigdy nie kochałaś. To tylko ci się wydawało. Tak naprawdę kochasz mnie. Umilkłam i spojrzałam na niego ostro.

– Tego akurat nie wiem...

– A już myślałam, że się zacięłaś.

Usiłował mnie rozbawić, jednak ja dalej płakałam.

– No już, kochanie, nie płacz. – Wziął mnie za rękę. – Jeszcze nic nie zrobiliśmy. Nie płacz. Musisz zrozumieć, że on nie jest twoją własnością. Nigdy nie będziecie razem.

Wyszarpnęłam ze złością dłoń.

– Właśnie, nie będziemy razem. Nigdy. To przez ciebie! Przez was!

– Co? – zachnął się Beleth i wstał. – Przeze mnie? Skarbie, to aż dziwne, że ciągle trzeba ci o tym przypominać, ale ty nie żyjesz. Rozumiesz? Nie masz ciała!

Podniosłam się. Już nie płakałam.

– To przez ciebie.

– Przeze mnie? – zapytał z niedowierzaniem Beleth. – TY NIE ŻYJESZ! Zrozumże to wreszcie!

Furia powróciła z podwójną mocą.

– NIE ŻYJĘ, BO WY MNIE ZABILIŚCIE!!! WIDZIAŁAM, JAK PODMIENIALIŚCIE DOKUMENTY W POKOJU 6. BYŁAM TAM!!! WIDZIAŁAM WAS!!! ZABILIŚCIE MNIE!!!

Beleth cofnął się szybko. Spojrzał na Azazela siedzącego nad niedokończoną partią szachów. Także tam spojrzałam. Jednak podstępnego diabła już nie było. Na ścianie po naszej lewej właśnie zniknął kontur jego czarnych, olbrzymich wrót.

– Cholerny tchórz – mruknął Beleth.

– Zabiliście mnie – wyszeptalam.

– Słuchaj, uspokój się. – Diabeł cofał się powoli, by znaleźć się dalej ode mnie.

– Dlaczego? Dlaczego ja? Czemu nie zabiliście kogoś innego? – zapytałam.

Diabeł westchnął ciężko i przeczesawszy dłonią czarne włosy, usiadł na kanapie. Już przede mną nie uciekał. Poddał się.

– To nie ja cię wybrałem. To Azazel.

Spojrzałam z nienawiścią na ścianę, z której już dawno zniknęły jego czarne wrota. Już ja mu się dobioreę kiedyś do tyłka!

– Nawet nie wyobrażasz sobie, jak w Piekle jest nudno. Ja już od ponad trzech tysięcy lat siedziałem zdegradowany w przydziałach. Azazel niedawno wyszedł na wolność po dziesięciu tysiącach lat odsiadki. Trochę razem szaleliśmy, a potem wpadliśmy na genialny pomysł, jak rozbić cały system od środka. Żaden z nas nie chciał już nigdy zostać zamknięty, a jednocześnie nadal chcieliśmy dobrze się bawić. Każdemu przecież wolno popełniać błędy.

Nie przerywałam mu. Siedziałam w milczeniu, słuchając jego spowiedzi, chociaż już wyrobiłam sobie własne zdanie na temat ich chęci dobrej zabawy.

– Azazel zawsze chciał rządzić. Ubzdurał sobie, że zasiądzie na tronie Niższej Arkadii. Początkowo się z niego naśmiewałam, ale potem dostrzegłem w tym swoją szansę. Gdyby on był szefem, wreszcie mógłbym robić to, na co mam ochotę. Nie planowaliśmy niczego grubego. Chcieliśmy narobić trochę zamieszania, a winę zrzucić na nieudolne rządy Lucyfera i obserwować z ukrycia, jak wszystko się wali. Ty byłaś potrzebna właśnie do narobienia zamieszania. Potrzebowaliśmy nowej, nieudolnej diablicy, którą moglibyśmy ukształtować według naszej woli. – Uśmiechnął się pod nosem. – Jednak okazało się, że tobą nie można tak łatwo manipulować. Jesteś na to za twarda. No i masz bardzo silne zasady moralne. Rzecz niespotykana w Piekle...

– Wtedy, w Urzędzie, Azazel powiedział, że ty chciałaś diablicy, a on chaosu – zauważyłam.

– I tak było – przytaknął. – To ja wymyśliłem, że moglibyśmy mieć do pomocy młodą diablicę, która będzie miała kilka solidnych wpadek. Nad wszystkimi przyjęciami czuwa Lucyfer. Byle kto nie może zostać diablicą. Podstawiliśmy mu twoje sfałszowane dokumenty, a także sześć różnych orzeczeń sporządzonych przez niezależne od siebie zespoły, które oczywiście były

pod naszą kontrolą. Lucyfer dał się na to nabrać. Podpisał. Potem wystarczyło poczekać, aż narobisz zamieszania.

Skrzywiłam się. Pod tym względem ich nie zawiodłam. W końcu uparłam się, żeby prześladować mojego mordercę.

– Według Azazela nic nie robiłaś, więc zaczął cię podpuszczać na twojego mordercę – jakby czytając w moich myślach, powiedział Beleth. – Manipulował tobą. Czasami mam wrażenie, że manipulował nami wszystkimi.

To było bardzo możliwe. Podstępny diabeł miał do tego świetne predyspozycje. Ja się nawet nie połapałam, że mną manipulował. Chociaż przecież było to oczywiste. Każdy błąd, który popełniłam, był poprzedzony rozmową z nim.

– Ale często to Kleopatra poddawała mi pomysły – wymruczałam.

– Skarbie... oni są kochankami od jakichś trzystu lat. Aha... czyli to dlatego Kleo tak szybko wiedziała, co nowego Beleth powiedział Azazelowi. Co oczywiście było kompletną bzdurą. To wszystko były pomysły Azazela. A ja się o nich dowiadywałam nie dlatego, że było mu mnie żal, tylko po to, żebym narobiła jak najwięcej zamieszania, usiłując powstrzymać Beletha.

– A co ty z tego miałeś? – zapytałam.

– Ja chciałem kogoś mieć. Tylko dla siebie. To tak jak ty chciałaś mieć dla siebie Piotrka. Tak samo ja chciałem mieć ciebie.

Ach, jakież to proste! Cholerne diabły!

– Chyba cię kocham – wyznał.

– Ty kochasz tylko samego siebie – oświeciłam go. – A jeśli chodzi o mnie, to czujesz tylko chęć posiadania. Nic więcej.

Zamyślił się głęboko. W końcu spojrzał mi prosto w oczy zadowolony z siebie, że poznał odpowiedź.

– Może masz rację. – Uśmiechnął się zawadiacko. – Ale to bardzo silna chęć posiadania. Nigdy takiej nie czułem. Wobec nikogo w tej rzeczywistości...

– Zdajesz sobie sprawę, że mnie zabiliście? Zabraliście mi życie?! Najważniejszą rzecz! – przerwałam mu.

Nie chciałam dać mu się zauroczyć. Nie teraz. Najlepiej już nigdy... Chociaż tego akurat nie mogłam sobie obiecać. Beleth umiał okręcić sobie mnie wokół palca.

– Wiem. – Opuścił głowę. – Ale sama powiedz. Czy jest ci źle?

– Tak, jest mi źle. Nie mogę mieć Piotrka, nie będę mogła mieć rodziny. Ja chcę normalności. Takie cuda – zakreśliłam w powietrzu łuk – powinny być po śmierci. Naturalnej. Nie przedwczesnej!

– I kto tu ma silną chęć posiadania? – zapytał zaczepnie. Skarciłam go ostrym spojrzeniem.

– Przepraszam – mruknął. – Jednak musisz przyznać, że jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż początkowo sądziłaś. Kierują nami te same pobudki i uczucia.

Nic mu nie odpowiedziałam.

– Pasujemy do siebie idealnie...

Tym razem już przesadził, skarciłam go wzrokiem i zapytałam:

– Dlaczego ja? Czemu nie ktoś inny? Diabeł spojrzał mi prosto w oczy.

– To Azazel wybierał, nie ja. Diablicą miała być piękna. Nie było innego kryterium. To czysty przypadek. Azazel ma słabość do Polski, tu są jego najwierniejsi wyznawcy, chociaż najsilniejszy odłam znajduje się w Korei Północnej, tutaj spędził dość dużo czasu. Sądzę, że dlatego wybrał kobietę z tego kraju. Czemu ciebie? Nie wiem.

– A może z powodu Iskry? – zapytałam.

Skrzywił się. Nie chciał ze mną o tym mówić. Odwrócił wzrok.

– Opowiedz mi o niej – nalegałam.

– Nie wiem, co Azazelowi strzeliło do głowy, żeby zabijać właśnie ciebie. Iskra jest niebezpieczna. Mają ją nieliczni. Zdarza się, że na całe pokolenia śmiertelników nie ma jej nikt. Sądzę, że dlatego umarłaś. – Westchnął. – Azazel upiera się, że nic o tym nie wiedział, ale na pewno kłamie. O to mu właśnie chodziło. Tylko udaje, że nie miał pojęcia. Wie, że to mogłoby pograżyć Lucyfera i z całą pewnością pograży. Pytanie tylko, czy on nie pociągnie nas za sobą...

Skrzywił się, jakby już widział samego siebie zdegradowanego na kolejne tysiąclecia za własną głupotę.

– Czym jest ta Iskra? – zapytałam.

Nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się dość długo, jakby chciał odnaleźć szczegóły w swojej pamięci.

Salon jego domu bardzo przypominał sypialnię. Meble były niskie, zachwycały feerią barw. Tureckie lampy, orientalna stylistyka mozaik na ścianach. Jak w jednej z Baśni z tysiąca i jednej nocy bądź w haremie sułtana. A pośrodku on. Orientalny książę, kuszący zmysłowym uśmiechem i obietnicą w złotych oczach.

– Nie wiem zbyt dużo. To jest wiedza tajemna. Dostęp do niej ma tylko Szatan – powiedział w końcu. – O ile pamiętam, osoby z Iskrą rodzą się bardzo rzadko. To bezpośredni potomkowie Adama i Ewy.

– Jak to? – zaprotestowałam. – Przecież wszyscy ludzie są ich potomkami.

– Niby tak, ale jedni bardziej, drudzy mniej – stwierdził.

– Nie rozumiem... – mruknęłam zdegustowana.

Teraz najwyraźniej zamierzał bawić się w jakieś głupie zagadki. Westchnęłam ciężko. Zawsze odkładałam lekturę Biblii na później. Jak widać, nie była to zbyt mądra decyzja. W tym świecie wszystko się dookoła niej kręciło.

– Posłuchaj. Adam i Ewa mieli trzech synów, prawda?

– Trzech? – jęknęłam. – A nie dwóch? Beleth spojrzał na mnie zdruzgotany.

– Czego oni was uczą na tej religii? Czy to nie jest w polskiej szkole przedmiot obowiązkowy?

– Jest – przytaknęłam i zmieniałam temat: – To co z tymi synami?

Nie zamierzałam wdawać się z nim w dyskusję. Na lekcjach religii grałam z najlepszą przyjaciółką w kropki, w kółko i krzyżyk albo po prostu gadałyśmy o facetach. Sądzę, że mogłoby to urazić uczucia nawet byłego anioła.

– Mieli trzech synów: Kaina, Abła i Seta. Set narodził się po zamordowaniu Abła.

Pokiwałam głową zadowolona. Kain zabił Abła – przynajmniej to wiedziałam wcześniej, zanim mi powiedział!

– A jak sądzisz, skąd oni wzięli sobie żony? – zapytał Beleth.

Zamyśliłam się. Nigdy o tym nie pomyślałam. No właśnie... Skąd oni wzięli sobie żony?!

– Jak sama widzisz, poza nimi musiał być ktoś jeszcze.

– Skrzywił się. – Poza tym co to by były za wady genetyczne, gdyby tyle miliardów ludzi było potomkami jednej pary!

Znowu odplynęłam w świat własnych myśli. Czyli jestem bezpośrednią potomkinią Adama i Ewy. Aha! To stąd się wzięła moja alergią na kurz! Wada genetyczna!

Jednak nie... taka interpretacja pochodzenia wszystkich chorób wrodzonych na świecie byłaby zbyt naciągana.

– Ale wracając do Iskry – nawiązał Beleth. – Osoby ją posiadające... można to tak powiedzieć, nie są prochem i pyłem. One są tłącym się żarem. Rozumiesz? To nie płomień, czyli anioł, ale też nie proch, czyli człowiek. To coś pośredniego.

– No powiedzmy, że rozumiem – odparłam.

– Jako że masz moc, stajesz się Iskrą. Nie jesteś człowiekiem.

Coś tak czułam, że zaraz usłyszę, że skoro nie jestem człowiekiem, to moje miejsce jest u jego boku, a nie na Ziemi koło Piotra.

– Iskra to dar tworzenia i niszczenia. Silne emocje uruchamiają ten dar. Możesz niszczyć. Możesz zabić. Możesz zabić nawet nieśmiertelnego. Mało kto ma taką władzę. Dlatego Azazel tak się przestraszył i uciekł. Myślał, że chcesz nas zabić.

– Nie chciałam was zabić – zaprotestowałam.

Chociaż szczerze mówiąc, miałam przez chwilę przebłysk, że miło by było zlikwidować ich z mojego życia-nieżycia.

Niemniej nie posunęłabym się do tego.

– Wiem, twoje oczy były normalne – odrzekł.

– Moje oczy?

– Kiedy złościłaś się na mnie poprzednio, gdy usiłowałam zabić Piotra, twoje oczy były pozbawione tęczy. Znak, że użyjesz Iskry. Teraz tak nie było. Nie byłaś aż tak wściekła. – Spochmurniał.

– Bardziej zezłościło cię, że chciałam zabić jego, niż że zabiłam ciebie.

– Co jeszcze wiesz o Iskrze Bożej? – zmieniłam temat.

– Nic więcej. Gdybyś trafiła do Piekła bądź Nieba i nie dostała mocy diabolicznej, to i tak miałabyś tę moc. Za to teraz, gdy dostałaś jeszcze jabłko... Przewyższasz siłą niejednego diabła czy anioła. Naprawdę więcej nie pamiętam. Dość dawno studiowałam te zagadnienia. Było tam jeszcze coś o śmierci, o przeznaczeniu osoby z Iskrą. Naprawdę nic więcej nie wiem. Przykro mi.

– A kto może powiedzieć mi więcej?

– Lucyfer.

Skrzywiłam się. Z nim będę mogła porozmawiać dopiero za sześć lat, jak dobrze pójdzie i nie wypadnę z grafiku.

– Usiłowałam umówić się z nim na spotkanie, ale nie ma czasu – powiedziałam.

– Ja na twoim miejscu nie rozmawiałbym z nim o tym. Nie wiadomo, jak na ciebie zareaguje. Może będzie chciał cię zniszczyć. Proszę, nie rozmawiaj z nim. – Beleth spojrzał na mnie błagalnie.

Nie byłam pewna, czy rzeczywiście chce chronić mnie, czy może raczej swoje stanowisko i tyłek.

– To skąd mogę się dowiedzieć czegoś więcej? – spytałam.

– Po co chcesz to wiedzieć?

Nie odpowiedziałam. Beleth podsunął mi pewien pomysł. Skoro miałam moc tworzenia i niszczenia, może mogłam stworzyć sobie na powrót ciało? Może mogłabym znowu żyć? Poczułam podniecenie. Muszę się koniecznie tego dowiedzieć! Jednak nie zamierzałam mu mówić o swoim pomysle, jeszcze będzie chciał mnie od niego odwieść.

– Bo chcę – rzekłam krótko.

– No dobrze, nie chcesz, nie mów – skapitulował. – Lucyfer trzyma w swojej rezydencji wszystkie dokumenty. Musielibyśmy się tam dostać.

– My?

– Przecież nie puszczę cię samej...

Po raz pierwszy się do niego uśmiechnęłam. Dobrze, że chciał iść ze mną. Bałabym się tam myszkować sama. Podejrzewam, że zrezygnowałabym. Z nim czułam się, o dziwo, bezpieczniej.

– To jak się dostaniemy do jego rezydencji? – zapytałam. – Sam nas nie wpuści. Beleth uśmiechnął się przebiegle.

– Och, zapewniam, że wpuści. W przyszłym tygodniu jest wielki bal. Rocznica jego upadku z Nieba i objęcia władzy nad Piekłem. Wkręcimy się na to przyjęcie...

30

Bal u Szatana... Jak u Bułhakowa. Poczułam niepokój. Miałam nadzieję, że nie będzie przypominał tamtego opisanego przez rosyjskiego pisarza. Nie chciałam spotkać morderców i zbrodniarzy, wesolej świty króla potępionych. Piekło było dość cywilizowane, nie powinni pić krwi z kieliszków do szampana i tańczyć nago.

Beleth bez trudu dopisał nas do listy gości. On i Azazel też nie byli zaproszeni. Najwyraźniej Lucyfer za nimi nie przepadał... Niemniej Kleopatra została zaproszona. Jako jej osoba towarzysząca na imprezę wkręcił się Beleth. Kleo powiedziała, że nie weźmie Azazela jako partnera, bo na balu będzie Cezar, który go nie cierpi i nie akceptuje nowego związku swojej byłej małżonki. Beletha tolerował jako kolegę i doradcę królowej.

Kwestia mojego wejścia została rozwiązana dość prosto. Beleth zwrócił uwagę Belfegorowi, że nie dostałam zaproszenia.

Sympatyczny diabeł bardzo się zmieszał, tłumacząc, że to przeoczenie. Po prostu zaproszenia były wysyłane, zanim jeszcze stałam się diabolicą.

Ja także powiedziałam, że nie zabiorę ze sobą Azazela. Wściekły diabeł zażądał ode mnie wyjaśnień. Wytłumaczyłam się prosto:

– Bo jesteś szują i cię nie lubię. Pojął od razu.

Jakimś cudem Belfegor się nad nim zlitował i powiedział, że weźmie go jako swoją osobę towarzyszącą.

Mina Azazela – bezcenna.

Teraz siedziałam w mojej małej kawalerce. Na klamkach od szaf wisiało kilka pięknych sukni, mieniając się w przygaszonym świetle starego żyrandola wszystkimi kolorami: burgund, butelkowa zieleń, ecru. W każdej czułam się jak księżniczka, jednak nie potrafiłam podjąć decyzji.

W końcu wybrałam czarną, zdobioną w karminowe róże, z koronkowym dekoltem i wykończeniami. Przypominała odrobinę suknię, w którą na siłę ubrał mnie Azazel na spotkanie jego wyznawców. Z tym, że ta była nowocześniejsza, miała luźniejszy gorset i była znacznie bardziej drapieżna i „wycięta”.

Z głośnika odtwarzacza płynęła spokojna muzyka. Beleth pożyczył mi tę płytę. Orientalne

rytmy zmysłowo otulały uszy. Spojrzałam na telefon komórkowy. Zero wiadomości, zero połączeń. Minął tydzień. Piotrek się nie odzywał. Nie dziwiło mnie to, bo on raczej nigdy się nie odzywał. Mimo to czekałam na jakiś znak. Choćby najmniejszy sygnał, że tamten pocałunek coś znaczył. To dlatego przestałam mieszkać w Los Diablos i na stałe wprowadziłam się do maleńkiej kawalerki.

Nie zamierzałam pierwsza się odzywać. Ostatnie, co miałam ochotę usłyszeć, to: „Ooo, my się całowaliśmy? Serio? Kurde... sorry... pijany byłem”. A w ten sposób, nie odzywając się do niego, miałam prawie stuprocentową pewność, że tego nie usłyszę.

Na uczelnię chodziłam okazjonalnie – i tak nie mieliśmy razem zajęć. Mignęła mi któregoś dnia jego czarna czupryna, ale nie widział mnie, zagadany ze znajomymi.

A może on kogoś kochał?

Nie chciałam o tym myśleć. Usiadłam na podłodze naprzeciwko wysokiego lustra, uważając, by za bardzo nie pognieść materiału sukni, i zaczęłam bawić się swoimi włosami, układając je w misterny kok pasujący do stroju.

Dzisiaj bal. Bal u Szatana.

Zegar na ścianie głośniejsze stuknął wskazówką. Była osiemnasta, Beleth miał po mnie przyjść koło dwudziestej.

Przez cały dzień miałam wrażenie, że czas strasznie się wlecze, że wskazówki wszystkich zegarów świata specjalnie zwalniają, by mnie zdenerwować. Obawiałam się, że Lucyfer nas nakryje, złapie, a my będziemy musieli zapłacić za nieposłuszeństwo. Chciałam mieć to już za sobą. Doszło do tego, że zaczęłam żałować własnej ciekawości i chciałam zrezygnować.

Spojrzałam na swoje odbicie, otoczone misterną fryzurą, która zajęła mi ostatnią godzinę. Mogłam po prostu pstryknąć palcami i włosy ułożyłyby się tak, jak miałabym na to ochotę. Jednak nie chciałam tego. Układanie sobie włosów było takie... ludzkie i normalne. Staralam się jak najczęściej robić zwykłe, codzienne rzeczy, które sprawiały, że wciąż czułam się człowiekiem.

Jeszcze raz pomyślałam o Piotрку. Byłam sierotą... Kleopatra miała rację.

Behemot leżał obok mnie, bawiąc się wstążkami i różyczkami z mojej sukni. Prawdopodobnie zaraz wydrze dziurę, którą będę musiała zlikwidować. Nagle miauknął głośno i spojrzał na drzwi. Stracił zainteresowanie materiałem, podbiegł do futryny i stuknął w drewno łapką.

Chwilę później ktoś cicho zapukał.

– Chwileczkę! – krzyknęłam i zaczęłam podnosić się z wysiłkiem z podłogi.

To wcale nie takie łatwe, kiedy ma się unieruchomioną talię, a w różnych dziwnych miejscach z ubrania sterczą druty podtrzymujące całą konstrukcję. Nic dziwnego, że kiedyś kobiety czekały, aż je ktoś podniesie.

Z koka wysunęło mi się kilka kosmyków, opadając na zaczerwienioną z wysiłku twarz. Cholerna sukienka.

– Już – zawołałam, szarpiąc za klamkę.

Naprzeciwko mnie stał Piotruś. Nie wiem, które z nas było bardziej zdziwione. Staliśmy tak

przez chwilę. On zmierzył mnie długim spojrzeniem od stóp do głów, za to ja skamieniałam, gorączkowo myśląc, jak wyjaśnię mu swój dziwny strój. Jednocześnie nie mogłam przestać cieszyć się jak kretyńka, że go widzę.

– Ładnie wyglądasz – odezwał się pierwszy.

– Dziękuję – powiedziałam. – Wejdiesz?

Zgarnęłam suknię, nie dbając już, czy pogniotę materiał, i weszłam do pokoju. Szłam boso, na nogach miałam jedynie czarne, koronkowe pończochy. Pantofle na niebotycznie wysokim obcasie stały przy drzwiach. Mieszkanie wyglądało, jakby jeszcze bardziej się skurczyło od wiszących wszędzie ubrań.

Ponieważ na wieszaku przy drzwiach wejściowych także wisiała suknia, Piotrek rzucił kurtkę na podłogę obok butów i plecaka, z którego wcześniej wyjął butelkę czerwonego wina.

Patrzyłam na niego zdumiona. Zaśmiał się, widząc moją minę.

– Masz dzisiaj urodziny – uświadomił mnie, podając czerwoną różę, którą do tej pory ukrywał za plecami.

Całkiem o tym zapomniałam! Zgodnie z tradycją Piekieł, nie obchodzono urodzin, ale rocznicę dnia śmierci. Narodziny już nie były ważne. I tak żadne z nas nie mogło się zestarzeć.

– Och, to dzisiaj? – krzyknęłam. – Całkiem zapomniałam.

– Dzisiaj, dzisiaj, staruszko – odparł. – Masz już dwadzieścia jeden lat. Ha, a ja wciąż dwadzieścia.

Postawił wino na stoliku przy kanapie i poszedł do kuchni po kieliszki i korkociąg.

– Tak, tak, dzieciaku – zaśmiałam się, siadając na wersalce. – Za trzy miesiące też będziesz już staruszkiem. Ciesz się, póki możesz.

Ja za to wcale nie miałam dwudziestu jeden lat. Już zawsze będę miała dwadzieścia. Na wieczność... Powąchałam kwiat, chowając nos w jego płatkach.

Piotrek usiadł obok mnie. Sprawnie otworzył butelkę i nalał wina. Miało tę samą barwę, co różę na mojej sukni.

– Sorry, że tak bez zapowiedzi, ale byłem w pobliżu. Poza tym chciałem zrobić ci niespodziankę – powiedział.

– Zrobiłeś – zapewniłam go i uśmiechnęłam się znad płatków.

Złożył mi życzenia i pocałował w policzek. Następnie, chociaż zasady savoir-vivre'u tego zakazują, stuknęliśmy się kieliszkami.

– Dziękuję, że pamiętałeś. – Zachciało mi się płakać, znowu powąchałam różę, nie mogąc się nią nacieszyć. – Nawet Marek o mnie zapomniał.

Do brata tak naprawdę nie miałam pretensji. On przeważnie nawet nie wiedział, jaki jest dzień tygodnia, nie mówiąc o pamiętaniu o rocznicach.

Piotrek wrzucił skromnie ramionami i pociągnął kolejny łyk wina. Behemot wskoczył mu na kolana, domagając się pieszczot, ale on zaczął przyglądać się wiszącym sukniom.

– Dobra, bo nie wytrzymam. Dlaczego jesteś tak ubrana? – Zaśmiał się i mimochodem zerknął w mój głęboki dekolt, kusząco otoczony czarną koronką. – Idziesz na bal?

– Eee... tak – odparłam i dopiłam wino dla odwagi. – Dzisiaj idę na bal.

– Ooo – zdziwił się. – To z okazji urodzin?

– Nie, nie – zaprzeczyłam szybko. – To taka impreza... w pracy – dokończyłam zachwycona tak prostym rozwiązaniem. – Dzisiaj rocznica założenia firmy. Będzie nudno, ale wszystkim kazali przyjść.

Przez kilkanaście minut rozmawialiśmy wesoło, popijając wino. Na dnie smukłej butelki zostało już niewiele alkoholu.

Behemot leżał na kolanach Piotrka i mruczał głośno jak zepsuta lodówka.

Wino miło huczało mi w głowie. Na balu u Szatana będę nieprzytomna i za wesoła... Mimo to nie żałowałam miłego wieczoru w towarzystwie Piotrusia. Byłam szczęśliwa jak nigdy wcześniej.

Spojrzał mi prosto w oczy. Momentalnie zapomniałam, o czym właśnie mówiłam.

– Dawno nie widziałem cię na uczelni – powiedział.

– Dawno tam nie byłam – przyznałam.

Uśmiechnął się lekko. Jego uśmiech był odrobinę pobłażliwy, odrobinę wszechwiedzący, ale szczerzy. Tak jak zawsze.

– Ślicznie wyglądasz – szepnął, odgarniając mi za ucho niesforny kosmyk.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się.

Delikatnie przesunął palcem wzdłuż linii mojego policzka, aż do konturu lekko uchylonych ust. Nie mogłam oderwać wzroku od jego hipnotyzujących, czarnych oczu.

Behemot zeskoczył mu z kolan i ruszył na polowanie. Na podłodze leżało jeszcze dużo spinek, wstążek i innych ozdób do włosów i ubrań.

W kurtce Piotrka zahuczał telefon. Miał wyłączony głos, jednak głośno wibrował. Kot rzucił się na nowego przeciwnika. Zerknęłam w stronę dzwoniącego telefonu.

– Czy... – zaczęłam, ale mi przerwał:

– Niech dzwoni.

Odstawiłam pusty kieliszek na stolik obok jego pustego kieliszka.

Piotrek pochylił się i pocałował mnie w usta. Powoli osunęliśmy się na kanapę. Misterny kok rozsypał mi się po poduszce, spinki upadły na podłogę, jednak nie przejmowałam się tym. Objęłam Piotrusia za szyję, przyciągając go bliżej siebie. Wsunęłam palce w jego włosy i delikatnie pomasażowałam jego kark. Materiał spódnicy opadł na kanapę i podłogę.

Jego palce błądziły po moim brzuchu, odpinając drobne, perłowe guziczki. Gdy pokonał pierwszą warstwę materiału, oderwał usta od moich ust i spojrzał na mój brzuch kompletnie zaskoczony.

– To gorset – wyjaśniłam ze śmiechem. – Na plecach mam od niego tasiemki.

– Hm... szkoda, że nie masz na sobie trochę mniej ubrań – mruknął, momentalnie tracąc zainteresowanie gorsetem. Znowu zaczął mnie całować. Orientalna muzyka nas otaczała, ciche dźwięki mandoliny i niskie tony bębnów cicho wibrowały, zupełnie jak bicie naszych serc.

Na chwilę odsunęliśmy się od siebie. Odgarnęłam mu czarne włosy z czoła. Był taki przystojny. Przesunęłam palcami od jego czoła, po policzku z kłującymi igielkami jednodniowego zarostu, aż do zmysłowych, pełnych ust.

Uśmiechnął się. W jego spojrzeniu zobaczyłam pożądanie.

Wtuliliśmy się w niego, chwilę leżeliśmy tylko, ciesząc się swoją bliskością. Zaczął całować mnie po szyi. Jego ciepły oddech na mojej skórze. Poczulałam dreszcze. Wsunęłam dłonie pod jego podkoszulek i pociągnęłam go do góry.

Telefon w kieszeni jego kurtki już dawno przestał dzwonić. Behemot grzecznie wyniósł się do kuchni, żeby nam nie przeszkadzać.

Zmrok za oknem, przyciemnione światło, długie cienie od wiszących wszędzie sukni, to wszystko nadawało chwili niezwykłego smaku. Nie wiedziałam, czy to od wina, czy od jego bliskości i dotyku kręciło mi się w głowie.

Dłoń Piotra wędrowała powoli z mojej łydki na kolano i jeszcze wyżej wzdłuż uda. Przesunął palcami wzdłuż linii koronkowej pończochy. Westchnęłam.

Nagle Behemot z głośnym sykem wyskoczył z kuchni i rzucił się na drzwi wejściowe. Otworzyły się i trzasnęły o framugę. Zwierzak ledwo zdążył się zatrzymać, ratując się przed przygnieceniem.

Ja i Piotrek odskoczyliśmy od siebie. W drzwiach, w eleganckim, świetnie skrojonym garniturze, z krwistymi różami w dłoni stał Beleth. Rozpięta pod szyją biała koszula kontrastowała z oliwkową skórą. Znowu zobaczyłam na jego szyi tajemniczy wisiołek. Tak czarny, że wręcz granatowy irokez dodawał mu uroku niegrzecznego chłopca.

Diabeł przyglądał się nam z nieskrywaną wściekłością.

Piotrek usiadł na kanapie, pomagając mi usiąść.

– Hej, kim ty... – krzyknął, ale urwał w połowie. – Czekaj... Bartek, tak? Pracujesz z Wiki? Jesteś chłopakiem tej Kleopatry?

– Tak – odrzekł Beleth i oczywiście musiał dodać: – Jednak nie jestem już chłopakiem Kleo. Piotrek wrogo zmarszczył brwi.

Beleth z uporem się we mnie wpatrywał. Wiedziałam, co zobaczył. Pogniecioną i rozpiętą suknię zakasaną na wysokość podwiązki, włosy w kompletnym nieładzie, nieprzytomne spojrzenie.

Gdy Piotruś nie patrzył, zajęty wkładaniem podkoszulka i dość głośnym i dosadnym tłumaczeniem Belethowi, że w dzisiejszych czasach się puka, obciągnęłam suknię, doprowadzając ją do porządku. Włosy ułożyły się w kok, gdy pstryknęłam palcami.

Piotrek odwrócił się w moją stronę i aż przerwał swój wywód. Siedziałam obok niego w niepogniecionym stroju i nienagannej fryzurze.

– Musimy już iść. Spóźnimy się – warknął Beleth, wciąż wpatrując się we mnie.

W jego oczach zobaczyłam tylko pustkę. Milczącą, potępiającą pustkę. Nie miał prawa tak na mnie patrzeć. Nie zrobiłam nic złego. Nie byłam jego własnością.

– Och tak... bal – mruknęłam.

Piotrek stracił trochę swojej poprzedniej pewności siebie. Podniósł się z kanapy i podał dłoń, by pomóc mi wstać.

Zdziwiła mnie ta galanteria. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał.

– Przepraszam cię – powiedziała do Piotrusia. – Naprawdę muszę iść. Bartek obiecał, że

mnie podwiezie.

Piotr kiwnął głową, ale nadal wbijał nieufne spojrzenie w diabła.

Szybko zaczęłam wkładać szpilki, chociaż miałam z tym lekkie kłopoty. Podłoga wirowała mi przed oczami. Jakimś cudem zdołałam zapiąć drobne sprzączki na kostkach.

Obaj mężczyźni stali na małej przestrzeni, patrząc na siebie z zazdrością i zawiścią. Behemot pomimo swojej sympatii do Beletha urządził sobie z jego nogawek ostrzałkę do pazurów, ale diabeł nawet tego nie zauważył. Uśmiechnęłam się pod nosem. Czyli mój kot wołał Piotrusia. Miał dobry gust, bądź po prostu zachował się tak dlatego, że to ja go karmiłam i lepiej było wziąć moją stronę.

– To dla ciebie – Beleth podał mi bukiet róż. Podziękowałam i wzięłam od niego kwiaty.

– Poczekajcie chwilę.

Stukając obcasami, zniknęłam w kuchni w poszukiwaniu wazonu. Znalazłam dwa, mniejszy do różyczki od Piotrusia i większy do tej wiąchy badyli od diabła. To znaczy, szczerze mówiąc, te róże niczym się od siebie specjalnie nie różniły, ale ja je tak postrzegałam.

Było mi wstyd, że Beleth wszedł w takim momencie do mojego mieszkania. Poza tym byłam pewna, że przekręciłam zasuwkę w drzwiach. Dobrze wiedział, że jestem sam na sam z Piotrusiem. Zrobił to specjalnie.

Postawiłam róże na stoliku przy kanapie. Wnioskując po minach mężczyzn, byli chyba zadowoleni, że nie wstawiłam ich kwiatów do tego samego wazonu. Beleth spojrział z pobłażaniem na Piotrka. Jego bukiet był większy.

Narzuciłam na ramiona szal.

– Idziemy? – zapytałam.

W milczeniu wyszliśmy na klatkę schodową. Szybko wepchnęłam Behemota z powrotem do mieszkania i zamknęłam drzwi na klucz.

Nie zwracając uwagi na kipiącego ze złości diabła, podeszłam do Piotrusia i pocałowałam go w usta. To było delikatne muśnięcie warg połączone z głębokim spojrzeniem w oczy, jednak Beleth wyglądał, jakbym co najmniej popełniła cudzołóstwo na jego oczach. Chociaż kto go wie... może to było cudzołóstwo, w końcu z Piotrkiem nie byliśmy małżeństwem.

Pod klatką stało czerwone lamborghini diabła. Nie mogliśmy się dostać do Piekła samochodem, jednak na szczęście diabeł dalej zamierzał grać w tej komedii. Otworzył przede mną drzwi do eleganckiego auta. Zbaraniały Piotrek stał w bezruchu, przyglądając się niespotykanemu na polskich drogach samochodowi. Zerknął na Beletha z zawiścią.

Pomachałam mu, bezgłośnie powiedziałam: „przepraszam”, i wsiadłam do pojazdu. Diabeł z miną zwycięzcy zasiadł obok mnie.

– Ten twój śmiertelnik nawet za miliard lat nie zarobi na taki samochód – stwierdził zadowolony z siebie i zapalił silnik. Piotrek chyba myślał to samo, bo minę miał nieszczególną. Ruszyliśmy z piskiem opon, zostawiając go samego w chmurze spalin.

– Nie wjedziemy do Piekła samochodem – zauważyłam naburmuszona.

Byłam zła, że nam przerwał. Byłam zła, że istniał. Byłam zła na cały świat.

– Skoro nie chciałaś, żebym was nakrył podczas schadzki, trzeba było się z nim umówić w

innym terminie – warknął. Aż się zaśmiałam w duchu. Schadzka? Skąd on bierze takie niedzisiejsze określenia?

– Dziś są moje urodziny – odparłam tylko i skrzywiłam się w duchu. Po co ja mu się tłumaczyłam?

– No i co z tego? – nadal warczał.

Nie tłumaczyłam mu, że to dla mnie ważne.

Czerwony samochód pruł ulicami miasta. Na wprost nas miał być ostry zakręt. Minęliśmy znak drogowy ostrzegający przed niebezpieczeństwem.

– Beleth, zakręt – powiedziałam.

– Wiem – prychnął, ale nie zwolnił.

Jeszcze mocniej wcisnął pedał gazu i otworzył okno. Wyjął z kieszeni marynarki swój klucz. Podłużny, złoty, z węzem oplatającym uchwyt.

Waż, pokusa. Idealnie pasował do pięknego diabła.

– Beleth!!! – krzyknęłam i zaparłam się dłońmi o tablicę rozdzielczą.

Tuż przed nami była ściana budynku, na którą pędziliśmy z zawrotną prędkością.

Nie zwracając na mnie uwagi, wystawił rękę przez okno i rzucił kluczem diabła prosto w ścianę. Gdy tylko klucz w nią uderzył, w ostatniej chwili mur rozstał się przed nami, ukazując szosę biegnącą nad nabrzeżem Los Diablos.

Podwozie uderzyło o krawężnik, a koła zadudniły o żwir, gdy wjeżdżaliśmy w ścianę. Ostro zakręcił kierownicą, wprowadzając nas na wąską, piekielną szosę wijącą się nad urwiskiem. O centymetry minęliśmy postrzępioną skałę.

– Nadal twierdzisz, że nie dojedziemy samochodem do Dolnej Arkadii? – zapytał zadowolony z siebie Beleth, zatrzymując się, by podnieść klucz.

31

Beleth gwałtownie zahamował. Szarpnęło mną do przodu, pasy bezpieczeństwa boleśnie wbiły mi się w ciało. Powstrzymałam jęk.

Przed ogromną, kutą z żelaza bramą prowadzącą do rezydencji Lucyfera było jakieś zamieszanie. Przed nami jeszcze dwa samochody i karoca czekały na przejazd.

Zniecierpliwiony diabeł bębnił palcami o kierownicę. Nie odzywał się do mnie, gdy jechaliśmy krętą drogą tuż nad przepaścią. Szosa oświetlona jedynie blaskiem księżyca nie wzbudzała mojego zaufania. Gdzieś daleko w dole było słychać ryk fal rozbijających się o poszarpane skały.

Wiedział, że bałam się tamtędy jeździć, ale mimo to wciskał pedał gazu do oporu. Zupełnie jakby robił mi na złość. Znaki ostrzegawcze zlewały się w jedną czerwoną linię...

Jednak sposób jego jazdy miał też pozytywne skutki. Adrenalina wypłukała mi z krwi wypity alkohol.

– No co jest?! – warknął wściekły. Istny promyczek słońca z niego...

Otworzyłam okno i wysunęłam głowę. Przy bramie widziałam jakąś sylwetkę. Ktoś niski, z małym transparentem w dłoni, klócił się zawzięcie ze strażnikiem pilnującym wjazdu.

– Chyba jakaś protestacja – oświadczyłam.

– Pięknie, kurwa! – warknął.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Beleth, mimo że był diabłem, nie przeklinał za często. Gdyby był w lepszym nastroju, pewnie zauważyłby, że to kolejna cecha, która nas łączy. Zamknęłam okno i westchnęłam głośno, znużona jego zachowaniem.

– Już przestań być taki obrażony – mruknęłam.

Rzucił mi krzywe spojrzenie, jednak nie skomentował mojej ugody. Przepraszać nie miałam zamiaru, bo nie czułam się winna. To raczej on powinien mnie przeprosić za naruszenie mojej prywatności.

W żółtym tempie posuwaliśmy się do przodu. Miałam doskonałą możliwość przyjrzeć się rezydencji Lucyfera. Jednak rezydencja to było za mało powiedziane. Budynek trochę przypominał, wzniesiony przez Ludwika XIII i rozbudowany przez Ludwika XIV, pałac wersalski. Nie tylko wielkością, ale także pastelową fasadą bogatą w złożone ornamenty. Liczba skrzydeł pałacu także się zgadzała.

Aż jęknęłam. Jakim cudem znajdziemy tam dokumenty dotyczące Iskry? Ten budynek musi

mieć z kilkaset komnat. No tak... poza tym diabły to prawdziwi schizofrenicy, jeśli chodzi o tajemnice. Piwnice prawdopodobnie ciągną się pod całym Los Diablos. Zerknęłam na złego Beletha. Nie miałam też pewności, czy on aby jeszcze miał ochotę mi pomagać...

Strażnik przy bramie właśnie przepędzał protestującego. Gderająca kobieta szła powoli chodnikiem w naszą stronę. Transparent z napisem: „stop zepsuciu!!!”, smętnie ciągnęła za sobą po ziemi.

Uroczą staruszką – Anna Kowalska, mijając właśnie nasz samochód.

– Mówiłam, że będą z nią kłopoty – powiedziałam, jednak Beleth nie zwrócił na mnie uwagi. Wiedziałam, że to głupie, ale zrobiło mi się przykro z tego powodu.

Staruszka zatrzymała się przy nas i zastukała w moje okno. Odsunęłam szybę.

– Nasza mała diablątka – zaskrzeczała, przyglądając się krytycznie mojemu ubraniu.

Na szczęście czarny szal zakrywał głęboki dekolt. Moja suknia wyglądała chyba odpowiednio grzecznie według kobiety, w końcu nawet kolor nie był odważny, bo powiedziała:

– Przynajmniej ty jedna ubrałaś się porządnie. Niektórzy przyszli całkiem goli! Co za zepsucie! Demoralizacja! Upadek!

– Musimy jechać – przerwał jej Beleth. – Miłego wieczoru.

Mówiąc to, ruszył. Strażnik, przepędziwszy upierdliwą kobietę, otworzył szeroko bramę. Pomknęliśmy długim podjazdem między drzewami w stronę oświetlonej jak bożonarodzeniowa choinka rezydencji.

– To było nieuprzejme – zwróciłam mu uwagę.

W odpowiedzi bąknął coś niezrozumiałego. Wzruszyłam ramionami ze złością. Miałam dość wyciągania w jego stronę ręki. Dzisiejszego wieczoru więcej tego nie zrobię.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem. Postanowiłam nie ruszyć się z miejsca, dopóki Beleth nie otworzy mi drzwi samochodu. Sądziłam, że nie okaże mi szacunku, on jednak mimo wszystko pozostał dżentelmenem do końca. Nie dość, że otworzył drzwi, to jeszcze podał mi dłoń i skłonił przy tym głowę.

Razem ruszyliśmy po marmurowych schodach do otwartych na oścież wrót pałacu. Za naszymi plecami lamborghini natychmiast rozpląnęło się w powietrzu, robiąc miejsce dla kolejnego samochodu w niekończącym się korowodzie gości Szatana.

Kryształowe żyrandole oświetlały hol. Demon ubrany w liberię wziął ode mnie szal i torebkę i skierował nas szerokim korytarzem w prawo. Tak jak w prawdziwym pałacu w Wersalu ściany ociekały złotem, prezentując nam bogactwo baroku.

– Czy Lucyfer lubi tę samą epokę co Azazel? – zapytałam. Beleth drgnął zaskoczony moim głosem.

– Nie – odparł. – Azazel jest zwolennikiem rokoka. Rokoko było po baroku, chociaż niektórzy uważają je za schyłek baroku. Te dwa nurty trochę się od siebie różnią.

– Czemu akurat rokoko? – dalej drażyłam zadowolona, że wreszcie zaczął ze mną rozmawiać.

Kolejny demon wskazał nam drogę, pochylając głowę w grzecznym ukłonie.

– W tamtych czasach czuł się najlepiej. Udawał wtedy człowieka.

– Udawał człowieka?

– To ci nie powiedział? – zdziwił się. – Przecież on każdemu się tym chwali...

– Mnie się nie pochwalił...

– To Giacomo Casanovą. Naprawdę ci nie powiedział? To najgłośniejsze z jego wcieleń. Bardzo długo udawał wtedy człowieka. Oczywiście narobił mnóstwo zamieszania, jak to on. Lucyfer miał z nim wtedy poważne kłopoty.

Azazel jako Casanovą. Dobrze sobie.

– On mi nie pasuje na Casanovę – stwierdziłam. – Ty bardziej pasujesz.

Beleth skrzywił się boleśnie i spojrzał na mnie.

– Jak widać, mało skuteczny ze mnie Casanovą. Nie skomentowałam tego przytyku.

W końcu doszliśmy do ogromnej sali balowej. Ściany ozdobiono ogromnymi lustrami, optycznie powiększającymi całe pomieszczenie, które i bez nich było wielkie. Nie miałam pewności, czy widzę jego koniec. A może było to tylko złudne odbicie luster?

Gości zebrało się całkiem sporo, jednak dzięki dużej powierzchni sali nie było tłoczno. Moja suknia odrobinę wyróżniała się z tłumu. Większość kobiet włożyła kolorowe kreacje. Każda jednak wyglądała, jakby pochodziła z innego czasu i epoki.

– O, tam jest Lucyfer – Beleth pociągnął mnie na środek. – Musimy mu cię przedstawić. Etykieta tego wymaga.

Szatan górował nad otaczającymi go postaciami. W ogóle nie przypominał diabła. Szczupła twarz, wyrażająca spokój i opanowanie, otoczona była blond lokami. Sylwetkę miał naprawdę imponującą. Szerokie ramiona wypychały białą jak śnieg koszulę, na którą narzucił luźny surdut. Koronki przy żabocie i rękawach koszuli dodawały strojowi smaku. Czarne spodnie wpuścił w wysokie buty do konnej jazdy.

Podeszliśmy bliżej. Jego błękitne oczy przyglądały się nam uważnie. Na ustach pojawił się lekko zmęczony uśmiech.

– To nowa diabolicą, Wiktoria – przedstawił mnie Beleth. – Wiktorio, to Lucyfer, władca Niższej Arkadii.

– Po co tak oficjalnie? – Szatan uśmiechnął się do mnie ciepło i musnął ustami grzbiet mojej dłoni. – Bardzo miło mi cię poznać.

Odwzajemniłam uśmiech.

– Mnie ciebie też – oznajmiłam.

Parę osób skrytykowało mnie spojrzeniem. Najwyraźniej za bardzo spoufaląłam się z władcą.

– Czuj się dzisiaj wieczorem jednym z ważniejszych gości w moim domu – powiedział Lucyfer. Następnie sztywno skinął Belethowi. Jak widać, z nim nie miał ochoty czule się witać.

– Chyba cię nie lubi – zauważyłam, gdy odeszliśmy dalej.

– Podpadłem mu jakiś czas temu – odparł lekkim tonem. Skierowaliśmy się w stronę Kleopatry. Poznaliśmy ją bez trudu. To zapewne ją miała na myśli staruszka, gdy twierdziła, że niektórzy przyszli nadzy na przyjęcie. Nasza ulubiona królowa Egiptu miała na sobie półprzezroczystą suknię, która zakrywała jedynie niektóre części ciała. Otaczał ją wianuszek mężczyzn.

Beleth porwał dwa kieliszki szampana z tacy przechodzącego obok kelnera. Podał mi jeden z nich. Zerknęłam szybko na demona. Na szczęście nic nie mówił, więc istniało pewne prawdopodobieństwo, że nie napluł do kieliszków.

– Och, moi mili! – zagruchała Kleopatra na nasz widok. Ubrany cały na czarno Azazel stał obok niej z ponurą miną. Wyraźnie było mu nie w smak, że Kleo ma aż tylu wielbicieli i nie zwraca na niego uwagi. Stanęliśmy obok niego.

Królowa też straciła nami zainteresowanie. Właśnie podszedł do niej jakiś niski facecik, wgapiając się w goliznę, którą odsłaniała jej suknia. Wyglądał trochę jak...

– To Napoleon? – szepnęłam.

– A jakże... – przytaknął zły Azazel.

Pasowaliśmy do niego. Także ubraliśmy się na czarno, przez co niestety wyróżniliśmy się z barwnego tłumu. W jednym rogu pomieszczenia na półmetrowej wysokości podwyższeniu została umieszczona orkiestra.

Szatan klasnął donośnie. Zaczęli grać. Tancerze kierowali się na środek sali, maruderzy zaś tacy jak my stali pod ścianami.

Przesunęliśmy się jeszcze bardziej w stronę lustra, robiąc więcej miejsca tancerzom.

Dźwięk akordeonu rozległ się głośno, jednak bez echa. Była tutaj świetna akustyka. Poznałam tę melodię od razu.

– Zatańczysz? – zapytał Beleth.

– Nie znam kroków do tanga.

– To żaden problem – oświadczył i dotknął palcem mojego czoła. – To jak, idziemy?

Prychnęłam.

– Że niby dotknąłeś mojego czoła i już znam tango z figurami?

– Tak.

– Och... no to spoko.

Wręczyliśmy nasze kieliszki Azazelowi i trzymając się za ręce, ruszyliśmy na środek.

– Jasne, nie krępujcie się – wymruczał Azazel. – Ja mogę tu postać. Sam jak palec. Bardzo to nawet lubię. To takie odprężające.

Nie zwracając uwagi na jego gderanie, stanęliśmy naprzeciwko siebie.

– Nie wiem, co robić – powiedziałam.

Położył sobie moją dłoń na ramieniu, zrobił pierwszy krok. Nie miałam pojęcia, co robię, ale najwyraźniej moje nogi wiedziały. Zaczęliśmy tańczyć. Zmysłowe, kocie ruchy, jego dłonie błędzące po mojej talii. Zakochałam się w tangu.

– Ślicznie wyglądasz, kochanie. – Beleth bezczelnie wpatrywał mi się w dekolt.

– Dziękuję, ale oczy mam wyżej – mruknęłam z przekąsem.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – odparł z lubieżnym uśmiechem. – Jednak twój dekolt jest znacznie bardziej kuszący.

Zaśmiałam się głośno. Prostota i szczerść jego odpowiedzi jak zwykle mnie rozbroiły.

– A wiesz, skąd się wzięło tango? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam. – Z Ameryki Południowej? Z Argentyny?

– Tak – uśmiechnął się. – Ale chodziło mi o to, gdzie dokładnie powstało.

– Nie wiem.

– Powstało w domach publicznych i na ulicach, tańczone przez prostytutki – wyjaśnił.

Wykonaliśmy dość skomplikowaną figurę.

– No to idealny początek balu potępieńców w Piekło, nie sądzisz? – spytałam.

Zaśmiał się tylko.

– Bal potępieńców – powiedział cicho. – Sam czuję się jak największy potępieńiec, kiedy widzę cię w jego ramionach.

– Beleth – westchnęłam znużona. – Daruj sobie wreszcie.

– O nie, moja piękna. Nie zamierzam.

Po raz kolejny musiałam przesunąć jego dłoń z mojej pupy na talię. Cały czas jego ręce tam wędrowały.

– Obmacujesz mnie – zwróciłam mu uwagę.

– Ja? – zdziwił się, uśmiechając się szelmowsko, i znowu przesunął dłonie znacznie poniżej mojej talii. – Nic nie poradzę. Ciągnie mnie tam siła grawitacji.

Zakręciliśmy się. Założył mi moją nogę na swoje biodro i przytrzymał pod kolanem, bo tego akurat wymagała kolejna figura. Moja suknia podwinęła się do góry, odsłaniając koronkową pończochę. Nasze twarze dzieliło tylko kilka centymetrów. Wpatrywał mi się z żarem prosto w oczy.

Muzyka urwała się gwałtownie. Zamarliśmy w takiej pozycji.

– Możesz puścić moje udo – zauważyłam.

– A nie sądzisz, że idealnie tu pasuje? – zapytał przekornie, ale mnie puścił.

Następny był walc. Tańczyliśmy powoli. Żadne z nas nie mało ochoty trzymać sztywnej ramy, więc po prostu wpatrywaliśmy się sobie w oczy.

– Zobacz – Beleth wskazał głową parę tańczącą obok nas. – To Marilyn Monroe tańczy z Montezumą II.

Obok nas rzeczywiście płaśała blond piękność w różowej sukni rodem z filmu „Mężczyźni wolą blondynki”, w objęciach niskiego mężczyzny w przepasce na biodrach i skórze jaguara zarzuconej na ramię. Jej partner o zakrzywionym nosie był od niej znacznie niższy, jednak Marilyn nie robiło to większej różnicy.

– Kto to ten Montecośtam? – zapytałam.

Beleth przytulił mnie czule w tańcu. Odruchowo zeszywniałam, więc odsunął się odrobine.

– Montezuma II to ostatni władca Azteków. Potem przybyli Hiszpanie i całą cywilizację szlag trafił – wyjaśnił. – Spójrz tam pod ścianę. Widzisz tego bruneta z bródką, który czujnie śledzi Montezumę?

– Który? – nie mogłam go namierzyć.

Tu było naprawdę mnóstwo facetów z bródką...

– No tam przy ścianie. Stoi obok Elvisa Presleya. To Hernan Cortes. Zgadnij, dlaczego się nie lubią z Montezumą. Zaśmiałam się i rozejrzałam. Sławni wodzowie, bohaterowie, artyści i zdobywcy wymieniali uprzejmości bądź gromili się wzrokiem. Lucyfer zaprosił samą piekielną

śmietankę towarzyską. Nie było morderców i zbrodniarzy, tak jak się tego obawiałam. Choć na przykład Cortes był już postacią dyskusyjną.

Obok nas przeszedł, podzwaniając lekko zardzewiałą zbroją, jakiś zarośnięty facet. Prowadził pod rękę starą matronę z dwoma podbródkami, ubraną w ciężką suknię obszytą futrem z soboli.

– A to kto? – zapytałam.

– To caryca Katarzyna II Wielka i Król Artur – wyjaśnił Beleth, wykorzystując chwilę mojej nieuwagi, żeby przysunąć się jeszcze bliżej mnie.

– Król Artur? – zdziwiłam się. – Myślałam, że to bujda. On istniał naprawdę?

Diabeł spojrzał na mnie krzywo, a potem głosem wyrażającym potępienie zapytał:

– To co? Może jeszcze za chwilę będziesz mi próbowała wmówić, że Beowulf też nie istniał?

– A istniał? – zapytałam zbita z tropu.

– No tak, popatrz tam. Stoi przy kolumnie.

Rzeczywiście. Przy kolumnie sączył szampana jakiś zarośnięty typek spod ciemnej gwiazdy. Tuż obok niego żywą dyskusję prowadzili Jim Morrison i Kurt Cobain.

Czad.

Lucyfer z zadowoloną miną krążył między gośćmi, przy każdym z nich zatrzymując się na chwilę, by porozmawiać.

– Kiedy ruszymy na poszukiwania informacji o Iskrze? – zapytałam lekko znudzona już tym tupaniem w miejscu.

– A mnie tu dobrze – wymamrotał w moje włosy.

– Domyślam się – prychnęłam.

Jednak, jako że twarz miałam na wysokości jego szyi, to moje potępiające spojrzenie i ton nie spotkały się z żadną reakcją z jego strony.

Edith Piaf zaczęła śpiewać ze sceny jedną ze swoich słynniejszych piosenek Milord.

– Chodź – szarpnęłam Beletha za rękaw. – Idziemy.

– Lubię tę piosenkę – zaczął marudzić, ale potulnie ruszył za mną. – Dobra muzyka, alkohol i jedzenie za darmo, a tobie już się znudziło...

– Alkohol i jedzenie są wszędzie w Piekło za darmo – powiedziałam.

– Ale nie w takim towarzystwie – zauważył. Podeszliśmy do Azazela stojącego samotnie przy dużym lustrze. Nadal patrzył wilkiem na Kleopatę, która rozmawiała z Napoleonem. Niedaleko niego zauważyłam Cezara i Marka Antoniusza, którzy też zerkali cały czas na zagadaną parę i szeptem wymieniali chyba dość niepochlebne uwagi.

– Wypiłem waszego szampana – uświadomił nas Azazel.

Obok niego na niskim stoliku stało jeszcze kilkanaście kieliszków. Na wszelki wypadek demon kelner, skutecznie lawirując między gośćmi, omijał miejsce, w którym stał Azazel.

Beleth przystanął obok niego i rozejrzał się niepewnie po sali. Odchodziło z niej około sześciu korytarzy. Najwyraźniej zastanawiał się, w którą stronę powinniśmy pójść.

– Nie wiesz, gdzie to jest, prawda? – zapytałam z zawodem.

– A czego szukacie? – zainteresował się Azazel. Przechylił się przy tym dość niebezpiecznie w moją stronę.

Beleth wziął go pod ramię i z powrotem postawił do pionu.

– Tajnych komnat Lucyfera, w których będą tajne informacje na temat Iskry Bożej – oświadczył mu Beleth. Trzasnęłam go w ramię.

– Zwariowałaś? Po co mu to mówisz?! On jest tak pijany, że zaraz wszystkim rozpowie.

– Skarbie – Azazel skarcił mnie lekko błędnym wzrokiem. – Możesz być pewna, że nikomu o tym nie powiem. – Zerknął tęsknym wzrokiem na Kleopatrze. – Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia.

– Jasne – prychnęłam.

– Musicie wyjść południowym korytarzem – wskazał na korytarz naprzeciwko nas, niespodziewanie wykazując trzeźwość. – Następnie kierujecie się jakieś trzysta metrów prosto. Potem musicie skrócić w lewo. Pamiętajcie, że w lewo, bo można też w prawo, ale wtedy dojdziecie bardzo okrężną drogą do oranżerii. Potem po jakichś kilkunastu metrach znowu skręćcie w lewo. Dojdziecie do małej klatki schodowej, nią musicie zejść dwa piętra. Prosto korytarzem aż do dużych złożonych drzwi. To gabinet Lucyfera, a raczej jego przedsionek.

Wpatrywałam się w niego ze zdziwieniem.

– Skąd to wiesz? – zapytałam.

– Nie ty pierwsza chciałaś się dowiedzieć czegoś, czego nikt nie chciał ci powiedzieć.

– Diablicą Wiktoria? – za moimi plecami rozległ się spokojny głos Szatana. – Możemy porozmawiać?

Lucyfer objął mnie ramieniem i poprowadził między tańczące pary. Zerknęłam przez ramię na Beletha, ale on stał tylko sztywno z nieszczerym, mimo wszystko uprzejmym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Azazel zaczął coś do niego szeptać, wskazując palcem na Napoleona.

– Intrygujesz mnie. Opowiedz mi coś o sobie – poprosił Szatan.

– Och, naprawdę nie ma za wiele do mówienia – powiedziałam, wpatrując mu się w niebieskie oczy.

Lucyfer nie przypominał króla potępionych, jakiego sobie wyobrażałam. Wyglądał na spokojnego, lekko zmęczonego życiem faceta. Zawsze myślałam, że Szatan powinien być bardziej... no cóż... krwiożerczy. To już nawet Azazel (jak sam zresztą w kółko powtarzał) bardziej się nadaje – a w każdym razie jest o wiele mniej zrównoważony psychicznie.

– To wszystko jest dla mnie takie nowe – wyznałam.

– Domyślam się, domyślam – Lucyfer poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu. – A jak diabły cię traktują? Nikt cię do niczego nie zmusza? Jak sama zauważyłaś, tutaj nieustannie trwają różne rozgrywki polityczne. Nie chciałbym, by odbiło się to na tobie.

– Nie, nie – zaprzeczyłam szybko.

W końcu czy ktoś mnie do czegoś zmusza? Raptem dwa diabły usiłowały wykorzystać mnie do zagłady śmiertelnego świata. Nie, no w ogóle nic się nie dzieje...

– To dobrze. – Uśmiechnął się do siebie i zapatrzył na orkiestrę. – Choć czuję, że obracasz się w złym towarzystwie. To znaczy zdaję sobie sprawę, że to Azazel rekomendował cię na to stanowisko, a Beleth jest twoim konsultantem, jednak chciałbym, żebyś na nich uważała. Nie wszystko, co mówią, może być prawdą. Nie chcę, żebyś sobie zaszkodziła... – Lucyfer utkwiał we mnie twarde spojrzenie.

Chociaż sala balowa była dobrze ogrzana, zrobiło mi się zimno.

– Mnie nie zaszkodziś ani ty, ani żaden diabeł. Musisz to zrozumieć, Wiktorio – mówił dalej. – Jednak możesz zaszkodzić sobie. Tego byś chyba nie chciała, prawda? Żal by było takiej pięknej diablidy...

Pokręciłam głową, niezdolna do wypowiedzenia nawet krótkiego słowa.

– Czuję, że doszliśmy do porozumienia – odparł zadowolonym głosem. – Odprowadzę cię do towarzyszy.

Już przestałam wątpić, dlaczego spokojny jak ocean Lucyfer był Szatanem. Miał po prostu

niezwykły dar... przekonywania.

Gdy wróciliśmy do moich dwóch diabłów, na których powinnam uważać, Szatan skłonił głowę i pocałował mnie w rękę.

– Miłego wieczoru, Wiktorio – powiedział, a następnie zniknął w tłumie gości.

Wciąż nie mogłam opanować lekkiego drżenia. Bałam się go. Bardzo się go bałam. Nieostrożny kelner za bardzo się do nas zbliżył.

– Ty! Wstrętna gębo! – warknął na niego Azazel już w znacznie lepszym nastroju. – Chodź tutaj.

Demon z krzywą miną podszedł do nas. Azazel zgarznął dwa kieliszki, Beleth podobnie.

– Jest po jednym kieliszku dla gościa – usiłował zaprotestować demon.

– Ale ja mam dwie ręce – odburknął Azazel. – Spadaj. Następnie wypił jednym haustem zawartość obu kieliszków. Beleth zerknął na niego, lecz zrobił to samo.

– Dobra, idziemy! – zakomenderował rozochocony.

– Bawcie się dobrze – mruknął Azazel, rozglądając się za kolejnym kelnerem.

– A ty z nami nie idziesz? – zapytałam.

– Skarbie – uśmiechnął się do mnie protekcyjnie. – Za bardzo lubię swój tyłek, żeby mi go ktoś odstrzelił.

Pobladłam. Beleth wziął mnie pod ramię.

– Spokojnie, nikt nie będzie do nikogo strzelał. Chyba. Ruszyliśmy w stronę korytarza, który wcześniej wskazał nam Azazel.

– Czego chciał od ciebie Lucyfer? – zapytał Beleth.

– Ostrzegał mnie... dość dobitnie... przed wami – wyjaśniłam. – Nie ufa wam.

Mruknął coś w odpowiedzi. Mijaliśmy rozbawionych ludzi i diabły. Belfegor wyszczerzył do nas zęby w uśmiechu, zagadany z gościem, który trochę mi przypominał jakiegoś prezydenta.

– Boję się go – powiedziałam. Beleth rozejrzał się czujnie.

– Jego? – wskazał zaskoczony na jakiegoś zbója w białej ludowej koszuli z haftem, który nas właśnie mijał. – Nie ma czego.

Wygląda na zakapiora, ale to tylko Janosik.

– Nie jego – zachnęłam się. – Szatana. Przestraszył mnie.

– Och, skarbie. – Beleth objął mnie ramieniem i przytulił. – Nie przejmuj się. To zwykły diabeł. Co prawda jest tu szefem, ale w sumie co on może zrobić? Zabić cię już nie da rady. Za późno – dodał beztrąsko.

Przy wyjściu do lekko zaciemnionego korytarza stała ogromna waza, wysoka na dobre półtora metra. Wystawały z niej dwie krótkie nóżki ubrane w białe podkolanówki i buty z kokardami. Nogi wywijają wściekle w powietrzu. Z wazy dobiegałczyjśpaniczny wrzask. Dwa demony stały koło ogromnego naczynia, niezdarnie usiłując wydostać nieszczęśnika.

Ciekawe, po co koleś skakał na główkę do takiej wazy? Odwróciłam się, gdy ją mijaliśmy. Coś wydało mi się znajome.

– Hej – szarpnęłam Beletha za rękaw. – Czy Napoleon nie miał takich butów?

– Ja nic nie wiem – mruknął szybko i przyspieszył. Minęliśmy demona, który usłuźnie

wskazał nam drogę do toalety, nie zwracając uwagi, że wcale nie skręciliśmy w jej stronę. Dźwięki muzyki z sali balowej cichły za naszymi plecami. Oświetlenie korytarza było przyćmiewione, nastrojowe. Beleth wziął mnie za rękę. Delikatnie masował kciukiem wnętrze mojej dłoni.

– Nigdy się nie poddajesz? – zapytałam.

– Nigdy – odparł z uśmiechem.

Przygaszone światło rzucało ciepłe błyski na jego czarnych włosach. Złote oczy śmiały się do mnie. Usta były tak kuszące, wprost stworzone do całowania.

Ach, ten Beleth. Cały on.

Szliśmy zaciemnionym korytarzem. Grube dywany tłumiły nasze kroki. W jednej z wnęk zmysłowo jęczał damski głos, wtórowało mu męskie sapanie. Speszona odwróciłam szybko wzrok.

– A może zamiast szukać tej tajnej komnaty znajdziemy jakieś ustronne miejsce? Tylko we dwoje? Całkiem sami? – zaproponował przyciszonym, niskim głosem diabeł zachęcony dźwiękami, które wcześniej usłyszeliśmy. Potknęłam się o wystający dywan.

– Nie, nie – powiedziałam szybko i wyjęłam dłoń z jego uścisku. – Musimy znaleźć informacje o Iskrze.

– Czemu tak ci na nich zależy?

– Chcę wiedzieć, co mogę robić. Jak silna jestem.

Objął mnie ramieniem, przyciągając bliżej siebie. Przysunął usta do mojej szyi.

– Och, zapewniam, że możesz wiele – szepnął mi do ucha, przygryzając płatek.

Odkoczyłam od niego gwałtownie, przez co stuknęłam w niski stolik pod ścianą. Ozdobny wazon przechylił się niebezpiecznie, jakby miał ochotę się przewrócić i spaść. Beleth złapał go i postawił bliżej ściany.

Spojrzał na mnie z uśmiechem w oczach.

– Czy zawsze jak rozmawiasz z tak niesamowicie przystojnym i pociągającym mężczyzną, potykasz się albo coś niszczysz?

Przypomniałam sobie, ile razy wywróciłam się w obecności Piotrusia...

– Ależ skąd! – zaprzeczyłam ze złością i w tej samej chwili zawadziłam stopą o kolejny gruby dywan. Wywinełabym pięknego orła, gdyby mnie nie złapał.

Po cholerę rozkładają tu te dywany?! Nie da się chodzić w szpilkach!

– Rozumiem. – Powstrzymywał śmiech.

Nie skomentowałam tego. Starłam się iść, wysoko podnosząc nogi i czujnie śledząc każdy krok, żeby już nie musiał mnie łapać ani dotykać.

Szliśmy zgodnie ze wskazówkami Azazela. Nikogo nie spotkaliśmy. Korytarze świeciły pustką. O ile jeszcze bliżej sali balowej w bocznych wnękach było czasem słyszeć czyjś chichot czy... no cóż... sapanie, to teraz otaczała nas idealna cisza.

Zeszliśmy dwa piętra małą klatką schodową. Kolejny korytarz podejrzanie przypominał te znajdujące się w Urzędzie.

– Czy piwnice Szatana łączą się z Urzędem? – zapytałam.

– Tak – odparł Beleth. – Sama wygoda. Nie musisz wychodzić z domu, a już jesteś w pracy. Hm... bądź lenistwo.

Szliśmy kilkadziesiąt metrów klaustrofobicznie wąskim korytarzem. Nie lubiłam go. Minimalistyczny wystrój Urzędu przyprawiał mnie o ciarki. Już lepiej znosiłam przeładowane barokowe umeblowanie rezydencji Lucyfera.

Poza tym Beleth znajdował się blisko. Za blisko... Czułam ciepło bijące od jego ciała, zapach wody po goleniu, której używał, chociaż diabły się nie gołą.

Przed nami były złote drzwi z numerem 6666. Już je widziałam. Za nimi będzie mały sekretariat, w którym zasiada Belfegor, a dalej drzwi windy prowadzącej do gabinetu Lucyfera.

Minęliśmy zabałaganione biurko i podeszliśmy do srebrnych, niepozornych wrót. Wcisnęłam guzik, który zapłonął w ciemnościach czerwienią.

Drzwi od windy otworzyły się przed nami z brzęczeniem cichego dzwonka. Weszliśmy do wąskiej jak trumna kabiny, wyłożonej lustrami.

Beleth spojrzał na rząd przycisków.

– Nie mam pojęcia, które to piętro – skrzywił się. – Azazel tego nie powiedział.

O dziwo prywatna winda Szatana była jedynym miejscem w Piekło, które miało normalną numerację. 1., 2., 3., 4., 5. czy 6. piętro? Oto jest pytanie.

– Pozwól, że zgadnę – mruknęłam i wcisnęłam przycisk z numerem 6.

Nie podejrzewałam, żeby Lucyfer był aż tak przebiegły i miał gabinet na innym piętrze. To by było pewnie niezgodne z jakąś piekielną etykietą...

Winda ruszyła niespiesznie. Cała kabina drgnęła gwałtownie, a liny zatrzeszczały. Wzięłam Beletha za rękę. Posłał mi w jednym z luster zdziwione spojrzenie.

– Nie lubię wind – mruknęłam. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Och, kochanie. Jesteś taka urocza! Przecież nawet jakby spadła, to się nie zabijemy...

– Wiem, ale mimo to nadal nie lubię wind.

Lekko ścisnął moje palce zadowolony, że to ja pierwsza wykonałam ruch. Widziałam emocje malujące się na jego twarzy. Zaczął sobie wyobrażać nie wiadomo co...

– Jeśli uważasz, że w gabinecie Lucyfera zedrę z ciebie garnitur, to się mylisz – oświadczyłam, a on zrobił minę zbitego psa.

– A może chociaż same spodnie? – zaproponował nieśmiało. Spojrzałam na niego ostro.

– Zboczeniec...

– Ty zaczęłaś. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Drzwi otworzyły się z głośnym zgrzytem, a kabina stanęła z szarpnięciem. Z prawdziwą ulgą wyszłam z tej metalowej trumny.

Gabinet Lucyfera nie przypominał tego z Adwokata diabła, gdzie Al Pacino świetnie się czuł otoczony betonem. Tu było dużo ciepłych barw, drewno, pluszowe obicia. W kącie pomieszczenia stała solidna donica, a w niej rosło małe drzewko.

Jabłonka. Miejsce pracy Szatana nie odbiegało wystrojem od reszty jego rezydencji.

Poza windą znajdowały się tu piękne, podwójne, dębowe drzwi. To była najwyraźniej droga prosto z pałacu, której Azazel nie znał bądź nie chciał nam o niej powiedzieć.

Tuż za biurkiem zawalonym dokumentami przy ścianie stała gablotka z dwoma kamiennymi tablicami. Poza tym niezwykłym biurowym dodatkiem, nienadającym się nawet na przycisk do papieru ze względu na swoje rozmiary, na innej ścianie stał duży zakrwawiony krzyż, którego pochodzenia nie chciałam poznać za żadne skarby świata. Po drugiej stronie był za to kawałek masztu z małą tabliczką: „Arka Noego”.

Wow... prywatne muzeum.

Idąc w stronę kamiennych tablic, dokładnie przyjrzałam się pozostałym gablotom. Sterane życiem, zakurzone sandały podpisane „własność Józefa”, proca „własność Dawida”, pęk włosów „własność Samsona”, pierwsze drukowane wydanie Biblii, otworzone na stronie tytułowej, na której było napisane „Mojemu przyjacielowi Luckowi – Gutenberg”.

Szatan to dopiero miał znajomości!

Podeszłam w końcu do kamiennych tablic. To nie było Dziesięcioro Przykazań, jak początkowo myślałam. Drobnym pismem, które wyglądało jak zbiór nic nieznaczących przecinków i kropek, był tam zapisany tekst z akapitami. To nie mogły być przykazania. To musiały być informacje o Iskrze!

Odwrociłam się do Beletha, który rozsiadł się w obrotowym fotelu Szatana i przymierzył się do biurka. Kolejny diabeł z ambicjami...

Obrócił krzesło w moją stronę.

– To jak? – zapytał, rozpierając się w fotelu. – Może jednak pomyślimy o tym zdejmowaniu garnituru?

– Daj spokój. – Otworzyłam gablotę. – Zobacz. To chyba to. Ale nie potrafię tego przeczytać.

Beleth westchnął zawiedziony i przysunął się do mnie i do tablic razem z obrotowym krzesłem, które bardzo przypadło mu do gustu.

– A po co ty chcesz to czytać? – zdziwił się.

– Bo tu jest pewnie coś napisane o Iskrze!

– Ech, skarbie, my już nie jesteśmy w epoce kamienia łupanego.

Mówiąc to, wcisnął jakiś przycisk z boku gabloty. Z lekkim oporem tablice odsunęły się na boki, a za nimi wysunął się do przodu ekran komputera.

– Ooo... – mruknęłam.

Przyznam szczerze, byłam trochę zawiedziona. Oczekiwałam jakichś zakurzonych manuskryptów, kruszących się w dłoniach tablic, a tu co? Wesoła muzyczka Windowsa zabrzęczała, oznajmiając zalogowanie do systemu.

– Nawet nie ma hasła – powiedział z pogardą Beleth. – Azazel poza ustawieniem sześćdziesięciosześcioletniego hasła pewnie by jeszcze postawił dwa napakowane demony przed drzwiami...

Tapeta w komputerze Szatana była urocza. Przedstawiała dość tandetnie wykonany fotomontaż. Topornie wycięte zdjęcie blondwłosego władcy piekieł było doklejone do podobizny Angeliny Jolie. Był to kadr z filmu Mr i Mrs Smith z tangiem tańczonym przez głównych bohaterów. Lucyfer zakleił podobiznę Brada Pitta.

Na ekranie było kilka ikon. Wskazałam na jedną z nich podpisaną: „Tajne dokumenty”.

– To wciśnij – rozkazałam.

– Czekaj. – Otworzył folder podpisany „Gry”. – Och! Ma Diabło!!! – zawołał z zachwytem.

Zerknęłam mu nad ramieniem. Usiłowałam wyrwać myszkę, ale mi nie pozwolił, odpychając mnie łokciem. „Berło mocy” tymczasowo było w jego posiadaniu.

– Ooo... ma też The Sims? A po co mu to? – gderał Beleth. – Taka babska gra...

– Beleth... – zagruchałam mu do ucha.

Od razu puścił myszkę. Naiwniak. Złapałam ją szybko. – A już myślałam... – mruknął, kiedy kliknęłam w „Tajne dokumenty”.

Na szczęście Lucyfer lubił porządek. Pozycje były podzielone na kategorie i poukładane alfabetycznie. Przysiadłam na podłokietniku fotela. Beleth zaczął delikatnie masować mnie po plecach. Syknęłam na niego, więc zadowolili się trzymaniem dłoni na moim krzyżu.

– O, tu jest! – zawołałam, znajdując odpowiednią pozycję.

Kliknęłam na dokument podpisany „Iskra Boża”. Zaczęliśmy go czytać. Mówił z grubsza o tym samym, co powiedział mi Beleth. Poza tym była jeszcze wzmianka, że śmiertelnicy, zanim umrą, nie odznaczają się żadnymi specjalnymi zdolnościami. One pojawiają się dopiero po śmierci.

Doszliśmy do opisu mocy osoby obdarzonej Iskrą.

Bla, bla, bla... mogę palić na odległość i z bliska, mogę wykorzystywać żywioły, do czego mam ochotę, mogę zabić anioła lub demona, o ile wyobrazę sobie, że stają się parą i rozwiewają w powietrzu... bla, bla, bla... mogę topić metal, przyspieszać wzrost upraw i rozwój zwierząt, jednak nie ludzi, mogę zwiększać plony nieskończoną ilość razy... bla, bla, bla... kolejne strony o tym, co mogę robić z roślinami – i czemu to niby takie ważne? Kogo obchodzi zielsko?

Wyciągnęłam palec w stronę jabłunki rosnącej w kącie pomieszczenia. Drzewko stało się dwa razy większe. Zielone jabłuszka zacerwieńczyły się i opadły na podłogę. Za nimi posypały się liście. Następnie wyrosły nowe. Pomyślałam intensywnie i skupiłam się. Zamiast jabłek na drzewku tym razem wyrosły dorodne pomidory.

– Ooo – wykrzyknął Beleth z podziwem. – Ja tak nie umiem. Możesz zmieniać przedmioty! Wiesz, co to znaczy?

– Nie. Na naszych oczach jeden z dorodnych pomidorów oderwał się i upadł z głośnym plaśnięciem na dywan, który w jednej chwili przestał być beżowy...

– To znaczy, że możesz zmieniać wszystko – Beleth dalej się entuzjasmował.

Przestałam zwracać na niego uwagę. W końcu ja tylko zamieniłam jabłka w pomidory. Wielkie mi rzeczy.

Wróciłam do czytania dokumentu o Iskrze Bożej. Poza tym mogłam oddychać pod wodą, spokojnie znosiłam ekstremalne temperatury i miałam jeszcze kilka innych umiejętności kompletnie nieprzydatnych w życiu codziennym.

Skończył się rozdział o tym, co mogę robić. Teraz było o tym, czego nie mogę. Kurde...!

Przeleciałam go szybko wzrokiem. Poza faktem, że nie mogę wpływać na uczucia i emocje ani kierować ludźmi, mało było rzeczy, których nie mogłam robić.

Nie było ani słowa o tworzeniu ciała i ożywianiu zmarłych... Szlag by to trafił! Westchnęłam

z zawodem.

– Co się stało? – zapytał Beleth.

– Myślałam, że będzie napisane, że mogę sobie stworzyć ciało i znowu być śmiertelniczką. Skoro mogę tworzyć, myślałam, że mogłabym stworzyć i to... I znowu byłabym żywa – wyjaśniłam. Teraz już nie zależało mi na zachowaniu tajemnicy.

– Och, kochanie. Tego nikt nie może zrobić poza Najwyższym. – Poglądził mnie po ramieniu. – Można by to również uzyskać przez...

Dalszą część zdania przerwał mu głośny łomot. W szeroko otwartych drzwiach, które zostały otwarte z taką siłą, że odpadło kilka fragmentów futryn, stał rozwścieczony Szatan. Za jego plecami kuliła się grupka demonów.

– Co tu robicie?! – zagrział.

Beleth zerwał się z krzesła i wskazał na mnie palcem.

– Ona miała zerwać ze mnie garnitur w ustronnym miejscu – powiedział szybko, a następnie zmarszczył brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. – Ale trochę jej nie wyszło...

– Trochę jej nie wyszło?! – Lucyfer podszedł bliżej. – TROCHE?! I tak przypadkiem jej ręka z twojego rozporka zsunęła się na tajny przycisk od mojego tajnego komputera?!

Beleth uśmiechnął się przepraszająco.

– A bo z niej taka niezdara... Ona – dodał ciszej – nawet czasem po ciemku ma problem z zapięciem stanika.

– DOŚĆ!!! – Szatan wyglądał, jakby miał zamiar wybuchnąć.

– Pójdziecie ze mną!!!

Potulnie ruszyliśmy za nim. Nagle Lucyfer zatrzymał się raptownie:

– Co się stało z moją jabłonką?! To był jedyny istniejący szczep Drzewa Poznania Dobra i Zła!!!

33

Siedzieliśmy w małej celi o powierzchni może sześciu metrów kwadratowych. Ja, Beleth i... Azazel. Ten ostatni na bardzo silnym kacu. Leżał na wąskiej ławce, przez co ja i Beleth zmuszeni byliśmy siedzieć blisko siebie. No dobrze... ja byłam zmuszona. Przystojny diabeł był tym faktem zachwycony.

Zabrano nam klucze, byśmy przypadkiem nie usiłowali uciec. Ze złością wyrwałam kolejną różyczkę ze swojej sukni i rzuciłam pod przeciwległą ścianę. Już od kilku godzin zabawiałam się tym niezwykle inteligentnym zajęciem.

Spojrzałam na leżącego bezsilnie Azazela.

– Czemu masz kaca? – zapytałam. – Jesteś diabłem. Nie powinieneś go mieć...

– To nie kac spowodowany alkoholem – warknął, zasłaniając oczy jak primadonna. – To kac moralny i emocjonalny. Kleopatra całą noc tańczyła z Cezarem. On chyba znowu jej się podoba.

– No wiesz... byli małżeństwem.

– No i co z tego? – warknął. – A my byliśmy kochankami. Łączyły nas dzikie żądze. Wyobraziłam to sobie i od razu tego pożałowałam.

Zerknęłam na Beletha. Znowu zezował w mój dekolt. Zdjął marynarkę, rozpiął jeszcze kilka guzików koszuli. Wyglądał bardzo pociągająco.

– W ogóle nie rozumiem, czemu mnie też zamknęli! – wyjęczał Azazel. – Przecież ja nic nie zrobiłem! A zamknęli mnie z takimi degeneratami, którzy włamują się do tajnych komnat Szatana. Co ja robię w takim towarzystwie?!

Spojrzeliliśmy z Belethem po sobie. Azazel wszystko potrafił sobie wmówić. Nawet niewinność...

– Wsadziłeś Napoleona do wazonu – zauważył mój piękny diabeł.

– A potem pobiłeś się z Cezarem – dodałam.

– W szale walki wpadliście na orkiestrę – mruknął Beleth.

– A biedny Michael Jackson, kiedy usiłował przed wami uciec, wypadł przez okno – powiedziałam.

– I wpadł do fontanny – dodał.

– W której Lucyfer trzyma ozdobne piranie. – Zaśmiałam się.

– Poza tym w czasie zamieszania, jak rzuciłeś Cezarem o ścianę, to trafiłeś w lustro.

– Które spadło na Ernesta Guevarę i Boba Marleya – uściśliłam.

– Za to oni oblali carycę Katarzynę szampanem.
– A miała drogą suknię. Beleth odwrócił się do Azazela:
– Tak serio to podejrzewam, że przymknęli cię za tę suknię. W końcu wiesz, była wyszywana sobolami i diamentami...
– Jasne, śmiecie się ze mnie – warknął Azazel, siadając.
– A Cezara jakoś nie przymknęli.
– Wiesz.... Cezara w przeciwieństwie do ciebie Lucyfer lubi – zauważyłam sucho.
– Od razu widać, jakie to Piekło jest skorumpowane. Samo kumoterstwo – wykrzyknął. – Gdybym ja tu był Szatanem...

Metalowe drzwi otworzyły się. Stał w nich Lucyfer.
– Ale nim nie jesteś – wycedził ze złością. Azazel wstał i stanął naprzeciwko niego.
– Żądam przedstawienia nam zarzutów. Nie wiem, co ja w ogóle tu robię!
– Zarzuty zostaną wam przedstawione w piątek na rozprawie – rzekł Lucyfer. – Do tego czasu macie surowy zakaz opuszczania Piekła. Zresztą i tak nie odzyskacie kluczy.
– Co? – Aż wstałam. – Jak to? Nie możemy wrócić na Ziemię? Ja muszę!
– Ostrzegalem cię, Wiktorio. Teraz jest już za późno – powiedział Szatan i odszedł, zostawiając nas w otwartych drzwiach.

Azazel przeciągnął się.
– No cóż... Wtakim razie trzeba się zabawić. Mamy kilka dni wolności.
– Jasne... ciesz się – warknął Beleth. – To nie ciebie skazą za włamanie do komnat Lucyfera.
– Wiem. – Twarz Azazela rozjaśnił uśmiech. – I to jest w tym właśnie najpiękniejsze!
Bez słowa wyszłam, zostawiając ich samych. Cela była tu, gdzie podejrzewałam – w ogromnych piwnicach Lucyfera. Demon, który czekał na mnie przy drzwiach, poprowadził mnie przez labirynt białych korytarzy. Wyszłam bocznym wyjściem z rezydencji Szatana.

Zbliżał się zachód słońca. Czerwona tarcza była już bardzo nisko. Siedzieliśmy w zamknięciu znacznie dłużej, niż sądziłam – prawie cały dzień. Zapewne Lucyfer chciał nas tym zgnębić.

Już dawno zdjęłam szpilki, szłam na bosaka w poprzek placu, niosąc je w ręce. Suknia tarła o ziemię z cichym szelestem.

Rozgrzana od słońca kostka brukowa miło grzała mi stopy, które zmarzły w wilgotnej i ciemnej celi.

Przeszłam długim podjazdem i wyszłam przez uchyloną bramę. Miałam przed sobą szeroki bulwar, za którym było zejście na plażę. Krzyk mew i błysk fal przyciągały mnie.

Nie rozglądając się nawet na boki, przeszłam przez ulicę. Był środek dnia, więc ruch był spory. Może piekielni kierowcy i jeźdźcy są przyzwyczajeni do spacerowiczów o nieobecnych wyrazie twarzy, bo nikt mnie nie przejechał.

Zresztą i tak nie mogłam umrzeć po raz drugi. Beleth już zdołał wbić mi to do głowy.

Usiadłam na niskim murku oddzielającym chodnik od plaży i zanurzyłam stopy w piasku. Ziarenka przesypywały mi się między palcami. Westchnęłam. Uwięziona na cały tydzień w Piekło. Znowu nie pójdę na uczelnię... chociaż szczerze mówiąc, wcale mnie to nie martwiło.

Opalający się ludzie powoli zbierali swoje rzeczy. Słońce już zaczęło zapadać się w morzu.

Czy ktoś będzie mnie szukał?

Na pewno Marek... Muszę spróbować do niego zadzwonić. Co prawda nie ma tutaj zasięgu, ale Beleth chyba coś wymyśli.

Hm... Zuza? Nie, ona nie będzie mnie szukać. Wczoraj wieczorem przecież wyjechała, o dziewiętnastej miała samolot do Egiptu.

Jej siostra znalazła jakąś superpromocję last minutę. Obie miały czasem takie szalone pomysły. Potrafiły spakować się i z dnia na dzień wyjechać na drugi koniec świata. Zuza załatwiła sobie lewe zwolnienie lekarskie na uczelni i pewnie jedzie teraz na wielbłądzie po pustyni.

Kilka dni temu pomagałam się jej pakować. Zuza wyłożyła całą zawartość szafy na łóżko i usiłowała się zdecydować, co zabrać.

– Wrzucisz to do walizki? – poprosiła mnie, podając mi trzy bluzki. – Gdziekolwiek. I tak się pogniecie. W ogóle to chcę wziąć wszystko, co w przewodniku opisali jako niezbędne – wskazała na sfatygowaną książeczkę, na której stał kubek z kawą.

Posłusznie podeszłam do olbrzymiej walizki na kółkach. Leżała otwarta przy drzwiach. Jak na razie Zuza spakowała do niej dwie butelki wody mineralnej, jedną półlitrową butelkę wódki gorzkiej żołądkowej i paczkę podpasek.

Zaśmiałam się głośno.

– A więc niezbędnik kobiety w Egipcie według najnowszych przewodników to: woda, woda i podpaski?

– Woda, bo trzeba dużo pić. Woda, bo trzeba się odkażać. Tam jedzenie jest brudne. Nasze przewody pokarmowe nie tolerują ich bakterii. A podpaski, wiadomo... – odwróciła się z drugiego pokoju.

– Ty, Zuza... weź mnie kiedyś ze sobą – powiedziałam wtedy. – Musicie z siostrą mieć niezłe jazdy.

Westchnęłam, patrząc w czerwone słońce. Kiedy znowu zobaczę Zużę? Byłam uwięziona tutaj aż do piątku. Aż do cholernego piątku...

A Piotruś? Ciekawe, czy o mnie myśli? Na litość boską, całowaliśmy się. Znowu. A nawet więcej niż całowaliśmy. Oby tylko nie pomyślał czegoś głupiego w związku z Belethem...

Jakby przywołany moimi myślami, diabeł usiadł obok mnie. Gdzieś zniknęła jego marynarka. Rękawy koszuli podwinął do łokci.

– Co robisz? – zapytał.

– Oddycham. Mam wrażenie, że ostatnio tylko to mi wychodzi...

Warga mu krwawiła. Czerwona kropla opadła na śnieżnobiały kołnierzyk. Na moich oczach kolejna cofnęła się, wpływając z powrotem do małej ranki, która się zasklepiła. Opuchlizna momentalnie zniknęła. Po rozbitej wardze nie pozostał żaden ślad poza pojedynczą kroplą krwi na koszuli.

– A ty co robiłeś? – zapytałam.

– Tłumaczyłem Azazelowi, że to nieładnie naśmiewać się z innych.

– Aha...

Siedzieliśmy w milczeniu. Mewy krzyczały nad naszymi głowami. Pólnadzy ludzie kierowali się do wyjścia z plaży tuż obok nas.

– Nie przejmuj się. – Beleth wziął mnie za rękę i splótł nasze palce. – Spójrz na nich. Bądź taka jak oni. Radosna, beztroska...

– Martwa – wpadłam mu w słowo. Spojrzał na mnie i odgarnął mi włosy za ucho.

– Tak, kochanie. Martwa... Nie wiem, jaki będzie wynik procesu. – Westchnął. – Musimy przygotować się na wszystko. Musisz wreszcie nauczyć się być martwą.

Pokiwałam smutno głową.

– Ale Beleth... chciałbym się z nimi pożegnać.

– Spróbujemy to zrobić. – Objął mnie i pocałował w czoło. – Spróbujemy przed procesem. Potem to może być trudniejsze...

– Wtedy, w komnacie Lucyfera, powiedziałaś, że odzyskać ciało można też w inny sposób – przypomniałam. – Jaki to sposób?

Beleth skrzywił się.

– To dość łatwy proces, ale mogą to zrobić tylko diabły. Nie diablance. Poza tym są pewne... kłopotliwe skutki uboczne. No i trzeba mieć klucz.

My nie mieliśmy kluczy. Odebrano nam je. Możliwe, że na zawsze. Szkoda, że nie zapytałam go o to wcześniej. Chociaż wtedy i tak by mi pewnie nie powiedział, bo bałby się, że po prostu zniknę.

– To tak szybko się skończyło – wymruczałam. – Tak niespodziewanie.

– Taa... Też nie podejrzewałam, że Lucyfer wparuje do swoich komnat. Ciekawe, skąd wiedział, że tam jesteśmy?

– Nie wiem. – Westchnęłam ciężko.

Zastanawiałam się, co teraz z nami będzie. A moja znajomość z Piotrusiem już się zaczęła obiecująco rozwijać. Szlag by to trafił...

– Wyglądacie jak kupka nieszczęścia – zaskrzeczał jakiś głos obok nas.

Odwróciliśmy się w stronę staruszki, Anny Kowalskiej, która właśnie wychodziła po schodkach z plaży.

– Opała się pani? – zdziwił się Beleth.

– Oczywiście – odparła z godnością.

Przeczył temu odrobinę jej strój. Miała na sobie jakiś przedpotopowy kostium kąpielowy, który miał nogawki do kolan i rękawy. I był różowy... Skojarzyła mi się z muzułmankami kąpiącymi się na publicznych plażach i basenach w burkini, czyli połączeniu burki i bikini. Strój ten zasłania całe ciało oprócz rąk, stóp i twarzy, a mimo to jakimś cudem da się w nim pływać. Kobieta pływająca w basenie w spodniach, bluzce z rękawami i chustce na głowie to naprawdę niezwykły widok.

Anna Kowalska także zawiązała na głowie chustkę w kwiaty. Jednak nie podejrzewałam jej o skryte sympatyzowanie z islamem. Po prostu było odrobinę za ciepło na moherowy berecik. W dłoni trzymała mały, rozkładany leżak.

– Poza tym rozdaję ulotki – podała nam jedną.

Na samym froncie raził po oczach czerwony napis: „STOP goliźnie!” Uwielbiam tę kobietę.

– Co za zgorzenie niektórzy tutaj sieją. Siedzą nadzy na plaży albo w tych okropnych strojach. Stringi! A fe! – krzyknęła na przechodzącą akurat blondynkę, która kręciła pupą właśnie w takich majtkach.

Dziewczyna spiorunowała ją wzrokiem i jak gdyby nigdy nic ruszyła przed siebie.

– Przecież tego nawet nie można nazwać ubraniem – argumentowała dalej staruszka. – Poza tym co to za durny wymysł! Sam troczek! Przecież jak to uwiera! I trze się o hemoroidy!

Spojrzała na blondynkę, która oddaliła się od nas już niezły kawałek.

– Muszę dać jej ulotkę. Ona nie wie, co robi. Do widzenia, dzieci – powiedziała i pobiegła za dziewczyną.

– Trze się o hemoroidy? – wolno powiedział Beleth. – A skąd ona o tym wie?

– Wolisz nie wiedzieć...

34

Pożegnania. Nie lubię ich. Wydają się taką ostatecznością. Nigdy nie wiadomo, czy zobaczy się kogoś, z kim właśnie ściskasz dłoń i kogo całujesz w policzek, komu machasz z oddali. Może to ostatni dotyk, ostatnie słowa? Nie ma nic gorszego od pożegnań.

Belfegor pomógł mi dodzwonić się do Marka. Jedyne telefon w Piekło z wyjściem na Ziemię znajdował się oczywiście w Urzędzie.

Ostrzegłam brata, że wyjeżdżam ze znajomymi na kilka dni w głąsę, gdzie nie ma zasięgu, więc może mnie nie szukać.

Bardzo się tym zmartwił. Od razu przedstawił mi niezwykle plastyczną wizję mordercy z siekierą, którego jedynym życiowym celem jest odrąbywanie najróżniejszych części ciała głupim dwudziestolatkom, którzy śpią w namiotach pośrodku lasu.

Potem przyszli mu na myśl szaleni kierowcy tirów, którzy gwałcą wszystko, co się rusza, całą rozmowę zaś zakończył wielce urocą, lecz katastroficzną wizją ataku zwierząt zarażonych wściekliwością. Według niego nawet wiewiórka może zabić. Jak sam stwierdził, to takie zombie z Resident Evil, tylko mniejsze.

Chciałam jeszcze pożegnać się z Piotrusiem, ale nie przez telefon. Zależało mi, żeby po tym, co zaszło, zrobić to osobiście. Po raz ostatni go zobaczyć. Miał już prawie tydzień, odkąd się widzieliśmy. Zamknięta w Piekło nawet nie mogłam sprawdzić, czy nie dzwonił do mnie na komórkę.

Bałam się, że mógł podejrzewać coś w związku z Belehem. Nie chciałam, żeby doszedł do wniosku, że to mój chłopak. Wtedy tak nagle nam przerwał i był taki zły. Poza tym chciałam... sama nie wiem, co chciałam.

Podjęłam jednak decyzję. W końcu powiem mu, co do niego czuję. Odważę się na to. Nigdy nie mówiłam o swoich uczuciach, bo nie chciałam zostać odrzucona. Teraz, gdy nie wiedziałam, co ze mną będzie i czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę, zdecydowałam się, że mu powiem.

Powiem. Na pewno.

Wiedziałałam nawet, kogo poproszę o pomoc.

– No Kleo – jęknęłam. – Nie rób mi tego!

Królowa z zaciętą miną siedziała na swoim złotym tronie i bębniła palcami o podłokietnik.

– Mogę mieć przez to kłopoty – powiedziała. – Nie chcę mieć kłopotów.

– Na litość boską, jakie kłopoty? – krzyknęłam tak głośno, że aż zaskrzeczał spłoszony sokół

na złotej żerdzi obok Kleopatry. – Czy zostałam zatrzymana? Czy dostałam wezwanie do sądu? Czy zgłosili cię jako świadka? Nie...

Wzruszyła ramionami i uciekła w bok spojrzeniem. Wiem, że była przesłuchiwana. Sama mi zresztą o tym powiedziała. Domyślam się, że Szatan wyciągnął z niej wszystkie potrzebne informacje na nasz temat.

– Proszę, Kleo. Wiesz, jakie to dla mnie ważne.

– Wiem. I to jest w tym najgorsze. Nie uważasz, że to głupie? Przecież on nic do ciebie nie czuje...

– Ale ja chcę mu coś powiedzieć – zaparłam się.

– Głupia jesteś – skwitowała.

– Wiem. To jak? Pomożesz mi?

– A mam wybór? – Skrzywiła się i wsunęła swój klucz w ścianę. – Masz pół godziny. Potem otworzę przejście znowu w tym samym miejscu. Masz wtedy wrócić, słyszysz?

Kiwając głową, przeszłam przez drzwi. Po drugiej stronie było zupełnie inaczej niż w Piekle. Już zapadł zmrok. Niebo było ciemne, burzowe chmury wisiały nad budynkami. Na nierównym chodniku powstały ogromne kałuże, przez które przeskakiwałam, idąc w stronę bloku Piotrka.

W końcu stanęłam pod nim. Olbrzymi mrówkowiec z wielkiej płyty, z mieszkaniami o metrażu idealnym dla krasnoludków. Weszłam po kilku schodkach pod daszek ocieniający wejście na jego klatkę. Wcisnęłam numer mieszkania na domofonie.

Długo nikt nie podnosił słuchawki. Poczulałam niepokój. A może nie ma go w domu? Jeszcze raz nacisnęłam na dzwonek.

– Słucham, słucham – odezwał się tak dobrze znany mi głos.

– Cześć, to ja, Wiki. Słuchaj, mógłbyś zejść na chwilę? Chciałabym z tobą porozmawiać, a pewnie Maciek jest w mieszkaniu.

– Eee, no dobra. Poczekaj chwilę. Usiadłam na schodku, cierpliwie czekając. Powiem mu. Muszę. Za moimi plecami otworzyły się drzwi. Wstałam.

– Cześć – Piotrek zszedł do mnie.

Nie pocałował mnie w policzek ani nie zrobił żadnego gestu w moją stronę. Ale trudno... i tak mu powiem!

– Słuchaj, przepraszam, że tak cię wyciągnęłam z domu w środku nocy, ale chciałam ci coś powiedzieć, a jutro wyjeżdżam...

– Wyjeżdżasz? – zdziwił się. – Dokąd?

– Daleko. – Uśmiechnęłam się z przymusem. – Nie wiem, kiedy wrócę... Nie wiedziałam, czy w ogóle kiedykolwiek wrócę...

Zmarszczył brwi i przesunął dłonią po włosach. Miał na sobie ten czerwony podkoszulek, który tak lubiłam i w którym było mu tak do twarzy.

– Jak to nie wiesz, kiedy wrócisz? Wiki, w co ty się wpakowałaś? Trzeba ci pomóc?

Wziął mnie pod ramię i posadził na ławce stojącej tuż obok. Była lekko wilgotna, ale nie zwróciliśmy na to najmniejszej uwagi. Cały czas nie wypuszczał mojej ręki. Przysunął się bliżej.

– Nie, w nic się nie wpakowałam. – Starłam się uśmiechnąć promiennie. – To nic takiego.

Ale nie w tej sprawie przyszłam. Muszę ci coś powiedzieć.

Cofnął rękę.

– Słucham.

Nie mogłam spojrzeć mu w oczy. Wbijałam wzrok w krzywo położone płytki chodnikowe.

– Ja... – zaczęłam, ale urwałam.

Wstydziłam się mu powiedzieć. Z drugiej strony – co mi zależało? I tak jestem chodzącym trupem, najprawdopodobniej nigdy go nie zobaczę, chyba że przypadkiem trafi do Piekła, bo Beleth z Azazelem zapomną wysłać go do Nieba.

– Podobasz mi się – wyrzuciłam z siebie szybko i po raz pierwszy spojrzałam mu prosto w oczy. – Już od dawna, mniej więcej od roku.

Piotrek przyglądał mi się kompletnie zaskoczony. Nawet nie zamrugał. Czemu się dziwi? Całowaliśmy się. Nie całowałabym się z kimś, kto mi się nie podoba.

Cisza przedłużała się. Przygryzłam w napięciu wargę, zacisnęłam dłonie w pięści. Zaraz pewnie powie, że ja dla niego zawsze byłam kumpelką, że nigdy nawet nie pomyślał o mnie jak o dziewczynie, że nigdy mu na mnie nie zależało.

Jednak nie mówił nic.

No odezwij się! Proszę! Ta cisza przerażała mnie jeszcze bardziej. Znowu wbiłam wzrok w płytkę chodnikową.

– Ja ci się podobam od tak dawna? – zapytał w końcu.

Jak to? On tego nie zauważył? Tych miesięcy, kiedy wpatrywałam się w niego z zachwytem w oczach, kiedy plątał mi się język, kiedy szukałam możliwości, żeby znaleźć się obok niego? Jak można tego nie dostrzec? Zuza miała rację... Do mężczyzn należało mówić dużymi literami.

– Tak – odparłam cicho.

– Ja nie wiedziałem – powiedział szczerze. Nic nie odpowiedziałam.

– Ale naprawdę. Ja nie zdawałem sobie sprawy. Myślałem, że traktujesz mnie jak kolegę. Tylko jak kolegę. Zawsze mówiłaś mi o wszystkim, zwierzałaś się. Czuję się jak twoja koleżanka.

Przypomniałam sobie wszystkie nasze rozmowy. Ja naprawdę mówiłam mu o wszystkim. Stał się dla mnie taki bliski, że nie widziałam w tym nic złego. Całe szczęście, że powstrzymałam się przed użalaniem się, że na przykład poszło mi oczko w rajstopach czy że podpaski mi się skończyły.

Boże... mam nadzieję, że mu o takich rzeczach nie mówiłam! Ze mną wszystko jest możliwe, jak jestem zdenerwowana!

– Naprawdę sądziłem, że starasz się mnie od siebie odsunąć, pokazać mi, że jestem tylko twoim przyjacielem.

– Co...? – Nie mogłam w to uwierzyć.

To co ja niby miałam zrobić? Powiedzieć mu o moich uczuciach rok temu?

– Byłeś dla mnie ważny – wyznałam. – Dlatego o wszystkim ci mówiłam.

– Myślałem, że mnie odpychasz. – Zagryzł wargę. – A wtedy jak się całowaliśmy... no cóż... za pierwszym razem oboje byliśmy wstawieni, a za drugim był jakiś taki nastrój. Myślałem, że to

był wypadek.

Wypadek? Wypadek, cholera?!

– Poza tym jeszcze ten twój znajomy, Bartek. Widziałem, jak on na ciebie patrzy. Myślałem, że to twój chłopak. Nie chciałem się wtrącać. Poza tym, Wiki... ciągle gdzieś znikasz. Nie można się do ciebie dodzwonić. Ostatni raz widziałem cię, jak wsiadasz do superdrogiego auta jakiegoś buca i znikasz na tydzień bez słowa, bredząc tylko coś o jakimś balu... No co ja mogłem sobie pomyśleć? Doszedłem do wniosku, że to twój facet.

– To nie jest ani nigdy nie był i nie będzie mój chłopak – powiedziałam. – To tylko kolega z pracy.

– Wiki... z jakiej pracy? Gdzie ty znikasz na całe tygodnie? Nie chodzisz na zajęcia, nie ma cię w domu. Co się z tobą dzieje? W coś ty się wplątała...?

– W nic, Piotrek – uciełam. – W nic. To nie o tym przyszłam z tobą rozmawiać. Chciałam ci powiedzieć, że mi się podobasz. Milczał przez chwilę, także wbijając spojrzenie w niezwykle intrygujące płytki chodnikowe.

– Od roku... Czemu nic nie powiedziałaś? – zapytał.

– Bałam się, jak zareagujesz. Pokiwał głową.

– Naprawdę ci się podobam?

Miałam wrażenie, że chce usłyszeć zapewnienie, że tym razem nie jestem pijana i wiem, co mówię.

– Tak. – Ścisnęłam jego dłoń. – Ja... Powiedz to.

– Ja... – jeszcze raz spróbowałam. Powiedz to wreszcie!

– Ja cię chyba Kocham – w końcu dałam radę. Siedział w milczeniu.

Musiałam uciec, musiałam. Cała ta rozmowa... to był błąd. Ja musiałam stąd uciec! Wstałam. Jednak przytrzymał mnie za rękę i nie pozwolił odejść.

– Czekaj, Wiki – poprosił. – Ty też mi się bardzo podobasz. Wiki!

Ale ja już wyrwałam dłoń z jego uścisku i puściłam się biegiem w dół ulicy. Byle dalej od niego, byle dalej od słów, które zaraz powie, bo one zabolą.

Bo będą ostatnie.

– WIKI!!! – dobiegł mnie jego krzyk. – JA TEŻ CIĘ CHYBA KOCHAM! STÓJ!

Teraz już nie powstrzymywałam łez. Wszystko, wszystko sama popsułam. Już na samym początku. Dlaczego nie dałam mu jakiegoś znaku, że mi się podoba? Czemu nic nie zrobiłam?! Czemu nic nie powiedziałam?! A teraz było już za późno. Naprzeciwko mnie na obdrapanej ścianie pojawił się znajomy, błyszczący kontur. Zatrzymałam się gwałtownie, wpadając w głęboką kałużę.

W ciemnościach ulicy usłyszałam, jak ktoś biegnie. To Piotrek chciał mnie dogonić. Przeszłam szybko przez drzwi.

35

Siedziałam pomiędzy Belethem a Azazelem za metalowym biurkiem pośrodku ogromnej sali. Nie widziałam ścian ani sufitu. Niknęły w złowieszczych ciemnościach. Po obu naszych stronach stały długie ławy, w których zasiadały diabły i zaproszeni goście.

Zobaczyłam Kleopatę. Ona nie będzie sądzona, pomimo jej wyraźnego współudziału w moim ataku na mordercę. Jest o wiele skuteczniejsza od wszystkich diabłów w Piekło razem wziętych. Od kilku tysięcy lat nie przegrała żadnego targu. Nawet Piekłem rządzi ekonomia. Nie było siły, żeby skazali ją choćby i za najgorsze wykroczenie.

Tuż obok niej był Belfegor. Kręcił się, cały czas zerkając niespokojnie na tron znajdujący się przed nami. Tron, na którym zasiądzie Szatan.

Nasz sędzia.

Nasz kat.

Jeszcze raz potoczyłam spojrzeniem po całej sali. Zebrani przeważnie uśmiechali się i dowcipkowali. Oczekiwali świetnej zabawy, którą zaraz im dostarczymy.

Pięknie... no po prostu szlag by to wszystko trafił!

Nagle wszystkie spojrzenia odwróciły się w stronę tronu. W ciemnościach za nim pojawił się błyszczący kontur. Olbrzymie czarne wrota tłoczone w kształty zwierząt i ludzi otworzyły się. Przeszedł przez nie Lucyfer.

Wyglądał na zmęczonego. Miał podkrążone oczy i zmęczony chód. Wyobrażałam sobie, że będzie ubrany co najmniej w królewskie szaty, jednak mnie zaskoczył. Był w ciemnych spodniach, wpuszczonych w wysokie buty, i czarnej koszuli.

Nie miał korony, berła ani jakichkolwiek innych insygniów władzy absolutnej, którą sprawował w Piekło. Zasiadł na tronie i westchnął ciężko. Był bardzo zmęczony.

– Zebraliśmy się tutaj... – zaczął Szatan.

– ...by połączyć tych dwoje węzłem małżeńskim – wymruczałam pod nosem.

Beleth zachichotał i mrugnął do mnie. Hm... czy w Piekło są śluby?

– ...bo tych troje złamało zasady Niższej Arkadii – dokończył Lucyfer.

Jego głos poniósł się głośnym echem po komnacie bez ścian i sufitu. Azazel zerwał się z miejsca.

– A przepraszam bardzo – krzyknął. – A co ja takiego zrobiłem? Tylko pobiłem Napoleona. Należało się kurduplowi! No i Cezara... ale jemu też się należało. W ogóle nie rozumiem, co ja

tutaj robię!

Lucyfer potarł czoło.

– Niech go ktoś uspokoi... – powiedział zmęczonym głosem. Jak spod ziemi zza Azazela wychynał jakiś demon. Złapał go za ramiona i siłą posadził na miejsce.

– Wypraszam sobie! – nadal krzyczał diabeł. – To łamanie moich praw i... i...!

Demon mocniej ścisnął go za ramiona, żeby tylko Azazel się zamknął.

– I kości!!! – pisnął, ale wreszcie zamilkł. Lucyfer westchnął jeszcze raz. Kolejny demon stanął tym razem przed nim i wyjął z kieszeni kartkę papieru.

– Zarzuty!!! – zagrzemiał, plując śliną na dobre dwa metry.

– Diablicą Wiktoria... Wstałam.

– Oskarżona o: podpalenie dwudziestu siedmiu drzew na Polach Mokotowskich w Warszawie, w Polsce. Okaleczenie mężczyzny, to jest pozbawienie go głosu na czas określony i pozbawienia go jąder na czas nieokreślony, w Warszawie, w Polsce. Doprowadzenie do zaburzeń psychicznych dwóch strażników miejskich, w Warszawie, w Polsce. Włamanie do Urzędu do pokoju numer 6, w Los Diablos, w Piekło.

Ooo... a o tym to skąd wiedzą?

– Włamanie do gabinetu Lucyfera, w Los Diablos, w Piekło – kontynuował dalej demon. – Włamanie do prywatnego komputera Lucyfera, w Los Diablos, w Piekło. Włamanie do tajnych plików w prywatnym komputerze Lucyfera, w Los Diablos, w Piekło. Czytanie tajnych dokumentów, w tajnych plikach, w prywatnym komputerze Lucyfera, w Los Diablos, w Piekło.

Zaraz mnie chyba oskarżą jeszcze o to, że poprzestawiałam mu przecinki w tym dokumencie...

– Czy oskarżona chce coś dodać? – zapytał demon.

– Dodać nie, ale chciałabym o coś zapytać – odparłam nieśmiało.

Beleth zgromił mnie wzrokiem. Bynajmniej nie zamierzałam przejmować się jego miną, mówiącą: „Bądź cicho! Nie pograżaj nas!”

– Chciałam zapytać o tych strażników miejskich – powiedziałam. – Co im się stało?

– Po tym jak zobaczyli cię strzelającą ogniem z dłoni, wymagali leczenia psychiatrycznego – odrzekł Lucyfer. – Teraz obaj siedzą zamknięci w ośrodku psychiatrycznym w Tworkach.

– Och... nie wiedziałam... Co prawda praca strażnika miejskiego jest bardzo stresująca. Przyda im się trochę odpoczynku. Podobno w Tworkach jest całkiem ładnie...

Po sali przebiegł stłumiony chichot. Lucyfer zmrugał oczy. Beleth szarpnął mnie za ramię i siłą posadził na krześle obok siebie.

Szlag by to trafił. Oskarżono mnie o wiele przestępstw. Nie miałam szans na ułaskawienie ani okoliczności łagodzące. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, co robię. Byłam w pełni poczytalna.

– Diabeł Beleth – zagrzemiał demon i zaczął wymieniać przewinienia mojego towarzysza.

Były mniej więcej takie same jak moje, z tym wyjątkiem, że przed każdym zarzutem znajdował się wstęp: „niedopatrzenie w kurateli nad diablicą Wiktoria, które spowodowało, że...”

Kuratela? Przepraszam bardzo, ale o kurateli nie było słowa. On mi wmawiał od początku, że

jest tylko konsultantem!

Beletha nie oskarżono o włamanie do Urzędu. Skrzywiłam się. To czemu mnie o to oskarżyli? Wszyscy się tam włamaliśmy. Czemu tylko ja obrywam?

– Czy oskarżony chce coś dodać? – zapytał demon. Beleth pokręcił głową i usiadł obok mnie.

– Diabeł Azazel – zagrzemiał demon.

– No nareszcie! – krzyknął wyczytany i wstał. – Teraz dowiemy się, o co ta cała farsa!

– Oskarżony o: matactwo, które doprowadziło do zgłoszenia na kandydatkę na diabolicę osobę posiadającą Iskrę Bożą... Po sali przebiegł głośny szmer, który Lucyfer uciszył, podnosząc dłoń.

Rozejrzałam się. Wszyscy wpatrywali się we mnie z obawą. No jasne. Bójcie się! Jak się wkurzę, to sprawię, że wam kwiatki szybciej urosną w doniczkach...

– Kurwa... – warknął Azazel. – Pięć tysięcy...

– Włamanie do Urzędu, w Los Diablos, w Piekło – kontynuował demon, rozwijając długą listę.

– Zaraz, zaraz, zaraz!!! – przerwał mu Azazel, zerkając na Beletha, który siedział zaskoczony. W końcu jego o to nie oskarżyli, a naszego podstępnego diabełka tak.

– Jak to włamanie do Urzędu?! – dalej krzyczał. – Ja nic o tym nie wiem!

– Na wyłączniku światła był odcisk twojego palca. – Lucyfer uśmiechnął się zadowolony.

– O, kurwa... siedem tysięcy – mruknął Azazel, pocierając czoło.

Zmarszczyłam brwi, nie rozumiejąc jego uwagi.

Rzeczywiście – przecież wtedy oba diabły sumiennie pilnowały się, żeby niczego nie dotykać. Za to ja, jak ostatnia kretyńka, macałam każdą płaską powierzchnię łącznie ze ścianami.

Tak, pamiętam to, Azazel tuż przed wyjściem zaczął pomstować, że demon nie zgasił światła, i pstryknął w kontakt. Tak naprawdę to ja włączyłam światło. Spojrzałam na Azazela z zadowoleniem. Wreszcie i jemu się dostało. I to dzięki mnie!!! Poczułam dumę.

– Spowodowanie zamieszek na balu u Szatana z okazji rocznicy objęcia tronu piekielnego – kontynuował demon. Wymienił po kolei wszystkie zniszczenia. Piranie w fontannie znowu mnie rozbawiły. Szkoda, że nie trzymał tam aligatorów...

– Założenie nielegalnej organizacji pod nazwą „Ruch Wyzwolenia Jąder”.

– Zaraz, zaraz! Protestuję! – znowu przerwał Azazel. – To nie jest moja organizacja. To tajna sekta Lucyfera. Kilka osób na sali głośno wstrzymało powietrze.

– To nie jest moja sekta – warknął Szatan.

– Tak? – zakpił Azazel. – Udowodnij to! Wszyscy jej członkowie czcili twoje imię. W pokoju 646, w Dziale organizacji i konsultingu małych firm, jest złożone podanie na taką firmę, podpisane twoim imieniem i z twoim własnoręcznym podpisem.

– Tak. – Lucyfer uśmiechnął się szeroko. – To możliwe. Jednak na brunatnym formularzu złożonym w pokoju 466, w Dziale zatwierdzeń małych firm jest już podpis sfalszowany przez ciebie. Jakiś durny bohomasz, który miał udawać mój misterny podpis. Sześciu naszych najlepszych grafologów potwierdzi, że nie jest to moje pismo. Za to na wszystkich dokumentach są twoje odciski palców.

Azazel otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Usłyszałam jednak, jak mruczy do siebie cicho:

– O, kurwa... piętnaście tysięcy.

– Jak wiesz... tworzenie sekt jest surowo zabronione. – Lucyfer siedział wyprostowany z wesołym uśmiechem na przystojnej twarzy. Był bardzo zadowolony z faktu, że znalazł haczyk na nieposłusznego diabła. – W ogóle po co ci to było? Myślałeś, że wysadzisz świat?

Wysadzi świat? O co chodzi? Nagle skojarzyłam wszystkie fakty: „głębszy sens”, „największa filia w Korei Północnej”.

– A! – krzyknęłam. – Więc to chodziło o jądra atomowe? O energię jądrową? A ja myślałam, że ty jesteś zwykłym zbrojnym!

Na sali zapadła cisza. Beleth ukrył twarz w dłoniach. Jego potężne ramiona zatrzęsły się od śmiechu. Och, to... tylko ja nie wiedziałam? – wybąkałam i opuściłam się niżej na krześle, usiłując ukryć się przed ich potępiającymi spojrzeniami.

Lucyfer znowu spojrzał na Azazela, tracąc zainteresowanie mną.

– Co ty chciałeś osiągnąć? – warknął. – Po prostu zniszczyć świat?

– Tak – odparł Azazel i uśmiechnął się przeproszająco do publiczności. – Jednak robiłem tylko to, czego chcieli ludzie.

– Słucham? – zapytał zbity z tropu Szatan.

Wszyscy, łącznie ze mną i z Belethem, wpatrywaliśmy się w niego w kompletnym zdziwieniu. Co tym razem strzeliło mu do głowy?

– Ile razy to ludzie chcieli, żeby świat zniknął, żeby to wszystko szlag trafił? No ile? – zapytał, uśmiechając się. Zastanowiłam się. Coś w tym było. Sama użyłam dzisiaj zwrotu „szlag by to trafił” chyba z sześć razy.

– Ja tylko staram się spełniać ludzkie marzenia. – Wzruszył skromnie ramionami.

Lucyfer siedział nieruchomo, nie wiedząc, jak zareagować na tę prowokację. W końcu odezwał się, dokładnie ważąc słowa:

– Owszem, anioły i diabły mają za zadanie pomagać ludziom, jednak nie jest to taka pomoc. Nie zapominaj o tym, Azazelu. Poza tym wszyscy doskonale wiemy, jak nienawidzisz ludzi. Od dawna chciałeś ich zniszczyć. – Posłał mu potępiające spojrzenie. – Ale skąd pomysł, by wykorzystywać do tego tę diabolicę?

Azazel odwrócił się w moją stronę, jakby dopiero co zauważył, że siedzę tuż obok niego.

– Wykorzystywać? – zdziwił się teatralnie, a następnie zwrócił do mnie: – Słońce, czy ja cię kiedykolwiek do czegoś namawiałem? Albo ci skłamałem? Czy powiedziałem „idź tam i wykastuj mordercę” albo „idź włam się do komnat Szatana”? Nie. Ja tylko mówiłem, że bym tak zrobił, gdybym był na twoim miejscu. To ty podjęłaś decyzję.

Słuchałam go zamyślona. Azazel dobrze pilnował wszystkich swoich słów. Miał rację. Nie skłamał mi ani razu. Zawsze słyszałam od niego prawdę. Może nie całą... ale prawdę. No i nie namawiał mnie do niczego. Był wręcz zbulwersowany, gdy mu opowiadałam, co robiłam, i potępiał moje zachowanie. Azazel był bardzo sprytny.

Poza mną uważało tak także kilka osób na widowni. Kiwali głowami w zachwycie nad inteligencją diabła.

– Nigdy do niczego cię nie namawiałem – kontynuował i jeszcze raz powtórzył: – Mówiłem

tylko, co ja bym zrobił. Równie dobrze mogłem powiedzieć ci, że... że... – zamyślił się – że na twoim miejscu przespałbym się z Belethem!

Beleth dosłownie storpedował go wzrokiem.

– Czego robić nie zamierzam, bo nie jest w moim typie – dopowiedział szybko Azazel.

– No ja myślę, że nie zamierzasz... – warknął Beleth z odrazą.

– Jak dla mnie, masz za małe cycki – oświadczył mu prosto z mostu Azazel.

Chichot na sali przerodził się w głośny śmiech. Podstępny diabeł właśnie do tego dążył. Teraz publiczność była po jego stronie, zauroczona jego dowcipem i urokiem osobistym.

– Cicho!!! – zagrzmiął wściekły Lucyfer.

Azazel wykrzywił się teatralnie do zgromadzonych.

– Wiesz, co uczyniłeś? – warknął Niosący Światłość. – Co mogło się zdarzyć?

Diabeł nie wyglądał na skruszzonego. Wyzywająco wpatrywał się w oczy swojego władcy.

– Tak – bezczelnie powiedział Azazel. – Prawie doprowadziłem do unicestwienia ludzkości, bo jedna dziewczyna ujawniła swoją moc. Wielkie mi rzeczy... Nic się nie stało. Spaliło się kilka drzew. Chciałem się tylko trochę zabawić.

Lucyfer wydał z siebie ryk.

– Już po raz drugi usiłowałeś doprowadzić ludzi do zagłady!!! Że już nawet nie wspomnę o tej twojej żalosnej sekcie!

– Jak to do zagłady? Jakiej zagłady? – wykrzyknął wreszcie lekko przestraszony Azazel. – Przecież tym razem nic złego nie zrobiłem.

– Może tym razem udało ci się nie doprowadzić do zlodowacenia całej północnej półkuli, ale zdrowo namieszałeś! – wycedził Lucyfer. – Naciskają na mnie ci z góry. Czy wiesz, że Gabriel nadal nienawidzi cię za wyginięcie mamutów?! W końcu to on je wymyślił!

Azazel wbił spojrzenie w posadzkę.

– Włochate słonie. Też coś! Miał pomysł równie inteligentny, co Ariel wymyślając wirusy. „Takie małe, niegroźne, komu mogą zaszkodzić?” – zaczął naśladować anioła znanego z dość wysokiego głosu. – Poza tym to nie ja wybiłem mamuty. Zrobili to ludzie.

– ALE W TRAKCIE TWOJEJ EPOKI LODOWCOWEJ!!! – Lucyfer wyglądał, jakby miał wybuchnąć.

Ach, więc to dlatego Azazel został zdegradowany na dziesięć tysięcy lat. W końcu mniej więcej tyle czasu minęło od ostatniej epoki lodowcowej. Spojrzałam na niego z podziwem. Ja bym nie umiała zrobić globalnego zlodowacenia. Ba! Ja bym nawet nie wpadła na to, żeby zrobić coś takiego!

– Znowu muszę cię zawiesić na dziesięć tysięcy lat! – zagrzmiął Lucyfer.

– Dziesięć? – wykrzyknął z radością Azazel. – A myślałem, że zarobiłem na co najmniej piętnaście! Westchnął teatralnie, klepiąc się po piersi.

– A jak znowu coś wtedy wymyślisz, to następnym razem zamknę cię na dwa razy dłużej! – krzyknął Szatan.

Azazel zgarbił się.

– Nie mam już co wymyślić... Ariel wymyślił także wielce uroczą Ebolę, którą właśnie ktoś

wykrađa z laboratorium zajmującego si broni biologiczn.

Lucyfer zamarł.

– Gdzie?! Musimy go powstrzymać!

Oczy Azazela rozbłysły. Diabeł uśmiechn si chytrze.

– A jak powiem gdzie, to skrócisz mi wyrok o tysiąc lat?

– Nie ma mowy – warkn Szatan. – Juź wolę, żeby świat przestał istnieć.

Azazel wyćwiczonym ruchem poprawił na sobie garnitur. Niczym adwokat rozejrzał si po twarzach zebranych, a następnie wyszedł z za biurka.

– Nadal uwaŹam, Źe to jedno wielkie nieporozumienie – powiedział, Źywo gestykułuj. – Nic przecieŹ nie zrobiłem. Owszem, włamałem si do Urzędu i sfałszowałem kilka dokumentów, by załóŹyć sektę i umoŹliwić tej pięknej damie rozwój kariery – wskazał na mnie. – Jednak to tylko drobne wykroczenia. Nie ma Źadnych powaŹnych konsekwencji wynikajcych z, nawiasem mówi, twoich zaniedbań, Lucyferze. To ty zatwierdziłeś przyjcie Wiktorii na to stanowisko i podarowanie jej mocy. KaŹde jej następnie posunięcie, świadome czy nieświadome, jest twoj win. Tak naprawdę to ty ponosisz za to odpowiedzialność. To twoje niedopatrzenie. W końcu jako nasz władca powinienes nad nami czuwać.

AŹ miałam ochotę zakłaskać. Piekło jest miejscem wielu wynalazków: podatków, skarbówki, opalania si topless, ale nie zdawałam sobie sprawy, Źe prawnicy teŹ tu raczkuj.

Szatan cały poczerwieniał.

– Tak!!! – wrzasn. – To było moje niedopatrzenie, bo sfałszowałeś dokumenty!!! Czym doprowadziłeś do powaŹnego błędu. Ona ma ISKRĘ!!! A my dodatkowo daliśmy jej MOC. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co si stało? Ona jest potężniejsza od kaŹdego z nas.

Azazel wzruszył ramionami, jakby go to nie obchodziło. Szmer na widowni stawał si coraz głośniejszy. Widziałam nienawistne spojrzenia skierowane w moją stronę. Beleth wzi mnie za rękę.

– Będzie dobrze – szepn.

– Tak nie powinno si stać. Mieliśmy ogromne szczęście, Źe ta diabolic nie zrobiła nic złego – kontynuował Szatan. – Musimy si postarać, by to wydarzenie było dla nas nauzk. Juź nigdy Źadna osoba z Iskr BoŹ nie dostanie mocy ani nie stanie si obywatelem Piekła czy Nieba. Proszę chętnych diabłów o zgłoszenie si jutro do mnie. Musimy niezwłocznie rozpoczć eksterminację pozostałych śmiertelników posiadajcych ten dar. – Skierował na nas swoje spojrzenie. – Cała wasza trójka zostaje skazana. Azazel na dziesięć tysięcy lat zawieszenia w prawach, Beleth na pięć tysięcy lat. Po tym czasie odzyskacie swoje klucze.

Azazel miał ochotę głośnie zaprotestować, jednak Lucyfer nie dał mu dojść do słowa.

– Pojutrze odbierzemy Wiktorii moc. Jako Źe juź stałaś si obywatelk Piekieł, nakładam na ciebie zakaz uŹywania Iskry. Juź na zawsze. Od teraz jesteś zwykłym człowiekiem...

36

W trójkę wyszliśmy z sali odprowadzani niechętnym wzrokiem widzów. Azazel dzielnie walczył o ich sympatię, jednak nie wygrał z Lucyferem. Jedynie Beleth był zadowolony. Jego krok był sprężysty i pełen siły. Diabeł był szczęśliwy.

Nie rozmawialiśmy. W milczeniu szliśmy długimi, pozbawionymi wyrazu korytarzami w stronę wyjścia z Urzędu. Gdy stanęliśmy na oświetlonym gorącym słońcem Los Diablos placu, Azazel nie wytrzymał. Z wściekłością kopnął kamień i zaczął głośno kłać. Przechodnie oglądali się za nim z niepokojem.

– Znowu! Znowu mnie wrobił! – wrzasnął w końcu Azazel i zawył do nieba. Staliśmy cierpliwie obok.

– Lepiej ci? – zapytałam, gdy umilkł.

– Tak – odparł.

Ruszyliśmy zgodnym krokiem w stronę plaży. A raczej to ja ruszyłam w jej stronę, a oni podążyli za mną. Usiedliśmy na murku twarzami do morza.

– Nie rozumiem, czemu jesteście tacy przybici. – Beleth siedzący między nami objął nas ramionami. – Azazel. Przecież poprzednio jak zostałeś zdegradowany na dziesięć tysięcy lat, to pierwsze pięć tysięcy musiałeś odsiedzieć w celi. Teraz Lucyfer nie skazał cię na zamknięcie.

Zerknęłam na niego. Pięć tysięcy lat w czterech ścianach, bez okien i bez możliwości wyjścia? Nic dziwnego, że teraz był taki... specyficzny.

– Wiktorio – mówił dalej Beleth. – Ty też podnieś uszy do góry. Ciebie również nie zamyka. Owszem, zabierze ci moc i zakaze używać Iskry, jednak co to zmienia? Nadal jesteś pełnoprawną obywatelką Piekieł.

– Ale nie będę mogła podróżować na Ziemię – zauważyłam. – Już nigdy... Wolalabym pięć tysięcy lat odsiadki.

Zastanowiłam się. Wcale nie pragnęłam zawieszenia w Piekle na tysiąclecia. Chciałam móc wracać na Ziemię do Piotrka.

A teraz? Już nie mogłam. Nigdy! To pewnie dlatego Beleth był taki wesolutki...

– Już ich nie zobaczę. – Rozplakałam się.

Mówiłam „ich”, jednak miałam na myśli głównie jego. Powiedział, że mnie kocha. No dobrze... powiedział, że „chyba mnie kocha”, ale ja używałam tych samych słów. Wyznaliśmy sobie miłość.

A ja nie zobaczę go aż do jego śmierci. O ile trafi do Piekła. Nie potrafię czekać na jego śmierć. To jest takie... niestosowne. Poza tym do tego czasu może pokochać kogoś innego.

Azazel także był zawiedziony. Zwrócił się do Beletha:

– Ja też nie jestem zadowolony z wyniku. Co z tego, że nie siedzę w celi? Nawet jeszcze nic nie zrobiłem. Miałem wielki, wspaniały plan, żeby doprowadzić Lucyfera do upadku, a on mi przerwał w połowie.

– Wszystko poszło nie tak – powiedziałam przez łzy.

Już nawet nie byłam na niego zła, że chciał mnie wykorzystać. W końcu to moja głupota i łatwowierność sprawiły, że tak łatwo wplątywałam się we wszystko, co Azazel planował.

– A już byłem blisko. – Podstępny diabeł się skrzywił. – Wtedy w Urzędzie, kiedy się włamaliśmy, żeby zmienić dokumenty, Wiktoria była bliska wybuchu. Już prawie doprowadziłem ją do ostateczności.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Wiedziałeś, że jestem tam z wami?

– Oczywiście. Widziałem cię przez cały czas. Wiktorio, ja zawsze mam wszystko zaplanowane. Pamiętasz, jak poszliśmy na spotkanie moich wyznawców? Wypowiedziałeś wtedy pewne życzenie. Chciałaś być ZAWSZE widziana przeze mnie. To było sprytne. Nawet jak na mnie.

A to właśnie była taka chwila, kiedy miałam ochotę użyć Iskry w niecnym celu. Beleth wypuścił ze świstem powietrze.

– Czyli obojgiem nas manipulowałeś wtedy, prawda? Dokumenty były już sporządzone prawidłowo. Podpuściłeś mnie, że tam jest coś, co mogłoby podburzyć przeciwko nam Wiki, a ja się na to złapałem... Chciałeś po prostu, żeby ona zobaczyła nas, jak manipulujemy jej biografią.

– Oczywiście, że tak. Od początku wami manipulowałem – zgodził się z nim Azazel. – Chodziło o to, żeby podburzyć Wiktorię, żeby zrobiła coś wielkiego i głośnego.

– Boże... ty jesteś nienormalny – westchnęłam.

– Wypraszam sobie. Co najwyżej odrobinę ekscentryczny. Słuchajcie, przecież chodziło mi tylko o to, żeby zrzucić ze stołka Lucyfera. Przyznaję. Wykorzystałem was, ale sami pomyślcie. Czy pomogliście mi, gdybym powiedział, co zamierzam? Wiki, czy narobiłabyś zamieszania? Nie. Beleth, czy namawiałbyś Wiktorię do szaleństw i usiłował zamordować jej kochanka? Też nie.

– To nie jest mój kochanek!!! – wtrąciłam.

– Bo sierota z ciebie – stwierdził Azazel.

Już miałam wybuchnąć, ale nie dając mi dojść do słowa, wrócił do poprzedniego tematu:

– Jak sami widzicie, zachowałem się paskudnie i niewybaczalnie. Ale zrobiłem to tylko dlatego... że nikt mnie nie lubi... Nikt nie uważa mnie za prawdziwego przyjaciela, dla którego nadstawiłby bez zastanowienia kark. Nawet ty, Belecie. Kocham cię jak brata, wiem, że ty mnie też, ale tak naprawdę mnie nie lubisz. Mnie nikt nie lubi...

Wpatrywaliśmy się w niego w milczeniu. Ta łzawa skrucha była podejrzana. Azazel doskonale wystudowanym gestem potarł suche oczy.

– A tak serio, to w co chcesz nas teraz wmanewrować? – zapytał Beleth.

Azazel myślał przez chwilę. W końcu uśmiechnął się szeroko, zrzucając maskę pokrzywdzonego przez los cierpiętnika.

– W rewolucję.

No tak... można się było tego po nim spodziewać.

– Szatan chce bezprawnie mordować ludzi. Nie możemy na to pozwolić – kontynuował diabeł. – To godzi we wszystkie wartości, które wyznajemy.

Beleth przyglądał mu się krytycznie.

– Taa, a zwłaszcza w twoje wartości. Jak to było? Człowiek to proch i pył?

Azazel posłał mu urażone spojrzenie.

– Ależ mnie zależy na ludziach!

– Jasne... – prychnęłam. – Powiedz prawdę, o co ci chodzi? Westchnął, udając zmęczenie. Posłał nam spojrzenie niepozostawiające złudzeń, że uważa nas za tępaków.

– No niech wam będzie... nie chciałem wam tego mówić dla waszego dobra. Teraz będziecie współwinni. Gdy przeszkodzimy mu na Ziemi w tych bezprawnych morderstwach, powstanie małe zamieszanie. Tego, co się dzieje w Piekło, nie widzą ci na górze – wskazał palcem w niebo. – Ale to, co się będzie działo na Ziemi, na pewno zauważą. Nie mówi się o tym głośno, ale Lucyfer podlega ich władzy. Kiedy zobaczą, co on wyprawia, na pewno go zdegradują. A kto najlepiej nadaje się na jego miejsce? Kto jest na tyle przystojny, mądry, elokwentny, wykształcony i pełen pomysłów na przyszłość, które mogą zrewolucjonizować Piekło? Nie odpowiedzieliśmy. Pytanie było czysto retoryczne.

– To jak? Pomożecie? – Spojrzał na nas wyczekująco. – Na Ziemi jest dziesiątka osób posiadających Iskrę, poza tobą, Wiki. Dziesięć niewinnych osób, które on chce zamordować.

Przygryzłam wargę. Nad naszymi głowami zaskrzeczała żałośnie mewa. Cicho szumiały fale, słońce malowało na skórze brązową opaleniznę.

– Szatan chce ich zabić? – dopytałam.

– Skarbie, nie zabić. Unicestwić – sprecyzował Azazel. Zerknęłam na Beletha, żeby się upewnić, czy on nie kłamie. Beleth pokiwał głową na znak, że zgadza się z przedmówcą.

– Nie rozumiem – powiedziałam cicho.

– Posłuchaj. – Beleth wziął mnie za rękę. – Lucyfer chce ich po prostu zlikwidować jako zbyt niebezpiecznych. Na Ziemi nie mają żadnej mocy, jednak gdy umrą, trafią do Piekła lub Nieba, gdzie będą już posiadać siłę Iskry. On chce po prostu nie dopuścić do tego, by trafili do któregoś ze światów pozagrobowych. Po prostu przestaną istnieć.

– Jak mordercy, o których mi kiedyś opowiadałeś?

– Tak – potwierdził Beleth.

– Ale on nie może! – wykrzyknęłam.

– Właśnie, że może. Gdy człowiek zostanie zabity przez anioła lub diabła, po prostu przestaje istnieć. Nie trafia do żadnej Arkadii. Ani do tej na górze, ani do tej na dole.

– To bez sensu – zaoponowałam. – Sam mi mówiłeś, jak łatwo zabić człowieka. Wystarczy wyobrazić sobie, że zaciska mu się jedna tętniczka w mózgu. Nie damy rady obronić przed tym

tych ludzi.

Azazel zaśmiał się głośno i zeskoczył z murka.

– Skarbie, gdyby tak zabijali, to każda dusza trafiłaby do świata pozagrobowego. By unicestwić raz na zawsze, potrzebny jest specjalny rytuał. Muszą zabić śmiertelnika gorejącym mieczem. Cios prosto w serce. Bez litości.

– Gorejącym mieczem? – powtórzyłam z nabożną czcią. Skojarzyło mi się to ze świętymi obrazkami, na których anioły stoją z płonącymi mieczami, a u ich stóp korzą się grzeszni ludzie.

– Ta, to taka tandeta. – Azazel odegrał krótką pantomimę, w której wbijał miecz w wyimaginowanego przeciwnika. – Cienka szabelka zanurzona w świętej wodzie i pobłogosławiona przez Szatana. Szczerze to wystarczyłaby choćby wykałaczką, ale oni upierają się przy tym, że miecze to tradycja. A mówiłem im, żeby przestawić się na pistolety i święcie kule, ale nie! Oczywiście jak Azazel wymyślił, to źle! To Piekło jest tak zacofane... Ech, gdybym to jabył Szatanem...

– W sumie dobrze, że cię nie posłuchali – zauważył sucho Beleth. – Łatwiej wstrzymać miecz niż zawrócić kulę... Azazel stanął przed nami i rozłożył ramiona.

– To jak? Przyjaciele, pomożecie?

Spojrzelśmy po sobie. Wahałam się. Nie chciałam mocniej rozwścieczyć Szatana. Chociaż z drugiej strony – co jeszcze mógł mi zrobić? Zabrał mi już wszystko.

Beleth uśmiechał się szeroko. Dla niego była to dobra zabawa. Miał ochotę pobiegać po Ziemi z mieczykiem w dłoni. Pochylił się do przodu. Widziałam po jego minie, że coraz bardziej podobał mu się pomysł, żeby pokrzyżować Lucyferowi szyki.

On już podjął decyzję. Ja nie mogłam się zdecydować. Azazel zacmokał ze złością, wpatrując się we mnie.

– Wiedziałem, że tak będzie. – Westchnął ciężko. – Wiktorio... nie chciałem ci tego mówić, ale widzę, że nie mam wyboru. Twój Piotr ma Iskrę...

Zaśmiałam się.

– Jasne, a świstak siedzi, bo te sreberka były kradzione – zacytowałam słynną przeróbkę starej reklamy czekolady Milka.

Obaj spojrzeli na mnie, nie rozumiejąc.

– To takie powiedzenie – stwierdziłam.

Nadal przyglądali mi się z kompletną pustką w oczach.

– Ech... znaczy, że ci nie wierzę...

– Aha... ale bez żartów. Nie kłamię tylko dlatego, żeby cię przekonać. Kiedy szukałem osoby obdarzonej Iskrą w Polsce, znalazłem dwie takie osoby. Ciebie i jego.

– Jasne – prychnęłam. – Tak przypadkiem osoba, na której mi najbardziej w świecie zależy, jest zagrożona, a Szatan chce z niej zrobić szaszłyk?

Azazel wzruszył ramionami.

– Taki jest ten brutalny świat – stwierdził. Spojrzałam na Beletha.

– Ja nie mam pojęcia, czy on mówi prawdę – wyznał.

– Och, sama przecież możesz sprawdzić, że tym razem nie kłamię – wykrzyknął Azazel. –

Poprosimy jakiegoś diabła, żeby nam pokazał spis osób objętych listem gończym. Pewnie wszyscy go dostali.

Beleth zmarszczył brwi i jakby zapadł się w sobie. Jego ochota do pomocy śmiertelnikom bardzo szybko się ulotniła. Za to we mnie wstąpił duch walki. To znaczy, o ile Azazel nie kłamał – zamierzałam najpierw to sprawdzić.

Azazel trzasnął się dłonią w czoło, patrząc na Beletha. Uzmysłowił sobie, że teraz, gdy mnie przekonał, na odmianę stracił zainteresowanie diabła.

– Bracie, nie rób mi tego – wyjęczał. – A może nie uda nam się uratować jej kochanka.

– To nie jest mój kochanek – zdążyłam wtrącić. – Przestań go tak nazywać!

– Sam nie wiem – powiedział niechętnie Beleth. Azazel pochylił się w jego stronę.

– Pomyśl... jak ten Piotr zareaguje na wojnę diabłów? Poza tym – odwrócił się w moją stronę – może nam się nie udać go uratować. Trzeba się z tym liczyć.

Już ja się zamierzałam postarać, żeby udało im się go ocalić. Azazel dobrze o tym wiedział.

– No, bracie, pomyśl, jaka to będzie zabawa. Będziemy mogli być na Ziemi sobą. Znowu po tylu milionach lat. Żywioty będą nasze. Ludzie będą klękać z szacunku na nasz widok.

– Chyba ze strachu... – mruknęłam ponuro, ale nie zostałam przez nich zauważona.

– A jak dostaniemy się na Ziemię? – zapytał smętnie Beleth. – Żadne z nas nie ma klucza.

Azazel uśmiechnął się, zadowolony, że Beleth już przeszedł na jego stronę. Zdołał go przekonać swoją wizją hasania po Ziemi bez żadnej odpowiedzialności za czyny.

– Belfegor nas przeprowadzi. – Azazel teatralnym gestem odgarnął włosy z czoła. – Lubi mnie.

Zerknęliśmy z Belethem po sobie, ale powstrzymaliśmy się od komentarzy.

– To jak? – zapytał i wyciągnął rękę. – Rewolucja? Beleth położył swoją dłoń na jego i powiedział:

– Rewolucja.

Spojrzeli na mnie wyczekująco. Odwróciłam się w stronę górującej nad miastem rezydencji Szatana. Już nie wydawała mi się wesoła i pastelowa. Gargulce, których wcześniej nie zauważyłam, rzucały ponure cienie na plac. Ich powykręcane mordy kpiły z całego świata.

Chcesz zabić Piotrusia, ty kanalio? Położyłam swoją dłoń na ich dłoniach.

– Rewolucja!

Wyrzłałam powoli zza firanki. Było późne popołudnie, jednak ciemne, deszczowe chmury skutecznie zasłaniały światło słoneczne. Niedługo zacznie zmierzchać. Było dość ciemno jak na tak wczesną porę. Ze zgrzytem, tuż pod oknem, przejechał tramwaj. Ludzie kręcili się po ulicach, wracali po pracy do domów, szli na zakupy.

Minęły już dwa tygodnie, odkąd uciekliśmy z Piekła. Zrobiło się o tym naprawdę głośno. Był to bezprecedensowy przypadek – ktoś odważył się zwać z Niższej Arkadii. Żałuję, że nie widziałam twarzy spokojnego Lucyfera, gdy dotarła do niego ta radosna nowina.

Beleth siedział na kanapie i grał w Diablo, co chwilę pokrzykując do swojej cycatej bohaterki na ekranie laptopa. Azazela nie było. Robił właśnie obchód. Jego paranoja nie znała granic. Co godzinę sprawdzał wszystkie dziesięć posterunków na całym świecie. Kiedy on spał? Doprawdy nie wiem...

Nie mogliśmy być w tylu miejscach naraz, więc porozstawialiśmy czujki. Starych znajomych Azazela, jak sam ich nazwał.

Nie wierzyłam, że to jego znajomi. Na pewno ich w to wmanewrował, egzekwując lojalność jakąś dawno zapomnianą przysługą, którą byli mu winni.

Mogliśmy się spokojnie poruszać po całym świecie dzięki kluczowi diabła. Kradzionemu, rzecz jasna, jak podały piekielne dzienniki dwa tygodnie temu.

Czy rzeczywiście był kradziony, nie jestem pewna. Jego poprzednim właścicielem był Belfegor...

– Giń, zarazo!!! – z zamyślenia wyrwał mnie podniecony krzyk Beletha, któremu zawtórowało wściekłe walenie w klawiaturę.

Duże dziecko...

Nasz obiekt w mieszkaniu, w bloku po przeciwnej stronie ulicy, właśnie zapalił światło w kuchni. Czujnie śledziłam każdy jego ruch. Tak jak wszystkie osoby z Iskrą musiał być pod stałą obserwacją. Od nas zależało jego życie.

Widziałam jego sylwetkę. Otworzył lodówkę i chwilę stał w bezruchu, kontemplując jej pustkę. W końcu doszedł chyba do konstruktywnych wniosków, bo wyciągnął z kieszeni komórkę i wystukał jakiś numer.

Dzwonił po pizzę.

Zgasił światło i przeszedł do swojego pokoju. Stary żyrandol z wynajmowanego mieszkania

rzucał ciepłe światło na błękitne ściany. Obiekt usiadł na łóżku i wzdychając, sięgnął po grube tomiszcze. Położył się i oparł książkę na brzuchu. Uczył się. To jakaś nowość!

Sięgnęłam po lornetkę. Książka przyciśnięta ręką nie przewracała się, gdy klatka piersiowa unosiła mu się przy głębokim, spokojnym wdechu i wydechu. Piotruś miał zamknięte oczy. Spał... Jednak to nie nowość.

Nagle ściana za moimi plecami rozjarzyła się. Nasza tymczasowa kryjówka była typowym mieszkaniem w komunistycznym mrówkowcu z wielkiej płyty. Sufit był dość nisko, więc wysokie wrota by się nie zmieściły. Jednak klucz Belfegora pasował do małych, białych drzwiczek z firanką zasłaniającą szybkę, nie było więc żadnego problemu.

Azazel wszedł do mieszkania, niosąc na rękach kilka długich pokrowców, wysadzanych kamieniami szlachetnymi, i jakieś kartki.

– Skoczyłem do Piekła – oznajmił nam, rzucając na tapczan swoje pakunki.

– Zwariowałeś? – zwyczajowo zapytał Beleth.

– Nie... – odparł wesoło Azazel. – Chciałem sprawdzić, jak się sprawy mają.

Podeszłam do nich. Tę samą rozmowę powtarzali codziennie. Jednak jeszcze nigdy diabeł nie przyniósł ze sobą niczego z Piekła.

– Co to? – zapytałam.

– To te szabelki i miecze, którymi poplecznicy Szatana chcą zabijać ludzi z Iskrą. Buchnąłem kilka. – Wyszczrzył zęby. – Będą musieli zrobić nowe.

Wziął pokrowiec i wyjął z niego długą, lekko zakrzywioną szablę.

– Nie wiedziałem, jakie będziecie chcieli, więc wziąłem różne – oznajmił i rzucił mi jedną.

Niezgrabnie ją złapałam. Okazała się cięższa, niż myślałam. Wysunęła mi się z rąk i z głośnym trzaskiem uderzyła ostrzem o podłogę. Pół centymetra od mojego dużego pale u nogi.

Beleth podniósł ją, gdy ja podziwiałam wypaloną, podłużną i dość głęboką ryse na klepce podłogowej. Nawet adidas mnie nie uratował.

– Ostrożnie – warknął Beleth do Azazela i pouczył mnie, wyjmując z kolejnego pokrowca jeszcze inną szabelkę: – Musisz uważać, obrażenia zadane taką bronią źle się goją. Nawet gdy zostaniesz tylko draśnięta, nie masz co liczyć na szybką regenerację.

– Czyli jak tym sieknę diabła, to zrobię mu krzywdę? – upewniłam się.

Kiwnął głową, lekko krzywiąc się na mój dobór słów.

– A mogę go tym zabić? – Uniosłam szablę, teraz już biorąc pod uwagę jej ciężar.

Zawahał się, zanim odpowiedział:

– Zabić diabła możesz tylko za pomocą swojej Iskry.

– Rozumiem.

Odeszłam od nich kawałek i zamachnęłam się szablą. Wydając głośny świst, zatoczyła łuk w powietrzu. Łuk, który płonął. Gdy zatrzymałam broń, płomień ciągnący się po ostrzu zniknął, ale w powietrzu czuć było jeszcze zapach rozpalonego metalu.

Lekko dotknęłam palcami ostrza. Było zimne.

Niesamowite.

Beleth z Azazelem oglądali broń, którą ukradł Azazel, a ja jeszcze raz zamachałam ostrzem.

– Au!!! – krzyknęłam.

– Co się stało?! – Beleth w jednej chwili znalazł się obok mnie. Pokazałam mu kciuk.

– Złamałam paznokiec – poskarżyłam się. Beleth miał minę, jakby chciał mnie zamordować.

– Myślałam, że odcięłaś sobie jakąś ważną część ciała – warknął. – Nie rób fałszywego alarmu...

– Fałszywy alarm? – oburzyłam się i zapytałam z godnością: – Wiesz, jak boli złamany paznokiec?

Na szczęście na moich oczach sam się naprawił. To niech każde z was wybierze sobie broń – powiedział Azazel, biorąc do ręki taką samą szablę, jaką ja wzięłam.

Moja mi się podobała. Była lekko wygięta i miała rękojeść przypominającą główkę ptaka. Przyjrzałam się jej dokładnie. Wyglądał jak orzeł.

– Wiedziałem, że ci się spodoba – powiedział Azazel. – To karabela. Broń polska, chociaż pochodzi z Turcji. Nosiła ją wasza szlachta. No i jest w miarę lekka. Powinnaś sobie z nią poradzić.

Lekka? Chyba kpił...

– Ja wolę francuską oficerkę – pochwalił mi się swoją.

Jego rękojeść zasłaniała palce. Pomyślałam o swoich paznokciach. Taka osłonka byłaby przydatna... Ale nie! Już mi się spodobała moja karabela z orzełkiem i drogimi kamieniami.

Aż przez chwilę poczułam się patriotką.

– A ja wezmę kataną. – Beleth wykonał kilka fachowych pchnięć i zamachów.

– Kataną? – zainteresowałam się.

Azazel w tym momencie założył mi pas, do którego przytroczył pochwę z karabelą. Broń była tak ciężka, że pomimo pasa, który dość mocno opinał mi biodra, dzinsy niebezpiecznie zaczęły się opuszczać.

– Tak, to japoński miecz – Beleth pokazał mi swoją broń. W porównaniu z moją szablą wyglądał dość lichy. Nie miał drogich kamieni ani złoceń...

– Taki dość prosty – skwitowałam.

– Wcale nie – obruszył się. – Zobacz, jaki ma pięknie zdobiony jelec.

Wskazał palcem na to coś wypukłe przy drewnianej rękojeści obwiązanej pasmem jedwabiu. Przytaknęłam, że ładne, żeby się odczepił.

Beleth jeszcze raz zamachnął się kataną, przyjmując pozycję szermierczą. Spróbowałam wyobrazić go sobie jako samuraja. Niestety wyobraźnia mnie zawiodła. Przed oczami miałam tylko seksownego Aladyna w szarawarach, z tajemniczymi bliznami na łopatkach.

Już dawno chciałam go zapytać o te blizny, ale nie było okazji. Po prostu pomijając tamten dzień, kiedy krzyczałam na niego za próbę zabójstwa Piotrka, nigdy więcej nie widziałam go bez koszuli.

– Poza tym zobaczcie – Azazel podał nam ulotki. „STOP dyktaturze!!! Szatan chce Was więzić! Odbiera Wam Wasze prawa!” Było jeszcze kilka podobnych tytułowi dokładny opis bezprawia, jakim wykazał się Lucyfer, skażując nas za jego własne błędy. To się dopiero nazywa propaganda.

Hm... szata graficzna tych ulotek coś mi przypominała.

– Wydrukowaliśmy tego kilkadziesiąt tysięcy – pochwalił się Azazel.

– My? – zapytał Beleth.

– Pomaga mi taka sympatyczna staruszka. Ma własną tajną drukarnię – wyjaśnił. – Zna was. Bardzo się przejęła, jak usłyszała, że nas skazano i uciekliśmy. Chce nam pomóc w słusznej sprawie.

Anna Kowalska ponownie pojawiła się na scenie. Uśmiechnęłam się pod nosem. Wreszcie ma coś ciekawego do roboty. W końcu ile czasu można się podniecać niemoralnością stringów? Wsunęłam moją karabelę do pochwy, także bogato zdobionej. Zerknęłam na Azazela, który przymocował sobie szablę do pasa. Mam nadzieję, że nie musimy nosić broni cały czas, bo będziemy się strasznie wyróżniać z tłumu...

– Czemu diabły jeszcze nie zaczęły mordować? – zapytałam. – Minęły już dwa tygodnie. Azazel wyszczerzył do mnie radośnie zęby.

– Maleńka, jest kilka ważnych powodów. Po pierwsze, ty. Możesz zabić diabła, nie wiadomo gdzie się ukrywasz, który cel osłaniasz. Będąc wiecznym, nikt nie chce umierać.

Skrzywiłam się. Nie chciałam nikogo zabijać. No proszę... diabły się mnie boją! Ha! I kto tu jest górą?

– Po drugie, zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że ci z góry zauważą, jak taki diabeł kogoś morduje. Wtedy od razu zacznie się dochodzenie. To kolejne niebezpieczeństwo, jednak niewielkie. Oni niestety rzadko patrzą na Ziemię. Poza tym uszczupliłem im trochę zbrojownię.

– No właśnie. Teraz nie mają broni. – Uśmiechnęłam się.

– Na to bym nie liczył. – Beleth się skrzywił. – W podziemiach Lucyfera na pewno leżą tysiące mieczy...

Spojrzałam z podziwem na Azazela. Może i był nienormalny i niemoralny, jednak serce miał lwa. Ja bym się nie odważyła włamać do piwnic Szatana. Nie po procesie i po postawieniu na nogi całego Piekła naszą ucieczką.

– Co robi obiekt numer jeden? – zapytał Azazel.

– Przed chwilą spał. Podeszłam do okna.

Światła w mieszkaniu Piotrusia były pogaszone. Nigdzie nie dostrzegłam jego sylwetki. Szybko otworzyłam okno i wyjrzałam na ulicę. Nie ma go!

– Zniknął! – krzyknęłam.

– Zgubiłaś go?! – zagrzmiał Azazel.

– Nie – zaprotestowałam słabo. – Sam się zgubił...

38

– Zgubiłaś obiekt numer jeden?! – nie mógł uwierzyć Azazel.

– Dwoje was przy nim siedzi i go nie upilnowaliście? Co za fuszerka... Zaczynam się czuć, jakbym pracował z ludźmi, a nie z diabłami.

Nie słuchałam go i jego dość mało obraźliwych jak na mój gust złorzeczeń. Tak jak stałam,

wybiegłam z mieszkania. Zeskakiwałam po dwa stopnie, byle szybciej znaleźć się na dworze. Od dwóch tygodni nigdzie nie wyszedł bez ochrony. Miałam złe przeczucia. Czemu go nie upilnowałam?! Słyszałam, jak Beleth stara się mnie dogonić.

Wybiegłam na ulicę. Pochwą szabli uderzyłam po nogach jakąś starszą panią, która zaczęła mnie głośno przeklinać. Jej zakupy rozsypały się po chodniku. Biegając, nadepnęłam na kilka truskawek. Czerwone plamy na ziemi udawały krew.

Zły znak. Zapatrzyłam się na rozgniecione truskawki, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Nie jestem przesadna, nie zwracam uwagi na czarne koty, drabiny i pająki. Jednak teraz czułam, że niebezpieczeństwo jest blisko.

– Przepraszam!!! – krzyknęłam, rozglądając się na boki.

Może tylko mi się wydawało. To na pewno ze zdenerwowania. Głupia paranoja! Nic mu nie groziło. Nie mogło mu nic grozić. Nie chciałam, by ktoś przeze mnie zginął!

– Ta dzisiejsza młodzież!!! Zero szacunku dla starszych!!! – biadoliła staruszka.

W tym momencie z budynku wybiegł Beleth i wpadł na nią z impetem. Zderzenie z tak potężnym mężczyzną chyba wycisnęło jej dech z piersi, bo umilkła. Diabeł na szczęście zdołał ją złapać, zanim się przewróciła.

Wydawało mi się, że gdzieś w dali widzę czerwony podkoszulek. Rzuciłam się w tamtym kierunku, starając się omijać ludzi. Jak na złość musiało ich aż tylu wyjść na ulice pomimo brzydkiej pogody. Spacerów w smogu im się zachciało!

Co chwilę wpadałam na kogoś, boleśnie się obijając. Nie patrzyłam pod nogi. Wbijałam spojrzenie w plamę czerwieni.

Chyba widziałam Piotrka. Szedł do pobliskiego pubu. Przebiegłam na czerwonym świetle. Jakiś samochód zatrzymał się z piskiem opon, kierowca na mnie nakrzyczał.

– Czekaaj, Wiki! – krzyknął za mną Beleth, ale ja nie czekałam.

Uparcie biegłam naprzód, usiłując go dogonić. Nie mógł zostawać bez ochrony nawet na chwilę.

Zaciekawieni ludzie odwracali się za mną. W końcu nie co dzień można zobaczyć dziewczynę z szabłą, dziewczynę, która pędzi, jakby sam diabeł ją gonił. Co w sumie za wiele nie odbiegało od porzekadła. Niewygodny pas trochę się obsunął. Przytrzymałam go dłonią.

Zobaczyłam Piotrusia przed sobą i stanęłam gwałtownie, jakby przede mną pojawiła się niewidzialna ściana. Nie był sam. Obok niego szła Monika...

Już dawno zdążyłam o niej zapomnieć. Kiedyś mu się podobno podobała. Czy na pewno – nie miałam pojęcia. Większości plotek nie da się sprawdzić. Tej nie chciałam sprawdzać dla własnego spokoju ducha. Po prostu czasami lepiej jest nie wiedzieć wszystkiego.

Szli obok siebie i głośno się śmiali. Monika co jakiś czas łąpała go za ramię i żywo gestykulowała. Piotrek kiwał głową, zupełnie jakby jej potakiwał. Idąc za nimi, doskonale słyszałam jej czysty śmiech. Zalotnie odrzuciła z ramienia włosy i spojrzała mu prosto w oczy.

PODRYWAŁA GO!!!

Czyli nie dzwonił po pizzę. Dzwonił do niej...

Byłam już jakieś pięć metrów za nimi. Zwolniłam, żeby iść w ich tempie. Nie spuszczać

wzroku z ich sylwetek, zastanawiałam się, co robić. Tak chciałam dać mu jakiś znak, że żyję.

Beleth gdzieś przepadł, ale to mi odpowiadało. Zaraz pewnie zacząłby komentować, że właśnie o to chodzi. Piotrek jest żywy, więc jest wśród żywych, a ja jestem martwa i... nie ma dla mnie miejsca obok niego. Poza tym nakrzyczałby na mnie, że idę całkowicie widoczna, i to tak blisko. Miałam się nie ujawniać.

Objęłam się ramionami. Robiło się zimno, a ja miałam na sobie tylko podkoszulek.

Wpatrzyłam się w szerokie plecy Piotrka. Źle robiłam, idąc ulicą i pokazując się ludziom, ale czerpałam z tego swoistą przyjemność. Wreszcie byłam widzialna. Po raz pierwszy od dwóch tygodni! Mogłam patrzeć na ludzi i mieć świadomość, że też mnie dostrzegają, że na chwilę zapamiętają. Już nie byłam tylko zawirowaniem powietrza.

Jakiś idący z naprzeciwna mężczyzna, rozmawiający przez komórkę, stuknął mnie w ramię, objając się o mój miecz.

– Uwważaj, jak leziesz! – warknął na mnie.

Piotruś odwrócił się do tyłu. Nasze oczy się spotkały. O nie!

– Wiki! – krzyknął zaskoczony.

– Chcę być niewidzialna – szepnęłam.

Piotrek zatrzymał się w połowie kroku, zaskoczony. Zaczął rozglądać się dookoła, szukając, gdzie mu tak nagle zniknęłam.

Azazel wymusił na mnie przyrzeczenie, że mu się nie pokażę. Gdyby Piotruś mnie zobaczył, musiałabym dalej udawać, że żyję, bo przecież nie mogłam mu powiedzieć o sobie prawdy. A gdybym znowu udawała, że żyję, mogłabym się bardzo szybko spodziewać, że nasi piekielni prześladowcy pojawią się w Warszawie. Azazel przekonał mnie, że oni też mają tu swoich szpiegów, którzy śledzą nasz obiekt numer jeden.

Prawdopodobnie i tak już się zdradziłam, gdy biegłam przez całą ulicę doskonale widoczna dla każdego. Jednak obietnica złożona Azazelowi dotyczyła tylko Piotrka, więc musiałam stać się niewidzialna. Wiązało mnie przyrzeczenie.

– Co się stało? – zapytała Monika, która urwała swoją długą przemowę w połowie.

– Wiki? – jeszcze raz zawołał Piotruś i powiedział do towarzyszącej mu dziewczyny: – Chyba ją widziałem.

Stałam jak wmurowana, nie mogąc poruszyć nawet palcem. Piotrek podbiegł w moją stronę. Zatrzymał się metr przede mną i rozglądał się bezradnie, usiłując wyłowić mnie z tłumu. Jego czarne spojrzenie błędziło po twarzach otaczających nas ludzi.

– Wiki!!! – zawołał jeszcze raz.

Przez jego twarz przebiegły wszystkie możliwe uczucia: zaskoczenie, ulga i na koniec smutek, gdy mnie nie zobaczył.

Zawiedziony opuścił niżej głowę, jednak nadal sondował wzrokiem otoczenie.

Metr ode mnie. Tak blisko. Dokładnie widziałam kreski jednodniowego zarostu na jego brodzie i cienie niewyspania pod oczami.

Zanim pomyślałam o tym, co robię, wyciągnęłam rękę w stronę jego twarzy i zrobiłam krok do przodu. Tak chciałam go dotknąć. Jego twarzy... jego dłoni...

Nie zdążyłam.

Na jego ramieniu zacisnęła się dłoń z doskonale wypielegnowanymi paznokciami z francuskim manicure.

– Piotrek, tu nikogo nie ma – powiedziała sucho Monika. – Chodź już.

– Tak, tak – mruknął, ale jeszcze raz spojrzął przed siebie. Zupełnie jakby patrzył prosto na mnie.

Kątem oka zobaczyłam po swojej prawej stronie jakiś błysk. Płomienny błysk!

– WIDZIALNA!!! – ryknęłam i pchnęłam silnie Piotrka do tyłu.

Uderzyliśmy ciężko o chodnik. Tuż za moimi plecami z głośnym świstem upadł na ziemię płonący miecz. Nie była to lekka szabla, jak moja, ale obusieczny, ogromny miecz wyglądający jak rekwizyt z taniego filmu o Królu Arturze.

Snop iskier sypnął mi po ubraniu, wypalając w nim małe dziurki.

– Diablicą Wiktoria! – diabeł krzyknął przestraszony i odskoczył metr do tyłu.

On także mnie nie widział, póki nie cofnęłam zakłęcia. Miałam małą przewagę, bo nie spodziewał się mojej obecności. Najwyraźniej nie śledził go aż od mieszkania.

Zerwałam się na nogi, opierając dłonie o pierś Piotrka. Jednocześnie pchnęłam go mocniej na chodnik, żeby ani myślał się podnieść. Jednak on nie miał zamiaru wstać. Półożąc, kompletnie zdziwiony wpatrywał się we mnie bez słowa.

W sumie to mu się nie dziwię. Pojawiłam się znikąd i go przewróciłam, a następnie jakiś napakowany palant macha płonącym mieczem, nie dbając o zasady bhp...

– Tak, ty kretynie! – krzyknęłam do diabła. – To ja! Wiktoria!

Szarpnęłam za szablę, ale nie chciała wyjść z pochwy. Szarpnęłam jeszcze raz.

Kurde... żeby taki szczegół popsuł wielki popisowy numer, w którym odrąbuję głowę temu drabowi na oczach kilkunastu ludzi.

Dalej szarpałam za rękojeść karabeli, usiłując ją wyciągnąć z pochwy. Szlag by to...!

– Poszedł stąd albo cię... albo cię...! – urwałam, nie wiedząc, co powiedzieć.

Twarz nieznanego mi diabła wykrzywiła się szpetnie. Zagościł na niej grymas mający być chyba nieudaną parodią uśmiechu. Doskonale widziałam dziąsła nad jego zębami.

Pot skleił mu brązowe włosy nad czołem. Między nimi błyszczało coś srebrnego. Diadem? Miał na sobie czarny, rozpięty płaszcz, zupełnie nieodpowiedni na wiosenną pogodę. Pod nim ubrany był tylko w spodnie. Nawet nie miał butów. Gołe, brudne stopy stały na zaśmieconym chodniku, pełnym szkła i papierosowych petów.

Odważny...

Na zatłoczonej ulicy nagle zrobiło się dziwnie pusto. Ludzie zaczęli uciekać z krzykiem. Nic tak nie rozluźnia atmosfery jak psychol z bronią!

W końcu karabela wysunęła się z pochwy. Wzięłam ją w dwie ręce za rękojeść.

– Aha! – zawołałam triumfalnie.

Szaleniec z mieczem spojrzął na mnie z politowaniem. – I co mi zrobisz? Dźgniesz mnie? – zakpił.

– Niiieeee. Zamienię cię w pył. – Uśmiechnęłam się, a potem teatralnie do niego szepnęłam:

– Ta szabla to jest dla lepszego efektu.

Diabeł, widząc moją minę, chyba wreszcie pojął, że nie ma co liczyć na taryfę ulgową, bo cofnął się, opuszczając miecz. Nie miał już jednak przerażonej miny. Uśmiechał się tylko lekko, nie spuszczając ze mnie wzroku. Chciał, żebym poczuła, że to nie ja jestem tutaj drapieżcą.

– Jestem Pajmon – oznajmił mi. – Wrócę tu i zniszczę cię. Pozdrów ode mnie kolegów.

Następnie lekko skłonił głowę, a potem szybko się odwrócił i pobiegł w głąb ulicy, znikając między rozstępującymi się przed nim ludźmi.

W tej chwili tuż obok mnie pojawił się zdyszany Beleth. Jego katana płonęła, gdy gorączkowo rozglądał się na boki.

– Co się stało? – krzyknął, ale nie zwróciłam na niego uwagi.

Spojrzałam na Piotrusia, który siedział na chodniku z bezradną miną. Uśmiechnęłam się do niego nieszczerze i opadłam na mojej szabli jak na lasce.

– Cześć – powiedziałam beztroskim tonem. – Co tam słyszać?

Piotruś otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Nadal wbijał we mnie zdziwione do granic możliwości spojrzenie.

Beleth schylił się i obejrzał ryse w chodniku. Przeciągnął po niej palcem. Była głęboka i osmalona.

– Próba zamachu! Próbował go zabić! – Spojrzał na Piotrka. – Coś mu zrobił? Człowieku, nic ci nie jest? Drasnął cię?

Mój kochany w końcu otworzył usta i wydusił:

– O ja pierdolę...!

39

Piotrek siedział na wąskiej wersalce w naszym obdrapanym mieszkaniu i przyglądał się nam podejrzliwie. Jego spojrzenie niespokojnie błędziło po szablach, z którymi się nie rozstawaliśmy nawet na chwilę.

Usiadłam obok niego. Myślałam, że dodam mu tym otuchy, ale tylko spojrzał na mnie nieufnie.

To zabolalo.

Azazel krążył po niewielkim pomieszczeniu niczym lew w klatce. Czarny warkocz miarowo uderzał mu o kark, gdy zatrzymywał się raptownie, by zawrócić. Był wściekły. Nie chciał pokazywać się Piotrkowi. Poza tym miał cały czas nadzieję, że nie dojdzie tak szybko do konfrontacji.

– Taka dekonspiracja! – powtarzał pod nosem. – Jak mogliście się ujawnić obiektowi numer jeden?

– Kto to obiekt numer jeden? – zapytał mnie szeptem Piotruś.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, odezwał się Beleth, który stał kilka metrów od nas, opierając się w niedbalej pozie o ścianę.

– To ty, matole...

Posłałam mu groźne spojrzenie, ale nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Wpatrywał się tylko swoimi złotymi oczami w Piotrka, zupełnie tak, jakby chciał przewiercić go na wylot. Na twarzy miał wyraz niesmaku i głębokiej pogardy.

– Co za dekonspiracja – dalej mrucał do siebie Azazel. – Nawet na chwilę nie można was zostawić samych...

Nie skomentowaliśmy z Belethem, że mógł nas kontrolować, ale nie chciało mu się za nami biec. Wolał rozsiąść się na kanapie i grać w Diabło, które porzucił Beleth.

– To co teraz robimy? – zapytałam.

– Zaraz – powiedział szybko Piotrek. – Jakie my? Kim wy jesteście? O co tu chodzi? Wiki, nic ci nie jest? Czemu zniknęłaś na dwa tygodnie?

– I właśnie dlatego nie lubię ludzi – Azazel zwrócił się do Beletha. – Za dużo mówią. Wzięłam Piotrka za rękę.

– Posłuchaj, to bardzo skomplikowane – zaczęłam. – Nie jesteśmy do końca tymi, za kogo nas bierzesz...

– W coś ty się wpakowała...? – westchnął ciężko.

– W coś poważnego – odrzekłam.

Piotrek zerknął na dwóch mężczyzn naprzeciwko nas, a potem na odległość dzielącą nas od drzwi.

– Czekaj, czekaj – powiedziałam szybko, wiedząc, o czym myśli. – Najpierw musimy porozmawiać, żebyś zrozumiał, co tu się dzieje.

– Ale potem wyjdziemy – stwierdził, patrząc podejrzliwie na diabły. – A wy nam w tym nie przeszkodzicie.

W duchu poczułam, że jestem z niego dumna. Chciał mnie uratować! Trochę nieporadnie, biorąc pod uwagę jego dość skromne możliwości w porównaniu z mocami piekielnymi, ale liczyły się intencje!

– To ty mu wytłumacz. – Beleth uśmiechnął się do mnie ponuro. – Może tobie uwierzy.

Czy uwierzy? A kto by w to uwierzył...? Na szczęście Piotrek widział na własne oczy dowód. Płonący miecz i nienormalnego faceta o irracjonalnym imieniu. Zawsze miałam także pod ręką dwa diabły i własne sztuczki dzięki posiadanej mocy i Iskrze Bożej.

– Bo widzisz, Piotrek – skrzywiłam się – ja nie żyję. I to już od dość dawna. Zabił mnie jakiś facet koło Stodoły. Potem trafiłam do Piekła, gdzie zostałam diabolicą. A teraz Lucyfer chce ciebie zabić, bo ja mu podpadłam i na dodatek uciekłam z Piekła, pomimo że zostałam skazana na wieczne potępienie.

Piotrek najpierw się zdziwił, ale potem na jego twarzy pojawił się spokojny uśmiech. Poklepał moją dłoń, a następnie wstał, pociągając mnie za sobą.

– Rozumiem – oznajmił mi z tym samym uspokajającym uśmiechem, a potem powiedział do diabłów: – Nie wiem, czym ją naszprycowaliście, ale spokojnie. Nie wezwiemy policji. Po prostu stąd wyjdziemy, a wy zapomnicie, że Wiki w ogóle istnieje, OK?

Azazel westchnął ciężko.

– I dlatego konspiracja była taka ważna... – powiedział sam do siebie.

– W ogóle nie potrafisz opowiadać – poinformował mnie Beleth.

Wyrwałam dłoń z uścisku Piotrusia i wściekła zrobiłam krok w stronę diabła. Jasne! A Beleth na pewno lepiej by mu to wytłumaczył.

Azazel wyciągnął rękę w stronę drzwi. Zatrzasnęły się z głośnym trzaskiem. Piotrek lekko podskoczył, ale zaraz się uspokoił, gdy zdołał sobie wytłumaczyć, że to tylko przeciąg. Fakt, że okna były zamknięte, a w pomieszczeniu nie było żadnego ruchu powietrza wyrzucił ze świadomości...

– Słuchaj, młotku, ja ci to wytłumaczę – warknął Beleth. Piotrek demonstracyjnie zmierzył go spojrzeniem. Diabeł miał na sobie idealnie dopasowaną czarną koszulę, a także džinsy dość mocno opinające mu tyłek. Idealnie uczesane włosy leżały tak, jak sobie to wymyślił tego ranka. Irokez nawet nie drgnął w czasie wcześniejszego biegu po warszawskiej ulicy. Czarne, gęste rzęsy tworzyły piękną oprawę oczu, które wyglądały przez to odrobinę, jakby były pomalowane czarną kredką.

– Nie, dzięki – stwierdził Piotruś. – Nie mam ochoty słuchać wyjaśnień cioty. Posłucham

jeszcze raz Wiki. Zaśmiałam się cicho. Beleth trafił na godnego siebie przeciwnika – i dobrze mu tak.

– Powiedz jeszcze raz, o co tu chodzi – poprosił mnie Piotr. Pociągnęłam go na kanapę, nakłaniając, żeby też usiadł. Tym razem opowiadałam powoli ze wszystkimi szczegółami, krok po kroku, co się działo, odkąd zostałam dźgnięta nożem.

Nie wierzył mi. Widziałam to w jego oczach.

Kiedy skończyłam swoją opowieść, mówiąc mu, że przed chwilą został zaatakowany przez diabła wysłanego z Piekieł przez Lucyfera tylko i wyłącznie w celu wykonania egzekucji, zacisnął mocno usta. Widziałam po jego minie, że nie wierzy ani jednemu mojemu słowu. Trzymał mnie mocno za rękę. Był zdecydowany stąd wyjść razem ze mną, czy mi się to podoba, czy nie.

Zauważyłam, że ma starty do krwi łokieć, którym uderzył o chodnik, gdy upadliśmy. Ranka była powierzchowna i już dawno przestała krwawić, ale można ją było zauważyć.

– Piotruś – zdałam sobie sprawę, że pierwszy raz odezwałam się do niego tym zdrobnieniem, chociaż w moich myślach już od dawna był Piotrusiem. – Czy gdybym była człowiekiem, zrobiłabym to?

Przesunęłam palcami po skórze, na której już wytworzył się ciemny strup. W jednej chwili rana zniknęła. Skóra była nietknięta. Nie było żadnego śladu, nawet najmniejszej blizny.

Piotruś przyglądał się swojemu łokciowi kompletnie zaskoczony.

– Jak...?

– Nie jestem już człowiekiem – zebrało mi się na płacz. – Umarłam. Dotknął mojego policzka, ścierając z niego łzy.

– Ale tu jesteś – mruknął. – Dotykam cię. Nie rozumiem. Widziałam jego bezradne spojrzenie. Nie mógł zaprzeczyć temu, co widział, ale jednocześnie bronił się z całych sił, żeby tylko mi nie uwierzyć. Wydawało mu się to zbyt fantastyczne, paranormalne. Wzruszyłam ramionami.

– Umarłam. Jestem diabolicą. Nic na to już nie poradzimy. Teraz najważniejsze jest, żeby uratować ciebie. Piotrek zerknął na diabły.

– A one cię zabiły? – upewnił się.

– Tak.

– To dlaczego z nimi trzymasz?

To pytanie odrobinę zbiło mnie z tropu. W gruncie rzeczy Piotrek miał trochę racji. Zerknęłam niepewnie na moich towarzyszy. Beleth zmarszczył brwi. Nie spodobało mu się pytanie Piotrka.

– Oni chcą mi pomóc cię uratować – wyjaśniłam. – Poza tym już im... wybaczyłam.

Beleth uśmiechnął się, lekko zaskoczony moim oświadczeniem. Spojrzałam mu prosto w oczy. Nie potrafiłam być na nie zła. One po prostu takie były. Wszelkie próby ucłowieczenia ich przypominały przestawienie lwa na wegetarianizm. Rzecz całkowicie niewykonalna.

Nie mogłam złościć się na nie za to, jakie zostały stworzone. To nie była ich wina. Poza tym czasami potrafiły być dobre.

– Człowieku, możesz uznać, że usiłujemy w ten sposób spłacić swój dług – chyba szczerze powiedział Azazel. Piotrek kiwnął głową, jakby dawał nam znak, że akceptuje taką odpowiedź.

– Ale nie możesz się dla mnie narażać – rzekł do mnie. – Skoro umarłaś, to powinnaś być w Niebie czy gdzieś tam. Beleth zagwizdał z podziwem. Chciałam zaprzeczyć, ale diabeł wpadł mi w słowo:

– Po raz pierwszy zgadzam się z tym neandertalczykiem. Nie powinniśmy go chronić.

– Spadaj, Woland, nie do ciebie mówiłem – warknął Piotrek.

Beleth zmrużył oczy. Prawie zaśmiałam się głośno z jego tłumionej furii.

– W tym problem, że w Niebie nie jestem – powiedziałam. – Na dodatek jako diabolicą dostałam pracę, którą zresztą chcą mi teraz zabrać, tak samo jak moc Iskry. Moc, którą masz i ty, dlatego Lucyfer chce cię zamordować.

Piotrek zaśmiał się do siebie głucho, zmęczonym gestem przetarł twarz i potargał sobie włosy.

– Nie mogę uwierzyć, że rozmawiamy na takie tematy... – Westchnął. – Diabły, moce piekielne, Szatan. Ja nawet nie jestem specjalnie wierzący!

– To akurat bez znaczenia... – mruknęłam. – W Piekło trafiają się ludzie, którzy nadal oddają cześć Światowidowi albo bogom z głowami zwierząt. Mamy tam... wolność wyznania.

Azazel wreszcie się poruszył. Do tej pory stał w zupełnym bezruchu. Mam wrażenie, że nawet nie oddychał ani nie mrugał. Stworzył sobie krzesło i usiadł na nim.

Piotrek kilka razy zamrugał, jakby sądził, że krzesło zaraz zniknie, a diabeł wyląduje na tyłku na podłodze.

– To kto usiłował go zabić? – zapytał Azazel. – Jestem bardzo ciekawy, kto się odważył w końcu wziąć tę robotę. Zresztą, szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że znalezienie zrównoważonych umysłowo kandydatów zajmie im trochę więcej czasu.

– Powiedział, że nazywa się Pajmon, i kazał was pozdrowić – odparłam.

Azazel głośno wciągnął powietrze, a Beleth zaklął cicho.

– Cofam to, co mówiłem o zrównoważonych psychicznie... – wymruczał ponuro Azazel.

– Widzę, że się znacie i kochacie – zakpiłam, widząc ich reakcje. Oba wyglądały, jakby skurczyły się w sobie. Azazel skrzywił się tylko w odpowiedzi, za to Beleth się odezwał:

– Gorzej trafić nie mogliśmy – stwierdził. – On jest niezrównoważony i to bardzo... Poza tym gdzie jest Pajmon... – ...tam jest też Agares – dokończył Azazel.

– Powiedźcie o nich coś więcej – zażądałam.

Beleth stworzył sobie fotel i usiadł na nim zmęczony. Wyglądał, jakby coś nagle wysssało z niego wszystkie siły życiowe.

Gdyby był człowiekiem, powiedziałabym, że postarzał się o kilka lat. Jednak on nie jest ani nigdy nie był człowiekiem.

– Pajmon kiedyś był moim dowódcą – powiedział Beleth. – Gdy jeszcze byliśmy aniołami, dowodził Potęgami, do których należałem. Kawał sukinsyna, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Nie nazywaj go tak, nie zapominaj, kto nas stworzył – upomniał go Azazel.

– Tak, tak... przepraszam – rzekł rozdrażniony. – Po prostu jak o nim myślę, to nie mogę się

powstrzymać. Jak wygląda, już wiesz. Mamy szczęście, że ten cymbał nie pojawił się na wielbłądzie... Wymyślił je i nigdy się z nimi nie rozstaje, głupek. A poza tym można go poznać po diademie, który nosi. Nie wiem po co... taka baba z niego najwyraźniej – Beleth nie szczędził oszczerstw rywalowi. – Poza tym też należy do duchów Goecji jak ja. Większość z nas do nich wstąpiła, gdy zostaliśmy zdegradowani i potępieni.

– Dobra, dobra. Do rzeczy – przerwałam mu. – Czemu się tak spięliście, jak powiedziałam jego imię? Diabły rzuciły sobie znaczące spojrzenia.

– Jest dość zapalczywy – wyjaśnił po chwili milczenia Azazel. – Skoro postanowił, że zabije Piotra, to pewnie mu się to uda.

Wzdrygnęłam się i wzięłam Piotrka za rękę. Wbijał wzrok w Azazela, a minę miał taką, jakby nadal do końca nam nie wierzył.

– Żeby go zabić, zrobi wszystko – dalej mówił Azazel.- Może nawet do tego wykorzystacie ciebie. Musisz się mieć na baczności. Poza tym sądzę, że Lucyfer mógł nakazać i nas zabić...

Zaśmiałam się głośno.

– W takim razie Szatan jest szalony. Przecież tylko ja mogę zabijać diabły za pomocą Iskry Bożej. Azazel skrzywił się, za to Beleth uciekł w bok spojrzeniem. W pokoju zrobiło się nagle bardzo cicho.

Ręce mi opadły. Czyżby znowu „przypadkiem” zapomniały mi o czymś powiedzieć?! Miałam tego dość. Dość tych wszystkich zagadek. Jak miałam im pomóc i uratować Piotrusia, skoro one nie mówiły mi o wszystkim? Czy to takie trudne?!

– Tak w sumie to można nas unicestwić – powiedział cicho Azazel. – Ale, skarbie, nie chciałem ci tego mówić, żeby cię nie denerwować.

– Nie zgadłabym, wiesz? – prychnęłam. – To jak można nas zniszczyć?

– Wiesz... jeżeli posieka się nas na sześćset sześćdziesiąt sześć kawałków mieczem diabła, to raczej ciężko będzie się nam pozbierać.

Westchnęłam głośno, zirytowana.

– Trzeba nas pociąć dokładnie na sześćset sześćdziesiąt sześć kawałków czy tak sobie tylko powiedziałaś? – zapytałam.

– Wystarczy, że odrąbie się głowę – wyznał.

– A ty mi dopiero teraz o tym mówisz?! – krzyknęłam, wstając. – Stałam naprzeciwko tego psychopaty, na wyciągnięcie jego miecza, i nic o tym nie wiedziałam?!

– Skarbie, ale wystarczyłoby, gdybyś pomyślała, że on znika, i już byś go unicestwiła – Azazel posłał mi dobroduszny uśmiech. – Wierzę, żebyś sobie poradziła.

– Ale mógł w tym momencie odrąbać mi głowę, a ja bym żyła w przeświadczeniu, że ona mi odrośnie!!! – ryknęłam.

– Wtedy już raczej byś o niczym nie myślała – mruknął Beleth, nerwowo kręcąc się na fotelu.

Pięknie, po prostu pięknie! Zrezygnowana usiadłam z powrotem na wersalce, chowając twarz w dłoniach. Poczułam, jak Piotrek mnie obejmuje, i usłyszałam, jak wzburzony i zirytowany Beleth głośno wciąga powietrze. No cóż... Nie moja wina, że usiadł tak daleko. Gdyby siedział obok mnie, to mógłby sam to zrobić, ale wołał nie zbliżać się do Piotrka.

Zresztą kogo ja chcę oszukać? Nie chciałam, żeby to on mnie obejmował. Marzyłam, by robił to Piotruś.

– Tak jak już mówiłem, skoro Pajmon pojawił się na Ziemi, to możemy być pewni, że razem z nim jest Agares – kontynuował Azazel. – To kumple.

– Powiedz o nim coś więcej – poprosiłam.

– Takie same indywiduum jak Pajmon – wtrącił niepytany Beleth. – Z tym, że mamy kłopot. Jedną z jego mocy jest sprowadzanie uciekinierów. Nie zdołamy przed nim uciec. Po prostu zawsze będziemy się znajdować tam, gdzie on dotrze jako pierwszy. Takie już nasze przeznaczenie.

– Nie rozumiem – wtrącił Piotrek.

– Nic dziwnego – prychnął Beleth. – W końcu jesteś tylko człowiekiem.

– Beleth – syknęłam ostrzegawczo.

– On ma dar wyczuwania, gdzie się znajdziemy – wyjaśnił niechętnie diabeł. – Wygląda jak stary człowiek. To prawdziwy dziwak. Mógłby być młody i przystojny jak my, ale woli być stary.

– W sumie nie jest brzydki i stary – zaproponował Azazel, siląc się na poważną minę. – Tylko dojrzały.

– Chyba przejrzały – zaśmiał się Beleth.

– Ależ, kochany, on na pewno ma tłumy wielbicieli. W końcu która nie poleci na najnowszy sztyk mody a la geriatryk? – zakpił Azazel.

Zaczęli się głośno śmiać.

Spojrzałam na Piotrka. Miał w oczach to samo zagubienie, co ja. Czułam, że porwałam się do walki z czymś ogromnym, z czym wygrać nie mam najmniejszych szans.

Piotruś był już bezpieczny. Ścisnęłam jego dłoń. Co mnie obchodzili inni? Mogłam zostać z nim i zapewnić mu bezpieczeństwo.

– Proponuję, żebyśmy udali się do naszego obiektu numer dwa. – Azazel wstał. – Mogą się teraz tam pojawić. Piotra zdołaliśmy ocalić, ale nie wiadomo, czy poradzimy sobie z ochroną reszty. Już zbyt dużo czasu tu straciliśmy.

Beleth także wstał. Ja i Piotrek nie ruszyliśmy się z miejsca. Azazel spojrzał na mnie zaskoczony. Rozłożył ręce bez słowa.

– A może my tu zostaniemy? – zaproponowałam. – Będę pilnować Piotrka. Azazel prychnął pod nosem. Krótki śmiech zgasł mu gdzieś głęboko w gardle.

– Chyba żartujesz. Już ci się znudziło? – zapytał. Skrzywiłam się w odpowiedzi.

– Nie możesz nas zostawić – argumentował Azazel. – Bez ciebie nie mamy najmniejszych szans. Ty możesz zniszczyć diabła jedną myślą, a my musielibyśmy ich poszatковать mieczami. Sami sobie nie poradzimy.

Spojrzałam na Piotrusia. Siedział zamyślony. Nie mogliśmy go zostawić, musiał iść z nami. Tylko czy tam będzie bezpieczny? Czy zdołam go ochronić?

Beleth taktownie milczał. Widziałam po jego minie, że nie zwracając uwagi na Azazela, zamierzał poprzeć moją decyzję, jakakolwiek by ona była, żeby mi się podlizać.

– Chcesz, żeby przez twoje lenistwo zginęli niewinni? – Azazel wbił kolejną szpilkę.

- Nie... – wybąkałam.
- Więc uratuj ich.
- Pójdę z tobą – powiedział niespodziewanie Piotrek. Beleth zaśmiał się krótko.
- Facet... ty nie masz wyboru – zakpił. Posłałam mu złe spojrzenie.
- Aha... – mruknął Piotr.
- Dziękuję. – Uśmiechnęłam się do niego.
- Jestem ciekawy, jak to szaleństwo się dalej potoczy. Romantyczny nastrój rodem z opowieści o wojowniczym rycerzyku, który chce ratować swoją niemociastą księżniczkę, przysł jak bańka mydlana...
- To gdzie jest obiekt numer dwa? – zapytał Azazela. – Jaki jest następny przystanek? Diabeł zrobił tajemniczą minę.
- Tybet.

40

Przypięłam mocniej ozdobny pas mojej karabeli. Beleth pociągnął Piotrusia pod ścianę, gdzie pokazał mu kolekcję bezładnie rzuconej broni i kazał coś sobie wybrać.

Piotrek wpatrywał się w miecze, nie wiedząc, który ma wziąć do ręki.

– Weź ten – Beleth podał mu niespełna trzydziestocentymetrowy nóż. – W sam raz dla ciebie. Japoński miecz. Piotrek spojrział na niego z pogardą.

– Nie, dzięki. To wakizashi, jednosieczny miecz dla japońskiego chłopstwa. Wolę kataną – sięgnął po długi, samurajski miecz.

Beleth stał przy nim z głupią miną. Nie spodziewał się, że chłopak zna się na broni. Szczerze, to ja też nie miałam pojęcia, że on wie takie rzeczy. Wyraz zdziwienia na twarzy diabła ustąpił złości. Mierzyli się przez chwilę spojrzeniami.

Ciekawe, który by wygrał, gdyby się pobili?

Przyjrzałam się krytycznie ich sylwetkom. No dobra... Beleth by wygrał.

Azazel wsunął klucz diabła w ścianę. Przed nami pojawiły się małe, białe drzwiczki z firanką zasłaniającą okienko. Przejście Belfegora było po prostu urocze!

Diabeł otworzył drzwi, gdy już stanęliśmy za nim. Uderzył w nas mroźny powiew. W mieszkaniu w jednej chwili znalazło się dużo śniegu, szybko topiącego się na starej klepce. Ruszyliśmy pod wiatr za Azazelem.

Nic nie widziałam. Czułam tylko mroźne igielki, kłujące w gołe ramiona. Stworzyłam sobie na nosie czarne okulary, chroniące oczy przed przeraźliwym błyskiem. Momentalnie pojawiły się problemy z oddychaniem. Mroźne powietrze spowodowało obkurczenie oskrzeli, poza tym było tu znacznie rzadsze niż na naszej wysokości nad poziomem morza. Zapadliśmy się w głęboki śnieg, sięgający nam do połowy łydki. Przed nami, na szczycie wzgórza, stała dość mocno zniszczona świątynia pamiętająca lepsze czasy. Była nieduża. Dostępu do niej broniły zasy śnieżne i dość liche, czerwone drzwi z odłóżką farbą.

Piotruś obok mnie głośno szczekał zębami. Ja też trzęsłam się cała. Czułam, że moje palce zginają się z coraz większym trudem. Jednak było to tylko złudzenie. Chłód nie robił na mnie wrażenia.

Beleth spojrział z pogardą na Piotra. Pstryknął palcami. W jednej chwili na moim ukochanym pojawiła się ciepła kurtka z kapturem obszytym czarnym futrem. Piotruś przestał drżeć. Zdziwiło mnie to. Diabeł okazywał mu współczucie? Ciągle potrafił mnie zaskoczyć.

Piotrek spojrzał na mnie i sięgnął do zamka błyskawicznego.

– Wiki, zmarzniesz – powiedział.

Podeszłam do niego i podsunęłam mu suwak pod samą brodę, nie pozwalając mu zdjąć z siebie kurtki.

– Nie zmarznę, Piotrek. Ja nie żyję. – Westchnęłam. – Nie mam ciała, więc nic mi nie zamarznie i nie odpadnie.

Ściągnął brwi i pokiwał głową. Spojrzałam krytycznie na jego przemoknięte adidas. Jeszcze tego tylko brakowało, żeby nam umarł na zapalenie płuc, kiedy już go uratujemy przed nienormalnymi diabłami z Piekieł. To by była dopiero ironia!

Zamieniłam je na solidne buty idealne na taką pogodę. Dodatkowo stworzyłam mu okulary, żeby już tak nie mrużył oczu, i czapkę.

– To gdzie jest ten twój obiekt? – zapytał Beleth, podchodząc do Azazela.

Ten rozejrzał się wyraźnie zaniepokojony i donośnie zagwizdał. Odpowiedziała mu cisza.

Silny wiatr niosący ze sobą płatki śniegu zniszczył troskliwie układanego irokeza Beletha i szarpał jego czarną koszulę, a czarne okulary Ray Ban, stylizowane na policyjne, pokryły się szronem. Zresztą tak samo moje. Musiałam je przetrzeć, żeby cokolwiek widzieć.

Azazel znowu zagwizdał. Nie rozumiałam, po co to robi.

– Szybko, musimy znaleźć Ngapo – powiedział zaniepokojony i ruszył przed siebie. – Mój człowiek zniknął.

– Ngapo? – zapytał mnie Piotruś.

– Obiekt numer dwa. – Przeskoczyłam ogromną zaspę.

Przedarliśmy się do czerwonych wrót. Azazel zastukał głośno. Podrapałam je paznokciem. Tak jak podejrzewałam, farba odłaziła wyjątkowo łatwo. Pstryknęłam palcami. Drzwi były jak nowe.

Zerknęłam na Beletha, który bacznie mnie obserwował.

– Estetka – skrytykował, ale uśmiechnął się ciepło. Otworzył nam niski, starszy mężczyzna ubrany w coś, co przypominało szlafrok, grube buty na futrze i ogromną czapę.

No ja serdecznie dziękuję za takie ogrzewanie, jakie oni tu najwyraźniej mają...

– Szukamy Ngapo – rzekł Azazel po tybetańsku. – Jesteśmy przyjaciółmi. Powiedz mu, że grozi niebezpieczeństwo. Przyszliśmy go ostrzec.

Piotruś słuchał jego przemowy z rosnącym zdumieniem. Wyjaśniłam mu szybko, że jako diabły znamy wszystkie języki. Zdziwiło mnie, że Azazel chce się pokazać naszemu obiektowi. W końcu tyle mówił o konspiracji. Nagle zmienił zdanie?

– Czemu się ujawniamy? – zapytałam, gdy staruszek zamknął nam drzwi przed nosem i poszedł szukać Ngapo.

Azazel wyciągnął smukłą oficerkę z pochwy.

– Ponieważ istnieje spore prawdopodobieństwo, że Pajmon i Agares już tu są. Musimy jak najszybciej ewakuować wszystkie pozostałe obiekty z innych zakątków świata. Najpierw jednak sprawdzimy, czy Ngapo żyje.

– I gdzie ich przeniesiemy? – zapytał Beleth. – Przecież wszędzie będą zagrożeni.

– Gdziekolwiek – mruknął Azazel. – Ale łatwiej będzie nam chronić, gdy wszyscy będą w jednym miejscu.

– Może powinniśmy się rozdzielić? – zaproponowałam. – Ich jest dwóch. Nas troje. Jakby co, to jednej osobie musi się udać.

Jakież to optymistyczne...

– Nie, nie – zaprotestował Azazel. – To niebezpieczne. Zresztą nie możemy sobie pozwolić, żeby cię stracić. A w ten sposób możemy pilnować się nawzajem.

Drzwi skrzypnęły ogłuszająco, gdy staruszek w futrzanej czapie znowu się wychylił. Uśmiechnął się do nas bezzębnymi ustami i powiedział:

– Bardzo mi przykro, ale Ngapo nie może teraz podejść. Medytuje. Przyjdźcie później.

Ręce mi opadły. Rozejrzałam się dookoła. Śnieg już przestał padać. Staliśmy na szczycie wzgórza, bądź góry, gdzieś na największym zadupiu Himalajów, w kompletnej głuszy, otoczeni przez kilkumetrowe zwały śniegu. Żeby dostać się do najbliższego schroniska, czy czegoś podobnego, pewnie czekałaby nas kilkudniowa droga w dół, a on każe nam przyjść później? Bo Ngapo medytuje? Żarty sobie robią czy co?

Azazel westchnął ciężko i mocniej ścisnął szablę.

– Kurwa – warknął. – Agares, musisz bawić się w te gierki? Co zrobiliście z Ngapo?

Staruszek otworzył przed nami drzwi. Jego twarz zaczęła się zmieniać. Zmarszczki wygładziły się, zniknął bezzębny uśmiech, czarne oczy stały się jasnoblękitne. Mężczyzna zrobił się wyższy, zgrzebne szaty zniknęły, zamieniając się w drogi, dwurzędowy garnitur.

Stary, niemniej przystojny diabeł poprawił krawat.

– Przykro mi, ale Ngapo już nie może z wami rozmawiać. – Agares uśmiechnął się do nas. – On już z nikim nie będzie mógł rozmawiać.

Zajrzałam ponad ramieniem Azazela do wnętrza świątyni. Mały przedsionek zalany był krwią, zbryzgane nią były również ściany. Przy uchylonych do następnego pomieszczenia drzwiach zobaczyłam leżącego człowieka. Nie ruszał się, nie oddychał. Zrobiło mi się niedobrze. Ilu tu było żywych ludzi, zanim oni się pojawili? Tej krwi na ścianach wystarczyłoby, żeby wypełnić nią żyły kilku śmiertelników.

Mężczyzna potoczył po nas spojrzeniem. Zatrzymał się na nierozumiejącym, co tu się dzieje, Piotruku.

– Och... jak miło, że go do nas przyprowadziliście – powiedział po polsku, by chłopak zrozumiał. – Nie będziemy musieli go szukać.

Za naszymi plecami rozległ się głośny świst ostrza. Pchnęłam Piotruka w bok. Ciężko upadliśmy w zaspę. Rozżarzony miecz Pajmona roztopił śnieg w miejscu, w którym przed chwilą stał Piotrek.

– Uciekaj!!! – krzyknęłam do niego.

Jednak tak samo jak on miałam kłopoty z podniesieniem się. Śnieg był głęboki, a my zapadliśmy się bezwładnie. Beleth wyszarpnął swoją kataną i rzucił się na Pajmona. Iskry od ścierających się ostrzy topiły śnieg. Żółte płomienie oświetlały wykrzywione z wściekłości twarze.

Zdołałam się podnieść.

Azazel sprytniej sobie poradził.

Zatrzasnął drzwi przed nosem Agaresa i oparł się o nie, blokując wyjście.

Usłyszeliśmy głośnie przekleństwa dobiegające z wnętrza świątyni. Ziemia pod stopami zatrzęsła nam się niespodziewanie.

Znowu upadłam twarzą w śnieg.

Azazel zaspawał dłonią drzwi i przebiegł obok mnie z wyrazem paniki na twarzy.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że Agares ma władzę nad trzęsieniami ziemi! – krzyknął, biegnąc z kluczem do olbrzymiego głazu, przez który poprzednio przeszliśmy.

Piotrek pociągnął mnie za ręce do pozycji pionowej. Pobiegliśmy za Azazelem, który pędził, jakby dostał skrzydeł. Beleth nadal walczył z Pajmonem. Zauważyłam, że przecięta koszula odsłania nadpaloną ranę na jego boku.

Zatrzymałam się przerażona. Zauważyłam, że nasz wróg też został ranny. Lewa ręka wisiała mu bezwładnie. Czarne raybany Beletha leżały zgniecione na śniegu.

Piotrek szarpnął mnie za ramię i zmusił, żebym szła za nim.

– Da sobie radę – krzyknął Piotruś.

Nie byłam tego pewna. Bałam się o Beletha. To głupek, który po prostu chce mnie zaciągnąć do łóżka, ale nie chciałam, by stało mu się coś złego.

Brodząc w śniegu, ruszyliśmy pod górę za Azazelem, który już stworzył przejście.

Ziemia zatrzęsła się jeszcze raz. Świątynia legła w gruzach. Kilka kamieni wbiło się w śnieg koło nas. Wściekły Agares stał w rumowisku, wymachując płonącym toporem. Wyszarpnęłam na wszelki wypadek karabelę z pochwy.

Piotrek cały czas trzymał mnie pod ramię i ciągnął w stronę otwartego przejścia, w którym stał Azazel, machając na nas ponagłajaco dłonią. Beleth uderzył z całej siły kataną Pajmona, a następnie kopnął go w pierś. Diabeł upadł ciężko na plecy, gubiąc miecz.

Beleth rzucił się biegiem w naszą stronę. Kamień spadł mi z serca. Do przejścia dotarł przed nami. Nie oglądając się, przeskoczył na drugą stronę. Wepchnęłam przed sobą Piotrka.

W tym momencie ziemia znowu zadrżała, uciekając mi spod nóg. Zsunęłam się kilka metrów w dół zbocza w stronę Agaresa deptającego mi po piętach. Karabela wpadła w zaspę, znikając mi z oczu.

– Wiki! – ryknął Piotrek, ale Azazel wepchnął go w przejście.

Agares stanął nade mną, biorąc zamach toporem. Wyciągnęłam przed siebie ręce, topiąc, a następnie zamrażając śnieg, w którym leżałam. Agares poślizgnął się na lodzie, który stworzyłam, i klapnął na tyłek. Topór uderzył ciężko tuż obok mnie, obsypując moje ubranie iskrami.

– Wiki! – Azazel rzucił mi klucz diabła. – Główna siedziba!!! Złapałam niezgrabnie mały kluczyk na złotym łańcuszku.

Pajmon właśnie podbiegał do przejścia. Azazel przeskoczył przez framugę i zatrzasnął za sobą drzwi, które zniknęły.

Zostałam sama...

Nie mogłam w to uwierzyć! Zostawili mnie! Zostawili mnie!!! Z dwoma szaleńcami, którzy

chcą mnie zabić!!!

Pajmon z miną wyrażającą chęć mordu zaczął biec w moją stronę. Zamachnął się wysoko mieczem, by przeciąć mnie na pół. Z drugiej strony Agares podniósł się z głośnym stęknięciem. Byłam otoczona.

Spojrzałam na topór wbity obok. Doczołgałam się szybko do niego. Złapałam za rękojeść, usiłując go wyrwać i wykorzystać jako broń. Zerknęłam na lód. Lód, pod którym coś widziałam. A raczej nie widziałam nic!

Grunt nie był wcale tak stabilny, jak myślałam! Pod warstwą śniegu był wąski lej, prowadzący do dawno zasypanej jaskini.

Od białego topora zaczęły przebiegać na boki głębokie rysy, znacząc lód siatką pęknięć.

– Szlag by to... – zaczęłam, ale w tym momencie lód się przede mną załamał.

Z krzykiem spadałam razem ze zwałami śniegu w ciemność. W jednej dłoni ścisnęłam kurczowo klucz diabła, w drugiej zaś nadal dzierżyłam topór.

Nad sobą zobaczyłam Agaresa, który bezładnie machał rękami, usiłując przytrzymać się krawędzi lodowej jaskini. Udało mu się złapać jakiegoś występu. Zawisł, machając nogami.

Ścisnęłam w dłoni klucz tak mocno, że aż wbił mi się boleśnie w skórę, raniąc do krwi. Niedaleko zobaczyłam dno.

No to bum.

W tym momencie gruchnęłam o ziemię. Miałam wrażenie, że pół planety zatrzęsło się od tego spotkania. Wpadłam w kilkumetrowej głębokości warstwę śniegu, która odrobinę zamortyzowała upadek, a mimo to poczułam, jak kilka żeber trzasnęło.

Przewróciłam się na brzuch i zakaszlałam krwią, plamiąc śnieg. Co najmniej jedno zebro przebiło płuco, nie mogłam złapać tchu. Kręciło mi się w głowie, chyba miałam wstrząs mózgu. Mogłam poruszać kończynami, nie byłam sparaliżowana, ale coś dziwnie chrupało mi w lewym nadgarstku i chyba skręciłam nogę.

Serdecznie dziękuję za takie przygody! W ogóle nie posiadam kaskaderskich zdolności.

Przed sobą zobaczyłam kawałek gładkiej, lodowej ściany. Idealna do stworzenia przejścia. Spróbowałam wstać, ale zawroty głowy i noga wykręcona pod dziwnym kątem mi to uniemożliwiły.

Zacharczałam krwią, chociaż miałam ochotę szpetnie kłąć i obrzucić mięsem wszystkie diabły świata. Porzuciłam nieprzydatny i piekielnie ciężki topór, zaczęłam niezgrabnie czołgać się w stronę ściany, która była moją jedyną szansą na wydostanie się z tej pułapki. W tej chwili z góry z głuchym łomotem spadł Agares. Uderzył o ziemię kilka metrów za mną.

Z jego piersi wyrwał się bolesny skowyt.

Aż zrobiło mi się raźniej, że nie tylko ja tak pechowo spadłam. Mój przeciwnik zaczął się dusić. No proszę, jemu też chyba coś pękło. Miałam nadzieję, że obrażenia wewnętrzne nie I pozwolą mu wstać zbyt szybko, zważywszy na zółwie tempo, w jakim zbliżałam się do ściany. Trzymałam już w wyciągniętej dłoni kluczyk, by stworzyć przejście.

Czułam, jak moje ciało zaczyna się samo naprawiać. Zawroty zniknęły, w nadgarstku przestało chrupać, jednak nadal miałam kłopot z oddychaniem, a bezwładna noga bolała przy

każdym dotknięciu.

Doczołgałam się do ściany i oparłam o nią ciężko. Odwróciłam się do mojego przeciwnika. Agares leżał nieruchomo na plecach. Chyba stracił z bólu przytomność. Mięczak...

Nagle wciągnął głęboko powietrze i otworzył oczy. Odwrócił głowę w moją stronę. O kurczę! Czym prędzej wepchnęłam klucz w ścianę. Na widok białych drzwi z firanką miałam ochotę zapłakać z radości.

– Wiktoria – wymamrotał ze złością za moimi plecami Agares.

– A zdechnij tu, dupku – spróbowałam powiedzieć z godnością, ale pod koniec się rozkaszałam, co zupełnie popsuło efekt.

Szarpnęłam klamkę, bezładnie strzeliłam kulą ognia gdzieś w ścianę nad sobą i wtoczyłam się do pokoju.

41

Azazel natychmiast zatrzasnął drzwi, gdy tylko wtoczyłam się do małego mieszkania w bloku w Warszawie. Na podłogę razem ze mną wpadło trochę śniegu. Leżałam bezsilnie na brzuchu, nie mogąc ruszyć nawet małym palcem u nogi, tak mnie wszystko bolało.

Beleth i Piotrek rzucili się na mnie w tym samym momencie. Krzyczeli jeden przez drugiego, więc nie do końca mogłam się zorientować, który z nich co powiedział. – Co ci jest?!

– Jak się czujesz?!

– Co ci zrobili?!

Odsuń się od niej!

– Ty się odsuń! Nie widzisz, że nie może oddychać?!

– Doktor się znalazł! Myślisz, że tlenu jej przybędzie, jak nad nią zawieszysz?!

– Odwal się ode mnie. To ich powinniśmy zamordować!

– Jak dorwę tych sukinsynów Uciekłeś jak tchórz!

– Ja?! Ty też zwiewałeś! Ja za to walczyłem!

– Bo Azazel mnie wepchnął!

Przekrzykiwali się jeszcze przez chwilę, a ja leżałam spokojnie, plując krwią na podłogę. Kanapa była na wyciągnięcie ręki, ale jakoś nikt nie wpadł na pomysł, żeby mnie tam przenieść. Kocham ich właśnie za tę bezgraniczną empatię...

Zebra w końcu wskoczyły na miejsce, a noga się nastawiła. Mogłam swobodnie oddychać. Dźwignęłam się do pozycji pionowej bez niczyjej pomocy, bo moi „dzielni wybawcy” byli zbyt zajęci skakaniem sobie do gardeł, a Azazel z zasady nikomu nie pomagał.

Usiadłam obok Azazela na kanapie i podałam mu kluczyk. Piotrek usiadł obok mnie po drugiej stronie, a Beleth ukląkł u moich stóp. Wreszcie zauważyli, że już nie umieram na podłodze? No proszę.

– Zgubiłam karabę – powiedziałam do Azazela, wzdychając ciężko.

– To wybierz sobie jakąś inną broń – wskazał dłonią na stos pod ścianą.

Drugiej karabeli nie było. Zostały same brzydkie, jak na mój gust, katany.

– Twoja oficerka mi się podoba – odparłam bezczelnie.

– Ale mnie też się ona podoba – wyjaśnił.

– Ale ja właśnie kaszlałam krwią... Bez słowa podał mi broń.

Azazel wstał i klasnął w dłonie. Uśmiechnął się do nas nerwowo.

– Dobra, kochani, musimy się zbierać! Mamy tylko chwilę przewagi. Trzeba to wykorzystać. Nie ma czasu na siusiu i kanapeczki. Następny przystanek – Stambuł!!!

Wstałam z westchnięciem. Czekają na nas jeszcze osiem obiektów. Spojrzałam na Piotrusia siedzącego w grubej kurtce, z wyrazem pustki w oczach. Pomyślałam o Ngapo. Miałam nadzieję, że nie umierał w męczarniach. Jak na razie był remis. Agares był uśmiechnięty. Jego bawiło mordowanie. Nie mogłam się doczekać, kiedy dorwę go w swoje ręce i skrócę o głowę. Oczywiście o ile nie zginął w jaskini, którą zniszczyłam. Jednak sądzę, że na takie szczęście nie miałam co liczyć. Przygryzłam wargę. Mogłam zabić go w jaskini. Mogłam zabić ich obu, gdy nas zaatakowali. A jednak tego nie zrobiłam.

Dlaczego? Odpowiedź była prosta – zwyczajnie bałam się to zrobić. Nigdy nie zabiłam nawet muchy, a teraz miałabym pozbawić życia dwie istoty wieczne.

Spojrzałam na Beletha, który naprawił rozciętą koszulę. Trzymał się za zraniony bok.

– Jak się czujesz? – zapytałam. – Mocno cię zranił? Beleth posłał mi zmęczony uśmiech.

– Nic mi nie jest. Szybko się zagoi – skłamał. – To tylko draśnięcie.

Piotrek przyglądał się nam z niechęcią. Nie uszczęśliwiła go moja troska o stan zdrowia diabła.

Podchodząc do drzwi stworzonych przed Azazela, zamieniłam mokre dżinsy i podkoszulek na spódnicę za kolano i bluzkę z rękawami trzy czwarte. Nie chciałam zbyt rzucić się w oczy. Co prawda na stambulskich ulicach było mnóstwo turystek ubranych dość swobodnie i kuso, jednak nie byłam pewna, gdzie zabierze nas Azazel. Możliwe, że obiekt numer trzy mieszkał w bardziej tradycyjnej dzielnicy, gdzie było mało przyjezdnych.

Pstryknęłam palcami. Kurtka Piotrka i ciężkie buty zniknęły. Był ubrany tak samo jak wtedy, gdy Pajmon zaatakował nas po raz pierwszy. Uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością.

Po przejściu przez drzwi znalazłam się w cieniu rozłożystego drzewa. Wyszłam na płamę gorącego tureckiego słońca, które od razu mnie oślepiło.

Pomyliłam się. Staliśmy z boku Błękitnego Meczetu. Wszędzie było mnóstwo turystów, jakimś cudem nie zostaliśmy przez nikogo zauważeni.

Rozejrzałam się. Szorty i głębokie dekolty obok muzułmanek ubranych tak jak ja i tych ukrytych za tradycyjnymi warstwami grubych, nieprzejrzystych tkanin tworzyły niepowtarzalną feerię barw Turcji.

Moi towarzysze stanęli obok mnie.

– Tam – Azazel ruszył przed siebie szybkim krokiem.

Poszliśmy za nim w stronę wejścia do toalet. Żółte tabliczki z umowną sylwetką chłopca i dziewczynki były słabo widoczne. Z boku Błękitnego Meczetu, niedaleko wejścia dla wycieczek, na małym placu w cieniu potężnego drzewa były dwie bramki, za którymi zaczynały się schody w dół do łazienek. O barierkę tuż obok opierał się niespełna czterdziestoletni mężczyzna w beżowym mundurze. Żandarm pilnujący zabytków.

Turcy mieli dość specyficzne podejście jeśli chodzi o terrorystów. Oni po prostu widzieli ich wszędzie. To z tego powodu każdego zabytku pilnowali specjaliści żandarmi, nieważne czy była to skalna formacja w Kapadocji, czy jedna z najwspanialszych budowli w Stambule, a może nawet

na świecie.

W obawie przed zamachami nigdzie nie wisiały skrzynki pocztowe. Kartkę z wakacji turyści mogli wysłać jedynie bezpośrednio z poczty lub zostawić w hotelu na łasce pracowników. Z tego samego powodu trudno było znaleźć kosz na śmieci. Było ich jak na lekarstwo...

– Spotkamy się przy fontannie pod Hagią Sophią. Nie możemy zwracać na siebie uwagi. Czekać tam na mnie – nakazał Azazel i podszedł do żandarma.

Oparł się nonszalancko obok niego o barierkę i zagadał.

– Za mną – powiedział Beleth i wziął mnie za rękę. – Znam drogę.

W to nie wątpiłam. Nie były to jego ulubione czasy, niemniej nadal ulubiony kraj. Wyrwałam dłoń. Piotrek zaśmiał się krótko i posłał diabłu znaczące spojrzenie.

Beleth nie skomentował mojego gestu ani zachowania Piotrusia. Złapał się natomiast za bok i wykrzywił. Od razu poczułam wyrzuty sumienia.

Dotknęłam jego pleców i zapytałam:

– Bardzo cię boli?

– Trochę – przyznał zbolonym głosem Beleth. – Rana odrobinę się paprze...

Już miałam powiedzieć mu, żeby się na mnie oparł, to łatwiej będzie mu iść, ale zauważyłam, że uśmiechnął się z wyższością do Piotrka.

– Jak dzieci – skrytykowałam ich i ruszyłam przed siebie, nie zamierzając być pionkiem w ich grze. – Chodźmy wreszcie.

Piotruś szedł posłusznie za mną, ciekawie rozglądając się dookoła. O ile wcześniej był zmęczony, to teraz na jego twarzy pojawił się wyraz ekscytacji. Jeszcze nigdy nie był w Stambule. Beleth po moim komentarzu także nagle ozdrowiał. Co prawda unikał gwałtownych ruchów, jednak nie krzywił się przy każdym kroku jak poprzednio.

– Hello, hello, zdrastwujcie, dzień doobry – zaczął wołać za nami mężczyzna z torbą wypchaną przewodnikami w różnych językach. – Łer ar ju from? Rosija, Polska?

Pokiwaliliśmy przecząco głową, żeby się odczepił. Nie dawał za wygraną. Szedł za nami, taszcząc książeczki.

– Ten juro, tłenti lira, dziesiąt juro, dwadcat lira! Tanio! Tanio!

W końcu machnął na nas ręką i rzucił się na wycieczkę, która wyszła z autokaru tuż obok bramy. Okrążyliśmy Błękitny Meczet. Zwolniłam, podziwiając niezwykłą budowlę.

– Szybciej – pospieszał nas Beleth, gdy z Piotrusiem zatrzymaliśmy się w niemym zachwycie.

Naszym oczom ukazała się Hagia Sophia. Co prawda była lekko wyblakła i wydawała się z tej odległości dość mała... Jednak nadal była Hagią Sophią.

Przeszliśmy obok kilkunastu rzędów rozgrzanych ławek. Środek dnia, jakieś czterdzieści stopni w cieniu. Odgarnęłam włosy z czoła, wzdychając ciężko.

Przebiegliśmy na drugą stronę ulicy między samochodami stojącymi w gigantycznym korku, a następnie alejką obsadzoną po obu stronach nieznanymi mi drzewami kwitnącymi na różowo. Staaliśmy obok fontanny. Wszędzie biegały dzieci, dziesiątki turystów robiło zdjęcia, Turcy sprzedawali butelkowaną wodę i przewodniki.

Mnóstwo ludzi. Przeszedł mnie dreszcz na myśl o rzezi, którą mogłyby urządzić tu diabły.

Beleth uśmiechał się wesoło, patrząc na Błękitny Meczec. Cały promieniał. Miał dużo miłych wspomnień związanych z tym miejscem.

– Jak nazywa się następny obiekt? – zapytałam.

– Aykut. Pracuje gdzieś tutaj – wyjaśnił nam diabeł. – Żandarm to człowiek Azazela. Obserwował go.

Pokiwałam głową i odeszłam kawalek, podziwiając przez srebrzystą wodę z fontanny kopuły Błękitnego Meczetu.

– Hello, du ju nid help? – zagadał do mnie jakiś szczurowaty z wyglądu mężczyzna.

– No – odpowiedziałam i wyminęłam go, chcąc okrążyć fontannę. Niezmiennie podążał za mną.

– Łer ar ju from? – zapytał. Zignorowałam go.

– Rosija?

Daj se facet siana – miałam ochotę krzyknąć.

– Polska? Litwenia?

– Polska – mruknęłam w końcu. – And I don't need help! Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, pokazując popsute zęby.

– Ju nid e strong man – odparł, mając na myśli oczywiście samego siebie.

Przyjrzałam mu się krytycznie. Był mojego wzrostu, szczuplutki, wręcz anorektyczny, i jeszcze ta mina cwaniaczka. Tak... to bez dwóch zdań prawdziwy mężczyzna. Takiego mi trzeba! Wskazałam bez słowa na Beletha, który już gniewnie zbliżał się do nas.

– Sori, sori – wymamrotał szczurowaty, najwyraźniej uznając diabła za swojego „właściciela”, odwrócił się na pięcie i zniknął.

Piotruś okrążył fontannę i także znalazł się tuż obok mnie. Moi dwaj bodyguardzi uważnie sondowali tłum, szukając Pajmona i Agaresa.

– Zobaczcie – wskazał głową na ulicę prowadzącą do Błękitnego Meczetu.

Azazel szedł w naszą stronę z jakimś młodym mężczyzną ubranym w mundur żandarma. Przewieszony przez ramię karabin uderzał rytmicznie o jego bok. Nieznajomy rozglądał się przerażonym wzrokiem, jakby spodziewał się, że złe diabły wyskoczą na niego zza palmy. Mądry gość!

– To Aykut – przedstawił go nam Azazel. – Już go wprowadziłem w sytuację. Idziemy stworzyć przejście.

Młody Turek uśmiechnął się do mnie szeroko. Był przystojny tak jak średnio siedemdziesiąt procent mężczyzn z tego kraju, tylko trochę niski (także jak siedemdziesiąt procent mężczyzn z tego kraju...). Zapytał mnie, jak się mam i czy też jestem „szejtan”. Od razu go polubiłam.

Jak na mój gust mimo wszystko odrobinę rzucaliśmy się w oczy. W końcu kto by nie zauważył grupki znerwicowanych ludzi z mieczami, którzy cały czas oglądają się, czy nikt ich nie śledzi, i na dodatek są tacy ładni? Co tu kłamać – diabły były piękne. Piotruś także przykuwał spojrzenie.

Beleth prowadził.

– Tędy Divan Yolu Caddesi. – Nikt z nas poza Aykutem nie zrozumiał, co krzyknął, więc po prostu za nim ruszyliśmy.

Szybkim krokiem przeszliśmy przez skrzyżowanie, a następnie szeroką ulicą. Przeczytałam nazwę z małej tabliczki: Divan Yolu. Czyli to miał na myśli diabeł. Mijaliśmy małe bary i restauracje. Kelnerzy usiłowali nas namówić na najróżniejsze wariacje kebabu. Wbiegliśmy w pierwszą wąską uliczkę.

Wszędzie było dużo ludzi, nawet daleko za Hagią Sophią i pałacem Topkapi.

W końcu znaleźliśmy pusty plac pomiędzy budynkami. Nikogo nie było widać w oknach. Stanęliśmy w cieniu. Azazel wyciągnął klucz, ale zawahał się.

– Gdzie ich wyślemy? – zapytał Beleth.

– Mam pewien pomysł – powiedział Azazel. – Tylko nie wiem, czy dobry...

– To może powiedz. – Westchnęłam ciężko.

– Właśnie wołałbym wam nie mówić. Wtedy byłoby bezpieczniej, gdybyśmy się przypadkiem rozdzielili.

Wsadził kluczyk w ścianę.

– Tylko że jak ty zginiesz, to nigdy ich nie znajdziemy – zauważyłam.

Azazel otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale pokiwał głową, zmieniając zdanie.

– Masz rację – odparł w końcu. – Jednak nie powiem wam dokładnie, gdzie to jest. – Dam wam tylko wskazówkę. Wy będziecie wiedzieli, o co chodzi, lecz nikt inny nie. Poza tym uważam, że to bardzo innowacyjny pomysł. Jeszcze nikt wcześniej tego nie próbował – Azazel stał dumny jak paw. – Chociaż w sumie z tą Persefona to już się raz udało...

Aż otworzyłam usta ze zdziwienia.

– Zdumiałaś? – krzyknęłam.

– Ooo... – Zmarszczył brwi. – Znasz mit o Persefonie? I znowu konspirację szlag trafił...

Kretyn...

Piotruś spojrzał na mnie, nic nie rozumiejąc. On nie znał tego mitu. Hades, władca podziemi, porwał Persefonę, w której się zakochał, do świata umarłych.

– Czy oni nie umrą, jak zabierzemy ich do Piekła? – zapytałam.

– Nie, nie – zapewnił mnie szybko Azazel. – Poza tym uważam, że to świetne posunięcie. Gdzie jak gdzie, ale w Piekło szukać ich nie będą.

Najciemniej zawsze jest pod latarnią. Uśmiechnęłam się. To nawet miało sens. Legiony diabelskie będą przekopywały całą planetę, ale przecież nie zaczną szukać żywych ludzi w Niższej Arkadii, świecie pozagrobowym!

– To teraz wskazówka. Przenosimy ich do drukarni. – Uśmiechnął się i przekręcił kluczyk. – Musicie pomyśleć, że chcecie się znaleźć tam, gdzie nasza kochana staruszka, i już. Nikt inny nie wie, o jaką staruszkę chodzi. Czy to nie jest genialne?

Na obdrapanej ścianie pojawiły się drzwi. Azazel otworzył je i zrobił zachęcający gest dłonią. Piotrek spojrzał na mnie i powiedział stanowczo:

– Ja bez ciebie nie idę. Nie możesz się sama narażać.

– Rycerzyk się znalazł... – rzekł z pogardą Beleth.

Uśmiechnęłam się radośnie i już miałam rzucić się Piotrkowi na szyję, kiedy Aykut powiedział lekko zdziwiony, wskazując na coś za naszymi plecami:

– Ooo... Iblis¹.

Azazel w jednej chwili wepchnął go za drzwi i zatrzasnął je, wyszarpując kluczyk.

Odwróciliśmy się w stronę Agaresa. Wściekły machnął mieczem, który zapłonął. Wyglądał przerażająco, nic dziwnego, że Aykut wziął go za Szatana.

– Ha! Byliśmy pierwsi! Byliśmy pierwsi! – zaczął skandować ucieszony Azazel.

Agares posłał mu zniesmaczone spojrzenie, które chyba godzinami ćwiczył przed lustrem, bo idealnie pasowało do siwych włosów na jego skroniach.

– Tak... – mruknął. – Ale tylko dlatego, że miałem niemiłą przygodę w pewnej jaskini. Uśmiechnęłam się pod nosem. Miałam nadzieję, że się na niego zawałiła.

– Niemniej jedna Iskra nadal tutaj jest – zauważył diabeł. – Możecie go nam oddać po dobroci.

– Ha! Uważaj – prychnęłam i wyszarpnęłam oficerkę z pochwy. Falbany spódnicy skutecznie wcześniej ją ukryły przed oczami gapiów.

Agares posłał mi ponury uśmiech.

– Sądzę, że mamy pewien argument, który was przekona – wskazał ręką na kontener stojący po jego prawej.

Z cienia wyszedł Pajmon, trzymając za wykręcone ręce przerażoną... Monikę! Przystawiał jej miecz do szyi. Widziałam szaleńcze pulsowanie tętnicy pod cienką skórą. Jeszcze milimetr i ją draśnie, zostawiając w najlepszym razie brzydką bliznę, w najgorszym tworząc jej na szyi nowe usta...

– Jeśli nie oddacie nam Piotra – warknął Pajmon – to ją zabiję. Tu i teraz.

Zupełnie o niej zapomniałam. Wtedy gdy zostaliśmy zaatakowani po raz pierwszy, była z Piotrusiem na tej ich pseudorandce. Potem, kiedy się przewróciliśmy, straciłam jąż oczu. Sądziłam, że uciekła przerażona, tak jak większość ludzi na widok diabła z płonącym mieczem, a ona najwyraźniej została porwana przez tych szaleńców!

Musieliśmy ją ratować!

Nagle przypomniałam sobie, jak flirtowała z Piotrkiem. Jak łapała go za ramię. Jak zaglądała mu głęboko w oczy, trzepocząc rzęsami jak kretynka. Jak głośno się śmiała, udając, że tak ją bawi to, co jej mówi (nawet mimo dużej odległości wiedziałam, że to jest jej fałszywy, doskonale wystudiowany śmiech). Po podliczeniu plusów i minusów doszłam do dość oczywistych wniosków.

– A zabij ją sobie. – Wzruszyłam beztrząsramionami.

Po tych słowach wszyscy odwrócili się w moją stronę. Zdziwienie malowało się na ich twarzach. Azazel stuknął Beletha w bok i powiedział teatralnym szeptem:

– Wreszcie zrozumiałem, co ty w niej widzisz. Pajmon zamrugał, jakby miał przywidzenia.

– Chyba nie wypowiedziałem się wystarczająco jasno – stwierdził. – Zabiję ją. Tak całkiem.

¹ Iblis - imię Szatana w tradycji muzułmańskiej.

Kaput. Koniec. Jak amen w pacierzu. Nic więcej nie będzie. Padnie tu martwa. Nie wstanie – dodał jeszcze, patrząc mi prosto w oczy.

Już miałam mu wygarnąć, że nie musi mówić do mnie jak do oteplanej umysłowo, ale Beleth wysunął się przede mnie.

– Słuchajcie – powiedział, podnosząc do góry obie dłonie na znak pokoju. – Nikt tu nie będzie dzisiaj nikogo zabijał.

Pajmon zaśmiał się krótko. On chciał zabić. Widać to było po jego minie.

– Nie rozumiesz, Belecie. To my tutaj stawiamy warunki. Oddacie nam Piotra, powiecie, gdzie znajduje się Aykut, i wtedy oddamy wam tę piękną damę. – Mocniej ścisnął jej ramię, a ona pisnęła donośnie.

Nie lubię Moniki, ale mimo to zrobiło mi się jej żal. Niemniej nadal nie zamierzałam oddawać im Piotra w zamian za jej życie. Głupia nie jestem.

– Nie ma mowy – powiedział Azazel. – Zrobimy tak: wy oddacie nam dziewczynę, a my was nie zabijemy.

– Tak – poparł go Beleth.

– Teraz nawet nie potrafisz samodzielnie myśleć. Widzę, że przydałby ci się porządny dowódca – warknął Pajmon, uśmiechając się do niego obleśnie.

– Możliwe, ale nie taki skur... – zaczął Beleth, lecz Azazel przerwał mu chrząknięciem.

Nawet diabłom nie wolno używać pewnych przekleństw.

– Moi drodzy. – Azazel rozłożył ręce. – Przecież ona może was zniszczyć jedną myślą. Wy naprawdę chcecie coś negocjować? – zachichotał. – Możecie co najwyżej uciekać i mieć nadzieję, że nie będziemy was gonić.

Agares zaśmiał się głucho.

– Gdyby chciała nas zabić, zrobiłaby to dawno. Jakoś nadal się ruszamy, więc wniosek jest prosty. Ona nie umie bądź nie chce tego zrobić. Wszyscy ludzie z Iskrą kierują się sumieniem.

Zerknął na Monikę, która właśnie zapiszczała, a następnie na mnie.

– No... może prawie wszyscy – dodał.

– Po prostu wybraliśmy złą ofiarę – warknął zły Pajmon. – Zabijmy ją. Jest niepotrzebna.

– Hej, zaraz – teraz ja się wtrąciłam. – Naprawdę nie możemy się jakoś dogadać?

Pajmon uśmiechnął się. Miał minę, jakbym właśnie połknęła haczyk. Co chyba rzeczywiście zrobiłam... już czułam, jak mnie drapie w gardle.

Zamyśliłam się. Oni ją zabiją. Nie uratujemy jej. Spojrzenie Pajmona było puste. Nie było w nich żadnych uczuć poza pragnieniem. Pragnieniem śmierci. Był jak drapieżnik na polowaniu. Nic więcej się dla niego nie liczyło.

Monika blada jak ściana oddychała spazmatycznie. Nie mnie decydować, czy powinna zginąć.

– Posłuchajcie – powiedziałam. – Musimy to przemyśleć. Dajcie nam czas do namysłu. Spotkajmy się tutaj jutro o tej samej godzinie. Dobrze? Wtedy podejmiemy decyzję, czy opłaca się z wami paktować, czy może lepiej od razu was zabić.

– Nie ma mowy – zagrzemiał Agares.

Ziemia pod naszymi stopami zadrżała groźnie. Z budynków zaczął sypać się tynk położony przed dziesięcioleciaми. Z placu pod Hagią Sophią dobiegł nas paniczny krzyk ludzi. Głośny huk wstrząsnął miastem, gdy zawalił się jakiś budynek.

Miałam nadzieję, że nie przewrócił się żaden z minaretów przy Błękitnym Meczezie czy Hagii Sophii.

– Ty kretynie, to Uskok Anatolijski! – krzyknęłam, ledwo łapiąc równowagę. Drżenie ziemi ustało natychmiast.

– Wiem – odburknął wściekły diabeł.

Płyty kontynentalne były tu cały czas w ruchu. Jeszcze trochę gniewu Agaresa i całe miasto szlag by trafił. Tutaj i tak był teren sejsmiczny.

– To nie jest dobre miejsce na spotkanie – powiedział Pajmon. – Spotkajmy się tam.

W powietrzu przed naszymi oczami pojawił się obraz jakiegoś pustego budynku w stanie surowym. Kilkupiętrowy, z betonowymi ścianami i kablami sterczącymi z sufitów, wyglądał na dawno opuszczony. Pewnie deweloper zbankrutował i biurowiec poszedł na zmarnowanie. Gdzie się znajdował, w jakim kraju, na jakim kontynencie? Tego Pajmon już nam nie pokazał.

– I nie o tej samej porze, tylko równo za sześć godzin. Nie będzie żadnych niepożądanych gapiów, będziemy sami. Zabierzcie Piotra, my weźmiemy Monikę.

– Co ty...? – zaczął Agares, ale Pajmon mu przerwał:

– Wiem, co robię. Równo za sześć godzin macie się tam stawić z podjętą decyzją.

Cofnęli się w cień budynku. Stworzone przez nich wrota błyszczały przez moment, by za chwilę zniknąć. Azazel odwrócił się w moją stronę.

– Masz jakiś plan? – zapytał.

– Szczerze... to tak nie za bardzo...

42

Zdziwiło mnie, że Pajmon tak łatwo przystał na moją propozycję. Coś było nie tak. Nie mogłam liczyć na jego łaskę i dobre serce, bo po prostu nie był łaskawy, a serca chyba w ogóle nie miał. Na co więc liczył?

Niech to... To znaczy, że miał plan i był sprytniejszy ode mnie.

– I tak ją zabiją – Beleth przypalił papierosa.

Wcześniej poczęstował Azazela i nawet mnie, chociaż nie palę. Piotrka ostentacyjnie pominął.

– Może nie – mruknął Piotrek, starannie unikając mojego wzroku.

Co mu się stało? Nawet nie stał zwrócony twarzą w moją stronę.

– W cuda wierzysz? – zakpił Beleth. – A zresztą... ty pewnie nawet w Świętego Mikołaja wierzysz.

– Nie zabiją jej – zaprotestowałam, ucinając ich kolejną kłótnię. – Coś wymyślimy. Na razie musimy czym prędzej ewakuować kolejne obiekty. Oni także pewnie rzucą się, by je wykończyć. Musimy być pierwsi. Mamy tylko sześć godzin. Podzielmy się.

Azazel oparł się ciężko o mur.

– Mamy jeden klucz. Zapomniałaś?

Fakt... to pewien problem, biorąc pod uwagę mój szczątkowy jak na razie plan.

– A nie można go po prostu powielić? – przypomniałam sobie swoje francuskie rogaliki.

Azazel zamyslił się głęboko.

– Nigdy nie próbowałem... – rzucił mi kluczyk. – Ty masz większą moc ode mnie.

Obróciłam złoty kluczyk w dłoni. Pomyślałam intensywnie o jego kształcie, twardości, błysku złota, którym był pokryty. Delikatność filigranowych ogniw łańcuszka, na który był nawleczony. Wgłębienia odpowiadające zamkowi drzwi Belfegora.

Na mojej dłoni leżały trzy identyczne klucze, błyszczące w tureckim słońcu chylącym się już ku zachodowi. Nie mieliśmy dużo czasu.

Podaliśmy je Azazelowi. Po kolei wszystkie wsunął w ścianę. Każdy zadziałał.

– Niesamowite! – wykrzyknął, a następnie zmarszczył czoło. – Dlaczego sam na to nie wpadłem? Podał każdemu z nas po kluczu. Tylko Piotrek nie dostał swojego.

– A ja? – zapytał, znowu na mnie nie patrząc.

Poczułam ukłucie gdzieś za mostkiem, które z całą pewnością nie było oznaką zawału, bo już nie żyłam, ani refluksu żołądkowego, bo nic nie jadłam od... hm... chyba od rana.

Piotrek unikał mojego wzroku, nie mówił bezpośrednio do mnie. Miał do mnie żal, że tak szybko i bez ogródek ani specjalnych wyrzutów sumienia powiedziałam diabłom, że mogą zabić Monikę? Mnie też było źle z tego powodu. Tak naprawdę nie chciałam, żeby umierała, i co najważniejsze nie miałam prawa tego chcieć.

Po prostu tak mi się wyrwało.

Za to teraz bolało mnie, i to mocno, że on to przeżywał. Czyżby ją kochał? Czy aż tak mu na niej zależało?

– Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz tam, gdzie jest Aykut. Tam będziesz bezpieczny. My musimy się rozdzielić, jak najszybciej wszystkich zgromadzić. Nie możemy cię pilnować – powiedziałam.

– Nie zgadzam się – oznajmił, wpatrując mi się prosto w oczy.

Azazel wsunął swój klucz w ścianę i otworzył przejście do naszej tajnej drukarni.

– Ona nie zginie – przełknęłam własną dumę. – Spróbuję ją uratować. Myślałam, że go tym uspokoję, ale nadal był podenerwowany.

– A jak ty przez to zginiesz? – krzyknął. Zdziwiłam się.

– To nie o nią się martwisz? – zapytałam.

Azazel pochylił się do Beletha. Dobiegł mnie jego teatralny szept:

– Jakbym oglądał meksykańską telenowelę...

Piotrek zerknął na nich, jednak wrócił do mnie spojrzeniem.

– Bardziej martwię się o ciebie.

– Och, proszę! – wykrzyknął Beleth. – Rzygać się chce, jak się słucha tych waszych mdławych wyznań. Kto tak mówi w dzisiejszych czasach?!

Szarpnął Piotrka za ramię i wepchnął za drzwi, nie słuchając jego ani moich protestów.

Szybko je zatrzasnął, by chłopak nie usiłował wrócić.

– Dupek – skwitowałam jego zachowanie.

– Przystojny dupek – poprawił mnie z szelmowskim uśmiechem. – Poza tym podobno mieliśmy się spieszyć?

Kiedy tylko Piotrek zniknął z horyzontu zdarzeń, Belethowi od razu znacznie poprawił się humor. Wręcz promieniał.

Nawet przestał się pochylać w stronę bolącego boku.

– Słuchajcie, mamy tylko sześć godzin – zaczął Azazel. – To bardzo mało. Zresztą nasze obiekty ciągle się przemieszczają, a wam, lenie, nigdy nie chciało się ze mną iść, żeby poznać obserwatorów. Nie zdążymy wszystkich odnaleźć. Jak się dzielimy?

– Idźmy po kolei – zaproponował Beleth. – Kto jest następny w kolejce?

– Obiekt numer cztery – Ricky, Brazylia; obiekt numer pięć – John, Australia; obiekt numer sześć – Kostas, Grecja – wyrecytował szybko z pamięci Azazel. – No i reszta, ale może najpierw skupmy się na nich.

– Ja byłam kiedyś w Grecji – powiedziałam. – Nie znam pozostałych krajów. Azazel uśmiechnął się do mnie.

– Świetnie, jest twój. Kostas mieszka w Atenach, pracuje w restauracji na ulicy Plateia Mitropoleos, niedaleko skrzyżowania z ulicą Odos Nikis.

Kiwałam głową, chociaż nic mi te nazwy nie mówiły. Mimo wszystko wołałam Ateny od Brazylii czy Australii.

– To niedaleko Akropolu i parlamentu. Na pewno trafisz – pocieszył mnie Beleth.

Miałam wrażenie, że oni obaj mają w głowach dokładne plany miast, znają każdą knajpkę, każdą alejkę. No cóż, mieli wieczność, by podróżować po świecie. Pewnie byli już wszędzie.

Postarałam się sobie przypomnieć okolice parlamentu i Akropolu. Przed oczami stanęły mi wspomnienia. Kilka lat temu parę dni mieszkałam w Atenach w małym hotelu w dzielnicy pakistańskiej. Okolica niezbyt ciekawa, jednak tania. Przypomniałam sobie plac przed parlamentem, na którym odbywała się uroczysta zmiana warty, i skwer naprzeciwko. Za budynkiem był olbrzymi, piękny park. To tam postanowiłam się przenieść.

– Już wiem gdzie – powiedziałam.

W końcu umiem mówić. Zapytam kogoś o drogę.

– Obserwator to staruszek, który przesiaduje w knajpce, w której pracuje Kostas. Niski, gruby, ma brodę sięgającą do pasa. Poza tym chodzi w czarnych okularach, z białą laską i beżowym labradorem. Poznasz bez trudu.

Stałam z otwartymi ustami.

– Nasz obserwator jest ślepy? – wydusiłam. Azazel wzruszył ramionami.

– A co ty myślisz, że tak łatwo było mi znaleźć kogoś chętnego do szpiegowania? Nie wybrzydź. To profesjonalista.

Domyślałam się... W końcu kto może być skuteczniejszym szpiegiem niż niewidomy staruszek o lasce?

– Beleth, ty do Brazylii, Rio de Janeiro – zarządził Azazel.

– Obiekt numer cztery to policjant. Patroluje przeważnie okolice Paco Imperial. Gruby i wąsaty. Nasz obserwator to jego współpracownik. Też grupy i wąsaty... Razem patrolują. Trafisz tam?

– Koło ulicy Prezydenta Antonia Carlosa? – upewnił się piękny diabeł.

– Taa – przytaknął Azazel. – Ja lecę do Australii. Po przejściu obiektów spotykamy się w drukarni. Nie ruszamy po następne obiekty, póki wszyscy nie wrócą. W razie czego będziemy musieli sobie pomóc...Podszedł dziarskim krokiem do ściany i wsunął w nią klucz.

– W drogę – zakomenderował i przeskoczył na drugą stronę. Mignęła mi przed oczami pustynia. Obiekt Azazela chyba nie mieszkał w mieście.

Podeszłam do ściany, przekładając kluczyk między palcami. Zatrzymałam się tuż przed nią, nie mogąc zdobyć się na wsunięcie klucza w materię. Bałam się Pajmona i Agaresa. Bardzo się bałam. Nigdy nie byłam przesadnie odważna. Przerazały mnie pająki, duże wysokości, głęboka woda, a także egzaminy ustne. Było po prostu mnóstwo rzeczy, których się obawiałam. Jednak niczego tak mocno jak tych dwóch szaleńców.

Beleth objął mnie od tyłu i przycisnął do siebie. Usiłowałam się uwolnić, ale niechcący dotknęłam jego rannego boku.

Syknął z bólu, więc znieruchomiałam.

Nie wypuszczając z objęć, odwrócił mnie twarzą do siebie.

– Wiki, nie przejmuj się – pocieszył, głaszcząc po policzku. – Będzie dobrze.

– Jesteś tego taki pewien? Uciekł w bok spojrzeniem.

– Nie jestem pewien – mruknął. – Niemniej wykończymy bydlaków. Musisz spróbować, Wiki. Zaczynaj już o tym myśleć. Potem może nie być czasu na zbędne wyrzuty sumienia.

Skrzywiłam się i bez słowa przytuliłam do jego szerokiej piersi. Nie chciałam nikogo zabijać. Było mi źle z tą myślą.

Zrozumiałam, że tak naprawdę nie bałam się wrogich diabłów. Przerazało mnie, że pewnie będę zmuszona zrobić im krzywdę. Będę musiała ich zamordować. Z zimną krwią. Bałam się, że gdy już to zrobię, stanę się taka sama jak oni.

Beleth gładził mnie po plecach. Pachniał lekko korzennym kadzidłem i wiatrem. Podobał mi się ten zapach. Wiedziałam, że powinniśmy już iść, każda minuta była cenna. Jednak nie potrafiłam się od niego odsunąć. W jego ramionach czułam się bezpieczna.

Niechcący dotknęłam jego boku. Nie krzyknął ani się nie odsunął. Tylko wciągnął głęboko powietrze i napiął na chwilę wszystkie mięśnie.

Odsunęłam się od niego na odległość wyciągniętego ramienia.

– Beleth! Przepraszam – powiedziałam szybko. – Nie chciałam.

– Nie szkodzi, w ogóle mnie nie boli – skłamał z uśmiechem.

– Nie udawaj bohatera. Pokaż tę ranę.

Zaśmiał się krótko i zaczął odpinać guziki, wpatrując mi się przy tym głodnym wzrokiem w oczy.

– Ależ ja nie udaję bohatera – odparł z szelmowskim uśmiechem. – Ja nim jestem. Tak samo jak ty jesteś dla mnie bohaterką, moją heroiną. Tak przy okazji, nawet masz narkotyczne

właściwości.

Nie potrafiłam się nie uśmiechnąć. Rozpiął koszulę. Musiałam pomóc mu zdjąć jeden rękaw, bo nie mógł podnieść wysoko ramienia.

– Narkotyczne, mówisz? – Zaśmiałam się.

– Tak, twój widok, zapach, dotyk... smak twoich ust obezwładnia. Nie mogę po prostu cię nie dotykać.

Poczułam, że się czerwienię. Szybko pochyliłam głowę, żeby włosy zasłoniły moje policzki. Spojrzałam na jego bok. Wzdłuż prawego łuku żebrowego ciągnęła się piętnastocentymetrowa, przyżegana rana. Nie była czysta. Fragmenty zwęglonej tkanki były czarne, odrywały się, odsłaniając krwawe ciało.

Żywa rana. W ogóle się nie goiła. Zważywszy na nasze nadprzyrodzone zdolności do regeneracji, już dawno powinna się była zasklepić.

– Jak długo to będzie tak wyglądać? – zapytałam zaniepokojona.

– Poboli jeszcze kilka tygodni. Rana zamknie się może za kilka dni, tydzień – powiedział. – Potem powstanie strup.

Nie rozumiałam, dlaczego obrażenia zadane gorejącym mieczem się nie goją. Każde inne zranienie zrastało się w ciągu kilku minut, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

– Zostanie ci blizna? – zapytałam.

– Tak – mruknął ponuro. – Taka sama jak te na plecach.

Chociaż pamiętałam, jak wyglądają, stanęłam za jego plecami. Dwie długie blizny na obu łopatkach. Czarne, wyglądające na przypalone. Kawałki popiołu i zwęglonej tkanki zarosły skórą, znacząc jej powierzchnię niczym ogromne, nieudane tatuaże.

Delikatnie przesunęłam po jednej z nich opuszką palca. Beleth odwrócił głowę zaskoczony, ale nic nie powiedział. Czekał na mój kolejny ruch. Dotknęłam drugiej blizny i też przesunęłam wzdłuż niej palcami. Przymknął oczy.

– Czy to...? – urwałam.

– Tak... To ślady po skrzydłach. Za karę za udział w rebelii Lucyfera wszyscy je straciliśmy.

– Jak to jest móc latać? – zapytałam.

Zapatrzył się w przestrzeń i uśmiechnął smutno do własnych wspomnień.

– Nie da się tego opisać słowami... Latanie było jedyną rzeczą, którą opłakiwałam po strąceniu z Niebios. Niczego poza tym nie żałowałam.

Znowu stanęłam naprzeciwko niego. Przyjrzałam się ranie, którą zadał mu Pajmon. Miałam dużą moc. Może gdy połączę siły piekielne i Iskrę Bożą, to uda mi się ją usunąć?

Delikatnie przyłożyłam dłoń do brzegów zgorzeli. Obszar martwicy był większy niż moja ręka. Beleth drgnął pod wpływem dotyku.

– Spróbuję ci pomóc – powiedziałam. – Nie ruszaj się.

Pomyślałam intensywnie o jego skórze, aksamitnej, oliwkowej, ciepłej w dotyku. O wspaniałych mięśniach, które uwidaczniają się przy każdym ruchu. O tętnicach i żyłach doprowadzających do niej krew i zabierających produkty przemiany materii. Wreszcie o zakończeniach nerwowych, które przenoszą informacje o dotyku, ciepłe, zimne, bólu, które

regulują napięcie skóry, pracę mięśni, kurcz naczyń krwionośnych.

Było tyle rzeczy, o których musiałam pamiętać.

Przestałam widzieć. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Czułam tylko, jak jakaś siła przepływa z mojej piersi, przez rękę do rany Beletha. Czułam, jak komórki ożywają, jak zaczynają się dzielić, uzupełniając zniszczenia zadane mieczem. Mimo to rana nie chciała całkiem zniknąć. Zamknęła się, przestała krwawić i boleć. Mięśnie były naprawione, nie powstał strup, który uniemożliwiłaby gwałtowne ruchy. Jednak nie mogłam przywrócić czucia dotyku i temperatury. Jednocześnie blizna nadal była spalona i czarna.

Na moim czole pojawiły się krople potu. Skupiłam się jeszcze mocniej.

– Wiki? Wiki? – jakby z oddali dobiegł mnie głos Beletha. Cofnęłam dłoń. Mroczki przed oczami zniknęły, znowu zaczęłam słyszeć. Już nie było mi słabo.

Beleth zaskoczony przesunął palcami po bliźnie, która pomimo moich wysiłków została, szpecąc skórę. Poruszył ramieniem zadowolony, że nie czuje już bólu.

– Nie zdołałam tego całkiem zlikwidować – powiedziałam.

Beleth objął mnie i pocałował, zanim zdążyłam zaprotestować i się odsunąć. Wciąż trzymając mnie w objęciach, powiedział:

– Wiki! To wspaniale! Nie boli mnie. Mogę się ruszać. A to, że został ślad... Daj spokój! To nic takiego. – Znowu delikatnie musnął swoimi wargami moje. – Gdyby nie ty, cierpiałbym jeszcze kilka miesięcy.

– Przecież powiedziałaś, że będzie się goić kilka tygodni...

– Skłamałam, żeby cię nie martwić. – Puścił do mnie oko. Odsunęłam się od niego. Beleth jeszcze raz przejechał dłonią po skórze na żebrach i uradowany założył koszulę.

– Nie wiem, jak ci dziękować. Zrobię dla ciebie wszystko!

– Nie trzeba – zaprotestowałam ze śmiechem. – Teraz lepiej ruszajmy ratować ludzi z Iskrą. Mamy mało czasu. Obydwoje podeszliśmy do ściany, wyciągając swoje klucze. Przekręciłam swój w materii sześć razy, wyobrażając sobie park dookoła greckiego parlamentu, jeden z ciemnych zaułków, gdzie stoi kilka drewnianych ławek i niski, kamienny mur, idealny na moje drzwi.

Wyciągnęłam klucz i nacisnęłam klamkę.

Po drugiej stronie było dokładnie to, co pamiętałam. Może tylko rośliny były trochę wyższe i okazalsze. Pomimo wieczoru było dość jasno. Poczułam ciepłe, duszne, greckie powietrze przesycone aromatem kwiatów.

– Wiki – zatrzymał mnie głos Beletha.

On także już otworzył swoje przejście. Zobaczyłam jakiś ciemny, zacieniony zaułek.

– Latanie... jest jak pierwsza miłość. Jak zakochanie. Nie umiałem znaleźć porównania, dopóki cię nie spotkałem. Następnie przeszedł przez drzwi, zostawiając mnie samą z tym oryginalnym wyznaniem miłości.

43

Drzwi zatrzasnęły się za mną i zaczęły znikać. Błyszczący kontur migotał jeszcze chwilę w powietrzu. Nikogo nie widziałam. Pobiegłam w stronę wyjścia. Ludzie oglądali się za mną zaskoczeni. W długiej spódnicy, z mieczem wyglądałam, jakbym była statystką z jakiegoś filmu, która właśnie umknęła sprzed kamery.

Przebiegłam obok kilku ogromnych palm zasadzonych w dwóch rzędach i wybiegłam na ulicę skąpaną w wieczornym słońcu. Szeroki bulwar Amaliasa zapchany był samochodami. Ludzie szli w najróżniejszych kierunkach. Na chwilę straciłam orientację. Nie byłam pewna, w którą stronę iść, czy wyszłam z dobrej strony parku.

Zatrzymałam jakąś starszą kobietę i zapytałam, gdzie znajdę ulicę Plateia Mitropoleos. Wskazała mi właściwy kierunek. Byłam tuż obok, bardzo blisko. Musiałam tylko minąć parlament, następnie przejść obok pięknego skweru znajdującego się naprzeciwko niego, poniżej poziomu ulicy Amaliasa i wejścia do metra, a potem iść prosto uliczką Odos Othonos.

Przypomniały mi się te zakątki z mojej wizyty w Atenach sprzed kilku lat. Bezbłędnie ruszyłam przed siebie.

W końcu dotarłam do kawiarni na zbiegu ulic. Trochę czasu zajęło mi zlokalizowanie jej. Tutaj co kilka metrów była jakaś restauracja czy bar.

Rozejrzałam się po ludziach siedzących przed lokalem. Nie dostrzegłam niewidomego staruszka z brodą do pasa. Nikt taki tu nie siedział. No chyba że mężczyzna się ogolił, ufarbował, zainwestował w zastrzyki z botoksu i zdjął czarne okulary...

Przykryłam szablę fałdami spódnicy i weszłam do mikroskopijnej restauracyjki. W środku także nie zauważyłam staruszka. Usiadłam przy stoliku z widokiem na wejście do knajpki. Od razu podszedł do mnie młody kelner z szerokim, firmowym i jakże pustym uśmiechem na ustach i podał kartę dań. Miał na sobie służbowe czarne spodnie, białą koszulę i czerwoną chustkę zawiązaną fantazyjnie na szyi.

– Dziękuję – wzięłam menu i zapytałam: – A przepraszam, czy Kostas dzisiaj pracuje?

Chłopak zrobił minę, jakby miał ochotę mi powiedzieć, że nie udzielają informacji o pracownikach.

– On zawsze mnie obsługuje, gdy tu przychodzę. Jest taki przystojny. – Uśmiechnęłam się, grając zakochaną idiotkę. Miałam nadzieję, że Kostas nie okaże się czterdziestoletnim brzydalem, bo inaczej wyjdę na kretynkę.

Kelner uśmiechnął się do mnie i mrugnął porozumiewawczo.

– Kostas dzisiaj pracuje. Godzinę temu poszedł do magazynu. – Zrobił minę, jakby właśnie zdał sobie z tego sprawę. – Poszukam go. Powinien już wrócić.

– Dziękuję.

Odprowadziłam kelnera wzrokiem, gdy zniknął w służbowym przejściu. Zerknęłam do karty dań. Byłam głodna, ale nie miałam czasu jeść. Dyskretnie obserwowałam wejście. Nigdzie nie widziałam Pajmona ani Agaresa. Zdołałam odrobinę się odprężyć. Już zaczynałam czuć bolesne skurcze karku i pleców od ciągłego napięcia.

– Czy mogę przyjąć zamówienie? – z zamyślenia wyrwał mnie niski głos kelnera. Spojrzałam na chłopaka, z którym poprzednio rozmawiałam.

– A Kostas? – zapytałam głupio.

– Przykro mi, ale nie mogę go znaleźć. Gdzieś zniknął. Kucharz powiedział, że godzinę temu wyszedł razem z jakimś mężczyzną i tyleśmy go widzieli. Co za niepoważny człowiek! Jak tak dalej pójdzie, to kierownik go zwolni. A teraz cała sala na mojej głowie – zaczął się użalać chłopak.

Szybko wstałam.

– Przepraszam, chyba nie jestem głodna – powiedziałam, przerywając jego utyskiwania. – Przepraszam za kłopot.

– Ale...? – zaczął kelner, jednak ja już zdążyłam wyjść.

Na ulicy rozejrzałam się w obie strony. W oddali mignęła mi biała koszula i czerwona chustka. Kostas!

Szybkim krokiem ruszyłam w tamtym kierunku, niecierpliwie odtrącając turystów, którzy stawali na mojej drodze.

Co się dzieje? Dlaczego uciekł z pracy? Przecież nie mógł się mnie przestraszyć. Nie znał mnie. Poza tym gdzie był ślepy obserwator?

Gdy dogoniłam mężczyznę, okazało się, że to tylko jakiś turysta ubrany dość krzykliwie. Zakląłam w duchu. Jak ja mam znaleźć obiekt? Nawet nie wiedziałam, gdzie on mieszka! Rozejrzałam się dookoła. Nie zostawało mi nic innego, jak wrócić do restauracji i przekonać kelnera, by podał mi jego adres.

Coś miauknęło za koszem na śmieci.

Znałam to miauknięcie. Podeszłam szybko do kubła. Za nim, na chodniku, najspokojniej w świecie siedział Behemot i lizał swoją burą łapkę. Wzięłam zwierzaka na rękę.

– Co tu robisz? – zapytałam. – Uciekłeś Kleopatrze? Pewnie się o ciebie zamartwia.

Kot oczywiście nie odpowiedział. Za to wyrwał mi się i zeskoczył na ziemię. Zaczął iść przed siebie. Zatrzymał się i odwrócił, żeby zobaczyć, czy za nim idę. Gdy zauważył, że stoję w miejscu, zamachał ze złością ogonem i miauknął.

Przestałam narzekać na nieuwagę Kleopatry, która mogła zgubić mojego pupila.

– Dobrze, już za tobą idę – powiedziałam i ruszyłam za zwierzakiem, odprowadzana ciekawskimi spojrzeniami. Behemot poprowadził mnie wąską uliczką. Obok nas krzyczały wystawy modnych sklepów z zachodnimi markami.

Uliczni sprzedawcy, przeważnie Pakistańczycy, zachęcali do kupna podróbek.

Kot zatrzymał się przy ciemnej, niepozornej bramie. Obrapany mur i graffiti nie zachęcały do zagłębiania się w nią. Nie chciał wejść dalej. Usiadł na krawężniku i wbił spojrzenie w jakiś niewidoczny dla mnie punkt.

Gdy uczyniłam krok w ciemność, zamiauczał przeraźliwie, jakby ostrzegał mnie, że to zły pomysł. Ignorując go, poszłam dalej. Czułam, że serce podchodzi mi do gardła. Miałam nadzieję, że nie usiłował powiedzieć mi, że Pajmon gdzieś tam na mnie czyha ze swoim płonącym mieczem.

W wąskiej rynnie między budynkami stał tylko kontener na śmieci. Zatrzymał mnie obrzydliwy fetor. Słońce już zaszło, a przesmyk nie był oświetlony. Poczułam pod stopami jakąś lepka kałużę. Cofnęłam się szybko. Obrzydlistwo. To pewnie ona tak śmierdziała.

Tajemnicza, czarna w tym oświetleniu, ciecz wypływała z kontenera na śmieci, kapiąc rytmicznie na chodnik. Od smrodu zrobiło mi się niedobrze.

Odwróciłam się w stronę bramy, ale mój kot zniknął. Także miałam ochotę jak najszybciej stąd wyjść. Przypomniałam sobie, jak Beleth stworzył płomień. Moja dłoń rozjarzyła się w ciemnościach złotym ogniem.

Zamarłam przerażona. Kałuża pod moimi stopami zabłysła ciemną czerwienią. Ściany zbryzgane były krwią. Niedawno odbyła się tu rzeź. Zupełnie jakby ktoś mnie do tego zmuszał, podeszłam do kontenera i sięgnęłam do pokrywy.

Płomień zadrżał, gdy powoli podniosłam wieko. W mój nos uderzyła silna woń śmierci. O mało nie upuściłam klapy. Otworzyłam oczy, które z przerażenia na chwilę zamknęłam.

W kontenerze leżały zakrwawione zwłoki starca, psa i mężczyzny w uniformie kelnera z restauracji przy Plateia Mitropoleos. Kelner zmarł niedawno, to jego krew z poderżniętego gardła i rozprutego serca lała się do rynsztoka. Obserwator razem z labradorem leżeli tu od dawna. Widać było pierwsze oznaki rozkładu.

Zatrzasnęłam klapę kontenera i zataczając się, wybiegłam z zaułka. Zwymiotowałam. Szybko cofnęłam moc i moja dłoń przestała płonąć. Chwilę kuciałam z głową między kolanami, żeby się uspokoić. Torsje cały czas szarpały moim ciałem, pomimo że żołądek miałam już pusty.

W końcu wstałam i na sztywnych nogach ruszyłam przed siebie. Jak w transie wyszłam na zatłoczoną ulicę pełną turystów. Śmiech i gwar ulicznej rozmowy docierały do mnie jak przez grubą poduszkę. Czułam się nierealnie.

Ktoś położył dłoń na moim ramieniu. Zacisnął mocno palce, wbijając mi je boleśnie tuż nad obojczykiem. To było bardzo prawdziwe. Zbyt prawdziwe.

Skamieniałam. Chciałam krzyknąć do otaczających mnie ludzi. Błagać ich o pomoc, ratunek. Jednak nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

– Diablicą Wiktoria? – za moimi plecami rozległ się głos Pajmona. Powoli się odwróciłam. Uśmiechnął się do mnie wesoło.

– Coś zbladłaś – zauważył z przekąsem. – Czyżbyś znalazła biednego Kostasa?

Na myśl o nim znowu zrobiło mi się niedobrze. Pajmon chyba zauważył, że zbiera mi się na wymioty, bo czym prędzej usunął się sprzed mojego nosa. Stał z boku i schwycił mnie

brutalnie za łokieć.

– A teraz pójdziemy na skwer przy metrze naprzeciwko parlamentu – powiedział zimnym głosem.

– Nigdy! – spróbowałam się wyrwać.

Mocniej ścisnął mój łokieć. Momentalnie zdrętwiały mi palce, gdy ucisnął na nerw. Jęknęłam.

– Spróbuj tylko krzyknąć „pomocy”, a ta ulica spłynie krwią. Chcesz tego? – odwrócił mnie w stronę matki z małym dzieckiem w wózku. – Chcesz, by oni wszyscy zginęli? Zginęli przez ciebie i twoją głupotę?

Głośno przełknęłam ślinę i pokręciłam przecząco głową.

– Nie chcesz? – upewnił się i zakpił: – Grzeczna dziewczynka.

Pajmon nie był piękny. Nie wyobrażałam sobie, jakim cudem mógł być kiedykolwiek aniołem. Wykrzywiona w szaleństwie twarz, ostre, niczym wilcze zęby, przetluszczone włosy, w których błyszczał srebrny diadem. Dzisiaj miał na sobie swój płaszcz, pod którym ukrył pochwę miecza i spodnie. Butów nadal nie nosił. Przydługie, płócienne spodnie zakrywały gołe stopy.

– Pójdiesz ze mną i nie będziesz uciekać? – zapytał przesłodzonym głosem.

– Po co mam z tobą iść? – wydusiłam. – Chcesz mnie zabić? Pajmon zaśmiał się głucho.

– Ależ skąd. Ja chcę tylko porozmawiać...

Gdy szliśmy na skwer naprzeciwko parlamentu w Atenach, Pajmon cały czas trzymał mnie kurczowo za łokieć. Miejsce odpoczynku dla mieszkańców, znajdujące się poniżej poziomu głównej ulicy, przypominało mi naszą warszawską „patelnię”.

Tuż przed nami przejechał na deskorolce jakiś dzieciak. Nisko włożone zielone spodnie krępowały mu ruchy, jednak on jeszcze niżej je opuścił. Spod wściekle żółtej koszulki wysunęły się czerwone bokserki. No cóż... grunt to odpowiedni dobór kolorów. Chłopak przynajmniej rzucał się teraz w oczy, jak sygnalizacja świetlna. – Czego chcesz? – syknęłam do diabła. Bez słowa poprowadził mnie w stronę zacienionej ławki, do której nie docierało światło latarni ulicznych. Usiedliśmy. Nadal się nie odzywał. Obserwował tylko otaczających nas ludzi. Dorosłych, małe dzieci, młodzież. O tej porze było tu bardzo tłoczno. Wieczorem to miejsce stawało się prawdziwą oazą życia towarzyskiego.

– Pragnę tylko rozmowy – odezwał się niespodziewanie. Aż drgnęłam zaskoczona. – Nie skrzywdzę cię.

Zaśmiałam się z pogardą.

– Nie wierzę ci – powiedziałam.

– Wiem. – Spojrzał mi prosto w oczy.

Nie widziałam już u niego szaleństwa. Jedyne inteligencję. Zmroziło mnie to jeszcze bardziej, niż gdyby patrzył na mnie z żądzą mordy.

– Posłuchaj, Szatan nie wydał na was wyroku śmierci. On pragnie jedynie zabić osoby posiadające Iskrę Bożą. Was kazał nie krzywdzić. No, chyba że będziecie nam przeszkadzać. Wtedy możemy was spacyfikować.

Przetłuszczone, brązowe włosy opadały mu na oczy. Pachniał zwierzętami, może końmi. Azazel mówił, że jego zwierzęciem jest wielbłąd. One śmierdzą, ale czy tak? Nie byłam pewna. W każdym razie nie był to przyjemny zapach. Miałam ochotę się odsunąć, jednak nie mogłam, bo cały czas mnie trzymał.

– Chcę tylko rozmowy. Nie uciekaj, nie próbuj mnie atakować, bo zabiję wszystkich ludzi, którzy się tutaj znajdują – zatoczył w powietrzu łuk, pokazując mi dziesiątki bezbronnych i nieświadomych niebezpieczeństwa ateńczyków.

– Wiesz, że mogę cię zabić? – zauważyłam. Posłał mi ironiczny uśmiech.

– Gdybyś miała w sobie siłę, by to zrobić, już dawno byś to zrobiła. Ale ty jesteś słaba i

oboje o tym wiemy. Nie masz w sobie tyle odwagi, by odebrać komuś życie.

Miałam ochotę zacząć mu pyskować, ale miał rację. Ja nawet owadów nie zabijałam. No... poza mrówkami. One są tak małe i wstrętne, że jakoś mi mniej żal.

– Czego ode mnie chcesz? – wycedziłam. Mocniej ścisnął mój łokieć.

– Tak jak już mówiłem, rozmowy. Uważam, że możemy dojść do porozumienia.

– My? – prychnęłam.

– Wysłuchaj mnie wreszcie.

Na jego czole zaczęła pulsować mała żyłka. Udało mi się go w końcu odrobinę rozwścieczyć. Zmarszczył brwi i z powrotem nałożył na twarz maskę spokojnego inteligenta.

– Oboje nie chcemy umierać. Ani ty, ani ja. Jednak jedno z nas będzie musiało zginąć, bo stoimy po dwóch stronach barykady. Tobie zależy na ocaleniu ludzi z Iskrą, a ja dostałem zlecenie, by ich zamordować. Proponuję, żebyśmy się dogadali.

– Mielśmy się dogadywać za kilka godzin w pustym budynku – zauważyłam.

– Och, nie – zachnął się. – Wtedy tylko dokonamy wymiany zakładników. Poza tym chcę porozmawiać z tobą, bez obecności tych intrygantów, twoich pomocników.

Tłum śmiertelników gęstniał z każdą minutą. Nie mogłam uciec. Nie chciałam, by w ataku szалу ich pozabijał.

– Oddaj nam osoby z Iskrą, a damy ci spokój. Szatan ci wybaczy. Pozwoli korzystać z Iskry – kusił Pajmon. – Wiem, że zależy ci na powrotach na Ziemię. On ci to umożliwi.

Zaśmiałam się głucho.

– Moja wolność w zamian za śmierć Piotrka? Przecież wtedy nie będę miała już po co wracać.

– Cóż cię obchodzi ten śmiertelnik?

– Kocham go – wzruszyłam ramionami.

Tak łatwo przychodziło mi mówienie tego. Chyba się wreszcie z tym pogodziłam.

– Zakochasz się jeszcze nie raz – stwierdził. – Będziesz żyła wiecznie.

– Nie zdradzę go – zaparłam się.

Zmarszczył brwi. Nie podejrzewał takiego rozwoju sytuacji. W końcu uśmiechnął się, znajdując rozwiązanie.

– Możemy to negocjować. Szatan na pewno pozwoli mu żyć dla ciebie jeszcze przez kilkadziesiąt lat. Dopiero potem zostanie zabity.

– I pozbawiony życia pozagrobowego.

– I tak większość ludzi w nie nie wierzy. Nie robi mu to żadnej różnicy.

– On wierzy...

– Jak umrze, to i tak będzie mu wszystko jedno. Nie będzie miał świadomości. Nie będzie miał do ciebie żalu. Nie będzie tęsknił. Jego po prostu nie będzie. Za to spędzi z tobą kilkadziesiąt szczęśliwych lat. Zastanów się nad tym.

– Nie prehandluję jego życia pozagrobowego. On nie jest moją własnością – zaprotestowałam. – Może wcale nie chce ze mną być przez te kilkadziesiąt lat? Jak mogę mu powiedzieć, że będzie tylko tyle istniał, a potem zniknie?

– Nie musisz mu tego mówić.

– Nie będę kłamać!

Pajmon zaśmiał się krótko z mojej miny.

– Po prostu nie powiesz mu całej prawdy.

– To też będzie kłamstwo. Westchnął ciężko.

– Na ziemi jest 6,6 miliarda ludzi, a osoba z Iskrą, która wszczęła rewolucję, musiała się trafić akurat taka szlachetna...

Mierzyliśmy się przez chwilę spojrzeniami, a ja usiłowałam znaleźć w sobie i rozbudzić nienawiść przeciwko niemu, by go zniszczyć. Bez skutku. Za bardzo się go bałam.

– Spróbujmy się dogadać – zaczął jeszcze raz. – Przecież oferuję ci aż kilkadziesiąt lat dla twojego ukochanego. Czemu ci się to nie podoba?

– Nie ufam, że dotrzymasz obietnicy... Zaśmiał się.

– Dlaczego mi nie ufasz?

– Bo usiłowałeś mnie zabić.

Co za kretyn. Jeszcze miał czelność pytać, czemu mu nie wierzę.

– A to ciekawe. Ja cię tylko usiłowałam zabić. Za to Azazel i Beleth to zrobili. Dlaczego więc im ufasz?

Nie potrafiłam odpowiedzieć mu na to pytanie. Piotruś też zwracał mi na to uwagę, jednak ja nadal nie wiedziałam, czemu tak silnie jestem z nimi związana. Beleth mnie pociągał, ale nic poza tym. Azazel. Hm... Azazel mnie nie obchodził.

Dlaczego w takim razie tak kurczowo się ich trzymałam?

– Zastanów się nad moją ofertą – powiedział Pajmon i spojrzał w niebo. – Za godzinę się spotkamy. Odstąpisz od walki i oddasz nam zakładników. W zamian dostaniesz kilkadziesiąt lat życia dla twojego Piotra.

Puścił mój łokieć. Szybko odskoczyłam od niego na drugą stronę ławki, zupełnie jakby te pół metra odstępu mogło zapewnić mi bezpieczeństwo.

– Do zobaczenia – rzucił na odchodnym.

Wmieszał się w tłum i za chwilę zniknął mi z oczu. Objęłam się ramionami. Musiałam natychmiast wrócić do naszej bazy w drukarni. Czym prędzej chciałam zobaczyć, czy z Piotrkiem jest wszystko dobrze. Czy nic mu nie jest.

Przebiegłam między ludźmi, szukając jakiegoś odosobnionego miejsca, o które niestety było trudno. W końcu znalazłam się na stacji metra i zamknęłam się w toalecie. Wsunęłam klucz diabła w ścianę. Przede mną pojawiły się małe, białe drzwiczki.

Pewnym krokiem weszłam do drukarni i znieruchomiałam z wrażenia. Znajdowałam się w salonie rezydencji Azazela. Pośrodku stała prasa drukarska, a także kilka biur z komputerami. „Staruszka sama otworzyła drukarnię”. Jasne... i zapewne sama znalazła lokal do wynajęcia u Azazela.

Weszłam do pokoju obok. Znerwicowany lokaj Carlos aż podskoczył, gdy trzasnęłam drzwiami. Pokłonił mi się w pas. Zastanowiło mnie, co robi teraz drugi z nielegalnych niewolników Azazela.

– Podać coś panience? – zapytał. Zawahałam się.

– Może sok pomarańczowy ze świeżo wyciśniętych owoców? Już wiedziałam, czym nadal zajmował się Pedro. Kiwnęłam głową. W pokoju siedziała staruszka, Turek Aykut, Piotruś i Beleth. Diabeł zerwał się z krzesła na mój widok.

– Wiki, kochanie, nic ci nie jest? Skarbie, powiedz coś. Tak się martwiłem. Nie było cię tak długo. – Beleth objął mnie. Ponad jego ramieniem zobaczyłam kwaśną minę Piotrka.

– Nic mi nie jest. – Wyswobodziłam się z uścisku. – Ale nie zdołałam uratować obiektu numer sześć. Już nie żył, gdy tam dotarłam...

Diabeł pochylił głowę.

– Obiekt numer cztery też już nie żył. Znalazłem tylko jego szczątki.

Podeszłam do Piotrka i usiadłam obok niego. Wziął mnie za rękę.

– To nie jest twoja wina, że on umarł – powiedział. – Nie jesteś temu winna.

Już miałam mu powiedzieć o ofercie Pajmona, ale się powstrzymałam. I tak nie zamierzałam handlować jego nieśmiertelną duszą. Chciałam o nią walczyć tak długo, aż tam na górze ktoś zauważy, że w Piekło źle się dzieje.

Aykut krzyknął coś do telewizora. Spojrzałam na ekran. Leciła polska komedia romantyczna. Para głównych bohaterów, cukierkowych i całkowicie nierealnych, właśnie brała ślub.

– Nie rozumiem waszych zwyczajów weselnych – powiedział Aykut do staruszki, Anny Kowalskiej.

W Piekło spadała ze wszystkich kłątwa wieży Babel. Mogliśmy się swobodnie porozumiewać w każdym języku, jaki istnieje i kiedykolwiek istniał.

– To proste. Oni rzucają w nich groszami na szczęście – cierpliwie wytłumaczyła mu kobieta.

– Nie rozumiem – mruknął Turek. – To znaczy, że szczęście będzie miał ten, kto trafi pannę młodą w oko? Piotrek posłał mi znaczące spojrzenie.

– Oni tak już od kilku godzin – wymruczał.

Nie zdążyłam odpowiednio mu współczuć, bo w tej chwili na ścianie obok nas zabłyszczał kontur białych drzwi. Azazel wbiegł do pokoju, ciągnąc za sobą jakiegoś zdeorientowanego starszego pana i młodą dziewczynę.

– Co się dzieje? – zawołał od progu, gwałtownie zatrzaskując drzwi.

W odpowiedzi tylko wzruszyłam ramionami. Beleth uciekł w bok spojrzeniem. Azazel podparł się pod boki. Jego mina wyrażała głęboką pogardę.

– Żebyś musiał pracować z dwójką tak nierozgarniętych nowicjuszy – powiedział cicho.

– To nie ich wina – postawił się w naszej obronie Piotrek.

Beleth zmroził go spojrzeniem.

– Nie potrzebujemy twojej pomocy. A ty, Azazel, nie masz innego wyjścia – warknął. Azazel wznosił oczy do nieba i popchnął w naszą stronę towarzyszących mu ludzi.

– Poznajcie Johna z Australii i Carmen z Hiszpanii. Kiedy wy partaczyliście swoją robotę, ja zdołałem ocalić aż dwa obiekty.

Śmiertelnicy nieśmiało przywitani się ze wszystkimi w pokoju. Azazel zerknął na zegar

wiszący na ścianie. Sześć godzin, które dał nam Pajmon na podjęcie decyzji, minęło niepostrzeżenie.

– To jaki mamy plan? – Spojrzał mi prosto w oczy. – Zostało niecałe trzydzieści minut i trzy obiekty na kuli ziemskiej.

– Nie zdążymy – powiedział Beleth.

– Masz rację. – Azazel skrzywił się i zaczął krążyć niespokojnie po pomieszczeniu.

Carlos podszedł do mnie i podał mi pełną szklanekę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Od razu niechcący wylałam sobie trochę na buty... Już miałam się napić, kiedy zauważyłam, że po powierzchni soku pływa kawałek paznokcia. Szybko odstawiłam szklanekę na stolik.

Przy okazji uzmysłowiłam sobie, jak wyglądam. Rąbek długiej spódnicy ubrudzony był krwią biednego kelnera. Natychmiast zamieniłam ją na dżinsy.

– Dobra, idziemy na spotkanie – powiedział Azazel. – Pozostałymi obiektami zajmiemy się później. Zostały dwa we Francji i jeden w Rosji. Idealnie po jednym na głowę. A teraz pójdziemy stawić im czoła i odbić tę... jak jej tam?... aaa... Monikę.

– Czyli co dokładnie zrobimy? – zapytałam. Azazel podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

– Ja bym spróbował nabić ich na pale, przebić im serca, obciąć zakute łby, potem poszatковать, ciała spalić, a to, co pozostanie, ułożyć naprzeciwko rezydencji Lucyfera, tuż pod oknami jego sypialni, żeby zaraz po przebudzeniu zobaczył ich parszywe mordy ociekające posoką. Ale to tylko taka luźna propozycja...

Nie można było o nim powiedzieć, że cierpiał na brak inwencji twórczej... Beleth klasnął w dłonie i wstał z fotela.

– To idziemy. Niedługo musimy się z nimi spotkać, a dobrze byłoby zrobić rekonesans budynku, żeby nie zdołali nas niczym zaskoczyć.

– Idę z wami – Piotrek także zerwał się z miejsca.

– Nie ma mowy. – Oparłam dłonie na jego piersi.

Nie mógł się narażać. Przecież dokładnie o to chodziło Pajmonowi i Agaresowi. Oni chcieli, żeby przyszedł na to spotkanie. Gdy pojmą, że nie pójdę z nimi na żaden układ, wtedy będą usiłowali go zabić. W ten sposób sam wpadnie im w ręce.

– Dlaczego nie? – zapytał Beleth. – Chce, to powinien iść. Rzuciłam mu ostre spojrzenie, które kompletnie zignorował, i mówił dalej:

– Skoro chce cię bronić, bo wie, że możesz zginąć, a może umrzeć – pokiwał do niego głową i znowu na mnie spojrzał – to powinien mieć szansę zabawić się w rycerzyka.

– Beleth, nie podjudzaj go – warknęłam i zwróciłam się do Piotrka: – Nigdzie nie pójdziesz! To zbyt niebezpieczne.

– Zamieniasz się w jego matkę – zanucił pod nosem Beleth.

Nawet nie zdążyłam nic mu odpowiedzieć. Piotrek wysunął swoją katanę z pochwy i podszedł do Azazela, który już ścisnął w dłoni klucz diabła.

– Idę z wami – oświadczył stanowczo.

45

Ostre światło wczesnego świtu malowało na betonowej podłodze bladożółte rysy. Niewykończony, porzucony budynek straszył pustymi oknami, folią wiszącą we framugach i kablami sterczącymi ze ścian. Potknęłam się o jakąś rurę.

Nieznany kraj, nieznanne miasto. Znaliśmy tylko mniej więcej godzinę. Mieliśmy kilka minut na zbadanie rozkładu pomieszczeń. Diabły pobiegły zacienioną klatką schodową zbadać wyższe poziomy, ja i Piotrek zostaliśmy na parterze.

– Zobacz, czy są tu jakieś pomieszczenia, w których mógłbyś się ukryć – powiedziałam do niego i wybiegłam na zewnątrz.

Dookoła jak okiem sięgnąć ciągnęły się pola. Przejrzałe zboże falowało na wietrze. Pustą szosą nie jechał żaden samochód. Stalowoszare chmury zasnuwały niebo. Diabły wybrały dobre miejsce na spotkanie. Całkowicie odosobnione, żadni śmiertelnicy nie plątali się pod nogami. Nie powinno być przypadkowych ofiar.

Spojrzałam na opustoszały budynek. Wszystko było zmurszałe, cegły, rury, worki z cementem. Aż dziwne, że okoliczni złodzieje nie rozkradli porzuconych dóbr.

Piotrek podszedł do mnie i położył mi dłoń na ramieniu. Przycisnęłam policzek do jego palców. Tak jak chciałam, przytulił mnie. Odgarnął mi włosy z karku i zaczął całować po szyi.

– Boję się o ciebie – wyznałam.

– Niepotrzebnie – mruknął, nie przestając pieścić mojej szyi.

– To bez sensu – odszepnęłam. – Powinieneś być zostać w Piekło. Tutaj możesz tylko zginąć.

– Zaczynasz się zachowywać jak Beleth – powiedział z urazą. – Ja chcę tu być. Z tobą. Koniec kropka.

Umilkłam i zapatrzyłam się w falujące zboże, migoczące złotem. Typowy obraz dla Europy Środkowo-Wschodniej.

Wpadł mi do głowy szalony pomysł. Może to okolice Czarnobyla? To wyjaśniałoby brak ludzi w okolicy.

– Gdybyś miał do wyboru przeżyć całe życie, ale potem utracić swoją nieśmiertelną duszę i możliwość życia pozagrobowego, lub walczyć i możliwe, że przegrać, co byś wybrał? – zapytałam.

Przestał całować mój kark.

– Dlaczego mnie o to pytasz? Odwróciłam się twarzą do niego.

– Spotkałam Pajmona w Atenach. Złożył mi taką propozycję. Jeśli wydam pozostałe obiekty, nie zabije cię przez następne kilkadziesiąt lat.

– Co mu odpowiedziałaś?

– Powiedziałam, że będę walczyć o twoją nieśmiertelną duszę – odparłam. – Dał mi czas do namysłu. Pewnie sądzi, że zdradzę.

Przyciągnął mnie do siebie i mocno uściskał.

– Co byś wybrał? – naciskałam.

– Kilkadziesiąt lat spokoju albo możliwość natychmiastowej śmierci, hm...

– Piotrek, na ciebie czeka wieczność – powiedziałam. – Czym jest kilkadziesiąt lat wobec wieczności?

Zdałam sobie sprawę, że cytuję demona, który oświadczył mi, że sześćdziesiąt sześć lat będę służyć Szatanowi jako diabolicą. Przypomniałam sobie swoje oburzenie, gdy się o tym dowiedziałam.

– Będziemy walczyć – powiedział po chwili, która ciągnęła mi się w nieskończoność.

Obawiałam się, że będzie wolał mieć spokój kosztem innych ludzi z Iskrą. Chociaż kto by zrezygnował z wieczności, gdyby miał stuprocentową pewność, że takowa istnieje?

– Chcę ci pokazać Piekło – wyznałam. – Jest naprawdę piękne.

– Widziałem trochę przez okno drukarni.

– Nie widziałeś klifów, urwisk, całego miasta Los Diablos, zachodu i wschodu słońca na plaży. Piekło... może się wydawać istnym Rajem. Ależ wygaduję herezje. – Zaśmiałam się sama z siebie.

– Za to jesteś moim heretykiem – stwierdził i pocałował mnie w czoło.

I w tej chwili Raj był dla mnie nawet w tym pustostanie, w miejscu, o którym zapomniał cały świat.

– Znowu się do siebie lepicie? – warknął Beleth, podchodząc do nas.

Zadałam sobie pytanie, ile słyszał z naszej rozmowy. Czy podsłuchał, jak mówię o rozmowie Pajmona? Wstydziałam się, że chociaż przez chwilę wzięłam pod uwagę możliwość zdrady, byleby tylko ratować Piotrka. Nawet na kilkadziesiąt lat.

– Ty się ukryjesz w tamtym pokoju – powiedział do Piotrusia, pokazując zawalony folią korytarz. – Tam na końcu jest klatka schodowa. Pójdiesz nią jedno piętro do góry. Tam znajdziesz spore pomieszczenie. Ma osobne wyjścia. Zdażysz uciec, jakby coś poszło nie tak.

– My poczekamy tutaj – Azazel nie wiadomo skąd znalazł się nagle obok nas. – Spróbujemy odbić Monikę. Podał Piotrkowi swój klucz.

– Gdyby coś poszło nie tak, uciekaj – dodał.

– Nie chcę się ukrywać – zaprotestował Piotrek. – Chcę walczyć razem z wami.

Beleth spojrział na niego z niekłamaną pogardą.

– Ty nawet nie umiesz walczyć – zakpił. – Schowaj się, póki możesz. Schowaj się niczym słaba kobieta.

Przez chwilę chciałam zaprotestować w obronie swojej płci, ale zdałam sobie sprawę, że w zasadzie miałam ogromną ochotę gdzieś się ukryć i przeczekać całe to zamieszanie.

Piotruś znowu zaczął protestować, lecz Azazel przerwał mu ugodowym tonem:

– Słuchaj, tylko byś nam przeszkadzał. Zwrócimy uwagę diabłów na siebie. W odpowiednim momencie, gdy będziemy cię potrzebować, wkroczysz do akcji. Kto wie? Może uratujesz nam życie? Beleth zaczął coś do siebie mrużyć, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Jesteś naszą kartą przetargową – kontynuował Azazel. – Zobaczymy, jak się sprawy potoczą. Na pewno nie zamierzamy poświęcać tej śmiertelniczki...

– Ale ty się możesz poświęcić, nie krępuj się w ogóle – wtrącił się Beleth.

– A więc jak mówiłem – Azazel odchrząknął znacząco – nie zamierzamy jej poświęcać. Oni się pewnie wkurzą, jak to usłyszą. Zacznie się jatka.

– I to dobry moment, żebyś wkroczył do akcji – znowu przerwał mu Beleth. – Tylko pamiętaj, żeby swoją szablę zostawić w drugim pomieszczeniu...

Azazel wciągnął ze świstem powietrze przez zęby.

– Więc na razie tam zostaniesz. Gdybyśmy potrzebowali pomocy – zawołamy. Jasne?

Piotruś kiwnął głową i lekko ścisnął moje palce. Uśmiechnęliśmy się do siebie czule, na co Beleth udał, że wymiotuje. Możliwe, że to na skutek przebywania w moim towarzystwie, ale miałam wrażenie, że przystojny diabeł odrobinę zdziecinniał.

Godzina spotkania nadeszła. Piotrek wycofał się w stronę swojej pozycji. Beleth stanął przy wejściu do korytarza, tak jak mu kazał Azazel. Nie byłam pewna, czy będzie dobrym strażnikiem. Wątpliwości chyba malowały się na mojej twarzy dość wyraźnie, bo posłał mi lekki uśmiech. Uspokoiliam się. Przecież obiecał mi kiedyś, że go nie skrzywdzi.

Naprzeciwko nas, na brudnej, obdrapanej ścianie pojawił się kontur wysokich wrót. Przejście Agaresa. Światło świtu ledwo rozpraszało mrok. Naprzeciwko nas stanęły diabły. Pajmon trzymał pod ramię wystraszoną Monikę. Cienie pod jej oczami pogłębiły się.

Agares uśmiechnął się do nas zachęcająco. Rozłożył ręce w znaku pokoju.

– Witajcie. I jak? Podjęliście już decyzję? – zapytał. Wysunęłam szablę z pochwy. Agares zmarszczył brwi.

– Zaraz, zaraz, zaraz – szybko powiedział Azazel, grając na zwłokę. – Ona po prostu lubi chodzić z mieczem. Takie drobne zboczenie. A więc co postanowiliśmy, pytacie? Tak?

– Można się było tego domyślić po moim ostatnim pytaniu... – prychnął zniesmaczony Agares.

Azazel podszedł kilka kroków do przodu, splatając dłonie.

– Niestety... postanowiliśmy nie przychylić się do waszej prośby. Zrozumieliśmy, że dusze osób obdarzonych Iskrą Bożą zbyt wiele dla nas znaczą. Oczywiście nie w sensie materialnym, ale czysto duchowym. Jednakże...

– Nie pieprz – warknął Pajmon. – Koniec negocjacji. Wyszarpnął miecz z pochwy wiszącej mu w poprzek pleców. Rzuciłam się w jego stronę z wyciągniętą szablą. Azazel i Beleth w tej samej chwili skoczyli w stronę Agaresa.

Pajmon pchnął na mnie Monikę. Przewróciliśmy się ciężko na ziemię. Padając, wbiła mi łokieć w żołądek. Straciłam na chwilę oddech.

– Gdzie oni są?! – Diabeł złapał mnie za włosy i uderzył moją głową o betonową wylewkę. –

Gdzie oni są? Mów! Splunęłam mu w twarz. Monika, korzystając z zamieszania, zerwała się i ruszyła biegiem przed siebie. Przypadkiem wybrała ten korytarz, na którego końcu, w pokoju poziom wyżej, schował się Piotrek. Nawet nie usiłowała mi pomóc.

Oparłam obie dłonie na piersi Pajmona.

– Nic ci nie powiem – krzyknęłam i pchnęłam moc w jego stronę.

Rzuciło nim o sufit. Spadł ciężko na podłogę.

– Ty dziwko! Zabiję cię! – warknął, podnosząc się z trudem. Zerwałam się na nogi i rzuciłam w korytarz przeciwny do tego, w którym był mój Piotruś. Kątem oka zobaczyłam, że Agares wbija topór w brzuch Azazela. Beleth z krzykiem, obficie krwawiąc z rany na czole, zamachnął się właśnie kataną w kark starego diabła.

Moja oficerka zapłonęła, gdy przypadkiem stuknęłam ostrzem w ścianę. Słyszałam za sobą sapanie Pajmona.

Z impetem wpadłam do jakiegoś niewielkiego pomieszczenia. Na ziemi leżał worek z cementem, opisany cyrylicą. Potknęłam się o niego i przewróciłam na ziemię, przygryzając sobie język. Pajmon wbiegł tuż za mną. Na jego ustach pojawił się obleśny uśmiech. Diabeł doskoczył do mnie w jednej chwili i usiadł okrakiem na brzuchu.

– Co? Już nie chcemy współpracować? – zakpił. Usiłowałam dźgnąć go oficerka, ale sprawnie wyłuskał mi ją z dłoni. Unieruchomił mi ręce nad głową.

– Puść mnie! – krzyknęłam.

– Bo co mi zrobisz? – Zaśmiał się.

W jego oczach zobaczyłam pożądanie.

– Diablicą – powiedział w zamyśleniu. – Kobieta. Istny szczyt skojarzeń. Prawdziwy Mount Everest...

– Pomocy!!! – ryknęłam mu prosto w twarz.

Zaśmiał się szyderczo. Przetłuszczone włosy opadły mu na oczy. Oblizął wargi.

– To co mi dasz za życie twojego kochanka? – zapytał.

Co oni wszyscy z tym kochankiem, na litość boską?! Odrzucił swój miecz. Drugą ręką zaczął błądzić po mojej bluzce.

– Mogę ci dać wieczny odpoczynek – warknęłam.

Skupiłam się ze wszystkich sił na worku cementu obok moich stóp. Miałam nadzieję, że nie był zbyt mocno zawilgocony. Zamknęłam oczy.

Wybuchł. Chmura pyłu poleciała na mnie i na diabła. Rozluźnił chwyt moich dłoni, co od razu wykorzystałam, oswobodzając ręce. Kiedy zaczął trzeć oczy, wysunęłam się spod niego i na czuja kopnęłam z całej siły obiema stopami.

Tak jak sądziłam, trafiłam w krocze. Coś dziwnie chrupnęło, po pomieszczeniu potoczył się krzyk, który przeszedł w kaszel, gdy diabeł spazmatycznie zaczerpnął powietrza z cementem.

Ruszyłam na oślep, trzymając się ściany. Chwilę wcześniej przypadkiem natrafiłam na ziemi dłonią na swoją szablę, którą teraz kurczowo ścisiskałam. Po omacku znalazłam wyjście na klatkę schodową. Zaczęłam biec pod górę po stopniach.

Otworzyłam załzawione oczy.

Budynek zatrzęsł się w posadach. Podłoga uciekła mi spod nóg. Przewróciłam się, uderzając piszczelem o kant schodów. Agares najwyraźniej się wkurzył. Przypomniałam sobie, jak wbijał topór w brzuch Azazela. O Boże! Czy on to przeżyje?!

Przebiegłam szybko nieznanym mi korytarzem. Usiłowałam dotrzeć do drugiej klatki schodowej, którą mogłabym zejść do Piotrka.

Budynek znowu się zatrzęsł. Na ścianach pojawiły się pęknięcia. Ktoś przeraźliwie krzyknął. Zaplątałam się w półprzezroczystą folię wiszącą w przejściu. Klnąc i zerkając niespokojnie za siebie, czy Pajmon przypadkiem mnie nie goni, wyswobodziłam się z szeleszczącej pułapki.

Zbiegłam klatką schodową piętro niżej. Oczywiście nie byłam we właściwym korytarzu. Przeskakując przez porzucone worki z cementem i śmiecie, biegłam przed siebie. Wpadłam do pierwszego pokoju, w którym spotkaliśmy się z wrogimi diabłami.

Tuż przed sobą zobaczyłam coś zawiniętego w folię. Wszędzie było widać ślady walki. Porozrzucone sprzęty, głębokie, przypalone rysy od szatańskiej broni, plamy krwi. Podeszłam do zawiniątka. Szarpnęłam za róg folii.

Tuż pod nogi wytoczyła mi się... odcięta, zakrwawiona ręka.

Pociemniało mi przed oczami, cofnęłam się kilka kroków. Upadłam tuż za kilkoma workami z cementem.

Na środkowym palcu był ogromny pierścień z czerwonym oczkiem. To nie była ręka ani Azazela, ani Beletha. Przełknęłam ślinę. Musiało im się udać okaleczyć Agaresa. To żaden z moich przyjaciół. Trzymałam dłonie przy ustach, starając się uspokoić żołądek.

Usłyszałam kroki.

Dwie osoby.

Biegły naprzeciwko siebie.

Skuliłam się za workami z cementem, by nadbiegający mnie nie zobaczyli. Dla pewności nakryłam się na głowę folią. Oczywiście nie tą zakrwawioną. Na samą myśl o tamtej znowu poczułam mdłości.

W tym samym momencie do pokoju z jednej strony wpadł Pajmon, a z drugiej Beleth. Pajmon wyraźnie kulał i cały czas trzymał się za najczulsze miejsce. Za to mój przyjaciel wyglądał jak okaz zdrowia. Czoło już mu nie krwawiło, nie kulał, nie krzywił się nawet.

Już miałam zerwać się na równe nogi, by pomóc Belethowi walczyć z tym potworem, gdy obaj zrobili coś, co mnie zaskoczyło.

– Tam jest! Tam pobiegł! – zawołał ochoczo Beleth, wskazując na korytarz, prowadzący do kryjówki Piotrusia. – Jest tam, sprawdziłem przed chwilą.

Pajmon skinął mu głową i pobiegł we wskazanym kierunku.

Nie mogłam w to uwierzyć. Beleth mnie zdradził. Zdradził mnie i Piotrka. Zatem Pajmon usiłował dogadać się z nami na kilka frontów. Nie tylko mnie usiłował przeciągnąć na swoją stronę.

Ciekawe, co obiecał Belethowi? Mnie na własność? Wstałam, odrzucając folię.

– Ty zdrajco!!! – krzyknęłam.

– O kurwa – Beleth aż się cofnął zaskoczony. – To nie tak! – powiedział szybko. Za szybko...

- Nie tak? Nie tak?! Ty zdrajco! – jeszcze raz krzyknęłam i pobiegłam za Pajmonem.
- Kurwa mać!!! – wrzasnęła za mną Beleth. – Czekaj!!! Pomogę ci!
- Odwal się!!! – ryknęłam.

Przed nami rozległ się paniczny krzyk Moniki. Pajmon dotarł do celu. Chociaż to bardzo nieładnie i po czasie bardzo się tego wstydziłam, poprosiłam w myślach, żeby ją zabił pierwszą.

Niestety to, co zobaczyłam, gdy wbiegłam tam za Pajmonem, nie wskazywało na taki rozwój wypadków.

Piotrek, jak na dzielnego rycerza przystało, zasłonił własnym ciałem Monikę. Wyciągnął w stronę Pajmona kataną, przyjmując pozycję szermierczą. O to oczywiście chodziło diabłu.

Nadal trzymając się za krocze, zbliżał się w ich stronę, w jednym ręku dzierżąc uniesiony nad głową miecz. Podkrađłam się do niego od tyłu i wbiłam swoją cieką szablę gdzieś w okolice jego lewej nerki. Miałam nadzieję, że przypadkiem trafiłam w śledzionę, która jest narządem o bardzo cienkiej ścianie. Istniała szansa, że się wykrwawi.

Zawył wściekle i okręcił się wokół własnej osi, wrywając mi z rąk broń, która utkwiała mu w plecach. Jego miecz zatoczył łuk w powietrzu. Gdyby Beleth nie złapał mnie wpół i nie rzucił się razem ze mną na ścianę, nie miałabym już głowy tak mocno przymocowanej do szyi...

Piotruś także ukucnął, ciągnąc za sobą wyjąca niczym syrena strażacka Monikę, gdy miecz Pajmona potoczył się nad ich głowami.

Beleth mocniej schwycił swoją kataną i rzucił się na złego diabła. Tamten z krzykiem odskoczył i zaczął się cofać do wyjścia. Chyba zrozumiał, że został sam. Jego współnik, Agares, gdzieś zniknął.

Chociaż Pajmon nadal mógł liczyć na jego pomocną dłoń, która wciąż leżała w korytarzu...

- Zemszczę się na was! Zemszczę się! – charczał diabeł, plując śliną.

Cały czas się cofał. Krew z rany na plecach skapywała na betonową podłogę. Niestety płynęła niezbyt wartkim strumieniem. O ile nie miał silnego krwotoku wewnętrznego, to chyba nie było co liczyć na pękniętą śledzionę.

A już miałam nadzieję...

Machał przed sobą mieczem, żebyśmy nie mogli podejść. Drugą ręką na chybił trafił wsunął za plecami klucz diabła w ścianę. Drzwi zaczęły się formować w materii. Chciał nam uciec.

- Zabiję was – wycharczał. – Przysięgam na własne życie, że was zabiję!

Szarpnął za klamkę i wskoczył na drugą stronę. Przejście się za nim zamknęło. Zostaliśmy sami.

Beleth oparł się ciężko o ścianę. Wbijał wzrok w podłogę, starannie unikając moich oczu. Jednak ja wcale nie chciałam na niego patrzeć. Bacznie obserwowałam Piotrusia i Monikę.

Dziewczyna zawisła mu na szyi i całowała go szaleńczo po twarzy.

- Mój kochany, mój słodki – szczebiotała. – Uratowałeś mnie! Uratowałeś!

- Moniu, już wszystko dobrze – pocieszał ją, czule głaszcząc po plecach.

Moniu? MONIU?!

- Spokojnie, kochanie, spokojnie – mówił do niej ściszym głosem.

- Kocham cię, kocham – jak mantrę powtarzała Monika. Piotrek nawet na mnie nie spojrzał.

To niesamowite, ale po raz drugi w ciągu niespełna dziesięciu minut poczułam się zdradzona... Mój nowy rekord.

46

Przeszliśmy szybko do rezydencji Azazela. Monika cały czas obejmowała Piotrusia. On nie protestował.

Gdy tylko przeszliśmy przez drzwi, porwało nas niesamowite zamieszanie. Carlos biegał w tę i z powrotem, ściskając przy piersi zakrwawione ręczniki. Staruszka płakała w kącie, smarkając głośno w chusteczkę. Nasze obiekty zażarcie się o coś kłóciły. A pośrodku tego wszystkiego, na kanapie, leżał przezroczysty na twarzy Azazel, przyciskając do brzucha białe prześcieradło, które momentalnie robiło się czerwone.

– Azazel! – Podbiegłam do niego i ukucnęłam obok. Nawet się nie uśmiechnął. Leżał z półprzymkniętymi oczami, płytko oddychając.

– Dostał toporem Agaresa w brzuch – powiedział Beleth, kucając obok mnie.

Monika na widok diabła zaczęła krzyżeć. Człowiek umiera, a ta go straszy. Skąd się biorą takie kretynki?

– A kto mu odciął rękę? – zapytałam, delikatnie podnosząc mokre prześcieradło z brzucha Azazela.

Głęboka rana silnie broczyła krwią. Mignęły mi błyszczące jelita. Na szczęście żołądek miałam już od dawna pusty. Czy dam radę naprawić to tak samo, jak ranę Beletha? Bałam się, że mogę nie dać rady.

– Ja – mruknął przystojny diabeł, wpatrując się z napięciem w twarz pobladłego Azazela.

Wyglądał, jakby miał nam tu zaraz umrzeć. Stracił dużo krwi. Bardzo dużo. Jego organizm nie nadążał z produkcją. Poza tym rany zadane szatańską bronią bardzo źle się goiły.

Monika nadal jęczała, wodząc przerażonym spojrzeniem po całym pomieszczeniu. Piotrek obejmował ją i usiłował uspokoić. Słyszałam, jak tłumaczy jej, co zaszło i gdzie się znajdujemy. Nie mogłam się przez nią skupić. Westchnęłam z irytacją.

– Koleś, możesz ją stąd zabrać? – Beleth zapytał Piotrka. – Przeszkadzacie. Tu niektórzy umierają.

Zupełnie jakby znowu mógł czytać mi w myślach. A może po prostu za głośno to pomyślałam? Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością. Piotruś rzucił mi szybkie spojrzenie. Widząc moją minę, lekko odsunął Monikę, ale ona zaraz jeszcze mocniej do niego przyłgnęła. W końcu poddał się i wyprowadził ją na korytarz.

Wsunęłam dłonie pod zakrwawione prześcieradło Azazela, starając się nie myśleć o tym,

czego dotykam. Przeląłam w niego swoją moc.

Nie wiem, jak długo starałam się go uratować. Byłam jak w transie. Przestałam cokolwiek widzieć i słyszeć. Beleth podtrzymywał mnie, gdy traciłam siły. Coś do mnie mówił, chyba usiłował przekonać, żebym przestała. Jednak nie mogłam. Gdybym to zrobiła, Azazel by umarł. To była śmiertelna rana.

Już nie miałam siły. Chciałam, żeby to się skończyło. Chciałam zasnąć i już nie otwierać oczu. Chyba płakałam z żalości nad sobą. Obaj mnie zdradzili. Beleth pomimo swoich obietnic, Piotrek pomimo żaru w swoich oczach.

Pod umazanymi krwią dłońmi poczułam bliznę. Rana zasklepiła się. Już kończyłam.

Niespodziewanie mroczki przed moimi oczami zabłyśły białym światłem. Głuchy szum w uszach przemienił się w dudnienie. Nie mogłam nabrać powietrza. Pociemniało mi przed oczami.

Zemdlałam.

– Wiki, Wiki?! – jak przez mgłę dobiegał mnie głos Beletha. Był czymś zaniepokojony. Ale czym? Nie potrafiłam się na niczym skupić. Gdzie ja byłam? Co się stało? Powoli zaczęłam sobie przypominać.

Otworzyłam oczy. Beleth trzymał mnie w ramionach, delikatnie głaszcząc po policzku.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z czułością w głosie.

– Ta – mruknęłam i odtrąciłam jego dłonie.

Usiadłam. Czuałam się już dobrze. Zawsze, gdy zbyt długo korzystałam z mocy i Iskry, wyczerpywały mi się na chwilę baterie.

– A jak on się czuje? – zapytałam, wskazując na Azazela.

– Prawie jak nowy – wyjaśnił mi diabeł.

Przyjrzałam się dokładnie Azazelowi. Był trupio blady i co najgorsze nadal nieprzytomny. Jednak jego oddech już się wyrównał. Na twarzy rysował się spokojny uśmiech. Nie wyglądał na umierającego. Po prostu spał.

– Nowy? – zakpiłam. – Chyba przeceniony z powodu uszkodzeń i wad fabrycznych...

– Słucham? – zdziwił się Beleth.

– Nic, nic – powiedziałam szybko.

– Na chwilę się obudził – relacjonował przystojny diabeł. – Stwierdził, że dobrze się czuje i musi trochę się przespać. Jak powiedział, tak zrobił. Usiłowałam go obudzić, ale nie dałam rady...

Nic dziwnego. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim organizm Azazela wyprodukuje utraconą krew. Najwyraźniej do momentu, aż to się stanie, zapadł w głęboki sen.

– Mamy nad nimi przewagę – cieszył się Beleth. – Ich nie ma kto naprawić.

Spojrzałam na niego zmęczona. Nie miałam siły na kolejną potyczkę. Moje zakrwawione dłonie trzęsły się z wycieńczenia.

– Pewnie się ukryli – powiedział Beleth, wycierając moje ręce czystym ręcznikiem. – Pojawią się dopiero za kilka godzin, jak nabiorą sił.

– Atakujemy? – spytałam.

Jak mus to mus. Chciałam uratować pozostałe osoby z Iskrą, nawet jeśli byłam na skraju wyczerpania.

– My też powinniśmy odpocząć kilka godzin, zanim ruszymy na poszukiwania ostatnich trzech obiektów. Powinni wtedy jeszcze żyć – powiedział Beleth. – Poza tym dopóki Azazel się nie ocknie, dopóty nie możemy ich ratować. Ja znam tylko imiona i kraje, z których pochodzą, a ty?

Zastanowiłam się. Też nie wiedziałam o nich niczego więcej.

– Trzeba było słuchać, co Azazel do nas mówił. – Westchnęłam, zerkając na pogrążonego w błogim śnie diabła.

– I chociaż raz wybrać się z nim na obserwację – przytaknął Beleth.

Przyjrzałam się uważnie mojemu diabłu. Włosy miał sklezione krwią. Z lewej strony na czole widać było draśnięcie mieczem albo toporem. Była to płytko, przypalona ranka, która już się zasklepiła, jednak wyglądała okropnie.

Piotrusiowi nic nie było. Był tylko tak samo brudny jak my wszyscy. Chociaż nie, zapomniałam. Coś mu jednak było. Miał na ramieniu narośl potocznie nazywaną „Monika”.

– Prześpijmy się teraz – rzekł Beleth. – Nie mam na nic siły. Możemy wybrać sobie jakiegokolwiek sypialnie. W domu Azazela jest ich bez liku. Poza tym na pewno nie będzie miał nam tego za złe. Piotr, Monika! Słyszycie? Idziemy spać! Za kilka godzin ruszamy ratować kolejnych!

– Słyszemy – powiedział Piotrek, wciągając Monikę z powrotem do pokoju. – Chodź, Monika, połóżysz się gdzieś.

– Ale nie sama – zawołała dziewczyna. – Boję się!

A mnie szlag trafił. Dosłownie i w przenośni. Czuję, jak serce podskakuje mi niespokojnie w piersi. Z całej siły nienawidziłam tej dziewczyny. Naprawdę nie potrafiłam zrozumieć, co go w niej pociąga. Ona była taka... pospolita.

A przecież mógł mieć mnie!

Zerwałam się z miejsca i ruszyłam do wyjścia. Beleth oczywiście pobiegł za mną. W drzwiach stanął jakiś niski mężczyzna w liberii. Miał całą twarz opuchniętą. Oczy mu łzawiły i ropiały.

– W czymś pomóc? – zapytał po hiszpańsku. Zatrzymałam się gwałtownie.

– Co? – warknęłam.

– Może coś podać? Sok z pomarańczy? Zrozumiałam, że to Pedro. Najwyraźniej wykorzystał fakt, że Azazel był umierający, i wyszedł z piwnicy, porzucając obieranie cytrusów.

– Nie, dziękuję – odburknęłam i minęłam go.

Przede mną znajdował się korytarz pełen drzwi. Tylko które prowadziły do sypialni? Jakiegokolwiek? Pomyślałam o Azazelu i jego „dzikich żądzach”. Zapewne wszystkie prowadziły do sypialni...

– Poczekaj, Wiki, ja ci to wszystko wyjaśnię. – Beleth złapał mnie za łokieć.

– Nie chcę z tobą rozmawiać. – Wyszarpnęłam rękę. – Obiecałeś, że go nie skrzywdzisz, a sprzedałeś go Pajmonowi!

– Zrobiłem to dla ciebie – powiedział z mocą, przypierając mnie do ściany. – Obiecał mi, że cię nie zabije, jeśli go wydam.

Przysiągł mi, że oszczędzi cię i...

– I cię też? – dokończyłam zprzekąsem.

– No i Azazela... – Uciekł w bok spojrzeniem. – Ale wiesz.... To mój kumpel. Żle bym się czuł, gdybym ocalał tylko nas dwoje.

Westchnęłam ciężko.

– Nie chce mi się z tobą gadać. – Wyminęłam go i zaczęłam iść korytarzem.

Przeklął cicho pod nosem i znowu mnie dogonił.

– Poczekaj, złościsz się, że chciałem też uratować Azazela? Ale ja go lubię.

– Ty tylko udajesz kretyna czy nim naprawdę jesteś? – zapytałam z niedowierzaniem. Oparł się o ścianę i posłał mi zmęczone spojrzenie.

– Myślałem, że cię tym rozbawię.

– Brawo – prychnęłam.

Znowu chciałam iść, ale przytrzymał mnie za łokieć i nie pozwolił się ruszyć. Zmusił mnie, żebym spojrzała mu prosto w oczy.

– Masz mi za złe, że tak bardzo mi na tobie zależy? – zapytał.

– Nie, tego nie mam ci za złe. Ale nie zapominaj, że znowu usiłowałeś pozbawić życia Piotрка. A obiecałeś, że tego nie zrobisz.

– Oj wiiiiiiiiiiiiem – mruknął.

Przeczesał dłonią czarne włosy. Sztywny irokez już dawno się rozpadł od śniegu i wiatru. Włosy opadały mu na oczy, pod którymi malowały się cienie. Był zmęczony tak samo jak ja. Spojrzałam na rankę na jego czole i ślady krwi. Zrozumiałam, że specjalnie nie nastroszył od nowa irokeza. Starał się przykryć włosami bliznę. Elegancik.

Westchnęłam z irytacją i odgarnełam mu włosy z czoła. Dotknęłam ranki opuszkami palców. Skoro była tak powierzchowna, to może uda mi się ją usunąć? Skupiłam się na tym.

Nie protestował. Stał spokojnie naprzeciwko i wbijał we mnie spojrzenie swoich złotych oczu. Dzisiaj miały miodową barwę. W kilku miejscach błyszczały złote kropki.

– Sama powiedz, czy warto go ratować? – zapytał.

– Azazela? – udałam, że nie rozumiem. – Przecież to twój przyjaciel.

– Nie mówię o nim...

– Wiem...

– Widziałaś, jak się zachowywał względem tej Moniki. Nawiasem mówiąc, ona jest w porównaniu z tobą brzydka i głupia...

Oboje wiedzieliśmy, że wcale nie jest taka brzydka. Była po prostu inna. Bardzo wysoka blondynka o niebieskich oczach.

Ja byłam szatynką średniego wzrostu.

– Sądysz, że powinnaś go ratować? – jeszcze raz zapytał. – On nie jest tego wszystkiego wart. On nie jest wart ciębie.

Odsunęłam palce od jego czoła. Ani śladu po ranie. Oliwkowa skóra była nieskazitelna. Chyba doskonaliłam technikę.

Korciło mnie, żeby poprosić go o pokazanie blizny na żebrach. Chciałam spróbować i ją

zlikwidować. Jednak po jego ostatnich słowach ochota jakoś mi przeszła.

– Warto było – mruknęłam.

– Kochasz go – raczej stwierdził, niż zapytał Beleth. – Ale on ciebie najwyraźniej nie. Słyszałaś, co mówiła do niego Monika. Ich coś łączy.

– Musisz mi to mówić?

W oczach stanęły mi łzy. Nie mogłam się przed tym powstrzymać.

– Ktoś powinien wreszcie ci to uświadomić – stwierdził sucho, ale bez satysfakcji.

Staliśmy w milczeniu. Ja lekko pociągałam nosem i szybko wycierałam kąciki oczu.

– Przepraszam cię – powiedział Beleth. – Przepraszam za to, że dałem się namówić Pajmonowi. Przepraszam za swoje zachowanie.

Kiwnęłam głową na znak, że wybaczam.

– Chodź, znajdziemy ci jakąś sypialnię. – Diabeł wziął mnie za rękę i poprowadził korytarzem. – Azazel ma naprawdę bardzo ładnie umeblowane pokoje. Wręcz stworzone do... – urwał znacząco.

– Mhm – mruknęłam, patrząc na niego ostro. Niczym niezrażony kontynuował:

– Może będę spał z tobą? – zaproponował. – To duży dom, pełen obcych dźwięków. Możesz mieć kłopot z zaśnięciem. Ja zagwarantuję ci, że usniesz spokojnie.

– Nie, dziękuję. – Otworzyłam pierwszy lepszy pokój.

– Na pewno? – jeszcze zapytał, dokładnie przyglądając się moim drzwiom. Starł się zapamiętać, które to.

– Na pewno. – Trzasnęłam mu nimi przed nosem.

– Będę w pokoju naprzeciwko – krzyknął jeszcze. – Może zajrzę do ciebie przed snem.

Zapaliłam światło. Kryształowy żyrandol oświetlił nieduże pomieszczenie, którego centrum stanowiło królewskiej wielkości łóżko. Tak jak wszystkie pomieszczenia w rezydencji Azazela, i to było przeładowane meblami, poduszkami, ciężkimi kotarami i masą niepraktycznych bibelotów.

Weszłam do przylegającej do pokoju łazienki, żeby wziąć gorącą kąpiel. Chciałam zmyć z siebie pył, brud i krew. Odkręciłam krany przy marmurowej wannie. Ktoś zastukał do drzwi mojego pokoju. Postanowiłam to zignorować.

– Wiki? Jesteś tam? Wpuść mnie – dobiegł mnie głos Piotrusia.

Zakręciłam kurki. Jak mogłabym go nie wpuścić?

– Chwileczkę! – krzyknęłam i doskoczyłam do lustra.

Potargane, poszarzałe od pyłu włosy sterczały we wszystkie strony. Na policzku miałam rozmazaną smugę cementu.

Sam seksapil...

Miałam przeciwko sobie posagową (i tak samo jak posąg tępą, moim zdaniem) Monikę. Pstryknęłam palcami, przywracając sobie cywilizowany wygląd. Zlikwidowałam krew z dłoni. Usatysfakcjonowana poszłam otworzyć drzwi. W korytarzu, oparty w niedbałej pozie o futrynę, stał Piotruś. Wyprostował się na mój widok.

– Przeszkadzam? – zapytał niepewnie.

– Chciałam wziąć kąpiel – powiedziałam, siląc się na obojętność. Rzucił mi przeciągłe spojrzenie.

– Aha... – mruknął.

No dobrze... może stworzenie błyszczyka na ustach było lekką przesadą.

– Możemy porozmawiać? – zapytał.

– Już odprowadziłeś Monikę do łóżka? – zakpiłam.

Od razu przeklełam się w myślach. Po co na niego napadłam? Teraz pewnie zamknie się w sobie.

– To nie tak – zaprotestował.

– A niby jak? – dalej grałam urażoną księżniczkę, chociaż prawdę mówiąc, nie udawałam. Byłam obrażona. Tak bardzo, że miałam ochotę wyrzucić go za drzwi.

– Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać – powiedział z naciskiem.

Korytarzem niespiesznym krokiem szedł Carlos, trzymając na tacy szklanekę z sokiem pomarańczowym. Stał przy drzwiach Beletha i zastukał. Czujnie przy tym nadstawiał ucha, by wylapać choć strzępek naszej rozmowy.

– Mogę wejść? – poprosił Piotruś.

– Proszę.

Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie plecami. Piotrek wziął mnie za rękę i pociągnął w stronę kanapy.

– Chodźcie ze sobą? – zaatakowałam, zanim zdążył otworzyć usta.

– Nie – odparł. – Pamiętasz, jak zniknęłaś? Zdenerwowałam się. Pewnie teraz będzie mi usiłował wmówić, że to moja wina!

– Szukałem cię. Nawet skontaktowałem się z twoim bratem, ale on...

– Co zrobiłeś?! – ryknęłam. – Powiedzieliś mojemu bratu, że zniknęłam?!

– No tak... – mruknął zmieszany.

– Dzięki wielkie. Pewnie teraz zamartwia się na śmierć. Jak ja mu to wszystko wytłumaczę?! Skruszony Piotrek pochylił głowę.

– Sorry... nie wiedziałem, że nie wolno mu nic mówić. Martwiłem się o ciebie. Czy ty to rozumiesz? Ja raczej rzadko się o kogoś martwię...

Pokiwałam głową. Piotrek był dość... specyficzną osobą. Flegmatyczny indywidualista, który najlepiej czułby się na bezludnej wyspie. Oczywiście tylko i wyłącznie wtedy, gdyby miał pod ręką swojego kota i komputer.

– A za tobą szalałem z niepokoju – kontynuował. – Szukałem cię wszędzie, dzwoniłem, chodziłem pod twój dom, krążyłem po Pradze. Pewnego dnia spotkałem Monikę. Poszliśmy na piwo. Nic wielkiego. Potem jeszcze kilka razy gdzieś wyszliśmy.

– A teraz ona krzyczy na całe gardło, że cię kocha – wymruczałam ponuro.

– Jest w szoku – skwitował. – Przetrzytywali ją szaleńcy, którzy okazali się diabłami. Normalny człowiek może się tego przestraszyć...

Że niby ja nie jestem normalna?! A nie zaraz.... Przecież kiedy po raz pierwszy spotkałam diabła Azazela, podczas targu o moją duszę, też byłam okropnie przestraszona.

– Czyli... nie jesteście parą? – zapytałam cicho.

– Nie – odparł z mocą, wpatrując mi się w oczy. – Chociaż niewiele brakowało...

Na jego brodzie bardzo wyraźnie malował się jednodniowy, seksowny zarost. Zanim pomyślałam o tym, co robię, pogłaskałam go po policzku. Cholera... znowu zrobiłam pierwszy ruch. Zdziwił się najpierw, ale potem się uśmiechnął.

– Zaraz się ogolę – powiedział.

– Czyli z nią nie śpisz dzisiaj? – zapytałam, kompletnie nie słuchając, co do mnie mówił. – Ani w ogóle, kiedykolwiek?

Zaśmiał się.

– Nie, Wiki. – Uśmiechnął się ciepło. Jego migdałowe, czarne oczy błyszczały wesoło. – Nie musisz być zazdrosna. Naprawdę. Przepraszam cię za dzisiaj.

Też się w końcu uśmiechnęłam, przyjmując te odrobinę kulawe przeprosiny. Lekko ścisnął palce mojej dłoni, której nawet na chwilę nie wypuścił z uścisku. Westchnęłam zmęczona. Padałam z nóg. Potrzebowałam co najmniej kilku godzin snu. Przypomniałam sobie, jak czule szeptał do niej „Moniu”.

– Chciałabym już iść spać – powiedziałam. Zmieszał się.

– Och, dobrze. To ja już pójdę – mruknął lekko zawiedziony. Pochylił się i delikatnie pocałował mnie w usta.

Nadal siedząc na kanapie, patrzyłam, jak wychodzi. Byłam dumna, że nie rzuciłam mu się na szyję i nie zawołałam – wróć.

Wyciągnęłam złoty korek z marmurowej wanny. Woda zaczęła wpływać do otworu. Zapatrzyłam się na nią, ciekawa, w którą stronę będzie się tworzył wir. Na półkuli północnej wir zawsze zakręcał w prawo, na skutek ruchu obrotowego kuli ziemskiej. Na południowej w lewo. A w Piekło, w środku Ziemi?

Patrzyłam, jak woda swobodnie wpada do odpływu.

A w Piekło w ogóle nie ma wiru...

Otuliłam się ręcznikiem frotte, oczywiście krwistoczerwonym, i wyszłam z łazienki. Zaciągnęłam wcześniej kotary, więc pokój był pogrążony w mroku. Pstryknęłam palcami. Kilka grubych świec pojawiło się na kominku i niskich stolikach dookoła łóżka. Od razu zrobiło się bardziej nastrojowo.

Usiadłam na brzegu wysokiego łóżka. Zapadłam się w nie. Było bardzo miękkie. Zachęcało, by zanurzyć się w pościeli, w objęciach morfeusza. Odrzuciłam mokry ręcznik na stojący obok fotel i stworzyłam sobie moją ulubioną piżamę.

Fotel zaczął pomrukiwać. Chwilę później spod mokrego ręcznika wydostał się Behemot. Prychnął na mnie obrażony i ruszył w kierunku drzwi.

– Kotku, nie uciekaj – zerwałam się za nim. – Chociaż ty ze mną zostań. Poczekaj! Dziękuję, że przyszedłeś za mną do Piekła.

W momencie, kiedy podbiegłam za nim do drzwi, ktoś w nie zastukał. Byłam zbyt zajęta łapaniem wrywającego się zwierzaka, żeby liczyć, ile było stuknięć. Gdyby było ich sześć, mogłabym się spodziewać jakiegoś mieszkańca Niższej Arkadii, a gdyby mniej lub więcej, wtedy normalnego człowieka.

Zaskoczona postawiłam kota na podłodze. Już nie miał mnie kto odwiedzić. Dwie zdrady. Dwie skruchy.

Nie zostało już nic do powiedzenia. Do nich obu nadal miałam żal.

Otworzyłam drzwi. Stał naprzeciwko mnie. Bezpretensjonalny jak zwykle. Mokre włosy opadały mu na czoło. Tak samo jak ja musiał przed chwilą wziąć kąpiel.

– Behemot! – ucieszył się na widok mojego kotka. Zwierzak podszedł do niego nieufnie i powąchał nogawkę spodni. Spojrzał na mnie swoimi wielkimi ślepiami, a potem znowu zerknął na mojego gościa, zastanawiając się, czy ma go wpuścić.

W końcu zdecydował. Przeszedł obok jego nogi i majestatycznym krokiem ruszył

korytarzem.

- Nie ma to jak zostać olanym przez kota – powiedział mój gość.
- Podobno je lubisz – zauważyłam.
- Lubię.

Staliśmy, wpatrując się sobie w oczy. Nie wiedziałam, po co przyszedł, czego oczekiwał. Byłam zmęczona i rozgoryczona. Chciałam móc wreszcie się przespać.

- Uzmysłowiłem sobie, że nie powiedziałem ci dobranoc.
- Dobranoc – splawiłam go.

Spróbowałam zamknąć drzwi, ale przytrzymał je dłonią.

- Poczekaj... – Zrobił krok w moją stronę. Cofnęłam się, a on zamknął za sobą drzwi.
- Posłuchaj... – zaczęłam, jednak on nie dał mi skończyć.
- Jeszcze raz chciałem cię przeprosić – powiedział szybko.

Uciekłam w bok spojrzeniem, podziwiając draperie na kotarach. Nie mogłam na niego patrzeć. Jego twarz, uśmiech, błysk w oku. To wszystko sprawiało, że od razu mu wybaczałam. A nadal miałam ochotę się na niego pozłościć.

- Powtarzasz się – zakpiłam, uśmiechając się pod nosem.

Znowu zrobił krok w moją stronę, a ja się cofnęłam. Staliśmy już na środku pokoju, naprzeciwko olbrzymiego, zasłanego poduchami łóża.

Mrok zalegający w pokoju otulał nas niczym aksamit. Płomienie nielicznych świec dawały pomarańczową, ciepłą poświatę. Mimowolnie mówiliśmy do siebie szeptem. Zupełnie jakby nastrój chwili tego wymagał.

– Romantycznie tu. – Rozejrzał się dookoła, zatrzymując swoje spojrzenie na łóżku odrobinę z długo.

- Cała ja... – mruknęłam.

Znowu staliśmy, wpatrując się sobie w oczy. Niesforne włosy opadły mu na czoło. Uśmiechnął się do mnie zawadiacko. Zupełnie jakby ktoś kierował moim ciałem, wyciągnęłam dłoń w jego stronę i przesunęłam palcami po gładkim policzku. Wzdłuż linii żuchwy, aż do pełnych ust.

Zbliżył się jeszcze o krok. Tym razem się nie cofnęłam.

Uśmiechnął się lekko. Obramowane czarnymi rzęsami oczy rzuciły mi ciężkie, zmysłowe spojrzenie.

Był wyższy ode mnie. Pochylił się i delikatnie musnął ustami moje wargi.

Westchnęłam, gdy odsunął się ode mnie. Nie czarował, nie zaczepiał. Po prostu stał naprzeciwko mnie ze spokojnym uśmiechem. Śledziłam grę cieni i migotania świec na jego twarzy. On także dokładnie mi się przyglądał.

Nagle poczułam się głupio. Stałam w swojej piżamie w kotki, z włosów kapłała mi woda, byłam nieumalowana. On też był mokry. Niemniej ubrany.

Chyba zauważył moje zmieszanie.

Odgarnął mi mokre włosy z policzka. Jego pełne fascynacji spojrzenie prześlizgnęło się po mojej twarzy, szyi. Przymknęłam oczy, gdy delikatnie dotknął mojego policzka. Otworzyłam je

dopiero, gdy zabrał dłoń.

Na jego ustach błąkał się delikatny uśmiech. Zdałam sobie sprawę, że też się uśmiecham.

Płomienie świec cicho skwierczały. Wosk skapywał na drogie meble i dywany. Portrety na ścianach, niczym milczący obserwatorzy, śledziły każdy nasz ruch.

A my staliśmy naprzeciwko siebie, wpatrując się sobie w oczy bez słowa.

– Mogę zostać? – zapytał.

– Możesz...

48

Obudziłam się z płytkiego snu. Zerknęłam na mężczyznę obok mnie. Kilka godzin przeleżeliśmy czule przytuleni. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, czasem przerywając, by się pocałować. Wystarczało nam, że leżymy tak blisko, w swoich ramionach. Chyba oboje potrzebowaliśmy czułości.

Wyczerpana zasnęłam w którymś momencie.

Delikatnie zaczęłam się od niego odsuwać, by wydobyć się spod jego ramienia. Niestety, zasnął, zaciskając palce na mojej piźamie.

Nie chciałam go budzić. Powinien się wyspać. Ja zamierzałam znaleźć Azazela i zapytać go o kolejne obiekty. Miałam nadzieję, że już się ocknął. Nie wiedziałam, ile czasu straciliśmy na odpoczynek. Możliwe, że Pajmon i Agares nas wyprzedzili. Nie mogłam pozwolić, by jeszcze ktoś zginął przez to, że tak lekkomyślnie używałam mocy i ściągnęłam gniew Lucyfera na wszystkich ludzi z Iskrą.

Poza tym powinnam była chociaż na chwilę pojawić się w Polsce i uspokoić brata. Na pewno szalał z niepokoju, odkąd Piotrek go zaalarmował.

W końcu zdołałam uwolnić piźamę. Mężczyzna przez sen położył się na brzuchu, zagarniając dla siebie moją poduszkę. Był uroczy, gdy spał.

Odgarnęłam mu włosy z czoła, pochyliłam się i pocałowałam go w czubek głowy.

Nie chciałam wychodzić. Miałam ochotę znowu wtulić się w jego ciepłe, silne ramię, gdzie czułam się bezpiecznie. Wzdychając, wstałam i zamieniłam piźamę na bluzkę i dżinsy. Po cichu wyszłam z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi. Postanowiłam pójść do głównego pomieszczenia, w którym był rozstawiony sprzęt do drukowania propagandowych ulotek. Tam zostawiliśmy śpiącego Azazela. Może już się obudził?

Nie zawiodłam się. Azazel siedział w fotelu i przeglądał jakieś papiery. Nadal źle wyglądał. Bładość skóry wyraźnie kontrastowała z czernią jego włosów związanych na karku w kitkę.

Posłał mi słaby uśmiech.

– Już nie śpisz? – zapytał.

– Już nie. – Westchnęłam i usiadłam naprzeciwko niego. Może i nie spałam, ale myśli jeszcze bardzo powoli krążyły mi po głowie. Mój mózg zdecydowanie był wciąż nastawiony na drzemkę. Stworzyłam sobie kubek z mocną kawą. Prośenie służby Azazela o cokolwiek, co nie było sokiem pomarańczowym, mijało się z celem.

– Nie mam pojęcia, jak to zrobiłaś, ale jestem twoim dłużnikiem – powiedział Azazel. – Uratowałaś mnie, wyleczyłaś. Inaczej bym umarł! Mam wobec ciebie dług nie do spłacenia.

– Nie ma sprawy. – Wzruszyłam skromnie ramionami.

– Ależ jest! Naprawdę jestem ci wdzięczny. Aż mam ochotę cię uściskać i wycalować!

– Nie musisz – powiedziałam szybko i pociągnęłam solidny łyk kawy.

Mój pośpiech nie uszedł uwagi diabła.

– Bezsenna noc? – zapytał pozornie obojętnym tonem, nawet na mnie nie patrząc.

– Spałam...

– Sama...? – Na jego ustach pojawił się lekki uśmiezek. Ręka lekko mi zadrżała.

– Nie udawaj, że nie wiesz – prychnęłam. – Twój lokaj pewnie podsłuchiwał pod drzwiami.

Zaśmiał się szczerze.

– Po prostu chciałem zachować pozory. Pytałem z grzeczności.

Chyba z ciekawości – miałam na końcu języka, ale się nie odezwałam.

Znowu zapatrzył się w kartki papieru, udając, że coś szalenie go absorbuje, a ja jestem tylko jednym z mniej barwnych elementów wystroju pomieszczenia.

– I jak było? – zapytał niespodziewanie.

– Słucham?! – aż się zakrztusiłam kawą.

Azazel z bezczelnym uśmiechem wpatrywał mi się prosto w oczy.

– Carlos doniósł mi, że byliście bardzo cicho. Tylko mi nie mów, że po prostu usnęliście. To już by była przesada po tych całych podchodach – zakreślił dłonią w powietrzu łuk.

– Nie mam zamiaru z tobą o tym rozmawiać – wycedziłam.

– Jak chcesz. Ale mam duże doświadczenie w tym temacie, więc gdybyś chciała, chętnie mogę coś doradzić. – Zerknął na mój dekolt. – A nawet pokazać...

– Jesteś obleśny – skwitowałam.

Zaśmiał się serdecznie z mojej miny, a ja zrozumiałam, że znowu mnie podpuszczał. Jak zwykle dałam się łatwo nabrać na wszystko, co mówił.

– Czy jego... rywal... już wie o tym, że nocowaliście w jednym pokoju? – zapytał.

– O ile twoja służba go nie powiadomiła, to nie.

Diabeł pokiwał głową rozbawiony. Wszystkie moje rozterki i wątpliwości świetnie poprawiały mu humor. Niemniej czego innego można oczekiwać po zagorzałym zwolenniku chaosu?

– Ale będzie miał minę, jak się dowie – zachichotał. – Wykręciłaś mu numer.

– Czemu ci „z góry” jeszcze nie zauważyli, że coś jest nie tak? – zapytałam, zmieniając niewygodny dla mnie temat. – Przecież gdziekolwiek się znajdziemy, Agares powoduje trzęsienie ziemi. Nie sposób tego nie zauważyć.

Azazel wzruszył ramionami.

– Nie wiem... oni rzadko patrzą na Ziemię. Jednak trzeba przyznać, że w tej chwili to chyba ktoś przysnął na służbie.

– A nie możemy wysłać aniołom jakiejś wiadomości? Dać im znać, że coś jest nie tak? Diabeł pokręcił przecząco głową.

– To nie wchodzi w rachubę. Gdyby dowiedzieli się od nas, od razu ruszyliby do Lucyfera po wyjaśnienia, a ten pokazałby im sfalszowane dokumenty. Oni muszą zobaczyć na własne oczy, że walczymy przeciwko Pajmonowi i Agaresowi, że bronimy ludzi. Inaczej sami zostaniemy wmanewrowani w morderstwa na osobach z Iskrą. Już ja znam Lucyfera. Zrzuciłby całą winę na nas.

Pokiwałam głową. No tak... to nawet zrozumiałe.

– Gdybym ja był Szatanem, zrobiłbym tak samo... – wyznał Azazel.

– Długo jeszcze będziemy to ciągnąć? – zapytałam.

– Nie wiem. – Westchnął ciężko. – Naprawdę nie wiem. Też mam już tego dość...

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Do pokoju wszedł Carlos z dzbankiem ze świeżo wyciśniętym sokiem. Coś czułam, że po pobycie tutaj nie będę mogła patrzeć na pomarańcze.

– To co z następnymi obiektami? – zapytałam. – Trzeba ich czym prędzej ratować. Diabeł odłożył na bok kartki. Jak zauważyłam, były to wzory nowych ulotek.

– Zostały, jak wiesz, trzy obiekty. Numer osiem i dziewięć we Francji i numer dziesięć w Rosji. Który chcesz? Pomyślałam szybko. We Francji będę musiała z kimś współpracować. Z Azazelem, który będzie mnie wypytywał o szczegóły nocy, albo z Belethem...

– Biorę Rosję – powiedziałam.

W życiu tam nie byłam, w przeciwieństwie do Francji, ale cóż... Zawsze chciałam ją zobaczyć. Wreszcie będę miała niepowtarzalną okazję.

Azazel uśmiechnął się dwuznacznie.

– Dobrze... zatem pójdę obudzić Beletha.

– Czekaj, niech śpi. Jest zmęczony. Powiedz mi coś więcej o moim obiekcie.

Azazel lekko zatoczył się, wstając z fotela. Z ulgą z powrotem usiadł. Jego organizm bardzo wolno uzupełniał niedobory krwi. Zastanowiło mnie, czemu tak się działo. Czy to dlatego, że rana była zadana diabelską bronią? A może przez moją naprawę? Może zrobiłam coś nie tak? Może powinnam spróbować go wyleczyć?

Przyjrzałam się mu dokładnie. Tak czy owak nadal chodził, mówił i był wredny. Zdecydowanie nie potrzebował dalszego leczenia i mojej troski.

Azazel szybko opowiedział mi o Aleksandrze, moim obiekcie. Był typowym „nowym Rosjaninem”. Dwudziestosześcioletni syn zamożnych rodziców, spędzający czas na zabawie i wydawaniu ich pieniędzy. Studiował w Moskwie zarządzanie, by móc przejąć interes po ojcu.

Zerknęłam na zegarek. Było późne popołudnie. Zgodnie z rozkładem zajęć niedługo miał wyjść z uczelni i ruszyć na obiad ze znajomymi. Tradycyjnie spotykali się w poniedziałki na placu Czerwonym przy kolorowej cerkwi Wasyla Błogosławionego, żeby ponaśmiewać się z turystów, a potem szli do jednej z modnych restauracji.

Dokładnie za sześć minut powinien wysiąść z metra na stacji Kitajgorod, gdzie spotka swoją dziewczynę Lenę. Następnie razem ruszą w stronę placu Czerwonego ulicą Warwarka.

– Lena to nasz obserwator – powiedział Azazel. – Sprzedała mi duszę w zamian za powiększenie biustu.

Siedział cały roześmiany i najwyraźniej dumny z siebie, że takim tanim kosztem zdołał

pozyskać jej wdzięczność.

– Łatwo ją poznasz. Ma fioletowe włosy – dodał. Skinęłam głową i wstałam. Swoją szablę trzymałam w dłoni, owiniętą w chustę. Pochwa już dawno gdzieś mi się zapodziała. Poza tym uznałam, że tak zakamuflowana będzie mniej rzucać się w oczy.

Wsunęłam klucz diabła w ścianę, wyobrażając sobie toaletę na stacji metra. W każdym kraju wyglądają tak samo, więc nie miałam z tym najmniejszego problemu.

Kolejka metra właśnie podjechała na stację. Z wagonów wysypały się dziesiątki osób. Jak miałam znaleźć Aleksandra i dziewczynę o fioletowych włosach?

Wybiegłam na ulicę za tłumem ludzi. Rozglądałam się gorączkowo. Nie mogłam ich nigdzie dostrzec. Z jednej strony namawianie obiektów do trzymania się zatłoczonych miejsc było sensownym posunięciem. Zmniejszyło prawdopodobieństwo, że Pajmon i Agares ujawnią swoją obecność. Bali się przecież zaalarmować Niebo o swoich czynaniach.

Jednak z drugiej strony nam także znacznie utrudniało to namierzenie osób z Iskrą Bożą.

W końcu w oddali mignęła mi fioletowa strzecha włosów. Podbiegłam w tamtym kierunku. Jakiś blondyn, także farbowany, czule obejmował biuściastą pannę o bakłażanowej, krótkiej, postrzępionej fryzurze, przypominającej dzieło nieudolnej kosiarki. Szli szybkim krokiem ulicą Warwarka. Aleksander i nasz obserwator.

Ruszyłam za nimi, chcąc ich dogonić i szybko powiedzieć, o co mi chodzi, a następnie zaciągnąć obiekt numer dziesięć do Piekła. Miałam nadzieję, że nie będzie się zbytnio stawiał od razu uwierzy mi, że jestem diabolicą.

Już miałam go zawołać po imieniu, kiedy poczułam podświadomie, że coś jest nie tak. Odwróciłam się szybko. Jednak za mną nie było nikogo podejrzanego. Normalni ludzie zmierzający pewnym krokiem tylko w sobie znanych kierunkach, jakaś wytwornie ubrana kobieta z pudłem na smyczy, bezdomny w brudnym płaszczu, kucający na chodniku z tekturową tabliczką. Trzymał ją tylko jedną dłonią. Przeczytałam napis sporządzony markerem: „Jestem kaleką wojennym. Pomóżcie mi”. Wyglądał na czterdzieści – pięćdziesiąt lat. Chyba że to tylko skołtuniona broda tak go postarzała. Mógł być jeszcze młodszy. Biedny weteran butelki.

Zerknęłam na potężny budynek przypominający nasz warszawski PeKiN – Pałac Kultury i Nauki. Kolejny stołeczny skrót niezrozumiały dla przyjezdnych.

Przez własną głupotę zgubiłam Aleksandra i fioletową dziewczynę. Szybko pobiegłam w stronę placu Czerwonego. Szli właśnie przez mały parking w stronę bajkowej cerkwi.

Stuknęłam Aleksandra w ramię. Spojrzał na mnie zaskoczony. Następnie szybko zlustrował mój dość lekki ubiór. Upewniwszy się, że nie mam na sobie drogich, markowych ubrań, doszedł do wniosku, że mnie nie zna.

– Tak? Zgubiła się pani? – zapytał z silnym wschodnim akcentem.

– Ależ skąd, Aleksandrze Spasokukocki. Właśnie cię szukałam – odparłam.

Zaskoczony, że znam jego nazwisko (bardzo trudne do szybkiego wymówienia, poczułam dumę, że się nie zająknęłam), odsunął się ode mnie o krok. Zwróciłam się do dziewczyny o koszarnej fryzurze:

– Już możesz odejść, obserwatorze. Przejmuję obiekt. Fioletowa skrzywiła się i zerknęła z

żalem na Aleksandra.

Najwyraźniej odpowiadała jej rola dziewczyny potentata rodu naftowego.

– Lena, o co chodzi? – zapytał zdezorientowany blondyn.

– Sasza, przepraszam – zagruchnęła dziewczyna, układając usta w dziubek.

Sasza? Nigdy nie potrafiłam pojąć zdrobnień w języku rosyjskim. Dymitr – Dima, Michaił – Misza, ale Aleksander – Sasza? Gdzie tu sens?

– Sasza, bo widzisz, ta pani jest diablicą. A ja zawarłam pakt z diabłem – płątała się dziewczyna płaczliwym głosem.

Wizja pieniędzy wybranka coraz bardziej się od niej oddalała.

– Lena... przyznaj się. Co wciągałaś, zanim się spotkaliśmy? – zapytał czujnie Aleksander.

– Nic, nic, przysięgam. Mówię prawdę, Sasza – zaklinała się dziewczyna. – To diablica.

Zdenerwowała mnie już ta łzawa scena. Zaraz mogły się pojawić wrogie diabły. Był najwyższy czas, żeby stąd zniknąć. Pstryknęłam palcami, moja dłoń zapłonęła. Rozejrzałam się, czy żaden niepożądany przechodzień tego nie zauważył.

– Teraz mi wierzysz? – zapytałam Saszę. – Jestem diablicą. Grozi ci niebezpieczeństwo. Złe diabły chcą cię zamordować. Moim zadaniem jest cię uratować. Lena była moim obserwatorem. Pilnowała cię, gdy mnie nie było w pobliżu. Jestem jak anioł stróż, tylko ubieram się na czerwono, kapujesz?

Jednak Aleksander nie miał zamiaru kapować, rozumieć, ani panimat'. Bez słowa rzucił się do ucieczki.

Zgasiałam dłoń i zerknęłam na fioletową, która pochlipywała.

– Zawsze taki nerwowy? – spytałam z irytacją.

– Sasza jest bardzo miły – r zaprotektowała, a potem westchnęła ciężko: – I bogaty...

Pobiegłam za mężczyzną. Miał chyba zamiar okrążyć cerkiew, bo kierował się w stronę Mauzoleum Lenina, na środek placu Czerwonego. Jak na taką chudzinę wyjątkowo szybko biegał. Mnie nie szło tak dobrze. Wypita kawa przelewała się w żołądku, który żądał czegoś treściwszego. Poza tym nieporęczna szabla owinięta zbyt długą chustą także mi przeszkadzała.

– Aleksander, stój!!! – krzyknęłam. – Bo sama cię zatrzymam, a to zaboli!!!

Rozbawieni ludzie przyglądali nam się ciekawie. Musieliśmy stanąć dość interesujący widok. Wyrośnięty facet uciekający przed drobną dziewczyną z miną wyrażającą mord.

Miałam dość. Wyobraziłam sobie, że sznurówki czarnych tramppek firmy Lacoste są ze sobą związane. Aleksander dość widowiskowo się przewrócił. Dotarłam do niego, zanim zdołał się podnieść.

Miał startą skórę na podbródku i dłoniach.

– Nie zabijaj mnie! – wyjąkał. – Już nie będę ci uciekał. Uśmiechnęłam się szeroko do przechodnia obok nas.

– Zaręczyliśmy się, ale Saszka jest trochę nerwowy – wyjaśniłam.

Przechodzień czym prędzej się oddalił.

– Nie zrobię ci krzywdy. – Ukucnęłam obok niego. – Mówiłam przecież, że chcę ci pomóc. Słuchaj, poluje na ciebie dwóch psychopatów...

– To jakiś żart Lenki i Miszy, tak? – zapytał, rozsypując sznurówki. – Już ja im dam! Zobacz, jak wyglądają moje ręce. Na startej skórze pojawiły się pierwsze krople krwi. Zanim zdążył zareagować, dotknęłam ich palcami. Po chwili jego dłonie były jak nowe.

– Co...? – urwał.

– Teraz mi wierzysz? – zapytałam. – Jak będziesz grzeczny, to wyleczę ci też podbródek. Kiwnął głową, wpatrując się we mnie z niemym zdziwieniem.

– Jak mówiłam, poluje na ciebie dwóch psycholi. Czym prędzej musimy stąd zniknąć. – Musnęłam jego podbródek. Przy okazji zlikwidowałam brzydkie jak na mój gust znamię.

Wiem... estetka ze mnie. Wciąż to słyszę. Wstałam i podałam mu rękę. Przyjął pomocną dłoń i podniósł się z westchnięciem.

– A Lena? – zapytał.

– Ona tylko cię pilnowała. Teraz już nie musi tego robić.

– Aha – mruknął w zamyśleniu. – A to nawet dobrze. Bo mnie chodziło jedynie o seks. I tak nie miałem zamiaru brać z nią ślubu. Moja mama jej nie polubiła.

Biedna Lena, marzenia o bogactwie tak czy inaczej by się nie spełniły. A wszystko przez... teściową.

– Musimy znaleźć jakieś odosobnione miejsce – powiedziałam. – Tam stworzę przejście, dzięki któremu dostaniemy się do Piekła.

– Do Piekła? – znowu zaczął panikować.

– Słuchaj, czy ja ci już nie mówiłam, że nie zrobię ci krzywdy? – warknęłam.

Aleksander wytrzeszczył oczy, bez słowa pokazując mi coś za moimi plecami. Ktoś poklepał mnie po ramieniu...

49

Odwróciłam się szybko, wyszarpując szablę z chustki.

Z cienkim krzykiem odskoczył ode mnie Azazel. Beleth posłał mu zniesmaczone spojrzenie:

– Krzyczysz jak baba...

– Azazel? Beleth? – zawołałam. – Przestraszyliście mnie! Mogłam was zabić!

– W to akurat wątpię... – prychnął Beleth.

– Co z obiektami we Francji? Znaleźliście ich? – zapytałam szybko. i

– O tak, już są w Piekło – powiedział mój przystojny diabeł.

– Widzę, że twój też cały i zdrowy. Wyraźnie nie był w nastroju. Unikałam jego spojrzenia.

Schyliłam się po chustkę i okryłam nią oficerkę. Moja obojętność jednak nie zdała się na wiele.

– Spałaś z nim? – zaatakował Beleth.

– To zależy, co rozumiesz przez spanie – odburknęłam niechętnie.

Aleksander i Azazel z zaciekawieniem przysłuchiwali się naszej rozmowie.

– Słuchaj, to nie jest miejsce ani czas – powiedziałam.

– Przez spanie rozumiem seks. – Beleth podparł się pod boki.

Byłam na niego zła za tę szopkę. Specjalnie robił przedstawienie przy osobach trzecich, na środku placu, żeby mnie poniżyć.

– Nie uprawialiśmy ze sobą seksu – warknęłam. – Po prostu obok siebie spaliśmy przytuleni.

Tobie nic do tego. Beleth zrobił głupią minę, kompletnie zaskoczony moimi słowami.

– Tylko obok siebie leżeliście? – zapytał.

– No wiesz... jeszcze oddychaliśmy, ale to taki nic nieznaczący szczegół.

– Tylko leżeliście? – Na jego twarzy zaczął pojawiać się pełen niedowierzania uśmiech.

– Boże, czyja mam ci to gdzieś napisać, żebyś uwierzył? Beleth już całkowicie roześmiany odwrócił się do Azazela.

– Na Szatana, ale z niego pedał! – Zaśmiał się do kompana.

– Kamień z serca – znowu zwrócił się do mnie.

Stałam naburmuszona, mocno ściskając szablę. Aleksander chyba zauważył, że jestem bliska wybuchu, bo przezornie odsunął się ode mnie.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Beleth cały czas się śmiał. – Był z tobą zamknięty w jednym pokoju. W pokoju, w którym nie ma nic poza łóżkiem, i nic nie zrobił? Nie uważasz, że z nim jest coś nie tak? Ja bym na pewno...

– Nie przepuścił okazji?
– Tego bym tak nie nazwał.
– On jest po prostu czuły i romantyczny! – krzyknęłam. – Nie w takich warunkach będzie mój pierwszy raz!

– Ależ wiem, ja już zadbam o odpowiednią oprawę – zapewnił mnie Beleth z szerokim uśmiechem.

– Prędzej Piekło zamarznie!

– A to nic trudnego – powiedział szybko. – Mamy kilka kurortów, w których jest sztucznie wytwarzany śnieg. Cały czas chichoczący pod nosem Azazel stuknął łokciem Aleksandra.

– Czy to nie smutne, że cały ten świat kręci się dookoła seksu? – zapytał teatralnym szeptem. Zgromiłam go wzrokiem.

– Mnie tam to pasuje – mruknął Aleksander. Azazel uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Podoba mi się ten chłopak. – Poklepał go po ramieniu, a następnie klasnął w dłonie. – To jak, idziemy już? Nie spotkaliśmy jeszcze tamtych, a tu jest całkiem sympatycznie, ale wolałbym już być w Piekło.

Zgodnym krokiem ruszyliśmy przez plac Czerwony w stronę Mauzoleum Lenina. Hm, Lenin. Nie mogłam go sobie przypomnieć z balu u Szatana. To dawało tylko dwie możliwości. Albo był w Niebie, albo przestał istnieć. Ciekawe... Oberwany bezdomny, którego wcześniej widziałam, podszedł do nas. Zdziwiło mnie to. Żebracy nie zapuszczali się na środek placu.

– Panie, daj parę kopiejek – zajęczał.

– Spadaj, obwiesiu – zbył go idący obok mnie diabeł.

– Azazel! – zawołałam z wyrzutem.

Może był biedny, ale to nie znaczyło, że mogliśmy go traktować jak śmiecia.

– A co ja jestem? Anioł? – oburzył się diabeł.

– Kiedyś byłeś – prychnęłam.

– Kiedyś to ja nawet na harfie grałem...

Spróbowałam wyobrazić sobie Azazela zharfą, jak cały ubrany na biało siedzi na chmurce. Po kilku próbach poddałam się. Jednak nie miałam aż tak bujnej wyobraźni...

– Może kopiejkę? – jeszcze raz zajęczał bezdomny, ściskając jedną dłonią karton z petycją.

– Słuchaj, dziadygo... – zaczął Azazel, ale nie dokończył.

Bezdomny wyprostował się. Podziurawione łachmany zsunęły się, ukazując drogi garnitur. Jeden rękaw marynarki był zawinięty. Broda niczym śnieg opadła na ziemię.

Przed nami stał w pełnej krasie Agares.

– Zabiję was – oświadczył z uśmiechem.

Zza jego pleców wychyłała modnie ubrana kobieta z pudelkiem na smyczy. Na naszych oczach zmieniła się w Pajmona z tłustymi włosami. Nadal ściskał w dłoni smycz z pieskiem. Pogłaskał go po głowie. Pudel zaczął rosnać, białe futro opadało z niego kępkami. Mordka wydłużyła się. Ostre zęby zamieniły się w płaskie, żółte zębiska. Zrobił się brązowy. Na jego plecach z cichym brzdęknięciem wyskoczył garb.

Ludzie dookoła nas zaczęli z krzykiem uciekać.

Teraz Pajmon miał na smyczy wielbłąda. A dokładniej jednogarbnego dromadera. Przypomniałam sobie, jak Azazel opowiadał, że to jego ulubione zwierzę, bo je wymyślił. Rozumiałam tę sympatię, jednak na przykład Beleth nie chodził w towarzystwie kotów.

Oba złe diabły były blade. Pot zrosił ich czoła. Pajmon trzymał się jedną ręką za plecy, gdzie ubodłam go szpadą, Agares zaś czule obejmował zawinięty rękaw marynarki.

– To te złe diabły? – zapytał szeptem Aleksander.

– Tak – powiedzieliśmy chórem.

– Atakuj!!! – Pajmon ryknął do wielbłąda i puścił smycz. Zwierzak zaryczał, a następnie puścił się galopem prosto na nas. Najwyraźniej miał zamiar nas stratować. Krzyknęłam i chciałam odskoczyć, ale Beleth jak gdyby nigdy nic wysunął się do przodu, więc powstrzymałam się, żeby nie wyglądać głupio. Klasnął w dłonie.

Wielbłąd pisnął i z cichym pyknięciem zamienił się w obłok sfilcowanej sierści, którą porwał wiatr. Pajmon zawył.

– To był mój ulubiony dromader!!!

Beleth odwrócił się do mnie.

– Chyba za bardzo ich boli, żeby myśleli logicznie – stwierdził.

Pajmon, krzywiąc się, wyszarpnął miecz z pochwy na plecach i rzucił się w naszą stronę. Beleth już ścisnął w swojej dłoni katanę. Ich ostrza zadzwoniły o siebie.

Złapałam Saszę za ramię i popchnęłam do tyłu.

– Stój tu – rozkazałam.

Agares stworzył w swojej zdrowej dłoni topór. Zamłócił nim w powietrzu. Snop iskier padł na kostkę brukową. Przechodnie zaczęli zatrzymywać się i przyglądać nam ciekawie. Szukali wzrokiem kamer, sądząc, że nagrywamy jakiś film.

Azazel skrzywił się i wyciągnął katanę. Wyglądała żałośnie przy ciężkim toporze Agaresa. Postanowiłam mu pomóc i odwinęłam swoją oficerkę z chustki. W tej samej chwili doskoczyliśmy do diabła.

Zamaszyście wywijał toporem. W ostatniej chwili zrobiłam unik, gdy niespodziewanie zwrócił się w moją stronę. Upadłam na ziemię.

Azazel szybko pchnął szablą, ale tylko musnął płomieniami połą garnitur Agaresa. Podniosłam się na nogi wdzięczna za chwilę wytchnienia.

Agares zamachnął się toporem i z całej siły trzasnął Azazela trzonkiem w twarz. Diabeł poleciał na ziemię. Splunął krwią i wybitymi zębami. Krzyknęłam głośno i dźgnęłam na ślepo oficerka. O dziwo trafiłam, jednak ostrze ześlizgnęło mu się po żebrach, nie czyniąc większych szkód.

Tylko go rozzłościłam.

Ze zdwojoną siłą zaczął mnie atakować. Cofałam się, cały czas unikając jego tnącego powietrze ze świstem topora. Azazel w końcu podniósł się na nogi. Jednak zamiast rzucić się w wir walki, rzucił się... do ucieczki.

– Hej! Pomóż mi! – krzyknęłam.

– Jak usłyszysz świst, to uciekaj!!! – wrzasnął jeszcze. Kątem oka zobaczyłam, jak podbiegł

do ściany Mauzoleum Lenina i stworzył sobie tam przejście, nie dbając o śmiertelników, którzy mogli to zobaczyć.

Zaczęłam kląć pod nosem. Skoro już uciekał jak tchórz, to mógł chociaż zabrać ze sobą Aleksandra. Biedny chłopak stał obok nas, nie wiedząc, co ma robić. W każdej chwili mógł zostać ranny albo zginąć.

Beleth radził sobie znacznie lepiej ode mnie. Zgrabnie odparował kolejny cios diabła. Pajmon wyglądał na wyczerpanego, jednak zaciętość i żądza zemsty nieugięte pchała go do przodu. Był jak taran. Beleth, jak ja, cały czas się cofał. Nagle zrobił zwrot, kucnął i ciał kataną po brzuchu wrogiego diabła.

Pajmon złapał się dłonią za ranę. Pomiędzy jego palcami zaczęła płynąć ciepła krew.

– Touchè – zawołał zadowolony z siebie Beleth.

Mnie nie szło tak dobrze. Nie udało mi się powtórzyć ataku na Agares. Skupiałam się tylko na tym, żeby uskakiwać przed jego toporem.

Poczułam na policzku pieczenie iskier, gdy ostrze minęło moją twarz o włos.

– Ty stary dziadzie!!! – ryknął Sasza i rzucił swoim telefonem komórkowym w Agaresa.

Trafił diabła w głowę. Byłam pełna podziwu dla jego odwagi. Niemniej jego nowiutka nokia, ważąca niecałe osiemdziesiąt gramów, nie uczyniła większej szkody Agaresowi.

Diabeł odwrócił się w stronę Aleksandra.

– Nasz mały człowieczek do zabicia. – Uśmiechnął się obleśnie. – Zupełnie o tobie zapomniałem. Sasza w jednej chwili pożałował swojej szlachetności.

Nagle usłyszeliśmy głośny świst i huk. Coś dużego bardzo szybko przecinało powietrze. Wszyscy zatrzymaliśmy się zaskoczeni, wpatrując się w niebo, na którym już zapadał zmierzch. Księżyc i gwiazdy zaczynały błyszczeć, niezastłonięte przez chmury. Słońce kładło się czerwienią na horyzoncie. Beleth i Pajmon znowu zaczęli zaciekle walczyć.

Obok mnie pojawiła się czarna dziura. Opuściłam szablę.

Śmierć w swoim brązowym habicie zeskoczyła na ziemię. Czarna dziura zamknęła się.

Agares ze zmarszczonym czołem nadal czujnie przyglądał się niebu. Wyglądał, jakby kompletnie zapomniał o mnie i o Saszy. Zaniepokoiło mnie to. Co mogło być ważniejsze od pojedynku?

Śmierć podeszła do mnie i do Rosjanina, który przerażony chował mi się za plecami.

– Witaj, diablico – rzekła.

– Witaj – odparłam i odwróciłam się do Aleksandra. – Saszo, poznaj Śmierć, Śmierć, to jest Sasza.

– Ja umarłem?! – zawył chłopak.

Huk narastał. Na horyzoncie pojawił się jakiś mały punkt, szybko zwiększający swoje rozmiary. Poczułam niepokój.

– Śmierć, co ty tu robisz? – zapytałam szybko.

– Skarbie – zaskrzeczała jak nienaoliwione drzwi. – Przecież wiesz, że ja zawsze jestem w centrum wydarzeń, gdzie jest jakaś dobra zabawa. A dzisiaj nastrój w Moskwie będzie naprawdę bombowy.

Jej głuchy śmiech został przerwany, gdy w ferworze walki wpadł na nią Pajmon. Brązowy habit poleciał do góry i upadł bezkształtnie na ziemię. Śmierć właśnie została pozbawiona ubioru i jednocześnie kształtu.

– Cholera... – usłyszałam jej głos dochodzący z kilku stron. – Nieuważne diabły. Niewidzialne dłonie podniosły habit i zaczęły otrzepywać i z kurzu.

– BOMBA!!! – ryknęłam na całe gardło i złapałam Saszę pod ramię. – Musimy uciekać!

Agares wpatrywał się w niemym przerażeniu w sylwetkę rakiety, która już za kilka sekund miała uderzyć dokładnie w plac Czerwony. Znad Kremla potoczył się sygnał bombowy, ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Ludzie rzucili się do ucieczki. Nawet Beleth i Pajmon przestali walczyć. |

– Nie zdążymy uciec – szepnął Beleth. Przeklęłam w myślach Azazela i jego filię sekty w Korei Północnej. Nie o taką pomoc mi chodziło!!!

Szabla wypadła mi ze zdrtwiałej ze strachu dłoni. Miałam wrażenie, jakby rakietka zbliżała się do nas w zwolnionym tempie. Wyciągnęłam obie ręce w jej stronę. Ona nie może tu uderzyć! Zginie mnóstwo ludzi!

Skupiłam się na bombie. Wyhamowałam jej zegar o kilka sekund, więcej nie dałam rady. Mechanizm się zaciął. Następnie skupiłam się na rakiecie. Chciałam zmienić tor jej lotu.

Tylko gdzie ją wysłać, żeby nikomu nie zrobiła krzywdy?! Szalony pomysł wpadł mi do głowy.

Czterometrowa rakietka z głośnym świstem leciała prosto na nas. W ostatniej chwili pchnęłam moc w jej stronę. Gwałtownie skręciła tuż przed Agaresem. Siła odrzutu przewróciła go na plecy.

Gorący podmuch powietrza sprawił, że wszyscy upadliśmy. Teraz rakietka leciała pionowo do góry.

Zegar bomby kończył odliczanie. Nie zdążę!

Pchnęłam ją z całej siły, by znalazła się poza atmosferą. Beleth zrozumiał, co robię. Podniósł do góry rękę i także posłał w jej stronę całą swoją moc.

Rakietka zabłyszczała w słońcu i znikła gdzieś wysoko, przeniesiona naszymi wspólnymi siłami. Znajdowała się już poza ziemską atmosferą.

Trzy...

Punkt teraz już kompletnie niewidoczny leciał cały czas przed siebie. Był tylko jeden mały problem. On leciał prosto na

Księżyc...

Dwa...

Zerknęliśmy na siebie z Belethem. Jeden...

Coś błysnęło czerwienią na tle białego Księżyca. Zmrużyłam oczy. Wydawało mi się, że widzę mały grzyb atomowy. Jednak mogła to być tylko moja wyobraźnia.

W następnej chwili potężne kawałki naszego satelity zaczęły odrywać się od niego i dryfować we wszystkie strony na tle granatowego nieba.

Razem z Belethem rozbiliśmy właśnie Księżyc...

Śmierć już ubrała się w habit. Odwróciła zakapturzoną głowę w moją stronę.

– Nie dość, że masz kota, to jeszcze musisz psuć całą zabawę – powiedziała z wyrzutem. Czarna dziura pojawiła się przed nią. Zgrabnie wskoczyła w ciemność i zniknęła.

– O, kurde – westchnął z nabożną czcią Sasza, obserwując ruch kawałków Księżyca.

Agares i Pajmon zerwali się na nogi. Ziemia się zatrzęsła. Tynk i cegły zaczęły odpadać od ścian cerkwi i Kremla.

– Tego już za wiele – warknął stary diabeł. – Zabijemy was!

Poczułam, że wreszcie jestem gotowa. Wstałam z godnością. W końcu co mi zależało? Zniszczyłam naturalnego satelitę naszej planety, o mało co nie wyparowało przeze mnie miasto, a wcześniej zginęło przeze mnie kilku ludzi. Nie miałam już nic do stracenia.

Spojrzałam na Pajmona i Agaresa. Wyobraziłam sobie, że stają się coraz mniejsi i mniejsi. Na moich oczach zaczęli się kurczyć. Ich broń, topór i miecz, uderzyły o ziemię z głośnym brzękiem. Zrobili się brązowi, wyrosły im dodatkowe nogi. Zniknęły twarze, pojawiły się zuwaczki i czułki.

Podeszłam do nich.

Na kostce brukowej tuż pode mną stały dwie maleńkie mrówki. Jednej z nich brakowało przedniej nóżki. Ojej! Biedactwo!

– Do widzenia – powiedziałam.

Następnie z całej siły nadepnęłam na nie. Dla pewności stanęłam na tej nodze całym ciężarem ciała i potarłam podeszwą, zupełnie jakbym gasiła niedopałek papierosa.

Beleth przyglądał mi się z otwartymi ustami. W jego mniemaniu dokonałam kolejnego cudu. Wciąż pamiętałam, z jakim podziwem zachwycił się, że udało mi się zamienić jabłka w pomidory w gabinecie Lucyfera. Mówił mi wtedy, że diabły nie umieją robić takich rzeczy.

Diabły może nie, ale diablidy z Iskrą Bożą przychodziło to bez trudu.

Podbiegł do nas zdyszany Azazel, wpatrując się w niebo. Kawałki Księżyca, złapane przez grawitację Ziemi dryfowały spokojnie, błyszcząc jak gwiazdy. Wyglądało to nawet całkiem efektownie.

– Jak mówię „uciekaj, jak usłyszysz świst”, to znaczy, że masz uciekać!!! – wrzasnął na mnie. Wbiłam wzrok w ziemię. Za bardzo się przestraszyłam, żeby uciekać...

– Jak my to wyjaśnimy...? – Azazel załamał ręce, wciąż wpatrując się w niebo. Odwrócił się do mnie wściekły.

– Jak już koniecznie chciałeś wysłać informację do Nieba, to trzeba to było zrobić inaczej!!! W ten sposób i tak nic nie doleci do Arkadii!!! Beleth, ty kretynie! Czemu jej nie powstrzymałeś?! – ryknął.

Przystojny diabeł kompletnie go zignorował. Nadal nie spuszczał wzroku z mojej stopy.

– A gdzie Agares i Pajmon? – zapytał Azazel, rozglądając się dookoła. – Przynajmniej oni mieli tyle oleju w głowie, żeby uciec?

Beleth wskazał palcem na moją nogę.

– Zamieniła ich w mrówki i zdeptała – wydusił. Podniosłam stopę. Na podeszwie mojego adidasa i na kostce brukowej były dwie plamy. Azazel gwałtownie pobladł. Podeszedł do szczątków diabłów i pochylił się nisko.

– To były kiedyś mrówki – skwitował. – Widać jeszcze nóżki... Podniósł się i powiedział zduszonym głosem do Beletha:

– Jak już wyjdę z szoku, przypomnij mi, żebym jej nigdy więcej nie denerwował...

Cofnęłam się. Zabiłam ich. Zabiłam dwie istoty wieczne, sługi Szatana. Pozbawiłam ich możliwości zobaczenia końca świata i apokalipsy. Nie było najmniejszych szans, żeby pozbiali się do kupy. Przestali istnieć.

Zabiłam ich! Zabiłam!!!

Już miałam wpaść w histerię, kiedy dotarł do mnie pewien bardzo oczywisty fakt. Dzięki temu byłam teraz bezpieczna. Nie mogli zagrozić ani mnie, ani Piotrusiowi, ani Belethowi. Ocaliłam także ludzi z Iskrą. Poza tym zdeptałam tylko dwie mrówki.

Przystojny diabeł podszedł do mnie i położył mi dłoń na ramieniu. – Już dobrze – szepnął.

Chociaż w duchu się cieszyłam, to po policzkach popłynęły mi łzy. Przytulił mnie. Płakałam przez chwilę, a on głaskał mnie uspokajająco po plecach. Szeptał jakieś czułe słowa i co jakiś czas całował moje czoło.

Za naszymi plecami ktoś głośno odchrząknął.

Odwróciliśmy się do grupki wysokich, barczystych, jasnowłosych mężczyzn. Ich blade, zupełnie jakby wyrzeźbione z marmuru twarze nie nosiły śladu zmarszczek. Nawet tych mimicznych, nieobcych diabłom.

Wszyscy byli ubrani na biało. Każdy z nich miał na szyi krzyżyk na srebrnym łańcuszku. Mieli na sobie białe podkoszulki i białe lniane spodnie. Sandały „jezuski” zapięli na białych skarpetkach. Anioły.

Najwyższy, o najbardziej posagowym i nieskazitelnym wyglądzie, wysunął się do przodu i zapytał, nawet nie marszcząc swojego gładkiego czoła:

– Co się tu, do kurwy nędzy, dzieje?!

50

Twarde krzeselko było okropnie niewygodne. Usiłowałam usiąść na nim inaczej, ale nadal czułam, jak boleśnie wbija mi się w siedzenie. Beleth obok mnie nawet nie drgnął, odkąd nas tu posadzono. Wyprostowany jak struna spokojnie oddychał. Na jego twarzy widać było tylko znużenie i znużenie.

Miałam świetny widok na jego profil. Wysokie czoło podkreślone gniewnym irokezem, czarne brwi, złote oczy okolone długimi rzęsami, prosty nos – nie za duży, ale i nie za mały – idealny, pełne usta stworzone do całowania, mocno zarysowana szczęka. Dumnie podniesiona głowa dawała do zrozumienia, że ma to wszystko w głębokim poważaniu.

Zerknęłam w drugą stronę, gdzie Azazel przygryzał nerwowo dolną wargę i kalkulował coś po cichu, głęboko pochylony. Zazwyczaj tak zgodni, teraz różnili się jak ogień i woda.

Nie mogłam usiedzieć spokojnie w miejscu. Rozejrzałam się po zacienionej sali bez ścian i sufitu. Po obu stronach ciągnęły się ławki dla widowni, które niedługo zapełnią się ciekawskimi obywatelami. Naprzeciwko nas stały dwa trony. Jeden biały, drugi czarny. Westchnęłam ciężko.

Już drugi raz w mojej diabelskiej karierze będę sądzona. Stanowię chyba jakiś ewenement. Beleth posłał mi ciepłe spojrzenie. – Nie martw się – powiedział.

Lekko pochylił się w moją stronę, jakby miał zamiar mnie pocałować, ale w ostatnim momencie się cofnął. Jego pełne żaru spojrzenie spoczęło na moich ustach. W ogóle nie przejmował się tym, gdzie się znajdujemy. Też chciałabym być taka beztroška.

– Nie martwię się – mruknęłam. – Po prostu nie mogę zrozumieć, dlaczego to my jesteśmy sądzeni. Beleth zaśmiał się cicho.

– Pomyślmy – powiedział i zaczął wyliczać na palcach. – Uciekliśmy z Piekła, ukradliśmy klucz diabła, ukradliśmy szatańską broń, sialiśmy propagandę przez ulotki nawołujące do bojkotu Szatana, spowodowaliśmy kilka trzęsień ziemi, ujawniliśmy naszą obecność sporej liczbie ludzi, sprowadziliśmy śmiertelników do Niższej Arkadii, szantażowaliśmy kilku Ziemian, by stali się naszymi obserwatorami, wysadziliśmy Księżyc, zabiliśmy dwa byłe anioły...

Skończyły mu się palce u obu rąk. Sięgnął do mojej dłoni i delikatnie schwycił mnie za palec wskazujący.

– ...wywołaliśmy trzecią wojnę światową – dokończył odliczanie.

Zamyśliłam się. No dobrze, możliwe, że oskarżenie miało pewne powody, by zażądać procesu...

Najwięcej zamieszania wynikało, gdy Rosja już dowiedziała się, które państwo wycelowało w ich stolicę samonośną bombę atomową. Od razu zebrała wszystkie swoje wojska, wycofała nawet oddziały z Czeczenii. Naprawdę bardzo jej zależało na likwidacji Korei Północnej.

Jak na razie nie pomagały apele NATO, ONZ i wszystkich istniejących organizacji, a także zapewnienia Korei o zaistniałym sabotażu. Już złapano ludzi odpowiedzialnych za wciśnięcie czerwonego guzika. Do prasy przeciekły informacje, że byli oni zrzeszeni w jakiejś supertajnej, acz powszechnie znanej organizacji, a tajne służby, gdy już w końcu ich namierzyły, złapały ich w trakcie jakiegoś podejrzanego, satanistycznego obrządku.

O tradycyjnych strojach, czyli przepaskach na biodra i różowych kapturach z wyciętymi otworami na oczy, w gazetach nie było ani słowa...

Na widownię zaczęli schodzić się gapie. Jako pierwsi zostali wpuszczeni obywatele Niebios – specjalnie zaproszeni na tę okazję do Piekła (dostali jednorazowe wejściówki). Zauważyłam, że byli to sami mężczyźni. Wszyscy ubrani identycznie... Czyżby biały podkoszulek, spodnie, skarpetki i oczywiście sandały „jezuski” stanowiły u nich jakiś rodzaj roboczego munduru? Taki zawodowy uniform?

Zobaczyłam Muriela i Uzjela. Pierwszy rzucił mi pogardliwe spojrzenie, za to drugi uśmiechnął się dobrodusznie. Poraziło mnie znowu to, co zaobserwowałam wczoraj. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, w końcu nie spotykałam aniołów zbyt często. Przeważnie miałam do czynienia z Murielem, a do niego zdołałam się już przyzwyczaić. Wszystkie anioły miały bladą, porcelanową i idealnie gładką cerę. Żadnych zmarszczek, bruzd, nadmiaru skóry. Sprawiały wrażenie, jak gdyby miały na twarzach woskowe maski. Stuknęłam Beletha w bok.

– Czemu oni nie mają zmarszczek? – zapytałam. – Ty masz mimiczne od śmiechu, a na ich twarzach nawet takich nie widać.

Przystojny Beleth spojrział na cichą i zdyscyplinowaną publikę.

– Zmarszczki pojawiają się, jak okazujemy emocje, na przykład się śmiejemy, prawda? – Poczekaj, aż kiwnę głową. – A z czego oni się mają cieszyć w Niebie? Alkohol i inne używki są u nas...

Nie wiedziałam, czy robi sobie ze mnie żarty, czy to prawda. W końcu zdradziło go drżenie kącików ust. Zaśmiał się.

– Nie wiem, kochanie – wyznał. – Niemniej sędzę, że w mojej teorii może być trochę racji.

Ciekawe, co oni robią w Niebie w wolnym czasie? Nie chodzą do barów, bo ich nie ma. A może są, tylko że podają tam bezalkoholowe drinki? Spojrzałam na ich stopy w skarpetkach. Tam pewnie nie można się opalać w bikini, bo to zbyt niegrzeczne. Ani prowadzić szybko samochodu, ani hałasować w nocy.

Z konsternacją pomyślałam, że chyba cieszę się, że trafiłam do Piekła. Już przestałam uważać obywateli Niższej Arkadii za potępionych. O dziwo Piekło było naprawdę fajnym miejscem, co okropnie kłóciło się z naukami, jakie odebrałam w dzieciństwie. Co za rozdarcie... nic tylko iść z tym do „Rozmów w toku”...

Teraz na widownię zostali wpuszczeni mieszkańcy Niższej Arkadii, nie tylko diabły, ale także zwyczajni obywatele. Zachowywali się zupełnie inaczej niż anioły. Byli głośni, roześmiani,

kolorowo ubrani.

I nikt nie włożył skarpetek do sandałów...

– AZAZEL!!! – jakaś kobieta zaczęła krzyczeć. – AZAZEL, KOCHAM CIĘ!!!

Z zaskoczeniem zauważyłam, że to Kleopatra dawała taki upust swoim uczuciom. Przepchnęła się do pierwszego rzędu siedzeń. Krzesło, które sobie upatrzyła, zajął Napoleon. Bez żadnych wyrzutów sumienia zdzieliła go łokciem po głowie. Zaskoczony i lekko zamroczony zsunął się na ziemię. Królowa usiadła na jego miejscu.

Azazel zerwał się z krzeselka i pomachał jej. Nie mógł podejść, bo na wszelki wypadek zostaliśmy przykuci do stołu...

– AZAZEL, KOCHAM CIĘ!!! – jeszcze raz krzyknęła. Zobaczyłam, że od łez rozplywa jej się makijaż. Diadem z koroną królewską przekrzywił się na misternej fryzurze. Półprzezroczysta suknia momentalnie ściągnęła uwagę aniołów po drugiej stronie.

– KLEOPATRO!!! – teraz zawołał Azazel. – JA TEŻ CIĘ KOCHAM!!!

Zobaczyłam Belfegora, który usiadł za Kleo. Nie miał zbyt szczęśliwej miny, słuchając tych wyznań, niemniej posłał nam krzepiący uśmiech. Tuż obok niego siedzieli zniesmaczony Cezar i Marek Antoniusz. Dalej była staruszka, Anna Kowalska, Ramzes, właściciel knajpy Pod Głową Anubisa, Śmierć i motocyklista, którego namówiłam na Piekło. Rozanielony chłopak siedział w otoczeniu skąpo ubranych dziewczyn, które pomachały do nas wesoło.

Królowa Egiptu odwróciła się w ich stronę i zaczęła gwałtownie gestykulować. Nasi znajomi wyciągnęli spod siedzeń jakiś duży kłęb materiału. Rozwinęli go przez całą długość rzędu. Odczytałam krzywy napis:

**WIKTORIA, BELETH I AZAZEL SĄ NIEWINNI!!! ŻĄDAMY ICH UWOLNIENIA!!!
PRECZ Z SZATANEM!**

Mogli mieć przez to ogromne kłopoty, lecz mimo to wesoło wywijali transparentem.

– ONI SĄ NIEWINNI! ONI SĄ NIEWINNI! – zaczęli skandować.

Chwilę później wszystkie ławki dla piekielnej publiczności zgodnie krzyczały tę petycję. Niezadowolone anioły siedzące po drugiej stronie głośno komentowały zachowanie, jak to zdołałam usłyszeć, „piekielnej hołoty”.

Beleth uśmiechał się szeroko do skandującej widowni.

– To nasi przyjaciele – powiedział do mnie. Przyjaciele. Spojrzałam na barwną zgraję. Prawdziwi przyjaciele. Kto by pomyślał, że znajdę ich w Piekło?

Wszyscy ludzie z Iskrą Bożą, których ukryliśmy w rezydencji Azazela, zostali już uwolnieni i przetransportowani na Ziemię. Nie mogli więc siedzieć na widowni i nas wspierać. Zateęskniłam za Piotrusiem. Jego ciepłym, silnym ramieniem, szeptem, pocałunkami. Przypomniałam sobie noc, podczas której leżeliśmy przytuleni. Czułam się wtedy taka bezpieczna i szczęśliwa.

W ciemności za tronami zabłysło światło. Jednocześnie pojawiły się dwa przejścia. Znane mi już czarne wrota Lucyfera zabłysły wewnętrznym blaskiem. Obok nich pojawiły się bardzo podobne, tylko białe.

Dwaj mężczyźni stanęli naprzeciwko nas. Każdy przy swoim tronie. Jeden był ubrany na białą, drugi na czarno. Byli niczym dwaj królowie krocący po szachownicy.

– Jestem Gabriel – zaczął ubrany na białą. – Będę przedstawicielem Niebios.

– Jestem Lucyfer – rzekł nasz znajomy jak zwykle zmęczonym głosem. – Będę przedstawicielem Piekła.

Azazel obok mnie skulił się na krześle. Doskonale słyszałam, jak klunie, że to akurat Gabriel jest sędzią. Wiedziałam, skąd ten niepokój. Azazel podczas swojej epoki lodowcowej doprowadził do wyginięcia mamutów, które były stworzeniami Gabriela. Archanioł od tamtej chwili szczerze go nieznosił.

– Rozpoczynamy posiedzenie – powiedzieli chórem. Posiedzenie? To nie będą nas sędzić? Poczulałam przyływ nadziei.

– Gabriel, dlaczego akurat Gabriel? – Azazel mamrotał do siebie pod nosem. – Taki pozer! Kto chce zwiastować Zachariaszowi? Ja! Ja! Słyszałem, jak się wrywał. A potem jeszcze się dopchał do zwiastowania Maryi. Durny karierowicz! Zerknęłam na Archanioła. Brązowe loki opadały mu miękkimi falami na czoło. Orzechowe oczy ostro wbijały się w Azazela. W porównaniu z naszym jasnowłosym Lucyferem to raczej Gabriel bardziej pasowałby na Szatana.

Publiczność nadal skandowała.

– MILCZEĆ!!! – niespodziewanie ryknął Lucyfer.

Cisza zapadła w jednej chwili. Transparent gdzieś zniknął. Zupełnie jakby rozpułynał się w powietrzu, chociaż pewnie został tylko skopany pod siedzenia. Poparcie publiczności już się skończyło.

– Zebraliśmy... – Archanioł i Szatan zaczęli w tym samym momencie.

Rzucili sobie niechętnie spojrzenia. W końcu to Gabriel ustąpił. Kiwnął głową Lucyferowi, by ten kontynuował.

W przyływie jakiegoś paradoksalnego patriotyzmu poczułam dumę, że to Piekło pierwsze przemówi. – Zebraliśmy się tutaj... – powiedział Niosący Światłość I – ...by zdecydować, jakie będzie dalsze postępowanie obu Arkadii. A także... by znaleźć winnych zaistniałej sytuacji i dość niefortunnego ciągu wydarzeń.

Następnie demon ubrany w drogi garnitur, który wisiał nad nim jak na wieszaku, zaczął wyczytywać zarzuty przeciwko naszej trójce. A jednak to był najnormalniejszy proces... Lista pokrywała się z przewinieniami, które wymienił mi Beleth. Sprawa nie wyglądała dla nas dobrze.

– Proponuję, żebyśmy zaczęli od morderstwa dokonanego na dwóch diabłach, Pajmonie i Agaresie – powiedział Gabriel.

Azazel zerwał się z miejsca.

– Zaraz, zaraz! – krzyknął. – Może lepiej zacznijmy od tego, dlaczego w ogóle musieliśmy walczyć przeciwko nim. Zacznijmy od powiedzenia głośno, kto skazał na śmierć wszystkie osoby z Iskrą Bożą! Żądam, by odbyło się to teraz wobec zgromadzonych tu świadków.

Szatan posłał mu nienawistne spojrzenie.

– Przykro mi, diable, ale o tym już rozmawialiśmy – oświadczył Gabriel. – Nie ma w tej kwestii już nic do dodania.

– Jak to już o tym rozmawialiśmy? – wybuchnął. – Przecież nie składałem żadnych zeznań!

– Twoje zeznania nie były potrzebne. Jak już mówiłem, cała kwestia została dogłębnie

zbadana...

– Co to ma być? – Azazel znowu mu przerwał. – Dlaczego część rozprawy odbywa się za zamkniętymi drzwiami?! To niesprawiedliwe! Żądam, byśmy omówili to teraz, przy wszystkich świadkach. Co z naszymi prawami?!

Gabriel wychylił się do przodu ze swojego fotela.

– Drogi Azazelu – jego słowa ociekały fałszywą słodyczą. – Nie wiem, kto powiedział ci, że w Niebie i w Piekło panuje demokracja, niemniej ten osobnik kłamał. Demokracji szukaj wśród śmiertelników. Oni jeszcze wierzą w ten system. A teraz będzie tak, jak my tego chcemy, rozumiesz? Siadaj...

Napakowany demon podszedł do awanturującego się diabła z zamiarem posadzenia go na siłę na krześle.

– Sam usiądę – odparł z godnością skazany.

Zapewne pamiętał, jak podczas ostatniej rozprawy demon o mało co nie pogruchotał mu kości barku przy uspokajaniu.

– Zacznijmy więc od morderstwa. – Gabriel skinął głową na anioła, który dotychczas stał w cieniu. Wysoki anioł wyszedł na środek. Trzymał duży słoik. Podniósł go do góry i pokazał publiczności.

Pamiętałam ten słoik. Tuż po tym, jak anioły przybyły na plac Czerwony i skrzyczały nas za głupotę dość nieoględnymi słowami jak na tak „czyste” postacie, pojawiła się tam mała ekipa sprzątająca. Jeden ubrany na biało anioł skrzętnie zebrał z kostki brukowej i podeszwy mojego adidasa wszystkie szczątki diabłów i wsadził do tego właśnie naczynia.

– Obecna tu diablicą Wiktoria zamieniła diabły Pajmona i Agaresa w mrówki, a następnie rozdeptała – oświadczył Gabriel.

Wśród publiczności przetoczył się okrzyk trwogi. Parę osób dość spektakularnie zemdląło. Zwłaszcza te, które siedziały w wyższych rzędach i miały dalej do podłogi.

– Morderczyni! – ktoś krzyknął.

Głos przypominał znany mi tenor Muriela. Spojrzałam na niego szybko, ale udawał, że z uwagą studiuje pogrążony w ciemnościach sufit.

– Wiktorio, wstań – powiedział Lucyfer.

Posłusznie podniosłam się z miejsca. Beleth trzymał mnie za rękę. Ścisnął pokrzepiająco moje palce.

– Czy przyznajesz się do tego? – zapytał Szatan.

– Tak – odparłam. – Ale zrobiłam to w obronie własnej i w obronie Aleksandra, człowieka posiadającego Iskrę Bożą. Wcześniej Pajmon i Agares dokonali mordu na kilku śmiertelnikach. Chciałam tylko go ocalić.

Nikt nie skomentował moich słów. Patrzyli na mnie, zupełnie jakby czekali, aż coś jeszcze powiem. Jednak nie miałam już nic do dodania. Nie żałowałam tego, co zrobiłam, nie zamierzałam przeproszać. Te diabły były szaleńcami. Stanowiły poważne zagrożenie dla całej ludzkości.

Gabriel spojrzał na Lucyfera. Ten wzruszył beztrząsramionami. Archanioł z powrotem

odwrócił się w moją stronę i powiedział:

– Możesz usiąść. – Następnie zwrócił się do publiczności: – Zapamiętajmy wczorajszy dzień jako dzień śmierci Pajmona, stwórcy dromaderów, i Agaresa, twórcy krokodyli. Następną sprawą jest... ; I już? Siadając, odwróciłam się do Beletha, który mrugnął do mnie.

– Gabriel jest sprawiedliwy, nie musimy się go obawiać – oświadczył szeptem.

– Wy nie, ale ja wybiłem jego cholerne mamuty – wtrącił Azazel.

– Sam sobie jesteś winien – skwitował Beleth.

Pajmon stworzył dromadery, Agares krokodyle, Beleth koty, Gabriel mamuty. Z poprzedniej rozprawy pamiętam, że anioł Ariel wymyślił wirusy i Ebolę. A co stworzył Azazel?

– A jakie jest twoje zwierzę? – zapytałam go szeptem. Posłał mi zaskoczone spojrzenie.

– A po co chcesz wiedzieć?

– Z ciekawości – mruknęłam.

– Komary – odparł. – Ale potem je trochę unowocześniłem, żeby mogły przenosić malarię.

Powinnam spodziewać się po nim czegoś tak wstrętnego, niemniej mnie zaskoczył.

– Poczuję się, by w imieniu całej ludzkości powiedzieć ci: „nie lubimy cię za to” – oświadczyłam. Wzruszył ramionami, jakby wcale go to nie obchodziło. Sądzę, że na pewno nic go to nie obchodziło.

– Trzecia wojna światowa. – Gabriel westchnął ciężko. – Musimy to jakoś naprostować.

– Nasi doradcy znajdujący się na Ziemi już rozpoczęli rozmowy z Kremlem – powiedział Szatan. – Ktoś w bliskim otoczeniu prezydenta jest naszym człowiekiem. Sądzę, że uda nam się przekonać Rosję do odwołania wojsk.

– To dobrze – odrzekł uspokojony Gabriel. – Już i tak cały czas tłuką się na Bliskim Wschodzie. Nie potrzeba nam kolejnych działań wojskowych. Nie nadążamy wtedy z przyjmowaniem i kwaterowaniem obywateli.

– My mamy ten sam problem. Ewidentny brak personelu – poskarżył się Lucyfer.

– Wy przynajmniej zaczęliście rekrutację śmiertelników na stanowiska – Archanioł zwrócił mu zazdrośnie uwagę.

– No i zobacz, co z tego wynikło – mruknął ponuro Szatan.

– Masz rację...

Miałam wrażenie, że wszyscy wpatrują się we mnie z potępieniem w oczach. No już nie można mieć drobnej wpadki? Albo kilku? No... ostatecznie kilkunastu...?

– Zajmijmy się więc teraz Księżycem – zaproponował Lucyfer.

– Odłamki lecą w stronę Ziemi – rzekł Gabriel. – Niedługo zaczną wchodzić w atmosferę. Poza tym na skutek braku satelity zostały poważnie zaburzone pływy mórz i oceanów. Planeta zaczęła powoli zmieniać orbitę. Nasi ludzie starają się, jak mogą utrzymać obecną sytuację, ale nie mamy rady długo tego kontrolować. Poza tym ludzkość już zaczęła panikować, zbierać zapasy. Niedługo zaczną się zamieszki.

Na widowni zapadła grobowa cisza.

– Co będzie, jak odłamki Księżyca trafią w Ziemię? – zapytałam cicho Beletha.

– Dinozaury wymarły od meteorytu, który rozpadł się na kilka części i uderzył w

powierzchnię planety, prawda? – Kiwnęłam głową. – To teraz pomnóż tamtą katastrofę i jej efekty przez ilość odłamków Księżyca, które niedługo wejdą w atmosferę...

Aż otworzyłam usta z przerażenia.

– Co myśmy zrobili? – jęknęłam.

– Spokojnie – powiedział Beleth, chociaż sam już nie był tak spokojny jak przed rozprawą. – Oni na pewno coś wymyślą.

Gabriel zwrócił na nas swoje orzechowe, przenikliwe oczy.

– Czy macie coś na swoją obronę? – zapytał. Beleth podniósł się z miejsca.

– To było niechcący. Rakieta leciała prosto na Moskwę. Ja i Wiktoria chcieliśmy ratować miasto. Pchnęliśmy całą naszą moc na bombę. Nigdzie nie celowaliśmy. Przypadkiem rozbiliśmy Księżyc.

Przypomniałam sobie ulubione powiedzenie mojej przyjaciółki Zuzy: „Celuj w Księżyc, bo nawet jeśli nie trafisz, będziesz między gwiazdami”. My niestety trafiliśmy...

Także wstałam.

– A nie możemy odepchnąć kawałków Księżyca? – zapytałam. – Tak mocno, żeby odleciały w kosmos i nie spadły na Ziemię? Jak spróbujemy to zrobić razem, to na pewno nam się uda.

Gabriel uśmiechnął się do mnie.

– Zamierzaliśmy tak zrobić. Jest jednak jeszcze inny problem. Księżyc nie został stworzony tylko ze względów estetycznych, bo ładnie wygląda, jak jest ciemno. Służy do oświetlania Ziemi nocą. Poza tym jest tarczą. Specjalnie go umieściliśmy na orbicie, by część meteorytów i komet trafiała w niego, zamiast w powierzchnię Ziemi. A teraz go nie ma... Miałam ochotę zauważyć, że przypadkiem zapomnieli cofnąć meteoryt, który wybił dinozaury. Chociaż może to było zamierzone posunięcie? Film Spielberga pokazał dość dobitnie, że ludzie nie mogliby żyć w tym samym momencie, co wielkie gady...

Usiedliśmy z Belethem, nie mając już nic więcej do dodania.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Szatan. Gabriel podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

– Narobiliśmy zbyt wiele zamieszania – powiedział. – Ona ma zbyt wielką moc jak na zwykłą obywatelkę. Wszystko się poplątało...

Publiczność zareagowała niespokojnymi szeptami. Lucyfer podniósł dłoń. W jednej chwili zapadła cisza.

– Musimy to cofnąć. – Westchnął ciężko. – Do samego początku. Beleth w jednej chwili zerwał się z miejsca.

– Nie zgadzam się! – krzyknął. – Nie możecie tego zrobić. Nie możecie NAM tego zrobić.

– Spokojnie – rzekł Lucyfer. – Odzyskacie klucze, wolność. Będziecie normalnymi diabłami, które mogą podróżować na Ziemię i biorą udział w targach o dusze. Nikt nie ma do was żalu. Wszystko będzie dobrze.

Teraz Azazel zerwał się ze swojego stołka.

– A przepraszam bardzo, a kto będzie teraz Szatanem? Bo jeśli będą wybory, to ja chciałbym zgłosić swoją kandydaturę.

– AZAZEL SZATANEM!!! – z widowni krzyknęła jakaś kobieta, niewątpliwie Kleopatra.

– Jak to kto będzie Szatanem? – ryknął Lucyfer. – JA! Ty jesteś zwykłym pieniaczem i krętaczem! Azazel odwrócił się w stronę Gabriela.

– Zostawicie mu stanowisko, po tym jak prawie rozwalił świat? – zapytał.

– Lucyfer dostał naganę i obiecał poprawę – powiedział Gabriel. – Jesteśmy miłosierni.

– Gdybym to ja był Archaniołem... – mruknął pod nosem Azazel, siadając z powrotem na krześle.

Nagle uśmiechnął się pod nosem, zupełnie jakby zdał sobie właśnie sprawę, że posada Archanioła wcale nie jest taka zła. Beleth nadal stał, wbijając puste spojrzenie w Gabriela.

– Nie możecie tego zrobić – stwierdził. – Nie możecie...

– Możemy – oświadczył Archanioł. – To najprostsze wyjście z sytuacji. Biorąc pod uwagę twoje stosunki z Wiktoria, ty tego dokonasz. Jak najszybciej, najlepiej jeszcze dzisiaj tuż po zakończeniu posiedzenia.

Beleth skrzywił się. Nie rozumiałam, co się dzieje. Co oni chcą zrobić? Co oni chcą zrobić mnie? Gabriel podniósł się z fotela. To samo uczynił Szatan.

– Podjęliśmy decyzję – powiedzieli razem. – Dokonamy cofnięcia...

51

Tuż przed wyjściem z sali rozpraw podszedł do nas nieznany anioł. Podał nam nasze klucze. Bardzo się od siebie różniły. Toporny, żeliwny należał do Azazela. Złoty, z oplatającym go węzłem, do Beletha. A mały, srebrny z różami, był mój. Wsunęłam go do kieszeni dzinsów.

– Co teraz? – zapytałam Beletha. – O co chodzi z tym cofnięciem? Wyjaśnij mi to.

– Spokojnie – powiedział. – Nie ma się czego bać. To nic takiego. Wszystko po prostu wróci do normy. Księzyc znowu będzie cały, nie będzie wojny, twój brat się uspokoi, Piotrek będzie na ciebie czekał, o ile się nie rozmyślił... Wszystko to pięknie brzmiało, lecz Beleth był przygaszony. Niepokoiło mnie to.

– Ale na czym dokładnie polega to cofnięcie? – nie dawałam za wygraną.

Nie zdążył mi odpowiedzieć. Kleopatra podbiegła do nas, ściskając suknię. Rzuciła się na szyję Azazela i zaczęła całować go po twarzy.

– Idziemy do mnie? – zapytał ją zadowolony z tego gwałtownego przychyłku uczuć. Pokiwała głową.

– Tęskniłam za tobą – wyszeptala z żarem.

Nagle przypomnieli sobie o naszej obecności. Kleo odwróciła się w moją stronę:

– Opiekowałam się twoim kotem, ale czasami mi się wymykał i nie mogłam go znaleźć.

– Przychodził wtedy do mnie – powiedziałam.

– Tak sądziłam. – Uśmiechnęła się. – Masz szczęście, że cię wybrał. Oderwała się od Azazela i uścisnęła mnie serdecznie.

– Czuję się zaszczycona, że mogłam cię poznać – wyznała. – Byłaś prawdziwą diabolicą. Co prawda odrobinę mało skuteczną... i koszmarnie byś się ubierała, gdyby nie ja...

Beleth odchrząknął znacząco. Kleopatra spieszyła się.

– Ale byłaś dla mnie prawdziwą przyjaciółką. Przepraszam, że pomagałam im w rozdzieleniu ciebie i Piotrka.

– Nie masz za co przeproszać. – Zaśmiałam się. – W końcu gdyby nie całe to zamieszanie dookoła Iskry, pewnie i tak by nic między nami się nie zdarzyło. Powinnam ci podziękować.

To była prawda. W normalnym życiu nie odważyłabym się powiedzieć mu, co do niego czuję. Dopiero po czasie zrozumiałam, że należało to zrobić.

Azazel podał mi dłoń i ścisnął ją mocno.

– Okazałaś się prawdziwą przyjaciółką. Uratowałaś mi nawet życie. Jestem twoim

dłużnikiem.

– Nie ma za co. – Peszył mnie ten ciąg podziękowań.

Miałam złe przeczucia. Wszyscy byli zbyt mili i zbyt wylewni. Oni wiedzieli o czymś, o czym ja nie miałam najwyraźniej pojęcia.

– My uciekamy. – Kleopatra ponownie mnie uściskała. Czule przytuleni z Azazelem ruszyli przed siebie. Dobiegł nas jeszcze strzępek ich rozmowy:

– Kochanie, mam nowy pomysł. Posłuchaj, jak to brzmi: Archanioł Azazel. W skrócie AA – produkował się diabeł.

– To zupełnie jak Anonimowi Alkoholicy – skwitowała.

– No właśnie! Czy nie sądzisz, że to wspaniałe skojarzenie? Archanioł! Muszę tylko...

Spojrzelśmy na siebie z Belethem. Azazel miał najwyraźniej nowy, wspaniały plan. Diabeł objął mnie ramieniem i poprowadził w stronę wyjścia.

– To o co chodzi z tym cofnięciem? – zapytałam.

– Chodźmy do mnie do domu. Pokażę ci. – Pocałował mnie w czoło.

Tuż przed rezydencją Szatana (to w jej podziemiach znajdowała się sala rozpraw) czekało na nas jego czerwone lamborghini diablo.

Przez całą drogę do jego pięknej posiadłości, stylizowanej na sułtański pałac Topkapi ze Sztambułu, szukał okazji, żeby mnie przypadkiem dotknąć. Był sztucznie wesoły i bez troski.

Otworzył mi drzwi samochodu i musnął moje ramię. Przeszliśmy przez złoconą, misterną bramę na pierwszy dziedziniec kompleksu.

Wziął mnie za rękę. Za chwilę puścił.

Przeszliśmy obok fontanny i krótkim korytarzem dostaliśmy się na drugi dziedziniec. Smukłe kolumny przytrzymywały dachy budowli. Złote, koronkowe kraty zamiast drzwi błyszczały w świetle słońca. Było południe. W Los Diablos o tej porze było naprawdę gorąco.

Odgarnął mi włosy z policzka.

– Beleth... cały czas mnie dotykasz – powiedziałam.

– Ja? – zdziwił się. – Ależ skąd. Zaśmiał się sztucznie.

– Jesteś zdenerwowany – zauważyłam.

– Wydaje ci się. Kłamał. Tylko dlaczego?

Weszliśmy do jego pięknie urządzonego salonu. Posadził mnie na niskim szezlongu i usiadł naprzeciwko.

– Chcesz się czegoś napić? Herbaty? Kawy? Soku z pomarańczy nawet nie proponuję... Zaśmiałam się.

– Nie, dziękuję, ale ty się nie krępuj. Zapatrzył się w swoje dłonie.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o lataniu? – zapytał cicho. – Ja wtedy...

– Beleth przecież wiesz, że bardzo cię lubię i podobasz mi się, ale to w Piotрку się zakochałam. Lepiej powiedz mi coś o tym cofaniu.

Spojrzał na mnie rozdrażniony.

– Nie przerywaj mi – poprosił. – To dla mnie naprawdę trudne. Nie jestem zbyt mocny w szczerości.

– No dobrze, już będę cicho – powiedziałam zakłopotana. Wygodniej usadowiłam się na poduszkach i przyjrzałam mu się dokładnie. Perfekcyjnie ułożony irokez z czarnych włosów ciął powietrze.

– Wtedy powiedziałem, że latanie jest jak pierwsza miłość. – Spojrzał mi głęboko w oczy. – Mówiłem prawdę. Zakochałem się w tobie. Chcę, żebyś to wiedziała. Chociaż i tak zapomnisz...

– Jak to zapomnę? – zdziwiłam się.

– Kocham cię – powiedział jeszcze raz.

– Wiesz, że ja ciebie nie... – Westchnęłam. Uśmiechnął się do mnie wesoło i mrugnął.

– Wystarczy mi, że mnie pożądasz.

– Pożądaj? Chciałbyś! – Zaśmiałam się.

– To widać w twoich oczach – rzekł szeptem, zaczepnie się uśmiechając. Wstał i podał mi rękę. Także podniosłam się na nogi.

– Irydolog z ciebie taki jak Casanovą – prychnęłam.

Poprowadził mnie do ściany. Przyłożył do niej dłoń i zamknął oczy. Szeptał w nieznanym mi języku. Zaniepokoiło mnie to. Po tym jak klątwa Babel już mnie nie obejmowała, powinnam rozumieć, co mówił. Niestety żadne słowo nie wydawało mi się znajome.

– Beleth, co ty robisz? – zapytałam.

Przestał szeptać. Wsunął w ścianę swój klucz i stworzył białe drzwi przeszklone dużą ilością kolorowych szybek. Otworzył je. Ciekawa zajrzałam mu przez ramię, jednak nic nie dostrzegłam po drugiej stronie. To dziwne. Normalnie widać krajobraz miejsca, do którego otworzono przejście. Natomiast po drugiej stronie drzwi diabła była tylko ciemność.

Beleth odwrócił się do mnie i przytulił mocno. Pociągnął mnie w stronę przejścia. Miałam je teraz za placami.

– O co chodzi? – zapytałam zaniepokojona. – Czemu niczego mi nie mówisz?

Spojrzał na mnie smutno.

– Pamiętasz, jak zapytałaś mnie, czy możesz sobie stworzyć ciało? – zapytał.

Kiwnęłam głową. Pamiętałam to dokładnie. Rozmawialiśmy na ten temat w komnacie Lucyfera, tuż po tym jak włamaliśmy się do jego komputera i tajnych plików o Iskrze Bożej.

– Odpowiedziałem ci wtedy, że nie możesz, ale istnieje sposób na odzyskanie ciała.

– Jednak znają go tylko diabły płci męskiej – dokończyłam za niego. – Chcesz oddać mi ciało? Życie? Na tym polega to cofanie? Znowu będę żyła?

Nie mogłam powstrzymać radości. Bardzo chciałam być normalnym człowiekiem. Mogłabym wtedy wyjść za mąż, mieć dzieci. Doznać wszystkiego, co tak brutalnie odebrano mi przez śmierć.

– Powiedziałem ci też wtedy, że coś takiego ma poważne skutki uboczne – oświadczył ponuro.

– Jakie skutki? – zapytałam czujnie.

No przecież chyba nie wyrosnie mi druga para rąk?

– Nic takiego. – Wzruszył ramionami. – Te skutki uboczne dotkną raczej mnie...

– Nie chcę, żeby przeze mnie stała ci się krzywda – zaoponowałam.

Uśmiechnął się czule, pogładził mnie po policzku i zanim zdołałam zaprotestować, pochylił się i pocałował w usta. Przysunął się w moją stronę, zmuszając, bym cofnęła się kilka kroków. Unieruchomił moją głowę, trzymając mnie za brodę i kark. Całował z żarem i jakby... z rozpaczą?

W końcu odsunął się ode mnie. Miał lekko zamglony wzrok.

– Wiki, kocham cię. Byłaś wspaniałą diablicą. Nie zapomnę żadnego dnia, który spędziłem w twoim towarzystwie.

– To brzmi jak pożegnanie – zauważyłam. – Beleth, dlaczego to brzmi jak pożegnanie? Nie odpowiedział.

Zdałam sobie sprawę, że stoję na krawędzi przejścia.

– Do zobaczenia kiedyś... – powiedział i pchnął mnie.

52

Nie zdążyłam złapać się framugi. Poleciałam do tyłu, prosto w ciemność tego dziwnego przejścia stworzonego przez Beletha.

Uderzyłam ciężko pupą o twardą ziemię. Stęknęłam z bólu i otworzyłam oczy, które zacisnęłam przerażona spadaniem.

Nie wiedziałam, gdzie jestem. Przede mną były szara, obdrapana barierka, za którą rozpościerał się widok na pogrążone w mroku blokowisko na Żoliborzu. Na niebie dostrzegłam okrągłą tarczę Księżyca w otoczeniu nielicznych migoczących gwiazd. Księżyc? Jest cały? Co się stało? Co Beleth mi zrobił?! Pulsowało mi w skroniach, przed oczami biegały mroczki i błyski.

Poczułam dotyk ramienia i zapach mocnych papierosów. Dopiero teraz zauważyłam, że nie jestem sama. Odwróciłam się w stronę nieznanego towarzysza.

Obok mnie, na zimnej terakocie, na balkonie siedział... Piotruś.

– Co się dzieje? – zapytałam kompletnie zbita z tropu.

Nie był zaskoczony moim widokiem. Czyżby jakoś dogadał się z Belethem w sprawie przeniesienia mnie tutaj?

Jeszcze raz spojrzałam na bloki naprzeciwko nas. Dlaczego była noc? Przecież w Los Diablos było południe. Czas Piekła zgadzał się z czasem polskim. O co tu chodziło?

Spojrzał na mnie zdziwiony. Z papierosa, którego trzymał w dłoni, unosiła się smużka dymu, rozplywając się na wietrze.

– Usnęłaś – Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Usnęłam? Dlaczego? – nadal nic nie rozumiałam.

Miałam kompletny mętlik w głowie. Wszystko mi się mieszało. Nie wiedziałam, co się stało, co robiłam przed chwilą. Przed oczami przebiegały mi jakieś niezrozumiałe obrazy. Głowa bolała coraz mocniej. Objęłam ją dłońmi.

– Nie pamiętasz? Paliałaś sziszę z ziołem od Tomka. Wcześniej piłaś. Trochę zakręciło ci się w głowie i wyszłaś ze mną pooddychać świeżym powietrzem.

Zerknęłam na papierosa.

– To znaczy ja wyszedłem zapalić. Ty przyszłaś pooddychać – wyjaśnił.

Zmarszczyłam brwi. Co tu się dzieje? To wyglądało dokładnie jak scena sprzed kilku miesięcy. Ten sam balkon. Ta sama rozmowa o niczym, po której zakochałam się w Piotrusiu. Spojrzałam na nasze ubrania. Mieliśmy na sobie to samo, co wtedy.

Nie rozumiem...

– Naprawdę nic nie pamiętasz? – nadal się dziwił. – Jesteś dzisiaj gwiazdą wieczoru. Powiedziałaś Pawłowi, cytuję, „jeszcze trochę sterydów i nie dasz rady wziąć wacka w dwie ręce”. Naprawdę nie pamiętasz?

O BOŻE! O BOŻE! O BOŻE! O BOŻE! O BOŻE! O BOŻE!

O BOŻE!!!

Beleth cofnął mnie w przeszłość! To o to chodziło w tym tajemniczym „cofnięciu”. To naprawdę był ten wieczór na balkonie! Ja żyję!

Archaniół i Szatan postanowili wszystko naprawić w najprostszy sposób. Prychnęłam pod nosem. Poszli na łatwiznę. Zamiast zlikwidować szkody, po prostu nie dopuszczają do mojej śmierci. Gdy nie stanę się diabolicą, nic złego się nie stanie.

Beleth zwrócił mi ciało, zwrócił życie. Beleth... jego twarz mi się zacierała. Jak on wyglądał? Biloth, nie, zaraz, Beleth. Dlaczego wszystko mi uciekało? Czułam, jak wspomnienia jedno po drugim zamieniają się w szarość. Może to był tylko sen? Przywidzenie spowodowane zmieszaniem różnych trunków i sziszy?

„Skutki uboczne”. „Zakochałem się w tobie. Chcę, żebyś to wiedziała. Chociaż i tak zapomnisz...” Chodziło mu o to, że te słowa jeszcze nie zostały wypowiedziane. Nie mogłam ich więc pamiętać, będąc w przeszłości. Za to on zapamięta wszystko. Czas w Piekle rządzi się swoimi prawami. To dlatego twierdził, że jego dotkną skutki uboczne. On będzie pamiętał. Wszystko zrozumiałam.

Beleth... Zatęskniłam za nim, choć za chwilę nie pamiętałam już, za kim tęsknię. Zerknęłam na Piotrusia. Wyglądał tak realnie.

– Tak. – Uśmiechnęłam się. – Już pamiętam. Odwzajemnił uśmiech i odwrócił wzrok w stronę blokowiska.

Poczułam w kieszeni jakiś twardy przedmiot. Sięgnęłam po niego. Wyjęłam mały srebrny kluczyk, ozdobiony misternymi różyczkami.

– Do czego? – zapytał Piotrek.

– Ja... – urwałam, nie mogąc znaleźć słów. – Nie pamiętam...

Odruchowo wyciągnęłam rękę w stronę ściany. Stuknęłam kluczem o tynk. Nie wiedziałam, po co to robiłam. Cofnęłam dłoń.

Piotrek zaśmiał się ze mnie.

– Oj, biedna, przesadziłaś z tym alkoholem. – Objął mnie ramieniem i wyjął kluczyk z ręki. – Zamarzniesz. Masz na sobie tylko podkoszulek.

Odwróciłam głowę w stronę otwartego balkonu. W mieszkaniu zobaczyłam Monikę. Flirtowała z Krystianem, chłopakiem starszym od nas o rok. Pamiętałam to dokładnie. Wtedy jeszcze nie zwracała uwagi na Piotrusia, zajęta próbą osaczenia starszaka.

Piotrek spokojnie palił papierosa. Nawet nie patrzył w jej stronę. Jego ciepłe ramię na moich plecach. Idealnie pasujące do siebie krzywizny. Skąd ja to znałam? Nie mogłam sobie przypomnieć.

Przyglądałam mu się ukradkiem. Czarne, lekko kręcone włosy opadały mu na czoło tuż nad migdałowymi oczami. Długie czarne rzęsy rzucały cienie na policzki. Prosty nos tuż nad pełnymi ustami, na których błąkał się lekki uśmiech. Seksowny jednodniowy zarost. Piotrek był bardzo, bardzo przystojny.

Jak to wtedy było? Gorączkowo starałam się sobie przypomnieć. Dawno, w moich wspomnieniach też urwał nam się temat. Jak zwykle miałam wrażenie, że on nie chce ze mną rozmawiać, że mu przeszkadza, że siedzi ze mną tylko dlatego, że końcówka papierosa jeszcze się tli.

Tamtego rozgwieźdzonego wieczoru desperacko zagadnęłam go o coś związanego z uczelnią. Temat kompletnie nieciekawym, po prostu nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Krótka rozmowa skończyła się, gdy papieros się wypalił, a Piotruś wrócił na przyjęcie. Ja jeszcze długo siedziałam sama na balkonie, analizując własną głupotę. Drugi raz nie zamierzałam popełnić tego błędu.

– Wiesz co, Piotrek? – zagadnęłam.

– Mhm? – odwrócił się w moją stronę.

Nasze twarze dzieliło tylko kilka centymetrów.

– Podobasz mi się – odparłam szczerze. – Nawet bardzo. Na jego ustach błąkał się jak zawsze ten pobłażliwy, spokojny uśmiech.

– Podobam ci się? – upewnił się.

– Tak. – Wzruszyłam ramionami. – I nie mówię tego dlatego, że jestem oszołomiona alkoholem czy sziszą. Stwierdzam fakt.

– Rozumiem. – Nadal się uśmiechał. Poczulałam się głupio, jednak dalej szłam w zaparte.

– Co zamierzasz zrobić z tym faktem? – zapytałam, wpatrując mu się odważnie w oczy. – Ja osobiście proponowałabym randkę, ale nie wiem, czy...

Piotruś uśmiechnął się szeroko. Cisnął niedopałek za balkon, delikatnie ujął moją twarz w swoje silne dłonie, spojrzał mi głęboko w oczy i zaczął całować.

O Boże! Jakie to cudne uczucie!

Tłący się niedopałek wylądował w trawie. Zdusił go ciężki wojskowy but mężczyzny ukrytego w cieniu drzewa. Facet nonszalancko oparł się o pień. Czarny irokez gniewnie sterczał do góry.

– Ledwo wróciła, a już zaczęła od nowa łamać drugie przykazanie... – powiedział rozbawionym, choć smutnym głosem do swoich towarzyszy.

Para jego przyjaciół stała jeszcze głębiej ukryta w cieniu potężnej topoli.

– Ją cofasz w czasie od tak sobie, a mnie zabrać do kraju przodków to nie łaska?! – Kobieta pogłaskała czekoladowego kotka z jednym kremowym uchem.

– Też chciałabyś wszystko zapomnieć tak jak ona? – zakpił.

– No nie... – mruknęła niechętnie.

– To bez sensu, skarbie. Tobie lepiej tutaj gdzie jesteś – wtrącił się obejmujący ją mężczyzna z czarnymi włosami związanymi w kłęb. – Poza tym jak zostanę Archaniołem...

Przystojny mężczyzna z irokezem już go nie słuchał. Wysunął się z cienia i spojrzał do góry na balkon, na całującą się parę.

– Tak po prostu się poddajesz? – zagadnął go kompan. – Oddasz ją bez walki temu Piotrowi? Zapytany uśmiechnął się i zmrużył oczy. – Ja? Poddać się? Azazelu... ludzie się zmieniają, wypadki się zdarzają... zobaczysz, ona jeszcze będzie moja...

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym serdecznie podziękować Pani Ewie Karwan-Jastrzębskiej. Jest Pani moją prawdziwą duchową przewodniczką, na którą mogę liczyć w chwilach zwątpienia, której mogę o wszystkim powiedzieć. Nie wiem, co bym bez Pani zrobiła!

Dziękuję również mojej drogiej przyjaciółce, Julii Karwan-Jastrzębskiej, za wspaniałe zdjęcia zamieszczone na okładce powieści i świat widziany oczami obiektywu. Część z tych kolorowych wizji udało mi się przenieść na czarno-biały papier.

Ta książka nie powstałaby bez Jana Zająca. Dziękuję Ci, Janku, za natchnienie, za postacie Piotrusia i kota Behemota, za seksowny zarost, za zamyślane spojrzenie ze zdjęcia na okładce, za kilka istotnych wątków, a także za „szybką reakcję” i konstruktywną krytykę (tej dla mnie niekonstruktywnej i tak nie słuchałam – wybaczysz mi chyba?).

Dziękuję mojej Pani Redaktor Natalii Sikorze za pasję, zaangażowanie i cierpliwość w trakcie pracy nad książką. Wiem, że nieraz zawracałam Pani głowę.

Nie zapomniałam także o mojej Mamie, Barbarze Miszczuk, i jej pomocy. Gdyby nie Ty, Mamo, w wielu miejscach bym się zatrzymała, nie odważyłabym się pójść dalej. Dziękuję Ci też za wiarę we mnie i moją książkę, za bycie moją fanką numer jeden.

Dziękuję także wszystkim, których spotykam na co dzień, a którzy byli dla mnie natchnieniem i oparciem. Może odnajdziecie się w niektórych postaciach? Dobrze poszukajcie... Wasze rady (co ciekawe, głównie mówiące, kogo powinnam zamordować i wyeliminować z tej powieści) były niezwykle budujące. Przykro mi, ale w większości z nich nie skorzystałam (prawda, Tomku Cugowski?).

Na koniec chciałabym jeszcze tylko dodać, że wszystkie postacie i zdarzenia to fikcja literacka. Oczywiście poza tymi postaciami i zdarzeniami, które nią nie są...